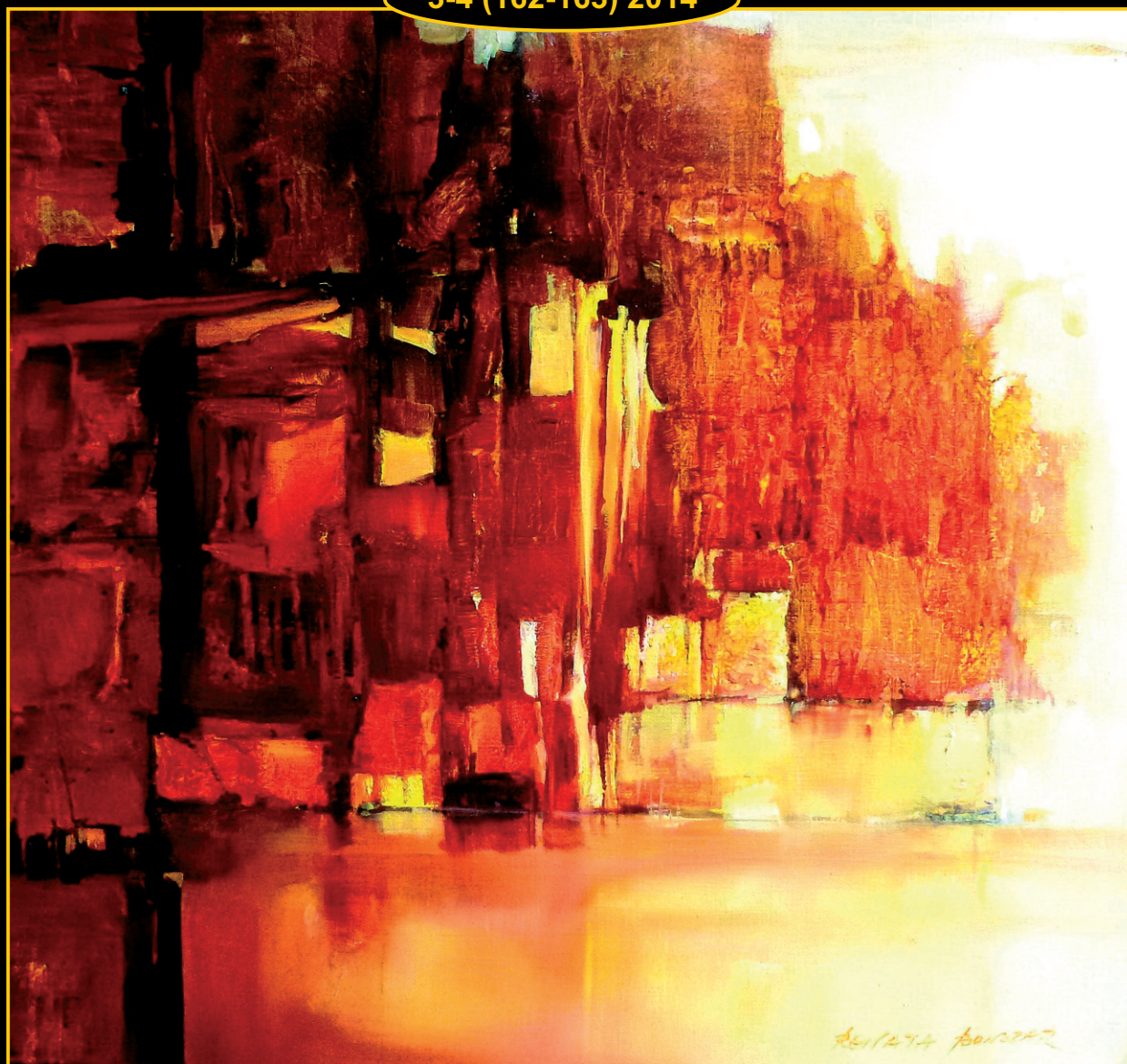


ZDANIE

„Trzech na jednego”
z MARIANEM TURSKIM

W numerze m.in.: Janusz DOBIESZEWSKI, Stanisław GĘBALA, Jerzy HAUSNER,
Edward KAROLCZUK, Adam KOMOROWSKI, Andrzej KURZ, Andrzej MENCWEL,
Krzysztof MROZIEWICZ, Marian STĘPIEŃ, Marek TABIN, Andrzej WALICKI, Mieczysław WOJTCZAK

3-4 (162-163) 2014



Józef Baran

ŚNIADANIE NA TRAWIE

- Marioli i Andrzejowi Koziołom

siedzieliśmy
w czwórkę na polanie
i było to jak śniadanie
na trawie

ja przyjaciel
nasze żony

graliśmy w karty o przyszłość
ponad głowami
trznadle
wywoływały z leśnego młodzika
wiosnę

a potem minęło pół sekundy
a może pół wieku
(w śnie czas
staje się nieważki)

i zobaczyłem nas znów
ale z oddalenia
jakby z lotu obłoku

z tej rozszerzonej perspektywy
widać było wyraźnie
że las to nie las
a stary cmentarz
obsadzony tujami i modrzewiami
a my siedzimy
na polanie
i wznosimy toasty
do słońca
do gwiazd

za te wszystkie garstki prochów
(które dopiero co
śmiały się płakały
wzajemnie pieściły
głodne ruchliwe i żywe)

a może
ot tak?

Na okładce: Renata Bonczar, *W czerwonej przestrzeni*,
olej płótno, 46 x 55 cm

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (162–163) 2014

OD REDAKTORA

Pamięć o tych co odeszli jest świadectwem ich trwania i obecności w naszym życiu uczuciowym i umysłowym. Jesienny numer „Zdania”, który w listopadzie trafia do rąk Czytelników, zawiera wiele takich dowodów pamięci, ponieważ tylko w ten sposób możemy spłacić intelektualny dług wobec twórców i uczonych, których ceniliśmy i szanowaliśmy za ich dzieła, a których od lat lub od niedawna nie ma między nami. W dobiegającym końca 2014 roku z grona żyjących noblistów odszedł Gabriel Garcia Márquez. Jego życie i twórczość w niezwykle interesujący sposób przybliżają i komentują na naszych łamach Krzysztof Mroziewicz i Adam Komorowski. Spośród zmarłych w tym roku polskich pisarzy Tadeusza Różewicza wspomina bardzo osobiście Stanisław Gębala, a Juliana Kawalca żegna nie tylko osobiście Bolesław Faron. Swoje spotkania i dzieje intelektualnej przyjaźni z Isiahem Berlinem komentuje Andrzej Walicki, a lewicowe

i o lewicy myślenie Włodzimierza Rydzewskiego, naszego byłego naczelnego, rekonstruuje Janusz Dobieszewski. Postać i poglądy Tadeusza Kowalika, „ekonomisty obywatelskiego”, prezentuje Marek Tabin. Mnie przypadło w udziale pożegnanie b. sekretarza redakcji „Zdania” i stałego autora Zbigniewa Bauera. „Kuźnica” – w liście do córki – oddała cześć gen. Jaruzelskiemu, a Jerzy Hausner w tekście napisanym ćwierć wieku temu przypomina jego błędy, które – jak każdy polityk – popełniał.

W numerze dużo o kulturze (m.in. referaty z „kuźniczańskiej” konferencji) i oświacie, a w cyklu „Trzech na jednego” rozmowa z Marianem Turskim, obecnym w „Polityce” od 56 lat! Na okładkę poeta Józef Baran podarował nam piękny wiersz, zaś malarka Renata Bonczar również piękne obrazy.

EDWARD CHUDZIŃSKI

MARIAN TURSKI PRZECHODZIŁO SIĘ RÓŻNE ZAKRETY W TRUDNYCH NIEKIEDY CZASACH „Trzech na jednego”	3
Andrzej Kurz „KOWADŁO” MARIANOWI TURSKIEMU – LAUDATIO	12
Andrzej Walicki SPOTKANIA Z ISIAHEM BERLINEM	14
Janusz Dobieszewski WŁODZIMIERZ RYDZEWSKI: MYŚLENIE LEWICOWE, MYŚLENIE LEWICY	17
Leon Podkaminer PRL – NAJSŁABSZE OGNIWO „OBOZU SOCJALISTYCZNEGO”?	23
KULTURA W PRL – SYMPOZJUM: Andrzej Mencwel <i>Jak mówić sensownie o kulturze Polski Ludowej?</i>	27
Marian Stępień <i>Meandry polityki kulturalnej</i>	30
Andrzej Kurz <i>Władza i twórcy</i>	39
Mieczysław Wojtczak <i>Główne nurty kina polskiego (1956-1981)</i>	42
Jerzy Hausner KULTURA A ROZWOJ	49
Edward Karolczuk O SPRZECZNOŚCIACH WOLNORYNKOWEJ GOSPODARKI	55
Marek Tabin TADEUSZ KOWALIK – EKONOMISTA OBYWATELSKI	62
Marian Dziwisz DYLEMATY EDUKACJI	66

75	Filip Ratkowski UKRAINA 1917. DRYFOWANIE KU NIEPODLEGŁOŚCI
83	Jacek Wojciechowski POSTIMPERIUM
88	Jerzy Hausner BŁĘDY JARUZELSKIEGO
90	ODSZEDŁ WOJCIECH JARUZELSKI
91	Krzysztof Mroziewicz GARCIA. PAN BOG MUSIAŁ MU USTĄPIĆ
100	Adam Komorowski PRZYSZŁEGO ROKU W MACONDO
103	Stanisław Gębala NIEZAPISANE ROZMOWY
107	Bolesław Faron O JULIANIE KAWALCU NIE TYLKO OSOBIŚCIE
112	Edward Chudziński ZBYSZEK
113	Marian Stępień O „KUŹNICY” (cz. II Dziennika)
125	Przemysław Trzeciak KOD HANSA MEMLINGA (cz. II)
128	Krzysztof Komornicki PIELGRZYMKĄ, CZYLI CUDOWNE ROZMNOŻENIE WĘDZONEJ MAKRELI
130	Tomasz Goban-Klas CHICHOT UBEKA
131	Sceptyk CO JĘST W TEJ CZARNEJ DZIURZE?
II okł.	Józef Baran ŚNIADANIE NA TRAWIE



Fot. Krzysztof Zuczkowski

trzech na jednego

JEDEN:

MARIAN TURSKI

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

PAWEŁ DYBICZ,

FILIP RATKOWSKI

PRZECHODZIŁO SIĘ RÓŻNE ZAKRĘTY W TRUDNYCH NIEKIEDY CZASACH...

EDWARD CHUDZIŃSKI: Urodził się Pan w Druskiennikach, ale dzieciństwo, lata szkolne i wojna wiążą się z Łodzią. Jak to można wytłumaczyć?

MARIAN TURSKI: Nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Rodzice poznali się w Łodzi, gdzie oboje starali się znaleźć swoje miejsce w życiu, ale moja matka pochodziła właśnie z Druskiennik-Porzecza, gdzie jej rodzice mieli sklep, a ojciec z okolic Nieświeża – z Klecka. W wielu żydowskich rodzinach był taki obyczaj, że kobiety starały się rodzić dzieci w domu swoich rodziców i stąd właśnie Druskienniki.

FILIP RATKOWSKI: Jak wyglądała Łódź Pańskiego dzieciństwa?

PAWEŁ DYBICZ: Czy to był kosmopolityczny „Litzmannstadt”?

TURSKI: Ależ skąd! Nazwa „Litzmannstadt” została narzucona przez Niemców dopiero w drugim roku wojny i nie miała z Łodzią właściwie nic wspólnego. Nawet po niemiecku powszechnie nazywano to miasto „Lodz”, potem nazwa zmieniła się na „Lodsch” i wreszcie na „Litzmannstadt” – ku czci niemieckiego generała, który w czasie I wojny światowej pokonał Rosjan pod Brzezinią, rzeczywiście niedaleko Łodzi, a potem czynnie wspierał nazistów...

Natomiast, gdy zastanawiam się nad niewątpliwie wieloetnicznym charakterem Łodzi, to stają mi przed oczyma niejako odrębne dzielnice zdominowane przez różne narodowości. Między Bałutami a ulicą Przejazd dominowała ludność żydowska, w stronę Widzewa tereny były bardziej zróżnicowane, moja rodzina mieszkała na Mielczarskiego, niedaleko placu

Wolności i tam też mieszkańcy wywodzili się z różnych narodowości.

CHUDZIŃSKI: Jak wyglądały kontakty między narodowościami?

TURSKI: Chodziłem do ekskluzywnego, najdroższego w Łodzi i jednego z najdroższych w Polsce gimnazjów żydowskich na ówczesnej ulicy Magistrackiej, dziś Aleksandra Kamińskiego. Po drodze, idąc do domu, musiałem mijać Ognisko im. Bolesława Chrobrego, centrum Młodzieży Wszechpolskiej. Wszechpolacy uzbrojeni w kije urządzali sobie swego rodzaju polowania na uczniów naszej szkoły, ale wzięliśmy się na sposób i po lekcjach wychodziliśmy zawsze grupą. Wtedy chłopcy z mieczykami w kłapie nie odważyli się atakować.

RATKOWSKI: To były te międzynarodowe kontakty, powiedzmy, „na minus”...

TURSKI: Niestety, z owego czasu niczego „na plus” nie pamiętam. Może to zresztą specyficzna świadomość dziecka. Kiedy ma się dwanaście czy trzynaście lat, to przeżywa się głównie bójkę, sprawy szkolne, układy koleżeńskie... A ja akurat takie miałem doświadczenia, bo chodziłem do szkoły, w której jednym z języków wykładowych był hebrajski, więc kolegów-Polaków nie miałem. Inaczej wyglądała sytuacja w niedaleko położonym gimnazjum tzw. społecznym, do którego chodziły dzieci inteligencji obu narodów. Dość wspomnieć, że nauczycielem polskiego był tam wybitny polski poeta Mieczysław Jastrun i oczywiście tam kultury się przecinały...

Ja z kolei przechodziłem nieco inny rodzaj edukacji, bo mój ojciec był zdeklarowanym syjonistą i bardzo mu zależało na podkreślanu odrębności. Należał jednak

do środowiska syjonistów wywodzących się z Haskali, oświeceniowego ruchu intelektualnego Żydów europejskich zapoczątkowanego jeszcze pod koniec XVIII wieku, które nie lubiło, wręcz zwalczało chasydów ortodoksów i rozpoczęło nowoczesne, krytyczne badania nad kulturą żydowską.

Ojciec mówił dobrze po polsku i po rosyjsku, był żolnierzem (rosyjskim) podczas I wojny, pracował w firmie zajmującej się handlem węglem na wielką skalę, ale ze mną starał się rozmawiać wyłącznie po hebrajsku. Dla odmiany, moja matka hebrajskiego nie знаła i ona z kolei rozmawiała ze mną tylko po polsku. Była to zresztą kobieta niezwykła, sufrażyстка, studiowała najpierw na uniwersytecie w Charkowie, potem w Warszawie, ale warunki materialne zmusiły ją do poszukiwania pracy w Łodzi...

DYBICZ: Czy ojciec miał jakąś wizję Pana drogi życiowej?

TURSKI: Owszem. Marzył, że zostanę wybitnym uczonym, stąd te starania, żebym chodził do rzeczywistości najlepszej szkoły, a to była szkoła należąca do rodziny Brandstaetterów, szkoła dla ludzi bogatych. U nas w domu jednak nie przelewało się. Matka starała się dla mnie wyjednać jakąś zniżkę czesnego, ale pan dyrektor stwierdził z charakterystycznym grymasem ust: „Proszę pani! Nasza szkoła to jak bułka z masłem! Kogo nie stać na bułkę z masłem, nie powinien dziecka posyłać do naszej szkoły”...

Dziś myślę, że wtedy stałem się socjalistą, choć przecież mogłem być i syjonistą, bo osobowość ojca oddziaływała na mnie silnie. Byłem najlepszym w klasie hebraistą i w zasadzie najlepszym uczniem z wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem rysunków i gimnastyki! Dawid Sierakowiak, mój szkolny kolega, autor słynnych dzienników z getta łódzkiego, wspomina, że wpadał do mnie po książki hebrajskie, bo byłem najlepszy w tym przedmiocie.

CHUDZIŃSKI: Jak się wam układały stosunki z łódzkimi Niemcami?

TURSKI: Nie mam związanych z tym żadnych skojarzeń. Niczego specjalnego nie pamiętam.

DYBICZ: Ale chyba odczuwało się jakoś tę groźną, przynajmniej od pewnego momentu, obecność?

TURSKI: Nie, niczego takiego nie pamiętam.

DYBICZ: Nawet trzynastolatek musiał wiedzieć, co się dzieje?

TURSKI: Czym innym jest słyszeć, co się dzieje w Niemczech, a czym innym wyczuwanie na obecność Niemców w Łodzi. To zupełnie dwie różne sprawy. Oczywiście byliśmy rozpolitykowani, naśmiewaliśmy się z Hitlera, mówiło się, że w Niemczech wszystko to *ersatz*, jest głód i samo państwo to potęga na glinianych nogach.

CHUDZIŃSKI: I przychodzi wrzesień 1939...

DYBICZ: Wtedy wielu ludzi ruszyło na wschód. Pana rodzina została na miejscu.

TURSKI: Świetnie pamiętam apel Umiastowskiego z 7 września, gdy wezwał wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, by ruszyli na wschód. To nie wchodziło w grę, bo ojciec był już od lat poważnie chory i zbyt słaby. Mieliśmy dokąd jechać, bo mieliśmy rodzinę w Klecku i w Druskiennikach, ale jakoś nie było o tym mowy. Może nie wierzyliśmy w klęskę naszej armii?

RATKOWSKI: Nikt wówczas nie wyobrażał sobie skali hitlerowskiego barbarzyństwa. Wiem, że ludzie spodziewali się okupacji niemieckiej na wzór tego,

co działo się w czasie I wojny światowej. Poznałem nawet pewną starszą panią ze spolonizowanej od dawna rodziny, która w początkach okupacji zaczęła nosić opaskę z gwiazdą, bo uważała, że nie wypada wypierać się tożsamości. Wkrótce znajomi wybili jej to z głowy. Przeżyła!

TURSKI: Pierwsza wojna we wspomnieniach mojej rodziny była czymś niezwykle okrutnym! Mama mieszkała w miasteczku, które kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk, wojska paliły domy, a ludzie w przerażeniu ukrywali się po lasach! Może rodzice myśleli, że w wielkim mieście będzie bezpieczniej, a może po prostu wszystko działo się zbyt szybko i zdecydowała siła inercji.

CHUDZIŃSKI: A teraz od razu zaczęło się od napiętnowania...

TURSKI: Zaczęło się od kolejek po chleb i pamiętam, że z tej kolejki kilka razy mnie wypchnięto. Teraz nie jestem pewien czy dlatego, że jestem Żydem, czy tylko z tego powodu, że byłem słabszy? Ale wkrótce już wyraźnie to piętno odczułem. Przez kilka pierwszych tygodni jeszcze chodziłem do gimnazjum, nosiłem gwiazdę i pamiętam, jak Niemcy kazali mi schodzić z chodnika na jezdnię. Natomiast mój kolega, Żyd jak ja, ale blondas z niebieskimi oczami, Niutek Radzyner opaski nie nosił. Uważałem wtedy, że jest bardzo odważny.

CHUDZIŃSKI: I wkrótce Niemcy zorganizowali getto...

TURSKI: To było drugie, po piotrkowskim, getto na ziemiach polskich. Musieliśmy się tam przeprowadzić do końca kwietnia 1940 roku. Wtedy związałem się z kilkoma kolegami, którzy, jak się potem okazało, stanowili jedną z „piątek” tajnej organizacji, Lewicy Związkowej. Pamiętam gorące dyskusje, jakie toczyłem z kolegą, który potem poręczył za mnie w organizacji...

W lecie 1944 r. wydawało się, że lada chwila front niemiecki zostanie przełamany i do Łodzi wejdą Rosjanie. Wiedzieliśmy o walkach w getcie warszawskim, o bunkrach i kierownictwo organizacji wydało rozkaz skoszarowania i ukrycia się. Mieliśmy trochę prowiantu... Niestety, ofensywa utknęła na linii Wisły, a w tym samym czasie Niemcy zarządzili likwidację getta. Nawet nie wiem dokładnie, kiedy matka, ojciec i mój młodszy braciśzek, zostali wywiezieni, a ci dwaj zagazowani. My tymczasem przez kilka dni ukrywaliśmy się i gdy kierownictwo organizacji zorientowało się, że nie przetrwamy do wyzwolenia, wydało rozkaz wyjścia z ukrycia.

Nie wiedzieliśmy, co się dzieje z wywozonymi, ale zorientowaliśmy się, że do Łodzi wracają te same wagony, którymi zabierano ludzi. Wtedy, w porozumieniu z kilkoma jeszcze organizacjami podziemnymi, został przez grupę syjonistyczną Haszomer Hacair wysłany ochotnik, który miał opisać sytuację i kartkę wetknąć w szparę między deskami wagonu. I rzeczywiście, kartka wróciła. Był tam z grubsza opis trasy, informacja „Zbliżamy się do Auschwitz” i na końcu, po hebrajsku, hasło syjonistów „Bądź silny i trwaj”. Ten gryps zachował się do dziś i jest w muzeum w Izraelu.

DYBICZ: Nie wiedzieliście, dokąd wywożą tych ludzi?

TURSKI: Wiedzieliśmy. Ale oprócz Auschwitz wywożono jeszcze do Chełmna. Chełmno, to była tylko śmierć, a Auschwitz dawało pewną szansę przetrwania, bo tam potrzebowano rąk do pracy. I tam przeżyłem mój

najszczęśliwszy dzień w życiu. Na rampie rozdzielano ludzi i nas młodszych, silniejszych, ustawiono po jednej stronie, pozostałych po drugiej. Ich pognano w stronę krematorium, a nas skierowano między bloki. Myślałem, że wygrałem życie, gdy nagle zobaczyłem, że pędzą nas w kierunku drogowaskazu „zur Sauna”. W tym momencie przypomniałem sobie audycję londyńskiego radia, w której mówiono, że więźniów w Auschwitzu gazuje się pod pozorem wysyłania do kąpielni! Z przerażenia popuściłem w spodnie. Obok mnie w szeregu szedł ojciec kolegi i przez chwilę zastanawiałem się, czy mu o tej „łaźni” powiedzieć, ale zrezygnowałem. I tak nie mogłem nic zmienić. Wiedziałem, że ma ze sobą w manierce trochę wódki więc tylko prosiłem go o tyk. Dał. Mój pierwszy w życiu tyk wódki.

Okazało się, na szczęście dla mnie, że rzeczywiście trafiamy do prawdziwej łaźni, gdzie kilku fryzjerów, Żydów z Holandii, goli nam głowy i ciała. Golili potwornie tępymi zyletkami, podśpiewywali holendersko-żydowską piosenkę *Wierzę w Holandię*, którą pamiętam do dziś. Wyszliśmy stamtąd pokancerowani i potraktowano nas lizolem. Wyliśmy z bólu, ale ja byłem szczęśliwy!

CHUDZIŃSKI: Pan jakoś przetrwał nie tylko obóz, ale i „marsz śmierci”, gdy pędzono więźniów w głąb Rzeszy...

TURSKI: Przetrwałem dwa takie marsze. Pierwszy z Auschwitz do Buchenwaldu i drugi, trwający 16 dni, z Buchenwaldu do Terezina, w Czechach. Kiedy wyzwoliła nas Armia Czerwona, byłem w potwornym stanie. Miałem szkorbut i wszelkie inne możliwe choroby, obnażone zęby, jakąś narośl na plecach, ciało obrzmiało. Nie mogłem chodzić ani jeść. I wtedy wdał się tyfus. Przez trzy dni miałem po 41 stopni. Mój przypadek okazał się wyjątkowy i został opisany w medycznej literaturze naukowej przez doktora Winiegraetza z Pragi. Okazało się, że śmiertelna choroba może człowieka uratować, bo niszczy wszystkie inne choroby!

DYBICZ: A gdy doszedł Pan do siebie, czy miał Pan ten dylemat, który stał przed więźniami wyzwalanymi przez Amerykanów: wracać, czy nie wracać do kraju?

TURSKI: W Terezynie też pojawiali się przedstawiciele Jointu, proponujący Żydom wyjazd do USA czy Kanady. Preferowani byli młodzi ludzie... Ja jednak nie miałem wahań. Czuję się socjalistą czy zgoła komunistą i chciałem wrócić do Polski, która po wojnie miała być taka, jaką sobie wymarzyłem, sprawiając tym moim marzeniem ogromny ból ukochanemu ojcu! Do dziś jest we mnie zadra, że nie miałem okazji wyjaśnić mu, jak to się stało, że w ciągu kilku lat w getcie tak przekształciła się moja świadomość.

CHUDZIŃSKI: Użył Pan zamiennie pojęć „socjalista” i „komunista”. A przecież to nie są pojęcia równoznaczne!

TURSKI: Wtedy pojęcie „komunista” brzmiało dla mnie wspaniale. To był radykał, dokonujący robespierewskiego, jakobińskiego wyboru.

DYBICZ: Przy tym ktoś mający większą siłę sprawczą. Ten, kto może przeprowadzić to, co deklaruje?

TURSKI: Chodziło nie tylko o to. Zapleczem ideowym i politycznym było wszystko to, co niósł ze sobą Związek Radziecki! Zwycięstwo nad Hitlerem. A w ZSRR „socjalista” to był zdrajca, renegat, Kautsky czy inny Bernstein.

Nasza Lewica Związkowa była organizacją w istocie komunistyczną, która nie mogła przyjąć nazwy „partia”, bo przecież w 1937 roku Międzynarodówka Komunistyczna rozwiązała KPP i zakazała budowania od nowa partii komunistycznej w Polsce. Tymczasem dla nas przewodnikami byli właśnie przedwojenni komuniści, tacy co mieli za sobą po kilka lat odsiadki. Byli dla nas bohaterami. To działało niezwykle silnie na wyobraźnię nastolatka!

Czytaliśmy bardzo wiele. Przede wszystkim *Manifest Komunistyczny* - skondensowaną teorię budowy społeczeństwa, teorię walki klas, *18 brumaire’a Ludwika Bonaparte*, Lenina *Państwo a rewolucja*. Nawiasem mówiąc tę ostatnią książeczkę przepisywałem ręcznie, bo nie mieliśmy jeszcze wtedy hektografu.

RATKOWSKI: A więc tylko ZSRR był nadzieją i nie mieliście żadnych złych doświadczeń ze stalinizmem?

TURSKI: Żadnych bezpośrednich, ale przecież dyskutowaliśmy o procesach moskiewskich i siedzieliśmy w mnie silne uprzedzenie do komunistów właśnie. Pamiętam, to była jesień 1941 roku, jak z Szijem Sonabendem chodziliśmy po ulicy Brzezińskiej w Łodzi (teraz Wojska Polskiego). Dyskutowaliśmy, jak to mądrzący się nastolatki, czy lepiej, żeby dziewięciu winnych zostało uwolnionych, aby nie skrzywdzić niewinnego, czy lepiej, by dziewięciu niewinnych siedziało, a winny nie uszedł kary. I nie chodziło tylko o karę, ale o szkody, które może wyrządzić. A przykładem była wojna domowa w Hiszpanii, jedna z legend owego czasu. I to Franco mówił, że cztery kolumny jego wojsk idą na Madryt, a w Madrycie działa kolumna piąta! – I widzisz – mówi mi Sonabend – gdyby Stalin nie zrobił czystek, to by w Moskwie też zwyciężyła piąta kolumna! Przekonał mnie.

RATKOWSKI: Więc z Terezina wracał Pan do kraju jako ideowy, przekonany komunista?

TURSKI: Przypomnieli sobie o mnie towarzysze z Lewicy Związkowej, którzy przetrwali. Po chorobie miałem potwornie zniszczone serce i trafiłem ostatecznie do szpitala, do ówczesnego Frydlandu. Dziś to Mieroszów pod Wałbrzychem, a dyrektorem szpitala był ... Arnold Mostowicz, także z łódzkiego getta i z naszej Lewicy Związkowej. Nie wytrzymałem długo bez działania i zabrałem się do organizowania młodzieżówki PPR-owskiej na terenie gminy. Potem awansowano mnie i zostałem szefem zarządu Związku Walki Młodych w Wałbrzychu. W końcu wysłano mnie do dwuletniej szkoły partyjnej, co z czasem miało swoje konsekwencje.

CHUDZIŃSKI: I co dalej?

TURSKI: Po skończeniu tej szkoły skierowano mnie do pracy w KC PZPR, gdzie powierzono mi sektor wydawnictw. Pisywałem już wówczas do prasy partyjnej i ZMP; jeszcze jak byłem na Dolnym Śląsku tworzyłem dodatek młodzieżowy do gazety partyjnej i wtedy m.in. namówiłem na pisanie Hankę Bratkowską (wówczas Karczewską), która później była zastępcą naczelnego „Po prostu”.

CHUDZIŃSKI: Wreszcie przychodzi Październik 1956. Jak Pan, ideowy komunista, przeżywał tamte wstrząsy?

TURSKI: Znalazłem się w gronie *Puławian* – stronników Gomułki...

RATKOWSKI: Ta nazwa wywodzi się do ulicy Puławskiej, gdzie mieszkało wielu spośród czołowych działaczy tej grupy. Do najbardziej znaczących na-

leżeli Roman Zambrowski i Leon Kasman. Byli tam też Jerzy Albrecht, Ostap Dłuski, Wincenty Kraško, Ignacy Loga-Sowiński, Władysław Matwin, Jerzy Morawski, a także byli PPS-owcy: Henryk Jabłoński, Oskar Lange, Lucjan Motyka, Adam Rapacki...

TURSKI: Jednym z miejsc spotkań politycznego „sztabu październikowego” było na Mokotowskiej mieszkanie Ireny Tarłowskiej i z czasem zostałem jej następcą w „Sztandarze Młodych”...

CHUDZIŃSKI: **Mnie jednak interesuje, jak odebrał te przemiany młody, żarliwy komunista Marian Turski, który próbował realizować tę utopię. Przecież jako człowiek z centralnego aparatu partyjnego musiał już wówczas wiedzieć sporo o postępującym procesie destalinizacji, choćby o referacie Chruszczowa wygłoszonym na XX Zjeździe KPZR.**

DYBICZ: **A nawet już o posiedzeniu KC KPZR z 1954 roku, gdzie zaczęto mówić o zbrodniach Jęzowa, Berii czy samego Stalina!**

TURSKI: Nie macie pojęcia, jakie znaczenie dla ludzi takich jak ja miała drukowana wówczas w ZSRR w odcinkach powieści Ilii Erenburga *Odwilż*. Czekaliśmy na każdy nowy numer pisma „Nowyj Mir”, a sam tytuł powieści stał się wkrótce synonimem procesu destalinizacji. Wkrótce zresztą książka wyszła po polsku bodaj w przekładzie Jana Brzechwy.

Pamiętam jak w 1955 roku na fali wydarzeń przygotowano zebranie centralnego aktywu PZPR. I oto Bierut przemawia, a w jego wypowiedzi pojawiło się słowo „liberalizacja” i inne nowe elementy. W dyskusji odezwałem się i to można sprawdzić w protokołach. Mówiłem coś o Grecji, o masach, ale w końcu zapytałem, dlaczego Gomułka siedzi bez procesu? – Zdecydujcie się – mówiłem – jeśli jest winny, to niech zostanie skazany, jeśli nie... Trzeba coś zdecydować! – I pamiętam, jak w podsumowaniu sam Bierut zwrócił się do mnie: „Młody towarzyszu! Musicie zrozumieć, że są pewne rzeczy nie zawsze proste i zdarzają się decyzje, które z czasem okazują się błędne...”. Nie pamiętam dokładnie, ale to było coś w tym duchu. W każdym razie wielu kolegów pamiętało mi to jako „odważne wystąpienie”.

RATKOWSKI: **I pewnie, jak na owe czasy, było odważne!**

TURSKI: Wkrótce rzeczywiście, od lata, a może nawet od wiosny 1956 r. rozpoczyna się w partii walka wewnętrzna między tzw. *Natolinem*, czyli konserwatystami a *Puławianami*. Przypomnijmy, że *Natolin* (nazwa ukuta od narady w tym pałacu), to zgrupowane wokół Konstantego Rokossowskiego takie nazwiska, jak Franciszek Jóźwiak, Wiktor Kłosiewicz, Zenon Nowak czy Aleksander Zawadzki, późniejszy przewodniczący Rady Państwa PRL. Uważany niekiedy za ikonę Października młody sekretarz KC Jurek Morawski był moim przyjacielem i moja obecność w tym środowisku stała się oczywista.

CHUDZIŃSKI: **Ale na czym polegała w istocie ta przemiana ideowa?**

TURSKI: A bo ja wiem? Weźcie na przykład Romka Zimanda, który ze skrajnie dogmatycznych pozycji po wydarzeniach węgierskich przeszedł na zupełnie inne, albo Leszka Kołakowskiego, też mojego przyjaciela, który jako młody radykał w 1950 roku wyprawiał nieprawdopodobne rzeczy na uniwersytecie, a potem przeżył bardzo głęboką przemianę ideową. Nie bez znaczenia było na przykład stanowisko komunistów włoskich...

CHUDZIŃSKI: **I po tych przemianach trafia Pan do ukazującej się od pół roku „Polityki”?**

TURSKI: Nie. To było inaczej. W tym szalonym 1956 roku zostałem szefem „Sztandaru Młodych”, dziennika ZMP, który swój tytuł zmienił z czerwonego na niebieski, a samo ZMP stopniowo przestawało istnieć. „Po prostu” adresowane do studentów i młodej inteligencji stało się legendą, ale w 1956 roku to właśnie „Sztandar Młodych” jako dziennik o znacznie większej sile przebicia był organizatorem czy choćby współorganizatorem wielu młodzieżowych rewolucyjnych środowisk. Na czele jednego stał, jak pamiętam, Lenart, na czele drugiego Krzyszto Pomian, było kilka innych, na przykład w Krakowie z Grotowskim i próbowały one osiągnąć pewną podmiotowość...

DYBICZ: **Szybko okazało się, że „Sztandar” działa „niezgodnie z linią Partii”!**

TURSKI: Dostaliśmy po uszach za „antyradzieckie komentarze” w związku z interwencją na Węgrzech. Druga sprawa to obrona Haricha, rewizjonisty z NRD, a trzecie to domaganie się uprawnień dla Rad Robotniczych. Najważniejsze jednak to odmowa podporządkowania pisma nowemu, świeżo powołanemu na miejsce ZMP, Związkowi Młodzieży Socjalistycznej. Uważałem, że „Sztandar Młodych” jest większym autorytetem niż ZMS i nie widziałem powodu, żeby się podporządkowywać, w istocie nie bardzo wiadomo było komu. 31 grudnia 1957 dostałem dymisję, a na znak solidarności podali się do dymisji pracujący wtedy w „Sztandarze” liczni dziennikarze, w tym Darek Fikus, Rysio Kapuściński, Zygmunt Szeliga, Andrzej Krzysztof Wróblewski, Daniel Passent. Późniejsza czołówka „Polityki”!

RATKOWSKI: **„Polityka” pod kierownictwem Żółkiewskiego pomyślana była jako przeciwwaga ideowa dla „Po prostu” i tak była zresztą postrzegana przez większą część czytelników.**

TURSKI: Ale trudno obwiniać „Politykę” o los „Po prostu”! Pamiętam, jak sam tłumaczyłem Hance Bratowskiej, żeby nie robili sobie tradycyjnej dla tego tytułu przerwy wakacyjnej. Taki był jednak zwyczaj w tym piśmie, że numer wychodził w połowie lipca, a następny dopiero we wrześniu. W czasie przerwy wydali dwa numery próbne na okres po wakacjach. Te numery Biuro Prasy KC rozeszło do członków Komisji Prasowej, której byłem członkiem, z prośbą o ocenę. Spodziewano się, oczywiście, ocen jednoznacznie krytycznych.

Pamiętam artykuł znanego ekonomisty Stefana Kurowskiego...

CHUDZIŃSKI: **Późniejszego profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego?**

TURSKI: Tak jest. Niestety, powiedzieć, że to był artykuł „rewizjonistyczny” to zbyt mało! Większość Komisji Prasowej KC była więc wyraźnie przeciw i chyba tylko ja próbowałem sugerować jakieś inne wyjście niż zamknięcie pisma.

DYBICZ: **Czy opowiadanie się większości członków komisji za rozwiązaniem pisma wynikało z tego, że ci ludzie wiedzieli, jakiej odpowiedzi się od nich oczekuje?**

TURSKI: Tak myślę, choć nie ośmielę się powiedzieć, że niektórzy nie robili tego z przekonania, bo dla nich to było pismo „rewizjonistyczne, burżujzyczne i obce nam światopoglądowo”. Różni ludzie tam byli. Kiedy zdecydowano, że po wakacjach „Po prostu” już się nie



Fot. Krzysztof Żuczowski

pojawi w kioskach, wysła instrukcja z KC do wszystkich gazet, by zamieścić teksty potępiające tę redakcję. I łatwo sprawdzić, że w „Sztandarze Młodych” takiego wstępniaka zabrakło. Następnego dnia dzwoni więc do mnie Jurek Morawski, wtedy sekretarz KC i pyta, dlaczego się nie podporządkowałem? Odpowiadam: – Jurek, przecież wiesz, że na Komisji Prasowej byłem przeciw zamknięciu pisma. Czy gdybym zamieścił teraz potępiający tekst, to podałyś mi rękę? Czy nie uznałbyś, że jestem oportunistą?

DYBICZ: I od tego momentu mógł Pan mieć poczucie, że za chwilę skończy się pewien etap w Pańskim życiu?

TURSKI: Rozmawiałem wcześniej z Mietkiem Rakowskim, wtedy zastępcą Żółkiewskiego w „Polityce”, który zapowiadał odejście swego szefa i duże zmiany. Chciał tworzyć całkiem nowe pismo. Ale i tak przez pierwsze miesiące po przejściu do „Polityki” miałem poczucie pewnego dyskomfortu. Dlatego znalazłem sobie miejsce w dziale historycznym. Wkrótce jednak odeszli z zespołu Werblan, Schaff, Kasmanowa, Granasowa...

RATKOWSKI: Wtedy oni, nawet Schaff, postrzegani byli jako dość konserwatywni, choć wszyscy mieli przejść wkrótce głęboką przemianę ideową. Jedni szybciej, inni wolniej...

DYBICZ: A wy byliście czymś na kształt drugiego rzutu „pokolenia pryszczatych”, którzy wchodzi do polityki?

TURSKI: Zdecydowanie tak. I tak to odczuwał Rakowski.

CHUDZIŃSKI: Przepraszam, ale „pryszczaci” to Pańscy rówieśnicy, po wojnie żarliwi, zaangażowani ideowcy: Zimand byłby tu dobrym przykładem, tak-

że Borowski i wielu innych późniejszych rewizjonistów. Byli najbardziej radykalni, stąd nazwa...

TURSKI: No pewnie! Uczestniczyłem w pierwszej naradzie młodych „intelektualistów marksistów” w Sejmie w 1947 roku, na której byli też Tadzio Drewnowski, Leszek Kotakowski. Co się tam wygadywało!

RATKOWSKI: Ale wróćmy do „Polityki”, gdzie wkrótce dołączyli też ludzie z „Po prostu”, jak Urban...

TURSKI: ...czy choćby Górski. Inni ludzie z „Polityki” też tam czasem wcześniej pisywali.

CHUDZIŃSKI: I wtedy zaczęła się formować grupa nowej „Polityki” Rakowskiego?

TURSKI: Wspominałem już te nazwiska ze „Sztandaru”. Owszem, wahałem się czy rzeczywiście mogę rekomendować kolegom to pismo – przeciwwagę dla „Po prostu”? Zdecydował mój najbliższy przyjaciel Roman Zimand. Powiedział: – Tak! Róbcie to pismo! Rakowski widział, że dostaje znakomitą młodzież i oto „Polityka” rzeczywiście zaczyna zajmować miejsce „Po prostu”!

CHUDZIŃSKI: W latach 60. zmienia się pejzaż prasy polskiej, a dotyczy to zwłaszcza tytułów prasy społeczno-kulturalnej. Pan znajduje miejsce dla siebie i kolegów w „Polityce” i jest w niej obecny do dziś, co jest ewenementem w dziejach polskiej prasy...

TURSKI: I ciągle żywy, w sumie 56 lat!

CHUDZIŃSKI: Ale przychodzi kolejna próba – rok 1968!

TURSKI: Po drodze były jeszcze dwie, choć może mniej znaczące. Dwukrotnie zawieszano Rakowskiego, jednak rzeczywiście w 1968 roku czuliśmy się całkowicie wyizolowani. „Jeden przeciwko miastu”!

RATKOWSKI: **To było jedyne pismo, które nie uderzyło w obowiązujący wówczas antysemicki ton!**

TURSKI: Nie można nie odnotować „Tygodnika Powszechnego”!

CHUDZIŃSKI: **O przepraszam! W Krakowie od czterech miesięcy ukazywało się pismo „Student”, którego byłem współzałożycielem i redaktorem, i ono zachowywało się w tym czasie równie przyzwoicie jak „Polityka”.**

TURSKI: Powiedziałbym nawet, że wy byliście lepsi, bo nie obciążały was serwituty, które mieliśmy my.

CHUDZIŃSKI: **I w efekcie ryzykowaliśmy mniej. Nie mieliśmy etatów, byliśmy pokoleniową grupą młodych ludzi, studentami bądź na asystenckich etatach i było nam wszystko jedno, czy nas rozwiążą czy nie. I dlatego pozwalaliśmy sobie na druk tekstów, których Rakowski, ze względu na większą odpowiedzialność, być może by nie puścił!**

TURSKI: Każdy ma piękne momenty, które mu się w życiu przydarzyły i które zapamiętał na całe życie. Tym razem była to jedność, zwartość zespołu w 1968 roku!

Rakowski zaszył się wtedy na Mazurach i nawet nie mieliśmy pojęcia, co się z nim dzieje. Kiedy kazali nam wydrukować paskudnie antysemickie teksty na Słonimskiego i inne temu podobne – na kolegium tylko jeden Sołuba opowiedział się za drukiem, a myśmy gremialnie oświadczyli, że w razie ich wydrukowania wycofuje my swoje nazwiska ze stopki. Jako jeden z nielicznych członków zespołu byłem już wtedy posiadaczem samochodu, Skody oktawii i gdy tego dnia przyszedłem do domu, powiedziałem do żony, że będę zarabiał na życie jako taksówkarz!

RATKOWSKI: **I nie był Pan jedyny, bo generał Rozłubirski też wtedy wybrał taką karierę!**

TURSKI: Inna rzecz, że miałem dobrą sytuację, bo mojej żony nikt nie ruszył, a ona, Halina Paszkowska, miała jako inżynier dźwięku świetną pozycję w Filmie Polskim. Robiła filmy z Fordem, z Munkiem, z Polańskim i innymi...

W sprawie tych tekstów dyskusja toczyła się między Starewiczem, Kliszką i Gomułką, ale gdy wreszcie pojawił się Rakowski, to stwierdził: „nie drukujemy, nie ma żadnej dyskusji!”. I na tym stanęło. Tak, to były piękne dni wspaniałej solidarności ludzi. Pracowaliśmy po 18 godzin na dobę, pisaliśmy po kilka wariantów artykułów, żeby przewidzieć ewentualne ingerencje cenzury. Ale warto było! To jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu.

CHUDZIŃSKI: **Tymczasem jeszcze Marzec 68, a zwłaszcza jego skutki dawało się odczuć nie tylko w mediach, a na Wybrzeżu zaczyna się Grudzień 1970.**

DYBICZ: **Pan zdaje się znał Gierka znacznie wcześniej niż Rakowski?**

TURSKI: Przyjaźniłem się z Gierkiem jeszcze z czasów szkoły partyjnej, bo siedzieliśmy w ławach obok siebie. Był niesłychanie chłonny. Znałem też jego żonę, w sumie była to dość bliska znajomość. Pamiętam, że do wydarzeń na Węgrzech w 1956 roku mieliśmy bardzo podobny stosunek. Niektórzy Gierka zaliczali także do „grupy puławskiej”. Gdy był pierwszym sekretarzem w Katowicach, ktoś mu doniósł, że w „Polityce” mówią o Śląsku „Katanga”.

RATKOWSKI: **Dziś może wielu już tego nie pamięta, ale Katanga to nazwa bogatej w surowce**

części Konga, którą rządził Czombe, zaufany „człowiek Zachodu” i on doprowadził do zamordowania premiera Konga – Patrice Lumumby. Paskudna aluzja!

TURSKI: Musiałem tę „Katangę” jakoś prostować, a przyszło mi dlatego łatwiej, że Gierka znałem dobrze. Miałem też dobre układy ze Zdzisławem Grudniem, wtedy sekretarzem KW w Katowicach, który przed laty był moim zastępcą w ZWM w Wałbrzychu.

DYBICZ: **Czy warto było wpisywać się w ten Gierkowski nurt? Musiał Pan pamiętać bardzo niesympatyczne wypowiedzi Gierka w grudniu 1970 roku?**

TURSKI: Że „śląska woda pogruchoce kości” wrogom socjalizmu?

RATKOWSKI: **To chyba wypowiedź z 1968 roku, odbierana powszechnie jako wymuszona. W każdym razie na wiecu w Sali Kongresowej część uczestników wołała „Wiesław! Wiesław”, a druga „Gierek! Gierek!”**

TURSKI: W „Polityce” tworzyliśmy wówczas pewne alternatywne programy rozwoju Polski, ze szczególnym udziałem Jurka Urbana, a Gierek o tym wiedział. Zawiozłem mu wówczas te materiały jako dowód, że wpisujemy się niejako w jego modernizacyjny nurt. Powiedziałem, że ta rzekoma wypowiedź Rakowskiego to plotka. A on pyta mnie, czy przysięgłbym na głowę mojej córki? Powiedziałem, że tak!

RATKOWSKI: **A jak to było naprawdę z tą „Katangą”? W końcu Śląsk ma z nią wiele podobieństw.**

TURSKI: Ja takiej wypowiedzi Rakowskiego nie słyszałem, a Mietek przysięgał, że to bzdura!

CHUDZIŃSKI: **„Polityka” sprzyjała Gierkowi jako I sekretarzowi KC, stając się czołowym rzecznikiem jego wizji rozwoju kraju. Tak było do połowy lat 70.**

TURSKI: Rzeczywiście, wspieraliśmy i program budownictwa, to zasługa przede wszystkim Aleksandra Paszyńskiego, i program motoryzacji. Taki program pozytywistyczno-pragmatyczny. Ale muszę przyznać, że byli też w zespole ludzie, jak na przykład Michał Radgowski, którzy mieli nieco inną wizję, powiedzmy romantyczno-dziwiewnastowieczną. W drugiej połowie epoki Gierka paliwo zaczęło się wyczerpywać, nie bardzo wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć. Wydawało się, że zaczynamy się wypalać.

CHUDZIŃSKI: **...technokratyczna wizja Polski okazała się projektem chybionym?**

TURSKI: Wydawało się nam, że to wszystko jest jakieś... małe. Tak, to chyba dobre słowo.

DYBICZ: **I było to nie tylko wasze wrażenie, bo wtedy, w środowiskach intelektualnych zaczyna się dziać dziwne rzeczy. A właśnie... jakie były związki „Polityki” z DiP-em – konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość, które w tym fermencie odgrywało sporą rolę?**

TURSKI: Zespół nie był w to zaangażowany, choć materiały DiP-u do nas docierały. Miał z tym środowiskiem kontakty Urban i na pewno Paszyński. Oczywiście także sam Rakowski, który się tymi materiałami dzielił z członkami kolegium.

CHUDZIŃSKI: **A równocześnie zaczynają odchodzić z „Polityki” niektóre ważne postacie, na przykład Kapuściński odchodzi do „Kultury”, która pod rządami Dominika Horodyńskiego dla takich czytelników jak ja stała się interesującą alternatywą.**

RATKOWSKI: Dla mnie taką alternatywą stało się „Życie Gospodarcze” prowadzone przez późniejszego sekretarza KC PZPR Jana Głowczyka.

TURSKI: „Życie Gospodarcze” miało znacznie mniejszy nakład i bardzo określonego odbiorcę, więc też mogło sobie pozwolić na znacznie więcej. Taka była, powiedzmy, „ustrojowa” zasada. Nie macie pojęcia, jakie odważne rzeczy ukazywały się drukiem w PRL, tyle że w nakładzie tysiąca egzemplarzy!

DYBICZ: Nie bez przyczyny były takie głosy, jak profesora Walickiego w końcu lat 70., by uwolnić od cenzury niskonakładowe publikacje, szczególnie o naukowym charakterze...

TURSKI: ... na co oni już byli niemal gotowi!

CHUDZIŃSKI: Mało kto dziś pamięta, że „Polityka” w latach 70. miała 360 tys. nakładu, a i tak była sprzedawana „spod lady”.

RATKOWSKI: A skoro już mówimy o ludziach, którzy z „Polityki” odeszli, to chciałbym zapytać o Kobylińskiego. Jego rysunki stanowiły niemal drugą główkę tygodnika i ozdabiały pamiątkową filizankę przygotowaną na X-lecie tytułu!

TURSKI: Rysunkowe komentarze Kobylińskiego były warte tyle, ile dziesięć artykułów wywrotowych! Gierek na przykład, na jakimś kolejnym plenum KC wyraził się: – Zrobimy to, zrobimy tamto, zrobimy jeszcze więcej... I wtedy Kobyliński narysował dwa krasnoludki siedzące na nocniczkach i wymieniające uwagi: „Narobiliśmy dużo, narobimy więcej!”. Ten cenzura niestety zdjęta, ale podobnych rysunków było wiele.

Kobyliński to jedna z moich blizn, szczególnie że przyjaźniliśmy się, a on na moją część z jakiejś tam okazji wykonał bardzo pracowity rysunek w stylu... Breughla! Świetny!

DYBICZ: To fragment rozłamu w redakcji po wprowadzeniu stanu wojennego!

RATKOWSKI: Ale Kobyliński też ma skazy w życiorysie. Miałem w ręku dwa wydania ilustrowanego przez niego *Atlasu historycznego* dla szkół. Były identyczne, z jednym wyjątkiem: Świerczewskiego zastąpił Piłsudskim. Dla mnie to swego rodzaju nieprzyzwoitość!

TURSKI: Cóż... Odszedł z „Polityki” i nie chciał być już nigdy z „Polityką” identyfikowany. Ale... *de mortuis nil nisi bene!*...

Pęknięcie w zespole było już zauważalne z chwilą powstania „Solidarności”, a po wprowadzeniu stanu wojennego część ludzi po prostu odeszła. Jeżeli w różnych gazetach zarządzono „weryfikacje”, to w „Polityce” niczego takiego nie było. Weryfikacja nie była potrzebna.

Frustracja wśród członków zespołu była widoczna już wcześniej, a wyraźną cezurą były wydarzenia w Radomiu w 1976 roku. Pamiętam, jak szukaliśmy wyjścia z sytuacji, bo nikt nie chciał napisać o tym tak, żeby było to do zaakceptowania przez władze i cenzurę. Nawet Rakowski pisać na ten temat nie chciał, choć w takich sytuacjach z reguły na niego spadały niemiłe obowiązki. Na szczęście niemal w ostatniej chwili zgłosił się pewien autor i napisał pod pseudonimem. Teraz też jego nazwiska nie ujawnię. Znana postać i od bardzo długiego czasu nie związana z „Polityką”. Kolejny problem to stosunek do KOR. Zdecydowana większość zespołu uczuciowo opowiadała się za Karolem Modzelewskim czy za

Jackiem Kuroniem, bo przecież byli to przyjaciele lub przynajmniej dobrzy znajomi wielu z nas.

**RATKOWSKI: A i sam projekt był przecież do-
głębnie lewicowy!**

TURSKI: Rakowski lansował jednak linię, która miała pozwolić utrzymać pismo i nie ukrywajmy, był tu element oportunistyczny, zwłaszcza starszej części załogi, związanej z „Polityką” od końca lat 50.

RATKOWSKI: Czy ja tu słyszę bicie się w piersi?

TURSKI: Oczywiście, w jakimś sensie tak! Być może próbuję jakoś tłumaczyć się, ale było w tym także coś, co mógłbym nazwać „Conradowską lojalnością” – poczuciem lojalności wobec ludzi, z którymi się długo pracowało, z którymi przechodziło się różne zakręty w trudnych niekiedy czasach... Tak, była w tym duża dawka oportunisty.

DYBICZ: Myślę, że po prostu przeważał realizm...

TURSKI: Ponieważ jednak ów realizm przemawia za mną, to dla równowagi powinienem przyznać się też do oportunisty.

RATKOWSKI: Mogła to być też lojalność wobec przyjaciela, którym w tym przypadku był szef – Rakowski. I niekiedy do takiej lojalności bardzo trudno się przystosować. Łatwiej wyszukiwać łatwiejsze tłumaczenia.

CHUDZIŃSKI: A mając obecną wiedzę, jak by Pan postąpił? Podobnie?

TURSKI: Nie. Zdecydowanie inaczej, szczególnie że byłem blisko KOR-u i w jakimś momencie mogłem być nawet jego członkiem, ale ostatecznie się nie zdecydowałem. Musiałbym pewnie odejść z „Polityki” i zerwać z Rakowskim choćby po to, żeby mu nie szkodzić... Inna rzecz, że gdy czytam dziś wspomnienia Karola Modzelewskiego i widzę skalę jego rozczarowania, to waham się w ocenach, choć oczywiście lepiej być rozczarowanym z pozycji przyzwoitych niż mniej przyzwoitych.

CHUDZIŃSKI: Czy ostatecznie byłoby lepiej, gdyby „Polityka” po zawieszeniu w stanie wojennym przestała wychodzić i przeszła do legendy, czy lepiej, że przedłużyła swój żywot przez cały trudny czas lat 80. – aż do dziś?

TURSKI: To była główna oś sporu w czasie decydującego posiedzenia zespołu na temat zakończenia lub wznowienia działalności. Był to koniec grudnia 1981 r. Wiecie, kto mnie ostatecznie przekonał? Ówczesny ambasador Indii w Polsce – filozof i poeta, Siva Ramakrishnan, który uważał, że „Polityka” powinna istnieć i zachować możliwie największe wpływy. Zresztą fakt, że istniejemy i że udało się nam przejść przez to „morze czerwone” dowodzi, że nasza decyzja była słuszna. Faktem jest też, że wielu ludzi, którzy wtedy z zespołu odeszli, wróciło.

CHUDZIŃSKI: Jak się dziś Pan w tym zespole czuje? Pan – żywa historia pisma, świadek wydarzeń półwiecza jego istnienia, a zarazem ktoś, kto nie wyparł się ani swojej przeszłości, ani lewicowych poglądów?

TURSKI: Pytanie jest fajne i nawet nie kłopotliwe. Przeglądając roczniki pisma łatwo zauważyć, że w tamtych przełomowych latach w 1989 i 1990 byłem bardzo aktywny. W co drugim numerze jest jakaś moja rozmowa, a to z Cimoszewiczem, a to z Geremkiem. Sama „Polityka” i tacy dziennikarze jak ja mogli być pomostem do ludzi, którzy stali się zapleczem intelektualnym „So-



Fot. Krzysztof Żuczkowski

lidarności”. Wiele z tych ludzi, choćby Henryk Wujec, chętnie przyznawało, że wychowywali się na „Polityce”.

Pamiętam, że poróżniłem się ogromnie z Jurkiem Urbanem za jego dwa teksty, m.in. *Gorączka*, w których niesłychanie realistycznie opisywał to, co się zdarzyło. Powiedziałem mu wtedy, że choć oczywiście pisze mądrze, to jednak niepotrzebnie przyspiesza wydarzenia, które lepiej byłoby, żeby się nie spełniły. Jego scenariusze wydarzeń były genialne, choć ponure.

CHUDZIŃSKI: Tu trzeba zauważyć, że przez ostatnie ćwierć wieku linia pisma także ewoluowała...

TURSKI: Oczywiście, że się zmieniała. Był czas, że czułem się kompletnie wyalienowany, gdy tygodnik stał się nachalnym głosicielem ekonomicznego neoliberalizmu.

DYBICZ: Warszawa wtedy nie mówiła o „Polityce” inaczej, niż jako o „organie Balcerowicza”!

TURSKI: Był to okres, kiedy nawet z pewną przykrością przychodziłem do redakcji, ale widzę, że dziś kole-dzy się z tych fascynacji wyleczyli...A kiedy słyszę, co głosi Prawo i Sprawiedliwość, to chwilami wydaje mi się, że ta partia zmierza do... socjalizmu.

RATKOWSKI: Niestety, chyba raczej do „narodowego socjalizmu”. Czułem zresztą to w „Solidarności” od początku. Z dodatkiem klerykalizmu.

TURSKI: To zdecydowanie za mocne określenie. Cokolwiek by powiedzieć, będę zawsze pamiętał o przymiotach Lecha Kaczyńskiego. Spotykałem się z nim wielokrotnie, choćby przy okazji rozmów na temat budowy Muzeum Żydów Polskich i temu człowiekowi trzeba oddać sprawiedliwość.

Faktem jest jednak, że ja nigdy się do „Solidarności” nie zapisałem, natomiast moja żona owszem. Współtworzyła filmy dokumentalne *Robotnicy '80*, *Chłopi '81*, a potem *Górnicy '88* i dzięki temu miała prywatny telefon do Wałęsy. Kiedy na początku 1989 roku zastanawialiśmy się, jak wybrnąć z politycznego patu, zaproponowa-

łem, żebyśmy zrobili wywiad z Wałęsą. Po kilku dniach rozważań Jan Bijak, już wówczas redaktor naczelny, powiedział, że może już jest to dobry czas. Nie zastanawiając się wiele wyszedłem z kolegium i po prostu do Wałęsy zadzwoniłem, a ten się zgodził. Wróciłem więc i mówię, że „załatwione”. — Co załatwione? — pytają. — Jak to co? Rozmowa!...

Pojechaliśmy więc do Gdańska z Jurkiem Baczyńskim i mam takie dość zabawne zdjęcie dokumentujące to spotkanie. Siedzimy na plebanii w parafii św. Brygidy u księdza Jankowskiego, w ogromnych gdańskich meblach. W środku siedzi z lekka uśmiechnięty Baczyński, a po dwóch stronach Wałęsa i ja – wymachujemy do siebie, dość energicznie.

CHUDZIŃSKI: Linia „Polityki” zmieniała się wraz ze zmianą całej politycznej sceny, choćby w latach prezydentury Kwaśniewskiego...

TURSKI: Naturalnie, ale prawdziwy wstrząs przyniósł ze sobą styl sprawowania władzy przez Jarosława Kaczyńskiego. Odnoszę wrażenie, że wtedy ponownie można było odczuć głębokie porozumienie, taką solidarność jak w latach '68 czy '76...

CHUDZIŃSKI: A skoro rozmawiamy o ponurych sprawach... Czy kiedykolwiek miał Pan zamiar opuścić Polskę? Choćby w 1956 roku, kiedy wielu Żydów wyjechało, czy zwłaszcza w 1968?

TURSKI: Odpowiem nieco okrężnie. W 1964 roku wyjechałem na stypendium Departamentu Stanu do USA. Byłem tam jakieś 8 miesięcy i odbyłem wiele spotkań na tamtejszych uczelniach. M.in. na uniwersytecie w Denver – zaprosił mnie prof. Joseph Korbela, dziekan wydziału stosunków międzynarodowych, redaktor naczelny prestiżowego pisma „Problems of Communism”, w czasie wojny bliski współpracownik Benesa, z którym był w Londynie. Wrócili razem po wojnie do Czechosłowacji, gdzie Korbela mianowano dyrektorem generalnym czechosłowackiego MSZ. Potem został wysłany

na ambasadora do Jugosławii. Kiedy zaczął się proces Slansky'ego, uratował głowę uciekając na Zachód (jego córką jest Madeleine Albright!).

Tam w Denver miałem największy życiowy sukces, bo tego samego dnia jeden po drugim odbyły się dla grona profesorskiego dwa wykłady: pana Turskiego i innego pana „T” – Arnolda Toynbee!... I oto wybuch marzec 1968 i ta cała nagonka, a ja dostaję od Korbela depezę: „Przyjeżdżaj, mam dla ciebie stały etat na uniwersytecie!” Czy można wymarzyć coś lepszego? Czy można by było lepiej się urządzać, zwłaszcza że moja żona – jak już wspominałem – znakomity inżynier dźwięku miała doświadczenie w pracy z najlepszymi filmowcami? Nie wyjechaliśmy. Dlaczego? Może to banalne co powiem, ale prawdziwe: to solidarność! Bo jeśli w 1968 roku w zespole „Polityki” (poza jednym) dwadzieścia osób umiało twardo trzymać się z dziewięcioma o „złym pochodzeniu”, to nie miałem prawa ani wcześniej, ani w '68 r. zostawić takich przyjaciół, którzy przecież – gdyby nastąpiła zła godzina – wyjechać by nie mogli.

Miałem też atrakcyjne propozycje wyjazdu w latach 80., ale tym bardziej się na emigrację nie zdecydowałem, bo do poprzednich motywów doszedł jeszcze jeden – moje zaangażowanie w odradzające się tu tradycje żydowskie. Postanowiłem, że będę kustoszem i – jak mawiał Marek Edelman – strażnikiem pamięci.

CHUDZIŃSKI: Stał się Pan wręcz ikoną związków polsko-żydowskich. Jest pan wiceprzewodniczącym Żydowskiego Instytutu Historycznego, członkiem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Żydów Kombatanów i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej, członkiem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej... Od kilku lat przewodniczy Pan też Radzie Muzeum Historii Żydów Polskich.

TURSKI: Nie chcę pozować na skromnego, ale myślę, że na miano „ikony” bardziej zasługuje Konstanty Gebert, czyli Dawid Warszawski. On zresztą częściej wojuje publicznie o te sprawy, a do tego trzeba mieć sporo odwagi i samozaparcia. Oprócz niego wymieniłbym jeszcze Staszka Krajewskiego i naczelnego rabina Michaela Schudricha, który przyjechał do Polski niejako z misją ewangelizacyjną i potrafi przywracać tęsknotę za żydostwem, szczególnie wśród młodych.

CHUDZIŃSKI: Krakowski Festiwal Kultury Żydowskiej to jeden z takich fenomenów.

DYBICZ: Przy okazji chciałbym Pana zapytać o coś, co można by nazwać żydowskim *coming outem*. Wielu ludzi, których nikt nie mógłby podejrzewać o żydowskie pochodzenie, nagle wraca do swych korzeni. Czy to jakaś moda?

TURSKI: Musielibyśmy się nad tym razem zastanowić: Polacy o żydowskich korzeniach i Polacy o korzeniach nieżydowskich. Wydaje mi się – choć zabrzmiało to patetycznie – że to najlepsze potwierdzenie i pochwała demokracji, bo ludzie przestali się bać! Przestali bać się choćby w myślach i przestali sądzić, że ukrycie pochodzenia może ułatwić życie ich dzieciom. Przecież w Ameryce każdy mówi o sobie: jestem Irlandczykiem, Włochem, Żydem i jest to normalne, bo nikt nie chce żyć bez przeszłości. To w Ameryce odnalazłem kuzyna, który wyjeżdżając z Polski nie miał pojęcia o swym pochodzeniu i dopiero ja dość przypadkowo wskazałem jego prawdziwe korzenie.

CHUDZIŃSKI: Ale demokratyzacja to tylko część problemu. Bardziej interesuje nas fascynacja kulturą i tożsamością żydowską wśród osób innego pochodzenia! Co roku tysiące ludzi wiruje w Krakowie na ulicy Szerokiej w rytm muzyki klezmerskiej. Czy to tylko zaciekawienie innością, czy coś więcej?

TURSKI: Sam się nad tym zastanawiałem. Sytuacja Żydów w Polsce przypomina trochę sytuację Indian amerykańskich. Byli między nami, byli częścią tego kraju, ale ich nie ma. Jest w USA zaciekawienie Indianami, ale wydaje się, że obecność żydowskich wątków w historii i literaturze polskiej jest dużo większa niż indiańskich w Ameryce. Sięgnąłem kiedyś po antologię Kopalińskiego i mniej więcej w 30, albo nawet 40 procentach cytatów były jakieś żydowskie wątki. Często pejoratywne, ale są... No i jeszcze jedno. To powstające muzeum będzie niezwykle. Już dziś fascynuje ludzi i będzie zaliczane do najlepszych, najwspanialszych muzeów świata...

DYBICZ: Czy Pana zdaniem PRL zniszczył do końca świat żydowski, czy w jakiejś mierze go ocalił?

TURSKI: Zdecydowanie było tu więcej przewin. Wstyd mi za to, bo kiedy powstał PKWN, kiedy nastąpiła władza ludowa, wszystkie partie żydowskie, a było ich kilkanaście, łącznie z antykomunistycznymi – wszystkie poparty nową władzę. Zdecydowała zapewne obawa przed być może nieco zmitologizowanym NSZ-em i generalnie przed podziemiem zwanym dziś „niepodległościowym”, które przyjmowało jako aksjomat, że Żyd równa się komunista, bolszewik. To po części wiązało się z obawami, szczególnie w małych miasteczkach, że Żydzi będą wracali i zażądają zwrotu tego co zostawili.

Tak więc Żydzi rzeczywiście w większości znaleźli się po stronie nowej władzy, ale potem powiaty inne wiatry. Zaczęło się od rozprawy w ZSRR z Komitetem Żydowskim Michoelsa, potem przyszedł proces lekarzy w ZSRR... Reasumując, największym plusem nowej władzy było to, że przez palce patrzyła na wyjazdy Żydów na Zachód i do Izraela. Trudno jednak nie wspomnieć, ile żydowskich zabytków, bożnic czy cmentarzy, które przetrwały, zostało zniszczonych po wojnie. Częściowo była w tym „zasługa” wielu polskich Żydów-komunistów, którzy niszczyli tradycję żydowską w Polsce, łącznie z żydowskim socjalistycznym Bundem. Wśród żydowskich komunistów było zresztą bardzo wielu zdeklarowanych dogmatyków. Wielu z nich potem zmieniło poglądy, dojrzywało zwłaszcza po 1968 roku.

CHUDZIŃSKI: Jaką rolę w odbudowaniu relacji polsko-żydowskich może odegrać to czekające na otwarcie muzeum?

TURSKI: Muzeum to nie jest książka. Tylko pobieżne przejście wymaga dwóch, a przy nieco wnikliwszym interaktywnych, multimedialnych... Ma przede wszystkim spełnić jedną rolę: wpoić i utrwalić przekonanie że „oni tu byli między nami”. Nieobecność Żydów w Polsce to wielka pustka i muzeum ma pokazać, jak to się stało, że Żydzi są w literaturze, malarstwie, muzyce, a nie ma ich dookoła.

Rozmawiali:

**EDWARD CHUDZIŃSKI
PAWEŁ DYBICZ
FILIP RATKOWSKI**

Warszawa, 16 września 2014 r.

ANDRZEJ KURZ

KOWADŁO MARIANOWI TURSKIEMU

– LAUDATIO

Wiatr historii, który w tamtej epoce i w tamtej części Europy wiał ze Wschodu na Zachód, przywiódł rodzinę Marian Turskiego do wielkiej Łodzi. Jednak matka postanowiła, zgodnie z tradycją, urodzić dziecko w swym rodzinnym domu. I tak chłopiec ujrzał światło dnia w Druskiennikach. To piękne uzdrowisko nad Niemnem w tamtej epoce należało już do niepodległej Polski. Tej, w której zaledwie miesiąc przed urodzinami Mariana Józef Piłsudski dokonał zbrojnego zamachu stanu zwanego przewrotem majowym 1926 roku. Inny znów przypadek zrządził, że życiorys Turskiego ociera się jeszcze silniej o legendę marszałka, ten bowiem upodobał sobie Druskienniki jako miejsce corocznego, właśnie w latach 1924-1931 wypoczynku.

Wydawało się, że Łódź, miasto czterech kultur, do którego mieszczańską rodzinę żydowską, a mówiło się w niej po hebrajsku i po polsku, wprowadził ojciec, skądinąd żołnierz I wojny światowej, stanie się przystanią trwałą i pomyślną. Syn został posłany do najlepszego, a więc bardzo drogiego i elitarnego gimnazjum hebrajskiego. Wyrastał na prymusa i pieszczocha rodziny.

Ale raj nie trwał długo – przyszła wojna i hitlerowcy zapędzili rodzinę do nędzy getta, skazanego wraz z całym narodem wybranym na zagładę. Chłopiec w getcie nauczył się od rówieśników języka jidisz i nie przestał czytać książek. Ale swe własne miejsce wybrał w Ruchu Oporu, w organizacji zwanej lewicą związkową, która na swym bojowym sztandarze umieściła książkowy komunizm. Organizacja stała się jego domem i życiem. Na jej polecenie ukrył się wraz z towarzyszami, aby nie dać się wywieźć do Auschwitz. Temu zawdzięcza, że został deportowany nieco później i nie wraz z rodziną, lecz z całą organizacją, w jednym z ostatnich transportów przed likwidacją getta, wczesną jesienią 1944 roku.

Drobny, wycieńczony 18-latek uczestniczył w ciągu pół roku w dwu marszach śmierci: z Auschwitz do Buchenwaldu i z Buchenwaldu do Terezina. Do wyzwolenia dotrwał ludzki szkielet. Tak zakończył drogę na zachód i wrócił do Polski. Najpierw do szpitali na Dolnym Śląsku, w których podtrzymano jego gasnące życie i podreperowano zdrowie.

I kiedy tylko mógł się samodzielnie ruszać, wstąpił do organizacji, do której czuł się już od kilku lat przynależny, teraz nazywała się Związek Walki Młodych i Polska Partia Robotnicza. Zakładał na Dolnym Śląsku struktury organizacji młodzieżowej, ale kontynuował

też swoje przyzwyczajenie prymusa w naukach, tym razem już jako student uniwersytetu we Wrocławiu, a następnie w szkole partyjnej i na uniwersytecie w Warszawie. W centrum Polski, gdzie się ustabilizował po wędrówkach na zachód i wschód.

Tę stabilizację trzeba jednak nazwać bardzo dynamiczną. Podobnie jak zawód, który obrał łącząc naturę książkowego prymusa ze skłonnością do organicznego budowania. Został dziennikarzem szczególnego rodzaju. Najpierw organizatorem i mentorem środowiska jako pracownik Biura Prasy Komitetu Centralnego PZPR, a wkrótce jako dziennikarz całą gębą i naczelny redaktor „Sztandaru Młodych”. Wtedy właśnie nadchodził październik 1956 i dziennik przez Turskiego kierowany był wraz z „Po prostu” inspiratorem wielkich przemian, które uczyniły Polskę krajem otwierającym się na wolność słowa, demokrację i cywilizacyjną modernizację.

Niepokój intelektualny i społeczna niecierpliwość kazały Marianowi Turskiemu naruszać obowiązujące dogmaty i łączyć się z rewizjonistycznym nurtem rządzącej partii. Dlatego, kiedy twarogłowi zaczęli pacyfikować niespokojny, likwidujący się Związek Młodzieży Polskiej i poszukujący nowych horyzontów ruch w środowisku młodzieżowym i w partii, Turski znów pokazał swą przenikliwość i charakter. Dwukrotnie był ganiany przez towarzyszy z najwyższego szczebla za niedyscyplinowane pisanie o wolnościowym powstaniu węgierskim i o NRD-owskim dysydencie Wolfgangu Harichu oraz za niezgodę na rozwiązanie bratniego „Po prostu”. W konsekwencji został od kierowania „Sztandarem” odsunięty.

Schronienie znalazł w niedawno powstałej „Polityce”, przyjęty tam przez Mieczysława Rakowskiego. Przyprowadził do niej grupę czołowych pracowników „Sztandaru”, którzy pod światłym, odważnym i rozważnym kierownictwem Rakowskiego uczynili z „Polityki” na wiele dekad najciekawsze pismo Europy Środkowej i Wschodniej, budzące podziw w całym świecie. Otworzyło ono pokolenia Polaków na nowoczesność i cywilizacyjny rozwój, ku demokracji i wolności myślenia. Pozostał Rakowskiemu bliski aż do jego śmierci.

Od roku 1958 objął kierownictwo działu historycznego „Polityki”. Zajął się więc tą historią, która tak okrutnie traktowała jego i jemu współczesnych. Zastanawianie się nad historią, przewyżczanie wiekowych kompleksów i zamulających świadomość Polaków mitów okazuje się do dzisiaj, a zapewne będzie i w przyszłości

warunkiem pomyślności naszego marszu wśród jednoczących się mimo wszystko narodów Europy i świata.

Zainicjowany przez red. Mariana Turckiego coroczny konkurs „Polityki” na najciekawsze książki z dziedziny najnowszej historii Polski – zarówno analizy naukowe i wydawnictwa źródłowe jak i wspomnienia z przeszłości – odgrywa od lat wielką rolę w budzeniu mądrego myślenia o Polsce. Takiego jej widzenia, w którym nie ma miejsca na zaściankowe kompleksy i narodową tromtadrację. Przyczyniają się nie tylko do utrwalania naszej krytycznej samowiedzy, ale także szacunku cudzoziemców dla Polaków. To współzastęga Turckiego dla Polski nieoceniona.

Równocześnie Marian Turcki wypełnia swe drugie życiowe powołanie, wydobywając szlachetne cechy Polski jako społeczności wieloetnicznej. Szczególnie dotyczy to obrazu trudnego współżycia Polaków i Żydów jako obywateli Rzeczypospolitych, członków narodu obywatelskiego. Współtworzy na tym obszarze wielkie dzieło poznania i zrozumienia, jego moralne i materialne fundamenty. Uwieńczeniem tych działań jest dobiegająca końca wielka budowa w Warszawie Muzeum Historii Żydów Polskich, którego radzie Turcki przewodniczy znajdując rozwiązania, które jednoczą, a nie dzielą. Łączy tę funkcję z przewodnictwem Stowarzyszeniu Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, placówki działającej od dziesięcioleci w warunkach niejednokrotnie bardzo trudnych.

To nie koniec organizacji i instytucji, które z powodzeniem animuje: jest członkiem zarządu głównego Stowarzyszenia Żydów i Kombatantów w II Wojnie Światowej, międzynarodowej Rady Oświęcimskiej, a także Rady prowadzącej Dom Konferencji Wannsee. Tego Wannsee, w którym hitlerowcy zdecydowali o Zagładzie nazywając ją ostatecznym rozwiązaniem. Marian Turcki temu rozwiązaniu sprzeciwił się. I przeżył, aby pamiętać o milionach zamordowanych braci.

Solidarność z ofiarami przemocy wyraża także w swej działalności pisarskiej. Kiedy w r. 1961 został zamordowany Patrice Lumumba, afrykański przywódca walki wyzwolenczej, Marian Turcki pisze na podstawie badań przeprowadzonych w Europie i Afryce książkę wydaną w r. 1964 pt. *Patrice Lumumba i jego kraj*, a dochód z niej przeznaczają na stypendia studentów z Afryki.

Jeśli przypomnieć, że mimo bardzo wielu lat działania w zespołach i organizacjach ma duszę człowieka osobnego, pogrążonego w książkach, trudno objąć rozmiar jego pracy twórczej. Człowieka-instytucji, a przecież uciekającego od wszelkich pokus i popisów współczesnego celebryty, choć znającego wszystkich, którzy są tego godni i znanego przez wszystkich. Ale nie można się powstrzymać od podziwu i szacunku. Ich wyrazem może być swoisty *trójkąt weimarski* najwyższych odznaczeń, które przyznały mu Polska, Francja i Niemcy – Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyża Oficerskiego Legii Honorowej (ustanowionej jeszcze przez Napoleona I) i Wielkiego Krzyża Zasługi Republiki Federalnej Niemiec.

Kowadło Kuźnicy nie jest odznaczeniem. Jest wyrazem uznania naszego Stowarzyszenia kierowanym do tych, których uważamy za przyjaciół, ale i za naszych przewodników – moralnych, intelektualnych i obywatelskich.

Sentencja decyzji, którą podjęliśmy w lutym br. brzmi:

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Marianowi Turskiemu

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu

- *Jego pięknej drogi życiowej, zawsze szlachetnych na niej wyborów, myślenia o wspólnocie z innymi i odwagi w sytuacjach największego zagrożenia,*
- *Jego dorobku w budowaniu świadomości historycznej Polaków i Żydów, rozbudzaniu wiedzy i twórczości naukowej w dziedzinie historii,*
- *Jego wierności wartościom lewicy i przyjaźniom, które stworzyły podstawy programowe tygodnika „Polityka” – przewodnika Polaków w drodze do Europy, nowoczesności i pluralizmu.*

Kraków, 10 lutego 2014 r.

ANDRZEJ WALICKI

SPOTKANIA Z ISAIAHEM BERLINEM

Isaiah Berlin był człowiekiem, który wywarł na moje życie wpływ szczególnie mocny i trwały, wyjątkowo odporny na niszczące działanie czasu. Wpływ trwający do dziś, ponieważ również dziś jego myśl, a także (co być może ważniejsze) moje wyobrażenie o tym, co powiedziałby na ten lub inny temat, są dla mnie bardzo istotne w momentach trudnych samookreśleń i decyzji. Nauczyłem się tego od Berlina właśnie, on bowiem w momentach takich zawsze zadawał sobie pytanie: co powiedziałby na to Aleksander Hercen? Ja zaś do dziś dnia zadaję sobie pytanie, jak ustosunkowałby się do moich wyborów życiowych Isaiah Berlin. I jasność w tej sprawie jest mi zawsze pomocna.

Ponieważ nie mogę mówić o wszystkim, ograniczę tę wypowiedź do trzech wątków: wątek Rosji, wątek liberalizmu i marksizmu oraz wątek szczególnej misji historii idei jako części nauk humanistycznych.

Rosja

Wątek Rosji – rosyjska kultura, rosyjska myśl, tradycje rosyjskiej inteligencji – wszystko to towarzyszyło moim kontaktom z Berlinem od pierwszej rozmowy na początku 1960 roku, aż do ostatka. Już w tej pierwszej rozmowie, prowadzonej notabene w języku rosyjskim, Berlin wyczuł we mnie kogoś biskiego umysłowo przedrewolucyjnej inteligencji rosyjskiej, z którą czuł się związany niezwykle mocno, a zarazem kogoś umiającego, podobnie jak on sam, wyraźnie odróżniać stalinowski komunizm od rosyjskości i gotowego głęboko włączyć się w walkę o wyzwolenie rosyjskiej kultury od zniewolenia i zakłamania. Pomogła nam w tym poezja, okazało się bowiem, że znamy na pamięć te same wiersze Mandelsztama, Achmatowej i Pasternaka, np. wiersz Pasternaka o śmierci, którą zwycięży wysiłek zmartwychwstania: „*Śmierć można budiet poborot' usilijem woskriesienija*”.

Wytworzone w ten sposób poczucie ideowej i moralnej bliskości przybrało u Berlina postać nadziei, że stanę się interpretatorem dziejów myśli rosyjskiej dla świata zachodniego i że spełnię tę rolę lepiej niż jego amerykańscy uczniowie. Uważał tematykę dziewiętnastowiecznej myśli rosyjskiej za wciąż politycznie aktualną, a wkład myślicieli rosyjskich – mimo rozlicznych jego niedoskonałości pod względem formalnego opracowania – za niezwykle cenny. Już w pierwszym kilkunastostrońcowym liście do mnie zwracał uwagę na wartość myśli rosyjskich słowianofilów, uważając ich

za ciekawszych niż pokrewni im pod niektórymi względami romantycy anglojęzyczni, tacy jak Ruskin, Emerson, Thoreau. Dorzucał do tej listy rosyjskich radykałów, akceptując moją (bardzo różną od radzieckiej) interpretację myśli Bielińskiego i Czernyszewskiego, a także rosyjskich narodników, których idee, w tym zwłaszcza ich krytyka marksizmu, stały się przedmiotem seminarium prowadzonego wspólnie przez nas obu w oksfordzkim All Souls College w roku akademickim 1966/1967. Przede wszystkim jednak łączył nas stosunek do Aleksandra Hercena, w którym obaj widzieliśmy wielkiego filozofa wolności.

Wymieniając myśli na temat rosyjskiej historii intelektualnej, rozumieliśmy się w pół słowa. Berlin bardzo to cenił i wielokrotnie podkreślał. W liście z 20 maja 1983 roku pisał np.: „Czuję, że są rzeczy, o których tylko z Tobą mogę mówić, z nikim innym. A podejrzewam, że i Ty masz niewiele osób, z którymi możesz rozmawiać o kwestiach rosyjskich (...) więc koniecznie trzeba zachować ten stały wątek do końca moich dni” (s.176).

Dodam, że Rosja pojawiała się w naszych rozmowach nie tylko jako temat intelektualnie inspirujący, pobudzający do poważnych refleksji. Berlin lubił również konwencję żartu, cieszył się, że obaj znamy nie tylko tragiczną poezję Achmatowej, lecz również humorystyczną balladę studencką o pokusach św. Charłampa. Żywo pamiętam, jak śpiewaliśmy ją razem w All Souls, z refrenem: „*Wiera czudnaja maja, prawostawnaja*”.

Nie mogę nie wspomnieć, że wysoka ranga, jaką przyznawał mi Berlin wśród pionierów rosyjskiej historii intelektualnej, wzmacniała moją motywację, upewniała mnie w poczuciu, że praca nad odkłamywaniem dziejów myśli rosyjskiej jest spełnianiem pewnej ważnej misji – i to misji, którą spełnić powinien właśnie Polak. Dziś patrzę na to z pewnym dystansem, ale w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, w okresie nadziei rozbudzonych poststalinowską „odwilżą”, postawa ta spotykała się na Zachodzie ze zrozumieniem i sympatią. Sprzyjała temu reputacja PRL jako najmniej represyjnego kraju „realnego socjalizmu”, mogącego być katalizatorem pozytywnych przemian w całym „obozie socjalistycznym”.

Stosunek Berlina do mnie znacznie wykraczał jednak poza przeciętne normy życzliwości okazywanej wówczas w liberalnych środowiskach Zachodu osobom niezależnie myślącym, przybywającym „z za żelaznej kurtyny”. Berlin bowiem zajął się bardzo ak-

tywnie promowaniem moich prac; trudno w to uwierzyć, ale osobiście poprawił i przygotował do druku angielski przekład mojego czterdziestoarkusowego dzieła o słowianofilstwie rosyjskim i różnych jego kontynuacjach! Nie mogłem nawet podziękować mu za to, bo nie wypadało wspominać, że prezydent Akademii Brytyjskiej pomagał w ten sposób młodemu uczonemu z Polski. Do dziś wywołuje to we mnie duże zażenowanie, ale z perspektywy czasu widzę wyraźnie, że było to naturalną konsekwencją mocnego zaangażowania Berlina w propagowanie na angielskim Zachodzie życiowego zainteresowania myślą rosyjską, a także głębokiej więzi emocjonalno-intelektualnej, jaka zawiązała się w tej kwestii między nami.

Liberalizm i marksizm

Drugą sprawą, ważną dla zrozumienia moich relacji z Berlinem, jest ewolucja tradycji liberalnej od lewo-centrowego liberalizmu *welfare state* broniętego przez Berlinowskiego „pluralizm wartości”, do neoliberalnej prawicy, czyli do stanowiska monoekonomizmu, głoszącego autokrację rynku i absolutną nadrzędność prawa własności nad instytucjami demokratycznymi. Stanowisko to wyraziście zaprezentowane jest w tekstach włączonych do antologii Leszka Balcerowicza *Odkrywając wolność. Przeciw zniewoleniu umysłów* (Zysk, Poznań 2012). W tekście Anthony’ego de Jasay pt. *Analiza fundamentów liberalizmu* znajdujemy myśl, że „liberalizm i demokracja nie dają się pogodzić jako zasady organizacyjne, a »liberalna demokracja« to termin wewnętrznie sprzeczny” (s. 272). Ilustracją tej myśli jest twierdzenie Williama A. Niskanena (z tekstu *Nie wymagająca ofiar etyka kapitalizmu*), że Bernard Madoff, odpowiedzialny za oszustwo w wysokości 60 milionów dolarów, jest człowiekiem niewinnym w porównaniu do byłych prezydentów USA Roosevelta i Johnsona, którzy wprowadzając Social Security i Medicare obciążyli społeczeństwo długiem w wysokości 100 miliardów dolarów. To oni, a nie Madoff, powinni odsiadywać wyrok w więzieniu (s. 102).

Autor antologii podpisuje się pod takimi poglądami, uważając akceptację jakichkolwiek ograniczeń prawa prywatnej własności za przejaw „umysłowego zniewolenia”. W oczach Berlina była to część ponurego obrazu zwycięstwa sił pravicowych w skali świata, zapoczątkowanego w połowie lat 80. i umocnionego po tzw. „upadku komunizmu”. W jednym z listów do Ramina Jahanbegloo Berlin pisał o tym: „Cały świat przesunął się na prawo. Chciałbym, żeby tak nie było, jestem liberałem”. A w liście do mnie skarżył się na to już w roku 1987: „Skąd wzięły się *mrakobiesy* najgorszego sortu. [...] Dlaczego [Andriej] Sacharow i [Raoul] Alfonzin są jedynymi osobami, do których można mieć szacunek? Czemu koniec mojego życia musi być wypełniony coraz większą ciemnością?”.

W końcu lat 80. nie zgadzałem się z tą diagnozą, pokładałem bowiem nadzieje w Gorbaczowskiej *perestrojce*, w polskich rozmowach „okrągłego stołu”, a następnie w obaleniu muru berlińskiego i innych wydarzeniach *annus mirabilis* 1989. Okazało się jednak, że w dłuższej perspektywie pesymizm Berlina oparty był na mocniejszych podstawach. Ale może dlatego właśnie dziś, po wielu cyklach rozczarowań, autorytet Berlina jako wielkiego przedstawiciela humanistycz-

nego liberalizmu wyraźnie wzrasta i przeciwstawiany bywa (jak to uczynił niedawno Marcin Król) „demokracji bez serca i liberalizmowi bez wolności”.

Spektakularne przesunięcie się świata na prawo spowodowało, że Berlin, w niczym nie zmieniając swych poglądów, znalazł się dużo bliżej lewego bieguna polaryzacji politycznej. To samo, zachowując właściwe proporcje, powiedzieć można o mnie. W latach 80. moje poglądy na marksizm, w szczególności rekonstrukcję marksowskiej koncepcji wolności (bardzo wysoko oceniane przez Berlina), umiejscowiły mnie na intelektualnej prawicy, obciążały bowiem Marksa sporą częścią odpowiedzialności za ustrój totalitarny. Berlin podpisywał się pod tą diagnozą (głoszoną również przez Leszka Kołakowskiego), przeciwstawiając ją rozmywaniu marksowskiego komunizmu w dziełach Hobsbawma, Andersona i innych teoretyków tzw. „zachodniego marksizmu”. Dziś natomiast posądzany bywam w Polsce o lewacki „postkomunizm” – tylko dlatego, że traktuję myśl Marksa poważnie i przeciwstawiam się prostackim skrajnościom obsesyjnego „antykomunizmu”! Berlin jednak zajął po tzw. „upadku komunizmu” stanowisko podobne: zdając sobie sprawę z odpowiedzialności Zachodu za powstanie i eksport na Wschód komunistycznej utopii, odmówił „tańczenia na grobie Związku Radzieckiego”.

Pragnę też dodać, że w mojej krytyce neoliberalnej prawicy zawsze kierowałem się tymi samymi wartościami, które łączyły mnie z Berlinem w krytyce komunizmu. Mam na myśli zdecydowane odrzucenie bezalternatywnej teorii rozwoju (słynne TINA – *There is no alternative* Margaret Thatcher), a także sprzeciw wobec wspierania tej teorii autorytetem obiektywnych rzekomo praw ekonomii, przede wszystkim zaś głęboka moralna niezgoda na powoływanie się w polityce na priorytet takiego lub innego Wielkiego Zbiorowego Celu, który powinien być realizowany za cenę bezwzględności wobec konkretnych, żywych ludzi. Podobnie jak Berlinowi, towarzyszyła mi przy tym świadomość, że patronuje mi w tej postawie wielki krytyk idolatrii postępu (*vel* modernizacji) Aleksander Hercen.

Misja nauk humanistycznych, w szczególności historii idei

I wreszcie słów kilka na temat poglądów Berlina na społeczną misję nauk humanistycznych, w tym zwłaszcza historii idei. Poglądy te, sformułowane przez Berlina w opozycji do marksizmu z jednej strony, a neopozytywizmu z drugiej, warte są przypomnienia w kontekście przeprowadzanej w Polsce reformy nauki, ignorującej niestety swoistość i znaczenie nauk humanistycznych

W ujęciu Berlina podstawowym zadaniem nauk humanistycznych była inicjacja kulturowa, promująca określoną samowiedzę zbiorową, w połączeniu z odkrywaniem różnorodności ludzkiego świata i obroną jej przed despotyzmem monistycznych ideologii, przyodzianych często w szatę obiektywnej nauki. Szczególną rolę spełniać miała w tym ujęciu historia idei, mająca być szkołą rozumienia innych, uczącą empatii, mediacji i wzajemnego szacunku umożliwiającego współzycie w warunkach wolności. W tym sensie Berlin wyznaczał historii idei rolę samowiedzy społeczeństwa pluralistycznego, łącznika między ludźmi reprezentującymi wartości różne, lecz mimo to pragnącymi rozumieć się wzajemnie.

Wynikało stąd jednoznacznie, że najszerzej pojmowana historia idei (a także wszystkie inne dyscypliny historyczne, z historią sztuki i literaturoznawstwem włącznie) musi istnieć w najszerszym obiegu społecznym, a nie wyłącznie na łamach specjalistycznych czasopism i to z preferencją dla pism obcojęzycznych, że ważna jest w niej wyobraźnia i zdolność syntezy, a nie jedynie ciasno pojmowany profesjonalizm naukowego przyczynkarstwa. Jest rzeczą oczywistą, że przy takim pojmowaniu priorytetowych zadań humanistyki nie mogłoby być miejsca na ocenianie ich osiągnięć przez urzędników, posługujących się metodą uproszczonej punktacji, nazywanej pretensjonalnie „parametryzacją” lub „bibliometrią”.

Dla Berlina liczyły się wyłącznie oceny jakościowe, żadne inne! Przeciwstawiał to stanowisko naciskom z różnych stron: próbom urynkowania humanistyki, dostosowania jej do dominujących oczekiwań, a przede wszystkim wszelkim postaciom ideologicznego dogmatyzmu. W moich oczach była to postawa wsparta autorytetem Berlina jako prezydenta Brytyjskiej Akademii oraz oksfordzkim etosem uczonego-gentlemana, umiającego zachować należyty dystans wobec cywilizacji techniczno-komercyjnej.

Zakończenie

W podsumowaniu tej krótkiej wypowiedzi podkreślić pragnę to, co najważniejsze.

Jak wskazuje podtytuł książki, moja relacja z Berlinem przekształciła się, nieoczekiwanie, w rela-

cję intelektualnej przyjaźni i autentycznej bliskości. W listach Berlina do mnie czytam ze wzruszeniem i zaangażowaniem zarazem niejednokrotnie powtarzane zapewnienia, że moje poglądy na wiele spraw są memu korespondentowi szczególnie bliskie, a moje wybory życiowe znajdują u niego zrozumienie i aprobatę, a więc moralne wsparcie. W epoce upadku epistolografii zaskakująca wydaje się często powtarzana prośba Berlina o listy częste i długie. A wyliczenie wszystkiego co zawdzięczam tej korespondencji to osobny, niemały temat.

W jednym ze swych ostatnich listów do mnie (z 4 sierpnia 1995 r.) Berlin napisał, że myśli o mnie „z miłością, podziwem i głębokim szacunkiem”. Nie mam poczucia, że w pełni zasłużyłem na te słowa, ale z całą pewnością mógłbym użyć tych samych wyrażeń, określając mój stosunek do Wielkiego Oksfordczyka. Był on bez wątpienia najważniejszym i najbliższym mi człowiekiem spośród osób, które poznałem w czasie ćwierćwiekowego pobytu na Zachodzie. Czasem myślę nawet, że był on pod wieloma względami najważniejszym z moich intelektualnych przyjaciół na przestrzeni całego mojego, tak długiego już życia.

ANDRZEJ WALICKI

Wypowiedź z okazji promocji książki *Spotkania z Isaiahem Berlinem. Dzieje intelektualnej przyjaźni*. Wyd. Instytut Historii Nauki PAN, Aspra-JR, Warszawa 2014.



Renata Bonczar, olej.

JANUSZ DOBIESZEWSKI

WŁODZIMIERZ RYDZEWSKI: MYŚLENIE LEWICOWE, MYŚLENIE LEWICY*

Tekst ten jest wprawdzie okazjonalny, ale w żadnej mierze nie jest przypadkowy. Właściwie czekał na okazję, by zostać uporządkowanym i napisanym, i taką okazją stała się konferencja wyrastająca z intencji uczczenia pamięci zmarłego w roku 2007 Włodzimierza Rydzewskiego. Od dawna chciałem i ja jakoś wyrazić podziw dla osoby i osobowości Rydzewskiego, ale także wypowiedzieć kilka zdań o formacji intelektualnej, z którą jego postać wiąże się obiektywnie, a więc w szerszym oglądzie obserwatora, ale z którą wiązała się najwyraźniej także subiektywnie, a więc we własnej ocenie i samoidentyfikacji Rydzewskiego.

Choć teksty Rydzewskiego czytałem już pod koniec lat 70. (w roku 1979 ukazał się *Kropotkin* w serii „Myśli i ludzie”), to osobiście poznałem go dość późno, chyba około roku 2000; nie była to więc znajomość długa, nie była też w wymiarze osobistym intensywna, aczkolwiek zdążyliśmy – z jego, co oczywiste, inicjatywy – przejść na „ty”. Ale też ta krótka i raczej skromna znajomość była dla mnie i w mojej świadomości czymś ogromnie ważnym za sprawą Rydzewskiego naturalności, „normalności”, „zwyczajności” oraz życzliwości, i to zarówno wobec mnie, jak i wobec środowiska, coraz szerszego środowiska, osób o podobnych zainteresowaniach badawczych, także podobnej wrażliwości intelektualnej. Właściwie Rydzewski to środowisko współtworzył, i to współtworzył z taką troską i skutecznością, i w tak wąskim gronie założycielskim, że można śmiało jego tu aktywność określić jako po prostu tworzenie – obok Andrzeja Walickiego, który jednak przez pewien czas, z racji pracy za granicą, oddziaływał tu wprawdzie intensywnie i „założycielsko”, ale pod względem osobowym raczej pośrednio, a więc swoimi dziełami, oraz obok Andrzeja de Lazari, który, przynajmniej wyjściowo, działał w środowisku rusycystów i politologów, znakomicie tu uzupełniając się z filozoficzną i socjologiczną przestrzenią badań i przynależności akademickiej Rydzewskiego.

Jeśli napisałem przed chwilą o naturalności, „normalności” i „zwyczajności” Rydzewskiego, to w intencji podkreślenia harmonii jego osobowości, jego opiekuńczości, skrupulatności oraz organizacyjnej i życiowej sprawności wobec powierzonych osób i spraw. Rydzewski najwyraźniej pozbawiony był jakichkolwiek dziwactw, mniejszych czy większych obsesji, które – przynajmniej to – nie są wśród nas jakąś zupełną rzadkością. To dzięki Rydzewskiemu (choć przecież w nie mniejszej mierze również dzięki Walickiemu i de Lazari) środowisko, o którym mówimy – środowisko polskich badaczy myśli rosyjskiej – charakteryzuje się nie tylko więziami owocnej współpracy, ale także przyjaźni, życzliwości, pomocnictwa, a również skuteczności i kreatywności organizacyjnej, czego przejawem są rozliczne przedsięwzięcia akademickie i wydawnicze, spośród których wymieńmy tylko to najszersze i wieleletnie, mianowicie leksykon *Idee w Rosji*, pozostawiając inne na inną okazję, a te, które bezpośrednio wiążą się z Rydzewskim, odkładając do dalszej partii tego tekstu.

Jednak to nie rosjoznawcze osiągnięcia Rydzewskiego chcę uczynić tu głównym przedmiotem swej refleksji. Nie tylko one bowiem angażowały aktywność i intelekt Rydzewskiego. Owe badania rosjoznawcze zdają się mieć pewne dalsze tło, szerszy kontekst, niewykluczone, że mają pewne wcześniejsze źródło, że są konkretyzacją bardziej generalnego zagadnienia, nieoddzielalnego od rosyjskich i akademickich spraw Rydzewskiego, ale też nie sprowadzającego się wyłącznie do nich. Zresztą prezentacja wątków rosyjskich w twórczości Rydzewskiego musiałaby być w dużej mierze zapewne tylko powtórzeniem tego, co w znakomitym szkicu zatytułowanym *Na drodze do syntezy – myśl rosyjska w badaniach Włodzimierza Rydzewskiego* napisał Michał Bohun¹. Zauważmy przy tym, że już Bohun odnotowuje uniwersalniejszy horyzont rosyjskich poszukiwań Rydzewskiego, który związany jest m. in. z filozofią Hegla, z antynomicz-

* Referat przedstawiony na konferencji naukowej *Liberalowie i rewolucjoniści. Idea rosyjska w filozofii i myśli społecznej*, którą w marcu 2014 roku zorganizował Instytut Filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego ku czci Włodzimierza Rydzewskiego.

¹ M. Bohun, *Na drodze do syntezy – myśl rosyjska w badaniach Włodzimierza Rydzewskiego*, w: *Polskie badania filozofii rosyjskiej. Przewodnik po literaturze. Część pierwsza* (red. L. Kiejzik, J. Uglik), Warszawa 2009, s. 225-244.

nym napięciem między utopią a czynem praktycznym (rewolucyjnym), z ambicją rekonstrukcji powszechnego sensu teoretycznego oraz takiegoż znaczenia historycznego, kryjącego się za projektami anarchistycznymi Bakunina i Kropotkina², a związanego z ideą i sprawą wolności.

Naszą uwagę skierować chciałbym natomiast w większej mierze na działalność eseistyczną, publicystyczną czy wręcz publicystyczno-polityczną Rydzewskiego. Związana ona była z przynależnością do klubu i środowiska krakowskiej „Kuźnicy” oraz z wieloletnim udziałem w redagowaniu pisma „Zdanie”. Klub „Kuźnica” (jego pełna nazwa: Klub Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”, dzisiaj: Stowarzyszenie „Kuźnica”) powstał w roku 1975 z inicjatywy krakowskich intelektualistów o sympatiach i zainteresowaniach lewicowych, socjalistycznych, chyba w większości też marksistowskich, natomiast zniechęconych i zdegrustowanych doraźnością, krótkim horyzontem polskiej polityki i życia społecznego, mizერიą debaty publicznej, sporów ideowych, wreszcie powierzchownością i schematyzmem ideowym ówczesnej oficjalnej lewicy i ówczesnego instytucjonalnego marksizmu. Większość tych dziedzin pozostawało w tym czasie przede wszystkim w gestii władz, ale zamysł i projekt „Kuźnicy” najwyraźniej wynikał z przekonania, że możliwe jest tu jakieś działanie oddolne, społeczne, podmiotowe, „nielicencjonowane”. Nie było wprawdzie mowy o jakimś – jak to ujął we wspomnianym już artykule Bohun – „kontestowaniu ówczesnej rzeczywistości”, ale chyba autentycznie liczone na szansę odświeżenia oficjalnych i „skostniałych form” rozumienia i uprawiania lewicowej, socjalistycznej polityki, a przede wszystkim intelektualnej debaty, związanej z marksizmem, z marksizmem tłem, odniesieniami, kontekstami.

Odnotujemy też, i jest to bardzo ważne, że przeciwnikiem „Kuźnicy” był tu już nie marksizm twardo-dogmatyczny, stalinowski. Ten po 1956 roku znalazł się na marginesie i politycznym, i teoretycznym właściwie we wszystkich krajach tzw. realnego socjalizmu, a w Polsce w szczególności. W najbardziej nas tu interesującym wymiarze teoretycznym krytycyzm „Kuźnicy” skierowany był przeciw marksizmowi poststalinowskiemu, marksizmowi w dominującej wówczas i wspieranej przez władze formie eklektycznej, zbanalizowanej, powierzchownej, próbującej łączyć domniemane ponadczasowe filozoficzne zasługi Lenina z *Materializmu i empirio-krytycyzmu* czy Engelsa z *Anty-Dühringa* z odwołaniami do egzystencjalizmu lub filozofii chrześcijańskiej w zakresie ich aspektu humanistycznego, ale pojmowanego zazwyczaj w sposób dość trywialny, powierzchowny, uzupełniany za to krytyką ich idealistycznej metafizyki i obiektywnie burżuazyjnego wydzwiku ideowo-historycznego. Dostęp i odwołania do współczesnych dzieł filozoficznych pozostawały wybiórcze przedmiotowo i podmiotowo i ciągle towarzyszyła im jednak ornamentyka rytualnych cytatów wprawdzie już nie ze Stalina, coraz rzadziej z Lenina, za to poza Marksem i Engelsem niekiedy z przywódców partyjno-państwowych.

Nie sposób oczywiście nie docenić i ogólnie rewizjonistycznego nastawienia ówczesnego marksizmu, i jego niemonopolistycznej, a co najwyżej dominującej pozycji na rynku ówczesnych kierunków czy tendencji filozoficznych w Polsce, i ukazywania się dzieł ważnych

i wybitnych (choć często od razu mających „swoją historię”, czyli swoje kłopoty), jednak i różne drobniejsze czy mniej drobne utrudnienia, i ogólna miślność oraz błażość ówczesnej literatury marksistowskiej czy też oficjalnie uznawanej za marksistowską³, budziły niechęć, ale także energię i dążenie do zmiany, do zmiany w tym przypadku „w ramach systemu”, zmiany wyrastającej z intencji i sympatii lewicowych oraz marksistowskich – i krakowska „Kuźnica” była jednym z najlepiej przygotowanych i zorganizowanych, a przede wszystkim środowiskowym, a nie tylko indywidualnym tego przykładem.

Rydzewski działał w tym środowisku od początku, przede wszystkim zaś – jak już wiemy – w powstałym w roku 1978 swego rodzaju teoretyczno-publicystycznym organie „Kuźnicy”, jakim był kwartalnik, a potem miesięcznik (choć też mający przerwę w ukazywaniu się) „Zdanie”; był nawet przez pewien czas jego redaktorem naczelnym. Tam zamieszczał swoje artykuły publicystyczne, eseje i teksty teoretyczne, które później ukazały się choćby w zbiorze *Powrót Bakunina*, był też współautorem znakomitych obszernych wywiadów (jak by się dziś powiedziało, „wywiadów-rzek”) z ważnymi postaciami polskiej kultury, zazwyczaj o sympatiach lewicowych, które to wywiady nosiły wspólną nazwę „Trzech na jednego” (zresztą ukazują się one w „Zdaniu” do dziś).

Rydzewski należał więc do osób ufających w reformę i liczących na zmianę wewnątrzsystemową PRL, zmianę dotyczącą zwłaszcza życia kulturalnego i intelektualnego, której z kolei szczególnie ważnym składnikiem miało być odświeżenie marksizmu, odnowienie jego uniwersalnej filozoficznej wagi i powagi, oznaczającej – jako przeciwieństwo postulat wobec każdej filozofii – nakaz myślenia całościowego, wolnego i twórczego, i dopiero dzięki temu skutecznie i prospołecznie przeobrażającego rzeczywistość historyczną.

Usytuowałbym tu Rydzewskiego w gronie kilku postaci polskiej filozofii, zwłaszcza oczywiście filozofii społecznej i politycznej, ostatniej ćwierci XX wieku, które – tak jak on – traktowały marksizm z powagą (czy wręcz utożsamiały się z nim), odnosiły się do niego z zarazem z krytycyzmem oraz postulatami odnowy, uznając przy tym, że przestrzenią ich działania jest dziedzina kultury, życia intelektualnego oraz akademickiego, z właściwymi im uniwersalnymi standardami. Z grona tych kilku osób przywołałbym tu – jako najwybitniejsze i najbardziej charakterystyczne „przypadki”⁴ – trzy przykłady: najważniejszego tu dla nas Rydzewskiego oraz Andrzeja Walickiego i Marka Siemka.

Walicki – jak wiadomo – nie był nigdy marksistą, ale też – jak również wiadomo – marksizm pozostawał dla niego i istotnym, nieomijalnym zjawiskiem historii intelektualnej XIX i XX wieku, i ważnym punktem odniesienia własnych poglądów i rozwoju tych poglądów. Sam swoje rozumienie marksizmu określał jako rewizjonistyczne, i to mimo tego, że często uważa się to określenie za odnoszące się wyłącznie do wyznawców marksizmu. Głosząc rewizjonistyczną wizję marksizmu, odrzucał Walicki materialistyczno-dialektyczny wymiar

³ Piszę o tym bardzo interesująco A. Walicki w artykule *Unieszkodliwienie „marksizmu-leninizmu”. Marksistowska filozofia w PRL w świetle osobistych wspomnień*, zamieszczonym w: A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, Kraków 2013.

⁴ Spośród innych postaci (a nie jest to grono bardzo liczne) wskazałbym na przykład Stanisława Rainkę.

czy aspekt marksizmu na rzecz całkowitej dominacji problematyki materialistyczno-historycznej, odrzucał zwłaszcza necessarystyczną, koniecznościowo-obiektywną („naukową”, jak często głosili ortodoksyjni marksści) wizję rozwoju historycznego na rzecz względnego aktywizmu oraz sprawczej roli idei oraz świadomości w postępie historycznym; odrzucał utopijną, docelową czy teleologiczną wizję przyszłości, opartą na pozytywnej, wspólnotowej czy kolektywnej koncepcji wolności, broniąc wolności negatywnej, pluralizmu wartości oraz otwartości i alternatywności wiedzy o społeczeństwie. Niechętny był rewolucjonizmowi (a zwłaszcza brzmianemu paradoksalnie, lecz wyjątkowo realnemu rewolucyjnemu konformizmowi), radykalizmowi, rygorystom, schematyzmowi, ceniąc natomiast ewolucjonizm, kompromis, wielowymiarowość świata i także jego ujęcie teoretyczne.

W tej perspektywie Walicki doceniał Marksowską, a potem marksistowską krytykę kapitalizmu, industrializmu, alienacji, widział w marksizmie udaną i wytyczającą ważne kierunki zmiany, diagnozę ograniczeń wolnego rynku, dystrybucji bogactwa ekonomiczno-społecznego, istotny i wartościowy wyraz europejskiego humanizmu. Ta rewizjonistyczna wizja marksizmu nie była przy tym dla Walickiego tymczasowym przystankiem na drodze do całkowitego wyrwania się z pęt marksizmu, jak to się miało z – by tak rzec – oficjalnymi rewizjonistami. Dzięki temu, że w pętach marksizmu nigdy nie był, przydawał tej wizji marksizmu trwałość i wartościowy wymiar intelektualny. Towarzystwo temu również życzyli wobec marksizmu dostrzeganie w nim wątków i idei wartościowych, a zazwyczaj, zwłaszcza w wizji ortodoksyjnej, traktowanych jako właściwie obce i nieobecne w marksizmie, jak na przykład kwestia narodowa.

Sympatyzując z ideami liberalizmu Walicki nie przeciwstawiał ich radykalnie marksizmowi (a w każdym razie swojej wizji marksizmu), traktując raczej jako dwie składowe, rozwijające się w wieku XX (z zahamowaniami i z zakrętami) w kierunku nowoczesnego socjaldemokratyzmu czy – inaczej, i z nieco innymi akcentami – ku liberalnemu państwu opiekuńczemu. Marksizm był więc ujmowany przez Walickiego w kontekście historycznym i we własnym rozwoju historycznym. To ów historyzm czynił marksizm projektem żywym, niesprowadzalnym do wątpliwej praktyki politycznej, dlatego możliwym do antyortodoksyjnej rewaloryzacji. Jak pisze sam Walicki, „marksizm był dla mnie tylko jednym z narzędzi hermeneutyki historycznej, wymagającym daleko idących udoskonaleń, ale pozwalającym to i owo zrozumieć w historii – również w historii samego marksizmu”⁵. Wzrost marksizmu był względny i historycznie uwarunkowany, ale też w tym historycznym uwarunkowaniu był niewątpliwy (nawet jeśli nie dla samego Walickiego, to dla jego utożsamiających się z otwartym marksizmem czytelników).

Rozważania marksologiczne Walickiego mogły być przez oficjalny marksizm okresu PRL potraktowane jako właśnie marksologiczne, jako dokonywane „na zewnątrz” i dlatego nie obowiązujące i nie zobowiązujące dla marksisty. Badania Walickiego w tym zakresie nie mogły już być prześladowane, nie mogły być zdyskredytowane naukowo, natomiast mogły być ignorowane

czy osłabiane jeśli chodzi o ich wydzźwięk społeczny i ideowy, właśnie ze względu na ich ideową, ideologiczno-polityczną neutralność.

Oczywiście tego rodzaju dyskredytowanie Walickiego mogło być tylko doraźne oraz tylko tymczasowe – i ze względu na jednak wagę standardów naukowych w marksizmie postalinowskim, i ze względu na obecność podobnego rodzaju rozważań, niekiedy wprost odwołujących się do Walickiego, również wśród osób uznających się za marksistów. A próbujących dokonać, przypomnijmy, jakiegoś ożywienia, podniesienia jakości i atrakcyjności polskiego marksizmu – zwłaszcza kulturowej i intelektualnej (bo to te aspekty na dłuższą metę mają charakter kluczowy).

Marek Siemek zabiegał przede wszystkim o pokazanie i promowanie wysokiej akademickiej i profesjonalno-filozoficznej jakości marksizmu. Sam Marks – jak wiadomo, a Siemek akcentował to z ogromną mocą – związany był z kręgiem lewicy heglowskiej, a więc bezpośrednich (choć i krytycznych) kontynuatorów filozofii Hegla, filozofii bytu społecznego i historycznego; heglowskie inspiracje i heglowski nastrój myśli Marksa wydają się nie ulegać wątpliwości, choć też spotkamy się później z antyheglowskimi interpretacjami Marksa i z antyheglowskimi kształtami marksizmu. Spotkamy się również z takimi interpretacjami marksizmu, które można nazwać aheglowskimi, które – czasem mimo nawet heglowskich deklaracji – nie potrafią nawet zbliżyć się do heglowskiego poziomu i zaawansowania filozoficznego, które poprzestają na zdroworozsądkowym i eklektycznym realizmie czy materializmie lub też relatywizują kwestie filozoficzne do doraźnych wymogów i interesów politycznych. Wiele postaci XX-wiecznego marksizmu – i to zwłaszcza tych, które bezpośrednio uwikłane są w wydarzenia polityczne epoki – słyca i cofa myśl filozoficzną do kształtu wedle Siemka przedkantowskiego czy wręcz przed- lub pozafilozoficznego (z powołaniem się nierzadko na pozytywistyczny koniec filozofii i jej „rozparcelowanie” przez nauki szczegółowe).

Dla Siemka marksizm był więc jedną z postaci – i to pod wieloma względami wyróżnioną – najświetniejszych i najgłębiej zakorzenionych historycznie szerszych zdobyczy nowoczesnej filozofii, i to łącznie z tymi, które marksistowska ortodoksja zaliczała do „filozofii burżuazyjnej”. Uwaga Siemka kierowała się w stronę tych filozofów marksistowskich, o których można było powiedzieć, że są filozofami nowoczesnymi, a więc filozofami bytu społecznego, i którzy prowadzili nieustanną debatę (niemal rodzinną debatę) z innymi nurtami nowoczesnej filozofii; odnosiło się to do Lukacsa, Gramsciego, Goldmanna, Brzozowskiego, frankfurtczyków, Althussera...

Szczególnie wysoko, zwłaszcza w ostatnim okresie swego życia, cenił Siemek Heglowską ideę uspołecznienia przez indywidualizację i indywidualizacji przez uspołecznienie, gdzie cele i interesy jednostek zgrywane są mocą racjonalności prawa, kompromisu, reguł intersubiektywności, gwarantujących rzeczywistą subiektywność (podmiotowość), wyzwoloną (wyzwalaną i wyzwalamą się) od presji naturalności, od cech wrodzonych, od siły fizycznej. Oznaczało to u Siemka odrewolucjonizowanie (i w tym znaczeniu pewne „od-Marksowienie”) procesu uspołecznienia nowoczesnego społeczeństwa, co wszakże nie znosiło bynajmniej

⁵ A. Walicki, *Od projektu komunistycznego do neoliberalnej utopii*, op. cit., s. 153.

lewicowego, związanego z hasłem sprawiedliwości społecznej, etosu marksizmu; prowadziło to raczej Siemka do wyraźnego zidentyfikowania i zaakcentowania momentu socjalistycznego u Hegla: „pogląd Hegla na politykę społeczną i jej zadania w nowoczesnej strukturze cywilnego społeczeństwa obywatelskiego można zatem najtrafniej określić jako z gruntu socjaldemokratyczny (oczywiście nie w dziewiętnastowiecznym, lecz w naszym współczesnym sensie)”, gdzie „władza publiczna sprawuje również funkcje opiekuńcze wobec słabych i skrzywdzonych przez los”; chodzi – mówiąc najkrócej – o „zorganizowany system «społecznej gospodarki rynkowej»”⁶.

Siemek pokazywał więc marksizm jako filozofię bytu społecznego, jako filozofię profesjonalną, dynamiczną, krytyczną, hermeneutyczną i transcendentną, jako filozofię nowoczesną, usytuowaną na najświetniejszych ścieżkach tradycji dziejów filozofii i w centrum „historycznej metafizyki” współczesności. Pisarstwo Siemka potrafiło w dodatku ten obraz marksizmu uzasadnić przekonująco, pasjonująco i charyzmatycznie. Marksizm oficjalny okresu PRL, eklektyczny, powierzchowny, ciągle deklamujący o materializmie dialektycznym stanowiącym podstawę materializmu historycznego, mógł tylko w nabożnym filozoficznym zdumieniu przypatrywać się tekstom i wykładom Siemka, ewentualnie omijając je jako snobistyczne inteligentne fanaberie, oczywiście oderwane od rzeczywistości.

Rydzewskiego strategia witalizacji marksizmu wyglądała – jak się wydaje – nieco inaczej. Znaczną rolę, zwłaszcza w porównaniu z czysto akademickimi ambicjami Siemka, odgrywało w niej dążenie do oddziaływania na opinię społeczną, zamysł tworzenia szerszego (choć także względnie spójnego i sprawnego) środowiska współdziałania i współmyślenia, którego cele byłyby przede wszystkim kulturotwórcze, a dopiero poprzez to – a więc w dłuższym dystansie i na głębokim gruncie – także polityczne. Na tym polegały zapewne zasadniczo sens działalności Rydzewskiego w „Kuznicy” i „Zdaniu”. Ale też potrafił Rydzewski dotrzeć do tego wymiaru swego działania zarówno Siemkowski akademizm, jak i rewizjonistyczne otwarcie i zafascynowanie wszelkimi postaciami, ideami, zjawiskami z szerokiego kręgu marksizmu i okolic, które wykraczały poza dogmatyczny, ale także poza doraźno-polityczny i eklektyczny kształt marksizmu. O tyle też wiązało się to z rewizjonistycznymi (marksologicznymi) działaniami zwłaszcza Walickiego, że za szczególnie ważne i twórcze pole rozkruszania marksistowskich schematów i stereotypów uznawał Rydzewski, tak jak Walicki, rosyjską myśl filozoficzną i społeczną.

Sam Rydzewski określił sens swoich poszukiwań zarówno naukowych, jak i eseistyczno-publicystycznych jako rekonstruowanie i rozjaśnianie „myślenia lewicowego”, jego „powikłanej historii”, „kreowanych mitów”⁷ oraz wynikających z tych stanów rzeczy – i z tych diagnoz – szans i zagrożeń. I nie przyświecał tu Rydzewskiemu jakiś entuzjazm czy nadzieja bliskiego nowego początku. Miał raczej obraz kryzysu całej tej problematyki, czemu towarzyszyło wszakże tyleż skromne, co poważne i zobowiązujące przekonanie

o „aktualności przynajmniej niektórych jej wątków”. Ze szczególnym zainteresowaniem badał Rydzewski i opisywał zjawiska z jakże często nieokreślonego i zamglonego pogranicza marksizmu i tego, co marksizmem jeszcze nie jest, już nie jest, co marksizmem nie chce być, znajdując się w jego bezpośrednim sąsiedztwie, albo też skazywane jest na marksowskie wygnanie lub marksistowską herezję. Pasjonowały Rydzewskiego różnego rodzaju pogranicza marksizmu czy lewicowości, bo tam nie sposób uciec od pytań źródłowych, konstytuujących, angażujących żywe, szukające, pomysłodawcze myślenie. I tak w anarchizmie, któremu poświęcił szczególnie wiele czasu i tekstów – a który to anarchizm za sprawą zwłaszcza osobistej animozji Marksa i Bakunina znalazł się na marksistowskiej liście podejrzanych – akcentował Rydzewski ideę wolności, motyw indywidualistyczny, antyetycyzm, a więc kwestie, których porzucenie czy niedocenienie skutkowało później marksistowskim dogmatyzmem, kolektywizmem i totalitaryzmem. Jakby scedował marksizm na anarchizm owe wolnościowe, indywidualistyczne i antyetyczne zabezpieczenia przed intelektualną i polityczną własną degradacją, dodatkowo je następnie pograżając kompromitującą dla anarchizmu, fałszywą zbitką pojęciową utożsamiającą anarchizm z terroryzmem („anarcho-terroryzm”), a Bakunina mieszając z Tkaczowem i Nieczajewem, i wmawiając publiczności, że wraz z falami terroryzmu II połowy XX wieku dokonuje się złowieszczy „powrót Bakunina”.

Innym przykładem takich badawczych, jak i publicystycznych, poszukiwań Rydzewskiego, poszukiwań w rejonach granicznych, rejonach porzuconych (bo niby oczywistych), zapomnianych (bo wstydlivych), za to potencjalnie odnawiających dla marksizmu (natomiast kłopotliwych dla marksistowskiego schematyzmu, zarówno dogmatycznego, jak i eklektycznego) było jego dystansowanie się od taniego, bezrefleksyjnego progresywizmu. Prowadziło go to – po pierwsze – do uświadamiania czytelnikom ryzyka, tragizmu, dwuznaczności postępu, w którym twórczyni człowieka spełniać może rolę zbawczego akuszerza nowej rzeczywistości, ale też przybrać może kształt fanatycznej przemocy, wyrastającej z niecierpliwego entuzjazmu oraz tyleż wzniosłego, co zaślepieniego ideowego maksymalizmu. Złe czy wręcz zbrodnicze ryzyko konsekwencji czynu ulepszenia świata, zmiany historycznej, prowadzi niektórych do wniosku – co najdobitniej, jak przypominał Rydzewski, wypowiedział Karl Popper – iż właściwie całe zło świata bierze się z prób uczynienia świata lepszym, że więc, paradoksalnie, ulepszyć świat można jedynie rezygnując z ulepszenia go⁸. Prowadziło to Poppera do taniej i generalizującej dyskredytacji wszelkich projektów zmiany społecznej jako utopii, co wszakże uderza nie tylko w lewicowe programy teoretyczne i polityczno-społeczne, ale i w zupełnie dalekie od takich intencji koncepcje etyczne (niemal zawsze przecież przeciwstawiające bytowi powinność i tylko niekiedy potrafiące odnaleźć jakąś bezczynną między nimi komunikację) czy projekty antropologiczne (jak na przykład określająca człowieka „odwaga utopii” u Georga Pichta). Jeśli zaś Rydzewski zwracał uwagę na ów tragizm czy potencjalną antynomię postępu i działania historycznego, to najwyraźniej w celu uświadomienia,

⁶ M. Siemek, *Hegel i filozofia*, Warszawa 1998, s. 96-97.

⁷ W. Rydzewski, *Powrót Bakunina*, Kraków 1993, s. 6.

⁸ Tamże, s. 39.

że nic nie dzieje się tu mocą jakichś twardych i nieuchronnych rytmów historii, że aktywizm historyczny jest wyzwaniem, ale i pokusą, że musi wykraczać, niekiedy nawet daleko i wizjonersko, poza stan zastany, ale i permanentnie być zdolnym do myślowych bilansów i samoograniczenia.

Warto odnotować w tym miejscu pewną analogiczną do wskazanej u Rydzewskiego wizję tragizmu i antynomii działania historycznego, pojawiającą się u myślicieli rosyjskich, i to sympatyzujących raczej z politycznym konserwatyzmem i prawicą. Chodzi o Siemiona Franka i Iwana Iljina. Obaj interpretowali świat jako przeniknięty złem, obaj nakładali na człowieka obowiązek walki ze złem (w pierwszym rządzie w aspekcie etycznym, ale w obowiązkowym kroku drugim także w aspekcie politycznym; pamiętajmy, że Iljin jest autorem książki *O sprzeciwianiu się złu siłą*), obaj dostrzegali, że wejście w relację ze złem (nawet relację zwalczania) oznacza jakąś styczność ze złem, ryzyko demoralizacji i nieprawości, które Iljin wkalkulowywał (i to nawet heroizując) w swój obraz świata i ludzkiej historii.

Tak więc dostrzeganie i uwzględnianie tragizmu, dwuznaczności, właściwie nieuchronności mrocznych stron działania historycznego, wiąże się nie tylko z perspektywą myślenia i działania lewicowego; jest niejako niepomijalną cechą głębokiego i odważnego, czyli adekwatnego wobec swego powołania, myślenia o historii, o działaniu w historii, a i nigdy nie wykluczoną cechą działania w historii. Środkiem zaś przeciw temu zagrożeniu jest – co potwierdza Iljin – stały wysiłek woli i napięcie myśli. Zaskakująco bliska jest przytaczana przez Rydzewskiego fraza z Lenina, iż nigdy nie wiadomo z góry „które ciosy zadawane w walce [rewolucyjnej] są zbędne, a które niezbędne”⁹, oraz takie oto streszczenie poglądów na tę sprawę Iljina: „W większości sytuacji, a być może nigdy, nie możemy mieć pewności, czy rzeczywiście zachodzi absolutna konieczność zastosowania siły. Niemożliwe jest wypracowanie uniwersalnych reguł pozwalających nieomylnie ocenić każdy konkretny przypadek”¹⁰.

Na przykładzie całej tej kwestii możemy objaśnić teraz tytuł naszego tekstu, wprowadzając zarazem pewną modyfikację do określenia, które zastosował wobec siebie Rydzewski. Jak już wspomnieliśmy, objaśniał on swoje pisarstwo (najbardziej wyraźnie na samym początku książkowego wydania *Powrotu Bakunina*) jako śledzenie „myślenia lewicowego”, jego mitów i szans (szans odświeżenia). Otóż formuła „myślenia lewicowego” zdaje się sugerować jakąś jego „gatunkową” odrębność, swoistość wobec myślenia w ogóle, a zwłaszcza wobec innych „gatunków” myślenia – „prawicowego”, „centrowego”, „liberalnego”. Przyznam, że odpowiedniejsza wydawałaby mi się – a i bliższa byłaby ona charakterowi tekstów Rydzewskiego oraz wskazanej przed chwilą analogii – formuła nie „myślenia lewicowego”, ale „myślenia lewicy”. W niej zaś akcentowana jest nie odrębność lewicowego myślenia, ale uczestnictwo wrażliwości lewicowej (moralnej i społecznej) w pewnej uniwersalnej wspólnotie myślenia, która nadaje lewicowości intelektualną powagę, kulturową efektywność, dialogową (choć pozostającą w sporze) współmierność

z alternatywnymi projektami owego myślowego uniwrszum, a także: wewnętrzną dynamikę, twórcze napięcie, otwartość, kreatywność. Nie chodziło przecież Rydzewskiemu o okopywanie się w „myśleniu lewicowym”, ale o utrzymywanie lewicy w myśleniu, a więc w zaprzeczeniu dogmatyzmowi, schematyzmowi, fatalistycznemu obiektywizmowi, ekskluzywizmowi, zaś afirmowaniu wolności, podmiotowości, uniwersalizmu, człowieczeństwa.

Powróćmy jednak jeszcze do wspomnianej i rozważanej niechęci Rydzewskiego do prostego i powierzchownego progresywizmu, właściwego marksistowskiej ortodoksji. Rosjoznawcze pasje badawcze Rydzewskiego związane były z jednej strony, z kluczowym przecież faktycznym, politycznym znaczeniem „sprawy rosyjskiej” w marksistowskich aspiracjach do przeobrażenia świata, a z drugiej – z jawnym zaprzeczeniem przez „sprawę rosyjską” licznych i zasadniczych kanonów marksizmu, w tym monolinearnego progresywizmu. Przede wszystkim zaś starał się Rydzewski pokazać, że wszystkie nietypowości marksizmu rosyjskiego i sprawy rosyjskiej w marksizmie to nie jakaś wprawdzie ważna, ale jednorazowa „oboczność”, ale to raczej przejaw dynamicznej, otwartej normy marksizmu. Jak ujął to trafnie w przywoływanym już artykule Michał Bohun, interesowały tu Rydzewskiego „zjawiska, które choć tworzone w określonych i niepowtarzalnych okolicznościach, jak Rosja XIX stulecia, niosły treści, nadzieje i niepokoje przystające do innych miejsc i czasów”¹¹. Akcentował więc i wzmacniał Rydzewski w swoich ujęciach specyficzne, ale zarazem strukturalne swoistości i oryginalności marksizmu rosyjskiego, swoistości oczywiście rosyjskie, akcentując wszakże ich nie rosyjskość, ale swoistość i oryginalność w sensie odstępstwa do domniemanego kanonu czy schematu. I tak w swoich badaniach nad narodnictwem i jego wpływem czy wręcz obecnością w strukturze własnej marksizmu podkreślał w narodnictwie rolę czynnika politycznego¹² i subiektywnego, a osłabianie ekonomicznych konieczności i w ogóle roli czynnika ekonomicznego w historii, moralne dylematy postępu historycznego, otwartość i alternatywność dróg rozwoju cywilizacyjnego, „bezwaryjancję” postępu, otwartość samego Marksa na idee narodników, i to te najbardziej sprzeczne z historiozoficznymi schematami *Kapitału*, nieredukowalny moment narodnicki w marksizmie Lenina. By zaś nie pozwolić na wąsko-rosyjską kwalifikację całej tej problematyki ujmował ją Rydzewski wielokrotnie i rozwijał w ogólnym i szerokim zagadnieniu „krajów zacofanych i późnoprzychodzących”. Była to w dodatku – jak wiadomo – kwestia dynamicznie narastająca w wieku XX, lekceważona niekiedy przez marksizm ortodoksyjny nie mniej niż przez tzw. ideologie burżuazyjne, jednak nijak – lub tylko za cenę intelektualnego i politycznego regresu czy wręcz degradacji – nie dająca się sprowadzić do peryferyjnej drugorzędności lub co najwyżej egzotyki. Dla Rydzewskiego problem

⁹ Tamże, s. 30.

¹⁰ S. Mazurek, *Filanrop czyli nieprzyjaciel i inne szkice o rosyjskim renesansie religijno-filozoficznym*, Warszawa 2004, s. 116.

¹¹ M. Bohun, *Na drodze do syntezy – myśl rosyjska w badaniach Włodzimierza Rydzewskiego*, op. cit., s. 230.

¹² I to niezależnie od apolitycznych deklaracji większości narodników, którym to deklaracjom towarzyszyła przecież zarazem apoteoza działania społecznego, które to deklaracje znajdowały wewnątrz samego narodnictwa iście „politykierską” opozycję, i które znaczyły coraz mniej w ramach narodnictwa wraz ze zmianami sytuacji społecznej i politycznej w Rosji pod koniec XIX wieku (por. W. Rydzewski, *Filozofia polityczna narodnictwa rosyjskiego*, Kraków 1988, s. 92-95).

„późnoprzychodzących” był jedną z kluczowych spraw współczesności, a odpowiadające tej wadze jej ujęcie było zarazem szansą na intelektualną oraz polityczną samoinspirację, samoożywienie marksizmu, jego wyrwanie się z różnorodnych pęt materializmu dialektycznego, koniecznych praw rozwoju historycznego, teoretycznej bezproblemowości postępu, z ekonomizmu, modernocentryzmu i europocentryzmu. Marksizm – i to odwołując się do samego Marksa, debatującego tu z narodnikami – nie musi być związany z linearnym, jednokierunkowym i bezalternatywnym obrazem postępu, a frazy o „byciu kształtującym świadomość” nie musi interpretować jako wszechwładzy czynnika ekonomicznego w dziejach ludzkości. Nie chodzi więc o to, by sprawę „późnoprzychodzących” syntezy i wzbogacającą wintegrować w jakiś domniemany marksistowski uniwersalistyczny schemat historiozoficzny (jak z przekazem określał to sam Marks), ale o wyrwanie się z historiozoficznego schematu jako takiego. Poprzez choćby – jak to jest u Rydzewskiego – projekt „przywileju zacofania”, ale także poprzez świadomość nieustannego tu zagrożenia i działaniem przedwczesnym, i „syndromem ostatniego momentu”, i ciężarem „teraz albo nigdy”, i grozą „utraconej szansy”¹³.

Kolejnym – obok kwestii anarchizmu i dylematów postępu – zagadnieniem, w którym i poprzez które starał się Rydzewski podnieść żywotność i intelektualną zwłaszcza atrakcyjność marksizmu było przypomnienie, a i usytuowanie w centrum marksizmu kilku myślicieli siebie sytuujących w marksizmie czy w bliskim kontekście marksizmu, jednak w oficjalnych marksizmie wykładniach traktowanych z dystansem, niechęcią, podejrzliwością. Chodziłoby o Gramsciego, Brzozowskiego, Lukacsa, także Lenina („uwolnionego” od *Materializmu i empiriokrytycyzmu*, za to z odwagą reinterpretującego liczne zagadnienia marksizmu, szczególnie w ich kształcie obowiązującym w II Międzynarodówce; Lenina w ujęciu właśnie Gramsciego czy Lukacsa). Postępuje tu zresztą Rydzewski podobnie jak Walicki, Siemek, także na przykład Kołakowski, odwołując się zresztą do podobnego zestawu nazwisk z dziejów marksizmu. Chodzi zawsze o postacie uprawiające marksizm w sposób samodzielny, oryginalny, nieschematyczny, krytyczny (w ogólnym znaczeniu Kantowskim oraz w sensie opozycyjności wobec marksizmu oficjalnego), a zarazem mocno osadzony w dziejach kultury; podkreślające filozoficzny wymiar marksizmu, a więc jego nastawienie holistyczne, dotyczące samych podstaw i początków myślenia i działania człowieka w świecie.

Filozoficzna swoboda i badanie owych spraw fundamentalnych czy granicznych sytuowało niekiedy samych tych myślicieli (zwłaszcza z punktu widzenia ortodoksji) na samych granicach marksizmu czy już poza granicami marksizmu. Rydzewski odnosił to zwłaszcza do Brzozowskiego, odnotowując jego „heretyckość” i „kłopotliwość” i dla marksizmu, i w ogóle lewicy, ale na plan pierwszy wysuwał oczywiście całą odświeżającą, mobilizującą i inspirującą dla marksizmu energię filozofowania Brzozowskiego, które – jak moglibyśmy powiedzieć w świetle naszych ustaleń – jeśli nawet nie mieści się w formule „myślenia lewicowego”, to z pew-

nością mieści się w formule „myślenia lewicy”, które właśnie ze względu na ową uniwersalną moc myślenia jest atrakcyjne i chętnie skądinąd „adoptowane” także przez „prawicę”. Rydzewski pokazywał, że siła myślenia Brzozowskiego, a więc odwaga tego myślenia, niechęć do jakichkolwiek przemilczeń i pozateoretycznych zafalszowań w dążeniu do prawdy, wykraczanie poza wszelką „stadność”, poza schematy, stereotypy i mity, co w konkretniejszym wymiarze przybierało u Brzozowskiego kształt sprzeciwu wobec „Polski Sienkiewicza”, „Polski dziecięcinie”, zaś fascynacji kulturą rosyjską (przy czym chodziło nie o kulturę tej „rosyjskość”, ale o jej „dojrzałość”), sytuuje się w sposób niewątpliwy w kręgu lewicy. Myśl Brzozowskiego jest, według Rydzewskiego, prekursorska wobec Gramsciego, Lukacsa, „przygotowuje” na Marksowskie *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne i Ideologię niemiecką*, które to dzieła w latach życia Brzozowskiego były – jak wiadomo – jeszcze nieznane. Jakość, ranga i sytuacja filozofii Brzozowskiego jest taka, że – można by powiedzieć (i odnosiłoby się również do ocen Walickiego i Siemka) – „walka o Brzozowskiego” jest swego rodzaju weryfikującym sprawdzianem dla aktualności i żywotności marksizmu, dla obecności „myślenia lewicy”. I że sensem tej walki (o czym szczególnie Brzozowski i Gramsci pisali wprost) jest pierwszorzędny dla marksizmu, i myślenia lewicy w ogóle, wymiar kulturotwórczy, warunkujący i weryfikujący wpływy społeczne i polityczne.

I jeszcze jedna, ostatnia już sprawa. O ile Siemek zaczynał i całe lata pozostawał – z pełną świadomością i niemal ostentacyjnie – uczonym akademickim, który jednak pod koniec życia zdawał się tęsknić także do jakiegoś nieco szerszego, eseistycznego i publicystycznego, oddziaływania na opinię społeczną¹⁴, o tyle w przypadku Rydzewskiego doszukiwałbym się ruchu niejako odwrotnego: przez długie lata to eseistyka i publicystyka były jego główną formą i kierunkiem wypowiedzi (także publikacje książkowe były niejako owocem zupełnie bezpośrednim lub bardziej pośrednim eseistyki i publicystyki); natomiast w ostatnich latach życia zwiększa się udział w aktywności Rydzewskiego spraw czysto – by tak rzec – akademickich. Chodziłoby tu o kierowanie Wydziałem Filozoficznym na Uniwersytecie Jagiellońskim i w nie mniejszej mierze o dążenie do akademickiego ugruntowania badań nad rosyjską myślą filozoficzną i społeczną, które zaowocowały powstaniem Pracowni, a potem Zakładu Filozofii Rosyjskiej. To ostatnie wprawdzie okazało się zdobyczą nietrwałą, za to przedsięwzięcia Pracowni i Zakładu w postaci regularnych międzynarodowych konferencji naukowych poświęconych myśli rosyjskiej, a zwłaszcza w postaci prawdziwie akademickiej, świetnej serii wydawniczej „Jagiellońskie Studia z Filozofii Rosyjskiej”, są trwałym, właściwie ponadczasowym i twardo realnym – a w dodatku stale otwartym – osiągnięciem życia Włodzimierza Rydzewskiego. Nie mniej być może ważnym niż jego własne książki o Kropotkinie, Bakuninie i narodnikach.

JANUSZ DOBIESZEWSKI

¹⁴ Nie wykluczam, że ryzykuję tu pewną nadinterpretację, ale taki charakter wydają mi się mieć niektóre późne i ostatnie teksty Siemka, takie jak *Filozofia i społeczeństwo w powojennej Polsce, O nowej Europie i Wschodzie w nas*, a nawet *Uniwersytet a tradycja europejska* (w: M. Siemek, *Wolność, rozum, intersubiektywność*, Warszawa 2002).

¹³ W. Rydzewski, *Ideologie narodnickie wobec procesów modernizacji*, w: *Filozofia rosyjska wobec problemów modernizacyjnych*, red. W. Rydzewski, M. Bohun, Kraków 1999, s. 24.

LEON PODKAMINER

PRL – NAJSŁABSZE OGNIWO „OBOZU SOCJALISTYCZNEGO”?

To, że Polska Ludowa okazała się najslabszym ogniwem „światowego systemu socjalistycznego” nie podlega chyba dyskusji. Jak z dumą utrzymują bohaterowie solidarnościowej „rewolucji” (a także ogół ich admiratorów), dezintegracja bloku sowieckiego rozpoczęła się właśnie w Polsce. Pogląd ten podzielają też ich onegdajsi oponenty. To na tej ziemi jako pierwszej „sztandar wyprowadzono”. To ludności tej właśnie ziemi jako pierwszej zaaplikowano – na pożegnanie epoki słusznie odchodzącej w niebyt – terapię wstrząsową”, po której przystąpiono do pionierskiego zadania restauracji kapitalizmu.

Właściwie dlaczego Polsce przypadło tak zaszczytne miejsce w historii? Zaryzykuję przypuszczenie, że nawet dla nieprzeciętnego reprezentanta polskiej elity odpowiedź na to pytanie jest raczej oczywista. Polska była po prostu predystynowana do tego dzieła. Oto „Chrystus narodów zmartwychwstał”... Bohaterski etos narodowo-religijny znów ożywił tę ziemię... Przedmurze... Bezprzykładne umiłowanie wolności... Szablą odbierzemy... Bóg, Honor, Ojczyzna... Jan Paweł... KOR i konspira... Żeby Polska... No i wreszcie NSZZ „Solidarność”: z Polską Szlachtą Polski Lud... itp, itd.

Nie odmawiając pewnej dozy słuszności powyższemu uzasadnieniu zwróciłbym jednak uwagę na ewentualność, że PRL była owym najslabszym ogniwem także dlatego, iż pod pewnymi względami (o czym za chwilę) był to po prostu kraj gospodarczo najslabszy z całego tzw. obozu socjalistycznego. Od połowy lat 1960. tempo wzrostu gospodarczego w Polsce obniżało się w stosunku do temp wzrostu w innych krajach zwanych wtedy „demoludami”. Szaleńcza szarża inwestycyjna z czasów wczesnego Gierka (pierwsza połowa lat 1970.) niewiele tu zmieniła. Przeciwnie, wpędziła ona kraj w niespłacalne zadłużenie zagraniczne i sprowokowała recesję w latach późnego Gierka (druga połowa lat 1970.). W latach 1980., gdy wszystkie inne demoludy wciąż odnotowywały znaczący wzrost gospodarczy, Polska była już pogrążona w stagnacji. Owszem, można mieć wątpliwości co do jakości oficjalnych statystyk różnych demoludów. Na pewno były one upiększane – tak samo jak polskie zresztą. (W sowie-

tolonii porównawczej często stosuje się „prawo” o jednakowej skłonności do upiększania statystyk ang.: *the law of equal cheating*).

Strukturalne zacofanie i „deficyt żywności”

Są też, inne, poza oficjalnymi statystykami, dowody na wyjątkową słabość gospodarki PRL. Charakteryzowała się ona wyjątkowo anachroniczną strukturą agrarną – rozdrobnionym, tradycyjnym, przeludnionym – a przy tym niewydajnym rolnictwem. Kraj był strukturalnie zacofany. Odsetek ludności zatrudnionej w rolnictwie był zadziwiająco wysoki. Szło to w parze z chronicznym niedoborem rąk do pracy poza rolnictwem – i miało fatalne skutki dla funkcjonowania przemysłu, budownictwa i usług. Innym dowodem słabości gospodarki PRL było to, że żaden inny demolud nie zadłużył się w „twardej walucie” w takim stopniu – i to tak bezproduktywnie (jeśli wierzyć statystykom, pokaźna część kredytów zagranicznych poszła na finansowanie importu produktów rolnych, których nie potrafiło lub nie miało ochoty wyprodukować rolnictwo krajowe).

Za najbardziej oczywisty dowód gospodarczej słabości wypadałoby uznać to, że tylko w PRL-u niedozwolne stało się ponowne wprowadzenie – i stopniowe rozszerzanie – urzędowego systemu racjonowania żywności. Racjonowanie żywności jest czasami uzasadnione wydarzeniami nadzwyczajnymi, takimi jak długotrwałe i wyniszczające wojny, albo niebywałe susze i inne kłęski pogodowe. Urzędowe racjonowanie żywności (na początek cukru) powróciło do PRL jako jedyne demoludu, bodaj w 1976 r. – 30 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Jasne jest, że inne demoludy też nie były oazami konsumpcyjnego nadmiaru. Asortyment ogólnie dostępnych produktów był poza Polską generalnie skromny (przynajmniej w porównaniu z obecną patologiczną nadobfitością odmian i wariantów wszystkiego czego konsumentowi trzeba, i czego nie trzeba). Był on w zupełności pod każdym względem, wystarczający. W innych demoludach nie było jednak chronicznych niedoborów produktów żywnościowych, kilometrowych kolejek (za mięsem, serem i czym tam jeszcze), szu-

kania dojsć do pań sprzedawczyń, spontanicznie formowanych społecznych komitetów kolejkowych czuwających nad „sprawiedliwym” dzieleniem dostaw sklepowych pomiędzy klientów – ani wreszcie sławetnych urzędowych kartek upoważniających do nabywania podstawowych artykułów żywnościowych. Wystarczyło przekroczyć granicę (Czechosłowacji, NRD, lub Węgier), by można było po prostu wejść do jakiegokolwiek sklepu i bez łaski oraz straty czasu nabyć za lokalne pieniądze co się tylko chciało.

Oczywiste objawy powszechnych niedoborów żywności nie uchodziły uwadze rządzących. Zjawisko było dla nich tyleż kompromitujące, co irytujące. Było kompromitujące, gdyż mogło świadczyć (i poniekąd świadczyło) o kompletnym fiasku gospodarczym, trudnym do usprawiedliwienia. Mogło też ono skłaniać (i zapewne skłaniało) postronnych obserwatorów do snucia przypuszczeń o klęsce głodu nawiedzającej duży europejski (jakkolwiek by było) kraj w drugiej połowie XX wieku. Zjawisko to było też irytujące, gdyż według wszelkich dostępnych danych (nawet jeśli nieco podkolorowanych), rynkowe dostawy żywności wzrastały dość systematycznie, przynajmniej do pewnego czasu. Cały czas osiągnięte poziomy spożycia podstawowych produktów (zwłaszcza mięsa i jego przetworów oraz nabiału) w żadnej mierze nie mogły obiektywnie uzasadniać przypuszczeń o powszechnym niedożywieniu obywateli PRL. Na pewno nie było prawdziwe domniemanie o mogącym ich trapić głodzie. O tym, że dostawy żywności były – pomimo aż nazbyt widocznych objawów niedoboru – naprawdę solidne świadczy paradoks dobrze (chyba) zapamiętany przez starszych obywateli III RP. Owszem, sklepy mięsne straszły gołymi hakami. Ale jednocześnie lodówki i zamrażarki w kuchniach zwykłych obywateli pękały od obfitości...

Prawdziwej natury paradoksu utrzymujących się objawów głębokiego niedoboru połączonych z naprawdę dużymi (i rosnącymi) dostawami, rządzący nie rozumieli. Nie rozumieli jej też ekonomiści (skromnie wyjąwszy autora niniejszego tekstu). Wydaje się, że dominowały dwa (mylne) przeświadczenia. Po pierwsze, o jakiejś niebywałej, abnormalnej, mięsożerności Polaków, o ich spaczonych – w stosunku do innych społeczeństw – preferencjach konsumpcyjnych. Po drugie, o tym, że nadmierny popyt na żywność wynika z jej zbyt niskich cen, ustalonych stosownymi dekretnami rządowymi. Wspomagającym argumentem, jakim się posługiwano przywołując tezę o zaniżonych cenach żywności, był też argument „kosztowy”. Utrzymywano, (zwłaszcza przy okazji inicjowania pamiętnych „reform cenowych” z grudnia 1970, czerwca 1976, maja-lipca 1980, lutego 1982 oraz kilkakrotnie w latach 1985-89), że detaliczne ceny żywności nie pokrywają kosztów produkcji. (Elementem najważniejszym tychże kosztów były oczywiście ceny skupu płacone rolnikom – również dekretno-urzędowo.)

Qui pro quo 1: „reformy cen”

Najprostszym ekonomicznie sposobem przywracania równowagi wydawało się stosowne duże („skokowe”) podniesienie cen żywności. Niestety, był to sposób politycznie ryzykowny. Okazywało się, że „ciemny lud” (roboczy) nie aprobował radykalnych

reform cenowych „zaproponowanych” mu kolejno w latach 1970, 1976 i 1980 – i to pomimo tego, że przewidywano pewne rekompensaty (albo w postaci „drożyznianych” dodatków do płac, albo pewnych obniżek cen niektórych towarów przemysłowych). Jak interpretować fakt uporczywego odrzucania „reform cenowych”? Czyżby ogół społeczeństwa uwielbiał wielogodzinne wystawanie w kolejkach? Stawiał spożycie smalcu ponad radość z zakupu nowej garsonki? (taką tezę można było znaleźć w artykule profesora i członka elity rządzącej – Józefa Pajestki, zatytułowanym *Smalec czy garsonka*. Artykuł ten opublikowany został w tygodniku „Polityka” po pospiesznie anulowanej reformie z czerwca 1976 r).

W lutym 1982 r., pod osłoną właśnie (w tym celu?) wprowadzonego stanu wojennego można było wreszcie dokonać wytęsknionej (przez władze i ekonomistów) skokowej reformy cen. W jej ramach urzędowe ceny żywności podniesiono drastycznie – wg oficjalnych statystyk średnio o 240 procent! Wbrew żywnym przez ówczesnych reformatorów oczekiwaniom i lekkomyślnie składanym obietnicom (socjalistyczny konsument miał się oto stać suwerenem, „chrupiące bułeczki” zastąpić miały czerstwe i gliniaste chlebszcza itp), reforma wcale nie zmniejszyła objawów nierównowagi rynkowej. Wręcz przeciwnie, lata 1982-89 charakteryzowały się nasileniem tych objawów. Kolejki, racjonowanie, pokątny handelek rąbanką itp folklor stał się integralną częścią rzeczywistości gospodarczej schyłkowego PRL, i to w stopniu przewyższającym wszystko, czego doświadczano od połowy lat 1960. Błąd nie polegał przy tym na samej tylko skokowości reformy. Pełnzące urzędowe podwyżki cen żywności (zwłaszcza w drugiej połowie lat 1970. i w latach 1984-88) również nie przynosiły żadnej poprawy sytuacji rynkowej (przy czym jątrzyły one społeczeństwo nie mniej niż reformy szokowe, przyniając się do gwałtowności reakcji na te ostatnie).

Nieskuteczność polityki usiłującej przywrócić równowagę rynkową przez podwyżki (raptowne bądź pełnzące) cen żywności wynikała z braku całościowej oceny stanu nierównowagi rynkowej. Ocena kierująca się oczywistymi objawami nierównowagi, ignorowała objawy mniej zauważalne, mniej dla władz kompromitujące. Do objawów oczywistych należały kolejki za mięsem, nagie haki w sklepach, kartki na mięso. Uwadze decydentów (i ekonomistów) umykał za to fakt, że nierównowaga w zakresie towarów i usług nieżywnościowych była jeszcze głębsza. Na przydział mieszkania, samochodu albo podłączenie telefonu normalny śmiertelnik czekał dziesięciolecia. Zakup mebli, pralki itp wymagał jeszcze więcej zabiegów, protekcji, „dojsć” itp niż zakup kilograma schabu. Na wolnym rynku „przebicie” na odprzedaży samochodu, mieszkania, sprzętu AGD było wielokrotne. W tym samym czasie wolno-(czarno)-rynkowe ceny produktów żywnościowych (w tym racjonowanych) tylko nieznacznie odbiegały (in plus, oczywiście) od cen urzędowych.

Relatywne podrażanie żywności nie mogło – w tych okolicznościach – zmniejszać stopnia nierównowagi na rynku dóbr nieżywnościowych. Co więcej, wyższe ceny żywności wymuszały bezpośrednie (lub pośrednie, poprzez wypłacanie dodatków drożyznianych) podwyżki płac – w pierwszej kolejności szczególnie niskich. Bez

takich podwyżek rodziny pracowników najgorzej sytuowanych (wielodzietnych itp.) musiałyby rzeczywiście głodować. Władza ludowa (w przeciwieństwie do władz III RP) nie mogła się jednak zdecydować na dopuszczenie do takiego rozwoju wydarzeń. Jednak podwyżki płac szczególnie niskich pociągały za sobą także konieczność podwyżek płac wysokich. Bez podwyżek płac wysokich miałyby miejsce demotywująca „urawniłowka” – zaburzone zostałyby mniej lub bardziej naturalne proporcje pomiędzy dochodami pracowników różniących się kwalifikacjami, produktywnością itp. Tym sposobem dochodowo rekompensowane podwyżki cen żywności czyniłyby dobrą niezwywnościowe relatywnie jeszcze tańszymi! W efekcie jeszcze bardziej zwiększał się niezaspokojony popyt na mieszkania, samochody, itp. Rosnąca masa pieniądza, który nie mógł być celowo wydany na zaspokojenie rzeczywistych potrzeb społecznych (mieszkania, auta, meble itd) w ostateczności przelewała się na rynek towarów żywnościowych, gruntownie go dewastując.

Zorientowana na skuteczne przywrócenie równowagi rynkowej polityka cenowa byłaby diametralnie różna od polityki z samobójczym uporem kontynuowanej w PRL od co najmniej 1965 r. W pierwszym rządzie polityka taka doprowadziłaby do eliminacji niedoborów w zakresie mieszkań, samochodów itd. Owszem, taka polityka oznaczałaby konieczność stosownego podniesienia czynszów, cen samochodów, taryf i opłat telefonicznych itp., i eliminację systemu przydziałów mieszkań, rozdawnictwa talonów itp. Jednak podwyżki w tym zakresie nie wymagałyby powszechnych rekompensat drożyznianych. Według moich obliczeń, przywrócenie równowagi na rynku dóbr i usług niezwywnościowych spowodowałoby jednocześnie obniżenie sztucznie zawyżonego popytu na żywność. W warunkach ogólnej równowagi faktyczne dostawy żywności z lat 1965-1989 nie tylko zapewniłyby zaspokojenie potrzeb. Co więcej, dostawy te przewyższałyby rzeczywisty popyt. Możliwe – a nawet konieczne – byłoby znaczące obniżenie cen żywności...

Qui pro quo 2: priorytet dla rolnictwa

Drugiego sposobu na przywrócenie równowagi upatrywano w zwiększaniu dostaw żywności – co sprowadzało się do postulowania zwiększania produkcji rolniczej. W miarę pogarszania się sytuacji na rynku żywnościowym zwiększało się więc też uprzywilejowanie rolnictwa i rolników. Wierzone, że zwiększenie dostaw środków produkcji (nawozy sztuczne, importowane pasze, ciągniki, energia itp) zaowocuje stosownym zwiększeniem produkcji rolnej. Równolegle zwiększano dochodowość produkcji rolnej. Subsydia (jawne bądź ukryte) do cen środków produkcji dostarczanych rolnikom były systematycznie zwiększane – podobnie jak gwarantowane ceny skupu płodów rolnych. Świadectw priorytetowego traktowania rolnictwa nie brakuje. Przykładowo, jeśli jeszcze w 1976 r. średni dochód na osobę w rodzinie pracowniczej był o 16 proc. wyższy niż w rodzinie chłopskiej, to u schyłku PRL, w 1989 r., proporcje były dokładnie odwrotne: średni dochód na osobę w rodzinie chłopskiej był o 16 proc. wyższy niż w rodzinie pracowniczej (po 1990 roku proporcje szybciej powróciły „z głowy na nogi”: np. w 2011 r. średni dochód w rodzinie pracowniczej był o 26 proc. wyższy niż w rodzinie chłopskiej).

Polityka priorytetu dla rolnictwa była – z punktu widzenia celu przywrócenia równowagi rynkowej – jeszcze większym błędem niż polityka cenowa nakierowana na relatywne podrażanie żywności. Po pierwsze, priorytet dla rolnictwa oznaczał dys-priorytet dla całej reszty gospodarki. Obfitość środków kierowanych do rolnictwa (i na potrzeby rolników) stała w ścisłej relacji do niedoborów środków otrzymywanych przez budownictwo, przemysł i usługi. Działalność sektorów, których produktów brakowało znacznie dotkliwiej niż produktów rolnictwa, była więc sparaliżowana chronicznymi niedoborami. Miało to oczywisty związek z priorytetem dla rolnictwa i gospodarki żywnościowej. Priorytet ten spowodował też, że ustał naturalny przepływ siły roboczej z rolnictwa do zajęć bardziej (w normalnej gospodarce rynkowej) opłacalnych społecznie i prywatnie. Tak więc polityka priorytetu dla rolnictwa była strukturalnie błędna, gdyż kierowała się ona celem zwiększenia produkcji rolnej (kosztem produkcji innych działów gospodarki) – podczas gdy równoważenie rynku wymagałoby zwiększenia produkcji dóbr i usług niezwywnościowych (nawet kosztem zmniejszenia produkcji żywności).

Co gorsza, polityka priorytetu dla rolnictwa nie przyniosła spodziewanych efektów produkcyjnych. Wzrosty produkcji rolniczej były niewspółmierne z dodatkowymi środkami udostępnianymi rolnictwu. Krótko mówiąc, środki te zostały w lwiej części po prostu zmarnotrawione. Przyczyny tego rozczarującego zjawiska są (dla mnie przynajmniej) całkiem oczywiste. Rolnikom – tak samo jak innym obywatelom PRL – naprawdę brakowało przede wszystkim dóbr i usług wyższego rzędu. W tych warunkach poprawa opłacalności produkcji rolniczej gwarantowała zwiększenie jedynie zasobów pustego pieniądza. Ale nie gwarantowała ona rolnikom zwiększenia szans na efektywny zakup np. samochodu, sprzętu AGD, cegieł na budowę domu itp – a nawet zwyczajnej wódki! Motywacyjna rola administracyjnie zwiększanej (i grubo przepłaconej) opłacalności produkcji była w końcu żadna...

Od błędu do upadku

W świetle mojej analizy robotnicze rewolty z grudnia 1970, czerwca 1976, lipca-sierpnia 1980 oraz z 1988 r. nie były buntem ślepy i nieracjonalny. Wręcz przeciwnie, to polityka władz była ekonomicznie nieracjonalna.

W ostatecznym rachunku polityka ta okazała się samobójcza dla samego systemu PRL. Kolejne gwałtowne kryzysy prowokowane przez tę politykę wyczerpywały siły Polski Ludowej, pozbawiały ją dynamizmu wciąż jeszcze wykazywanego przez inne demoludy, pozbawiały też władze legitymizacji i poparcia nawet wśród reprezentantów klasy robotniczej. Chłopsstwo, prawdziwi beneficjenci PRL, również nie poczuwało się do wdzięczności.

Jakie są przyczyny upartego trwania w błędzie? Można przypuszczać, że do pewnego stopnia rolę odgrywały względy praktyczne. Eliminacja patologii w zakresie dostępu do mieszkań, samochodów itp. oznaczałaby odebranie aparatowi uprawnien władczych – do decydowania o przydziałach, talonach itp. Z drugiej strony, eliminacja tych patologii oznaczałaby też niemożność stosownego wynagradzania zasług

przez władze cenionych. Dostęp do deficytowych dóbr i usług stałby się więc pochodną otrzymywanego dochodu pieniężnego – jak nie przymierzając w gospodarce kapitalistycznej. To mogło się wydawać niezgodne z pryncypiami ideologicznymi (choć uchodziło to przecież w bratniej Czechosłowacji i na Węgrzech). Nie można też (chyba) nie docenić politycznej roli lobby wiejskiego, które było w stanie (przynajmniej w latach 1980.) skutecznie dbać o interesy swojego zaplecza.

W ostatecznej instancji trwałość polityki, która bezpośrednio przyczyniła się do tego, że to w Polsce – jako pierwszej – sztandar wyprowadzono przypisując jednak czynnikowi ludzkiemu. Po 1956 r. Polska była gospodarczą hybrydą. Prywatne rolnictwo, wciąż stanowiące wielką część gospodarki, miało oto współżyć z państwową i centralnie zarządzaną gospodarką pozarolniczą. Taki mix systemów gospodarczych wymagałby administratorów i ekonomistów o wybitnych kwalifikacjach. Tymczasem osobistości wynoszone przez ówczesny system polityczny do kluczowych stanowisk miały co najwyżej kwalifikacje, które być może wystarczałyby w gospodarce pozbawionej znaczącego sektora prywatnego. Z upływem lat te kwalifikacje stawały się coraz bardziej niewystarczające. Gospodarka mieszana nieuchronnie przeistaczała się w „gospodarkę pomieszaną”.

Post scriptum: a nie mówiłem...

Do rewelacji przedstawionych powyżej doszedłem jesienią 1980 r. W 1982 r. ukazał się mój pierwszy artykuł na ten temat (w harwardzkim czasopiśmie „The Re-

view of Economics and Statistics”). Popularny wykład moich poglądów zamieścił (jako artykuł dyskusyjny) tyg. „Polityka” (nr 3/1983). W 1987 r. PWN opublikował książeczkę poświęconą temuż tematowi (nakład: 400 egz). W międzyczasie moimi rewelacjami próbowałem zwracać głowę różnym ówczesnym decydom i luminarzom nauki ekonomicznej. Bezskutecznie. Zostałem chyba uznany za jakiegoś prowokatora (lewaka?). Władze, jak w lunatycznym śnie, usiłowały do samego końca przywrócić ogólną równowagę przez działania na jednym tylko rynku – żywnościowym.

Potem przyszedł tow. Balcerowicz. Szok, który zaaplikował on Polsce, nie przywrócił jednak ogólnej równowagi gospodarczej. Szok ten był źródłem innej nierównowagi, przejawiającej się masowym i trwałym bezrobociem. Co się tyczy struktury cen – okazało się, że w warunkach gospodarki rynkowej ceny żywności spadły dramatycznie względem cen towarów i usług nieżywnościowych. Spadło też spożycie mięsa i jego przetworów – a mimo tego ich niedoborów nikt nie obserwuje. Empiria przyznała mi rację, szkoda że poniewczasie¹.

LEON PODKAMINER

(Autor pracuje w Wiedeńskim Instytucie Międzynarodowych Porównań Gospodarczych (WIW) i jest profesorem w Wyższej Szkole Administracji w Bielsku Białej.)

¹ Niejaki Jacek Rostowski opublikował nawet artykuł na ten temat (w czasopiśmie „Europe-Asia Studies”, no. 3/1995).



KULTURA W POLSCE LUDOWEJ

17 maja 2014 roku odbyło się doroczne sympozjum „Kuźnicy”,
tym razem poświęcone kulturze w PRL. Prezentujemy cztery wystąpienia,
pozostałe (Jana Pieszcachowicza i Edwarda Chudzińskiego)
opublikujemy w następnym numerze.

Redakcja

ANDRZEJ MENCWEL

JAK MÓWIĆ SENSOWNIE O KULTURZE POLSKI LUDOWEJ?

Gdy przychodzi nam rozważać przedmiot dzisiejszego spotkania, wypada zadać na samym początku pytanie o to, czym jest owa kultura Polski Ludowej? Jak rozumiemy tutaj kulturę i co zatem jest przedmiotem naszych rozważań? Od razu chcę powiedzieć, że najmniej mnie zajmuje tutaj kultura artystyczna, a więc sztuka, literatura, muzyka, teatr, film, zwłaszcza wtedy, kiedy ich osiągnięcia mają legitymizować nie tylko politykę kulturalną danego rządu, ale nawet cały system polityczny. Otóż *Przedwiośnie* Stefana Żeromskiego nie tłumaczy w żaden sposób rządów Witosa, podobnie jak *Popiół i diament* Andrzeja Wajdy nie uzasadnia rządów Gomułki. Trzeba skończyć z tego rodzaju przesadami pseudopoznawczymi, mającymi swoje źródła w dawnym aparacie politycznym, gdyż wbrew złudzeniu tych, którzy je kultywują, nie przybliżają nas one do rzeczywistości, lecz od niej oddzielają. Jeśli chcemy sprawiedliwie ująć kulturę tamtej epoki, trzeba na nią spojrzeć bardziej ogólnie i zasadniczo. Trzeba kulturę pojmować w perspektywie antropologiczno-społecznej.

Chcę w związku z tym przywołać tu znaczącą, a dziś całkiem zapomnianą książkę Stefana Żółkiewskiego z roku 1964, *Kultura Polski Ludowej*. Jest ona opakowana we frazeologię rocznicowo-polityczną, rozpowszechnioną w tamtym reżimie, dziś nieczytelną i nie do przyjęcia, ale podstawowa wiedza o tym, co się działo w Polsce przed wojną i po wojnie, jeśli chodzi o fundamentalne przemiany społeczne, przedstawiona została tam całkiem dorzecznie. Co od razu prowadzi nas do kolejnej zasadniczej uwagi poznawczej. Otóż tak jak należy oderwać się od patrzenia na kulturę jako kreację aparatu politycznego, tak też trzeba porzucić oceny procesu społeczno-kulturowego czy też dorobku artystycznego jako załączników do zestawień formacji politycznych. W czasach Polski Ludowej odnoszono nieustannie triumfy propagandowe nad dorobkiem kulturalnym II RP, podobnie jak w III RP odnosi się takie triumfy nad Polską Ludową. Jeśli ulega się oficjalnym oznajmieniom, można sądzić, że niczego innego w niej nie było poza cenzurą polityczną i jej ofiarami. Jeśli chce się jednak sensownie mó-

wić o kulturze polskiej dowolnego okresu, nie można w ogóle wdawać się w ten rodzaj fałszerstw.

I to jest przesłanka pierwsza, a nawet dwie w jednej, mojej odpowiedzi na tytułowe pytanie. Nie da się zatem mówić sensownie o kulturze Polski Ludowej bez odniesienia do podstawowych przemian społecznych i zjawisk kulturowych tamtych czasów. Oczywiście ważnym faktem było pojawienie się po wojnie tygodnika „Kuźnica” i pamiętamy grono skupionych wokół niego intelektualistów czy pisarzy oraz dyskusje, jakie inicjowali i prowadzili. Znamienne jest to, że pierwszy numer pisma ukazał się z krytyką Brzozowskiego na pierwszej stronie; każdy historyk polityki kulturalnej (która nie jest tożsama z kulturą – jak wyżej) musi badać, na ile linia „Kuźnicy” była kreacją zespołu, a na ile realizacją wytycznych odgórnych. Z proponowanej tu perspektywy ważniejsze jest jednak to, że w roku 1946, zresztą z inicjatywy wspomnianego Stefana Żółkiewskiego, uchwalono „ustawę biblioteczną”, która obowiązuje do dzisiaj, bo nikt dotąd nie miał odwagi jej zakwestionować. I na szczęście – pod presją wiary w dobroczynność wolnego rynku oraz ideologii „deregulacji” – zostały nam się powszechnie dostępne, bezpłatne biblioteki publiczne. Charakterystyczne jest przy tym, że w tym samym 1946 roku uchwalono inną ustawę, zakazującą bicia służby domowej! Co oba te fakty znaczą w perspektywie historii antropologiczno-społecznej? To mianowicie, że jeszcze przed wojną biblioteki są zasadniczo elitarne i prywatne, zaś „służba” podlega potulnie „państwu”. W dużej mierze zatem jest to anachroniczne społeczeństwo feudalno-stanowe, które przekształca się dopiero w nowoczesnie klasowe.

Czym zatem w perspektywie takiej historii był tamten czas Polski Ludowej?

Wyodrębniany zresztą nie absolutnie, lecz tylko relatywnie, jako pewna faza w dziejach Polski nowoczesnej, czy – jeśli kto woli – polskiej modernizacji. Początki tej polskiej modernizacji są również dyskusyjne, a jej skumulowane efekty dopiero przed nami. Osobiście uważam i uzasadniałem to już wielokrotnie, że rozpoczyna się ona naprawdę nie po powstaniu styczniowym, jak się często pisuje, lecz w ostatniej dekadzie XIX wieku, którą symbolicznie nazywam epoką „Ziemi obiecanej”. To wtedy rozpoczynają się względnie masowo te procesy, które ze zmienną intensywnością będą narastać przez cały wiek XX: przechodzenie ze wsi do miast, z rolnictwa (i bezrolności) do przemysłów, ze stanów do klas społecznych, z zagród do kamienic, z parafii do stowarzyszeń, z analfabetyzmu do piśmienności i czytelnictwa, a także do fotografii, kinematografu, a później radia i telewizji. W toku tego długiego procesu, którego czasy Polski Ludowej są pokaźnym rozdziałem, kultura zasadniczo elitarno-stanowa przekształca się w kulturę narodową, powszechną, masową. Jak wiekopomną pamiątką artystyczną szczególnej jakości tamtej dawnej kultury jest *Lalka* Bolesława Prusa, tak cienie i blaski wszystkich tych przekształceń znajdują swój wyraz w prozatorskim dziele Wiesława Myślińskiego.

Cała ta długa rewolucja ma, rzecz jasna, swoje fazy czy okresy, z których najważniejsze oznaczam datami: 1890-1918, 1918-1944, 1945-1989 z dodatkowymi podokresami, które odniesieniu do Polski Ludo-

wej dobrze znamy: 1944-1948, 1949-1955, 1956-1968 i tak dalej, i tym podobnie. Nie mogę się tu wdawać w specyfikację poszczególnych okresów, a zwłaszcza podokresów, ale najważniejsze zalecenie muszę podkreślić – należy je ujmować jako akcentowane rytmy tego samego zasadniczo pasma, a nie wyrwane z niego fragmenty. Wyrwanie takie tworzy złudne podstawy propagandowych przeciwstawień: Polska Ludowa przeciw II RP, III RP przeciw Polsce Ludowej. Zasadniczy ruch jest dla całej epoki tożsamy, oznacza on gruntowne zmiany struktury społecznej, a wraz z nimi tożsamości kulturowych. Dokonało się nie tylko „umiaśnienie” nas, przez co rozumiem przemiany ilościowe – znaczna większość ludzi mieszka w miastach, ale nastąpiła również „urbanizacja”, co oznacza, że ludzie zmienili się kulturowo i kulturalnie. Jak w połowie minionego stulecia znawcy przemian społecznych pisali o „ruralizacji” miast, w związku z masowym napływem do nich ludności wiejskiej, tak współcześnie możemy mówić o „urbanizacji” wsi, wskazując standaryzację cywilizacyjną oraz przemiany obyczajowo-kulturowe. Nikt przytomny nie zaprzeczy, że dokonały się one w III RP, ale ich początki są niewątpliwie dawniejsze i odsyłają przynajmniej do lat siedemdziesiątych XX wieku, czyli Polski Ludowej. Od końca XIX wieku, jak słusznie pisał ten „nieaktualny” historyk z „minionej epoki”, czyli Stefan Żółkiewski, mimo wszystkich przemian polskie społeczeństwo do roku 1939 było jednak ciągle postfeudalne i preindustrialne. Zarówno jeśli chodzi o infrastruktury materialno-cywilizacyjne, jak i działające w nim dominanty społeczno-kulturowe. Których przemiany trwają zawsze dłużej i owocują później.

Nie mamy dobrego rozpoznania działania tych wszystkich czynników, nie mamy też należytych, rozwiniętych ich badań. Jednym z osobliwych paradoksów humanistyki polskiej po roku 1989 jest odejście od społecznego pojmowania rzeczywistości ludzkiej i całkowite nieomal przesunięcie akcentów na stronę, którą wypada określić jako polityczno-policyjną. Ustanawia ona dotkliwą redukcję naszej rzeczywistości, a ta powoduje spustoszenie poznawcze, gdyż ważne problemy nie są w ogóle dostrzegane i rozważane. W nawale prac i wypracowań tego typu, które można znaleźć we wszystkich kioskach i które zalegają nawet w przyzwoitych księgarniach, z najwyższym trudem odnajdujemy zaledwie jedną pracę o przemianach społecznych w XX wieku wydaną w Instytucie Historii PAN. Skromne, ale obiecujące oznaki wychodzenia z tego społecznego zaścianka, dostrzegam w ostatnich dosłownie latach i wiąże z nimi pewne nadzieje na zmianę całej tej sytuacji. Ale nie należy sądzić, że pomoże nam ją zmienić doraźne bilansowanie „dorobku PRL”.

Nie chcę posuwać się do tanich złośliwości, ale nawet główna działająca dziś partia lewicowa i stowarzyszone z nią środowiska nie przyczyniają się znacząco do pogłębienia wiedzy społecznej oraz historycznego rozumienia otaczającej nas rzeczywistości. Przecież w całej tej epickiej, gdyż obejmującej właściwie cały naród, dynamice społeczno-kulturalnej, są rzeczy nieskończenie ważniejsze od tego niż to, czy twór X ukazał się mimo cenzury, zaś pisarz Y był taskawiej traktowany przez pewnego sekretarza KC. Ważniejszą rzeczą jest, jak wyglądała alfabetyzacja w Polsce,

jakimi siłami i kiedy została dokonana? Jak wyglądało upowszechnienie kultury w jej elementarnych wymiarach i kiedy się dokonywało? Jak wyglądała, że użycie tu technicznego terminu, „inkulturacja mas” znajdujących się poprzednio poza kulturą wysoką, a nawet średnią? Cały ten proces także w latach 1944-1989 ma swoje przypiływy i odpływy, nurty i zakola, których dzieje są barwne i dramatyczne, jak po różnych datach, które uznajemy za przełomowe.

Jakie skutki powoduje odejście od społeczno-historycznego rozumienia kultury, mówi nam dzisiejszy zalew rzekomo popularnych, a naprawdę ogtupiających książek o latach międzywojennych: elity, dwory i dworki, kawiarnie, restauracje, kabarety, skandale towarzyskie i piękności kobiece. Żadnych innych problemów, żadnych w ogóle problemów – zwłaszcza zróżnicowania klasowego, społecznych ruchów kulturalnych, edukacyjnych pasji i naukowych debat. Efektem będzie wpojenie młodemu pokoleniu Polaków wizji 35-milionowej rzeszy obywateli II Rzeczypospolitej spędzających czas na rozrywkach i zabawach, jak w Nawłoci Żeromskiego albo u Pifczyckich z *Ferdynurke*. Nikt jednak się nie dowie, dlaczego ustawę zakazującą bicia służby domowej wprowadzono dopiero po wojnie i wtedy również biblioteki uczyniono powszechnymi. A także radiofonie i kinematografię, szkolnictwo średnie i wyższe. To są rzeczy ważne, ważniejsze przecież od tego, czy Andrzejowi Kurzowi udało się przepchnąć wydawniczo tego Gombrowicza, co było znaczące dla życia literackiego w PRL...

Proszę też popatrzeć na dorobek wydawniczy tamtych czasów i to taki, który stanowi kanon narodowy, niezależny od sezonów politycznych, przewyższający nawet swoją trwałością poszczególne epoki historyczne. Kiedy, w jakich nakładach i cenach wydawano dzieła klasyków literatury polskiej, jak opracowano kanoniczne źródła historyczne, ile, w tamtej „totalitarnej” rzekomo rzeczywistości ukazało się zróżnicowanych historii kultury polskiej. To są osiągnięcia tamtej epoki, których nie da się zakwestionować, dlatego wygodnie jest je przemilczać. Zwłaszcza dlatego, że nie wznawia się dzieł Mickiewicza, choć od poprzedniego wydania minęło już pokolenie, a przez 25 lat nie ukończono edycji pism Stefana Żeromskiego, bo ciągle brakuje na nie pieniędzy! Inny przykład – upadła Biblioteka Narodowa Ossolineum, która prezentowała najcenniejsze dzieła literatury światowej i polskiej we wzorowych opracowaniach. Powołano ją w roku 1924, a w latach 1956-1989 miała swoje apogeum.

Winniśmy więc zjawiska kultury widzieć w ich całej złożoności, badać ciągłości procesów i zerwania w nich, musimy przede wszystkim kłaść nacisk na ruch społeczno-kulturalny skupiony w organizacjach inteligentnych i młodzieżowych, towarzystwach regionalnych i klubach studenckich, także w ochotniczych strażach pożarnych i kołach gospodyń wiejskich. Cała ta wielka społeczna substancja kultury zaczyna ożywać i owocować na przełomie XIX i XX wieku, dynamicznie rozwija się w II RP, stanowi podglebie imponującej samoorganizacji podczas wojny i okupacji, eksploduje po wojnie, a mimo różnych nacisków „zjednoczeniowych” odradza się periodycznie przez cały okres Polski Ludowej. Dzieje kultury studenckiej po 1956 roku, z jej teatrami, klubami filmowymi, kołami naukowymi

i całym bogactwem form, są znakomitym wziernikiem w specyficzną owocność tamtej epoki. Nie jedynym, ale na pewno szczególnie nacechowanym.

Na koniec warto zadać pytanie o najważniejsze nurty w tym wielkim procesie kulturowym, o ideowe jego dominanty – od początku wieku XX do początku wieku XXI. Nie chciałbym czynić wrażenia, że odnoszę się do czasów III RP tak jak politykierzy publicyści odnoszą się do Polski Ludowej. Nie takie są moje intencje z przyczyn generalnych, powyżej wysłowionych, a ponadto uważam, że wiele ogniw tego wielkiego procesu zostało współcześnie wzmocnionych. Na przykład wszystko to co wiąże się ze stowarzyszeniami społecznymi, w nowomowie obecnej nazywanymi „organizacjami pozarządowymi”, a co stanowi podstawę społeczeństwa obywatelskiego. Mamy jeszcze w tej dziedzinie sporo do zrobienia, skoro jakaś połowa naszych współmieszkańców nie bierze udziału w tak elementarnych aktach obywatelskich jak wybory wszelkich szczebli. Przełom jednak nastąpił, swoboda stowarzyszeń jest prawem, a przestrzeń kulturową wypełniają ci, którzy z prawa tego korzystają.

Kiedy jednak pytam o najważniejsze nurty, ideowe dominanty całego tego procesu, pytam o to, co dziś najczęściej nazywa się problemem tożsamości. Nie chodzi mi bynajmniej o spektakularne symbole nadmiernie teatralizowanego życia publicznego, chociaż i ich repertuar zasługuje na krytyczne interpretacje. Chodzi mi natomiast o ideowe rdzenie dominujących wzorów tożsamości, które panują nie tylko na tak zwanej scenie politycznej, ale także w ekspresjach artystycznych i intelektualnych oraz w zachowaniach ludzkich. Utało się, że działają w Polsce głównie dwa głęboko odniesione w przeszłość typy tożsamości – jeden, zwany umownie „piastowskim”, a drugi „jagiellońskim”. Ten pierwszy czyta się jako plemienny i wyznaniowy, a bardzo dobrze go słyhać na ulicach czy na stadionach, drugi natomiast miałby być obywatelskim i odwoływać się do pluralizmu Polski Jagiellońskiej. Nie oceniam tutaj ani redukcji, ani też idealizacji obu tych wizji polskości, pisatęm o tym wielokrotnie i nie będę się powtarzał. Polityczna oraz historyczna wymowa tego przeciwstawienia jest bowiem najbardziej przykra – wygląda to tak, jakbyśmy nie wydobyli się z pułapki ciasnej alternatywy endecji i sanacji albo, jak powiedział Jerzy Giedroyc, z cienia dwóch trumien – Dmowskiego i Piłsudskiego. A przecież w nowoczesnych dziejach Polski zrodziła się nie tylko ideowo, lecz kultywowana była także praktycznie polska tożsamość demokratyczna – od Tadeusza Kościuszki poprzez cały radykalizm dziewiętnastowieczny do narodzin ruchu robotniczego i socjalistycznego. *Historia demokracji polskiej* Bolesława Limanowskiego jest księgą kanoniczną tego nurtu myślenia, intelektualnym projektem nowoczesnej prawdziwie tożsamości. Tymczasem jest to księga kompletnie zapomniana, zaś myśl o prawdziwie demokratycznej tożsamości Polaków publicznie nie jest zaświadczana. Za ten fałsz historyczny odpowiada przede wszystkim lewica, a więc ci wszyscy, którzy się do niej poczuwają. Najwyższa pora, aby zacząć świadczyć prawdzie!

MARIAN STĘPIEŃ

MEANDRY POLITYKI KULTURALNEJ

Pierwsze dokumenty Polskiej Partii Robotniczej, Krajowej Rady Narodowej, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zapowiadały spełnienie tych marzeń o przeobrażeniach życia kulturalnego w Polsce, jakie towarzyszyły polskiemu ruchowi robotniczemu i demokratycznej inteligencji od kilku ostatnich dekad XIX wieku, a potem były zawsze obecne w Polsce międzywojennej. Program bezpłatnej oświaty na wszystkich poziomach, do studiów wyższych włącznie był realizacją dążeń działaczy ruchów samokształceniowych, młodzieży skupionej w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych i Uniwersytetów Ludowych. W programie budowy nowej Polski przyjętym na plenarnym posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dniu 1 stycznia 1944 roku czytamy: „Wielkość i moc ojczyzny oprzeć trzeba na zabezpieczeniu szerokim masom pracującym miast i wsi – robotnikom, rzemieślnikom, pracownikom inteligencji – nauki”. *Dekret o bibliotekach i opiece nad zbiorami bibliotecznymi* z 31 stycznia 1946 roku spełniał dążenia świata bibliotekarskiego z lat międzywojennych. Objęcie państwową opieką teatrów było spełnieniem marzeń Leona Schillera o mecenacie państwowym, zapewniającym warunki powstania „Teatru Ojczystego”. Nawet taki szczegół (szczegół, ale ważny), jakim było pełne wydanie dzieł Adama Mickiewicza. Rozpoczęte przed drugą wojną światową jako tzw. Wydanie Sejmowe, nie zostało doprowadzone do końca. Jedną z pierwszych decyzji Krajowej Rady Narodowej (z 5 maja 1945 roku) spowodowała pełną realizację tego zamierzenia.

Twórcy kultury polskiej, pisarze, artyści, uczeni – w różnym stopniu, z różnymi motywacjami – wspierali wysiłki władz zmierzających do odbudowania zniszczonej przez okupanta kultury polskiej. Poczuli się państwu potrzebni, a także bardziej niż dawniej docenieni. Literaci widzieli w rewolucji kulturalnej pomyślnie warunki dla ich twórczości – wysokie nakłady ich utworów. Wielu z nich zostało dyplomatami w służbie odbudowującego się polskiego państwa i wyjechali na zagraniczne placówki.

Na pierwszym zjeździe PPR w grudniu 1945 roku Władysław Gomułka poświęcił dużo uwagi stosunkowi partii do inteligencji twórczej. W pozyskaniu jej widział warunek realizacji programu¹. Premier Edward Osóbka-Morawski zapowiadał: „Inteligencja polska, polscy pisarze, artyści, nauczyciele znajdują pełną opiekę ze strony państwa. Będziemy całą duszą popierać rozwój teatru, literatury i sztuki”².

Na łamach „Odrodzenia” i „Kuźnicy” toczyła się jedna z ważniejszych dyskusji – o społecznej genealogii inteligencji polskiej, wywołana artykułem Józefa Chałasińskiego *Inteligencja polska w świetle swej genealogii społecznej*³.

Szeroki wachlarz czasopism społeczno-kulturalnych (m. in. „Odrodzenie”, „Kuźnica”, „Twórczość”, „Tygodnik Powszechny”) sprzyjał życiu kulturalnemu, umożliwiał autentyczną dyskusję o literaturze, sztuce, o problemach filozoficznych, estetycznych. Dyskusje i spory nie napotykały na administracyjne ograniczenia, nie było ingerowania w twórczość artystyczną. Panowały warunki umożliwiające dochodzenie do głosu różnych opinii i światopoglądów. Wśród działaczy kultury w pierwszych powojennych latach najważniejszą rolę odgrywali: Jerzy Borejsza, Stefan Żółkiewski, Karol Kuryluk.

5 lipca 1946 roku utworzono Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk podległy prezesowi Rady Ministrów (działał do 1990 roku). Do jego zadań należał nadzór nad prasą, publikacjami i widowiskami, kontrola rozpowszechniania wszelkiego rodzaju utworów w druku, obrazie i słowie w celu zapobieżenia: godzenia w ustrój Państwa Polskiego, ujawnianiu tajemnic państwowych, naruszaniu międzynarodowych stosunków państwa polskiego, naruszaniu prawa i obyczajów, wprowadzaniu w błąd opinii publicznej przez podawanie wiadomości niezgodnych z rzeczywistością.

¹ Władysław Gomułka, *Przemówienie końcowe po dyskusji nad sprawozdaniem KC PPR. W: Artykuły i przemówienia*. T. I, Warszawa 1962, s. 531-533.

² *Program prac PKWN*, „Rzeczpospolita” 1944, nr 41.

³ „Kuźnica” 4 III 1946. Był to tekst wykładu na inauguracji Uniwersytetu Łódzkiego. Pierwszym rektorem powstałego po wojnie w Łodzi uniwersytetu był Tadeusz Kotarbiński.

* * *

Przedstawiony stan rzeczy zaczął ulegać niekorzystnym zmianom w roku 1948, w następstwie ustaleń przyjętych na konferencji Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 roku. Referat Jakuba Bermana na plenum KC PPR w lipcu 1948 roku wnosił już inne tony: „Walka klasowa jest nie tylko walką z przenikaniem obcej ideologii do naszej partii, lecz również walką o bojowy, realistyczny, konstruktywny kierunek poszukiwań twórczych w naszej literaturze i sztuce”⁴.

Na sierpniowo-wrześniowym plenum w 1948 roku, na którym potępiono „prawicowe i nacjonalistyczne odchylenie” w partii i odsunięto od władzy Władysława Gomułkę, mówiono o potrzebie sterowania procesami twórczymi, o czujnej polityce wydawniczej i repertuarowej w odniesieniu do teatru i filmu. Jerzemu Borejszy zarzucono uleganie Zachodowi, wydawanie obcych ideowo publikacji, zaniedbywanie popularyzowania osiągnięć Związku Radzieckiego. Borejsza przeprowadził samokrytykę, został pozbawiony prezesury stworzonego przez siebie „Czytelnika”. Stefan Żółkiewski obwinił siebie za „błędy” popełniane przez „Kuźnicę”, polegające na przecenianiu kultury Zachodu, a niedocenianiu tego, co powstaje w Związku Radzieckim. Na pierwszy plan wysunęli się teraz Jakub Berman i Włodzimierz Sokorski.

Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS w grudniu 1948 roku (w ślad za nim wszystkie związki twórcze: Związek Literatów Polskich, Związek Kompozytorów Polskich, Związek Autorów i Kompozytorów Scenicznych, Stowarzyszenie Architektów Polskich, Stowarzyszenie Polskich Artystów Plastyków, Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu, Związek Zawodowy Pracowników Kultury i Sztuki) za główny kierunek rozwoju polskiej twórczości artystycznej przyjął realizm socjalistyczny, a za wzór prowadzący do wielkiej sztuki – twórczość Związku Radzieckiego. Sztuka realizmu socjalistycznego została uznana za jedyną, która może sprostać potrzebom nowej epoki, spełnić pożądaną rolę i skutecznie pomagać w budowaniu socjalizmu⁵.

Dokonywano zmian personalnych. Leona Schille-
ra odwołano ze stanowiska dyrektora Teatru Polskiego, Wilama Horzycę w Poznaniu. W Krakowie zamknięto Teatr Rapsodyczny. Władysława Strze-
mińskiego usunięto ze stanowiska profesora Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Na Ogólnopolskim Zjeździe Polonistów w 1950 roku wygłaszano referaty odrzucające dorobek zasłużonych badaczy literatury i kultury narodowej. Dla przyspieszenia i wzmocnienia ofensywy marksistowskiej metodologii w naukach humanistycznych powołano Instytut Badan Literackich Polskiej Akademii Nauk. Pozbawiono katedr uniwersyteckich uczonych tej miary jak Kazimierz Ajdukiewicz, Jan Czekanowski, Henryk Elzenberg, Konrad Górski, Stanisław Ossowski, Edward

⁴ Jakub Berman, *O dorobku ideologicznym PPR i zadaniach partii w przededniu zjednoczenia*. „Nowe Drogi” 1948, nr 10, s. 79.

⁵ Zob. *Deklaracja ideowa PZPR, Nowe Drogi* 1949, nr 1 oraz Stefan Żółkiewski, *Moment przełomowy w rozwoju kultury polskiej*. „Kuźnica” 1949, nr 1.

Lipiński, Władysław Tatarkiewicz, Adam Krzyżanowski.

Przestały się ukazywać „Kuźnica” i „Odrodzenie”. Ich miejsce zajęła „Nowa Kultura”. Zlikwidowano „Nowiny Literackie”. Krakowowi i Kazimierzowi Wyce odebrano „Twórczość” przenosząc ją do Warszawy i powierzając redakcję Adamowi Ważykowi. Poza samym tytułem było to już zupełnie inne pismo o nieporównywalnie niższej wartości. „Twórczość” odzyskała swą rangę dopiero w 1955 roku, gdy redakcję przejął Jarosław Iwaszkiewicz.

Na naradzie w dniach 27-28 października 1951 roku poświęconej twórczości artystycznej Jakub Berman zwracał się do twórców z żądaniem: „Ukażcie całą ostrość przeciwieństw, pokażcie wielkość naszych czasów [...] Idźcie za przykładem radzieckich pisarzy, radzieckich artystów”. Paweł Hofman, wówczas kierownik Wydziału Kultury KC PZPR pojmował postulowany realizm socjalistyczny jako spełnienie „zamówienia społecznego klasy robotniczej, które ma przy tym charakter często zorganizowany, instytucjonalny”. Włodzimierz Sokorski pojmował sztukę jako narzędzie propagandy: „Tak czułe narzędzie propagandy, jakim jest dzieło sztuki, musi być specjalnie doskonałe [...]. Stawiamy dzisiaj zagadnienie wielkiej mobilizacji ideologicznej. [...] Poświęcamy tyle uwagi roli sztuki w agitacji politycznej”⁶.

Na naradzie z filmowcami we wrześniu 1950 roku Jakub Berman oświadczał: „Przy realizacji tej [aktualnej] tematyki będzie duża ingerencja polityczna, z której partia nie zrezygnuje i zrezygnować nie może, będziemy postępować tak, jak w Związku Radzieckim, gdzie filmy fabularne o wartości ideowej są zatwierdzane przez Biuro Polityczne i osobiście przez Stalina”⁷.

Niekorzystny dla rozwoju kultury okres nie trwał długo, a szkody przez niego wyrządzone nie były tak trwałe i głębokie jak winnych państwach socjalistycznych. „Wiele czynników na to wpłynęło. Większa oporność materii społecznej, krótki czas trwania stalinizmu i jego ówczesna już schyłkowość, pewna ostrożność partyjnej polityki wobec nauki i kultury, ale także, częściowo choćby, uczestnictwo wielu uczonych i twórców w realizacji tej polityki i ich łagodzący wpływ na jej kształt i rezultaty”⁸.

* * *

Śmierć Józefa Stalina przyspieszyła pojawianie się symptomów zwiastujących korzystne zmiany w życiu politycznym. Już w *Tezach na 50-lecie WKP(b)*, na co zrazu nie zwróciło się większej uwagi, pojawiło się zdanie o „kulcie jednostki”. Drugi Zjazd PZPR w 1954 roku wypowiedział się przeciw komenderowaniu sztuką, przeciw administracyjnemu wtrącaniu się w procesy twórcze, a za dopuszczeniem do głosu samych twórców. Ton i przebieg dyskusji nawiązywał

⁶ Fragmenty wystąpień Jakuba Bermana, Pawła Hofmana i Włodzimierza Sokorskiego podaje się za „Twórczością” (1951, nr 12, s. 10, 13, 16, 23, 24 i 26).

⁷ Cyt. za: Barbara Fijałkowska, *Polityka i twórcy (1948-1959)*, Warszawa 1985, s. 145-146.

⁸ Andrzej Werblan, *Stalinizm w Polsce*, Warszawa 1991, s. 17.

do dobrej praktyki stosowanej w pierwszym kilkulciu po zakończeniu wojny. XI Sesję Rady Kultury i Sztuki w kwietniu 1954 roku poświęcono omówieniu problemów twórczości i polityki kulturalnej w świetle wytycznych II Zjazdu PZPR. Wprawdzie realizm socjalistyczny nie został jeszcze odrzucony, ale nadano mu szersze znaczenie: „Każda twórczość cechująca się głęboką humanistyczną ideowością mieści się w nurcie realizmu socjalistycznego”⁹.

W listopadzie 1954 roku odbyło się spotkanie centralnego aktywu partyjnego. Bolesław Bierut przedstawił trudne, przemilczane dotychczas polskie problemy. Zmusiły do tego rewelacje ujawnione przez Józefa Światło, nadawane przez Radio „Wolna Europa” i przedstawione w broszurze *Za kulisami bezpieki i partii* wydrukowanej na „biblijnym” papierze w 800.000 egzemplarzy i rozrzuconej z samolotów nad Polską.

Dalszym, jeszcze ważniejszym krokiem na drodze ujawniania przed społeczeństwem przestępstw, nadużyć i błędów było III plenum KC PZPR w styczniu 1955 roku. Partia przyznała się do naruszania praworządności, do przestępstw w aparacie bezpieczeństwa, do błędów w polityce gospodarczej. W żywej i obejmującej szerokie kręgi społeczne dyskusji wywołanej uchwałami tego plenum dużą rolę odgrywały środowiska naukowe i twórcze, które podjęły krytykę dotychczasowej polityki kulturalnej.

W 1955 roku ukazała się powieść Ilii Erenburga *Odwilż*. Przynosiła obraz przemian w Związku Radzieckim po śmierci Józefa Stalina. W Polsce trafiła na podatny grunt. Jej tytuł przyjął się jako nazwa klimatu politycznego w Polsce po III plenum KC PZPR z 1955 roku.

Wyrazem artystycznego buntu przeciw realizmowi socjalistycznemu w malarstwie i rzeźbie, upomnieniem się o prawdę własnego przeżycia i swobodę w stosowaniu własnej formy była otwarta 21 lipca 1955 roku Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki „Arsenał 1955”; w zabytkowym, odbudowanym po zniszczeniach wojennych budynku warszawskiego Arsenału.

Poglądy i postawy młodego pokolenia twórców ukształtowanego już w Polsce Ludowej znajdowały wyraz na łamach tygodnika „Po prostu” przekształconego z pisma Związku Młodzieży Polskiej w trybunę studentów i młodej inteligencji. Także w „Sztandarze Młodych” i w jego dodatku „Przedpole”.

Odwaga i doniosłość III plenum była tak duża, że mogłoby ono odegrać wobec spraw polskich rolę tak przełomową, jak – w stosunku do problemów całego obozu socjalistycznego – odegrał XX Zjazd KPZR w roku następnym.

Społeczny zasięg dyskusji i dogłębność wyprawdzanych wniosków zaniepokoiła władze. Podjęły kroki (by pozostać przy meteorologicznej terminologii) „zamrażające”. W kwietniu 1955 roku sekretariat Komitetu Centralnego PZPR wystosował list do komitetów wojewódzkich i powiatowych *W sprawie sytuacji w środowiskach twórczych i pismach społeczno-kulturalnych*. Zawierał on zalecenie prowadzenia „walki na dwa fronty”: ze starymi błędami

i z recydywą ideologii burżuazyjnej. Biuro Polityczne zaniepokojone sytuacją ideologiczną w środowiskach twórczych, w maju 1955 roku przyjęło uchwałę, w której zalecało wyjaśnianie form i metod walki ideologicznej. Z redakcjami „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” przeprowadzono dyscyplinujące rozmowy. Niepokoje władz spotęgowały się, gdy „Nowa Kultura” 21 sierpnia 1955 roku opublikowała *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka. Kierownictwo partii widziało w nim utwór szkodliwy, antypartyjny i zniekształcający obraz rzeczywistości, a nawet obrażający uczucia narodu. W stosunku do redaktora wyciągnięto konsekwencje służbowe¹⁰.

* * *

W lutym 1956 roku odbył się XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Na zamkniętym posiedzeniu Nikita S. Chruszczow wygłosił wielogodzinny referat, w którym ujawnił zbrodnie, jakich dopuścił się Józef Stalin i jego najbliższe otoczenie. Treść referatu wywoływała dalsze pytania, na które jego autor nie udzielił wprawdzie odpowiedzi, ale pozostały w świadomości społecznej i domagały się wyjaśnienia. Referat, formalnie tajny, został opublikowany w specjalnym numerze „Nowych Dróg”. Nie znalazł się w normalnej sprzedaży, ale dotarł do szerokich kręgów partyjnych i nie tylko partyjnych, wywołał ruch krytycznej myśli nie tylko przeciw Stalinowi, ale i przeciwko systemowi, w którym jego zbrodnie były możliwe. Po takim ich ujawnieniu nie można było dłużej zamykać ust opinii publicznej, która i wcześniej świadoma była tego, co się działo, mogła jedynie nie znać ważnych szczegółów. Wszelkie tamy próbujące ograniczyć wzburzoną falę odrzucającą dotychczasowe ograniczenia, zostały przerwane.

Bardzo burzliwa była XIX sesja Rady Kultury i Sztuki, na której ani Włodzimierz Sokorski, ani Stefan Żółkiewski nie potrafili przeciwstawić się fali oskarżeń padających z sali. Krytykowano system komenderowania i administrowania twórczością artystyczną, surowej ocenie poddano dotychczasową politykę kulturalną. Żądano przywrócenia pełnej swobody twórczej, decentralizacji instytucji kulturalnych, ożywienia ośrodków prowincjonalnych, zrewidowania stosunku do literatury i sztuki Zachodu.

12 czerwca 1956 roku decyzją Biura Politycznego KC PZPR odwołano Włodzimierza Sokorskiego ze stanowiska ministra kultury i sztuki, a VII plenum KC PZPR w tymże roku przyjęło w swej uchwale żądania środowisk twórczych:

„Partia winna czuwać nad stworzeniem warunków wszechstronnie sprzyjających nieskrępowanemu rozwojowi działalności naukowej i artystycznej służącej interesom budowy społeczeństwa socjalistycznego [...]. Przeciwstawiać się konsekwentnie wszelkiemu doktrynerstwu, dogmatyzmowi i ograniczaniu swobody naukowych dyskusji oraz krępowa-

⁹ Dokumentację przebiegu XI Sesji Rady Kultury i Sztuki przynosiła „Twórczość”, nr 7 z 1954 roku.

¹⁰ Zob. *Sąd nad Ważykiem. Notatki z narady aktywu partyjnego literatów z kierownictwem partii dnia 23 IX 55 r.* „Polityka” 1992, nr 27 oraz: Tomasz Chrząstek, *Ucieczka z domu wariatów czyli o „Poemacie dla dorosłych” raz jeszcze*. „Rocznik Historii Prasy Polskiej”, 2003, z. 1(11).

niu twórczości artystycznej odpowiadającej ideałom socjalistycznego humanizmu¹¹.

W październiku 1956 roku nastąpiło przesilenie w kryzysie politycznym. Na VIII plenum Komitetu Centralnego PZPR powrócił do władzy Władysław Gomułka. Dzięki pierwszym ważnym decyzjom zyskał poparcie i zaufanie społeczeństwa, w tym środowisk naukowych i artystycznych. Przykładem i dowodem słuszności tego stwierdzenia niech będą słowa Witolda Lutosławskiego na Walnym Zjeździe Związku Kompozytorów Polskich w marcu 1957 roku: „Musi budzić uczucia optymistyczne. Oto nasz Zjazd po raz pierwszy odbywa się w atmosferze prawdziwej wolności twórczej”¹².

Klimat ideologiczny i polityczny po październiku '56 umożliwił wymianę idei inspiracji artystycznych między Polską a Zachodem. Zaczęły się ukazywać przekłady dzieł współczesnych pisarzy państw zachodniej Europy i Stanów Zjednoczonych. Ich dramaty weszły na polskie sceny. Przypominano dotychczas przemilczanych pisarzy rosyjskich i radzieckich. Wprowadzono w obieg czytelnicy nieprzedawnione, a do niedawna przemilczane wartości polskiej literatury międzywojennej. Rehabilitacja autorów polskiej lewicy na XX Zjeździe KPZR umożliwiła udostępnienie czytelnikom ich utworów. Nastąpiły zmiany w stosunkach między krajem a emigracją. Niektórzy twórcy wracali do ojczyzny, inni zaczęli w kraju publikować swe utwory.

Zrezygnowano z programu realizmu socjalistycznego, co było faktem, który nie znajdował odpowiednika w innych krajach obozu socjalistycznego. Nastąpił pomyślny czas dla polskiej kinematografii. Zaczęło się mówić o „polskiej szkole filmowej”. Na sceny teatralne powróciły dramaty narodowe z epoki romantyzmu. Po środki sztuki awangardowej sięgnęli malarze i rzeźbiarze. Próby stworzenia nowego języka muzycznego przyniosły osiągnięcia na skalę światową. Do repertuaru filharmonii i orkiestr symfonicznych weszła muzyka kompozytorów zachodnich. W sierpniu 1956 roku odbył się w Sopocie Pierwszy Festiwal Muzyki Jazzowej.

W klimacie październikowym powstał kulturalny ruch młodzieży studenckiej. Stworzyło go Pokolenie '56. Owocował społeczno-kulturalnymi periodykami, scenami kabaretowymi, klubami dyskusyjnymi, scenami teatralnymi, festiwalami muzycznymi. Kultura studencka była oryginalna, niemająca odpowiednika w innych krajach socjalistycznych, była (do progu lat osiemdziesiątych) „przestrzenią na swój sposób uprzywilejowaną, enklawą większej wolności twórczej, azyłem dla niepokornych bądź zbuntowanych artystów”¹³.

Październik 1956 otworzył drogę zasadniczym przemianom w całej polityce kulturalnej. Ile razy w późniejszych latach, kiedy – w różnych okolicznościach – zdarzało się upominać o prawa twórczości, zawsze powoływano się na tradycję Października, jak na miarę właściwej polityki kulturalnej.

* * *

Swoboda słowa, ożywienie intelektualne, ujawnianie będących dotychczas „tabu” negatywnych stron ustroju socjalistycznego zaniepokoiły władze polityczne. Szczególnie krytycznie oceniały publicystykę społeczną na łamach „Po prostu” i odsłaniające ciemne strony polskiego życia dokumenty filmowe. Już w 1957 roku wydały walkę „rewizjonizmowi”. W praktyce określenie to rozciągano również na niezależny ruch myśli, na wartościowe, odkrywcze publikacje.

Na X plenum Komitetu Centralnego PZPR Władysław Gomułka powiedział: „Rewizjoniści schodzą na manowce działalności skierowanej przeciw partii, staczając się nieraz na pozycje, które obiektywnie wyrażają dążenia prawicy społecznej. Jaskrawym przykładem tego jest ewolucja grupy »Po prostu«. Do jakich następstw prowadzi podobna działalność wskazuje fakt, że wokół sprawy »Po prostu« uruchomione zostały siły antysocjalistyczne, reakcja”¹⁴.

W październiku 1957 „Po prostu” już się nie ukazało, co opinia publiczna przyjęła jako administracyjne ograniczenie wolności słowa. Przeciwwagą „Po prostu” miała być „Polityka”, której pierwszy numer, pod redakcją Stefana Żółkiewskiego ukazał się w lutym 1957 roku.

W 1958 roku wprowadzono zmiany w składzie redakcji „Nowej Kultury”, na której łamach toczyła się dyskusja o istnieniu „Immanentnego zła socjalizmu”, ukazywały się reportaże doniesienia z wydarzeń na Węgrzech. W październiku tego roku obradowało XII plenum Komitetu Centralnego PZPR. Odpowiadający wówczas za sprawę kultury Jerzy Morawski tak przedstawił konsekwencje przyjętego w Październiku stosunku do twórców:

„Od dwóch lat partia unikała metod komenderowania czy nadawania z góry tematów twórczości naukowej i artystycznej. Nie kontynuowała również takiej polityki, którą określa się jako monopol marksizmu w nauce. Dopuszczano inne kierunki i metody badań uznając, że swoboda ścierania się różnych poglądów będzie pożyteczna również dla marksizmu. Ale to wszystko musi się dziać w określonych granicach. Jeśli tzw. »wolne starcie« miałyby spowodować górowanie poglądów burżuazyjnych i pseudomarkszystycznego rewizjonizmu, wynikłyby stąd szkody dla rozwoju kraju, w konsekwencji dla rozwoju i kultury. Szkody te byłyby wielokrotnie większe niż te, które można by spowodować przez stosowanie w szerszym stopniu środków administracyjnych dla eliminowania poglądów wrogich socjalizmowi”¹⁵.

W referacie Władysława Gomułki na III Zjeździe PZPR potępiona została „czarna literatura” w pesymistycznych barwach ukazująca ustrój socjalistyczny i polskie filmy „oderwane od konkretnych warunków społecznej rzeczywistości Polski budującej socjalizm oraz pesymistyczne w traktowaniu losów człowieka”¹⁶. Zadeklarowano odejście od niedobrych praktyk

¹¹ „Nowe Drogi” 1956, nr 7-8, s. 219.

¹² Zagajenie dyskusji na Walnym Zjeździe ZKP. „Teatr” 1957, nr 1.

¹³ Słowa jednego z animatorów kultury studenckiej, Edwarda Chudzińskiego, z książki *Kultura studencka. Zjawisko – Twórcy – Instytucje*. Pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, Kraków 2011, s. 8.

¹⁴ *Uchwały Komitetu Centralnego PZPR od II do III Zjazdu*. Warszawa 1959, s. 252-253. Zob. też: Barbara Łopieńska i Edward Szymański: *Stare numery*. Londyn 1956.

¹⁵ Cyt. za: Barbara Fijałkowska, *Polityka i twórcy...*, jak wyżej, s. 434.

¹⁶ Zob.: *III Zjazd PZPR. Stenogram. 10 III – 19 III 1959*. Warszawa 1959 oraz: *Partia i literaci. Dokumenty Biura Politycznego KC*

pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, ale też podporządkowanie polityki kulturalnej jednemu głównemu celowi – zwycięstwu ideologii marksizmu-leninizmu.

W 1959 roku Sekretariat Komitetu Centralnego PZPR przyjął *Uchwałę w sprawie sytuacji w Związku Literatów Polskich*. Zawierała opinię, że krytyka wypażeń socjalizmu przekształciła się w krytykę samego socjalizmu. Postanowiono zaostrzyć kontrolę cenzury w stosunku do utworów literackich przeprowadzających popaździernikowe rozrachunki. W wytycznych Sekretariatu KC PZPR w sprawie polityki kulturalnej w dziedzinie sztuki pięknych zwracano uwagę na niepożądane podchodzenie do sztuki oderwanej od problemów życia, hołdowanie zachodnim prądom abstrakcyjnym w sztuce. Postulowano sztukę „realistyczną, zwłaszcza społecznie zaangażowaną po stronie socjalizmu, zrozumiałą dla mas, pogłębiającą ich wiedzę o życiu”¹⁷.

5 czerwca 1963 roku doszło do spotkania zespołów redakcyjnych „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” z Władysławem Gomułą, który był za połączeniem obu pism i powołaniem w ich miejscach miejsce nowego. „Dlaczego trzeba połączyć?” – stawił Gomułka pytanie i odpowiadał na nie: „Dlatego, że jedno i drugie jest słabe, dlatego że jedno i drugie nie realizuje w istocie rzeczy linii partii na froncie kulturalnym”¹⁸. W miejsce „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” powstał w 1963 roku tygodnik społeczno-kulturalny „Kultura”, którego redakcja deklarowała walkę z „treściami burżuazyjnymi i z reakcyjną ideologią”¹⁹.

Nie udzielono zgody na wyświetlanie filmu *Ósmy dzień tygodnia* według opowiadania Marka Hłaski (film wszedł na ekrany dopiero w 1983 roku). Zakazano (po pięciu przedstawieniach) pokazywania *Ślubu* Witolda Gombrowicza w Teatrze Studenckim Politechniki Gliwickiej. Była to światowa prapremiera sztuki w reżyserii Jerzego Jarockiego.

Związek Literatów Polskich i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich protestowały przeciwko ograniczeniom wolności słowa. Domagały się nowych pism literackich, zwiększenia przydziału papieru na wydawanie utworów literatury pięknej. Pogarszanie się warunków rozwoju polskiej kultury doprowadziło do wystosowania do najwyższych władz państwowych *Listu 34*, nazwanego tak od liczby podpisanych pod nim wybitnych przedstawicieli świata kultury i nauki:

„Ograniczenie papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu domagają się zmiany polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję Państwa Polskiego i zgodnych z dobrem narodu”.

Pod listem podpisali się: Jerzy Andrzejewski, Maria Dąbrowska, Stanisław Dygat, Karol Estreicher, Marian Falski, Aleksander Gieysztor, Konrad Górski,

Paweł Hertz, Leopold Infeld, Paweł Jasienica, Mieczysław Jastrun, Stefan Kisielewski, Zofia Kossak-Szatkowska, Tadeusz Kotarbiński, Jan Kott, Anna Kowalska, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Kumaniecki, Edward Lipiński, Maria Ossowska, Stanisław Cat-Mackiewicz, Jan Parandowski, Stanisław Pigoń, Adolf Rudnicki, Artur Sandauer, Waclaw Sierpiński, Antoni Słonimski, Jan Szczepański, Władysław Tarkiewicz, Jerzy Turowicz, Melchior Wańkiewicz, Adam Ważyk, Kazimierz Wyka, Jerzy Zagórski.

List 34 wręczony premierowi Cyrankiewiczowi wywołał poruszenie w kręgach władzy nie tyle samą jego treścią, ile faktem, że nim go polski premier otrzymał, wcześniej – dla celów politycznych – został przekazany ośrodkom zagranicznym. Wprawdzie organizatorzy akcji i kolporterzy *Listu* temu zaprzeczali, ale ich zapewnienia nie były wiarygodne. Co spowodowało, że kilku jego sygnatariuszy (Aleksander Gieysztor, Konrad Górski, Leopold Infeld, Kazimierz Kumaniecki, Julian Krzyżanowski, Edward Lipiński, Jan Szczepański, Waclaw Sierpiński, Władysław Tarkiewicz, Kazimierz Wyka) podpisało adresowany do redaktora „Timesa” protest przeciw politycznemu wykorzystaniu tej akcji. Wydana po latach korespondencja Jerzego Giedroycia z Czesławem Miłoszem i Konstantym Jeleńskim rzuciła na nią dodatkowe światło²⁰.

Ograniczanie wolności słowa skłaniały niektórych autorów do publikowania poza krajem. Stanisław Cat-Mackiewicz współpracował (pod pseudonimem) z paryską „Kulturą”, Stefan Kisielewski (jako Józef Staliński) wydał w Paryżu współczesną powieść polityczną *Widok z góry*, Jan Nepomucen Miller drukował w londyńskich „Wiadomościach” (za co został skazany na 18 miesięcy więzienia z zawieszeniem na dwa lata).

Jacek Kuroń i Karol Modzelewski opublikowali w Paryżu *List otwarty do Partii*, w którym pisali o załamaniu się demokracji w Polsce, upominali się o wolność prasy, twórczości naukowej i artystycznej. Zostali za to skazani na trzy i pół roku więzienia.

W dziesiątą rocznicę Października, w 1966 roku, Leszek Kołakowski wygłosił na Uniwersytecie Warszawskim odczyt *Kultura polska w ostatnim dziesięcioleciu*. Wystąpił przeciwko praktyce, która była wyrazem pojmowania socjalizmu jako ustroju pozbawionego swobód politycznych. Domagał się uwolnienia Kurońa i Modzelewskiego. Rezultatem było usunięcie Kołakowskiego z PZPR, zawieszenie w prawach studenckich grona jego młodych zwolenników. Na znak protestu przeciw takiemu postępowaniu władz kilku pisarzy wystąpiło z partii.

* * *

Do ostrego konfliktu doszło na początku 1968 roku w związku z przedstawieniem *Dziadów* Adama Mic-

PZPR 1959. Wstępem i przypisami opatrzył Tadeusz Kisielewski. Łowicz 1996.

¹⁷ Zob. Barbara Fijałkowska, *Polityka i twórcy...* jak wyżej, s. 501

¹⁸ Andrzej Garlicki, *Z tajnych archiwów*. Warszawa 1993, s. 277-278.

¹⁹ Zob. Tomasz Mielczarek, *W gordyjskim węźle układu*. „Kultura” *Janusza Wilhelmięgo (1963-1973)*. „Rocznik Historii Prasy Polskiej”, t. III, z. 2.

²⁰ Zob. Jerzy Giedroyc, Konstanty Jeleński, *Listy 1950/1987*. Wybrał, opracował i wstępem opatrzył Wojciech Karpiński. Warszawa 1995, s. 365. Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1964-1969*. Opracował Marek Kornat. Warszawa 2011, s. 38-39. Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946-1969*. Część druga. Wybrał i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk. Warszawa 1998, s. 261. Jerzy Eisler, *List 34*. Warszawa 1993.

kiewiczza w inscenizacji Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym w Warszawie. Treść dramatu zawierała analogie do czasów współczesnych. Fragmenty tekstu Mickiewicza odpowiednio podane przez aktorów brzmiały jak wyraźne aluzje do współczesnej sytuacji w Polsce. Partie sztuki mówiące o zniewoleniu Polaków przez Rosję były odbierane jak aktualny komentarz do zależności Polski od Związku Radzieckiego. Toteż żywa reakcja widowni na spektaklach była demonstracją patriotyzmu i dążeń niepodległościowych.

Władze polityczne widząc, że przedstawienia *Dziadów* dają sposobność do manifestowania nastrojów antyradzieckich zdecydowały się zdjąć sztukę ze sceny, co musiało wywołać jeszcze silniejsze protesty w obronie narodowych wartości. Demonstracje wzburzonej młodzieży studenckiej Warszawy (popieranej przez inne ośrodki akademickie) były rozpędzane przez siły milicyjne z użyciem pałek i gazów łzawiących. Stosowanie przemocy powodowało eskalację protestów. Aresztowanie i relegowanie studentów wywoływały kolejne protesty w ich obronie. Władze nie ustępowały. Relegowano studentów, zwalniano solidaryzujących się z nimi profesorów. Do takich, godnych ubolewania posunięć – mimo nacisków miejscowych władz politycznych – nie doszło na Uniwersytecie Jagiellońskim dzięki zgodnemu działaniu władz uczelni i uniwersyteckiej organizacji partyjnej w obronie profesorów i studiującej młodzieży.

Uzasadnione niepokoje polskiej młodzieży nazwano w oficjalnych komentarzach zajściami wywołanymi przez „grupę wichrzycieli i awanturników politycznych” ze wskazaniem, że wywodzą się oni z rodzin politycznych dygnitarzy żydowskiego pochodzenia. I tu był drugi nurt „Marca '68”, korzeniami swymi sięgający wcześniejszej o rok wojny izraelsko-arabskiej, kiedy to państwa socjalistyczne (z wyjątkiem Rumunii) opowiedziały się po stronie państw arabskich i zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem.

W kręgu najwyższych władz państwowych doszło do zdymisjonowania Polaków żydowskiego pochodzenia. Towarzysząca tym wydarzeniom kampania polityczna odwoływała się do najniższych, prymitywnych pokładów antysemityzmu. Na zorganizowanych z inspiracji władz zgromadzeniach wywoływano antyżydowskie nastroje. Polacy żydowskiego pochodzenia, związani z ziemią i kulturą polską poczuli się zagrożeni i poniżeni. Spotykali się z wrogimi gestami z żądaniem opuszczenia kraju.

Wyemigrowało wówczas z Polski około 20.000 Żydów. Wśród nich zasłużeni i wybitni twórcy polskiej kultury. Zrodziły się krzywdy moralne, zawsze dotkliwe, a szczególnie bolesne po doświadczeniach drugiej wojny światowej i Holocaustu. Polska poniosła duże straty w dziedzinie szeroko pojętej kultury. Ucierpiła jej reputacja wśród narodów świata.

Dla pełnego obrazu trzeba jednak dodać, że w wielu polskich środowiskach twórczych potępiano przejawy antysemityzmu i podejmowano różne inicjatywy, by postawić mu skuteczną tamę. Nie mało polskich Żydów przywiązanych do polskiej kultury i w naszym kraju zakorzenionych – mino zjawisk

godnych ubolewania – zdecydowało się w Polsce pozostać i nadal dla jej dobra pracować.

Nie wszyscy z tych, którzy opuszczali wówczas Polskę, byli do tego zmuszeni. Znajdowali się wśród nich i tacy, do których odnoszą się słowa Jerzego Andrzejewskiego: „Wielu emigrowało przede wszystkim dlatego, że okoliczności stwarzały im dogodną okazję. Nie wydaje się, aby dobrymi przyjaciółmi Żydów byli ci, którzy ich zawsze i ryczałtem usprawiedliwiają”²¹. A Julian Strykowski zwrócił uwagę na jeszcze jeden element złożonego zjawiska: „A nie wolno pominąć faktu, że niektórzy Żydzi, dostojnicy reżimowi zasłużyli sobie na swój los”²².

Rok 1968 to również rok zbrojnej interwencji państw Układu Warszawskiego (z wyjątkiem Rumunii) przeciwko demokratycznemu i wolnościowemu ruchowi w Czechosłowacji. Jerzy Andrzejewski zwrócił się do Edwarda Goldstückera, prezesa Związku Pisarzy Czechosłowackich z wyrazami solidarności z twórcami i uczestnikami tego ruchu oraz z protestem przeciwko przemocy, w której i Polska brała udział. Na łamach paryskiego „Monde'u” protestował Sławomir Mrożek, co spowodowało nieobecność jego tekstów i sztuk teatralnych w Polsce do 1974 roku. W paryskiej „Kulturze” ukazał się Zygmunt Mycielski *List otwarty do muzyków czeskich i słowackich* z wyrazami solidarności i hołdu dla narodu walczącego o demokratyczne prawa i niezawisłość narodową.

Publikacje emigracyjne przenikały do kraju. Były ogniwem niezależnej myśli, dostarczały informacji, które w kraju nie przechodziły przez sito cenzury. Przekazywanie wydawnictw emigracyjnych do Polski było karane. W 1970 roku odbył się tzw. proces „Taterników”, w którym Małgorzata Szpakowska, Jakub Karpiński i Maciej Kozłowski skazani zostali na kary więzienia za przewożenie przez południową granicę „Kultury” paryskiej, wydawnictw Instytutu Literackiego i – z Pragi – *Manifestu 2000 słów*.

* * *

Do pierwszych lat siedemdziesiątych konflikty między środowiskami twórczymi a organami władzy dotyczącymi ograniczenia wolności słowa przybierały formę protestów, uchwał plenarnych posiedzeń związków twórczych, listów otwartych, interwencji indywidualnych. Dużo i skutecznie działał w tym zakresie Jarosław Iwaszkiewicz jako prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Wykorzystując osobisty autorytet i poprawne stosunki z władzami, którym zależało na tym, by nazwisko znanego pisarza wspierało ich poczynania, doprowadzał do zwolnienia wartościowych utworów literackich wstrzymywanych przez cenzurę, naj-

²¹ Jerzy Andrzejewski, *Z dnia na dzień 1972-1975*, Warszawa 1988, t.1, s. 235.

²² *Ocalony na Wschodzie*. Z Julianem Strykowskim rozmawia Piotr Szewc. Montricher (Suisse), 1991, s. 42. Zob. też: *Marzec '68. Między tragedią a podłością*, wstęp, wybór i opracowanie Grzegorz Sołtyśiak i Józef Stępień. Warszawa 1998. Kalendarium wydarzeń dotyczących Marca '68 (poczynając od wojny sześciodniowej na Bliskim Wschodzie oraz dokumenty związane z tymi wydarzeniami przynosi książka Marty Fik *Marcowa kultura. Wokół „Dziadów”. Literaci i władza. Kampania marcowa*, Warszawa 1995. Zob. też: Jerzy Eisler, *Marzec 1968*. Warszawa 1991.

częściej z powodu publicznych deklaracji ich autorów, którzy protestowali przeciw poprawkom do konstytucji w 1975 roku albo stawali w obronie robotników Płocka, Ursusa Radomia i podpisywali się pod deklaracjami Komitetu Obrony Robotników. Zakazy cenzorskie stawały się coraz częściej instrumentem „karania” autorów za ich zachowanie się w życiu publicznym. Na ich nazwiska był „zapis” cenzorski, co powodowało, że ich utwory były wstrzymywane, nie dopuszczane do żadnych form publikacji (w druku, na scenie, w telewizji, w radiu).

Twórcy stopniowo rezygnowali z obrony swych praw do głoszenia wolnego słowa protestami, apelami do władz, interwencjami, sporami z cenzurą. Zaczęli poszukiwać sposobów publikowania swych dzieł poza jej kontrolą. Biuletyny Komitetu Obrony Robotników informujące o nadużyciach służb porządkowych i resortu sprawiedliwości dały początek sieci periodyków i wydawnictw poza zasięgiem cenzury, co stawało się coraz powszechniejszą praktyką. W 1977 roku ukazał się pierwszy numer nielegalnego pisma literackiego pod tytułem „Zapis”. Początkowo w formie powielanego maszynopisu, później w coraz lepszej szacie poligraficznej. W październiku tegoż roku ukazał się pierwszy numer nielegalnego „Pulsu”, rok później kwartalnik polityczny „Krytyka”. Powstawały nielegalne firmy wydawnicze, które publikowały książki autorów krajowych zatrzymywanych przez cenzurę i przedrukowywały utwory autorów emigracyjnych (np. Niezależna Oficyna Wydawnicza, Krakowska Oficyna Wydawnicza). Ich działalność była zasilana środkami finansowymi i technicznymi przez ośrodki zagraniczne, głównie emigracyjne²³.

Istnienie pozaoficjalnego ruchu wydawniczego skłaniało władze do liberalizowania własnej polityki wydawniczej, tym bardziej że również po jej stronie wystąpiły dążenia podobne, aczkolwiek utrzymane w granicach legalności; w reformatorskim nurcie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nastawionym nie na obalenie ustroju, lecz na jego daleko idące zreformowanie. Taką pozycję zajmowało wielu autorów, działaczy, publicystów, na przykład z kręgu tygodnika „Polityka”.

A w Krakowie w 1975 roku powstało Stowarzyszenie Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”. Przewodniczył mu Tadeusz Hołuj. Stowarzyszenie, obejmujące swą działalnością cały kraj, organizowało dyskusje na temat kultury, literatury, polityki; spotkania twórców i działaczy. Umiało stworzyć klimat sprzyjający swobodnej wymianie poglądów. Podejmując aktualne, ważne problemy życia społecznego miało też pewien wpływ na zapadające decyzje władz. Ich przedstawiciele bowiem, uczestnicząc w tych spotkaniach lepiej poznawali racje pisarzy, artystów, intelektualistów zaniepokojonych stanem kraju. Poglądy i idee wykuwane w „kuźnicowych” dyskusjach mogły docierać do środowisk opiniotwórczych i decyzyjnych dzięki wydawanemu przez Stowarzyszenie kwartalnikowi, później miesięcznikowi „Zdanie”.

Literaturę emigracyjną do kraju wprowadzały także wydawnictwa państwowe oraz spotkania literackie jak na przykład Warszawska Jesień Poezji (w 1975 roku i powtarzana w latach następnych) z udziałem kil-

ku poetów emigracyjnych. W roku akademickim 1976/77 po raz pierwszy po wojnie prowadzony był na Uniwersytecie Jagiellońskim – przy wypełnionej po brzegi amfiteatralnej sali w Collegium Witkowskiego – całoroczny wykład o współczesnej literaturze emigracyjnej. Przełomowym momentem w procesie jej przenikania do kraju było przyznanie Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla w 1980 roku.

* * *

Sprawy kultury znalazły się także w obradach i dokumentach IX Zjazdu PZPR, który odbył się w lipcu 1981 roku. Stanisław Kania w referacie programowym mówił o upowszechnieniu średniego wykształcenia jako warunku awansu kulturalnego, o zwiększeniu odsetka młodzieży robotniczej i chłopskiej w liceach i na wyższych uczelniach i o budowaniu wysokiej pozycji społecznej nauczyciela. Zapewniał: „W polityce kulturalnej kultywować będziemy wielką tradycję naszego narodu tworzącą jego tożsamość i osobowość. Utrzymanie szerokich swobód twórczych pozostanie sprzyjającym warunkiem rozwoju wszystkich dziedzin kultury i sztuki”. Wszakże z istotnym zastrzeżeniem: „Nie będziemy jednak akceptować i upowszechniać [...] tych wypowiedzi i manifestacji, które nie mieszczą się w granicach szeroko pojętych interesów narodowych i międzynarodowych Polski oraz nie są wartościami humanistycznymi”²⁴. Zjazdowy Zespół XI zajmujący się problemami edukacji i kultury upominał się o zwiększenie nakładów na kulturę, o mecenat kulturalny ze strony związków zawodowych, organizacji społecznych, zakładów pracy, stowarzyszeń. „Zapewnienie powszechnego dostępu do podstawowych dóbr kultury winno zostać uznane za jedno z podstawowych świadczeń socjalnych państwa na rzecz społeczeństwa”²⁵.

Uchwała IX Zjazdu zobowiązywała do powstrzymania spadku realnych nakładów na kulturę, oświatę i naukę z budżetu państwa (np. w latach 1960-1970 nakłady te spadły z 0,6 proc. do 0,3 proc.) i zapewnienie ich wzrostu w bliskiej perspektywie z 0,6 proc. do 2,0 proc. budżetu. A co do warunków rozwoju kultury stwierdzała: „Kultura polska rozwija się w warunkach różnorodnych nurtów ideowych i światopoglądowych. Ta różnorodność i wzajemne przenikanie odmiennych prądów kulturowych dawały pozytywne owoce zawsze, gdy istniał klimat tolerancji, który jest trwałą wartością historii naszego narodu. Partia opowiada się za kontynuacją tej tradycji”²⁶.

We wrześniu tegoż roku powstał Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych skupiający 41 stowarzyszeń reprezentujących świat kultury i naukowych dyscyplin humanistycznych. Jednym z jego celów było doprowadzenie do ograniczenia działania cenzury. Kwestie te podjął również NSZZ „Solidarność” na swym I Ogólnopolskim Zjeździe w 1981 roku. 31 lipca 1981 roku Sejm przyjął ustawę o Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

²⁴ IX Nadzwyczajny Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej 14-20 lipca 1981 r. Stenogram obrad plenarnych, Warszawa 1983, s. 132-133.

²⁵ Tamże, s. 403.

²⁶ Tamże, s. 682.

²³ Zob. Jadwiga Czachowska, Beata Dorosz, *Literatura i krytyka poza cenzurą 1977-1989*. Wrocław 1991.

Była ona wynikiem kompromisu między wolą władz a żądaniami środowisk twórczych i „Solidarności”. Pewnym ograniczeniem swobody cenzora było wyliczenie w niej przypadków, w których wolno mu ingerować. Określono też, jakie publikacje nie podlegają cenzurze. Przewidziano możliwość zaskarżenia decyzji cenzora do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Niektórym redakcjom („Tygodnik Powszechny”, „Odra”) umożliwiono zaznaczanie miejsca, w których cenzor dokonał skreśleń, z podaniem prawnej podstawy jego decyzji.

* * *

Decyzję wprowadzenia stanu wojennego uzasadniał stan gospodarki polskiej wyniszczonej długotrwałymi strajkami, walką polityczną sięgającą fundamentów ekonomicznego bytu państwowego, uzależnionej od dostaw nośników energii ze Związku Radzieckiego. A także obawą przed interwencją zbrojną państw Układu Warszawskiego, która nieuchronnie doprowadziłaby do katastrofy narodowej na nieobliczalną skalę.

Duża część środowisk twórczych przyjęła tę decyzję ze zrozumieniem. Inna ich część, również niemała, w proteście przeciwko niej postanowiła bojkotować państwowe instytucje kulturalne, media, zwłaszcza telewizję; skupiała się wokół instytucji kościelnych. A wobec twórców, którzy zachowali się lojalnie w stosunku do władz polskiego państwa stosowała towarzyski i środowiskowy ostracyzm, zakłócała ich spektakle i koncerty, ich nazwiska umieszczała w „czarnej księdze kolaborantów”.

Dla polityki kulturalnej lata osiemdziesiąte były okresem cierpliwego poszukiwania porozumienia, wyjaśniającej perswazji. Był to czas trudnej i rzadko owocnej rozmowy władz ze społeczeństwem; rozmowy zakłócanej gwałtownymi wydarzeniami, których przyczyny – bywało – leżały po obydwu stronach wielkiego sporu²⁷.

Krokiem prowadzącym do stworzenia platformy porozumienia się przedstawicieli środowisk artystycznych i naukowych w tym trudnym czasie było powołanie przez Sejm Narodowej Rady Kultury jako ciała doradczego i opiniotwórczego rządu w kształtowaniu polityki kulturalnej państwa. W skład Rady weszło 160 przedstawicieli organizacji twórczych, politycznych, społecznych, naukowych, kulturalnych i organów administracji państwowej. Członków Rady – przy dużej rozbieżności poglądów ideowych i politycznych – łączyła troska o dobro polskiego państwa i narodowej kultury.

Na Zamku Królewskim w Warszawie odbywały się organizowane przez Radę Wieczory Zamkowe, które były okazją do spotkań i dyskusji z wybitnymi osobowościami Polski i zagranicą.

Głębokie, trudne do pokonania podziały wystąpiły w związkach twórczych. Niektóre z nich (np. ZPAP i SDP) władze były zmuszone rozwiązać się, gdyż ich zarządy stawały się ośrodkami politycznej opozycji. Niepokoje i fermenty wewnątrz Związku Literatów Polskich doprowadziły do jego rozwiązania i powoła-

nia nowej organizacji związkowej, o tej samej nazwie, o znacznie zmniejszonej liczebności. Twórcy literatury, którzy do niej nie przystąpili, po paru latach (w 1989 roku) utworzyli Stowarzyszenie Pisarzy Polskich²⁸.

W 1988 roku warszawska Grupa Dialogowa „Consensus” doprowadziła do spotkania przedstawicieli dwóch poróżnionych ze sobą grup pisarzy organizując dyskusję z tematem: „Literatura i książka w Polsce w 1988 roku”. Spotkanie lodów nie przełamało, ale było pożytecznym krokiem w procesie dochodzenia do późniejszych spotkań ważniejszych.

Kryzys panujący w środowisku teatralnym i aktorskim próbowano złagodzić (z częściowym powodzeniem) utworzeniem Teatru Rzeczpospolitej; na scenie Teatru Dramatycznego w Warszawie prezentowały swe najlepsze premiery teatry z różnych polskich miast. Z dużym trudem jednak teatr polski rozstawał się z cierpiętniczo-religijnym, bohaterko-patriotycznym, fałszywie brzmiącym patosem. W Teatrze Wybrzeża tytułowa postać *Irydiona* Zygmunta Krasieńskiego wystąpiła w szynelu polskiego żołnierza, sporo kłopotów sprawiały *Termopole polskie* Tadeusza Micińskiego w Teatrze Starym. A obrońcy przed władzami politycznymi wymagała premiera *Mordu w katedrze* Thomasa Stearnsa Eliota.

Uchwałą Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR *W sprawie pogłębienia jedności i skuteczności działań partii* z grudnia 1982 roku rozwiązano Stowarzyszenie Twórców i Działaczy „Kuźnica”. Biuro Polityczne uznało „za niecelowe dalsze istnienie tych organizacji, stowarzyszeń i klubów, których działalność w obecnych warunkach powoduje rozpraszanie sił partii oraz nie sprzyja utrwalanu jej, zgodnej z wymogami statutu, ideowo-politycznej i organizacyjnej jedności”²⁹.

Członkowie „Kuźnicy”, czując się reprezentantami polskiej lewicy, świadomi, że działalność ich stowarzyszenia przyczyniała się do społecznego porozumienia, nie ulegli rozproszeniu, lecz nadal działali, chociaż w innej formule prawnej – jako Klub „Krakowska Kuźnica” podległy władzom miasta Krakowa.

Ta sama uchwała dotyczyła „Zdania”, o którym po upływie ćwierci wieku, w związku z jej skutkami, pisał historyk prasy: „Wysoką popularność zyskał »gruby magazyn«, jakim było krakowskie, choć kolportowane w całym kraju, »Zdanie«. Czasopismo to do grudnia 1982 roku redagował Zbigniew Regucki”. Odwołano go „gdy władze PZPR zaczęły »ciąć po skrzydłach« i rozprawiły się z partyjnymi liberałami”³⁰.

Długo, bo co najmniej od połowy lat siedemdziesiątych torowało sobie drogę do ośrodków decyzyjnych przekonanie, że literatura polska jest jedna, że każde wartościowe dzieło literackie, w języku polskim napisane, niezależnie od miejsca na świecie, w którym powstało, należy do literatury polskiej. W latach osiemdziesiątych przekonanie to zyskało

²⁷ Zob. Mirosław Lewandowski, Maciej Gawlikowski, *Stan wojenny 1981-1982*. T. I. Kraków 2011.

²⁸ Fragmenty z dziejów sporów politycznych w środowisku literackim przedstawił Jan Józef Szczepański w *Kadencji* wydanej w „drugim obiegu” w 1983 roku. Przeciwny punkt widzenia przedstawił Marcin Kowalski [Witold Nawrocki] w artykule *Literatura i literaci w antysocjalistycznej opozycji*. „Trybuna Ludu” 29 i 30 czerwca 1983 roku.

²⁹ Cyt. za: „Trybuna Ludu” 20 XII 1982 roku.

³⁰ Tomasz Mielczarek, *Czasopisma społeczno-kulturalne lat osiemdziesiątych XX wieku*. „Rocznik Historii Prasy Polskiej”. T. XI (2008), z. 1-2 (21-22), s. 201.

już przewagę nad dotychczasowym odrzucaniem i przemilczaniem polskiej literatury emigracyjnej.

Na polskim rynku wydawniczym ukazywało się coraz więcej utworów pisarzy emigracyjnych, w tym dzieła Czesława Miłosza i – stanowiące duże wydanie kulturalne – wydanie przez Wydawnictwo Literackie *Dzieł* Witolda Gombrowicza, łącznie z jego *Dziennikiem*.

W listopadzie 1982 roku Instytut Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego urządził symposium poświęcone literaturze polskiej na obczyźnie. W lutym 1985 roku odbyła się ogólnopolska konferencja *Literatura Polski Ludowej. Oceny i prognozy*, zorganizowana przez Zespół Pisarzy Członków PZPR i Wydział Kultury KC PZPR. W licznych wystąpieniach poświęcano uwagę literaturze emigracyjnej z intencją wprowadzania jej w krajowy obieg czytelniczy.

A w maju 1989 roku na XXXIV Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie londyński księgarz i wydawca Jerzy Kulczycki na stoisku nie objętym kontrolą cenzury wystawiał książki wydane przez siebie i przez innych siedemnastu wydawców emigracyjnych z Francji i Anglii.

Stan wojenny, wprowadzony 13 grudnia 1981 roku, został zawieszony w nocy z 30 na 31 grudnia 1982 roku, a zniesiony 22 lipca roku następnego. Stopniowo traciło sens publikowanie utworów w nielegalnym „drugim obiegu”. Cenzura rozluźniała stosowane przez siebie rygory, a pisarze uświadamiali sobie, że „drugie obiegi” nie zapewni im dotarcia do licznych odbiorców, do jakich trafiają książki wydane przez państwowe oficyny. Toteż nawet ci, którzy początkowo ulegli „urokowi” „drugiego obiegu” wracali (jak np. Tadeusz Konwicki) pod skrzydła wydawnictw państwowych.

W ostatnich paru latach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej rząd polski wprowadzał reformy gospodarcze liczące się z prawami ekonomii i wolnego rynku. To co było zbawienne dla gospodarki narodowej, nie musiało równie dobrze służyć kulturze. Toteż w jej własnej obronie, z inicjatywą Wydziału Kultury KC PZPR, 26 lutego 1989 roku doszło do spotkania w Wilanowie, w którym uczestniczyli: przewodniczący Sejmowej Komisji Kultury, osoby zajmujące się sprawami kultury w ZSL, SD i PAX, minister kultury i sztuki, przewodniczący Narodowej Rady Kultury oraz sekretarz KC PZPR do spraw kultury. Gospodarzem spotkania była redakcja „Życia Warszawy”. Postanowiono stworzyć grupę nacisku na rzecz uchwalenia przez Sejm Karty Kultury Polskiej, która obligowałaby władze wykonawcze do respektowania interesów kultury narodowej i duchowych potrzeb społeczeństwa, i ustaliła stały procent budżetu przeznaczony na potrzeby kultury.

6 lutego 1989 roku w Pałacu Rady Ministrów w Warszawie zainaugurowano obrady „Okrągłego stołu”. Zakończyły się one 5 czerwca. 4 czerwca 1989 roku był bardzo ważnym dniem w powojennej historii Polski. W tym dniu odbyły się wybory do Sejmu na zasadach wynegocjowanych przy „Okrągłym stole”. Meldunki z przebiegu wyborów przeplatały się z doniesieniami z Chin o wydarzeniach na pekińskim Placu Niebiańskiego Spokoju. Przy użyciu czołgów, wozów pancernych, uzbrojonych oddziałów wojska i policji nie licząc się z wielką ilością śmiertelnych

ofiar, stłumiono demonstrację chińskiej młodzieży, która wystąpiła w obronie demokracji, swobód obywatelskich, praw człowieka.

Tego dnia wielkie zwycięstwo odniósł naród polski. Bo oto dzięki temu, że w różnych decydujących miejscach polskiej sceny politycznej, w „Solidarności”, w Kościele i w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej górę wzięło myślenie dojrzałe, o dużym poczuciu odpowiedzialności za państwo polskie, o szerszych horyzontach obywatelskich, postawiony został decydujący krok na drodze przechodzenia od systemu autorytarnego do demokracji parlamentarnej, od zależności od Związku Radzieckiego do niepodległości, wolności, demokracji. Bez tragicznych powikłań. Dla życia kulturalnego, twórców sztuki oznaczało to usunięcie kontroli cenzury (zniesiono ją definitywnie w 1990 roku), pełną wolność słowa i tworzenia.

* * *

Były dwa gwałtowne i wielkie zakręty w mędrzym nurcie polityki kulturalnej w latach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Pierwszy był spowodowany narzuceniem obcych polskiej kulturze rygorów i ograniczeń będących konsekwencją decyzji podjętych w 1947 roku na Konferencji Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych.

Drugi był zdecydowanym tych rygorów odrzuceniem w klimacie politycznym, którego znakiem jest „Październik '56”.

Od tego czasu życie kulturalne w Polsce biegło innym nurtem niż w pozostałych krajach socjalistycznych. Towarzyszące mu kolejne przesilenia były charakterystyczne dla ustroju autorytarnego, w którym władza polityczna strzegąca stanu swego posiadania dąży do utrzymania kontroli nad ruchem myśli i twórczości, a intelektualści i twórcy kultury bronią granic swojej wolności i dążą do ich umocnienia i poszerzenia. Dramatyczny proces pokonywania tych sprzeczności doprowadził do wyzwolenia się polskiej kultury z ograniczeń właściwych czasom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Stała się ona w obliczu nowych, odmiennych, ale nie mniej trudnych wyzwań.

Pisał o nich George Steiner: „W otwartych społeczeństwach kapitalistycznych Zachodu i prokapitalistycznych, postkomunistycznych krajach Wschodu istnieją takie formy cenzury, które są bardziej destrukcyjne niż te praktykowane przez jawny despotyzm. Możliwe, że wolny rynek masowej konsumpcji i czysto ekonomiczne cele masowych środków przekazu są bardziej niszczące dla jakości literacko-artystycznej i prawdziwej niezależności niż niebieski ołówek pekińskiego cenzora czy fatwy islamu”³¹. A mistrz słowa, Jorge Luis Borges, zapytany o niebezpieczeństwa, na jakie wystawieni byli pisarze pod rządami Perona, odpowiedział: „Cenzura jest matką metafory”³².

MARIAN STĘPIEŃ

³¹ George Steiner, *Mroczne przywileje cenzury* [w:] *Literatura i demokracja. Bezpieczne i niebezpieczne związki*, Warszawa 1995, s. 33.

³² Tamże.

ANDRZEJ KURZ

WŁADZA I TWÓRCY

Kultura Polski Ludowej, to znaczy kultura polska lat 1944-1989, przeżywała różne okresy rozwojowe, ale ogólnie charakteryzowała się ogromnym napięciem twórczym jednostek i środowisk intelektualnych i artystycznych oraz silnym, czasem przeciwnym, zaangażowaniem władzy w określanie i prowadzenie polityki kulturalnej. Celem tej polityki było udostępnienie całej kultury wszystkim warstwom społecznym, czyli jej demokratyzacja i awans kulturalny ludu. Ale równocześnie chodziło o powiązanie świadomości twórców z polityką państwa, a w kilku okresach wręcz o podporządkowanie ich wysiłku twórczego tej polityce.

Na politykę kulturalną władzy ludowej, szczególnie w jej pierwszej dekadzie, ale i na stosunek twórców do tej władzy wpływało kilka zasadniczych czynników.

Po pierwsze – autentyzm ludowej rewolucji, czyli dojście do głosu, choć nie do pełni władzy, ludu, to znaczy niezbyt licznej klasy robotniczej oraz wielkiej masy chłopskiej i plebejskiej. A także powstanie w tej rewolucji szansy urzeczywistnienia aspiracji twórczych przedwojennej, okrutnie doświadczonej przez wojnę i okupację, a najpełniej zaangażowanej w walkę narodowo-wyzwoleńczą – inteligencji.

Po drugie – żywiołowość entuzjazmu twórczego ujawnionego po zakończeniu wojny i okupacji. Tej, która niosła nie tylko śmierć i nieszczęście milionów, ale i okrucieństwo strachu i demoralizacji, podważenia wszelkich norm. Z tym twórczym entuzjazmem szła natychmiastowa odbudowa, a równocześnie bardzo znaczna rozbudowa instytucji oświaty, nauki i kultury oraz związanych z nimi środowisk, współdziałał świadomy zamiar sił politycznych nowo powstałej władzy.

Szczególne w nim rolę odgrywał programowy dla wiedzy i kultury szacunek, a i półwiekowe praktyczne doświadczenie włączania klasy robotniczej do obiegu wartości kulturalnych działającej do końca roku 1948 Polskiej Partii Socjalistycznej. Współbrzmiało z tym doświadczenie komunistów skupionych w Polskiej Partii Robotniczej, wśród których istotną rolę odgrywało niewielkie środowisko twórców, straszliwie przezebione nie tylko przez wojnę, ale i przez czystki i ideową agresję stalinizmu. A także animowane przez specyficzny ideał kulturalnego awansu mas oraz zasadę wnoszenia przez inteligencję rewolucyjnej świadomości do żywiołowego ruchu mas robotniczo-chłopskich.

I po trzecie – na to wszystko nakładał się, wraz z polityczną przemocą z zewnątrz, stalinowski model polityki kulturalnej, uznany przez polskich komunistów

za wzór. (Była to nie mająca alternatywy konsekwencja oddania Polski przez zwycięskie mocarstwa w strefę interesów i dominacji Związku Radzieckiego.) Ten trzeci czynnik stał się zupełnie jednoznaczny po wystąpieniu Konstantego Fadierewa na wrocławskim Kongresie Intelektualistów w roku 1948. Był to równocześnie jeden z przejawów zimnej wojny dwóch systemów, z jej okrutnymi dla Polski konsekwencjami.

Wpływ i trwałość tych trzech czynników przedstawiały się różnie w różnych okresach Polski Ludowej, w jej sprzecznościach rozwojowych. Zwłaszcza sprzeczności między siłami polskiego stalinizmu i naciskiem sowieckiego imperializmu a tym, co chyba trafnie było nazwane polską drogą do socjalizmu. Zarysowaną ideowo przez socjalistów, m.in. Juliana Hochfelda i Jana Strzeleckiego, a urzeczywistnianą w praktyce politycznej przez genialny oportunizm socjalistycznego lidera Józefa Cyrankiewicza, ale uznawaną także, choć w szczególnie sposób, przez lidera PPR Władysława Gomułkę.

Idea polskiej drogi do socjalizmu stała się niewątpliwie dominującą po głębokim polityczno-społecznym zwrocie Października 1956, choć nie zawsze otwarcie głoszoną, a także poddawaną w wątpliwość przez siły komunizmu, czy – mówiąc ściślej – neostalinizmu.

* * *

Już od początku Polski Ludowej w postawach twórców dominował wzór, który może zobrazować rozmowa dwóch wybitnych historyków, oficerów Komendy Głównej AK – Tadeusza Manteuffla i Aleksandra Gieysztora. Kiedy ten drugi chciał kontynuować po wojnie konspirację w strukturach organizacji WiN, pierwszy, starszy, rozkazał: „Teraz nie będzie żadnej partyzantki, tylko uniwersytet”. A wśród profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy przeżyli wojnę i okupację, tylko jeden odmówił, z przyczyn polityczno-ideowych, pracy w podejmującym powojenną działalność uniwersytecie.

Innym przykładem zachowań ludzi kultury w całym powojennym półwieczu może być działalność twórcza i postawa obywatelska dwóch niewątpliwie najwybitniejszych, światowej sławy pisarzy Jarosława Iwaszkiewicza i Tadeusza Różewicza. Wyrażali oni czynem zasadę, że powołaniem polskiego inteligenta jest zawsze – w każdym czasie i każdym systemie – wysiłek twórczy i kulturalne dźwiganie całego społeczeństwa.

Nie można także zapomnieć o regionalnych różnicach w sile i odwadze działania środowisk kulturalnych, a zwłaszcza w wyróżniającym się obok War-

szawy środowisku krakowskim i o opiekuńczej wobec tych środowisk roli niektórych wpływowych działaczy politycznych. Przykładem może być dyskretne wspieranie przez Józefa Cyrankiewicza inicjatyw środowiska krakowskiego i polityczna ochrona, jakiej udzielał np. takim wybitnym postaciom jak Karol Estreicher, Kazimierz Wyka, czy Marian Eile i jego „Przekrój”.

* * *

Wśród okresów Polski Ludowej wyróżnić trzeba niesłychanie płodny czas powojenny, 1945-1948, o silnych cechach żywiołowości, ale naznaczony politycznie nie tylko przez PPR, PPS, lecz także Polskie Stronnictwo Ludowe i Kościół.

Następuje potem czas stalinizacji i sowietyzacji Polski, 1949-1954, lecz często pożyteczny dla ludu przez rozbudowywanie instytucji kultury i proces wielkiego awansu oświatowego i kulturalnego.

Potem okres 1955-1963, bezpośrednio przed i dość długo po Październiku '56, który przyniósł fundamentalne i mimo różnych zahamowań trwałe swobody kulturalne oraz otwarcie na Zachód.

Rozpoczął się wtedy, trwający do ustrojowego przewrotu roku 1989, proces odchodzenia od komunizmu, zanalizowany najgłębiej przez prof. Andrzeja Walickiego, ostatnio w wydanej w „Bibliotece Kuźnicy” książce *Od komunistycznego projektu do neoliberalnej utopii*. W okresie tym nastąpiły dwa krótkie paroksyzmy o charakterze reakcyjnym. Pierwszy związany symbolicznie z Marcem 1968, a poparty przez sporą część społeczeństwa o postawach ksenofobiczno-antyinteligentkich, drugi, rozpoczęty 13 grudnia 1981, o charakterze wojskowego zamachu stanu, zmieniony wkrótce zresztą w próbę powrotu do polskiej drogi do socjalizmu, zakończony jednak pełnym krachem ustrojowym.

* * *

Już od początku lat 60., wraz z odchodzeniem od polityczno-państwowych haseł Października '56 następowała odbudowa i rozbudowa struktur aparatu przemocy, zwłaszcza nakierowanych na infiltrację i manipulację środowiskami inteligentnymi oraz klerem, traktowanymi jako substytut przeciwnika klasowego. A w roku 1964 użyto przemocy państwowej nawet w stosunku do nosicieli idei zrodzonych wewnątrz partii.

W tym samym roku 1964 zastosowano agresję polityczno-propagandową w związku z tzw. Listem 34, skierowanym do premiera. W liście tym najwybitniejsi przedstawiciele środowisk twórczych zaprotestowali na gruncie obywatelskim, powołując się na Konstytucję PRL, przeciw niedostatkowi papieru na książki i przestępstwu cenzury. Zabiegom premiera Cyrankiewicza, który przekonał Gomułkę, że list jest tylko „śmierdzącą bombą” podrzucaną przez Antoniego Stonimskiego zardzosiłego o państwową fetę urządzoną Jarosławowi Iwaszkiewiczowi w 70. rocznicę jego urodzin, represji zaniechano. Paradoksalnie, wydarzenie to pokazuje jak ogromną rolę w życiu publicznym i polityce państwowej odgrywali twórcy.

Zwraca tu uwagę wspomniana już postać Iwaszkiewicza, najwybitniejszego od czasów wojny auto-

rytetu w środowiskach twórczych. Przez wszystkie okresy Polski Ludowej wykorzystywał swoją pozycję „pozytywnego bezpartyjnego” do przekonywania władzy do swoich cichych postulatów. Były one w gruncie rzeczy przesłankami specyficznej polityki kulturalnej, a można ją sprowadzić do dwóch zasad: twórca ma prawo żyć ze swej twórczości (to znaczy być wynagradzany przez państwowy mecenat) i ma prawo do kontaktu z kulturą światową (tzn. do paszportu). Pacyfikująca konflikty rola Iwaszkiewicza wzrosła szczególnie w dekadzie Gierka i trwała aż do śmierci sędziwego pisarza, która symbolicznie zbiegła się z końcem tej dekady.

* * *

W ten sposób znaleźliśmy się w latach 70., w dekadzie, która we współczesnej opinii publicznej uważana jest za najlepszy okres Polski Ludowej. Przyniósł on bowiem największy wzrost konsumpcji i udogodnień społecznych, w tym zasadnicze zwiększenie substancji mieszkaniowej i dobrobytu wsi, a także otwarcie na Zachód. Zakończył się jednak wielkim gospodarczym załamaniem i agresywną wobec władzy frustracją mas miejskich.

Grudniowy zwrot roku 1970 zamknął w zasadniczej mierze okres plebejsko-nacjonalistycznego, antyinteligentkiego i antysemitckiego paroksyzmu Marca 1968. Nowy etap rozpoczął się zapowiedzią wielkich reform w dziedzinie polityki, administracji i życia wewnątrzpartyjnego oraz oświaty, nauki i kultury, ale przede wszystkim gospodarki. Najlepiej była przygotowana pod kierownictwem wielkiego socjologa, prof. Jana Szczepańskiego, światła i nowoczesna reforma oświaty. Zawierała także ważne zapisy dotyczące kulturalnej roli szkoły. Jednakże (tak zresztą jak wszystkie pozostałe reformy) została wkrótce ograniczona i spłycona pod naciskiem inwestycyjnych żądań gospodarki i jej militarno-międzynarodowych zobowiązań oraz niskich horyzontów ekipy technokratów, która doszła do władzy. Ich symbolem może być choćby wpływowy w ideologii i gospodarce Jan Szydłak czy rządzący Śląskiem Zdzisław Grudzień.

Ale w pierwszych latach tej dekady, obok znacznego wzrostu konsumpcji materialnej i nadziei na nadejście dobrobytu, nastąpił rzeczywisty wzrost wolności twórczych i rozwój bazy materialnej w nauce i kulturze. Istotne zmiany w dziedzinie kultury, jej znaczenia i liberalizacji stosunków z władzą zostały zapowiedziane w tezach na VI Zjazd partii, mocno zbliżonych do programu narady wawelskiej krakowskich środowisk twórczych, odbytej w październiku 1971 r. z udziałem nowych kierowników polityki kulturalnej – Józefa Tejchmy i Wincentego Kraški. Ale już sama uchwała zjazdowa była w stosunku do liberalizmu i otwartości tych tez krokiem wstecz. Zaś w połowie dekady światła ekipa kierująca polityką kulturalną w Komitecie Centralnym partii i w ministerstwie kultury (w jej skład wchodził m.in. Tejchma, Kraško, Lucjan Motyka, Jerzy Kwiatek czy Aleksander Syczewski) uległa wymianie na rzecz ekipy jednego z animatorów marca 1968 – Jerzego Łukaszewicza.

Trzeba jednak przyznać, że realizowana pod wpływem Śląska tendencja decentralizacyjna sprzyjała np.

rozwojowi i świątym inicjatywom środowisk kultury i nauki Krakowa, animowanym przez politycznego lidera regionu – Józefa Klase, także zresztą odwołanego z tej funkcji w roku 1975. Spektakularnym przejawem tego szczytowego okresu były Krakowskie Dni Kultury w Warszawie, wielowątkowa impreza dobrze zdokumentowana w książce Jana Brońka.

W Warszawie był to również czas rozkwitu inicjatyw kulturalnych, w tym np. twórczości filmowej pod polityczną opieką ministrów Teichmy i Mieczysława Wojtaczaka.

Jednakże niemal równocześnie, ale szczególnie w drugiej połowie dekady wzrosła w systemie władzy polityczna rola Służby Bezpieczeństwa. Ostawiony III Departament rozwinął system inwigilacji i donosów na twórców oraz manipulowania zapisami cenzuralnymi. Sprowokowane zostało w ten sposób nie tylko zjawisko tzw. drugiego obiegu wydawniczego, powstał też głęboki rozłam polityczno-ideowy w samych środowiskach twórczych i ich organizacjach. Doprowadziło to w następnej dekadzie do ich wrogiego podziału, a w konsekwencji do zupełnej marginalizacji tych środowisk w życiu publicznym.

Wysiłki wydawców, aby nie dawać podstaw merytorycznych drugiemu obiegowi, to znaczy dopuszczać zakazy typu cenzuralnego jedynie w przypadku naruszenia przez dzieło (a nie przez twórcę) politycznej racji stanu, dały ograniczone wyniki. Władze uznały np. zasadę jedności polskiej literatury krajowej i emigracyjnej. Warto też przytoczyć mało znany przykład materialnej pomocy twórcom. Przy ministrze Syczewskim działała komisja rozdziału zapomóg i stypendiów. Uczestniczyli w niej tylko: wiceprezes Związku Literatów Polskich, bohaterka antyhitlerowskiego Ruchu Oporu a wybitna pisarka Halina Auderska i trzech szefów czołowych oficyn literackich. Olbrzymie środki pieniężne pochodzące z zysków z masowych wydań polskiej klasyki, rozdzielano na tej komisji między wszystkich potrzebujących pomocy pisarzy, bez względu na ich postawę polityczną. Opublikowanie nazwisk korzystających z tej pomocy opozycjonistów wzbudziłoby dziś sensację.

Podobnie zresztą jak zestaw nazwisk twórców zabiegających o łaski Macieja Szczepańskiego, potężnego, bo zależnego tylko od Edwarda Gierka, szefa Telewizji i Radia. Telewizja tego okresu stała się ogromnej wagi i jakości, otwartym na Zachód instrumentem kultury wysokiej, a także powszechnej, na wielkim poziomie rozrywki. Obniżało wartość programu Telewizji i Radia polityczne zakłamanie, bezkrytyczne propagowanie sukcesu władzy i uwielbienia I sekretarza KC, a także próby manipulowania twórcami.

* * *

W drugiej połowie lat 70. powstała antysystemowa opozycja polityczna wzmocniona przez sprzyjającą jej działalność Kościoła (pogłębiało się to zwłaszcza ze słabnącym zdrowiem, a potem śmiercią prymasa Stefana Wyszyńskiego, który w rozumieniu polskiej racji stanu był bliski Gomułce i Gierkowi). Pozycja Kościoła umocniła się niezwykłe przez wybór Karola Wojtyły na papieża i jego bezpośredni wpływ na masy Polaków. Z tym wszystkim zbiegło się poczucie frustracji mas wywołane przez narastający kryzys ekonomiczny i pro-

pagandowe fałsze oraz represyjne poczynania aparatu przemocy. Wszystko to zachwiało podstawami systemu Polski Ludowej.

Załamane zostały również wewnątrzsystemowe wysiłki zmierzające do dobrej zmiany także w dziedzinie kultury (w rodzaju powołanej w Krakowie lewicowej „Kuźnicy”), a przede wszystkim początkowy rozmach przygotowań do reformatorskiego IX Zjazdu partii, wraz z żądaniem zmiany ekipy kierowniczej i zmiany sposobu sprawowania przez nią władzy.

Inicjatywę wobec społeczeństwa przejęła opozycja wraz z wybuchem fali strajków w lipcu i sierpniu 1980 roku, powstaniem „Solidarności” i mitu Lecha Wałęsy, do którego rydwanu przybiegło także wielu twórców.

* * *

Stan wojenny nie uratował Polski Ludowej. Nie dokonała tego ranga jej kultury, wielkość znakomitych w 45-leciu twórców, ich dzieł i wspaniałych okresów twórczych, które przyciągnęły także światowe zainteresowanie polską kulturą nieporównywalne ze stanem dzisiejszym, ani nowa polityka kulturalna oparta na znakomitej ustawie z maja 1982 roku animowanej przez Mieczysława Rakowskiego i Hieronima Kubiaka. Ta nowa polityka kulturalna w latach 80. przechodziła jednak różne wahania. Stałe było w niej ogromne zwiększenie środków na kulturę w budżecie państwa. Jednakże do głosu w polityce kulturalnej dochodzili okresami, zwłaszcza po odwołaniu Kubiaka z kierownictwa partii, twardogłowi i popierani przez bezpieczeństwo karierowicze w rodzaju Stefana Olszowskiego i Waldemara Świrgonia, wykorzystujący wahania Wojciecha Jaruzelskiego (osobiście zresztą okazującego zainteresowanie i szacunek dla kultury i jej twórców) oraz polityczny krok wstecz uczyniony na X Zjeździe PZPR w roku 1986.

Jednakże powołanie (przez tegoż Wojciecha Jaruzelskiego) Mieczysława Rakowskiego do Biura Politycznego, a następnie na stanowisko premiera w roku 1988 oznaczało pełną liberalizację polityki kulturalnej. Jej ster objęli związani z „Kuźnicą” krakowscy profesorem – sekretarz KC Marian Stępień i minister kultury i sztuki Aleksander Krawczuk. Została faktycznie zniesiona cenzura i ograniczenia przywozu książek i prasy z zagranicy, uznano oficjalnie i zwolniono od policyjnych prześladowań tzw. drugi obieg. Ostentacyjnym symbolem nowej polityki stała się wizyta premiera rządu PRL Rakowskiego na warszawskim przedstawieniu sztuki Vaclava Havla – podówczas jeszcze więźnia czechosłowackiej bezpieki i oficjalna obecność wydziałowych emigracyjnych i drugoobiegowych na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie.

* * *

Frustracja społeczeństwa, szczególnie oszukiwanej i samooszukującej się mirażem zachodniego poziomu konsumpcji klasy robotniczej oraz omamionej mirażem kapitalistycznej wolności (bez równości) inteligencji, a przede wszystkim paraliż i lęk sił PZPR-owskiej lewicy, czującej rozczarowanie i odpowiedzialność za całe złe przeszłości, w tym i za upokorzenia w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, doprowadziły do pełnego upadku Polski Ludowej. Co

więcej, umożliwiły rozpętanie fali prawicowego odwetu i zatarcia przez nacjonalistyczną i fundamentalnie religijną prawicę zasadniczych różnic w siłach popierających Polskę Ludową. Różnic między tymi, którzy stali na gruncie polskiej racji stanu i liberalizacji, a tymi, którzy z pobudek komunistycznych lub karierowiczostwa popierali działania aparatu przemocy skłonnego do bezprawia.

Dziś jedni i drudzy to ludzie odchodzący z tego świata, ale to nie powód, aby nie dawać świadectwa historycznej prawdzie, tak różnej od politycznej poprawności i medialnego, a także szkolnego, agresywnego banału.

Zaś III Rzeczpospolita przeciwstawiła Polsce Ludowej od samego początku programowy brak polityki kulturalnej, rozpad środowisk twórczych i upadek autorytetu twórców.

Dziś stoimy przed nową epoką kulturalno-cywilizacyjną. Ale jest to, jak się wydaje, problem całej ludzkości.

ANDRZEJ KURZ

17 maja 2014 r.

(wykorzystałem tekst, który wygłosiłem na konferencji *Kultura lat 70.*, 20 listopada 2013 r. w Sejmie RP)

MIECZYŚLAW WOJTCZAK

GŁÓWNE NURTY KINA POLSKIEGO (1956-1981)

Winien jestem wyjaśnienie, a może i usprawiedliwienie, dlaczego w tym co piszę, będzie dużo treści związanych z politycznymi uwarunkowaniami, w jakich działali twórcy filmowi w omawianym okresie. Poznawałem różne sfery rozwoju polskiego filmu nie tylko jako widz, ale również jako jeden z kolejnych szefów kinematografii, a więc w wielu wydarzeniach uczestniczyłem, dlatego pominięcie politycznej perspektywy byłoby nonsensem.

Burza polityczna roku 1956 przyniosła naszej kinematografii klimaty nieosiągalne w poprzednich latach. Odstępiono od bermanowskiej koncepcji planowania twórczości według politycznych kryteriów, nastąpiło twórcze ożywienie środowiska filmowego, ujawniły się prawdziwe inicjatywy programowe zespołów. Kino stało się przemysłem, co stwarzało szersze możliwości rozwoju. Poprawiły się warunki i atmosfera pracy w wytwórniach. W rezultacie, w 1957 r. powstało 14 obrazów, czyli podwoiła się liczba filmów w stosunku do minionych dwóch lat. Tworzyła się nowoczesna odrębna „polska szkoła filmowa”, konkurująca z filmem włoskim, francuskim, angielskim. Widzowie zostali pobudzeni do publicznej rozmowy o polskim filmie, czego wyrazem były powstające w całym kraju kluby dyskusyjne.

Jednakże polityczna atmosfera wokół nowych zjawisk od początku nasycona było ostrożnością, podejrzeniami, wątpliwościami, a nawet kategorycznymi sprzeciwami. Przypomnę reakcję na *Popiół i diament*. Film wzbudził wątpliwości wśród samych filmowców, nie mówiąc już o działaczach polityki i kultury. Wajda i autor scenariusza Jerzy Andrzejewski mieli podstawy

do zaniepokojenia pierwszymi reakcjami ówczesnego szefa kinematografii. Dopiero pokaz w KC PZPR rozwiął niepokoje o akceptację. Ale pojawiły się opinie, że taki film mógł stworzyć tylko wróg socjalizmu. W obronie filmu stanęli przede wszystkim krytycy i publicyści różnych orientacji: Alicja Helman, Aleksander Jackiewicz, Bolesław Michatek, Jerzy Płazewski czy Zygmunt Kałużyński. KTT w „Nowej Kulturze” napisał, że dzieło Wajdy, „jest wkroczeniem w nową, nieznaną dotychczas dziejom formację. Nazwałbym ją raczej socjalizmem... W tej formacji stanęło przed kinematografią jedno tylko zadanie: służyć ludziom i prawdzie”.

Nie można zapomnieć, że polska szkoła filmowa nie wyrastała na ugorze... Pierwsze wybitne filmy pojawiły się już w pierwszej połowie lat 50. (*Piątka z ulicy Barskiej* Forda, *Celuloza*, *Pod gwiazdą frygijską* i *Cień Kawalerowicza*, *Pokolenie Wajdy*, *Godziny nadziei* Rybkowskiego, *Opowieść atlantycka* Jakubowskiej, *Człowiek na torze* Munka, *Zimowy zmierzch* Lenartowicza).

Przypomnę, że określenie „polska szkoła” pojawiło się we Francji, a znany radziecki krytyk, Amninskij, pisał w artykule *Film polski w oczach krytyki radzieckiej*, że „zjawisko szkoły polskiej posiada jakby dwa aspekty. Mamy jej polskie pochodzenie i rezonans światowy. Z punktu widzenia narodowej genezy triumf filmu polskiego wcale nie jest zaskakujący: można bowiem dać w pełni logiczne wyjaśnienie zjawiska. Wywodzi się ono z tradycji przeszłości i współczesnych uwarunkowań. Tu nie ma żadnego cudu. Ale fakt, że świat dojrzał w filmach Wajdy, Munka, Kawalerowicza, [...] że filmy te stały się szczytem rozwoju ducha oraz to,

że byliśmy gotowi przyjąć tragedię polską za swoją – to jest cud”.

Bądźmy sprawiedliwi. Nie znaczy to, że po przejściu fali polskiej szkoły nie powstały dzieła wybitne. Sięgały one jednak korzeniami owej szkoły, co potwierdziły głównie *Pasażerka* Munka i *Jak być kochaną* Hasa. Na wybitniejszy obraz współczesny przyszło nam jednak czekać aż do roku 1965, kiedy pojawił się film *Miejsce dla jednego* (reż. Witold Lesiewicz), ukazujący dramatycznie i sensacyjnie postawy ludzi kierujących kombinatami przemysłowymi. Życzliwie potraktowano również utwory o problematyce wojennej i okupacyjnej oraz adaptacje klasyki narodowej (*Faraon* Kawalerowicza, *Rękopis znaleziony w Saragossie* Hasa, *Papioły* Wajdy).

Na przełomie lat 50. i 60. do twórczości filmowej szerzej wkraczało nowe pokolenie realizatorów, przede wszystkim absolwenci Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Następowo również przesunięcie zainteresowań od przeszłości okupacyjnej, co było treścią szkoły polskiej, w kierunku tematyki współczesnej.

Polską szkołą filmową tworzyli ludzie jednego pokolenia, urodzeni w latach 20. – wspomniani już Kawalerowicz, Has, Wajda, Munk, Chmielewski i Lesiewicz. Nie myśleli o jakimś manifeście czy zorganizowanej przynależności, łączyła ich bliskość idei i wymowa ich społecznych dzieł. Wspólna czy podobna przeszłość dyktowała im, dzięki możliwościom stwarzanym w polityce przez powrót Gomułki, uprawianie twórczości będącej, jak określił Jerzy Toeplitz, „obrażeniem z okupacyjną przeszłością i problemem samotności człowieka we współczesnym świecie”. Stąd w twórczości brała się „pochwała bohaterstwa i krytyka bohaterszczyzny”, a także tematyka „romantycznych wzlotów i racjonalistycznej krytyki”. Ale po *Pokoleniu* i później, po *Kanale*, wzmożyły się burzliwe dyskusje. Jednak prawdziwym powodem rozdrażnienia części widzów była *Eroica* Munka, dzieło mówiące, że „samo bohaterstwo dla odniesienia zwycięstwa nie wystarczy”, chociaż „bohaterstwo jest tradycją tak zakorzenioną, iż trudno Polakom bez niej żyć”. Po raz pierwszy w historii naszego filmu protesty pod hasłem „świętości nie szargać” wypowiedziano zdecydowanie. Z wyjątkiem *Krzyża Walecznych* Kutza i *Pożegnań* Hasa.

Część aparatu partyjnego i krytyków, przyjmując z aprobatą dynamiczny rozwój twórczości filmowej sygnalizowała opinie, że niektóre filmy zniekształcają przeszłość, gdyż twórcy, przeceniając zmagania o wyzwolenie narodowe zapominają o walce o sprawiedliwość społeczną. W sporach uznano m.in. *Papiół i diament* Wajdy za film najbardziej dojrzały, ponieważ prawdziwie uwidocznił tragedię dwóch bohaterów: „wyklętego” Maćka Chelmickiego i działacza partyjnego Szczukę. *Lotna*, będąca ostatnią wypowiedzią szkoły polskiej, wywołała burzę i zarzuty, że Wajda nie przedstawił prawdziwego obrazu września 1939 r. Odczytano też, że Andrzej Munk w *Zezowatym szczęściu* poprzez losy Piszczyka przesadnie ukazywał groteskową przedwojenną pychę mocarstwową obozu sanacyjnego. Jednakże ponadczasową wartością tych dzieł jest to, że było i chyba jest o co się spierać...

Obok bohaterstwa, ale i „bohaterstwu”, w twórczości okresu szkoły polskiej głównym tematem była „samotność człowieka”. Coraz częściej jednak pojawia-

li się – jak głoszą – bohaterowie bez wyrazu, nieoddający obrazu rzeczywistości.

Koniec polskiej szkoły filmowej na początku lat 60. nie był czymś nadzwyczajnym. Nie odbiegaliśmy od doświadczeń innych kinematografii (klasyczna szkoła radzieckiego filmu w latach 20., włoska szkoła filmowa czy szwedzka szkoła filmowa). W Polsce, licząc od premiery *Pokolenia* do wejścia na ekrany *Jak być kochaną*, znajdowaliśmy się w podobnej sytuacji.

Okres popaździernikowy, nazwany przez Jerzego Toeplitza „tłustymi latami”, szybko dobiegał końca, ale dalej na ekranach pojawiały się znaczące obrazy. W 1959 r. Wajda zaprezentował *Lotną*. Jerzy Kawalerowicz po zrealizowaniu *Pociągu* pracował już nad *Matką Joanną od Aniołów*, która w 1961 roku wywołała burzliwą reakcję i oficjalny ostry protest episkopatu. Po awanturze wokół *Bazy ludzi umarłych* Petelscy szykowali *Ogniomistrza Kalenia*, film ukazujący walkę w 1946 r. w Bieszczadach, między wojskami polskimi a bandami nacjonalistów ukraińskich, dramatycznymi obrazami wywołujący ogromne zainteresowanie społeczne. Śmierć naszych żołnierzy, wpędzonych na pole minowe oraz wstrząsające egzekucje toporem, przypomniały zbrodnie banderowców.

Na ekranach można było oglądać *Pętlę* i *Pożegnania* Hasa. *Eroica* Munka, a później *Zezowate szczęście* – każdy obraz przemawiał odrębnym językiem. Do udanych obrazów zaliczano także *Wolne miasto* Różewicza.

I oto zaczęły się pojawiać się coraz większe rozbieżności w opiniach między władzą polityczną a środowiskami kultury. Niezadowolone budziła seria tzw. czarnych filmów. Różnice w ocenach panowały również w aparacie Komitetu Centralnego PZPR. Objęcie przez Edwarda Ochaba, po dymisji sekretarza KC Jerzego Morawskiego, politycznego nadzoru nad kulturą i następnie uchwała Sekretariatu KC PZPR z czerwca 1960 r., zapoczątkowało okres zaostrzenia kursu polityki kulturalnej.

Podczas spotkania filmowców w Spale minister Tadeusz Galiński powołując się na postanowienia kierownictwa partii oświadczył, że twórczość filmowa nie należy współgrać z potrzebami społeczeństwa, z polityką partii i rządu oraz że reprezentuje niekiedy obcą socjalizmowi ideologię. W dyskusję włączył się również Karol Kuryluk, występując w obronie filmu *Ósmy dzień tygodnia* Forda, według scenariusza Marka Hłaski, w koprodukcji z firmą zachodnioniemiecką.

Krytyczne oceny sytuacji w kinematografii w 1960 r. miały źródła już w latach 1958/1959, kiedy pojawiły się sygnały kryzysu polskiej szkoły filmowej. Powody do niepokoju dawała zwłaszcza narada kinematografii krajów socjalistycznych w Pradze już w 1957 r., kiedy to delegacja polska (Kawalerowicz, Ford, J. Toeplitz) nie zgodziła się na zapis w uchwale, że „realizm socjalistyczny jest jedyną metodą twórczej wypowiedzi, a opowiedziało się za pozostawieniem swobody artystycznych wyborów”.

Tymczasem jednak niesłabnące debaty środowiskowe, prasowe i analizy polityczne nie miały większego wpływu na twórczość filmową. Nawet zamieszczenie wokół „Listu 34”, które pochłaniało bez reszty uwagę pisarzy i polityków, nie miały wielkiego wpływu na pracę nad nowymi scenariuszami i realizacjami. W 1963

r. pojawiło się na ekranach aż 26 nowych obrazów, a w 1964 r. – 25.

Filmowcy nie uczestniczyli w takim stopniu jak inne środowiska w wydarzeniach związanych ze zdjęciem ze sceny Teatru Narodowego *Dziadów*. W tym czasie skupiali uwagę na niemożności sformułowania przez zespoły realnego planu produkcji. Ze zgłoszonych 100 propozycji tylko część uzyskiwała zgodę na realizację. Po tłustych wcześniejszych latach kinematografii polskiej groził poważny kryzys, nie tylko z powodów politycznych, lecz także z braku twórczej weny i z nieudolności zespołów filmowych. Główną sprawą w środowisku stało się zatrzymanie w 1967 r. filmu *Ręce do góry* Skolimowskiego, będącego pierwszą próbą krytycznej oceny okresu stalinizmu. Charakterystyczne, że młodzież filmowa nie uczestniczyła masowo w wydarzeniach marcowych 1968 r. Po tych wydarzeniach działało już inaczej. Liczne publikacje w „Ekranie”, „Prawie i Życiu”, atakowały wykorzystywanie instytucji filmowych dla osiągnięcia indywidualnych korzyści materialnych oraz system koprodukcji i filmowej współpracy z zagranicą. Nie oszczędzono i łódzkiej „filmówki”, co spowodowało, jak pamiętamy, odwołanie rektora Jerzego Toeplitza.

Główne uderzenie prasy filmowej skupiło się na zespołach, obwinianych za słabości polskiego filmu, koncentrowaniu zainteresowania niektórych reżyserów i kierowników produkcji na współpracy z Zachodem. W „Ekranie” ogłoszono nawet, że na szczęście przerwano w porę realizację *Doktora Korczaka* oraz postawiono zarzut Filmowi Polskiemu uprawiania zachodniemieckiej propagandy i dywersji politycznej.

Wywołało to wzburzenie i serię oskarżeń w samym środowisku. Na tym tle nastąpiły wyraźne podziały wśród filmowców. Rozpoczęto ostry atak z żądaniem zmian w kierownictwie Naczelnego Zarządu Kinematografii. Stawiano zarzuty znanym filmowcom za realizowanie przez ich zespoły filmów na zamówienie kinematografii i telewizji zachodniemieckiej. Na czele nowych zespołów stanęli: Czesław Petelski, Stanisław Różewicz, Antoni Bohdziewicz (a po jego śmierci Jerzy Passendorfer), Andrzej Walatek, Stanisław Kuszewski, Ryszard Kosiński, Jerzy Jesionowski i Jerzy Kawalerowicz.

Stowarzyszenie Filmowców Polskich dokonało również rozrachunku z Zarządem. Prezesem wybrano jednak Jerzego Kawalerowicza. Wraz z rozwojem sytuacji i z głooszonymi zamiarami emigracji, czy też rezygnacji z obywatelstwa polskiego na początku 1970 r., na Walnym Zjeździe SFP przyjęto uchwałę o skreśleniu z listy kilkunastu członków Stowarzyszenia. Za granicę wyjechali: Mieczysław Wejnberger, Roman Hajnberger, Marian Wróblewski, Jerzy Lipman, Dorota Gromb, Helena Lemańska. Byli to ludzie filmu, spełniający różne ważne role w tworzeniu naszej kinematografii już od 1945 r. Jednak największe emocje wzbudził wyjazd Aleksandra Forda.

Upust kadr filmowych, jakkolwiek by go nie oceniać, nie załamał naszej kinematografii. Uwagę środowiska zajmowały nowe sprawy i gorące spory na tle kolejnej „reorganizacji zespołów” i kształtowania programów. Perspektywa nie zapowiadała się optymistycznie. Nastąpiły perypetie wokół filmu *Stońce wschodzi raz na dzień* Henryka Kluby i Wiesława Dymnego (scenarzystą) oraz wspomnianego już filmu Skolimowskiego.

Rozpoczęcie walki ideologicznej w życiu politycznym kraju po XIII Plenum KC PZPR (lipiec 1969 r.) wywołało – jak wiadomo – niepokoje w środowiskach inteligencji twórczej, także w kinematografii. Gomułka oceniając w referacie powojenną twórczość filmową, powstającą w wyjątkowo trudnych warunkach (*Ostatni etap, Ulicę Graniczną i Celulozę*), i przyznając, że również w ostatnich latach wyprodukowano sporo filmów wartościowych, powiedział też: „Mieliśmy zbyt mało dzieł, które by z pełnym zaangażowaniem i pasją ukazywały obraz kraju. [...] Nie jesteśmy przeciwko krytyce ujemnych zjawisk w naszym życiu, przeciwnie – zachęcamy do niej. Ale wypowiadamy się przeciwko krytyce destrukcyjnej, złośliwej i jadowitej. Czytelnicy i widzowie oczekują od twórców [...] dobrych i różnorodnych dzieł. Partia nie chce wtrącać się do spraw warsztatowych i nie zamierza dawać recept”.

Niezależnie od ocen wypowiedzianych na owym plenum w sprawach filmu, problemy twórczości tej dziedziny sztuki o tematyce współczesnej były samokrytycznie oceniane w prasie oraz przez aparat władzy. Publikacja KTT na łamach „Kultury” zmuszała do myślenia o innym propagowaniu pozytywnego bohatera socjalistycznego, wraz z nawiązaniem do życiorysów z okresu stalinowskiego.

Wypowiadając się na te tematy Ryszard Koniczek (Wydział Kultury KC PZPR, później redaktor naczelny „Kina”) uznał też, że źle postąpiła Komisja Ocen Scenariuszy nie namawiając Ścibora-Rylskiego do zasadniczej przeróbki scenariusza *Człowieka z marmuru*, gdyż dała asumpt do różnych panikarskich głosów. „Scenariusz *Człowieka z marmuru* – pisał – posiada szereg wartościowych myśli, jest jednak przełamanym w połowie, rezygnującym z konwencji i motywacji realistycznej na rzecz zmyślonej i ponurej, groteskowej. Nie jest to odpowiedni ton dla rzeczowej analizy tamtych lat”.

Charakterystycznym odbiciem postaw filmowców było kolejne spotkanie z sekretarzem KC PZPR Arturem Starewiczem w Jabłonce, na którym wypowiedziało się 30 twórców. Doceniano pozytywne oceny władz oraz takie wydarzenia, jak ekranizacja, po *Krzyżakach*, utworów literatury pięknej – *Faraona* i *Popiołów*. Ale za najważniejszy problem twórcy uznali zaufanie władz do filmowców i pełną samodzielność w podejmowaniu produkcji. Domagano się prawa do mówienia „pełnej prawdy”, podkreślano potrzebę odwagi i odpowiedzialności artysty, dbałości o społeczne skutki twórczości. „Bardzo często straszymy się nawzajem widmem uogólnienia szeregu spraw – mówił Bohdziewicz – a przecież prawdy bywają niebezpieczne tylko wtedy, gdy są ukrywane. Brak śmiałości u czynników, które decydują o skierowaniu filmu, może powodować i powoduje brak śmiałości u nas samych, u twórców. [...] Jeden tylko monopol musi być w socjalistycznej kinematografii naprawdę przestrzegany. Jest to monopol dystrybucji, monopol rozpowszechniania, natomiast monopol produkcyjny w sztuce na dłuższą metę, mimo naszych najlepszych chęci, jednak staje się zawodny”.

W pewnym sensie opinię naszej sztuki filmowej w końcu lat 60. „ratował” Marek Piwowski. Po tragicznych wydarzeniach w Gdańsku i tuż przed pozabawieniem Władysława Gomułka funkcji I sekretarza KC PZPR, 18 grudnia 1970 r. zaprezentował *Rejs*, zrealizowany w zespole „Tor”, kierowanym przez St.

Różewicza. Utwór ze znakomitą obsadą, z olbrzymim ładunkiem satyry na życie we współczesnej Polsce, uznano za komedię „wszechczasów”, a zarazem za film metaforyczny o przestaniach uniwersalnych.

Film Piwowskiego był nowym zjawiskiem w naszej kinematografii i wpisywał się w klimat powstały po nowym otwarciu przez ekipę Edwarda Gierka, ale jednak nie miał wpływu na poprawę polskiej twórczości filmowej. Był jedną z zapowiedzi utrwalenia nowego zjawiska w polskiej sztuce filmowej. Tak jak wcześniej debiuty Krzysztofa Zanussiego (*Struktura kryształu*), Władysława Slesickiego (*Ruchome piaski*), Andrzeja Kondratiuka (*Dziura w ziemi*).

W środowisku rodziły się jednak wciąż nowe konflikty, m.in. na tle oceny pracy zespołów filmowych, powołanych w 1968 r. Gwałtowna zmiana profilu oraz ograniczenie ich samodzielności rodziła nie tylko niezadowolone, ale nie była impulsem do inicjatyw twórczych. Formułowano też zarzut, że kinematografia nie posiada żadnego programu. W 1968 r. życie stwarzało sytuacje dramatyczne – ocenił tamte czasy profesor Edward Zajec – broniono wartości i załatwiano osobiste porachunki, kierowano się też emocjami i wyrachowaniem.

Przemiany społeczno-polityczne w kraju po wydarzeniach grudniowych 1970 r. nie przenikały głębiej w życie naszego filmu. Powstawało kilkanaście słabych filmów w roku, zmniejszyło się zainteresowanie widzów; sprzedawano już rocznie tylko ok. 25 mln biletów na filmy polskie. Po otwartej walce reżyserów i organizacji partyjnej, w styczniu 1972 r. powołano siedem nowych kolektywów twórczych, już w oparciu o nową politykę kulturalną, za którą odpowiadał od stycznia 1971 r. Józef Tejchma, członek Biura Politycznego i sekretarz KC. Zmiany były jednak połowiczne i bojaźliwe. Nie wycofano się z restrykcyjnych zasad przyjętych w 1968 r. Politykom zabrakło odwagi. Efektem była taka sytuacja polskiej kinematografii, którą władze polityczne i państwowe uznały za krytyczną.

W tym czasie zostałem powołany na wiceministra kultury i szefa kinematografii; zagwarantowano mi pełną samodzielność i odpowiedzialność w działaniu. Uzyskałem poparcie centralnych władz politycznych i potwierdzenie w rozmowie z premierem Piotrem Jaroszewiczem oraz sekretarzami KC PZPR (Janem Szydłakiem, Jerzym Łukaszewskim) odpowiadającymi za sprawy kultury w partii i państwie, co przełamało moje opory na objęcie tego stanowiska. Jak opowiadali mi zaprzyjaźnieni ludzie ze środowiska filmowego i teatralnego, rozpowszechniano też opinię, że mam spełniać rolę „miotły”, mającej wyczyścić tę swoistą „stajnię Augiasza”.

Zainteresowanie i sekretarza KC Edwarda Gierka – w czasie rozmowy ze mną – problemami kinematografii miało istotne znaczenie dla przyjęcia (już 5 grudnia 1973 r.) wspólnej uchwały Biura Politycznego PZPR i Prezydium Rządu w sprawie zwiększenia społeczno-kulturalnej roli kinematografii i wkrótce na posiedzeniu rządu uchwały w sprawie modernizacji i unowocześnienia bazy kinematografii.

Postanowienia te rodziły przekonanie w środowisku, że wreszcie polska szkoła filmowa zaczyna być doceniana w kręgach władz politycznych i państwowych, i że powstaje również zrozumienie dla twórczości filmowej. Wielu odczytało je jako zachętę do odważnego podejmowania trudnych tematów współczesności.

Władze polityczne i państwowe radykalną zmianę i mocne wsparcie dla polskiej sztuki filmowej wyrażały również w związku z 30-leciem powojennej kinematografii. Ważnym impulsem stało się i to, że w roku trzydziestolecia *Potop* J. Hoffmana, *Ziemia obiecana* A. Wajdy i *Noce i dnie* J. Antczaka nie tylko publiczność i krytyka obdarzały wysokim uznaniem, ale i opinia międzynarodowa, czego wyrazem były nominacje do Nagrody Międzynarodowej Oscara. Przy okazji spotkania licznej grupy polskich filmowców i pracowników kinematografii z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem, mogliśmy przypomnieć Polakom i zagranicy wielki dorobek filmu fabularnego i krótkometrażowego. Wybudowano przecież 10 wytwórni filmowych, w których wyprodukowano 479 fabularnych filmów kinowych, 42 długometrażowe filmy dokumentalne, 786 fabularnych filmów telewizyjnych i 12 tys. filmów krótkometrażowych. Powołano uczelnie filmowe, Stowarzyszenie Filmowców liczyło już 840 członków, w tym 275 reżyserów i 160 operatorów wykształconych głównie w Polsce Ludowej. W kinach (bliżej 3 tys.) odbywało się rocznie ok. półtora miliona seansów dla ok. 160 mln widzów. A w 30-leciu filmy polskie obejrzało 1,5 mld. widzów, nie licząc widowni telewizyjnej. Polskie filmy zostały wyróżnione 400 nagrodami międzynarodowymi, a w lipcu 1974 roku *Ziemia obiecana* zdobyła pierwszą nagrodę na Światowym Festiwalu Filmowym w Moskwie.

Na dynamiczne zmiany w polskiej sztuce filmowej wpłynęło zdecydowane zerwanie z metodami administracyjnego kierowania i stworzenie warunków do szerszego dialogu prowadzącego do zwiększenia roli i samodzielności programowej oraz decyzyjnej zespołów filmowych. Sprzyjało to aktywności twórczej i inicjatywom w odważnym podejmowaniu tematów współczesnych. Aktywności absolwentów Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi zawdzięczaliśmy liczne debiuty.

W takich właśnie warunkach spektakularnym wydarzeniem, a raczej sekwencją wydarzeń, były okoliczności związane z filmem Andrzeja Wajdy *Człowiek z marmuru*. Scenariusz gotowy był od 12 lat. Jego autor, Aleksander Ścibor-Rylski, przyszedł do mnie po raz pierwszy z tą propozycją filmową jesienią 1973 r. Andrzej Wajda i kierownik literacki zespołu „X” Bolesław Michałek deklarowali, że powstanie wspólny film, lecz wciąż brak było odpowiedzi na zadawane sobie pytanie: Czy nadeszła już pora na taki obraz naszej rzeczywistości, a więc na filmową analizę załamania człowieka wylansowanego przez bezlitosną propagandę?

Rok później, na 2. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni (1975), stworzonym wspólnie ze Stowarzyszeniem Filmowców Polskich, który do dziś funkcjonuje, Krzysztof Teodor Toeplitz, oświadczeniem, że „zatrzymanie utworu Skolimowskiego *Ręce do góry* przed kilku laty – było złamaniem karku polskiej kinematografii”, podjął temat współczesności, co też nadało ton dalszym obradom. Andrzej Wajda również potwierdził, że od 11 lat nie może zrealizować współczesnego tematu, na co odpowiedziliśmy, że zajęty był robieniem *Ziemi obiecanej* i *Smugi cienia*, i formalnie nie przedłożył propozycji *Człowieka z marmuru*. Okazało się, że przyjęto ten fragment debaty jako zachętę do podjęcia tematyki współczesnej. Nie były więc zaskoczeniem propozycje zespołów ani też

niezapowiedziana wizyta Andrzeja Wajdy i Bolesława Michałka, i przekazanie mi poprawionego scenariusza A. Ścibora-Rylskiego. Po konsultacjach z Jerzym Łukaszewiczem (sekretarz KC PZPR) i Lucjanem Motyką (kierownik Wydz. Kultury KC) skierowałem w lutym 1976 roku scenariusz do realizacji.

W trakcie powstawania obrazu w fabrykach i pałacach Łodzi, mimo pojawiających się plotek w środowiskach dziennikarskim i filmowym, ekipa kierowana przez Wajdę nie napotykała trudności. Problemy pojawiły się, gdy zaczęły się przeglądy. Przed kolaudacją sformułowano cztery konkretne uwagi – stały za nimi Wydział Kultury KC i cenzura. Łukaszewicz w pewnym momencie wycofał się z całej sprawy, Motyka miał pogląd zbliżony z moim. W końcu 1978 r. przestał pełnić swoją funkcję. Po wymuszonej zgodzie Wajdy na dokonanie zmian podpisałem decyzję o przyjęciu filmu, nadaniu mu najwyższej kategorii i skierowaniu do rozpowszechniania w styczniu 1977 r.

Wcześniej, w grudniu 1976 r., kolaudacja stała się okazją do debaty o tematyce współczesnej w polskim filmie i do formułowania poglądów na temat filmowego bohatera szczególnie w oparciu o twórczość w okresie ostatnich czterech lat. Dość zgodnie mówiono o wartości artystycznej i ideowej filmu Wajdy. Prof. Aleksander Jackiewicz mówiąc o *Papiere i diamentach* będącym początkiem polskiej szkoły filmowej, głosił, że *Człowiek z marmuru* jest wydarzeniem „jako dzieło sztuki o ogromnym znaczeniu kulturalnym, bo powstał film polityczny i możliwość jego powstania jest ogromnym komplemtem dla władz kinematografii. Mówiąc o władzach kinematografii trzeba tutaj dodać, że z ich strony jest to aktem ogromnej odwagi, że pozwolili na zrobienie tego filmu”.

Kontynuując ten wątek Andrzej Wajda, w atmosferze gorącej debaty dodał: „Naszego ministra nie ma na tej sali, ale chciałem powiedzieć, że on jest „człowiekiem z marmuru”, że jest on w jakiejś mierze bohaterem, którego oglądamy na ekranie, bo właśnie on odegrał decydującą rolę w możliwości stworzenia tego filmu”.

Prowadzący z mojego upoważnienia kolaudację Jerzy Bajdor (dyrektor zespołu programowego Naczelnego Zarządu Kinematografii) zaznaczył, że uwagi zgłoszone w debacie nie mają charakteru obligatoryjnego, ale są to uwagi do rozważenia przez reżysera. „Poza tym pozostaje sprawa generalna: film w tym kształcie przyjmujemy”.

Aby przerwać sensacyjną atmosferę i plotki w różnych środowiskach Zespół Filmowy „X” został poinformowany na piśmie 10 stycznia, że „minister Mieczysław Wojtczak przyjął film fabularny reżysera Andrzeja Wajdy pt. *Człowiek z marmuru...* i „że film ten otrzymał I (pierwszą) kategorię artystyczną”. A 22 lutego 1977 r. podjąłem decyzję o skierowaniu filmu do rozpowszechniania. 25 lutego tegoż roku w kinie „Skarpa” odbyła się premiera.

W pracach związanych z wprowadzeniem *Człowieka z marmuru* na ekrany uczestniczyli z zaangażowaniem moi najbliżsi współpracownicy, przede wszystkim Jerzy Bajdor i Wacław Janas, co zresztą zostało zauważone przez władze w okresie późniejszym, kiedy to podejmowano decyzje zmian kadrowych w kinematografii.

Po premierze zaczęły się ukazywać teksty atakujące film. Na plenum KC i na naradzie aktywu partyjnego wielokrotnie krytycznie odnoszono się do *Człowieka z*

marmuru, i do filmów Krzysztofa Zanussiego, Krzysztofa Kieślowskiego, Marka Piwowskiego, Kazimierza Kutza, Janusza Kijowskiego, Feliksa Falka; przede wszystkim atakowano decyzje o skierowaniu do realizacji tych i innych utworów. Jedynym obrońcą na tych zgromadzeniach był Jerzy Putrament.

Ostatecznie jedyną osobą, która za dopuszczenie tych obrazów na ekrany poniosła konsekwencje w postaci dymisji, byłem ja. Stało się to na wniosek podpisany przez Edwarda Gierka i skierowany do premiera Piotra Jaroszewicza. Wyjaśniam te sprawy, gdyż od pierwszego dnia kierowania kinematografią oraz jako I zastępca ministra KiS ja decydowałem, składając podpisy na dokumentach o skierowaniu do produkcji i rozpowszechniania blisko 160 filmów fabularnych. Nie mogłem więc mieć pretensji do postawionego zarzutu, że „utraciłem zaufanie kierownictwa partii”. Mogę zatem powiedzieć, że spełniły się zastrzeżone przeze mnie i obiecane mi przy powołaniu na stanowisko szefa kinematografii gwarancje pełnej samodzielności i odpowiedzialności za powierzone mi zadanie...

Czy podjęcie produkcji tego filmu otwierało nowy nurt twórczy, artystyczny, polityczny? Pozostawię to pytanie otwartym, tym nie mniej w twórczy nurt włączyli się twórcy dobrze już znani – Wajda, Has, Antczak, Petelski, Różewicz, Hoffman, Majewski, Ślesicki, Chęciński, Poręba, Kutz, oraz młodzi, rozpoczynający karierę po ukończeniu łódzkiej Filmówki. Zaczynało pracę 25 młodych reżyserów, a wśród nich: Marek Piwowski, Andrzej Kondratiuk, Janusz Zaorski, Feliks Falk, Janusz Kijowski, Agnieszka Holland, Jerzy Domaradzki, Ryszard Rydzewski, Krzysztof Kieślowski, Filip Bajon, Marcel Łoziński, Antoni Krauze, Tomasz Zygadło, Sylwester Szyszko, Ewa Kruk, Wojciech Marczewski, Grzegorz Królikiewicz.

Z takiego potencjału otrzymaliśmy wiele o tematyce współczesnej, dla kina i telewizji. Inna sprawa, że część z nich ukazała się po wprowadzeniu różnych poprawek, a kilka weszło na ekrany dopiero w połowie lat 80. Ta nowa fala skupiała pokolenie twórców ukształtowanych już w latach powojennych, znających realia życia kraju, niedaleką przeszłość okresu stalinowskiego, którzy doświadczyli historycznych przemian. Nie bez wpływu na ich emocjonalny ogląd problemów miało głośnie, oficjalne nawoływanie do walki ze złem, niesprawiedliwością, z postawami aspołecznymi. W sposób naturalny nasuwała się potrzeba rozprawienia się z tymi zjawiskami językiem filmu. Nowa produkcja, choć nie zawsze wysokich lotów artystycznych, bo czasami pospiesznie wytwarzana jako produkt publicystyczny, celnie trafiała w klimat społeczny, w którym kiełkowało niezadowolenie i tlił się bunt nie tylko społeczny, ale i polityczny – wyrastający z korzeni polskich i niepolskich przemian ustrojowych.

Należący do tego kręgu tematycznego Janusz Kijowski napisał: „Nasze filmy powstawały w fermentach, w gorączce, w pośpiechu. Nie wiedzieliśmy przecież, jak długo cenzura pozwoli nam je robić. To był stały niepokój. Niepokój twórczy. Ale też strach przed odebraniem nam Wolności”.

Więc niepokój moralny! Stąd powstało hasło „kino moralnego niepokoju”. Nie jest możliwe wylczenie wszystkich utworów tego nurtu. Przypomnę tylko najgłośniejsze, podejmujące zjawiska zła moralnego i spo-

tecznego, wywierające wpływ na system sprawowania władzy i życie kraju. Twórczość filmowa lat 70., do końca 1981 roku, moim zdaniem, ukazuje ówczesne realia życia politycznego, środowiska filmowego oraz stosunek do poszczególnych filmów i ich twórców ze strony władzy, krytyki filmowej i widzów. Przykłady pokazują też olbrzymie różnice w opiniach o tych utworach. Nasze filmy, wraz z utworami Barei, które w latach 70. i 80. cieszyły się dużym zainteresowaniem społecznym i wzmacniały kasę kinematografii, przyczyniając się do zapewnienia realizacji kilku debiutów w roku, nie zyskiwały wsparcia części środowiska i krytyki.

Przepraszam, czy tu biją? Wajda: „Film wspaniały, piękny artystycznie i porywający”. Władza polityczna i część krytyki prasowej atakowała film w imię obrony wizerunku Milicji Obywatelskiej.

Blizna. Poręba: „To film politycznie niesłuszny”. Zanussi: „Nie można atakować filmu z pozycji politycznych tylko dlatego, że potępia rzeczy, które nas gnębią”.

Barwy ochronne. Kazimierz Brandys: „Strzał w dziesiątkę. Jeszcze nigdy nie było na naszych ekranach równie mocnego i precyzyjnego uderzenia w moralność naszego czasu”. M. Misiorny w „Trybunie Ludu”: „Film nieprawdziwy”.

Człowiek z marmuru. Paryski „Le Point”: „Film, który wstrząsnął Polską. Nagle wszyscy Polacy chcą oglądać film, który po kilku wycięciach otrzymał wizę cenzury. Wiceminister kultury jednak zapłacił swoim stanowiskiem za ten liberalny gest, niespotykany w kraju wschodnim”.

Indeks. Janusz Wilhelmi – po moim odwołaniu – nie dopuszcza do jego kolaudacji, oświadczając, że jest to „film antysocjalistyczny”.

Wodzirej. Film gotowy wiosną 1977 r., nieprzyjęty na kolaudacji. Premiera w maju następnego roku.

Amator. Po premierze w 1979 r. ogłoszony liderem nowej fali polskiego kina moralnego niepokoju.

Krzysztof Zanussi potwierdził pozycję najwybitniejszego reżysera swej generacji. Po czterech latach na ekranach znalazł się jego utwór *Barwy ochronne*, który kierowałem do produkcji i rozpowszechniania z przekonaniem, że odpowiada rzeczywistości. Okrzyknięty został jednym z ważniejszych filmów fali kina moralnego niepokoju. Ukazywał problemy konformizmu w środowisku akademickim, scenariusz przedstawiony przez Zespół „Tor” do mojej akceptacji w 1976 r., nie wzbudzał zastrzeżeń ani obaw o kształt artystyczny czy ideowy filmu.

Zanim jednak doszło do premiery 28 stycznia 1977 r., zaczęto interpretować utwór na płaszczyźnie politycznej i moralnej formułując opinie, że jest szkodliwy, atakuje władzę i polską rzeczywistość polityczną. Rozpoczęła się seria trudnych rozmów, wyjaśnień i tłumaczeń, ale żaden z polityków nie sugerował ograniczenia jego rozpowszechniania. Po premierze atmosfera niechęci wobec utworu Zanussiego szybko narastała. Część środków masowej informacji zaczęła bojkotować film, a po jakimś czasie rozpętano atak na płaszczyźnie politycznej. Marian Brandys w swoich zapiskach zanotował: „Jest podobno wielka awantura w związku z filmem Zanussiego *Barwy ochronne*. Mówią, że ma odejść pierwszy wiceminister kultury, zajmujący się filmem, Wojtczak. Jego miejsce ma zająć Wilhelmi, niesławnej pamięci wieloletni redaktor naczelny »Kultury«, a ostatnio wiceprezes Radia i Telewizji”.

Stwierdzałem już wielokrotnie, że najstarszym punktem w produkcji naszej kinematografii były utwory o tematyce współczesnej. A właśnie *Wodzirej* i jego młody pomysłodawca i realizator Feliks Falk, przy pełnym wsparciu Wajdy, zawierzył naszym namowom i dzięki odwadze oraz swoim umiejętnościom zrobił film wspaniały artystycznie i ostry politycznie, który niestety nie zyskał wsparcia mojego następcy, nie był też aprobowany przez władze i nawet część środowiska filmowego. Natomiast Falk – głosił Zanussi – tym filmem zyskał szlify generalskie. Z perspektywy minionego czasu i współczesnych obserwacji rzeczywistości, trudno odmówić *Wodzirejowi* uniwersalnych przesłań...

Wodzirej, podobnie jak *Człowiek z marmuru*, pod presją administracyjną nie został nagrodzony na festiwalu w Gdańsku. Nie przyznano też nagrody Jerzemu Stuhrowi za wspaniałą rolę, mimo że na kolaudacji wychwalali ją nawet najwięksi przeciwnicy filmu.

Przywołuję w tym wystąpieniu różne szczegóły starając się ukazać złożoność sytuacji w twórczości filmowej, mającej ścisły związek z narastającymi zjawiskami kryzysu społeczno-politycznego, rodzącą się w połowie lat siedemdziesiątych arogancją władzy w Polsce. Paradoks tym większy, że środowisko filmowe nie było skore do włączania się do masowych akcji, protestów czy składania podpisów. Jako trybunę do wyrażania opinii i ocen zjawisk uznało swoje utwory.

Zmuszony jednak jestem jeszcze uzupełnić ten obraz innym faktem, którego czułem się sprawcą – podjęte przeze mnie decyzje w konsekwencji narażały twórców na poważne kłopoty życiowe. Janusz Kijowski rozpoczął w 1976 r. realizację filmu *Indeks*, powstającego jako praca dyplomowa i zarazem debiut w zespole „Pryzmat”, stąd nasze finansowanie i akceptowanie scenariusza. Uznaliśmy również, że wątki związane z wydarzeniami marcowymi 1968 nie decydują o przesłaniu filmu, a ze względu na ostrość w tematyce współczesnej, dopuszczalnej w ramach polityki kulturalnej, będzie wydarzeniem. Stało się inaczej. *Indeks* znalazł się wśród pięciu innych filmów wymienionych jako przejaw mojej „niełojalności wobec kierownictwa partii”. Powiedziano, że jest antysocjalistyczny i nie zostanie dopuszczony do kolaudacji. Rektor Stanisław Kuszewski potwierdził, że grożono nawet zamknięciem Wyższej Szkoły Filmowej. Dopiero na początku 1981 r. reżysera rehabilitowano. Tragicznie potoczyły się losy filmu *Na srebrnym globie* realizowanego przez Żuławskiego, który miał być wydarzeniem na skalę światową. Chociaż wykonano już ok. 70 proc. zdjęć i wydatkowano na realizację 70 mln zł, to jednak produkcję nie tylko przerwano, ale dopuszczono do zniszczenia większości materiałów.

Lata poprzedzające wydarzenia sierpniowe w 1980 r. i poczynania zmierzające do rozbicia środowiska nie łagodziły sytuacji. Odwrotnie, twórcy, szczególnie młodego pokolenia, jak Krzysztof Kieślowski, Janusz Kijowski, Agnieszka Holland, Feliks Falk czy Filip Bajon kontynuowali tematykę moralnego niepokoju, piętnując zjawiska ówczesnej rzeczywistości. Zmieniające się ciągle władze kinematografii, pozostające pod presją polityczną, nie miały odwagi uzdrowienia sytuacji. Atmosfera niezadowolona i sprzeciwu pogłębiała się, więc rodziły się pomysły twórców i scenariusze głębiej wnikające w życie społeczne kraju, zapowiadające narastanie kryzysu. Należy dodać, że filmy te były kontynuacją linii

programowej kinematografii z poprzednich lat. W roku 1980 protesty oraz Porozumienia sierpniowe zapisały się w środowisku filmowym nie tylko w sferze ogólnych dyskusji i tworzenia frontu poparcia dla robotników Wybrzeża i ich „21 postulatów”, ale przede wszystkim w inicjatywie Andrzeja Wajdy, już w sierpniu, realizacji *Człowieka z żelaza*. Wydarzenia, które były przełomowe dla Polski, stworzyły możliwość spełnienia życzeń red. Andrzeja Ochalskiego z tygodnika „Ekran” wyrażonych podczas kolaudacji *Człowieka z marmuru* w końcu 1976 r., aby „powstała druga część losów Birkuta”.

I dwa inne wydarzenia, które w 1980 r. na trwałe również zapisały się w życiu filmowców i polskiej kultury, a mianowicie VII Festiwal Filmów Fabularnych w Gdańsku oraz nadzwyczajny zjazd filmowców. Na festiwalu nie byłem. Dopiero bowiem 8 września, a więc po odwołaniu Edwarda Gierka, wracałem do pracy. Jak mówiono, po trzyletnim „przebywaniu w lodówce” zostałem powołany z dnia na dzień przez Biuro Polityczne na funkcję kierownika Wydziału Kultury KC PZPR.

Gorąca jesień (1980 r.), szczególnie wśród filmowców nabierała znaczenia i wywoływała reperkusje, wykazując przy tym wyraźną bezradność władz państwowych. Tydzień po spotkaniu ze Stanisławem Kanią, Wajda, zgodnie z zapowiedzią, „chwycił byka za rog” i uznał, że najważniejszą sprawą w państwie jest demokratyzacja życia, a na tym tle samodzielność programowa, ekonomiczna oraz samorządność artystyczna zespołów filmowych. „Zespół – mówił – jest najlepszą, jaką do tej pory wymyślono, formą samorządności artystycznej w kinematografii. A cały dotychczasowy schemat organizacyjny trzeba postawić na głowie”. Określił też miejsce i rolę administracji, akcentując, że ministerstwo powinno tworzyć właściwe warunki do produkcji filmów oraz kontrolować wyniki pracy twórców i konfrontować je z zasadami polityki kulturalnej państwa.

Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało opóźnienie w rozpowszechnieniu niektórych filmów, inne zostały zdjęte z ekranów. Nie można jednak zapominać, że zostały one skierowane do realizacji za wiedzą i akceptacją NZK i Wydziału Kultury KC PZPR.

Takie „uderzenie” filmów ostrych i rozrachunkowych było możliwe nie tylko dlatego, że świadomie decydowaliśmy się na tę tematykę, ale również dlatego, że twórcy mieli doświadczenie z lat 70., kiedy to powstawały utwory „lokomotywy”, nominowane do Oscara i zdobywające wielomilionową widownię w Polsce i na świecie, a także filmy wywołujące wstrząsy i awantury polityczne, jak wymienione już wcześniej *Człowiek z marmuru*, *Barwy ochronne*, *Blizna*, czy *Wodzirej*.

Te utwory były dobrym przygotowaniem do wejścia, wraz z wielkimi przemianami posierpniowymi, w nowy etap rozrachunku z nieodległą przeszłością. Przyznaję, że moje doświadczenia dotyczące polskiego kina, łącznie z filmami, które wywołały nie tylko wielkie zainteresowanie społeczne, lecz także ostrą krytykę najwyższych władz partii, stały się bardzo przydatne, szczególnie w doprowadzeniu na festiwal w Cannes *Człowieka z żelaza*. Nowy film Wajdy, rodzący się w ogniu walki społecznej na Wybrzeżu, którego podstawą był scenariusz Aleksandra Ścibora-Rylskiego, tworzony w niespotykanym napięciu, otwierał kolejny okres naszej kinematografii.

Po obejrzeniu obrazu wspólnie z zastępcą kierownika Wydziału Kultury KC Michałem Jagiełłą i szefem kinematografii Eugeniuszem Mielczarkiem uznaliśmy, że fabuła, akcja i dialogi mogą utrudniać wprowadzenie na ekrany. Dlatego w przyspieszonym terminie odbyło się spotkanie komisji kolaudacyjnej, na którym największe zaskoczenie wywołało stanowisko Wydziału Kultury KC PZPR zalecające, aby „natychmiast film poszedł na festiwal do Cannes”, i aby zrobić dużą liczbę kopii oraz później skierować go do rozpowszechniania.

Na początku stanu wojennego polskie kino znalazło się w centrum uwagi władz, na co wskazywały decyzje o zatrzymaniu filmów. A nawet na polecenie Ministra Kultury i Sztuki wycofano *Człowieka z żelaza* w marcu 1982 z prezentacji i walki o Nagrodę Oscara. Konflikty i rozgoryczenie wśród filmowców szybko się wzmagaly. Poczynałem się też do odpowiedzialności, i słusznie zresztą obwiniano mnie za przemiany dokonywane w kinematografii w ciągu półtora roku, kiedy kierowałem Wydziałem Kultury KC PZPR (od września 1980 do 13 grudnia 1981 r.)

Punktem zapalnym stały się kolejne filmy, których realizacja dobiegła końca na początku stanu wojennego. Przede wszystkim dotyczyło to *Przestuchania* Ryszarda Bugajskiego i *Matki Królów* Janusza Zaorskiego. Filmów nie dopuszczono do rozpowszechniania. Wycofywano też lub ograniczono rozpowszechnianie utworów będących już po premierze. Kłopoty, które dotknęły kinematografię, poza krótką przerwą na przełomie starego i nowego roku spowodowały zahamowania w produkcji, ale nie przerywano prac nad filmami znajdującymi się w realizacji. Podziały w środowisku w latach 80. pogłębiały głównie filmy podejmujące rozliczenia ze stalinizmem. *Przestuchanie* Ryszarda Bugajskiego i *Matkę Królów* czy *Austerię* Jerzego Kawalerowicza uznano na kolaudacji za „antyradzieckie”, „antystalinowskie”, „wredne”. Grożono przy tym dochodzeniami i sądami oraz konsekwencjami politycznymi nie tylko twórcom. Pokazano je na ekranach dopiero po kilku latach.

Niech klamrą moich rozmyślań na temat naszego filmu w Polsce Ludowej będzie opinia mojego przyjaciela Jerzego Kawalerowicza, umieszczona na skrzydełku jednej z książek: „W trudnych latach 70., gdy piętrzyły się zaostżenia cenzuralne, a równocześnie polskie kino kwitło jak nigdy przedtem i potem, powstawały filmy, które z jednej strony odwoływały się do polskiej tradycji literackiej, jak *Noce i dnie* Antczaka (*Potop* Hoffmana i *Ziemia obiecana* Wajdy czy *Austeria* (Kawalerowicza – przyp. M.W.), z drugiej zaś strony usiłujące pokazać dramat historii najnowszej. Tego nurtu głównym reprezentantem jest *Człowiek z marmuru* Andrzeja Wajdy”.

O pozycji naszego filmu w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej świadczą nie tylko nagrody i wyróżnienia na prestiżowych festiwalach oraz zainteresowanie społeczne, ale jego nienaruszalne znaczenie w naszej kulturze, nauce i w edukacji narodowej. Utwory fabularne i dokumentalne swoją wnikliwością i wrażliwością twórczą i społeczną nowego pokolenia twórców i mistrzów skupionych w zespołach oraz odwagą w ocenie zjawisk w życiu społecznym i politycznym, w oparciu o konkretny mecenat państwa, zapisały się na zawsze w historii Polski.

MIECZYŚLAW WOJTCZAK

Referat w wersji skróconej (red.)

JERZY HAUSNER

KULTURA A ROZWÓJ*

Jako ekonomista mam mówić o związkach kultury i rozwoju w gronie ludzi, którzy są bardzo zaangażowani jako twórcy, nierzadko również osobiście w życiu artystycznym. Jest to ryzykowne przedsięwzięcie, ale ponieważ tym się zajmuję, zdecydowałem się państwu przedstawić moje przemyślenia w tej dziedzinie.

Od 2008 roku, kiedy to pan minister Bogdan Zdrojewski zachęcił mnie – tak to określimy – do przygotowania raportów dotyczących spraw ekonomiczno-finansowo-organizacyjnych związanych z polską kulturą pod kątem przygotowań do Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie, i odkąd raporty się pojawiły (nie pisałem ich sam, ale oczywiście za nie odpowiadam), bardzo systematycznie rozwijam swoje przemyślenia. To oznacza, że to co miałem do powiedzenia, np. w 2009 roku, nie pokrywa się z tym, co mam do powiedzenia na ten sam temat dzisiaj. Nieraz moje stanowisko zmieniło się bardzo także pod wpływem tego, że obecnie stale i systematycznie uczestniczę w ruchu obywateli kultury, choć świadomie unikam odgrywania tam jakiegokolwiek formalnej roli. Jestem raczej kimś, kto podpowiada, proponuje – staram się nie organizować, a podpowiadać. W ten ruch głęboko się włączyłem intelektualnie i praktycznie, i stąd się bierze ta współobecność, intensywna współpraca z wieloma ludźmi kultury. Takiej intensywności nigdy wcześniej nie doznawałem, co powoduje, że wiele rzeczy widzę inaczej.

Zauważycie państwo, że także wiele rzeczy po stronie gospodarki, ekonomii jako teorii również się zmienia. Swoje wystąpienie zatytułowałem: *Kultura a rozwój*.

Chcę kolejno powiedzieć o:

- kryzysie gospodarczym,
- reakcji ekonomii na ten kryzys,
- kulturze i problemach związanych z kulturą,

a na końcu – jak o tym wszystkim, tj. o kryzysie, ekonomii i kulturze, myśleć w kontekście Polski, jakie to ma znaczenie. Zatem będę chciał przedstawić kilka rekomendacji dotyczących Polski.

Zacznijmy od kryzysu. Nie jest to regularny, powtarzalny kryzys gospodarczy. To nie kryzys w systemie, a kryzys systemu. Nie *crisis in*, ale *crisis of*, co w praktyce oznacza nieprzystawalność znanych i dotychczas stosowanych metod zarządzania kryzysowego do tego kryzysu.

Jeżeli ktoś wątpi, to popatrzmy, jak jest opisywana w podręcznikach polityka monetarna amerykańskich władz skarbowych, a jaka jest praktyka. Praktyczna polityka władz skarbowych zaprzecza wszystkiemu, co na

ten temat w podręcznikach napisano. A jednocześnie – co jest bardzo ważne – cała konstrukcja władzy skarbowej była budowana na monetarystycznej koncepcji gospodarczej, zaś dzisiaj mamy do czynienia, przynajmniej tak to wygląda, z tworzeniem dodatkowego pieniądza, a inflacji nie ma. To oznacza, że nie tylko zmieniła się praktyka, ale rewizji będzie musiała ulec także teoria.

Jak dzisiaj wygląda Unia Europejska czy strefa euro? UE zawsze przeżywała kryzysy i zawsze znajdowała pewne sposoby, żeby uciekać do przodu. Problem z dzisiejszym kryzysem polega na tym, że nie wiadomo, gdzie jest „przód”, czyli nie wiadomo, w którą stronę uciekać. W związku z tym mówię, że mamy do czynienia z czymś poważniejszym niż z wieloma koniunkturalnymi kryzysami. Obecny kryzys możemy porównać do wielkiego kryzysu lat 20. i 30., choć myślę, że to porównanie nie do końca jest adekwatne. Jeżeli system kapitalistyczny ma przetrwać ten kryzys, musi się dokonać głęboka zmiana instytucjonalna.

Kto miałby tej instytucjonalnej zmiany dokonać? Gdzie jest podmiot zdolny do tego, jeżeli uznamy, że obecny kryzys nie jest załamaniem kapitalizmu w wydaniu państwa narodowego. Ten kryzys przebija się z poziomu globalnego przez poziom międzynarodowy, narodowy, regionalny i lokalny – dotyczy bieżącego funkcjonowania gospodarki, ale jest też kryzysem długofalowych mechanizmów rozwojowych.

Po stronie władzy mamy w praktyce sytuację, że to państwo minimum, które liberałowie całkowicie okroili i którego siła została użyta, żeby wszystko co można urynkwować i skomercjalizować, nagle w konsekwencji owych przemian jednak jest potrzebne, żeby przetrwać wywołany właśnie kryzys. Sięga się więc po siłę państwa, po zdolność do ratowania na przykład banków jako antidotum. Przesuwa się to wahadło w drugą stronę, można powiedzieć – dokładnie zaprzeczając liberalnym ideom.

Ale to nie znaczy, że kryzys jest przetrwany. Gdy premier Portugalii komunikuje, że przetrwali kryzys, to tak naprawdę mówi, że odbudowali podstawy wzrostu i pewnej konkurencyjności gospodarki portugalskiej. Ale to nie oznacza systemowego przetrwania załamania tej gospodarki i w ogóle gospodarki rynkowej w kapitalistycznym, obecnym wydaniu.

Zastanówmy się, gdzie jest grupa G-7, G-8, gdzie jest G-20, jaka władza byłaby dzisiaj w stanie reagować na wyzwania globalne? Kolokwialnie odpowiadam: mamy do czynienia z sytuacją G-0. Nie ma takiej władzy, podmiotu, który dzisiaj byłby w stanie wprowadzić zmianę instytucjonalną. Znowu zwracam uwagę na Unię

* Nieautoryzowany zapis wystąpienia w „Kuźnicy”, Kraków, 28 lutego 2014 r.

Europejską – mamy do czynienia z sytuacją, kiedy próbuje się różnych rzeczy, próbuje się ustanowić nowy porządek, na przykład Unię Bankową, ale to jest daleko przed nami i nie wiadomo, czy będzie działać.

Mamy do czynienia nie z jednym kryzysem, ale z zespołem kilku kryzysów. To jest załamanie hegemonicznej pozycji Stanów Zjednoczonych – jednobiegunowego modelu globalnego świata politycznego, który wyłonił się po zimnej wojnie i rozpadzie Związku Radzieckiego. To jest kryzys ekologiczny. Niezależnie od tego, jak głęboko wierzymy lub nie w efekt cieplarniany, mamy do czynienia z poważnym kryzysem ekologicznym. Obecne załamanie to także kryzys surowcowo-energetyczny i gospodarczy. W sumie to pogłębia złożoność obecnej sytuacji.

Gdy słucham różnego rodzaju dyskusji, poznaję propozycje, przypominam sobie, co się dzieje na Węgrzech Viktora Orbána i tamtejszej prawicy. Wydaje się, że mamy tam do czynienia z sytuacją, w której ponownie zagrożony jest fundament wolnościowy. Należę do grona osób, które mówią o tym i chcą się temu przeciwstawić. Uważam, że nie można bronić z jednej strony tego, co jest, że trzeba wyraźnie powiedzieć, iż załamała się rewolucja neoliberalna. Ale z drugiej strony, nie można wierzyć w to, że wystarczy powrócić do jakiegoś modelu dominacji państwa, że ucieczka w kierunku ograniczania wolności dla budowania bezpieczeństwa ekonomicznego jest właściwym kierunkiem. A to jest dzisiaj podpowiadane.

To jest także agenda wielu ugrupowań politycznych w Polsce. U nas dominuje prawica i – chcę wyraźnie powiedzieć – jest to prawica antywolnościowa, która będzie podważała fundamenty wolnościowe.

Jeżeli odrzucimy tę drogę, która może doprowadzić do wyłonienia się autorytarnej władzy ustanawiającej nowy porządek uznawany za właściwe rozwiązanie, to staniemy wobec konieczności wykreowania nowych mechanizmów koordynacji. Chodzi nie tylko o to, aby teraz odsunąć się od rynku i przesunąć w kierunku państwa, nie chodzi o przesunięcie tego wahadła w drugą stronę, ale o to, aby zrozumieć, że rozwój ma charakter spiralny, a polega na tym, że muszą działać różne mechanizmy koordynacji. Natomiast proporcje zastosowania, relacje między nimi, sposób powiązania rynku z państwem, społeczeństwa obywatelskiego z państwem i rynkiem kultury ulegają zmianie. Na tym polega nasza kreatywność, że potrafimy to modyfikować; nigdy nie znajdziemy idealnego modelu, ideologicznego wzorca, ale musimy szukać rozwiązań wystarczających dla wyzwań, z którymi mamy do czynienia.

Jeżeli tak będziemy myśleć i w tym kierunku poszukiwać rozwiązania intelektualnego i politycznego, to chcę wyraźnie powiedzieć, że odpowiedź, której potrzebujemy na obecne wyzwanie globalnego kryzysu ujawniającego się wszędzie, mającego także swoje odniesienia do Polski, wymaga OTWIERANIA PRZESTRZENI MIĘDZY RYNKIEM, PAŃSTWEM I SPOŁECZEŃSTWEM OBYWATELSKIM. Takiej przestrzeni, która pozwala na równowagę tych mechanizmów i na kreowanie nowych relacji między nimi. A więc potrzebujemy społecznych interfejsów – używając nowoczesnej terminologii – nowych konektorów, instytucji mediacyjnych, potrzebujemy instytucji pośredniczą-

cych. Generalnie – więcej interaktywności i więcej komunikacji.

Potrzebujemy także nowych rozwiązań, a nie tylko nowych kategorii pojęciowych, które czasami przykrywają dotychczasową praktykę - potrzebujemy rzeczywistej ekonomii społecznej, czyli ważnego obszaru działania gospodarczego, która nie jest nastawiona na zysk. Nie odżegnuje się ona od zysku, ale jej celem jest funkcja społeczna, cel społeczny.

Klasycznym przykładem ekonomii społecznej była kiedyś spółdzielczość. Nie nawołuję do powrotu do spółdzielczości, ale potrzebujemy nowych współczesnych form ekonomii społecznej, kultury interesariatu. Musimy dostrzec, że korporacje globalne mają nie tylko swoich właścicieli i nie tylko oni muszą być brani pod uwagę, ale również inni interesariusze. Przecież współczesny klient ma zupełnie inną postawę, inne nastawienie, potrafi skutecznie oddziaływać na wielkie korporacje. Pytanie, jak zbudować jego instytucjonalne działanie, aby nie sprowadzało się ono wyłącznie do oddziaływania przez internet, lecz mobilizowało przeciwko działaniom, które naruszają społeczne interesy.

Dlatego potrzebujemy nowych hybrydowych form organizacji, prawa do eksperymentowania, nowych sposobów dostarczania dóbr, nowych form komunikacji. Potrzebujemy działań, które upodmiotowiają społeczeństwo, wyposażają w zdolności do tworzenia nowych rozwiązań, wyzwalają kreatywność indywidualną i innowacyjność społeczną. Konieczny jest odwrót od indywidualizacji i atomizacji społeczeństwa, którego źródłem była powszechna komercjalizacja i urynkowienie, w kierunku wspólnotowości, ale dobrowolnej, nie wspólnotości narzucanej, wymuszonej, lecz właśnie dobrowolnej.

Jaka powinna być reakcja na takie rozumienie problemu? Z czym mamy do czynienia? Do czego się odnoszę? Co jest dzisiaj wielkim, globalnym, powszechnym wyzwaniem? Wreszcie, jak na to powinna reagować ekonomia? Jeżeli ekonomia jako nauka, dyscyplina miałaby reagować, to przede wszystkim trzeba postawić w centrum nie problematykę wzrostu, a zagadnienie rozwoju. W związku z tym popatrzeć nie wyłącznie przez mechanizm działania sił rynkowych, relacji między podażą i popytem. Przestać dyskutować o niewidzialnej ręce rynku, natomiast rozmawiać o podstawach, warunkach instytucjonalnych, o instytucjonalnym osadzeniu rynku. I dyskutować o efektywności adaptacyjnej, czyli MÓWIĆ O POLITYCE ROZWOJOWEJ, A NIE WZROSTU, rozumianej jako generowanie, mobilizowanie, pomnażanie takich zasobów, które decydują o rozwoju, a nie o wzroście w krótkim okresie.

A zatem o kapitałach – ludzkim i społecznym. Taka polityka rozwoju nie może się ukształtować dlatego, że w ekonomii nie ma właściwej, nowoczesnej teorii dóbr, gdyż z ekonomii wyparto w ogóle zasadniczą kwestię - kwestię wartości. Ekonomia po prostu wyparła ze swego obszaru zainteresowania kwestie wartości, etyczne. Nie tak było u źródeł neoklasycznej ekonomii, bo jak się przeczyta Adama Smitha, na którego liberałowie się powołują, to jego jedna z głównych prac dotyczy sentymentów moralnych i etycznego wymiaru gospodarki rynkowej. To wszystko z głównego nurtu ekonomii zostało wyparte. Dzisiaj na nowo odkrywa te zagadnienia stosunkowo młody Czech - Tomasz Siedlaczek - który napisał pracę o ekonomii dobra i zła. W kategoriach

filozoficznych odczytuje klasyczne starożytne teksty, w tym Biblię, i pokazuje, jak myślenie właśnie o wartościach ma tam związek z działalnością gospodarczą; stawia pytania, choć niekoniecznie na nie odpowiada.

Nie chcę tutaj zagłębiać się w problematykę dobra rozumianego etycznie, nadrzędnie, chcę mówić o dobrach w sensie ekonomicznym. To co znajduje się we współczesnych podręcznikach ekonomii wymyślono w latach 30. XX wieku, właśnie taką typologię dóbr ekonomicznych. Czym się ona charakteryzuje? Wszystko sprowadza do dobra rynkowego albo dobra publicznego. Mówi, że przestrzeń dóbr dzieli się na te generowane przez państwo, które są powszechnie dostępne – nie można ludzi wykluczyć z ich konsumpcji, np. zapewniające nam bezpieczeństwo, dostęp do powietrza i wody, i na dobra prywatne, rynkowe. Zaś dobra mieszane to pewne pozycje przejściowe, które w teorii ekonomii nie są specjalnie rozwinięte.

Moim zdaniem, to jest anachroniczna teoria. Ale lepszej we współczesnej ekonomii nie ma. Sięgnąłem w związku z tym do pracy, która, choć wydaje mi się niedoskonała, to jest jednak krokiem do przodu. Ta „inność” jest istotna nie dlatego, że uwzględnia więcej kategorii, ale że są one wpisane w inny schemat: nie »rynek – państwo«, ale »SPOŁECZEŃSTWO – RYNEK – PAŃSTWO«.

Napisałem nie tak dawno tekst na kongres ekonomistów - na te mat polityki gospodarczej - w którym stwierdziłem, że w ekonomii zaczęliśmy pomijać pewne pytania. Wszystkie istotne pytania w ekonomii sprowadziliśmy do efektywności instrumentalnej. Czyli do pytań typu: za ile? Pomijamy pytania: po co?, według jakiej reguły? Zatem nie dostrzegamy, że bez instytucjonalnego osadzenia rynku, czyli bez obudowy społecznej rynek nie może dobrze działać, a przede wszystkim, że niezależnie od tego, jaki mechanizm koordynacji stosujemy, zawsze musi padać pytanie: po co? Po co produkujemy? Wytwarzamy? Te pytania nie mogą być ulokowane w samej ekonomii rozumianej tak jak współcześnie ekonomia jest interpretowana i rozumiana. Ów rozszerzony schemat to niewątpliwie krok do przodu, ale to za mało.

Twierdę, że w ekonomii nie ma nowoczesnej teorii dóbr. A jest ona potrzebna, żeby zrozumieć, że dzisiaj dyskutujemy nie o koncepcji, że państwo ma być dostawcą pewnej masy dóbr. Państwo nowoczesne musi tworzyć warunki umożliwiające powstawanie różnych złożonych systemów dostarczania dóbr - wszystko jedno czy będą to dobra kultury, świadczenia medyczne, edukacja, czy jeszcze inny obszar aktywności i funkcji rozwojowych państwa. Muszą być alternatywne sposoby dostarczania owych dóbr. Więc jeżeli chcemy dyskutować na przykład o kulturze i sprowadzić to do poziomu operacyjnego, to nie chodzi o udowodnienie, że dobra kultury mają być dostarczane za pomocą instytucji publicznych lub wyłącznie rynkowych, lub jeszcze za pomocą instytucji obywatelskich. Te wszystkie, różne sposoby dostarczania dóbr kultury są potrzebne, muszą być współobecne, aby każdy z nich mógł wykazać, do czego jest bardziej przydatny.

Dyskutujemy na przykład o rynku książki. Nie mam nic przeciwko temu, że urynkowiliśmy wydawnictwa, ale nie ma sensu myśleć o urynkowaniu wydawnictw, je-

żeli nie zaczniemy rozmawiać o nauczaniu kompetencji językowej. Czy rozwijamy podstawy czytelnictwa? Podstaw czytelnictwa nie rozwija rynek, one kształtują się w zupełnie innej logice, innym systemie. Rynek może funkcjonować tylko wówczas, gdy są tego rodzaju potrzeby. Dla mnie jest to oczywiste, że, z jednej strony, mamy urynkowanie wydawnictwa, ale z drugiej – powinna być prowadzona aktywna polityka państwa tworząca podstawowe kompetencje językowe i orientację „na czytanie”, czyli programy upowszechniania czytelnictwa, wśród nich także bibliotek. Niech biblioteka będzie nowoczesnym miejscem, a nie miejscem tylko dla zakurzonych książek - niech będzie centrum informacji, aktywności kulturalnej... ale musi być!

To ważna zmiana; poszukujemy bardziej zróżnicowanych, złożonych i kompleksowych sposobów dostarczania dóbr bez przesądzenia, że jeden ze wzorców jest zawsze lepszy. Gdybyśmy się przyglądali na przykład świadczeniom medycznym, to jasne, że jest tutaj miejsce zarówno dla zdrowia publicznego, czyli dobra klasycznego i dla pewnego obszaru czystego urynkowania. Ale przecież są obszary, których nie da się urynkować, bo urynkowanie powoduje, że znacząca część potencjału zdrowotnego zostanie wyeliminowana, osłabiona.

Chcę wyraźnie powiedzieć, że we współczesnej gospodarce jest coraz więcej dóbr symbolicznych; jeżeli nawet są materialne nośniki owych dóbr, to nie one tworzą rzeczywistą wartość ekonomiczną. W związku z tym trzeba zrewidować pojęcie własności, bo czym innym jest własność butów, a czym innym na przykład filmu. Nie potrafiłbym między innymi dyskutować o takim podziale praw własności intelektualnej, który jest potrzebny współcześnie. Żeby funkcjonował taki model dostarczania dóbr kultury, bo wtedy trzeba umiejętnie chronić interesy i twórców, i producentów, i odbiorców. Odbiorców, którzy w coraz większym stopniu muszą być także aktywnymi współtwórcami, jeżeli mają być faktycznymi odbiorcami. Własności intelektualnej nie można chronić tak jak własności materialnej - zapewniając jej ekskluzywność, doprowadzono by do prywatyzacji kultury i wiedzy, co zahamowałoby rozwój, blokując ludzką kreatywność i innowacyjność...

Trzeba popatrzeć na ekonomię poprzez pryzmat rozwoju, a nie wzrostu. To wcale nie oznacza, że wzrost nie jest ważny – jest ważny, ale w tej drugiej perspektywie, w perspektywie reakcji na kryzys, nie zaś na doraźne zjawiska. Musimy mówić o rozwoju: że w związku z tym rozwój, a nie równowaga jest istotnym punktem odniesienia, że rynek musi być traktowany jako instytucja społeczna, a nie niewidzialna ręka rynku, że ważna jest nie tylko ulubiona przez ekonomistów efektywność instrumentalna, lokacyjna, ale też ta efektywność dostosowywania się różnych grup i podmiotów do zmieniającej się sytuacji, i że nie da się tego uzyskać bez społeczeństwa i kultury. To znaczy: rynek i państwo nie będą działać dobrze, jeżeli nie upodmiotowimy społeczeństwa i nie rozwiniemy kultury.

Jak dzisiaj rozumiemy wartości ekonomiczne w kontekście kultury? Nie jest tak, że ekonomia wyrzuciła kulturę ze swego obszaru zainteresowań. Przypominam pojęcie przemysłów kreatywnych, które wraz z rewolucją neoliberalną zrobiło wielką karierę. Kultura wytwarza różnego rodzaju wartości nieekonomiczne,

ale również ekonomiczne, przy czym właśnie wartości nieekonomiczne - te, które wiążą się z sensem życia ludzi, z człowiekiem jako istotą – są fundamentalne, one stanowią grunt, na którym dopiero mogą być wytwarzane wartości ekonomiczne.

Natomiast nie da się określić, jakie wartości ekonomiczne wytwarza kultura, jeśli najpierw nie zdefiniuje się, jak rozumiemy gospodarkę, czyli co jest ekonomiczne. Na jesień przygotowuję wystąpienie, w którym odwracam sytuację. Zamiast dyskutować o kulturze jako o gospodarce, czyli o przemysłach kreatywnych – to podejście wydaje mi się marginalnym, uproszczonym, jednostronnym – mówię: gospodarka jako kultura.

Jeśli gospodarka nie jest kulturą, nie może się rozwijać. Czyli, pogłębiając rozumowanie, ważniejsze od tego, jak liczyć wartości kultury, wydaje się to, że trzeba najpierw powiedzieć, po co liczyć, a tym samym, co naprawdę warto i należy mierzyć, bowiem to co i jak mierzymy odzwierciedla rozumienie kultury w gospodarce. Jeżeli mówimy: przemysły kreatywne, jeżeli słysząc głos z Komisji Europejskiej, w tym naszego ambasadora Jana Truszczyńskiego (dyrektor generalny ds. edukacji i kultury UE), on wypowiada się jasno: my musimy mówić w ten sposób, który pan neguje, bo inaczej nie dostaniemy pieniędzy unijnych na kulturę. Aby można było powiedzieć: dajcie nam pieniądze, musimy udowodnić, że się przyczyniamy do wzrostu gospodarczego, do konsumpcji dóbr kultury.

W związku z tym mierzymy wydatki gospodarstw domowych na uczestnictwo w kulturze, mierzymy udział owego sektora w strukturze gospodarki – stąd te przemysły kreatywne. Szacujemy rynek dóbr kultury. Nie neguję tego, ale chcę wyraźnie powiedzieć: ta perspektywa jest wąska i jednostronna. Dotyczy czegoś, co jest ważne, lecz nie najważniejsze, i wtórne, a nie pierwotne. Nie od tego zależy rola kultury. Społeczeństwo i kultura są nie tylko instytucjami pośredniczącymi między państwem i rynkiem. Jeśli nie uzyskują niezbędnego poziomu samoorganizacji i autonomii, to nie będą dobrze funkcjonować - ani państwo, ani rynek.

Zatem jeżeli mamy powiedzieć: nie kultura jako gospodarka, ale odwrotnie, to wtedy związki między nimi trzeba ujmować inaczej, znacznie szerzej: **KULTURA JEST PODGLEBIEM, SPOŁECZNĄ PODBUDOWĄ I OBUDOWĄ DZIAŁALNOŚCI GOSPODACZEJ.** Sięgnijmy do Maxa Webera i jego prac dotyczących postaw etycznych. Można się z nim nie zgadzać, ale gdy pisał o Chinach, to mówił o konfucjonizmie, kiedy mówił o wczesnej gospodarce kapitalistycznej, to zajmował się kalwinizmem. Weber wyraźnie dostrzegał podbudowę.

Po drugie, kultura jest zasobem ekonomicznym, po trzecie – czynnikiem wytwórczym i po czwarte – istotną składową mechanizmu rozwoju. To znaczy, że nie jest wyłącznie czynnikiem, ale czymś poważniejszym – spoiwem między różnymi czynnikami. Ona łączy to, co się dzieje po stronie państwa, rynku i po stronie społeczeństwa. Jest tym interfejsem komunikacyjnym. Nadaje umiejętność przenoszenia się z jednego obszaru działania do drugiego.

W kulturze też musimy dostrzec zmianę, która nastąpiła we współczesnej cywilizacji. Żyjemy w cywilizacji przemysłowej, w której przestrzeń komunikacyjna jest ważniejsza niż fizyczna. Przestrzeń fizyczna, taka

jaką znamy z epoki przemysłowej, miała inne cechy: była ograniczona, zamknięta, wsobna, systemowa, statyczna. Przestrzeń komunikacyjna jest nieograniczona, otwarta, włączająca, modalna i dynamiczna.

To jest cywilizacja przepływu a nie skupiska. Żyjemy w czasach, kiedy wytwarzamy przede wszystkim produkty intelektualne: informacje, wiedzę, kody, symbole. A w związku z tym tak naprawdę potrzebna jest zmiana modelu kształcenia i inne sposoby formowania się społeczności. To się już stało.

Jak więc rozumieć znaczenie kultury w tej cywilizacji, w której żyjemy? Bardzo sobie cenię definicję kultury wspomnianego Maxa Webera: „Kultura stanowi z punktu widzenia człowieka obdarzony sensem i znaczeniem skończony wycinek bezsensownej nieskończoności”. To znaczy, że kultura nadaje sens naszemu indywidualnemu życiu, że nie potrafimy sobie z ową „bezsensowną nieskończonością” poradzić inaczej, jak właśnie poprzez odkrycie siebie, do czego potrzebna jest kultura. A jednocześnie to, o czym pisał Weber, co jest takim pesymistycznym, egzystencjalnym ujęciem, musimy odnieść nie do końcówki XIX wieku, kiedy żył Weber. Wtedy wszystko było bardziej stabilne, a my żyjemy w czasach, w których nie ma nic pewniejszego niż zmiana - czasach, które socjologowie opisują jako społeczeństwo wysokiego ryzyka.

Jakie są dzisiejsze wymagania zawodowe? – elastyczność, dyspozycyjność, zdolność do adaptowania się. Tego dzisiaj wymagają korporacje. To przymus kreatywności, ale w istocie rzeczy ów przymus jest wkomponowany w bardzo silne mechanizmy subordynacji i podporządkowania bardzo hierarchicznemu widzeniu korporacji.

Nie ciągłość i nie pewność w życiu jednostki jest masowym doświadczeniem. Jak więc sobie radzić, jak właśnie w tej współczesności odczytać Webera? Oto odpowiedź: kreatywność jako sposób nadawania sensu i budowania indywidualnych biografii, o czym mówi Jürgen Habermas, widząc odpowiedź w perspektywie aksjologicznie twórczego członka społeczeństwa – jednostka jako aksjologicznie twórczy członek społeczeństwa.

Jest to jego sposób reakcji na antropologicznym, indywidualnym poziomie. Ale my musimy znaleźć odpowiedź na poziomie wspólnotowym, a nie jednostkowym. Pytanie, które musimy sobie postawić: czy jest możliwe, aby każda jednostka była aksjologicznie twórczym członkiem społeczeństwa? Aby była kreatywna w szerokim tego słowa znaczeniu? Można w to wątpić. Tutaj przywołuję Edwina Bendyka, który ma dosyć posępną, sceptyczną wizję współczesnej technologii i współczesnej kultury. Jak jego zdaniem wyglądają wzorce kultury popularnej w środowisku młodych ludzi?: „Współcześni młodzi to indywidualiści uwiedzeni przez konsumpcję, którzy konstruują swoją osobowość tożsamość głównie czerpiąc z wzorców i zasobów kultury, zwłaszcza kultury popularnej. Ich sposób bycia w społeczeństwie polega na tworzeniu nietrwałych więzi i eksperymentowaniu, co dotyczy nawet najbardziej intymnych relacji”. Bendyk jest dziennikarzem „Polityki”, ale tak naprawdę jednym z najbardziej twórczych polskich intelektualistów, pisze dużo na temat kultury i technologii, jest człowiekiem „uruchamiającym” myślenie. Jego wizja jest bardzo pesymistyczna, moja bardziej optymistyczna, ale to pewnie wynika z podłoża

genetycznego, a nie z odmiennych przekonań czysto intelektualnych.

Rozważamy, jak sobie radzić w kategoriach wspólnotowych, a nie indywidualnych. Proponuję popatrzeć na kulturę w następujący sposób: kultura nas przypisuje, ale też wyzwala. Jeśli tak, to za sprawą sztuki, która nieustannie potrzebuje i poszukuje nowego języka emancypującego najpierw artystę, a z czasem inne jednostki i w końcu wspólnotę, społeczeństwo. Język sztuki zmienia się, a współcześnie szybciej niż kiedykolwiek. Szybciej też jego wyzwolenicza energia przenosi się do wspólnoty. Stąd jej znaczenie i konieczność otwierania się na współczesną sztukę.

Czyli – szukamy odpowiedzi w perspektywie wspólnotowej, a nie indywidualnej, co nie znaczy, że ta indywidualna odpowiedź nie jest ważna, bo przecież jest kluczowa i ważna, ale potrzebujemy też odpowiedzi wspólnotowej. Więc musimy odpowiedzieć na pytanie, jak w takiej sytuacji, w takim społeczeństwie ryzyka, niepewności, w społeczeństwie różnorodności wspólnot i przynależności, wielorakiej tożsamości, wielości sektorów i form organizacji, jak ZAPEWNIĆ NIEZBĘDNY POZIOM SPÓJNOŚCI SPOŁECZNEJ I KOORDYNACJI DZIAŁAŃ ZBIOROWYCH?

Nawiążę do początków mojego wystąpienia. To nie jest tak, że dzisiaj zwrócimy się do państwa i państwo rozwiąże problem. Potrzebujemy bardziej złożonego instytucjonalnie mechanizmu, w którym nastąpi połączenie inne niż dotychczas nam znane: państwa, rynku, kultury i aktywności obywatelskiej. Jak stworzyć taki niezbędny poziom spójności w warunkach takiego społeczeństwa? Uważam, że właśnie poprzez odpowiednie zinterpretowanie, czym jest kultura w tej perspektywie rozwojowej, a nie przemysłu kreatywnego, nie w perspektywie wzrostu, biznesu i zysku. Próbuję zbudować takie rozumowanie: żadna kultura nie wyzwala ostatecznie, ale także krępuje i zniewala. Jej krytyczną, zniewalającą energię trzeba stale odnawiać, uaktywniać. Jak? Jak włączać energię kultury do tak rozumianej spójności, czyli zdolności społeczeństwa do sprostanania wyzwaniom? Można to uczynić w następujący sposób:

- dopuszczając wielość perspektyw i języków; tolerancja jest zaledwie przyzwoleniem, tu trzeba czegoś więcej niż tolerancji;

- dbając o dialogiczność i interaktywność, rozumiejąc, że są pojęcia otwarte i włączające, i są pojęcia zamykające i blokujące.

Co znaczy dziedzictwo narodowe i dziedzictwo kultury np. w odniesieniu do Wrocławia? Przecież to bezsens, co uczyniliśmy z nazwą naszego ministerstwa, dopisując „dziedzictwa narodowego”. Wszak powinniśmy mówić o dziedzictwie kulturowym; znacząca część dziedzictwa kulturowego, czyli zasobu rozwojowego Wrocławia nie jest etnicznie polska. Dzisiaj wracamy do tych tradycji, choć nie traktujemy ich jako własnych, ale też nie traktujemy ich jako obcych. Sięgamy po nie, odbudowujemy, czy są one w architekturze, czy w biografiiach i osiągnięciach intelektualnych tamtych ludzi – to wszystko czyni nasze życie bogatszym, bo możemy korzystać z większej ilości zasobów.

Starajmy się dbając o dialogiczność wyraźnie zaznaczać, które pojęcia są otwarte i włączające, a które zamykające i blokujące. Jak wygląda dyskurs także

w tej przestrzeni aksjologicznej? Przeważnie narzucają się pojęcia, które blokują możliwość dyskursu. Jeżeli odpowiednio zinterpretujemy problematykę aborcji – każdy kto będzie dopuszczał aborcję, jest z natury rzeczy wykluczony z przyzwoitego dialogu, bo jest niemoralny. Jeżeli powiemy, że życie poczęte zaczyna się w momencie, kiedy dwie komórki łączą się w zarodek, wtedy mamy sytuację, że nie da się już rozmawiać, bo to jest sposób wyłączający możliwość dialogiczności.

Przeciwstawiając się hegemonii językowej i kulturowej, a zatem wszelkiej hegemonii, dobierając i używając języka nie po to, aby konserwować i odtwarzać idee i konstrukty myślowe, ale aby przede wszystkim je redefiniować w kontekście napierającej na nas rzeczywistości, uznając kulturę za pole aksjologicznego dyskursu i taką ją praktycznie czyniąc – mamy do czynienia z JASNĄ I OTWARTĄ AKSJOLOGICZNOŚCIĄ.

Całkiem niedawno zorganizowałem w PWST w Krakowie dyskusję na temat *Sztuka i naród*, z udziałem Jana Klaty. Nie było żadnych ekscesów, nikt nie robił żadnych scen, Kłata mógł przedstawić swój punkt widzenia, ludzie mogli się z nim zgodzić lub nie, rozumieć lub nie. Przypadek Jana Klaty pokazuje w istocie rzeczy, że mamy do czynienia z kilkoma poziomami sporu i konfliktu, i że czasami to, co wydaje się nam rzeczywistym sporem aksjologicznym jest sporem personalnym, którego nie chcę rozstrzygać, bo się na tym nie znam. Ale warto rozmawiać w płaszczyźnie aksjologicznej pod warunkiem, że każdy interlokutor w sposób jawny i otwarty przedstawi swoją perspektywę aksjologiczną. Każdą uznamy za dopuszczalną w dialogu i nie będziemy dążyć do jej usankcjonowania legalnego bądź instytucjonalnego.

Jakie miałyby to praktyczne znaczenie? Jeżeli mówimy o polityce kulturalnej, w tym o sposobie rozumienia kultury w kontekście – jeszcze raz podkreślam – rozwoju, mówię o rozwoju społecznym, nie wyłącznie jednostki, to zastanówmy się nie tylko nad tym, czego od niej chcemy, bo najczęściej chcemy pieniędzy, ale także czego od niej zdecydowanie nie chcemy, aby się w końcu nie okazało, że mając pieniądze jesteśmy kulturalnie zniewoleni. Będziemy mieli program, który nam minister - preferując pewien typ myślenia o dziedzictwie narodowym, pewien typ polityki historycznej czy kulturalnej – narzucił, dając pieniądze. I będziemy musieli w tym uczestniczyć. A dokładnie – co należy zrobić i czym dysponować, aby to czego nie chcemy, nie stało się. Mam wrażenie, że większość publicznych instytucji kultury jest zdecydowana na utratę rzeczywistej wolności, byle tylko zapewnić sobie bezpieczeństwo. Nie chroni substancji, chroni materię, instytucję, etaty.

Nie traktujemy państwa jako najwyższej siły, nowego Watykanu, lecz jako publicznego partnera zdolnego lub nie, i gotowego lub nie do współdziałania z innymi względem niego autonomicznymi partnerami, także niepublicznymi. Działajmy więc tak, aby kultura (będąc głównie obszarem działań jednostek i indywidualnej kreatywności) stawała się także przestrzenią komunikacji zbiorowej, dyskursu, współpracy i innowacji. Systematycznie organizują na uczelniach artystycznych debaty na temat *Sztuka i...* (w maju będzie *...i rozwój*, w październiku – *...i przestrzeń publiczną*) - po to, aby wyraźnie dyskutować w tej płaszczyźnie odpowiedzialności. Tworzyć element wspólnotowości, ale poddawać to także dyskursowi nie w celu ustalenia, kto ma rację,

lecz po to, aby się lepiej rozumieć, móc współpracować.

Naszej przeszłości stawiamy wciąż pytania, nowe pytania zrodzone z tego, co obecne, aby odszukiwać ścieżki prowadzące w przyszłość. Wtedy kultura będzie podążać nie tylko za rozwojem technologicznym i gospodarczym, ale go uprzedzać i kierunkować.

Spróbujmy określić PODSTAWOWE WYZWANIA DLA GOSPODARKI. Daleki jestem od twierdzenia, że to co powiem na koniec mojego wystąpienia jest rzeczywistym zwieńczeniem w tym sensie, że coś udowodniłem, wykazałem. Pod tym względem jestem bardzo wstrzeźliwy, wręcz pokorny. Chcę tylko powiedzieć, że na owe pięć podstawowych wyzwań, przed którymi stoi Polska i my jako obywatele, członkowie tego społeczeństwa, nie da się zareagować bez odwoływania się do kultury. Zaproponowałem pewien sposób tego odwołania. Nie twierdzę, że najlepszy i jedyny możliwy, ale przynajmniej warto o nim dyskutować. Rozważania o kulturze są moim sposobem na rozmowę o tych wyzwaniach.

A zatem wyzwanie pierwsze: wzmocnienie potencjału kreatywnego jako warunek zapewnienia innowacyjności i trwałej konkurencyjności gospodarki.

W zeszłym roku przygotowałem wraz z kolegami-współpracownikami raport *Konkurencyjna Polska: jak awansować w światowej lidze gospodarczej*. Wprowadziliśmy tam m.in. wzięte z innych prac pojęcie pułapki średniego dochodu, twierdząc, że Polska znajduje się na drodze krajów o średnim dochodzie, a takich krajów, które 50 lat wstecz były na poziomie średniego dochodu na głowę mieszkańca było, powiedzmy, 111. Co istotne, 11 z nich przeszło do wyższej ligi gospodarczej, a 100 krajów jest ciągle na tym średnim poziomie. Mówimy: jeżeli Polska ma się wyrwać z tej pułapki średniego dochodu, to musi być znacznie bardziej innowacyjna i konkurencyjna. Zaś model konkurencyjności musi się zmienić – dużo bardziej polegać nie na instalowaniu kupowanych urzędów, lecz na kreowaniu własnych rozwiązań. To jest wyzwanie absolutnie kluczowe w sytuacji zmieniającej się architektury gospodarczego układu sił. Na przykład, jak zachować naszą bazę przemysłową w sytuacji, kiedy wiele gospodarek uległo dezindustrializacji? Jak prowadzić politykę przemysłową, jak ją robić nowoczesnie? To wyzwanie ma bardzo praktyczne odniesienia.

Wyzwanie drugie, to zdolność wykorzystania i interpretacji dziedzictwa kulturowego jako podstawa komunikowania się, kreatywności i kooperacji.

Podkreślam: dziedzictwo jest zasobem, dziedzictwo wymaga nie tylko konserwacji, nie tylko zarządzania. Dziedzictwo wymaga reinterpretacji. Jeżeli więc chcemy dyskutować np. o Krakowie, to możemy dyskutować w kategoriach sakralnych, uświęconych świętości. Albo możemy rozmawiać o rozwoju Krakowa i zastanawiać się, co się na mapie tego miasta dzieje, co wypiera co? I czy to, co ulega wyparciu, tworzy nowe możliwości, daje nowe interpretacje, pomnaża zasoby, czy też eksploatuje dotychczasowe zasoby, dając jakiś tam dochód w krótkim czasie – kosztem długofalowych możliwości rozwoju. Popatrzmy wtedy na przestrzeń miasta, zobaczymy, co jest generowane, jaki typ zasobu i czy my rzeczywiście dzisiaj potrafimy na przykład zrozumieć, że żyjemy nie tylko w mieście biesiadnym, wycieczek patriotycznych i nie tylko pielgrzymek oraz

festiwali, ale też Młodej Polski, Nowej Huty, austriackiego Podgórze – to wszystko trzeba odkryć, zinterpretować, odnaleźć, do tego sięgnąć, aby Kraków pomnażał swoje zasoby, miał dynamizm rozwojowy.

Kolejne wyzwanie to kwestia edukacji. Co jest ważne we współczesnej edukacji? Edukacja artystyczna, kulturalna, medialna i edukacja obywatelska. Popatrzmy na nasz system oświatowy – wyraźnie widać, że edukacja medialna jest istotna dla umiejętności krytycznego odbioru informacji, a nie tylko zrozumienia. Nam się wydaje, że ważna jest tylko umiejętność zrozumienia. Współcześnie o wiele ważniejsza dla budowania jest umiejętność krytycznego odbioru, aktywnego stosunku do informacji.

Istotne dla nas są również te wyzwania, które wiążą się z brakiem przestrzeni publicznej. W Polsce – moim zdaniem – zasadniczy problem rozwojowy polega na tym, że zniknęła przestrzeń publiczna jako miejsce dla aktywnych obywateli. Została wyparta. Gdy poszukamy miejsca, gdzie obywatele mogą mieć swoją współczesną agorę, to nic nie znajdziemy, bo takich miejsc nie ma. Obywatele zostali przesunięci do kościołów, galerii handlowych. Nie ma przestrzeni, która byłaby przestrzenią dobra wspólnego, sposobem definiowania owego dobra – w różnej skali. Przecież nie chodzi o miejsce, w którym będziemy sejmikować, ale w którym będziemy dyskutować o Krakowie, szkole, o parku, dyskutować o infrastrukturze, w której żyjemy.

To nasze wspólne miejsce. Od czego takie miejsce się zaczyna? Na przykład od biblioteki, domu kultury, ale także od innego rozumienia internetu, np. od istnienia portali społecznościowych, finansowych, dotyczących środków publicznych. Przestrzeń publiczna jest wypierana przez przestrzeń komercyjną. Zanika również z powodu pewnego typu działania państwa. Coraz bardziej państwo jest upartyjnione, w coraz mniejszym stopniu „uobywatelnione”. A to jest według mnie bardzo istotne.

Ostatnie, piąte z tych wyzwań: Mamy do czynienia z sytuacją całkowicie niesprawnej administracji, która w coraz większym stopniu żyje dla wypełniania pewnych formalnych działań i jednocześnie ma coraz większą i niekontrolowaną władzę – z pomocą środków unijnych, które są podporządkowane utrwalaniu jej dominacji i sprowadzaniu różnych podmiotów do roli petenta.

To jest właśnie – według mnie – pięć istotnych wyzwań rozwojowych. My potrzebujemy innego modelu rozwoju społeczno-gospodarczego. Odpowiedź – jak wykreować taki model, bo nie wierzę, że przyjdzie jakaś władza i go ustanowi – prowadzi przez odkrycie znaczenia kultury. Znaczenia kultury właśnie w tej perspektywie rozwojowej.

Macie państwo prawo powiedzieć, że odkrywam Amerykę. Przecież są to rzeczy, o których mówimy od lat, ciągle do nich wracamy. To prawda. Nawet nie staram się powiedzieć, że to wszystko wymyśliłem. Jestem osobą, która pochodzi z pewnego środowiska – dla środowiska ekonomicznego, proszę mi wierzyć, są to naprawdę odkrycia. Jeżeli środowisko ekonomiczne w ogóle dostrzegało znaczenie kultury, to wyłącznie przez pryzmat biznesu, rynku, a nie przez pryzmat rozwoju. Więc nawet jeżeli uznacie państwo te rzeczy za oczywiste, to jeszcze raz chcę podkreślić – one wcale nie są oczywiste w perspektywie współczesnych wyzwań rozwojowych. (Spisał: ar)

EDWARD KAROLCZUK

O SPRZECZNOŚCIACH WOLNORYNKOWEJ GOSPODARKI W WARUNKACH GLOBALIZACJI

Na marginesie książki *Kryzys bez końca*

Stagnacja i rosnący dług

Kiedy świat słucha zapewnień neoliberalistów o świetlanych perspektywach i korzyściach globalizacji oraz wyjściu z kryzysu wraz z obniżeniem podatków dla oligarchii finansowej, John Bellamy Foster i Robert W. McChesney piszą książkę pt. *Kryzys bez końca*. Udowadniają w niej, że „normalnym” stanem gospodarki kapitalistycznej, najchętniej określanej jako „wolnorynkowa”, zdominowanej przez oligopol jest jej „stagnacja”, wyraźnie widoczna zwłaszcza w krajach *Triady* (USA, Unia Europejska i Japonia) już od lat 60. XX wieku, nawet jeśli występowały pewne górkę i dołki wzrostu gospodarczego. Nie jest w stanie jej przewyżnić zasilenie gospodarki przez rosnące zadłużenie przedsiębiorstw, gospodarstw domowych i dług publiczny. Rośnie bezrobocie, zatrudnienie niepełne i na umowach śmieciowych. Korporacje chętniej niż we wzrost produkcji, angażują się w przejęcia, fuzje i zwiększanie swej siły monopolistycznej. Aby podtrzymać wskaźniki produkcji odchodzą od wymogów trwałości i jakości produkcji towarów, sztucznie postarzają elementy składowe, tak konstruują wyroby, aby ich naprawy były niemożliwe lub nieopłacalne. Mechanizmy uruchamiane przez poszczególne rządy dla przewyżnienia stagnacji umożliwiały jedynie ograniczone efekty i niewielkie wzrosty gospodarcze. Wzrost zadłużenia w latach 1980-2008, który wsparł gospodarkę, był nie do utrzymania i ostatecznie doprowadził do Wielkiego Kryzysu Finansowego. „W latach 70. XX w., całkowite zadłużenie w Stanach Zjednoczonych

było o ok. połowę większe od produktu krajowego brutto. Do 2005 r. była to już prawie trzyipółkrotność PKB, i tylko niewiele mniej niż wynoszący 44 bln USD produkt krajowy brutto całego świata”¹.

System kredytowy w ciągle rosnącej skali nie służył poprawie kondycji gospodarki, lecz stał się rodzajem dźwigni, za pomocą której nieliczna oligarchia finansowa zaczęła przepompowywać bogactwo od większości społeczeństwa, zabezpieczył wzrost różnic dochodów pomiędzy oligarchią a pozostałymi grupami społecznymi, stwarzał warunki do wzrostu produkcji i konsumpcji dóbr luksusowych oraz pogłębiania stagnacji całej gospodarki. „W 1976 r. na najbogatszy 1 proc. gospodarstw domowych w Stanach Zjednoczonych przypadało 9 proc. uzyskanych w kraju dochodów; do 2007 r. udział ten wzrósł do 24 proc. [...] W 2007 r. jeden tylko menadżer funduszu hedgingowego, John Paulson, »zarobił« 3,7 mld USD, ok. 74 tys. razy więcej niż wynosi mediana dochodu gospodarstw domowych USA. Między 1989 a 2007 r. udział całkowitego majątku znajdującego się w posiadaniu 5 proc. najbogatszych Amerykanów wzrósł z 59 do 62 proc., znacznie przewyższając majątek pozostałych 95 proc. populacji” (s. 126-127).

Neoliberalistowie często posługują się argumentem, że wydłużenie okresu pracy zawodowej z 65 do 67 roku życia związane jest ze starzeniem się społeczeństwa i przewagą liczby emerytów i rencistów w porównaniu z aktywnymi zawodowo. Podniesienie okresu pracy kobiet z 60 do 67 lat argumentuje się chęcią zrównania rent

i emerytur kobiet i mężczyzn. W tych dyskusjach starannie pomija się problem wzrostu społecznej wydajności pracy, która znacznie przewyższa stopę wzrostu liczby emerytów i rencistów. Podobnie jest w kwestii płac realnych najmniej siły roboczej. „Fakt, iż w 2006 r. realna godzinowa stawka płac w sektorze prywatnym (poza rolnictwem) w Stanach Zjednoczonych była taka sama jak w roku 1967, i to pomimo ogromnego wzrostu wydajności i bogactwa w kolejnych dziesięcioleciach, wskazuje, iż głównym problemem pozostaje rosnąca stopa wyzysku pracowników. W latach 2000-2007 wzrost wydajności w gospodarce amerykańskiej wyniósł 2,2 proc., podczas gdy tempo wzrostu mediany godzinowej stawki płac było na poziomie -0,1 proc. Udział płac w PKB spadł gwałtownie z ok. 53 proc. w 1970 r. do ok. 46 proc. w roku 2005. Jednak, jak gdyby zupełnie na przekór tym tendencjom, w tym samym czasie udział konsumpcji w PKB wzrósł z ok. 60 proc. na początku lat 60. XX w. do ok. 70 proc. w 2007 r. Tak sprzeczne zmiany były możliwe dzięki olbrzymiej ekspansji zadłużenia gospodarstw domowych i – koniec końców – dzięki powstaniu zakorzenionej w sekurytyzacji kredytów mieszkaniowych bańki na rynku nieruchomości. Pęknięcie »bańki mieszkaniowej« było więc nieuniknionym rezultatem zniszczenia finansów gospodarstw domowych zdecydowanej większości ludzi pracy” (s. 95-96).

Rozwój gospodarki kapitalistycznej wymaga ciągłej akumulacji kapitału, ale powstaje tu pewien paradoks. Zyski kapitału i akumulacja rosną przede wszystkim dzięki wzrostowi stopy wyzysku siły roboczej, czyli dzięki ograniczeniu wzrostu płac w stosunku do wydajności, ale niskie płace robocze ograniczają popyt, a tym samym samą ekspansję kapitału. Ograniczona w wyniku rosnącej akumulacji konsumpcja szerokich mas jest barierą dla inwestycji kapitału i spowalnia długookresowy wzrost gospodarczy. Wraz ze wzrostem nadwyżki mocy produkcyjnych zmniejszają się stopy zysku, a proces akumulacji musi zwolnić, zwłaszcza gdy nie ma bodźców w postaci wojen, zdobyczy nowych rynków, innowacji technologicznych lub towarów rynkowych.

Mit wolnej konkurencji

W ekonomii dominującego nurtu panuje mit o powszechnym istnieniu i dobrodziejstwach wolnej konkurencji. Wszechobecna konkurencja ma zapewnić racjonalną alokację zasobów rzadkich i uzasadnić istniejący podział dochodów. John Bellamy Foster i Robert W. McChesney dla opisanego złożoności procesu konkurencji posługują się terminem „dwuznaczności konkurencji”, chociaż wydaje się, że słuszniej jest mówić o sprzecznościach konkurencji. Z jednej strony konkurencja w klasycznym ujęciu występuje wówczas, gdy mamy do czynienia z dużą liczbą i niewielkich rozmiarów podmiotów gospodarczych, z których pojedyncza firma nie ma znaczącej kontroli cen, produkcji, inwestycji i rywalizuje z innymi podobnymi firmami o klienta. Losy każdego przedsiębiorstwa zależą od siły rynkowej. Każda firma usiłuje prześcignąć znanego sobie rywala. To klasyczne rozumienie konkurencji jest w sprzeczności z postępującą monopolizacją i funkcjonowaniem współczesnego rynku oligopolistycznego.

Z drugiej strony konkurencja w warunkach oligopolu przybrała nowe formy i nie zanikała całkowicie, czego wyrazem są przejęcia, fuzje i spekulacje w finansowej nadbudowie gospodarki. „Różnicowanie produktu, zarządzanie sprzedażą czy też reklama (czyli coś, co Baran i Sweezy nazywali »kosztami sprzedaży«) stały się, obok postępu technologicznego, głównymi środkami, za pomocą których firmy w krótkim okresie poszukiwały możliwości zwiększenia swoich zysków i udziałów w rynku. Jednak wszystkie tego typu formy konkurencji znajdowały się bliżej monopolistycznego krańca spektrum, podważając zarówno klasyczne ekonomiczne rozumienie wolnej konkurencji, jak również, w większym nawet stopniu, neoklasyczne poglądy na konkurencję doskonałą” (s. 175-176).

Neoliberalowie przedstawiają się jako zwolennicy wolnego rynku, będącego samoregulatorem gospodarki ze swoją „niewidzialną ręką”. W ich ujęciu obniżki cen mają prowadzić do wzrostu wydajności pracy i korzyści dla całego społeczeństwa. Ale w warunkach gospodarki oligopolistycznej ten „wolny rynek” już nie istnieje. Gigantyczne firmy oligopolistyczne zrezygnowały z tradycyjnej wojny cenowej, w trakcie której obniżały swoje ceny, aby utrzymać się na rynku, gdyż w jej rezultacie odnotowywały spadki zysków i groziło im samozniszczenie. Dlatego wielkie firmy zaczęły stosować zmywy w utrzymaniu lub podnoszeniu marż i cen. Nie były one często bezpośrednie, lecz pośrednie, i zaczęły występować jako tzw. przywództwo cenowe. Ale ujemną stroną zmyw cenowych stały się nadwyżki mocy produkcyjnych, których nigdy nie udało się zagospodarować. Rywalizacja między oligopolami w swoich nowych formach stała się faktycznie zaprzeczeniem tradycyjnie rozumianej wolnej konkurencji. Neoliberalni ekonomiści i ideologowie nie chcą jednak publicznie uznać dokonujących się zmian i zafałszowywania gospodarczej rzeczywistości, i wciąż postulują z uporem godnym doktrynerów i utopistów doskonałą i czystą konkurencję, efektywny rynek, doskonałą informację i racjonalność, walkę z monopolem, chociaż jest on organiczną częścią wolnej konkurencji. Zmywy cenowe nie przekreślają oczywiście tradycyjnej konkurencji cenowej, zwłaszcza między drobnymi przedsiębiorstwami, w nowych branżach, czy jeszcze przed ukształtowaniem się rynku oligopoli.

John Bellamy Foster i Robert W. McChesney wskazują na daleko idące konsekwencje zaniku konkurencji cenowej w *Centrum* gospodarki kapitalistycznej. Konkurencja istnieje, ale pozostaje na poziomie wydajności pracy i o uzyskanie przewagi kosztowej. „Cięcie kosztów” to zresztą najmodniejsze wśród nich zawołanie. Sprawia to, że korzyści z postępu gospodarczego „zamiast za pośrednictwem spadku cen, być szeroko dystrybuowane w całym społeczeństwie – mają skłonność do koncentrowania się w rosnącej nadwyżce dużych firm. Pogłębia to problem nadakumulacji”. Aby bronić się przed groźbą nadprodukcji i obniżeniem cen i marż, firmy zmniejszają wykorzystanie swoich zdolności wytwórczych, ale to wzmacnia tendencje do stagnacji, ogromne środki trwałe trzymane są w rezerwie na wypadek nagłej poprawy koniunktury, która jednak nie nadchodzi. Skłonność do stagnacji w dojrzałej gospodarce monopolistycznej nie wynika z braku postępu technicznego i technolo-

gicznego, gdyż „głównym ograniczeniem akumulacji jest nie tyle niewystarczająca wydajność gospodarki, lecz – przeciwnie – to, że jest ona *zbyt wydajna*”. „Wielkie korporacje dysponują znaczną swobodą w zarządzaniu poziomami produkcji i inwestycji oraz poziomami cen, które nie są zewnętrznie określane przez rynek, lecz raczej kształtowane z uwzględnieniem najbliższych oligopolistycznych rywali”. Niską formą ryzyka konkurencji staje się reklama, która pozwala osiągnąć przynajmniej część korzyści, które wcześniej osiągnano dzięki obniżkom cen. Dlatego reklama staje się dla kapitalizmu oligopolistycznego „czynnikiem kluczowym”, pozwalając przejściowo ograniczać problemy związane z nasyceciem rynku oraz poszerzeniem „rynków konsumpcji finalnej” (s. 82-83). Firmy nie oszczędzają pieniędzy na reklamę dowodzą zbrodniczego charakteru gospodarki kapitalistycznej. Stwarza się w tym celu całą rzeszę tzw. celebrytów, czyli ludzi którzy, jak podają oficjalne definicje, są znani dlatego, że są znani, co oznacza, że nie mają nic do powiedzenia, poza tym, że ich znane sylwetki i skandale z nimi związane są lokomotywami reklam, że wykorzystuje się je do przyciągnięcia uwagi potencjalnych klientów. „Nigdy nie należy zapominać o moralnym barbarzyństwie systemu, który w 1992 r., za reklamowanie marki Nike, zapłacił Michaelowi Jordanowi 20 mln USD – kwotę równą łącznym płacom w 4 indonezyjskich fabrykach biorących udział w produkcji tego obuwia, przy wynagrodzeniu kobiet w tych fabrykach na poziomie 15 centów za godzinę i 11-godzinnym dniu pracy” (s. 203). Nowe formy konkurencji między oligopolami bardziej niż wzrostowi produkcji i zatrudnienia, sprzyjają podziałowi rynków między siebie i stagnacji gospodarczej.

Monopolizacja

Nawet w ekonomii dominującego nurtu zwraca się uwagę na to, że z jednej strony konkurencja między przedsiębiorstwami przybiera charakter globalnej rywalizacji między oligopolami na arenie międzynarodowej, a z drugiej strony występuje zjawisko coraz większej koncentracji kapitałów w coraz mniejszej liczbie rąk. Nawet handel detaliczny, gdzie długo widoczna była wolna konkurencja, coraz bardziej opanowywany jest przez monopolistyczne sieci handlowe, które osiągają większe obroty i zyski niż pozostały drobny handel detaliczny w danym kraju.

Jednak pomimo postępującej koncentracji i centralizacji kapitału monopole w czystej postaci nie istnieją. Rynki podzielone są pomiędzy kilka wielkich przedsiębiorstw, które dzielą się rynkami i zyskami, zwanych oligopolami, czyli pomiędzy takie przedsiębiorstwa, które są w stanie wpływać na ceny, produkcję i inwestycje w branży, i ograniczyć wejście na rynek nowych producentów i sprzedawców, nawet jeśli osiągnane w niej zyski są wysokie. Tworzenie i utrzymywanie barier dla wejścia nowych podmiotów na rynek jest jednym z kluczowych zadań każdej korporacji. Ale dążenie do monopolizacji jest logicznym następstwem wolnej konkurencji w kapitalizmie. Pojedynczy oligopol działa często w wielu branżach i w wielu krajach.

Pięćset największych na świecie korporacji ma łączne przychody sięgające 40 proc. światowego PKB

(s. 157). A pięć międzynarodowych korporacji motoryzacyjnych produkuje prawie połowę pojazdów silnikowych, zaś na 10 firm przypada 70 proc. światowej produkcji samochodów (s. 157, 195). Autorzy *Kryzysu bez końca* wskazują, że w łącznych zyskach przedsiębiorstw w gospodarce USA w latach 1950-2008 udział całkowitych zysków brutto 200 największych korporacji amerykańskich wzrósł z 13 proc. w 1950 roku do ponad 30 proc. w 2008 roku. W 2008 roku udział zysków tych firm na krótko uległ zmniejszeniu. Jednak już w latach 2009 i 2010 udało się powetować straty i zwiększyć zyski, chociaż niski poziom ogólnego ożywienia nie powinien na to wskazywać. „Nie ulega wątpliwości, że ożywienie w przypadku gigantycznych firm było związane z ich siłą monopolistyczną, która umożliwiła im przerzucenie kosztów kryzysu na bezrobotnych, pracowników i na mniejsze firmy” (s. 150).

Korporacje międzynarodowe, których produkcja i zbyt w mniejszym stopniu zależą od rynków krajowych, szukają podwykonawstwa na rynkach międzynarodowych i tam przenoszą konkurencję z innymi firmami. W związku z tym często głównym przeciwnikiem stają się dla nich państwa narodowe, które próbują w jakimś chociaż stopniu bronić swoich obywateli przed nadmiernym wyzyskiem. Kiedy zaczął się eksport kapitału na *Peryferia* kapitalizmu, sformułowano teorię o społeczeństwie „postindustrialnym”, w którym rzekomo decydującą rolę miały odgrywać usługi. Dziś wiadomo, że związane było to z konkurencją oligopoli na runkach międzynarodowych, poszukiwaniem tańszej siły roboczej i planową dezindustrializacją krajów *Centrum* w poszukiwaniu zysków. „Względna »dezindustrializacja« na globalnej Północy jest obecnie tendencją zbyt wyraźną, by mogła zostać całkowicie zanegowana. Udział produkcji przemysłowej Stanów Zjednoczonych w PKB tego kraju spadł z ok. 28 proc. w 1950 r. do 12 proc. w 2010, przy jednoczesnym drastycznym spadku jej udziału (oraz udziału łącznej produkcji przemysłowej krajów OECD) w światowej produkcji przemysłowej” (s. 302).

Finansjeryzacja

W warunkach stagnacji gospodarki kapitalistycznej finansjeryzacja jest pewnym procesem, w wyniku którego następuje długookresowe przeniesienie środka ciężkości z produkcji do finansów. Znajduje to swój wyraz we wzroście zysków finansowych w porównaniu do innych zysków, wzroście długu publicznego w porównaniu do PKB, wzroście udziału sektora FIRE (finansów, ubezpieczeń i nieruchomości), opowszechnieniu się instrumentów finansowych opartych na długu, zwiększeniu się roli banków finansowych. „W roku 1957 produkcja przemysłowa odpowiadała za 27 proc. amerykańskiego PKB, podczas gdy FIRE – tylko za 13 proc.. Do 2008 r. relacja ta uległa odwróceniu, przy spadku udziału produkcji przemysłowej do 12 proc. i wzroście FIRE do 20 proc.” (s. 109). Posiadanie aktywów w postaci papierowych akcji, lewarowanych za pomocą długu, stało się ważniejsze niż posiadanie kapitału produkcyjnego.

Dzięki lewarowaniu firma swój dochód może maksymalizować poprzez uzupełnienie kapitału własnego kapitałem pożyczonym. O pozytywnym efekcie dźwi-

gni mówimy, gdy rentowność oraz zwrot z kapitału są większe od kosztu kapitału pożyczonego. Dźwignią kapitałową (finansową) nazywa się stosunek wysokości zadłużenia firmy do jej całkowitego kapitału. Natomiast dźwignią dochodową jest stosunek wysokości dochodów firmy do jej całkowitego dochodu. Do końca XIX wieku jako wskaźnik dźwigni stosowano zazwyczaj dźwignię dochodową. W tym okresie zaczęto stosować dźwignie nie tylko w handlu i przemyśle, ale także na rynku kapitałowym. Jan Toporowski odstawiając związek lewarowania ze stagnacją gospodarczą pisał, że w obecnych czasach szanse biznesowe i płynność firmy zależą od jej dźwigni. Firma posiadająca tylko kapitał własny w formie majątku produkcyjnego i produkcji w toku, jest stosunkowo mało płynna w porównaniu z taką samą firmą, ale posiadającą zadłużenie wielokrotnie przekraczające jej wartość, jeśli pojawią się niespodziewane wysokie rachunki do zapłaty. Zadłużona firma może nawet wdawać się w spekulacyjny obrót przedsiębiorstwami na rynku kapitałowym, nie zmniejszając przy tym swojej płynności. Dlatego zdaniem Jana Toporowskiego „dźwignia staje się coraz częściej stosowanym sposobem na przekształcenie przedsiębiorstwa średniej wielkości w wielką korporację bez zadawania sobie trudu rozbudowy mocy produkcyjnych czy możliwości handlowych. Dźwignią można operować bez negatywnych konsekwencji finansowych tak długo, jak długo firma posiada wystarczające ilości krótkoterminowych albo płynnych aktywów finansowych w stosunku do pożyczek zaciągniętych na dłuższy okres”².

Wyrazem finansjeryzacji gospodarki jest istnienie we współczesnej gospodarce dwóch różnych struktur cenowych: „jedna odnosząc się do wyceny produkcji i związana z PKB oraz czymś, co ekonomiści nazywają »gospodarką realną«, oraz druga, związana z wyceną aktywów, na które współcześnie składają się przede wszystkim »aktywa finansowe« lub formalne tytuły do majątku. Generalnie rzecz ujmując, wystąpiła następująca sekwencja zdarzeń: nie mogąc znaleźć ujścia dla rosnącej nadwyżki w gospodarce realnej, kapitał (poprzez korporacje i inwestorów indywidualnych) wlał swoje nadwyżki/oszczędności w finanse, spekulując na wzroście cen aktywów. Tymczasem instytucje finansowe ze swej strony znalazły nowe, innowacyjne sposoby ulokowania tego ogromnego napływu kapitału pieniężnego i na dźwiganie finansowej nadbudowy gospodarki na coraz to nowe wyżyny za pomocą zaciągania dodatkowego długu, ułatwanego przez wszelkiego rodzaju egzotyczne instrumenty finansowe, takie jak derywaty, opcje, sekurytyzacja, itp.”. Instytucje finansowe były zachęcane do innowacji przez poszczególne państwa. Sekurytyzacja oznaczała jednak przekształcenie nieściągalnych długów w zbywalne papiery wartościowe pod wpływem iluzji, że dzięki temu ryzyko kredytowe zostaje zminimalizowane, a zyski zwiększone. Nastąpił niekontrolowany wzrost finansów w skali światowej. „W konsekwencji powstało kolosalne zadłużenie w połączeniu z nadzwyczajnym wzrostem zysków finansowych. Całkowity dług sektora prywatnego (gospodarstw domowych i przedsiębiorstw) wzrósł ze 110 proc. PKB Stanów Zjednoczonych w 1970 r. do 293 proc. w roku 2007, podczas gdy zyski finansowe wystrzeliły w górę, zwiększając

się o ponad 300 proc. od 1995 do połowy 2007 r.” (s. 90-91).

W latach 80. i 90. XX wieku powstały nowe innowacje finansowe powiązane z wartościami portfeli akcji czy polegające na konwersji jednego instrumentu dłużnego do postaci CDO (*collateralised debt obligations*)³ i CDS (*credit default swaps*)⁴, w procesie zwanym *sekurytyzacją*. Zdaniem Jana Toporowskiego innowacje te nie tyle eliminowały ryzyko, co przerzucały je z jednego miejsca rynku w drugie – „odpowiedzialność za straty jest przenoszona pomiędzy różnymi instrumentami finansowymi tak długo, aż znajdzie się w instrumencie, którego zasady działania nabywca nie rozumie”. Rzeczywiste zobowiązania pozostają nieznanne, czemu sprzyja stosowana księgowość: „*Marking to market*, czyli księgowanie zgodnie z ich wartością rynkową sprawia, że zbiorowa ignorancja zagnieżdża się w bilansach i spoczywa tam do chwili, aż wiatr historii odsłoni prawdziwą wartość wszystkich zobowiązań”⁵. Poznawaniu prawdy nie sprzyjają jednak interesy finansjery, która czerpie zyski z niestabilności finansowej systemu i otrzymuje prowizje od sprzedaży instrumentów pochodnych dla klientów.

Sekurytyzacja polega na emisji i zbyciu krótkoterminowych dłużnych papierów wartościowych pod zastaw należności, którymi są najczęściej wierzytelności z tytułu udzielonych klientom kredytów hipotecznych, pożyczek samochodowych, pożyczek na zakupy ratalne, należności z tytułu umów leasingowych, opłat czynszowych, rachunków telefonicznych itp. Sekurytyzacja jest procesem zakotwiczenia nowych produktów finansowych w już istniejących aktywach. Podmioty decydują się na zamianę aktywów np. w postaci należności, na papiery wierzytelności (akcje) lub dłużne (papiery komercyjne, obligacje), ale takie, które są łatwiej zbywalne niż np. klasyczne należności. Sekurytyzacja jest operacją finansową umożliwiającą przedsiębiorstwom, instytucjom finansowym i bankom pozyskanie kapitału poprzez sprzedaż części swojego długoterminowego portfela kredytowego, gdy zaczynają pojawiać się trudności z nabywaniem cudzych gwarancji w postaci CDS. Sekurytyzacja pozwoliła bankom usunąć produkty finansowe z własnych ksiąg rachunkowych i przenieść ryzyko na innych oraz uwolnić się od *Umowy Bazylejskiej*, na mocy której banki miały obowiązek utrzymywać w postaci „kapitałów własnych przynajmniej 8 proc. aktywów ważonych ryzykiem”. Bankierzy mogli pożyczać więcej, bez konieczności wykazywania strat w przypadku niespłaconych pożyczek. Przerzucanie własnych pożyczek na inne spółki pomocnicze sprawiło, że bilanse banków stały się nieprzejrzyste i nikt nie zna rzeczywistej ilości pasywów finansowych, które posiadają poszczególne banki, gdyż ryzyko niespłaconych długów przerzucają również na swoje spółki-córki i nie wykazują ich w swoich bilansach. Poza tym CDS-y, czyli ubezpieczenia kredytów, wystawiają poszczególne banki na ryzyko każdego innego banku.

Swapy walutowe polegają na tym, że dwa banki centralne na pewien czas „zamieniają się” (ang. *swap*) pewną ilością walut. Mogą istnieć umowy swapowe oficjalne i nieoficjalne, między dwoma bankami lub regionalne. „Umowa swapowa wiąże się z tym, że gwarantem kursu waluty danego kraju staje się bank cen-

tralny innego, silniejszego państwa. Zdaje to egzamin, dopóki jest postrzegane jako korzystne dla obu stron. Umowy takie grożą jednak konfliktami w kwestii innych aspektów polityki banku centralnego. Widoczne ostatnio upolitycznienie finansów i pieniądza stwarza dla takich porozumień nowe wyzwania⁷⁶.

Sekurytyzacja pozwoliła na masowy rozwój kredytów *subprime*⁷⁷ i stworzenie bańki kredytów hipotecznych, która przerodziła się w kryzys bankowy i finansowy. W USA i w kolejnych państwach *Triady* finanse spekulacyjne zaczęły odgrywać coraz większą rolę. „Część dochodu narodowego przypadająca na sektor finansów, ubezpieczeń i nieruchomości (ang. *Finance, Insurance, and Real Estate*, FIRE) wzrosła w związku z tym z 35 proc. udziału produkcji dóbr na początku lat 80. XX w. do ponad 90 proc. w ostatnich latach. Te tzw. boomy gospodarcze lat 80. i 90. XX w. były zasilane przez szybki wzrost spekulacji finansowych lewarowanych rosnącym długiem, głównie w sektorze prywatnym” (s. 40-41).

Pułapka zadłużeniowa, w jaką wpadły państwa zacofane i rozwijające się, nienależące do kapitalistycznego *Centrum*, ułatwiła instytucjom finansowym wywarcie nacisków na rygorystyczne restrukturyzacje, prywatyzacje, zniesienie ograniczeń dla przepływu kapitału, deregulacje, likwidację państwowej pomocy dla ludności ubogiej – a faktycznie zwiększenie zysków oligopoli i uspołecznienie strat, w czym istotne stało się zamrożenie lub obniżenie realnych płac roboczych. Mimo wymuszanych restrukturyzacji i reform rozpiętości pomiędzy krajami biednymi i bogatymi nie maleją. John Bellamy Foster i Robert W. McChesney piszą, że „w latach 1950-1973, dysparytet PKB *per capita* między najbogatszymi i najbiedniejszymi regionami świata spadł z 15:1 do 13:1, w erze kapitału monopolistyczno-financego tendencja ta uległa odwróceniu, a luka wzrosła ponownie do 19:1 pod koniec stulecia” (s. 129).

Finansjeryzacja gospodarki nie była w stanie położyć kresu stagnacji gospodarki kapitalistycznego *Centrum*. Doprowadza do coraz częstszych i głębszych kryzysów finansowych.

Globalne bezrobocie

Neoliberalowie doszukują się pozytywnych skutków bezrobocia, do których zaliczają wzrost konkurencyjności na rynku pracy, a zatem obniżkę wartości i ceny siły roboczej, wzrost motywacji do kształcenia, możliwość relokacji siły roboczej, łatwiejszą walkę z inflacją w następstwie osłabienia przetargowych pozycji pracowników i pozycji związków zawodowych, ograniczenie fluktuacji pracowników, zainteresowanie pracowników elastycznym czasem pracy i wolontariatem. Destabilizacja zatrudnienia pozwala neoliberalom na obniżenie płac od 20-40 proc., odpolitycznienie stosunków zatrudnienia i wynagrodzenia, na przeniesienie politycznego konfliktu klasowego na płaszczyznę tożsamości rasowych, etnicznych, narodowych czy religijnych, na zastąpienie walki klas wojnami kulturowymi. Jednocześnie neoliberalowie obiecują ograniczyć bezrobocie jeśli państwo obniży im podatki, a zaoszczędzone środki przeznaczyć na inwestycje. Efekt jest jednak odwrotny w stosunku do

ich obietnic – bezrobocie nie spada, poszerza się rzesza ludzi żyjących poniżej granicy ubóstwa, rośnie deficyt budżetowy i dług publiczny, który jest wykorzystywany do szturm na zdobycze socjalne i prawa pracownicze najemnej siły roboczej.

Produkcja bezrobotnych przybrała masowy charakter w ramach globalizacji i „transformacji”, i w skali światowej znacznie przekracza liczbę więźniów wszystkich nazistowskiego obozów koncentracyjnych. Przez hitlerowskie obozy zagłady przewinęło się ok. 18 mln osób, z czego 11 mln zostało zamordowanych, a liczbę bezrobotnych na świecie szacuje się obecnie oficjalnie na ok. 200 mln. Ale do tej liczby problem się nie ogranicza.

John Bellamy Foster i Robert W. McChesney, opierając się na danych *Międzynarodowej Organizacji Pracy*, wskazali, że w 2011 roku na świecie było 1,4 mld pracujących, otrzymujących regularne wynagrodzenie (*wage workers*), z których wielu to osoby zatrudnione na niepewnych warunkach i w niepełnym wymiarze pracy. Ale 1,7 mld pracowników zaliczona została do kategorii „pracujący na własny rachunek oraz pomagający członkowie rodzin” (*vulnerably employed*). Pomagający członkowie rodzin, to głównie pracujący w samozatrudnionych gospodarstwach rolnych, oraz warsztatach rzemieślniczych. Często są oni nieopłacani i nie w pełni zatrudnieni, i zwłaszcza w krajach biednych znajdują się poza oficjalnymi rejestrami bezrobotnych. W krajach tych często nie ma bowiem w ogóle oficjalnego bezrobocia, gdyż nie ma w nich żadnych zasiłków dla bezrobotnych i programów zabezpieczenia społecznego. W wieku od 25-54 roku życia wyodrębnia się dodatkową grupę ludzi „biernych zawodowo” (np. studentów, przestępców, niepełnosprawnych, podupadłych, wynędzniałych). John Bellamy Foster i Robert W. McChesney dodając do siebie kategorie bezrobotnych, *vulnerably employed* i osoby bierne zawodowo w wieku 25-54 lata, otrzymali 2,4 mld osób nazwanych „maksymalną wielkością globalnej rezerwowej armii”. „To właśnie istnienie rezerwowej armii, która w swoim maksymalnym zasięgu jest o ponad 70 proc. większa od armii czynnej, służy do ograniczania płac w całym świecie, zwłaszcza w krajach biedniejszych. Większa część armii rezerwowej znajduje się w słabo rozwiniętych krajach świata, choć jej wzrost jest obecnie dostrzegalny również w krajach bogatych” (s. 289-290).

Bezrobocie (ze względu na swoje rozmiary, różne ukryte formy i pełnione funkcje) pozostaje trwałym i strukturalnym elementem neoliberalnej gospodarki kapitalistycznej. Teza Marksa o istnieniu bezrobotnych jako „rezerwowej armii pracy” traci na znaczeniu. Nazywanie bowiem bezrobotnych „rezerwową armią pracy” pokazywało ich dawną możliwą funkcję – podjęcia czynnej pracy zawodowej, podczas gdy obecnie zdają się być zbędni⁷⁸. W neoliberalnej gospodarce postęp i rozwój mierzy się redukcją kosztów i zatrudnienia, a nie tworzeniem nowych stanowisk i naborem ludzi do pracy. Ludzie postawieni poza pracą zarobkową przestają być armią rezerwową. Dlatego większość ludzi, jeśli raz zostaną wykluczeni, tracą szansę powrotu do zatrudnionej części społeczeństwa. Nie przypadkiem Bertrand Ogilvie wysunął koncepcję

„produkcji człowieka jednorazowego”, którego system wysysa, a potem wypływa jako nieodwracalnie zbędne- go, a Zygmunt Bauman pisał, że „Produkcja »ludzi-od- padów«, »ludzi-odrzuć« czy też »ludzi na przemiał« (»nadliczkowych« i »zbędnych« [...] jest nieuniknio- nym skutkiem modernizacji i nieodłącznym składnikiem nowoczesności; nieuchronnym efektem ubocznym za- prowadzania ładu [...] i postępu gospodarczego (który nie może trwać, nie niszczyć i nie pozbawiając waloru efektywnych do niedawna sposobów utrzymania, a co za tym idzie, nie odbierając praktykującym je oso- bom środków do życia)⁹. Człowiek ma jedną szansę, i gdy się ona wyczerpie, traci pracę, a wraz z nią traci wszystko, plany życiowe, marzenia i pewność siebie. Na niewiele zdadzą się kursy dokształcające dla bezro- botnych, organizowane przez urzędy pracy, ich celem nie jest zlikwidowanie bezrobocia, lecz doraźne zaspaka- janie kadrowych potrzeb kapitału.

Stanowisko neoliberalistów w sprawie bezrobo- cia jest zaprzeczeniem stanowiska liberałów, którzy deklarowali chęć walki z bezrobociem. Karl Popper, twórca koncepcji społeczeństwa otwartego, w donio- słym wywiadzie udzielonym Adamowi Chmielewskie- mu, krótko przed swoją śmiercią, odpowiadając na pytanie o ocenę przebiegu transformacji w krajach środkowo-europejskich, której rezultaty doprowadzi- ły do masowego rozczarowania polityką liberalizmu gospodarczego i zakwestionowania zasady wolnego rynku jako dogmatu, powiedział: „Ja nadal wierzę, że wolny rynek jest konieczny. Ale wierzę również, że ro- bienie bożka z zasady wolnego rynku jest zupełnym nonsensem. Jeżeli wolny rynek nie funkcjonuje, wów- czas rzeczy, które są produkowane, w istocie nie są produkowane dla konsumenta. Konsument może je nabyć albo nie. Ale nie to jest sprawa najważniejsza. Sprawą najważniejszą, sprawą fundamentalną jest humanitaryzm w polityce gospodarczej.

Gdzieś do 1965 roku za główne zadanie stojące przed ekonomistami uważano problem pełnego za- trudnienia. Ale począwszy od tego roku ekonomiści dali za wygraną i przestali traktować ten problem jako swoje główne wyzwanie. Uważam to za wielki błąd. Nie sądzę, aby był to problem nie do rozwiązania. Może to być problem trudny, ale na pewno nie jest to problem nierozwiązywalny.

Naszym najważniejszym zadaniem jest pokój. Za- daniem drugim jest to, aby nikt nie był głodny. Zada- nie trzecie – to w miarę pełne zatrudnienie. Naszym czwartym zadaniem jest oczywiście edukacja¹⁰.

Cały dorobek intelektualny Poppera w dziedzinie filozofii społecznej, wraz z koncepcją społeczeństwa otwartego, był niezwykle mocno osadzony w trady- cji liberalnej, jednak przed swoją śmiercią uznał za stosowne odżegnanie się od neoliberalizmu. Dzięki liberalnemu dziedzictwu uznał on humanitaryzm jako jedyną sensowną podstawę polityki gospodarczej państwa. W jego koncepcji państwo nie występuje w roli bezwolnego narzędzia wolnego rynku, wielkiej własności prywatnej i związanych z nimi klas i warstw posiadających, ale jako aktywny podmiot polityki go- spodarczej o ludzkim wymiarze, która służy rozwiązy- waniu węższych problemów społecznych.

Marks wskazywał, że bezrobocie nieuchronnie związane jest z cyklicznym rozwojem kapitalizmu. Dla

kapitału istotne jest wszystko to, co służy produkcji i reprodukcji wartości dodatkowej. Liczne masy robot- nicze niezbędne są kapitałowi na niższym poziomie rozwoju, natomiast na wyższym poziomie już ich tylu nie potrzebuje i stają się zbędne, „potrzebna jest je- dynie taka liczba ludzi, która opłaca się kapitałowi”¹¹.

W okresie globalizacji kapitalizm wytwarza dwa rodzaje bezrobocia – jedno związane z postępem technologicznym w tonie samej gospodarki kapita- listycznej i drugie, „przedkapitalistyczne”, związane z eliminacją drobnej produkcji rolnej i rzemieślniczej, i przejmowaniem jej przez oligopole i monopole. W okresie rewolucji przemysłowej w XIX wieku znacz- na część nadwyżkowej siły roboczej mogła zostać wy- słana do *Nowego Świata* i kolonii – z Anglii została wówczas wysłana ponad połowa przyrostu liczby lud- ności. Niestety obecne kraje biednego *Południa* takiej możliwości rozwiązania problemu bezrobocia nie mają. Dlatego John Bellamy Foster i Robert W. McChesney w *Kryzysie bez końca* pisali: „W konsekwencji, gdyby forsowany obecnie przez system model zmniejszania populacji chłopskiej został w pełni wcielony w życie, doprowadziłby do masowego ludobójstwa. [Samir] Amin zwraca uwagę, że niewyobrażalne siedmiopro- centowe roczne tempo wzrostu całego globalnego Po- łudnia przez 50 lat nie było w stanie wchłonąć nawet jedną trzecią ogromnego przeludnienia w rolnictwie. W dzisiejszym świecie »żadne tempo wzrostu gospodar- czego«, dodaje [Michael] Yates, nie będzie w sta- nie »doprowadzić do wchłonięcia« miliardów chłopów »do tradycyjnego proletariatu, ani tym bardziej w szeregi wyższych klas pracujących«” (s. 292).

O skali wyzysku transnarodowych korporacji mogą świadczyć stosunek płac w *Centrum* i na *Peryferiach*. „Według Biura Statystyki Pracy Departamentu Stanów Zjednoczonych w 2008 r. chińscy pracownicy przemy- słu ogółem otrzymywali zaledwie 4 proc. wynagrodze- nia wypłacanego za porównywalną pracę wykonywa- ną w Stanach Zjednoczonych i 3 proc. wynagrodze- nia w Unii Europejskiej. Dla porównania w Meksyku w 2008 r. produkcyjne stawki godzinowe wynosiły ok. 16 proc. poziomu amerykańskich” (s. 281-282).

Celem walki z wzrostem wyzysku w krajach *Pery- ferium* powinno być żądanie takich płac dla pracow- ników zatrudnionych w transnarodowych korporacjach, jak pracowników w krajach *Centrum*, będących siedzi- bami tych firm. Nie ma żadnego prawnego i moralne- go uzasadnienia, aby za tę samą pracę, za produk- cję tych samych towarów, wykonujący je pracownicy otrzymywali kilkanaście czy kilkadziesiąt razy mniej- sze wynagrodzenie niż w państwach będących siedzi- bami korporacji. Płace w danej korporacji powinny być takie same, za tę samą pracę, niezależnie od kraju umiejscowienia produkcji.

Wejście gospodarki monopolistycznej w stadium stagnacji dowodzi, że kapitalizm zbliżył się do granic swego rozwoju. Prawo Kopernika-Greshama (mówią- ce, że pieniądź słabszy wypiera pieniądź mocniejszy) można odnosić nie tylko do pieniądza, lecz może mieć ono bardziej uniwersalny charakter. Stanisław Kozyr- -Kowalski pisał, że „Nie zawsze w walce konkurencyj- nej wygrywa na rynku najlepszy produkt i towar naj- wyższej jakości. Obniżanie jakości towarów i usług, zastępowanie pracowników wysoko kwalifikowanych

przez pracowników tanich, lecz miernych, stało się obecnie jednym ze sposobów obniżania kosztów produkcji, powiększania zysków i rentowności większych lub mniejszych korporacji i przedsiębiorstw. Nie oznacza to oczywiście negacji tezy, iż wyższa jakość dóbr i usług wciąż pozwala odnosić zwycięstwo licznym uczestnikom gry rynkowej. Kwestionujemy jedynie li-ryczną i ideologiczną jednostronność i absolutyzm tej tezy¹².

Poszczególne ustroje miały z reguły szanse na zwycięstwo wówczas, gdy były w stanie zapewnić rozwiązanie sprzeczności poprzedniego ustroju i wyższą społeczną wydajność pracy. Tymczasem neoliberalizm zaostrzył wszystkie sprzeczności gospodarki kapitalistycznej. Nie jest w stanie rozwiązać problemów ochrony środowiska i zapobiec narastaniu kryzysu energetycznego. Wzrastają dysproporcje w podziale dochodów pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi i krajami. Bezrobocie stało się trwałe i nie ma możliwości zagospodarowania olbrzymich zasobów wolnej siły roboczej. Konsumpcja szerokich mas, ograniczona w wyniku dążenia oligopolu do zapewnienia za wszelką cenę wysokich zysków, przestała pełnić rolę stymulatora wzrostu produkcji. Rezerwy mocy produkcyjnych i zjawisko nadakumulacji pokazują, że kapitalistyczne stosunki społeczne stały się wręcz hamulcem rozwoju społecznego. Kapitalizm doszedł do kresu możliwości rozwoju w interesie szerokich rzesz społecznych i jego miejsce musi zająć nowy ustrój, który zapewni rozwiązanie istniejących sprzeczności, wzrost społecznej wydajności pracy i pełniejsze zaspokojenie potrzeb społecznych.

EDWARD KAROLCZUK

- 1 John Bellamy Foster i Robert W. McChesney, *Kryzys bez końca. Jak kapitał monopolistyczno-finansowy wywołuje stagnację i wstrząsy od Stanów Zjednoczonych po Chinach*. Przełożył Grzegorz Konat, Książka i Prasa, Warszawa 2014, s. 123-124.
- 2 Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego i inne krytyczne eseje o finansach i ekonomii finansowej*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2012, s. 77.
- 3 Papiery wartościowe oparte na dźugu, przenosiły na kogoś innego ryzyko niespłaconych dźugów, na których były oparte. Zakładały, że można zarabiać pieniądze na różnego rodzaju dźugach i że wartość pierwotnych aktywów (np. domów), nie przestaną rosnać w tempie szybszym niż stopa wzrostu gospodarki realnej. Składnikami były różnego rodzaju dźugi: najpierw pożyczki hipoteczne pierwszej kategorii (*prime*), później wykorzystywano także pożyczki studenckie, zadźugenie kart kredytowych, pożyczki na zakup drogich towarów konsumpcyjnych (np. samochody). „Produkty oparte na dźugach cieszyły się tak wielkim zainteresowaniem, że dla ich »kreatorów i dystrybutorów«, nastął złoty okres, im zaś bardziej zadźugenie rosło, tym im się lepiej powodziło. By dostarczyć jak najwięcej dźugów służących jako wsparcie dla CDO, banki, ale także świeżo utworzone wyspecjalizowane towarzystwa kredytowe zaczęły coraz niżej schodzić w drabi-

nie społecznej pożyczkobiorców. I zamiast udzielać wyłącznie pożyczek o niskim ryzyku wyplacalnym pożyczkobiorcom (pożyczek pierwszej kategorii, czyli *prime*), zapuścili się na terytorium *subprime*, terytorium biednych lub zagrożonych biedą, którzy tak jak inni marzyli o »amerykańskim śnie«. George Bush zachęcił ludzi do włączenia się w ów sen, wierzyciele zaś myśleli, że w razie braku spłaty będą mogli zająć zastawiony dom wyrzucić jego mieszkańców i sprzedać z zyskiem. Taka była teoria. Praktyka okazała się nieco inna”. Susan George, *Czyj kryzys, czyja odpowiedź*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2011, s. 67.

- 4 Wystawca CDS zobowiązuje się, w zamian za wynagrodzenie (przeważnie kwartalne) do ewentualnej spłaty zadźugenia należnego nabywcy CDS ze strony innego (trzeciego) podmiotu, gdyby ten nie był w stanie spłacić swojego zadźugenia. CDS są instrumentami pochodnymi służącymi przenoszeniu ryzyka kredytowego. CDS są formą ubezpieczenia kredytów i przeniesienia ryzyka kredytowego na wystawcę CDS. „CDS okazały się tak popularne, że ich wartość »nominalna« sięgnęła blisko 60 bln dol., co przewyższa PKB całego świata. [...] szaleństwo na punkcie CDS przyczyniło się znacząco do ogólnego krachu, ponieważ każdy model oparty na ryzyku, którego kosztów nie trzeba ponosić samemu, jest katastrofalny dla systemu finansowego”. Susan George, *Czyj kryzys, czyja odpowiedź*, jw., s. 63.
- 5 Jan Toporowski, *Dlaczego gospodarka światowa potrzebuje krachu finansowego ...*, jw., s. 68.
- 6 Tamże, s. 185.
- 7 Kredyty *subprime* – (*Subprime loan*) – są kredytami wysokiego ryzyka, których oprocentowanie jest na dużo wyższym poziomie niż stopa procentowa ustalona przy standardowym kredycie w danym segmencie. Kredyt *subprime* przeznaczony jest dla kredytobiorców, których rzetelność budzi wątpliwości. Do grona produktów *subprime* zaliczyć można kredyty hipoteczne lub specjalne karty kredytowe. Rozpowszechnione i stworzone są w szczególności w USA. Kredyty typu *subprime* w dużej mierze przyczyniły się do wybuchu ogólnoswiatowego kryzysu finansowego w roku 2007, gdyż największe banki w Stanach Zjednoczonych Ameryki przyznawały te pożyczki praktycznie każdemu, bez względu na jakiegokolwiek kryteria.
- 8 Zygmunt Bauman, *Życie na przemiał*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2004, s. 25.
- 9 Tamże, s. 13.
- 10 *Przyszłość jest otwarta*. Rozmowa z Sir Karlem Popperem. Rozmawia: A. Chmielewski, w: A. Chmielewski, *Filozofia Poppera. Analiza krytyczna*, Wrocław 1995, s. 244.
- 11 K. Marks, *Kapitał 1.1. Rezultaty bezpośredniego procesu produkcji*, przełożył Mikołaj Ratajczak, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2013, s. 126. „Skazywanie pewnej części klasy robotniczej na przymusową bezczynność kosztem nadmiernej pracy innej jej części, i odwrotnie, staje się środkiem bogacenia się poszczególnych kapitalistów, a zarazem przyspiesza wytwarzanie rezerwowej armii przemysłowej w skali odpowiadającej postępowi społecznej akumulacji”. Marks Karol, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej. Tom I. Proces wytwarzania kapitału*, [w:] MED, t. 23, Książka i Wiedza, Warszawa 1968, s. 759-760. Marks uważał, że nawet na gruncie kapitalizmu możliwe było radykalne ograniczenie bezrobocia. Pisał: „Gdyby jednak jutro nastąpiło ograniczenie pracy do racjonalnej normy, stopniowanej przy tym w stosunku do różnych warstw klasy robotniczej, zależnie od płci i wieku, dzisiejsza ludność robotnicza okazałaby się absolutnie niewystarczającą do kontynuowania produkcji narodowej na obecnym poziomie. Ogromna większość robotników obecnie »nieprodukcyjnych« musiałaby przeobrazić w »produkcyjnych«. Tamże, s. 760. „Największy urok produkcji kapitalistycznej polega na tym, że nie tylko otwiera ona wciąż robotnika najemnego jako robotnika najemnego, lecz proporcjonalnie do akumulacji kapitału wytwarza wciąż względny nadmiar robotników najemnych”. Tamże, s. 912.
- 12 Stanisław Kozyr-Kowalski, *Uniwersytet a rynek*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2005, s. 90.

MAREK TABIN

TADEUSZ KOWALIK

– EKONOMISTA OBYWATELSKI

*Można odnieść wrażenie, że niewidzialna ręka Adama Smitha
pokazuje środkowy palec nieprzebranym rzeszom ludzi.*

(George Carlin, *Skrawki intelektu*, Wyd. Filia, Poznań 2013).

Wśród współczesnych polskich ekonomistów niewielu jest takich, którzy nie dość, że zajmują się ekonomią polityczną, to jeszcze wcale się tego nie wstydzą i nie uważają tego za dowód tęsknoty do PRL. Takim ekonomistą był Tadeusz Kowalik, zmarły w 2012 roku.

Jego droga życiowa była dość niezwykła. Pochodzący z biednej, lubelskiej wsi, wycuczony z początku na czapnika i cholewkarza, z pełnym przekonaniem ideowym związał się z lewicą i wstąpił do PPR. Zapewne wydawało mu się, że droga od wiejskiego chłopaczka do człowieka nauki to za dużo jak na jeden życiorys – i w młodości planował raczej karierę w wydawnictwach. Swoją wdzięczność wobec ustroju, który umożliwił mu wykształcenie i awans społeczny rozumiał nietypowo: nie odpowiadała mu rola klakiera, wołał działać i analizować świat zgodnie z tym, co widzi i słyszy, i uważał, że właśnie w ten sposób może być użyteczny. Ta postawa zaprowadziła go najpierw do Związku Walki Młodych (1946-48), potem do pracy w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR, następnie do Klubu Krzywego Koła, w 1968 roku do rozstania z PZPR, później – do współpracy z Komitetem Obrony Robotników, doradzania Międzyzakładowemu Komitetowi Strajkowemu w Stoczni Gdańskiej, członkostwa w Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”, pracy w Towarzystwie Kursów Naukowych, a w III RP – do założenia Unii Pracy.

Potem wycofał się już jednak całkowicie ze zgietku instytucji politycznych. Coraz bardziej krytyczna postawa wobec aktualnej polityki kolejnych partii doprowadziła go do statusu wiecznego opozycjonisty – takiego, który krytykuje wszystkie partie, pozornie sobie przeciwstawne.

W XX wieku wystąpiła w Europie Środkowo-Wschodniej ciekawa zależność. Zdobywający władzę (komuniści rosyjscy w 1917, socjaliści i komuniści polscy po II wojnie światowej, opozycja demokratyczna w Polsce w 1989 roku) posługiwali się hasłami propagandowymi, które miały być podstawą przyszłego

ustroju. W Polsce w 1989 roku były to społeczna gospodarka rynkowa, sprawiedliwość, wolność gospodarowania, polityka pełnego zatrudnienia. Zaraz jednak po zdobyciu władzy hasła te rozpyływały się we mgle i w najlepszym razie stawały się częścią składową propagandy. Zamiast nich pojawiały się, jak spod ziemi, pojęcia czysto ekonomiczne i organizacyjne. W czasach socjalizmu były to przede wszystkim fetysz planu rozumianego jako zbilansowanie wszystkich produktów oraz gospodarka nakazowo-rozdzielcza (łatwo zgadnąć, że z tymi hasłami socjaliści nigdy by władzy nie zdobyli). Teraz zaś jest to pełen zestaw neoliberalny: wolność dla rynków finansowo-spekulacyjnych, niefrasobliwość wobec takich zjawisk jak bieda czy bezrobocie, maksymalne ograniczanie roli państwa w gospodarce, maksymalna prywatyzacja i redukcja sfery publicznej, i dążenie do podporządkowania rynkowi całego życia społecznego. W ten sposób – i w socjalizmie i w kapitalizmie – następowała zamiana ekonomii politycznej na ekonomikę, czyli zamiana nauki służącej społeczeństwu na naukę zamkniętą, samowystarczalną, pozornie ścisłą, zakładającą (fałszywie) pełną autonomię opisywanych zjawisk i ich niezależność od decyzji politycznych oraz stanu społeczeństwa.

Tadeusz Kowalik nie dał się przekonać do tej podmianki. Intelktualnie uformowały go problemy, z którymi zetknął się już w dzieciństwie: bieda, różnicowanie społeczne, niesprawiedliwość. Te sprawy, z czasem wyrażane językiem bardziej naukowym – na przykład jako relacja między równością a efektywnością gospodarowania – zdominowały całe jego życie i twórczość. Nie wierzył obu propagandom głoszącym, że dla życia gospodarczego i społecznego podstawowy jest podział na kapitalizm (który w wariacie PRL-owskim był niesprawiedliwy, generujący nędzę i wykluczenie znacznych segmentów społeczeństwa, zaś w wariacie III RP jest jedynym ustrojem zapewniającym szybki rozwój, dobrobyt i koniec historii) i socjalizm (który w wariacie wcześniejszym zapewniał równość i spr-

wiedliwość, a w wersji obecnej był ustrojem stagnacji, terroru i nędzy pełnej octu na półkach).

Niechętnie też patrzył na elementy magiczno-per-swazyjne we współczesnej nauce, takie na przykład jak wyrażenia: „żelazne prawa ekonomii” lub „niewidzialna ręka rynku”. Wolał w takich przypadkach mówić o interesach wspieranych pożytecznymi dla tych interesów ideologiami.

Był autorem wielu ważnych książek, w tym monumentalnych *Historii ekonomii w Polsce 1864-1950* oraz *Historii powszechnej myśli ekonomicznej 1870-1950*. Pisał o polskich socjalistach: Ludwiku Krzywickim, Oskarze Lange, Michale Kaleckim, a także o Róży Luksemburg. Jedną z jego ostatnich ważnych książek była wydana w 2006 r. *Spory o ustrój społeczno-gospodarczy w Polsce : lata 1944-1948* o początkach gospodarki socjalistycznej w Polsce.

Prócz tego napisał również wiele krótszych artykułów, mających często walor relacji z bieżących wydarzeń, a w każdym razie komentarza – aktualnego, ale naukowego. Nie za dokładnie patrzył, gdzie publikuje i niektóre jego bardzo ciekawe i ważne teksty ukazały się w wydawnictwach wewnątrznych lub mało znanych. Dlatego niedługo przed odejściem postanowił ważniejsze z tych tekstów zebrać i wydać w jednym tomie. Paweł Kozłowski, jego przyjaciel i współpracownik kontynuował tę pracę i doprowadził do wydania książki, a raczej opastego tomu *O lepszym ładu społeczno-ekonomicznym*, wydanego przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne i Instytut Nauk Ekonomicznych Polskiej Akademii Nauk w 2013 roku. Artykuły obejmują okres od 1957 – kiedy to autor prowadził wówczas bardzo ważne, a dziś wzruszające rozważania na temat, czy marksizm i socjalizm jest jeden, czy może ich być wiele, aż do czasów bardzo niedawnych (2010 rok). Znalazła się tam też rozmowa Edwarda Chudzińskiego, Pawła Kozłowskiego i Filipa Ratkowskiego z Tadeuszem Kowalikiem zamieszczona w numerze 130-131 krakowskiego „Zdania” – piękny przykład niezależności i patriotyzmu jednocześnie. Współredaktorką tomu jest Gabriela Ziewiec.

Tadeusza Kowalika najbardziej gnębiło pytanie, dlaczego w 1989 roku Polska wybrała drogę ostrej i pospiesznej prywatyzacji oraz bezrobocia i ubóstwa znacznej części ludności. Byli przecież w Polsce dobrzy fachowcy ekonomiści, którzy proponowali zupełnie inną drogę, nie tylko mniej bolesną, ale na dłuższą metę korzystniejszą gospodarczo. Podobnie radziło wielu ekonomistów zagranicznych. Joseph Stiglitz pisał, że kraje pokomunistyczne mają szansę stworzyć kapitalizm ludowy, co gdzie indziej nie jest już możliwe, gdyż grupy interesu zbyt silnie się okopały. Gerhard Fink z Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych proponował zaangażowanie władz Austrii do doradzania Polakom w sprawach transformacyjnych, gdyż lepiej pomagać w tworzeniu miejsc pracy w Polsce, niż przyjmować w Austrii bezrobotnych imigrantów. David Ost napisał książkę, w której wykazuje, że polska transformacja poniosła klęskę nawet z punktu widzenia amerykańskiego liberalizmu. Zignorowano też amerykańskie tradycje polityki gospodarczej o charakterze bardziej socjaldemokratycznym (prezydenci Franklin D. Roosevelt, John F. Kennedy, Lyndon B. Johnson). Z czasem,

z poglądów o zbawiennym wpływie polityki jak najszerszej prywatyzacji wycofali się nawet tacy ludzie, jak jej wcześniejszy realizator, Jeffrey Sachs, a także Alan Greenspan, jeden z najwybitniejszych amerykańskich monetarystów.

Przyczyny były, zdaniem Tadeusza Kowalika, trochę ekonomiczne, trochę psychologiczne – w sumie właściwie przypadkowe. Bezradność intelektualna porwolutywnych elit władzy jest zjawiskiem naturalnym, choć w Polsce można było tego uniknąć, gdyż w opozycji demokratycznej zasadniczą rolę grali ludzie nauki. Ale przekonanie, że realny socjalizm upaść nie może i co najwyżej można go nieco rozmiękczyć, było tak silne, że podstawami ekonomicznymi ustroju postsocjalistycznego nikt się przed 1989 rokiem nie zajmował. Dodatkowym, ważnym czynnikiem było to, że rewolucjonści nie mają w zwyczaju przeciągać fachowców na swoją stronę. Z reguły – także w latach 1917 i w 1948 zostają oni uznani za reprezentantów „starego” i są marginalizowani, najłagodniej rzecz określając. Ile w takim poglądzie jest poglądu, a ile parcia na posady – to już jest oddzielna sprawa.

Jeśli jednak przyczyn tak poważnych i tak daleko siężnych decyzji gospodarczych upatruje się w psychologii, to powstaje pytanie o status ekonomii jako nauki, a także o to, czym jest liberalizm – ideologiczna podstawa współczesnej ekonomii zachodniej.

Liberalizm gospodarczy nie jest doktryną względnie jednolitą intelektualnie i stopniowalną co najwyżej pod względem zakresu decyzji pozostawionych przedsiębiorcom lub państwu. Tadeusz Kowalik wyraźnie wyodrębnia w nim dwa wyraźnie odrębne nurty.

Pierwszy pochodzi od Adama Smitha; bardziej współcześnie reprezentują go Friedrich August von Hayek i Milton Friedman, a u nas – Leszek Balcerowicz, Waldemar Kuczyński i Stanisław Gomułka. Kierunek ten koncentruje się na minimalizowaniu uprawnień państwa i maksymalizowaniu swobody przedsiębiorców. Kanon obowiązków przynależnych państwu został sformułowany jeszcze w XVIII wieku: chodzi tu o doktrynę „państwa – nocnego stróża”, czyli instytucji pilnującej, by przedsiębiorcy nie zostali pozbawieni swej własności (sprawy zagraniczne, policja, wymiar sprawiedliwości itp.). Ewentualne wyjście poza tę sferę jest zawsze wykroczeniem poza sprawy należące do państwa, choć uznaje się, że czasami jest to konieczne. W ramach tego kierunku przyjmuje się założenie, że podstawową motywacją ludzi – zarówno przedsiębiorców jak i pracowników – jest pieniądz. Gwarancją szybkiego rozwoju gospodarczego całego kraju jest swobodne działanie wolnych ludzi we własnym interesie. Warto też dodać, że liberalizm ten w wariacie nadwiślańskim jest jednocześnie bardzo roszczeniowy i pełen niechęci wobec państwa, a starania, by swe obowiązki „nocnego stróża” pełniło ono jak najgorzej, są uważane za patriotyzm.

Liberalizm drugiego rodzaju bardzo zbliża się do socjaldemokracji (lub na odwrót). Jego reprezentanci to między innymi Joseph E. Stiglitz, Michał Kalecki, Ralph Dahrendorf, John K. Galbraith, wśród filozofów John Rawls, Isaiah Berlin i Andrzej Walicki, a wśród dawniejszych myślicieli – przede wszystkim John Stuart Mill. Zauważają oni, że liberalizm ograniczający się do opieki nad przedsiębiorcami prowadzi na dłuż-

szą metę do dużego rozwarstwienia, co uniemożliwia znacznej grupie ludzi, tym biedniejszym, uczestniczenie w dobrobycie i rozwoju społecznym. Liberalizm – zgodnie z etymologią – jest ich zdaniem dążeniem do tego, by wszyscy, a nie jedynie niektórzy czuli się wolni. Tymczasem bieda wyklucza wolność. Dlatego zakres obowiązków państwa winien być znacznie szerszy niż w liberalizmie pierwszego typu. Długofalowo państwo starające się o to, by wszyscy obywatele czuli się pełnoprawnymi członkami wspólnoty, jest też korzystne dla samych przedsiębiorców, gdyż dążenie do szybkiej korzyści materialnej w pewnym momencie może napotkać na sprzeciw, często gwałtowny, tych, którym się słabiej udało. Jeszcze ważniejszym możliwym źródłem konfliktów może być fakt, że liberalizm pierwszego rodzaju zawsze zakłada (zwykle fałszywie) zgodność motywacji ludzkich z teorią ustroju, co zresztą zbliża go myślowo do komunizmu, w którym ta zgodność grała propagandowo istotną rolę (były to powszechny entuzjazm, radość i pracowitość na rzecz państwa, które jest już „nasze”, a nie „ich”, czyli kapitalistów).

Ten podział na liberalizm „zamknięty” (na uwarunkowania pozaekonomiczne i długofalowe) oraz „otwarty” jest obecnie istotnym zróżnicowaniem zarówno ekonomistów, jak państw. Pokrywa się on z traktowaniem ekonomii jako z jednej strony nauki autonomicznej, wyraźnie wyodrębnionej od innych, mającej swój wystarczający aparat pojęciowy, z drugiej zaś – jako nauki, która bezwzględnie wymaga uwzględniania zarówno decyzji politycznych, jak procesów społecznych, postaw i motywacji ludzkich. Stąd właśnie wzięło się wyrażenie „ekonomia polityczna”. Przedstawiciele ekonomii zamkniętej czują do niej wyraźną niechęć i uważają, że oni sami opisują gospodarkę obiektywnie, tak jak fizyk opisuje atom. Jest tak dlatego, że aktualne polityczne warunki gospodarowania uważają za dane na wieczność. Również Tadeusz Kowalik przyznaje, że przy stałych warunkach kulturowych ekonomia może być nauką ścisłą i zamkniętą – będzie to bowiem zamknięcie na wpływy, które w takim przypadku i tak nie istnieją. Ale ta Fukuyamowska idea końca historii, czyli wiecznego trwania liberalnych systemów politycznych, które z czasem przejmą wszystkie kraje świata, nie cieszy się jego sympatią.

Fakt, że zwolennicy ekonomii zamkniętej (czyli w praktyce neoliberalnej) nie uznają wpływów pozaekonomicznych nie oznacza, że one nie istnieją. Jest to na przykład twierdzenie, że rynek dzieli produkty sprawiedliwie, bo zgodnie z wkładem pracy. Także przekonanie, że rynek jest w stanie idealnie zharmonizować podaż, popyt i ceny, i żadna polityka państwa nie jest tu potrzebna. Również przekonanie, że znaczne nierówności społeczne działają mobilizująco, przez co pobudzają wytwórczość, a dzięki temu nawet ci najbiedniejsi żyją i tak coraz lepiej. Poglądem o charakterze politycznym jest też aprobata globalizacji (o czym Tadeusz Kowalik wiele pisze), która w warstwie propagandowej zastąpiła hasło „socjalizm przyszłością świata”, a w merytorycznej – wyraźnie wskazuje równiejszych wśród równych.

Warto tu na marginesie wspomnieć o innej książce tego autora, wydanej jeszcze za jego życia – *Współczesne systemy ekonomiczne*. Jest to analiza siedmiu gospodarek kapitalistycznych: USA, Niemiec, Szwecji,

Japonii, Korei Południowej, Tajwanu i Chile. Różnią się one znacznie między sobą najbardziej podstawowymi założeniami systemu społeczno-gospodarczego. Wybór zależał od czynników kulturowych i historycznych. Jedyne co usprawiedliwia stosowanie wobec nich zbiorczego pojęcia kapitalizmu to fakt, że rzeczywiście istnieje olbrzymia różnica między nimi wszystkimi a tym, co znamy jako socjalizm. Po przeczytaniu tej książki nie sposób nie odnieść wrażenia, że niektóre pojęcia ogólne (na przykład właśnie „kapitalizm”, ale także „socjalizm”) nie tyle coś wyjaśniają, ile raczej właśnie zaciemniają, łącząc w jednej kategorii rzeczywistości bardzo odmienne.

Drugi, najobszerniejszy rozdział pracy *O lepszy ład...*, zawiera 13 artykułów omawiających od strony ekonomicznej i politycznej początki polskiej transformacji. Tadeusz Kowalik czyni Lecha Wałęsę jednym z odpowiedzialnych za jej kierunek i przypomina, że już w 1989 roku zaproponował on wyposażenie rządu w dyktatorskie wręcz uprawnienia (swoboda restrukturyzacji gospodarki, zmian własnościowych, demonopolizacji sektora państwowego i spółdzielczego, zmian w systemie bankowym i in.) Była to, zdaniem Kowalika rejterada związku zawodowego przed władzą autorytarną, choć można by się zastanawiać, czy przyczyną decyzji Wałęsy nie było głębokie przekonanie, charakterystyczne dla wszystkich rewolucjonistów, że ten rząd, oraz każdy następny wyłoniony z „Solidarności” będzie służył wyłącznie narodowi i ani pomyśli o jakichkolwiek decyzjach autorytarnych.

Cały ten rozdział jest upartą analizą walki dwóch nurtów: liberalizmu socjaldemokratycznego i neoliberalizmu w początkowym okresie polskiej transformacji. Autor pisze o zadziwiającym braku zaufania nowych elit do społeczeństwa, które przecież kilka lat wcześniej masowo należało do „Solidarności”. Gdy zaś przyszło do kształtowania nowej klasy średniej i nowej elity władzy nie liczyły się żadne kwalifikacje ani doświadczenie, jedynie kalendarzyki, jedynie znajomi i znajomi znajomych.

O Programie powszechnej prywatyzacji pisze, iż podjęto w ten sposób próbę stworzenia nowej grupy właścicieli, gdyż było oczywiste, że większość obywateli sprzeda bony prywatyzacyjne, co sprzyjać będzie akumulacji pierwotnej. Ale nie zharmonizowano tego programu z zamiarami prywatyzacji na rzecz obcego kapitału, co uczyniło polską akumulację pierwotną ekonomicznie niepotrzebną.

Drogę, którą w końcu Polska wybrała, Kowalik określa jako korupcyjno-biurokratyczną drogę panamską. Jako kuriozum przytacza pogląd, że prywatyzacja była zbyt wolna, co spowodowało spowolnienie wzrostu stopy życiowej i w rezultacie niechęć do prywatyzacji. Twierdzi, że zarówno w Polsce jak i wśród doradców zagranicznych było wielu przeciwników „neoliberalnego czadu”, wręcz stanowili oni większość. Zdecydowały jednak środki masowego przekazu, gry polityczne oraz postawa większości posłów lewicy, bez których reformatorzy nie mieliby w sejmie kontraktowym większości. Wspomina też, że główni decydenci (Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Gomułka, Jacek Kuroń, Bronisław Geremek i Waldemar Kuczyński) byli przekonani, że im większe poświęcenie towarzyszyć będzie transformacji ustrojowej, tym trwalsze i pewniejsze będzie odejście od realnego socjalizmu. Pisze jednak również i o tym,

że to poświęcenie dotknęło nie całkiem tych samych ludzi, którzy o nim zdecydowali...

W książce przewija się też problem polskiego prowincjonalizmu. Tadeusz Kowalik uważa, że w pewnym sensie dowodem prowincjonalizmu jest sam przebieg transformacji. Rewolucję „Solidarności” określa jako epigońsko-mieszcząską (oczywiście nie chodzi tu o aspekt polityczno-wolnościowy tej rewolucji, lecz o to, co stało się wkrótce potem z gospodarką). Mieszcząską dlatego, że efektem była restytucja państwa mieszczańskiego i uznanie za propagandowy dogmat, że cały okres PRL był jedynie czarną dziurą w historii Polski. Epigońską dlatego, że masowe bezrobocie i silne nierówności społeczne, które kiedyś rzeczywiście umożliwiały przeprowadzenie szybkiej akumulacji pierwotnej, dziś zupełnie nie są potrzebne, gdyż istnieją metody skuteczniejsze i mniej bolesne. I znów powraca pytanie: dlaczego „Solidarność” – organizacja robotnicza – zgodziła się na taki rozwój wypadków. Zdaniem Tadeusza Kowalika (który powołuje się tu na tekst Jacka Kuronia) w latach 1989-1993 dokonano się zniszczenie „Solidarności” jako ruchu ludowego i reformatorskiego. A wyłonione z tej „Solidarności” władze uznały za swój pierwszy obowiązek jak największe oddalenie się od PRL pod każdym względem. Dodajmy, że udało się to doskonale pod tymi względami, pod którymi raczej nie powinno się udać: sam pamiętam radość publicystów prasowych i telewizyjnych z tego, że „mamy już Zachód”, bo mamy przestępczość zorganizowaną, walki gangów, bezrobocie, bankructwa zakładów przemysłowych, zachodnią kulturę masową itd. (autor informuje także, że nawet „Gazeta Wyborcza” odmówiła Jackowi Kuroniowi druku tego artykułu).

Ten i inne przykłady polskiego prowincjonalizmu sugerują, że dla autora głównym objawem polskiego prowincjonalizmu jest powolna recepcja zachodnich nowości. Miałbym tu jednak wątpliwości. Ta recepcja jest może powolna w niektórych, raczej nieczęstych przypadkach, na przykład tłumaczenia dzieła Johna Rawl-

sa *Teoria sprawiedliwości* (23 lata). Ważniejszym objawem prowincjonalizmu jest trwała postawa „ostatniego ucznia w klasie” – bezustanne myślenie o tym, od kogo sięgnąć, na kim się wzorować, co wybrać z rozwiązań, które już istnieją. By nie wspominać już o dumie i radości prezenterów telewizyjnych, że znowu „ktoś nas pochwalił” oraz o powszechnej manii określania Polski jako „drugiego czegoś” (gdy to piszę, modne robi się „Polska – drugą Turcją”). Przeciwnieństwem tej postawy jest samodzielne diagnozowanie własnych problemów i opracowywanie własnych rozwiązań. Właśnie to charakteryzuje kraje rozwinięte i właśnie dlatego one są rozwinięte. Zresztą w innym miejscu Tadeusz Kowalik pisze podobnie: że w gospodarce ważna jest polityka, a nie ideologie czy systemy.

Nie sposób omówić całej tej książki – pominąłem tu wiele wątków, na przykład omówienie globalizacji jako ideologii forsującej amerykańską dominację w gospodarce światowej, rozważania nad systemowymi źródłami obecnego kryzysu światowego, spory wokół tego czym jest i czym powinna być tak zwana trzecia droga, kilka tekstów omawiających realny socjalizm, czy wreszcie sylwetki najwybitniejszych ekonomistów polskich poprzedniego pokolenia.

Takiej książki po 1989 roku nie było. Były podsumowania cząstkowe, najczęściej panegiryczne. Ale nie było pracy podsumowującej całość, jednocześnie dostarczającej wielu informacji dotyczących „kuchni” decyzji politycznych. Tadeusz Kowalik stara się nie wychodzić poza swoją specjalność. Nie pisze na przykład nic o sensie politycznym prywatyzacji środków masowego przekazu i banków na rzecz obcego kapitału. Ale systematyzuje i wyczerpująco odpowiada na wiele pytań, które często przychodzą nam do głowy.

MAREK TABIN

Tadeusz Kowalik, *O lepszy ład społeczno-ekonomiczny*, wyd. PTE i INE PAN, Warszawa 2013.

Z wielkim żalem i smutkiem zawiadamiamy,
że 23 czerwca 2014 roku zmarł

Bogusław Kabała

wybitny nauczyciel i organizator szkolnictwa,
historyk-animator kultury, znany lewicowy działacz
samorządowy Sosnowca, członek władz „Kuźnicy”,
szlachetny Człowiek, nasz Przyjaciel

„Kuźnica”

MARIAN DZIWIŚ

DYLEMATY EDUKACJI

[...] *On srogi ciemności**Hetman i świata łakome marności**O nasze pilno czynią zepsowanie.*[Mikołaj Sęp Szarzyński, *Sonet IV, O wojnie naszej...*]

Dyskusje i spory wokół oświaty wybuchają, w Sejmie, choć częściej tylko w mediach, głównie wtedy, gdy na jej horyzoncie pojawia się *On*, któremu nadaje się imiona, jakich nawet Witelton w swoim traktacie *O najważniejszej przyczynie pokuty i o naturze demonów* nie określił. Zwano go: *ateizacja, modernizm, Ferdynurke, edukacja seksualna, etyka*, a ostatnimi czasy *gender*. A przecież w szkole powinien panować, mówiąc słowami poety *Pokój – szczęśliwość* a nie *bojowanie*. Wystarczy, że w pobliżu sal lekcyjnych pojawi się *On*, a natychmiast rozlegają się głosy protestu zarówno ze strony hierarchów Kościoła rzymskokatolickiego, jak też najczęściej pracujących w jego strukturach parlamentarzystów. Poza tym wydawałoby się, że system edukacji narodowej ma się dobrze i świetnie funkcjonuje. Tymczasem coraz pilniejszą staje się potrzeba pracy nad jego naprawą, co najmniej równą tej, jaką po likwidacji przez papieża Klemensa XIV zakonu jezuitów w 1773 r. podjęła się Komisja Edukacji Narodowej. Przyczyną dla podjęcia takiego wysiłku nie jest bynajmniej spór o obecność *wartości chrześcijańskich* w nauczaniu i wychowaniu, chociaż nie można lekceważyć jego dotychczasowych skutków. Więcej, Jacek Kochanowski stwierdza, że „polski system edukacyjny jest narzędziem neoliberalnej, nacjonalistycznej, seksistowskiej i homofobicznej ideologizacji”². Są jednak do rozwiązania znacznie ważniejsze dylematy. Jak wynika z publikacji zamieszczanych na łamach niektórych czasopism, chociażby „Polityki”, „Przeglądu”, „Tygodnika Powszechnego” czy „Gazety Wyborczej” oraz z raportów organizacji pozarządowych, należą do nich:

1. Niedostateczna troska MEN o przestrzeganie konstytucyjnego prawa do wolności sumienia i wyznania oraz o zapewnienie uczennicom/uczniom warunków niezbędnych do rozwoju w *oparciu o zasady solidarności, demokracji, tolerancji, sprawiedliwości i wolności* wskazanych w ustawie o systemie oświaty³. Bo sprzyja on kształtowaniu i konserwowaniu zacho-

wań stereotypowych i wykluczających ze względu na religię lub wyznanie, narodowość, płeć czy orientację seksualną.

2. Destrukcyjna i niszczyielska działalność Centralnej Komisji Egzaminacyjnej prowadząca do wypaczenia procesu dydaktycznego i wychowawczego w szkole; zniszczenia podmiotowości nauczycieli i uczniów; upowszechnienia scholastycyzmu, testopresji i kluczmanii.

3. Brak spójności i zgodności prawa oświatowego z przyjętymi normami prawa międzynarodowego i Europejskiego, Konstytucją RP, ustawą o systemie oświaty, powodujące, że akty prawne niższego rzędu (rozporządzenia MEN) utrudniają, wypaczają i uniemożliwiają realizację zadań edukacyjnych i wychowawczych zawartych we wcześniej wymienionych.

Badaniem realizacji zdań systemu edukacji narodowej w zakresie zapewniania warunków niezbędnych do rozwoju postaw demokracji, tolerancji, sprawiedliwości i wolności zajęły się między innymi trzy niezależne od siebie organizacje pozarządowe: Towarzystwo Edukacji Antydyskryminacyjnej, które przedstawiło raport z badań *Wielka nieobecna*⁴; Fundacja na Rzecz Różnorodności Polistrefa w raporcie *Pomiędzy tolerancją a dyskryminacją*⁵ oraz Stowarzyszenie na Rzecz Osób LGB-TQ w raporcie *Szkoła milczenia*⁶. Wymienione projekty badawcze zostały zrealizowane w ramach programu *Demokracja w działaniu* Fundacji im. Stefana Batorego. Pierwszy i trzeci z raportów zajmują się obecnością treści antydyskryminacyjnych w *Podstawie programowej* i podręcznikach, podobnie drugi w drugiej jego części, w pierwszej zaś zawiera wyniki badań dotyczące występowania i przeciwdziałania dyskryminacji na tle religijnym w małopolskich szkołach. Ponieważ raport Polistrefy obejmuje swoim zakresem wszystkie wymienione dylematy polskiego systemu edukacji narodowej, postuży on jako podstawa do ich zaprezentowania, pozostaje do uzupełnienia treści analiz i wniosków.

Kilka słów o Fundacji Polistrefa i raporcie

Działająca w Krakowie Fundacja na Rzecz Różnorodności Polistrefa zajmuje się przeciwdziałaniem dyskryminacji i przemocy ze względu na płeć, rasę, pochodzenie narodowe i etniczne, wiek, orientację seksualną etc. Poprzez działania edukacyjne, informacyjne oraz bezpośrednio skierowane do osób dyskryminowanych i stygmatyzowanych (grupy wsparcia dla osób homoseksualnych, dla osób żyjących z HIV/AIDS).

Koordinatorką projektu badawczego, zakończonego raportem jest mgr Joanna Balsamska – religioznawczyni, absolwentka studiów podyplomowych Gender Studies na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Prawa i Wolności Człowieka organizowanych przez Instytut Nauk Prawnych PAN i Helsińską Fundację Praw Człowieka; współzałożycielka i członkini zarządu Fundacji na rzecz Różnorodności Polistrefa.

W pierwszej części raportu pt. *O występowaniu i przeciwdziałaniu dyskryminacji na tle religijnym w małopolskich szkołach* przedstawione zostały: 1) niektóre regulacje prawne dotyczące organizowania lekcji religii i etyki oraz wynikające z nich kontrowersje; 2) wyniki badań ilościowych dotyczących m.in. organizacji nauki religii i etyki w szkołach, dobrowolnego charakteru uczestnictwa w tych zajęciach, sytuacja mniejszości wyznaniowych, stosunek rodziców i uczniów pełnoletnich do obecności symboli religijnych w szkołach, przyczyny konfliktów światopoglądowych i zachowań dyskryminacyjnych; 3) wyniki badań jakościowych – serii pogłębionych wywiadów indywidualnych i grupowych z przedstawicielami mniejszości wyznaniowych oraz osobami bezwyznaniowymi.

W części drugiej zatytułowanej *Demokracja, tolerancja, sprawiedliwość i wolność w systemie oświaty* przedstawiono wyniki z badań dokumentów Ministerstwa Edukacji Narodowej oraz zatwierdzonych przez Ministerstwo programów nauczania i materiałów dydaktycznych w zakresie języka polskiego, historii i biologii. Zwrócono uwagę m. in. na: 1. przestrzeganie konstytucyjnych praw wolności sumienia i wyznania oraz prawa rodziców do wychowania młodzieży zgodnie z własnymi przekonaniami (art. 53 i art. 48 ust 1 Konstytucji RP), 2. przeciwdziałanie w szkołach dyskryminacji, przemocy i mowy nienawiści na tle religijnym, 3. stopień realizacji *Rekomendacji Zgromadzenia Plenarnego Rady Europy Nr 1202 (1993) w Demokratycznych Społeczeństwach*, w myśl której szkoły powinny zapoznawać uczniów z poszczególnymi religiami, 4. ustalenie czy istnieją zależności polskiego systemu oświaty od Kościoła katolickiego poprzez sprawdzenie korelacji, jaka zachodzi pomiędzy *Podstawą programową katechezy Kościoła katolickiego w Polsce* a *Podstawą programową* nauczania w gimnazjach i szkołach ponadgimnazjalnych, programami nauczania; treściami zawartymi w podręcznikach szczególnie do nauczania języka polskiego, historii i biologii oraz tzw. obudowie dydaktycznej (podręczniki nauczyciela) w zakresie treści o tematyce etyczno-religijnej, 5. sprawdzenie, jaki charakter posiadają treści etyczne w dokumentach oświatowych, programach nauczania i podręcznikach, w tym obecności treści etycznych wpływających z etyk niekonfesyjnych np. stoicyzm, epikureizm, renesansowy humanizm, oświeceniowy humanizm, pozytywistyczny utylitaryzm, egzystencjalizm.

Nauczanie religii/etyki w szkole a przestrzeganie prawa do wolności sumienia i wyznania

Dowodem na przestrzeganie prawa w powyższych kwestiach jest wprowadzenie nauczania religii/etyki do szkoły, która równocześnie jest miejscem wypełniania obowiązku przez dzieci i młodzież do 18 roku życia nałożonego przez zapis art. 70 pkt. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Jest ono równocześnie zgodne z Konwencją Praw Dziecka, konkordatem, ustawami o gwarancji wolności sumienia i wyznania⁷, o systemie oświaty⁸ oraz rozporządzeniem MEN. Obowiązek edukacyjny nie może jednak służyć celom religijnym, ideologicznym ani politycznym. Ponieważ zajęcia z religii/etyki nie są następstwem obowiązku edukacyjnego i są – jak to określa sędzia TK Ewa Łętowska – „klasycznymi przedmiotami formacyjnymi, w których chodzi o wpojenie określonych aksjologicznych wartości, wychowania w pewnym ideowym duchu”⁹, muszą być traktowane jako nieobowiązkowe i tylko dla tych uczennic i uczniów, których rodzice lub oni sami po osiągnięciu pełnoletniości złożyli oświadczenie woli uczestniczenia w nich. Tym samym jak czytamy w raporcie: „nie mogą one stawać się przyczyną: przymuszania, ostracyzmu, wykluczania, szykan lub innych form dyskryminacji wobec tych uczennic i uczniów, którzy uczestniczenia w nich nie zadeklarowali” [R., s. 11]¹⁰.

Prawo do nauczania religii w szkole posiadają wszystkie legalnie działające kościoły i związki wyznaniowe.

Zgodnie ze wskazaniem w *Dyrektorium Katechetycznym Kościoła Katolickiego w Polsce* „Jednakże nauczanie religii cieszy się autonomią wobec instytucji szkoły. Wyraża się ona w fakcie, że programy nauczania i pomoce dydaktyczne nie podlegają zatwierdzeniu przez nadzór pedagogiczny, lecz winny być jedynie podane do jego wiadomości. Oznacza to, że nadzór merytoryczny nad nauczaniem religii w szkole sprawuje Kościół. To Kościół zatwierdza materiały dydaktyczne i kieruje katechetów do podjęcia pracy w szkole (*misja kanoniczna*), a także w ramach prac programowych określa, które cele i zadania szkoły winny być realizowane na lekcjach religii”¹¹.

Z drugiej jednak strony w tym samym dokumencie napisano: „Nauczanie religii w szkole otwiera nowe możliwości ewangelizacyjne. Zwiększa bowiem zasięg odbiorców Dobrej Nowiny, zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli. Dzięki temu Kościół ma możliwość przezwyciężania stereotypów dotyczących wiary i życia religijnego, zwłaszcza tych, które głoszą prywatność religii i nieuchronność konfliktu wiary i wiedzy. W ramach nauczania religii w szkole należy podejmować zadania nowej ewangelizacji lub preewangelizacji wobec osób nieochrzczonych lub nie mających kontaktu z Kościołem. (...) Proboszczowie winni dołożyć wszelkich starań, aby nieustannie pogłębiała i rozwijała się współpraca parafii i szkoły oraz by Dobra Nowina docierała bez przeszkód do wszystkich, którzy na terenie szkoły zechcą jej słuchać. Powinni też zadbać o dobry kontakt z Radami Pedagogicznymi, nie zaniedbując oczywiście takich zwyczajowych ale i ważnych okazji, jak składanie wzajemnych życzeń z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, udział w przygotowaniu inauguracji i zakończenia roku szkolnego oraz Dnia Edukacji Narodowej”¹².

MEN oraz nadzór pedagogiczny nie ingeruje ani w program, ani w treści pomocy dydaktycznych służących nauczaniu religii.

W realizacji prawa do nauczania religii/etyki w małopolskich szkołach w raporcie Polistrefy odnotowano m.in. następujące działania naruszające odpowiednie ustawy i rozporządzenia:

- a. praktykę delegowania do opieki nad uczniami uczestniczącymi w rekolekcjach wielkopostnych nauczycieli niebędących katechetami – na co wskazało 75 proc. dyrektorów poddanych badaniu,
- b. praktykę stosowania oświadczeń o nieuczęszczaniu ucznia na lekcje religii jako podstawę „zwolnienia” ucznia z zajęć – na co wskazało 71 proc. nie uczęszczających na lekcje religii i 86 proc. dyrektorów szkół, w których są uczniowie nie chodzący na lekcje religii,
- c. zaniechanie stosowania deklaracji rodziców lub uczniów pełnoletnich o woli uczestniczenia w lekcjach religii lub etyki – na co wskazało blisko 30 proc. zarówno dyrektorów jak i rodziców i uczniów pełnoletnich,
- d. traktowanie innych poza zapotrzebowaniem wyrażonym w oświadczeniach podstaw organizowania lekcji religii lub etyki – na deklaracje woli uczestniczenia w lekcjach religii jako podstawie wpisania lekcji w program szkoły wskazało 18 proc., a etyki 29 proc. dyrektorów.

Do niejasności, wynikających być może z braków lub luk prawnych, zaliczyć możemy przede wszystkim:

- a. kwestię wpływania katechety na treści programowe przedmiotów innych niż religia – na co wskazało 17 proc. dyrektorów badanych szkół,
- b. obecność na lekcjach religii rzymskokatolickiej osób innego wyznania lub niewierzących
- c. uczestniczenie przez takie osoby w rekolekcjach, pielgrzymkach,
- d. uczestniczenie przez nie w uroczystościach religijnych będących częścią życia szkolnego, a także wkraczanie elementów religii w praktykę i przestrzeń życia szkolnego, które przejawiają się najczęściej:
 - e. w organizowaniu w 85 proc. szkół akademiach i występach z okazji świąt religijnych (w 97 proc. badanych gimnazjów i 90 proc. szkół ponadgimnazjalnych), najczęściej z okazji świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocnych i innych;
 - f. w organizowaniu wyjazdów religijnych i pielgrzymek przez szkoły – na co wskazało 70 proc. dyrektorów (85 proc. dyrektorów szkół ponadgimnazjalnych) [R., s. 49-50].

Większość problemów związanych z nauczaniem religii w szkołach wynika z niskiej świadomości prawnej zarówno dyrektorów szkół, nauczycieli jak też rodziców, nadmiernej aktywności i chęci przypodobania się proboszczom i władzom Kościoła rzymskokatolickiego stąd też, jak wynika z raportu:

„Wiele z praktyk odnoszących się do obecności religii w szkołach diagnozowanych jest przez respondentów – przedstawicieli mniejszości jako praktyki hegemoniczne, będące przejawem, podkreśleniem i podtrzymaniem sytuacji dominacji jednego wyznania – rzymskiego katolicyzmu.

»To są takie praktyki, które muszą zostać zdiagnozowane, jako hegemoniczne... Ale hegemonom jest to bardzo trudno zrobić, po prostu oni nie są w stanie tego w ogóle nawet zauważyć, do tego są potrzebne mniejszości, żeby to uświadamiać i pokazywać, że to właśnie tak jest«. (KK).

Podobnie postrzegana przez część »innowierców« jest obecność symboli religijnych – krzyży w szkołach, jako naznaczenie przestrzeni publicznej będącej przestrzenią zdominowaną przez rzymski katolicyzm. Jak wynika z badań przedstawiciele mniejszości religijnych i światopoglądowych, osoby poddane dominacji jednego wyznania, doświadczające: ostracyzmu, wykluczenia czy różnego rodzaju nieprzyjemności z powodu swojej przynależności religijnej lub światopoglądu nie zawsze podejmują się reagowania na zachowania i praktyki, które odbierają jako dyskryminujące i krzywdzące. Bywa, że rozważając szkody i korzyści płynące z bieżącej reakcji podejmują decyzję o zaniechaniu działań. Bywa, że nie chcą być postrzegani jako agresywni, walczący z większością, dążący do dominacji, czy próbujący nawracać na terenie szkoły, stąd też zdarzające się przemilczenia” [R. s. 101-102].

Koszty psychologiczne ponoszone przez uczennice i uczniów niebędących przedstawicielami mniejszości, t.j. osób niewierzących lub niezwiązanych z żadnym Kościołem czy związkiem wyznaniowym wydają się być większe i trudniejsze do pokonania, aniżeli w przypadku przedstawicieli mniejszości religijnych. Widoczny jest tu brak wsparcia zorganizowanej grupy i wypracowanych w doświadczeniu praktyk współpracy przedstawicieli środowisk.

Fundacja Polistrefa z satysfakcją przyjęła zainteresowanie się przez MEN pierwszą częścią jej raportu oraz jego przekazanie kuratorom oświaty w celu wykorzystania zawartych w nim uwag dla podejmowania działań antydyskryminacyjnych przez pracowników nadzoru pedagogicznego.

Cieszy też wyrok Sądu Najwyższego [sygn. III CSK 123/13] nakazujący byłemu ministrowi Edukacji Narodowej Ryszardowi Legutce przeproszenie byłych licealistów klasy maturalnej XIV LO we Wrocławiu, którzy domagali się usunięcia ze szkoły symboli religijnych, za co zostali przez niego nazwani „rozwydrzonymi smarkaczami”.

Treści nauczania przedmiotów obowiązkowych

Podkreślić należy, że jednak nie wprowadzenie nauczania religii/etyki do szkoły, chociaż to jest źródłem większości sporów w mediach i na sali sejmowej, a reakcja na nie i na wnioski płynące z raportu Rzecznika Praw Obywatelskich i MEN jest powodem cytowanej we wstępie oceny Jacka Kochanowskiego świadczącej o niewydolności polskiego systemu edukacji narodowej w zakresie stwarzania warunków do rozwoju „w oparciu o zasady solidarności, demokracji, tolerancji, sprawiedliwości i wolności”. Przyczyny te leżą w niespójnej z ustawą o systemie oświaty i podstawie programowej, a szczególnie tej znowelizowanej, wprowadzonej w życie rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej z dnia 23 grudnia 2008 r.¹³, programów nauczania przedmiotów obowiązkowych i podręczników, a także standardów wymagań egzaminacyjnych, zadań egzaminacyjnych i maturalnych oraz kluczy. To one bo-

wiem sprzyjają kształtowaniu i konserwowaniu zachowań stereotypowych i wykluczających ze względu na religię lub wyznanie, narodowość, płeć czy orientację seksualną. To w nich nie dochowano należytej staranności o spełnienie wymogów zawartych w wyroku Europejskiego Trybunału z 29 czerwca 2007 r., w którym podkreślono, że w pluralistycznym i demokratycznym społeczeństwie państwo powinno pełnić rolę bezstronnego arbitra, a szczególnie „państwo, realizując funkcje przez nie przyjęte w odniesieniu do wychowania i nauczania, musi baczyć, by informacje lub wiedza włączane w programy nauczania były przekazywane w obiektywny, krytyczny i pluralistyczny sposób. Państwo nie może realizować celu w postaci indoktrynacji, który może zostać uznany za brak poszanowania przekonań religijnych i filozoficznych rodziców. To jest granica, której nie można przekraczać”¹⁴.

Analizy i wnioski zebrane w raportach wynikające z przebadania podstawy programowej, programów nauczania i podręczników do przedmiotów humanistycznych i przyrodniczych niezbicie dowodzą, że w treści nauczania w niewielkim stopniu lub w ogóle mogą wpływać na kształtowanie kompetencji obywatelskich i antydyskryminacyjnych, takich jak: wolność i prawa człowieka, demokracja, demokratyczne państwo prawne, równość, sprawiedliwość. Z trudem można znaleźć takie treści, które uczyłyby przezwytyczać stereotypy i fobie oraz sprzyjały podejmowaniu problemów własnej tożsamości związanej z płcią, narodowością, pochodzeniem etnicznym, niepełnosprawnością, religią, światopoglądem czy orientacją seksualną, przygotowałyby do porozumienia się z rówieśnikami w zintegrowanej Europie poprzez otwartość na inne kultury, religie, przemiany społeczne, prawne i obyczajowe.

Na uwagę zasługuje fakt, że od czasu sformułowania i wprowadzenia w życie rozporządzeniem MEN *Podstawy programowej* w 1999 r., poważne poprawki były w niej wprowadzane trzykrotnie¹⁵, a w grudniu 2008 r. została wprowadzona tzw. nowa podstawa programowa¹⁶, której wdrażanie zakończy się w liceach w 2015, a w technikach 2016 roku.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że w 2001 r. przyjęto przez Konferencję Episkopatu Polski *Dyrektorium Katechetyczne*, w którym w rozdziale 4 nie dopuszcza się nadzoru pedagogicznego do ingerencji w treści nauczania i prowadzenia zajęć z religii oraz wskazuje, że „Nauczanie religii nie sytuuje się wobec tych przedmiotów jako coś dodatkowego, lecz stanowi element koniecznego dialogu interdyscyplinarnego. Z tego powodu należy dążyć, na ile zezwalają i umożliwiają to cele katechetyczne, do skorelowania treści nauczania religii z treściami pozostałych przedmiotów szkolnych. Korelacja ta może przyjmować formę integrowania treści i celów wychowawczych lub uzupełniania pomijanych treści. Tam, gdzie to konieczne, nauczanie religii w szkole winno także przyjąć wobec nich funkcję polemiczną”¹⁷.

Oczywiście kościoły i związki wyznaniowe mają prawo oczekiwać skorelowania treści programowych nauczania przedmiotów obowiązkowych w szkole, „by przywrócić temu systemowi właściwą płaszczyznę aksjologiczną”¹⁸, jednak państwo, jego władze i urzędnicy bez względu na swoje przekonania religijne nie mogą ulegać ich presji, jeżeli powodowałyby one zmiany

naruszające prawa i wolności człowieka, ograniczały dostęp do szeroko pojętej wiedzy, utrwały stereotypy i zachowania ksenofobiczne. Gdyby hierarchowie Kościoła czuli się obywatelami państwa polskiego, a nie Watykanu, respektowałiby demokratycznie stanowione prawo i ład konstytucyjny. Gdyby większość posłów i ministrowie mieli duszę i wyobraźnię państwowców, a nie czuli się obywatelami „królestwa niebieskiego”, to stanowiąc prawo lub stojąc na straży jego porządku nie staraliby się zapewniać obywatelom wejścia do tego królestwa po śmierci, ale zabezpieczaliby ich prawa i wolności w państwie ziemskim.

Nauczanie religii w szkołach publicznych na podstawie art. 53 ust. 4 Konstytucji RP od października 1997 jest – jak napisała w *Zdaniu odrębnym do wyroku TK Ewa Łętowska*¹⁹ „jest komponentem konstytucyjnego modelu stosunku państwa do związków wyznaniowych (kościół). Model ten oparty jest nie na zasadzie »muru separacji« (jak to ujmowała Konstytucja z 1952 r.), lecz »przyjaznego rozdziału«”. Przyjazny rozdział zaś oznacza, że obie strony szanują swoje autonomię i ani nie dążą do zawłaszczenia, ani nie zawłaszczają obszarów swojego działania. Współpracują w sprawach ważnych dla społeczeństwa, tym bardziej że państwo nie konkuruje z żadnym związkiem wyznaniowym (kościółem) o „rząd dusz”, a jedynie zabezpiecza wolność tych dusz przed wszelkimi zakusami na ich zniewolenie. One same mają prawo wybierać tę lub inną wiarę, wyznanie, światopogląd a nałożone przez nie obowiązki przez prawo nie mogą być wykorzystywane przeciwko tej wolności. Tym samym związki wyznaniowe (kościóły) nie mogą przekraczać granicy, która przez nie same i państwo w zakresie nauczania religii w szkołach zostały nakreślone. Obowiązkiem zaś funkcjonariuszy państwa jest do tego nie dopuszczać.

Tymczasem Roman Giertych, który rozpoczął przygotowania do wprowadzenia zmian w podstawie programowej, znanych z głośnej dyskusji sejmowej i medialnej wokół kanonu lektur do języka polskiego i problemów przemocy w szkole, a także z wprowadzenia tzw. amnestii maturalnej, jak wiele na to wskazuje kierował się zaleceniami *Dyrektorium*. Ostatecznie jednak zmian w podstawie programowej w roku 2007 dokonał minister Ryszard Legutko. W wydanym przez niego Rozporządzeniu doszło do istotnego zawężenia treści programowych i lektur, dla przykładu zakres osiągnięć z języka polskiego dla gimnazjów w odbiorze tekstów kultury został ograniczony do: „c) dostrzeganie uniwersalności doświadczeń, przemyśleń, uczuć i aspiracji wpisanych w dzieła z różnych okresów i kręgów kulturowych (zwłaszcza tradycji biblijnej, antycznej, dworsko-rycerskiej, patriotycznej, społecznikowskiej)”.

Dla szkół ponadgimnazjalnych ograniczeniu uległy: „10. Tematy, motywy, wątki: 1) miłość, dom, rodzina, śmierć, droga, wędrówka, pielgrzymka, 2) natura a cywilizacja; motywy franciszkańskie w kulturze. 11. Wartości, kategorie estetyczne i filozoficzne: 1) prawda, dobro, piękno, 2) komizm, humor, ironia, tragizm, patos, 3) sacrum i profanum, 4) wolność, odpowiedzialność, sprawiedliwość, tolerancja, 5) ojczyzna, mała ojczyzna, 6) naród, społeczeństwo”.

Widocznie wprowadzone, bez dyskusji sejmowej i medialnej zmiany były niewystarczające, gdyż rok później minister Katarzyna Hall rozporządzeniem z 23

grudnia 2008 r. wprowadziła nową podstawę programową, która jeszcze bardziej zawężyła treści programowe i wychowawcze określone w ustawie o systemie oświaty.

Podstawa programowa stanowi punkt wyjścia dla kształtowania treści programów nauczania i podręczników i innych pomocy dydaktycznych, które muszą być z nią zgodne i podlegają zatwierdzeniu przez MEN, przy czym po wprowadzeniu nowej podstawy programy nauczania zostały zwolnione od takiego zatwierdzenia na rzecz ich tworzenia przez nauczycieli uczących w danej szkole pod warunkiem, że będą zgodne z podstawą, przyjęte przez radę pedagogiczną i zatwierdzone przez dyrektora szkoły. W tym miejscu należy dodać, że z raportu Polistrefy wynika, iż na terenie Małopolski w 85 proc. ze 101 szkół objętych badaniem katecheci są w zespołach przedmiotowych, w tym 62 proc. w zespołach przedmiotów humanistycznych, a 16 proc. w zespołach wychowawców klasowych. 17 proc. dyrektorów badanych szkół potwierdziło wpływanie katechetów na treści przedmiotów obowiązkowych [R. s. 31], tym samym mogą, zgodnie ze wskazaniami *Dyrektorium*, wpływać na treści programów opracowywanych i zatwierdzanych w szkołach.

Z wyników badań programów nauczania i podręczników zawartych w raportach *Wielka nieobecna* oraz *Szkoła milczenia* wynika, że treści w nich zamieszczone w bardzo ograniczonym stopniu służą rozwijaniu kompetencji antydyskryminacyjnych. Sprzyjają natomiast kształtowaniu i konserwowaniu zachowań stereotypowych i wykluczających ze względu na religię lub wyznanie, narodowość, światopogląd, niepełnosprawność, płeć czy orientację seksualną. Lista przykładów jest tak duża, że trudno je tu zacytować. Potwierdzają opinię, że nauczanie w polskiej szkole posiada charakter narodowo-katolicki i ksenofobiczny.

Z analizy ilościowej treści haseł określających zakres nauczania historii w wybranych programach nauczania, zawartej w raporcie Polistrefy, dominują zagadnienia poświęcone chrześcijaństwu: „Operon 65 proc., ZNAK 56 proc., GWO 77 proc., Arka 2002 - 88 proc. W programach nauczania i podręcznikach do tego przedmiotu dominują treści sprzyjające utrwalaniu postaw narodowo-katolickich, stereotypów i fobii narodowej wobec przemian prawno-ustrojowych, mniejszości religijnych, etnicznych czy narodowych” [R. s. 160-161].

W podręcznikach do języka polskiego dominuje układ wg wartości, jak to określa koordynator prac nad programem do tego przedmiotu Sławomir Żurek, „czterech triad aksjologicznych: platońskiej (dobro – prawda – piękność), judeochrześcijańskiej (wiera – nadzieja – miłość), patriotycznej (Bóg – honor – ojczyzna) oraz nowożytniej (wolność – równość – braterstwo)”²⁰. I nie byłoby w tym niczego niewłaściwego, gdyby nie to, że wykładnia tych wartości w programach nauczania i podręcznikach do języka polskiego, historii, wychowania do życia i wiedzy o społeczeństwie musi być zgodna z doktryną i nauczaniem Kościoła katolickiego. Krytykowane lub wręcz wykluczone jest ich ujęcie w świetle takich nurtów jak: stoicyzm, epikureizm, renesansowy humanizm, racjonalizm, pozytywizm, modernizm, egzystencjalizm czy pragmatyzm. Tak zdefiniowany system wartości i powiązane z nim motywy i wątki stanowią kryterium doboru tekstów kulturowych, w tym

utworów literackich, dokumentów, przykładów z życia rodzinnego czy społecznego i in. Skutkuje to między innymi wyeliminowaniem ze spisu lektur tych, które wykraczają poza te granice i tak np. z twórczości J. Kochanowskiego zostały tylko te, w których nie pojawiają się nawiązania do epikureizmu, stoicyzmu (poza jego „zawodnością” w *Trenach*), deizmu, panteizmu ani też te, które upowszechniają myśl Terencjusza: „człowiekiem jestem i nic co ludzkie nie jest mi obce”. Konsekwencje takiego zabiegu zostały pośrednio, przez wskazanie na dobór lektur oraz analizę treści podręczników, ukazane w *Wielkiej nieobecnej* i w *Szkole milczenia*, i bogato zilustrowane w części II raportu *Pomiędzy tolerancją a dyskryminacją*.

Równocześnie odnotowano programy nauczania i podręczniki, które gdyby nie przestały być wydawane i nie zostały wycofane z rynku, mogłyby odegrać ważną rolę w przewyciężaniu uprzedzeń, stereotypów i fobii, gdyż między innymi zwraca się w nich uwagę na dostrzeganie związków własnej tożsamości z tradycją cywilizacji europejskiej i światowej na gruncie wartości humanistycznych. Przy prezentacji wartości chrześcijańskich nadawana im jest tonacja franciszkańska i obecna jest troska o zachowanie zasady ekumenizmu nie tylko w stosunku do innych nurtów chrześcijaństwa, ale także judaizmu, islamu i innych religii. Prezentowane są wszystkie istotne kierunki filozoficzne, do których nawiązują teksty kultury. Obecna jest problematyka narodowościowa, etniczna i regionalna. Są teksty i ćwiczenia pozwalające na dyskusję na temat seksualności, szeroko pojętej roli kobiety w rodzinie i w społeczeństwie, z krytycznym podejściem do stereotypów i seksizmu.

Podręczniki te poprzez zawarte w nich polecenia i ćwiczenia pomagały w rozwijaniu umiejętności wyrażania własnych sądów, opinii, stanowisk, a także argumentowania poprzez odwołanie się do tekstów, obserwacji, własnych doświadczeń. Równocześnie dbano w nich o staranność i rzetelność przy odwołaniach. Jako środowisko przyjazne uczennicom/uczniom traktowały internet. W końcu praca z tymi podręcznikami pomagała w rozwijaniu empatii i szacunku wobec innych w szerokim tego słowa znaczeniu.

A były to przecież podręczniki, wydawnictwa katolickiego z serii ZNAK dla Szkoły, do języka polskiego – *Do Itaki*.

Dylematy związane z nauczaniem religii/etyki w szkole oraz kierunek zmian w treściach przedmiotów obowiązkowych nie świadczy jeszcze o załamaniu się lub upadku polskiego systemu edukacji narodowej, a jedynie o nadaniu kształceniu charakteru katolicko-narodowego. Można dodać, że światły nauczyciel, któremu zależy na rozwoju swoich uczniów, a bardzo wielu zależy i ambitny uczeń doskonale sobie poradzą z pokonaniem tej bariery przy szerokim dostępie do innych pomocy dydaktycznych, źródeł i techniki.

Rzeczywiste przyczyny sięgnięcia dna przez ten system znajdują się poza omówioną problematyką.

Centralna Komisja Egzaminacyjna w roli *wielkiego brata*

Powtarzające się po każdym meczu piłkarskim agresywne zachowania części kibiców, a szczególnie wydarzenia towarzyszące marszowi niepodległości

w Warszawie 11 listopada 2013 r. niezbiecie dowodzą, że mamy do czynienia ze swego rodzaju epidemią, której nadano nazwę kibolstwo. Bezsilne wobec takich zachowań młodzieży władze państwowe z premierem i ministrem sprawiedliwości na czele zapominając, że *ignis non exstinguitur igne* (nie gasi się ognia ogniem) nie tylko odpowiadają siłą służb porządkowych, ale przede wszystkim agresją słowną, nazywając uczestników wydarzeń kibolami, chuliganami, faszystami ect.

Być może dopiero po zbadaniu zjawiska i analizie wyników będzie można postawić właściwą diagnozę i określić naturę tej choroby – inaczej nazwać zło, które rozprzestrzenia się wśród młodzieży. Na razie jedynie na podstawie objawów zarówno dziennikarze i przedstawiciele władz nazwali je kibolstwem. Tym niemniej moralny sprzeciw budzi określanie młodych obywateli obraźliwymi epitetami i ustawianie relacji z nimi wg reguły *oni – my, swoi – obcy* czyli dokładnie tak, jak oni sami to czynią.

Być może skutecznie zapobiegać rozprzestrzenianiu się epidemii, musi się określić jej przyczyny. Ponieważ to młodzież, która dopiero co, albo jeszcze nie opuściła szkolnych murów jest zainfekowana nieprzebadanym wirusem lub bakterią, należałoby wskazać, co w systemie oświaty sprzyja takim postawom i zachowaniom. Czy przyczyny leżą w już scharakteryzowanych programach i treściach nauczania, czy również, a może przede wszystkim w organizacji oświaty? Jeżeli tak, to jakie ogniwo tego systemu sprzyja rozwojowi dyskryminacji, przemocy i mowy nienawiści?

Najmniej zbadanym i opisanym jest ogniwo znajdujące się poza szkołą i ponad szkołą, ale to przecież właśnie ono nie tylko zdaje się determinować, lecz rzeczywiście determinuje cały proces nauczania, z postawami uczących i nauczanych włącznie. Ogniwo tym jest Centralna Komisja Egzaminacyjna.

Przyczynami powołania do życia Centralnej Komisji Egzaminacyjnej było dążenie do standaryzacji wymogów edukacyjnych przedmiotów obowiązkowych w szkołach, dążenie do obiektywizmu i porównywalnej mierzalności wyników nauczania poprzez system egzaminów zewnętrznych, konieczność dostosowania polskiego systemu egzaminacyjnego, głównie matury, do wymogów europejskich, stworzenie nowej instytucji oświatowej płatnej z budżetu państwa, w której bez potrzeby bezpośredniej i stresującej pracy z dziećmi i młodzieżą mogą być zatrudnieni urzędnicy oświatowi różnych szczebli, pracownicy naukowcy i zmęczeni pracą w szkole nauczyciele.

Ambicje realizacji tych celów były tak wielkie, że nikt nie pokusił się o analizę przewidywanych skutków funkcjonowania takiego ogniwa, które nie uwikłane w życie szkoły będzie określało jej merytoryczne funkcjonowanie i oceniało go.

W tym miejscu nie od rzeczy będzie przypomnieć słowa Alberta Camusa: „Zło na świecie płynie niemal zawsze z niewiedzy, dobra zaś wola może wyrządzić tyleż szkód co niegodziwość, jeśli nie jest oświecona. (...) Jeśli zaś mowa o tym, co nazywa się cnotą lub występkiem, najbardziej rozpaczliwym występkiem jest niewiedza, która mniema, że wie wszystko, i czuje się wówczas upoważniona do zabijania”.²¹

Powołana do życia w 1998 r. CKE na mocy ustawy o systemie oświaty i działająca w oparciu o sta-

tut stanowiący załącznik do zarządzenia MEN z dnia 3 listopada 2011 r., posiada osiem wydziałów merytorycznych, pracownię informatyczną i dwa wydziały organizacyjno-finansowe. Podlega jej osiem okręgowych komisji egzaminacyjnych. Do jej zadań należą: opracowanie propozycji standardów egzaminacyjnych, przygotowanie zadań, pytań i testów oraz ich zestawów do przeprowadzenia egzaminów zewnętrznych, a także kluczy niezbędnych dla oceny i pomiaru wyników, opracowanie i ogłoszenie informatorów właściwych dla przedmiotu podlegającego egzaminowi, które zawierają m.in. zakres materiału do opanowania, wymagane umiejętności, przykładowe zadania oraz kryteria oceniania, dokonywanie analizy wyników celem oceny szkół, składanie NEN corocznego sprawozdania o poziomie osiągnięć uczniów na poszczególnych etapach kształcenia, przygotowanie i ogłaszanie programów do szkolenia nauczycieli na egzaminatorów, inspirowanie badań naukowych i innowacyjnych w dziedzinie egzaminowania i oceniania, koordynowanie i nadzorowanie OKE, w tym ich prac związanych z przeprowadzaniem i ocenianiem egzaminów, i poprzez weryfikatorów kalibrowanie ich wyników.

Już wkrótce po rozpoczęciu działalności CKE okazało się, że jest ona orwellowskim Ministerstwem Prawdy, któremu podporządkowana jest oświata. Odtąd przeprowadzane przez nią egzaminy zewnętrzne na wszystkich etapach nauczania, a szczególnie matura, stały się głównym i jedynym celem procesu dydaktycznego. Przedmioty nie objęte obowiązkiem egzaminacyjnym zostały zepchnięte na drugi plan.

Jeżeli przed działaniem CKE egzamin dojrzałości był jedynie sprawdzianem opanowania treści nauczania przedmiotu i stanu przygotowania abiturientów do podjęcia samodzielnego życia umysłowego – dalszego kształcenia się na uczelniach wyższych lub pracy, sprawdzał wyposażenie w wiadomości, umiejętności i zdolności do samodzielnego myślenia i rozwiązywanie problemów (zadań), to nowa matura sprawdza jedynie, w jakim stopniu (na ile punktów i procent) abiturient opanował standardy wymagań, a ściślej mówiąc potrafi rozwiązać testy i zadania jednakowo sformułowane dla całej uczniowskiej populacji.

Pierwsza jedyna obiektywna prawda i *rajskie istoty*

Punktowa i procentowa, wynikająca z klucza odpowiedzi ocena jest jedyną obiektywną prawdą, która nie podlega weryfikacji i od której nie ma odwołania, o czym pisze m.in. Małgorzata Żuber-Zielicz²². Spowodowało to, że ocenianie szkolne straciło wszelkie znaczenia i sens. Przecież przy przechodzeniu z jednego na drugi etap edukacyjny nie liczą się oceny na świadectwach, które stały się niepotrzebne, ale dokument wydany przez komisję egzaminacyjną. Jeżeli świadectwo dojrzałości było integralną częścią świadectwa ukończenia liceum lub technikum, to świadectwo maturalne wydawane przez komisję jest zupełnie oddzielnym dokumentem.

Uczelnie wyższe przyjmując kandydatów na studia nie żądają świadectwa ukończenia szkoły, z którego oceny wcześniej były wliczane do punktacji decydującej o przyjęciu. Szkolne wyniki nauczania nie mają też żadnego wpływu na dopuszczenie do egzaminów zewnętrznych, z maturą włącznie. Wystarczy, że uczeń

ukończył dany etap szkolny z co najmniej oceną *dopuszczający* i wyraził wolę zdawania matury, obojętnie – na poziomie podstawowym czy rozszerzonym, to może do niej przystąpić. Tym samym podważono znaczenie oceny szkolnej, podobnie jak rolę nauczyciela w procesie kształcenia.

Oto pewne, autentyczne zdarzenie: nauczyciel troszczący się o nabywanie wiedzy i doskonalenie swoich uczniów, po przeprowadzeniu próbnej nowej matury i ocenieniu prac przez innych nauczycieli oraz wystawieniu oceny punktowo-procentowej, przejrzał je i jak to miał w zwyczaju – dopiął kartki z komentarzami, w których określił osiągnięcia (to co zostało zrobione bdb. lub dobrze), wskazał na błędy i niedostatki, podpowiadając co należy zrobić, by uzyskać lepszy wynik. Rozdał prace. Po reakcji zdecydowanej większości klasowej zrozumiał, że niepotrzebnie tracił czas. Ponieważ wynik próby był pozytywny – wszyscy uzyskali co najmniej wymagane przez CKE 30 proc., nikt nie chciał słuchać omówienia przez niego wyników, wskazówek i rad jak wyniki poprawić. Widząc dopiętą do swojej pracy kartkę z uwagami, jedna z uczennic powiedziała: „pana chyba pokopało, pewnie nie miał pan co robić. Po co komu to, co pan nabazgrał, przecież pan nas nie będzie oceniał na maturze – hej ludzie! wrzucmy te kartki do kosza!” I wrzucili. Maturę zdali wszyscy z trochę lepszym wynikiem od tego, jaki uzyskali na próbnej.

Relacje uczeń–nauczyciel zostały zatem wyraźnie osłabione. Inicjowanie przez nauczyciela zajęć, które przekraczałyby wymogi programowe, a szczególnie określone w *Informatorze maturalnym* CKE spotykało się z przyjęciem niewielu. Głównie tych, którzy chcieli uczestniczyć w jakimś konkursie, olimpiadzie przedmiotowej lub filozoficznej.

Większość uczennic i uczniów szkół ponadgimnazjalnych jest przekonana, że wystarczy chodzić do szkoły i być na lekcjach, by przechodzić z klasy do klasy i zdać pomyślnie maturę. Ta większość to orwellowskie *istoty rajskie* zagnane do raju przez CKE, poprzez standardy wymagań i egzaminy zewnętrzne po szkole podstawowej i gimnazjach, poprzez narzuconą przez nią modernizację języka nowomowy, który już nie jest narzędziem poznania, nośnikiem świadomości i wyobraźni, któremu nie jest potrzebna taka funkcja mózgu jak pamięć. Wystarczy parę kilobajtów pamięci i minimum słów, by rozwiązać testy i zadania egzaminacyjne. Czyż to nie paradoks, że gdy dla potrzeb informatycznych, w maszynach – komputerach i innych urządzeniach zwiększa się pamięć bierną i operacyjną do terabajtów, to u uczniów się ją redukuje?!

Najwyższy czas, by poloniści z Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej lub Uniwersytetu Jagiellońskiego czy też innej uczelni, albo organizacji pozarządowej zbadali wytworzone w dotychczasowej praktyce przez CKE testy, zadania i klucze egzaminacyjne, i sprawdzili zasoby językowe, jakich oczekuje się od egzaminowanych, by się przekonać, że w Polsce przyspieszono proces przemian opisany przez G. Orwella w *Roku 1984*, gdyż u niego dopiero 2050 r. zakończy się proces dehumanizacji, gdyż dopiero „w jedenastym wydaniu [słownika] będą wyłączone słowa, którymi będą postugiwać się *istoty rajskie* [...] w roku dwa tysiące pięćdziesiątym nie będzie na ziemi

ani jednego człowieka, który potrafiłby zrozumieć taką rozmowę jak nasza [...] prócz *proli*” [cytuję z pamięci].

Tak ukształtowane w podstawówkach i gimnazjach *rajskie istoty* przychodzą do szkoły średniej, bo taki obowiązek spoczywa na nich i ich rodzicach. Przychodzą do niej, by pogadać z rówieśnikami, by być w grupie, pobawić się elektronicznymi gadżetami. Nauczyciele najczęściej im w tym przeszkadzają i gdyby ich obecność w klasie dało się wyłączyć za pomocą komórki lub pilota, zrobiliby to niechybnie. Jeżeli uczyący im nie przeszkadza i sama ich obecność wystarczy, aby wystawił im ocenę pozytywną – jest dobrze. Gdy jednak pośród uczniów znajdzie się ktoś taki, kto zechce skorzystać z obecności nauczyciela, jakiś *prol* popełniający *mysłobrodnię*, który chce popracować, czegoś dowiedzieć się od uczącego, porozmawiać z nim, to zaczynają się problemy, gdyż: 1) przeszkadzają im w zajmowaniu się samymi sobą, wprowadzają niepokój, że zechcą ich włączyć do współpracy, 2) wzbudzają niezadowolenie bo ktoś łamie przyjęte przez nich zasady zachowania, wychyla się, popisuje, jest inny od nich i w dodatku uczyący wystawia mu lepsze oceny, 3) są zazdrośni, że to nie oni, ale ktoś inny jest w centrum klasowej uwagi. To poważne powody do podziału na my – on – oni, tym bardziej gdy w większości znajdzie się (a zawsze się znajduje) ktoś, kto ma odwagę celowo przeszkadzać, by zakłócić prace nauczyciela z *prolami*. Gdy w dodatku taki zostanie upomniany, gdy zostanie mu wpisana uwaga z zachowania do dziennika, staje się dla grupy kimś ważnym, kogo natychmiast należy bronić. Jest jeszcze gorzej, gdy nauczyciel zaczyna egzekwować wykonywanie zadań i poleceń oraz oceniać rezultaty. Wtedy na wszelkie sposoby – rozmowy, niestosowne pytania, komentarze, robienie fotek komórką, pokrzykiwania – podejmują próbę uniemożliwienia jego działań. Jeżeli uczyący jest uparty w swoim postępowaniu, wtedy pojawia się agresja wyrażana w różnych formach.

Druga jedynie obiektywna prawda i proces dehumanizacji

Wyniki egzaminów zewnętrznych z maturą włącznie są głównym i jedynym kryterium oceny pracy nauczycieli i szkoły – drugą *jedynie obiektywną prawdą*. Nauczyciele zatem wszelkimi sposobami starają się przygotować uczniów do tego, by osiągnęli maksymalną liczbę punktów. Gwarancją powodzenia jest konieczność poddania procesowi dehumanizacji nie tylko uczniów, ale także samego siebie. Wyzbycie się tożsamości, samodzielności, spontaniczności myślenia i działania. Przekształcenie siebie w urzędnika *Ministerstwa Prawdy* przez docenienie *nomowy* i wyrzeczenie się *myślenia w staromowie*. Odrzucenie lub ograniczenie do minimum realizacji zadań edukacyjnych i wychowawczych wynikających z ustawy o systemie oświaty i podstawy programowej przedmiotu, którego naucza na rzecz standardów egzaminacyjnych i maturalnych określonych przez CKE w 2003 r. w *Syllabusie* nazwanym później *Informatorem maturalnym*.

Zdaniem S.J. Żurka – koordynatora prac nad nową podstawą programową języka polskiego – przyjęcie standardów egzaminacyjnych spowodowało, że „podstawa programowa przestała być wyznacznikiem tego, czego uczone w szkole – jej funkcje przejęły standardy egzaminacyjne (wraz z informatorem maturalnym)”.

Spowodowało to chaos w zakresie prawa oświatowego, gdyż „standardy w wielu miejscach pozostawały w sprzeczności z założeniami (*starej*) podstawy”²³. W konsekwencji MEN, tak jak nauczyciele w szkole poddało się dyktatowi Centralnej Komisji Egzekucyjnej i tak zmieniło podstawę programową, by pozostawała w zgodzie ze standardami, co zaowocowało: 1) nadaniem treściom programowym w przedmiotach humanistycznych charakteru katolicko-narodowego, 2) sprowadzeniem metod nauczania do ćwiczeń w rozwiązywaniu testów i zadań quasiegzaminacyjnych i maturalnych, 3) sprzecznością prawną pomiędzy standardami, (pomimo próby dostosowania do nich) podstawą programową, ustawą – o systemie oświaty – Konstytucją RP i normami prawa międzynarodowego. Czy zatem należy oczekiwać, że Sejm RP dostosuje ustawę, a Zgromadzenie Narodowe – Konstytucję do standardów wymagań CKE, by kształtować świadomość młodego pokolenia tak, by nie było ono zdolne do samodzielnego, logicznego i spontanicznego myślenia i racjonalnego działania? Bo po doświadczeniu z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie wliczania oceny z religii do średniej, nie ma co liczyć, że jakiś klub poselski zechce do niego skierować skargę na niekonstytucyjność działania CKE, standardów egzaminacyjnych i podstawy programowej. Na niekonstytucyjność tych ostatnich wskazano w raporcie Polistrefy *Pomiędzy tolerancją a dyskryminacją* [R. s. 160 – 165].

Uznanie wyników egzaminów za jedyne prawdziwe kryterium pracy nauczycieli i szkoły wymusza na nauczycielach, by wpajali im tylko takie treści programowe i ćwiczyli z nimi tylko takie umiejętności, które zagwarantują im maksimum punktów. Biorąc pod uwagę, że w pisaniu prac maturalnych z języka polskiego opartych na analizie i interpretacji tekstów literackich (najczęściej ich fragmentów) istotne są *wartości i wartościowanie* (podobnie z historii) zgodne z porządkiem „czterech triad aksjologicznych”²⁴, to nauczyciele muszą wpajać takie treści i sposoby interpretacji, które zagwarantują im wg kluczy maksymalną liczbę punktów, na przykład dla interpretacji wiersza C. K. Norwida *W Weronie*:

„*W Weronie* ma najwyraźniej charakter lirycznej przypowieści. Uczniowie nazwę gatunku kojarzą przede wszystkim z Ewangelią i przypowieściami Chrystusa. Tutaj rozstrzygający jest fakt, że w obrazie poetyckim pierwszych dwu strof też kryje się opowieść nabrzmiała znaczeniami, że odsyła ona do jakichś nadrzędnych sensów. * Uczniowie szukają zdarzenia w I i II tercynie: Kto? – łagodne oko błękitu (metafora) – Bóg (por. oko Opatrzności)”;

lub wiersza W. Szymborskiej *Kot w pustym mieszkaniu*:

»III poziom interpretacji: Bóg [...] Relacja między kotem a jego panem jest inna niż między kochającymi się ludźmi. To człowiek jest prawodawcą w tym świecie (zwierzę „złamało zakaz”), to on go urządził i uporządkował („lampa wieczorami już nie świeci”), on jest źródłem bezpieczeństwa („Ręka, co kładzie rybę na talerzyk, także nie ta, co kładła”). Dla ludzi stwórcą świata, ładu i opatrności jest Bóg. I być może nie ma większej różnicy w poczuciu osamotnionego kota, którego pan umarł, i człowieka, który utracił wiarę w obecność Boga. Świat staje się pusty: „Ktoś tutaj był i był, // a potem nagle zniknął // i uporczywie go nie ma”. Ludzie, którzy zwą-

pili w wyznawaną wcześniej prawdę o wszechobecności Stwórcy, o tym, że jest On gwarantem ładu ich życia, zachowują się najczęściej jak „kot w pustym mieszkaniu”.

Czy też fragmentu powieści H. Sienkiewicza *Pan Wołodyjowski*:

„Najpierw głośna lektura. Tu widzę dwie możliwości: albo czyta nauczyciel, albo grupka uczniów, która w tajemnicy przed resztą klasy wcześniej przygotowuje pod kierunkiem nauczyciela udratyzowane czytanie na role. W trakcie takiego czytania w stosownych momentach mogłyby być prezentowane wielkie plansze z napisami: BÓG – HONOR – OJCZYŻNA – PIERWSZY RYCERZ RZECZPOSPOLITEJ – WÓDZ I WZÓR – RYCERZ DOBRY I SPRAWIEDLIWY – HEKTOR KAMIENIECKI”²⁵.

Na podobne przykłady wskazuje także raport Polistrefy przy nauczaniu historii²⁶.

Pierwsze zadanie maturalne z języka polskiego sprawdzające czytanie ze zrozumieniem nie ma nic wspólnego z rozwijaniem potrzeby rozumienia tekstu, ba, jego przeczytanie i zrozumienie może spowodować uruchomienie samodzielnego myślenia i minięcie się w odpowiedziach z kluczem. Wszak sprawdzeniu podlega to, czy abiturient został już przekształcony w maszynę do porównywania wybranych fraz z tekstu, czyli czy wbudowano w nim odpowiedni program do wykonywania postawionego zadania, które jest skonstruowane następująco: uczeń otrzymuje tekst, w którym akapity zostały ponumerowane, w stosunku do tekstu zdane są pytania ze wskazaniem akapitów, w których należy poszukiwać odpowiedzi; w kluczu są podane odpowiedzi i liczba punktów, którą może uzyskać.

Nauczyciel, któremu nie udaje się tak ukształtować ucznia, by w kolejnych sprawdzianach z testów i zadań przekraczał granicę 30 procent punktów koniecznych do zaliczenia próby (zdania egzaminu), bardzo często wywiera na owego ucznia presję, by nie składał deklaracji przystąpienia do matury lub też by ją wycofał. Pod takim warunkiem wystawia mu ocenę pozytywną na świadectwie ukończenia szkoły. Czyni tak, gdyż jest rozliczany i oceniany na podstawie tego, jak jego uczniowie, którzy przystąpili do matury – ją zdali, nie zaś z tego, z jakimi ocenami ukończyli szkołę.

Zasady egzaminowania w gruncie rzeczy przyczyniły się do odpodmiotowienia uczniów jak i nauczycieli. Podmiotem stał się system, który sprawdza „czy w komputerach nazywanych uczniami” dobrze został zainstalowany program do rozwiązywania zadań. Jeżeli ten system nie gwarantuje pożądaných rezultatów, to można je, jak to opisał Bogusław Śliwowski zweryfikować lub „inaczej skalibrować”²⁷. Odpowiadając na pytanie dziennikarza „W którym momencie matura przestała znaczyć coś konkretnego?” stwierdził:

„Od 1991 r., kiedy uznano, że cała młodzież musi skończyć szkołę średnią i w większości zdać egzamin maturalny. Poszczególne ekipy rządzące, a teraz mamy już 15.) zmierzały do tego, aby współczynnik zdanych matur wyniósł 80 procent”²⁸.

Uczniowie, którzy opanowując techniki wymagane przez CKE zdali maturę niekoniecznie z maksymalną ilością punktów, ale nie wyzbyli się samodzielnego myślenia, nie ograniczyli się do zalecanej lektury, stali się opanować jak najwięcej wiadomości, rozwinęli umiejętności dostają się na studia i nieźle sobie radzą.

Skutki działania niewiedzy, która wie wszystko

Uczniowie, którzy na etapie wczesnoszkolnym zostali przeformowani na *istoty rajske* bądź to kończą edukację na poziomie gimnazjalnym lub ponadgimnazjalnym bez matury. Ci którzy opanowali wymogi stawiane przez CKE i zdali na poziomie 30 proc. nie podejmują studiów, lub idą na studia płatne. Wszyscy oni czują się pokrzywdzeni i wykluczeni, tym bardziej że najczęściej nie znajdują pracy i nie potrzebuje ich armia. Nie darzą przeto sympatią tych, którym się powiodło. Nienawidzą systemu, który wg nich ich skrzywdził. Sympatią darzą tych, którzy są z nimi. Nauczeni w szkole podziału na my – oni, eksponowanego również w życiu politycznym i modnych ostatnimi czasy rekonstrukcjach wydarzeń historycznych doskonale się w ów system wpisują. Przekonani, że w historii liczą się ci, którzy mieli odwagę się buntować i wychowani na nadmiernej gloryfikacji tych, którzy kiedyś atakowali na ulicy, lub skakali przez płot – czynią to samo. Czynią tak, gdyż uczący ich w szkole, często z trybuny sejmowej i w mediach zapomnieli, że wolę i bohaterstwo należy cenić w granicach rozsądku, gdyż „przypisując zbyt wielkie znaczenie pięknym czynom, składa się pośrednio hołd złu”²⁹.

Ludzie nie nauczeni samodzielnego posługiwania się rozumem lub – co gorsza – oduczeni, posługujący się minimum słów i mową ciała, czując się zawiedzionymi i wykluczonymi, znajdując idola (klub sportowy, przywódcę partyjnego itp.) stają się jego rycerzami, gotowymi do walki. Nie posiadając zdolności wyartykułowania własnych uczuć, nazwania ich swoimi słowami, stając naprzeciw *obcych* posługują się wyuczonymi sloganami np.: *Precz z komuną! Raz sierpem i młotem w czerwoną hołotę!*, przekleństwami i bojowymi gestami pełnymi nienawiści. Ubrani w kominiarki, jak rycerze w rekonstrukcjach, którzy idą w bój z opuszczonymi przybiciami, atakują wszystko, co może być obiektem ataku.

Są oni jednak, tak jak wszyscy, obywatelami tego państwa, wymagającymi jego troski i nazwanie ich *ki-bolami* nie zdejmuje z władzy obowiązku dociekania przyczyn tej choroby i ich usuwania, a jak dowiedziono – przyczyna leży w upadku systemu edukacji narodowej, głównie na skutek działalności CKE.

Na koniec: szkoda, że poza MEN-em i Rzecznikiem Praw Obywatelskich, żaden poseł, żaden inny urząd ani partia polityczna nie zareagowały na przesłany im raport Polistrefy i prawdopodobnie na dwa pozostałe.

MARIAN DZIWIŚ

- 1 Witelon, *O najważniejszej przyczynie pokuty i o naturze demonów* [w:] *700 lat myśli polskiej. Filozofia i myśl społeczna XIII-XV wieku*, Warszawa 1979, s. 47 i nast.
- 2 *Życie w niewoli „zdrowego rozsądku”*, wywiad Kacpra Leśniewskiego z dr. hab. Jackiem Kochanowskim, „Przegląd” 18-24.03.2013, s. 30.
- 3 Ustawa z dnia 7 września 1991 r. o systemie oświaty. Dz. U. 1991, nr 95, poz. 425, s. 1.
- 4 *Wielka nieobecna – o edukacji antydyskryminacyjnej w systemie edukacji formalnej w Polsce*. Raport z badań Towarzystwa Edukacji Antydyskryminacyjnej, Warszawa 2011, http://www.tea.org.pl/userfiles/file/Wielka_nieobecna_raport.pdf
- 5 Joanna Balsamska, Szymon Beżnic, Marian Dziwiś, Paweł Dziwiś, Hanna Zając, Małgorzata Zawila, *Pomiędzy tolerancją*

a dyskryminacją. – O występowaniu i przeciwdziałaniu dyskryminacji na tle religijnym w małopolskich szkołach oraz o treściach etycznych, religijnych i antydyskryminacyjnych w systemie oświaty, Raport z badań. Fundacja na Rzecz Różnorodności Polistrefa. Kraków 2012; http://www.polistrefa.pl/index.php?file=files/upload/pdf/pomiedzy_tolerancja_a_dyskryminacja.pdf

- 6 Dr hab. Zbigniew Lew Starowicz, dr hab. Jacek Kochanowski, dr Krzysztof Wąż, dr Robert Kowalczyk, *Szkoła milczenia. Przegląd treści szkolnych podręczników do biologii, WOS i WDŻR pod kątem przedstawienia w nich problematyki LGBTQ i treści homofobicznych*. Pracownia różnorodności. Stowarzyszenia na Rzecz osób LGBTQ, Toruń 2013, <http://www.spr.org.pl/2013/01/23/szko%C5%82a-milczenia-wie%C5%84czy-projekt-weryfikacji-podr%C4%99cznik%C3%B3w/>
- 7 Ustawa z dnia 17 maja 1989 r. o gwarancji wolności sumienia i wyznania. Dz. U. 1989, nr 29, poz. 155.
- 8 Ustawa z dnia 07 września 1991 r. o systemie oświaty (z późn. zmianami). Dz. U. 2004, nr 256, poz. 2576.
- 9 *Zdanie odrębne sędzi TK Ewy Łętowskiej do wyroku Trybunału Konstytucyjnego z dnia 2 grudnia 2009 r.*, sygn. Akt U 10/07 [w:] *Wyrok z dnia 2 grudnia 2009 r.* Sygn. akt U 10/07 [163/11/A/2009, s. 53]. Dz. U. nr 210, poz. 1629.
- 10 W dalszej części artykułu tak będą oznaczane cytaty z raportu POLISTREFY.
- 11 *Dyrektorium Katechetyczne Kościoła Katolickiego w Polsce*, Warszawa 2001, rozdz. 4, s. 71.
- 12 Ibidem
- 13 *Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z dnia 23 grudnia 2008 r.* Dz. U. z dnia 15 stycznia 2009 r., nr 4, poz. 17.
- 14 Za: Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z dnia 2 grudnia 2009 r. Sygn. akt. U 10/07; 163/11/A/2009, s. 23
- 15 Poprawki do podstawy programowej z 15 lutego 1999 r. [Dz. U. nr 99 z dnia 23 lutego 1999 – min. Mirosław Handke] zostały wprowadzone: 1) rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej z dnia 21 maja 2001 r. [Dz. U. nr 61, poz. 625 – min. Edmund Wittbrodt]; 2) rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej i Sportu z dnia 26 lutego 2002 r. [Dz. U. nr 43, poz. 393 – min. Krystyna Łybacka]; 3) rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej z dnia 23 sierpnia 2007 r. [Dz. U. nr 157, poz. 1100 z dnia 31 sierpnia 2007 – min. Ryszard Legutko]
- 16 Rozporządzenie Ministra Edukacji Narodowej z 23 grudnia 2008 r. [Dz. U. nr 4, poz. 17 z dnia 15 stycznia 2009 – min. Katarzyna Hall].
- 17 *Dyrektorium...*, op. cit., s. 71-72.
- 18 Ibidem
- 19 *Zdanie odrębne ...* op. cit. s. 51.
- 20 S.J. Żurek *Język polski w nowej podstawie programowej (poziom gimnazjalny i ponadgimnazjalny). Wskazówki metodyczne* [w:] http://www.wsip.pl/dla_nauczycieli/przedmioty/jezyk_polski/klub Aktualnosci/jezyk_polski_w_nowej_podstawie_programowej
- 21 Albert Camus, *Dżuma*, Warszawa 1974, s. 110.
- 22 M. Żuber-Zielicz, *Maturalne grupy interesów*, „Przegląd” 30.09-6.10.2013, s. 38 – 40.
- 23 S.J. Żurek, *Koncepcja podstawy programowej z języka polskiego* [w:] *Podstawa programowa z komentarzami. Tom 2. Język polski w szkole podstawowej, gimnazjum i liceum*. MEN, Warszawa 2009, s. 55.
- 24 Zob.: S.J. Żurek, *Język polski w nowej podstawie programowej (poziom gimnazjalny i ponadgimnazjalny). Wskazówki metodyczne* [w:] http://www.wsip.pl/dla_nauczycieli/przedmioty/jezyk_polski/klub/aktualnosci/jezyk_polski_w_nowej_podstawie_programowej
- 25 Przykłady za: J. Balsamska i. in., *Pomiędzy tolerancją a dyskryminacją*, op., cit., s. 125-127.
- 26 Ibidem, s. 148 i n.
- 27 B. Śliwerski, *Oblewanie matur*, „Przegląd” nr 28(602), 7 lipca 2011 r., s. 8.
- 28 Ibidem., s. 7.
- 29 A. Camus, *Dżuma*, op. cit., s. 110.

FILIP RATKOWSKI

UKRAINA 1917.

DRYFOWANIE KU NIEPODLEGŁOŚCI

„Odcięcie Rosji od Morza Czarnego”, a także „ustanowienie bezprawnej, absurdalnej władzy nad milionami rosyjskich obywateli i nad tymi najbogatszymi obszarami rosyjskiego terytorium państwowego”, to sytuacja, jaką stwarza umowa trzech ministrów Rządu Tymczasowego z Ukraińską Centralną Radą! – alarmował w początkach lipca 1917 r. na łamach „Rieczy”¹ baron B.E. Nolde, profesor Uniwersytetu Petersburskiego, określany przez niektórych jako „fachowiec od ukraiноżerstwa”. Już wcześniej dążenia Ukraińców do samookreślenia, na razie w ramach Rosji, spotkały się z oskarżeniami, że jest to „niemiecka intryga mająca rozczłonkować Rosję” znajdującą się w stanie wojny z Niemcami.

Ten moment, połowa lipca 1917 roku to chwila, gdy w tym ważnym okresie narodowego zrywu najwyraźniej ujawniły się dążenia Ukraińców do samookreślenia, a także, z drugiej strony, zarysowane zostały granice, jakich Rosja (bez względu na jej ustrój i ideologiczne podstawy) nie zechce pozwolić im przekroczyć.

W przeciwieństwie do krajów Europy Zachodniej, gdzie rewolucje burżuazyjne w ciągu niespełna wieku spowodowały praktyczne zamknięcie zagadnienia narodowego, Europa Środkowo-Wschodnia dopiero w epoce Wiosny Ludów weszła w burzliwy okres narodowej rekonstrukcji. Dwa mocarstwa – Austria i Rosja, skutecznie przeciwstawiły się emancypacji politycznej, a nawet kulturalnej, wchodzących w ich skład narodów i choć wydawać się mogło, że sytuacja w monarchii Habsburgów była zgoła odmienna niż w Rosji, to jednak państwo dualistyczne nie było skutecznym sposobem na likwidację narodowych napięć. Silnie scentralizowane (z racji głębokiego zróżnicowania socjalno-ekonomicznego) Imperium Rosyjskie, składające się generalnie z mniejszości o wyższym czy niższym stopniu świadomości narodowej, nie mogło sobie pozwolić na jakiegokolwiek próby kompromisu z *inorodcami*.

Wedle danych spisu ludności z 1897 r. imperium zamieszkiwało 128,9 mln ludzi – Rosjanie stanowili 55,6 mln, a największą grupę ludności nierosyjskiej stanowili Ukraińcy liczący blisko 24,6 mln. Ich atutem było także posiadanie zwartego terytorium narodowego liczącego 9 guberni: kijowską, połtawską, podolską, charkowską, jekaterynosławską (dniepropietrowską) i wołyńską (w tych guberniach liczebność Ukraińców określono na ok. 2/3 ludności) oraz chersońską, taurydzką (bez Krymu) i czernichowską, z mniejszą, choć udokumentowaną wspominanym spisem przewagą ukraińską.

Wielokierowe podporządkowanie Ukrainy Cesarstwu Rosyjskiemu wpływało jednak na głęboką penetrację żywiołu rosyjskiego, a wielka własność ziem-

ska znajdowała się w całości w rękach rosyjskiego, zrusyfikowanego lub niekiedy polskiego ziemiaństwa. Dość powiedzieć, że język ukraiński nie był nauczany w szkołach, ani stosowany w sądownictwie czy w kontaktach z władzami, a nieśmiałe propozycje liberalizacji w tym zakresie pojawiły się w rosyjskiej Dumie Państwowej dopiero w 1916 roku.

Na przełomie wieków XIX i XX sytuacja w miastach kształtowała się szczególnie niekorzystnie dla Ukraińców. I tak np. Kijów z wielkoprzemysłową klasą robotniczą i w większości nieukraińską burżuazją był miastem o zdecydowanej większości rosyjskiej. W wyborach do Dumy Miejskiej Kijowa jesienią 1917 r. wszystkie ugrupowania ukraińskie uzyskały łącznie 17,5 proc. głosów².

Nieco inaczej wyglądała sytuacja w zachodniej części Ukrainy, znajdującej się po rozbiorach Polski w rękach Habsburgów. Tu właśnie, jeszcze w latach 30. wieku XIX należy szukać źródeł odrodzenia (czy rodzenia się) ukraińskiej świadomości narodowej. Odrodzenie ukraińskie przybierało różne formy, wydawano np. druki w języku ukraińskim pisane alfabetem łacińskim, ale często miało ono charakter rusofilski. Spowodowało to nawet zrusyfikowanie części Ukraińców w węgierskiej monarchii, dziś mieszkających w zachodnich obwodach Ukrainy, ale uważających się za Rosjan. W Galicji ruch ukraiński znalazł przychylny klimat Wiednia, który widział w nim sposób na ograniczenie polskich apetytów.

Na „Wielkiej Ukrainie”

Nie oznacza to, że na „Wielkiej Ukrainie” nie obserwowano rozbudzenia ruchu narodowego. Odrodzenie ukraińskiej kultury w początkach lat 70. XIX w. wywołało nawet energiczne przeciwdziałania caratu – emigrujący twórcy znaleźli przytułek i dogodny pole działania właśnie w Galicji.

W Cesarstwie Rosyjskim podniesienie fali ukraińskiego ruchu narodowego obserwować możemy szczególnie w początkach XX w. Rok 1901 przynosi powstanie (nielegalnej) Ukraińskiej Partii Rewolucyjnej z Mykołą Michnowskim, autorem wydanej we Lwowie broszury *Samostijna Ukraina*, na czele. Partia ta miała w swych początkach silnie socjalizujący charakter i Michnowski już po roku wystąpił z niej i z grupą swych zwolenników powołał organizację pod nazwą Ukraińska Narodna Partia³.

Do dalszej polaryzacji w UPR doszło na fali wydarzeń 1905 r., gdy wywodząca się z niej grupa połączyła się w ukraińskimi działaczami ogólnorosyjskiej partii Konstytucyjnych Demokratów i utworzyła Ukraińską

Partię Radykalno-Demokratyczną. Właśnie w tym środowisku należy szukać źródeł odgrywającego później znaczną rolę Towarzystwa Ukraińskich Postępców, z którego wywodzili się np. Dmytro Doroszenko czy prof. Mychajło Hruszewski – jedna z kluczowych postaci ukraińskiego ruchu narodowego tej epoki. Po osłabnięciu fali rewolucyjnej (od 1908 r) TUP było najpoważniejszą organizacją prowadzącą podziemną działalność o charakterze narodowym.

Innym nurtem ruchu ukraińskiego były organizacje socjalistyczne czy socjalizujące, także wywodzące się pierwotnie z UPRD. I tak w 1905 r. powstała Spółka, która wkrótce stała się autonomiczną częścią Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji (SdPRR), w rok później wydzieliła się Ukraińska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza, której działacze spotykamy później na pierwszej linii ukraińskiego ruchu narodowego. To m.in. Sadowśkij, Semen Petlura, Tkaczenko czy Wołodymyr Wynnyczenko, najszerzej znany wówczas pisarz ukraiński.

Upadek „więzienia narodów”

Do konkretyzacji narodowych ambicji Ukraińców miało dojść jednak dopiero na fali wydarzeń rewolucji rosyjskiej 1917 roku – po upadku, jak mawiano w owym czasie „więzienia narodów”. 27 lutego o godz. 3 rano odebrano w Kijowie telegram, w którym deputowany Dumy Państwowej Bublikow zawiadamiał, że objął ministerstwo komunikacji, a późnym wieczorem tego dnia pojawiły się pierwsze informacje o przejściu władzy w Rosji w ręce Tymczasowego Komitetu Dumy Państwowej.

Rankiem w mieszkaniu naczelnika kijowskiego okręgu wojskowego gen. Chodorowicza odbyła się narada, w której wzięli udział działacze związani z orientacją liberalną, m.in. przewodniczący komitetu Związku Ziemstw A.P. Bilikiewicz, prezes Związku Miast i Ziemstw Frontu Południowo-Zachodniego baron F.R. Szeigel oraz wiceprezydent Kijowa i działacz TUP Dmytro Doroszenko. Telegraficznie zapytali o stanowisko wobec nowej sytuacji dowodzącego Frontem Południowo-Zachodnim gen. Brusilowa. Odpowiedź była enigmatyczna „Armia wypełni swój obowiązek wobec Ojczyzny”⁴.

W wyniku tego spotkania utworzono Kijowską Radę Zjednoczonych Organizacji Społecznych, na jej czele stanął baron Szeigel. Znalazło się w niej pięciu Ukraińców, w tym niewymieniony w literaturze pamiętnikarskiej z nazwiska robotnik z kijowskiego „Arsenału”, ważnej fabryki zbrojeniowej (*signum temporis!*). Tak ukształtowała się reprezentacja, w większości „nieukraińskich” mieszkańców Kijowa, która miała odegrać ważną rolę w przyszłych wydarzeniach. W jej składzie znalazło się kilkanaście organizacji, w tym rosyjskie partie socjalistyczne, kadeci, monarchiści, żydowski Bund, Polskie Centrum Demokratyczne i trzy frakcje PPS.

Ze strony środowisk ukraińskich inicjatywę polityczną przejęło Towarzystwo Ukraińskich Postępców jednoczące działaczy różnych partii i opcji, a w trwających kilka dni (2-4 marca) obradach uczestniczyli też przedstawiciele duchowieństwa i wojska (kpt. Ton i Mykoła Michnowśkij, znany już działacz narodowy, w owym czasie porucznik armii rosyjskiej).

To wówczas zapadła uchwała o powołaniu budowanej na tle doświadczeń rewolucji 1905 roku i świeżych doniesień z Piotrogradu kijowskiej Ukraińskiej Centralnej Rady. Jak wspomina jej prominentny dzia-

łacz Wołodymyr Wynnyczenko⁵, uważano wówczas, że „czynnikiem działającym Centralnej Rady jest cała świadoma demokracja, bez różnicy klas”, co było echem popularnej wówczas tezy prof. Hruszewskiego o bezklasowej strukturze narodu ukraińskiego.

„Wydawało się – pisze z kolei w swych wspomnieniach wybitny członek rosyjskiego Rządu Tymczasowego Iraklij Cereteli – że Rada to wyłącznie inteligentka organizacja stanowiąca jeden z nurtów ruchu autonomicznego na Ukrainie”⁶.

W stronę autonomii

Pierwszym dokumentem przypisywanym Ukraińskiej Centralnej Radzie jest podpisany jednak przez trzech działaczy TUP telegram skierowany do premiera Rządu Tymczasowego ks. Lwowa oraz ówczesnego ministra sprawiedliwości Kiereńskiego głoszący słowa poparcia i wyrażający nadzieję, że „słuszne postulaty ludu ukraińskiego i jego demokratycznej inteligencji, zostaną w pełni zaspokojone” oraz sygnalizujący dążenie do „wolnej federacji wolnych ludów” w Rosji. Pierwsze dni rewolucji przyniosły także powstanie, obok Ukraińskiej Centralnej Rady i Kijowskiej Rady ZOS, Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, na którą składało się kilkuset reprezentantów partii socjaldemokratycznych, kas chorych, związków zawodowych oraz osób delegowanych bezpośrednio z zakładów pracy i oddziałów wojskowych.

Oficjalnie władza gubernatorska została przekazana okólnikiem ministra spraw wewnętrznych w ręce prezesów Ziemstw Gubernialnych. Przewodniczącym Ziemstwa w Kijowie był wówczas M.A. Sukowkin, a wspierał go Gubernialny Komitet Wykonawczy, do którego wkrótce dołączono najszerzej znanego działacza ukraińskiego, przewodniczącego UCR, prof. Hruszewskiego.

Działacze ukraińscy rozwinęli działalność także w wielu miastach monarchii – dał się szczególnie zauważyć piotrogrodzki oddział TUP i wkrótce (12 marca) odbyła się w Piotrogradzie ukraińska demonstracja związana z rocznicą śmierci Tarasa Szewczenki, w której wzięło udział 20 tys. osób. Odnotował to wydalenie organ rosyjskich Konstytucyjnych Demokratów „Riecz” pisząc: „Dopiero w ostatnim czasie zaczyna się pojawiać w całą swą wagą zagadnienie ukraińskie w świadomości rosyjskiego społeczeństwa”.

I jest coś na rzeczy, bo samo pojęcie „Ukraina”, używane było w Rosji rzadko. W imperium Romanowych obszary ukraińskie określano powszechnie jako Małorosję, a język ukraiński traktowano jak ludową gwiarę, co dziś wydaje się absurdalne.

Osobne miejsce wśród zagadnień związanych z ukraińskim ruchem narodowym należy się ukraińskiej spółdzielczości, jedynej do czasu rewolucji lutowej, jawnej struktury ukraińskiej. Jej działacze (m.in. prof. Tuhan-Baranowskij, Pawło Christiuk) aktywizowali głównie wieś, a obradujący w pierwszych dniach marca w Kijowie Centralny Komitet Ukraińskiej Spółdzielczości kierował do powstających władz różnych szczebli swoich działaczy, niekiedy bardzo wyraziście formułujących narodowe postulaty. Zorganizowany w kilka dni później, ogólnoukraiński Kooperatywny Zjazd stwierdził m.in. że „Tylko demokratyczno-federacyjna republika w Rosji z narodowo-terytorialną autonomią ukraińską zabezpieczy prawa ludu”, uchwalił też konieczność wpro-

wadzenia języka ukraińskiego w szkole, sądownictwie i instytucjach publicznych.

Postulaty te znajdowały odzew w Piotrogradzie i wkrótce w *Dzienniku Rozporządzeń Rządu Tymczasowego* znalazło się postanowienie zatwierdzające język ukraiński do nauczania w szkołach kijowskiego okręgu szkolnego, pod warunkiem podjęcia kroków gwarantujących interesy mniejszości uczniów.

Od połowy marca zaczynają się też pojawiać ponownie gazety w języku ukraińskim m.in. „Nowa Rada”, „Robotnicza ghazie” (organ ukraińskich socjaldemokratów), a na język ukraiński przeszedł spółdzielczy tygodnik „Komasznia”.

To wszystko stwarzało pewien nastrój wyczekiwania, którego zwieńczeniem była 19 marca, wyjątkowo liczna jak na owe czasy, 100-tysięczna manifestacja w Kijowie. Uczestnicy zebrani przed soborem św. Zofii poparli zaproponowaną przez Hruszewskiego i Wynnyczenkę *Rezolucję* która wyrażała nadzieje na szybkie zwołanie Konstytuanty, która „winna utwierdzić autonomiczny ład, jaki wprowadzamy na Ukrainie”. Oczekiwano też od rządu podjęcia kroków w celu nadania instytucjom publicznym Ukrainy narodowego, ukraińskiego charakteru, a jako instytucję, która powinna w tych sprawach porozumiewać się z Rządem Tymczasowym, *Rezolucja* wskazywała Ukraińską Centralną Radę, która w ten sposób uzyskiwała pewien demokratyczny mandat.

Już zresztą dwa dni wcześniej, wyłoniona spośród piotrogrodzkich działaczy ukraińskich delegacja (m.in. Łotockij, M. Korczyński oraz członkowie Piotrogrodzkiej RDRIŻ Gaidar i Łoboda) przedstawiła premierowi memoriał, w którym postulowano (nie czekając na decyzje Konstytuanty) mianowanie na wszelkie stanowiska w ukraińskiej administracji osób znających język ukraiński, wyznaczanie Ukraińców na komisarzy gubernialnych, stosowanie języka ukraińskiego w sądach, ukrainizację szkolnictwa po wyższe uczelnie i powołanie przy Rządzie Tymczasowym komisarza ds. Ukrainy. Te postulaty będą powtarzały się zresztą do końca rozmów UCR z Rządem Tymczasowym, a po rewolucji październikowej wraz z głęboką przemianą struktur państwowych staną się bezprzedmiotowe.

Z końcem marca odbyły się w Kijowie zebrania ziemskie powiatowe i gubernialne, na których uzupełniono skład władz o działaczy ukraińskich. Ważnym wydarzeniem było zwołanie narady wojskowych – Ukraińców, na której powołano Ukraiński Klub Wojskowy im. hetmana Połubotka. W jego odzwieciu znalazł się apel do żołnierzy-Ukraińców, by jednoczyli się „z myślą o wolności Ukrainy, o jej kozackiej sile”⁷⁷.

Kongres narodowy

Zamknięcie pierwszego etapu przemian stanowi Ukraiński Kongres Narodowy w dniach 6-8 IV 1917 r., poprzedzony całą serią narad i spotkań partii politycznych, organizacji spółdzielczych czy oświatowo-kulturalnej Proswity. I tak np. konferencja Ukraińskiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej poparła wyrażenie artykułowany już w 1905 r. i wysuwany teraz najmocniej przez Wynnyczenkę program „autonomii narodowo-terytorialnej”, pojawiały się też wahania między autonomią „narodowo-terytorialną” a „terytorialną”, co znajduje swoje odbicie także i dzisiaj – bo pierwsze oznacza realizację koncepcji Ukrainy jako pewnej

całości, drugie jako autonomii „gubernialnej”, z natury rzeczy pozbawionej dążeń odśrodkowych w stosunku do Imperium Rosyjskiego.

Pawło Christiuk wspomina, że „wśród nieukraińskiej demokracji rozniosła się wieść, że Ukraińcy chcą się oddzielić”⁷⁸. Kijowski Komitet Zjednoczonych Organizacji Społecznych zwołał wspólnie z Komitetami Wykonawczymi Rad Delegatów RiŻ oraz Komitetem Zjednoczonych Organizacji Studenckich spotkanie, na którym przedstawiciele UCR m.in. Hruszewski, Wynnyczenko, Dmytro Doroszenko byli ostro atakowani. Doszło nawet do tego, że przewodniczący Kom. Wyk. RDRIŻ Niezłobin zagroził „rozpędzeniem Kongresu bagnietami”! Echem tych gróźb była wypowiedź Hruszewskiego na łamach „Nowej Rady”: „...sztandar Niepodległej Ukrainy czeka i rozwinię się wówczas, gdy wielkorosyjscy centraliści zechcą wyrwać z naszych rąk flagę szerokiej ukraińskiej autonomii w federacyjnej i demokratycznej Republice Rosyjskiej”.

Obrady Kongresu, które rozpoczęły się 4 kwietnia w salach Resursy Kupieckiej w Kijowie, zgromadziły 1500 osób, w tym 800 delegatów z mandatami różnych organizacji. Przewodniczącym wybrano jedynomyślnie prof. Hruszewskiego, a w prezydium, obok patriarchy Nikona (Rosjanina) zasiedli m.in. Wynnyczenko i Gajdar – żołnierz Wołyńskiego Pułku Gwardii, działacz US-d przybyły specjalnie z Piotrogradu.

Kongres jednoznacznie opowiedział się za „autonomią narodowo-terytorialną”, federacyjnym ustrojem demokratycznej Republiki Rosyjskiej, wyraził oczekiwanie, że w przyszłej konferencji pokojowej uczestniczyć będą też przedstawiciele narodów, na których terenie toczy się wojna „w tej liczbie i Ukraińcy”. Nie obyło się też bez protestów wobec pretensji wyrażanych przez polską Tymczasową Radę Stanu, co do przynależności do Polski „niepolskich terytoriów”.

W uchwale Kongresu brak postulatów „unarodowienia” rosyjskich sił zbrojnych, jednak zdania takie znalazły się w memoriale, jaki wręczono odbywającemu (przypadkowo?) wizytę w sztabie Kijowskiego Okręgu Wojskowego ministrowi wojny Guczkowowi. Apelowano w nim o stworzenie jednostek ukraińskich (na wzór już powołanych podobnych jednostek innych narodowości) i usunięcie z terytorium Ukrainy takiej jednostki polskiej – korpusu Dowbora Muśnickiego.

Nowy sojusznik - bolszewicy

Tu trzeba przypomnieć, że 3 kwietnia do Piotrogradu przybył Włodzimierz Lenin i już następnego dnia przedstawił *Tezy kwietniowe*, których zasadniczą treścią było hasło „żadnego poparcia dla Rządu Tymczasowego” i ogłoszenie totalnej walki z „demokracją parlamentarną”. Na forum Komitetu Centralnego partii bolszewickiej, jako jedyna poparła Lenina Aleksandra Kołontaj, a Plechanow, Stalin i Kamieniew, także na łamach „Prawdy”, przekonywali, że system „dwuwładzy” – rządu i Rad Delegatów utrzyma się jeszcze długo. *Tezy* spotkały się z ostrym sprzeciwem działaczy kijowskich, w tym G. Piatakowa i Eugenii Bosz i formalnie odrzucone zostały specjalną uchwałą. Takie stanowisko wynikało nie tylko z niewiary w rewolucyjne możliwości chłopstwa, mocno w „tezach” eksponowane, ale też z obaw przez wzmocnieniem ukraińskiego ruchu narodowego.

Koniec kwietnia to także okres masowych antywojennych wystąpień w Piotrogradzie wywołanych ujaw-

nioną przez media notą ministra spraw zagranicznych Miliukowa, kierowaną do państw Ententy, zapewniającą o woli kontynuowania walki u boku koalicji. Miliukow musiał ustąpić ze stanowiska (3 maja), a dwa dni później powołany został nowy rząd. Choć funkcje premiera utrzymał ks. Lwow, to czołową rolę odgrywało w nim dwóch ludzi cieszących się poparciem Piotrogrodzkiej Rady Delegatów RiŻ – Kiereński i Cereteli. W nowej sytuacji Komitet Wykonawczy brał swego rodzaju współodpowiedzialność za działania rządu, stąd powszechnie przyjmowane określenie Rząd koalicyjny. Jak z czasem się okazało, ogromnie ważną była też służąca konsolidacji SdPRR(b) kwietniowa konferencja, bo tu nastąpiło rozwinięcie Tez kwietniowych podkreślające prawo wszystkich narodów składających się na imperium do samostanowienia „aż do oderwania się i stworzenia niezależnej państwowości”. Protestował reprezentujący kijowskich bolszewików Piatakow, ale Lenin spór wygrał wskazując, że stanowisko takie uniemożliwia „wykorzystanie narodowych rezerw w rewolucji socjalistycznej”. Jest w tym pewna sugestia, że poparcie dla *inorodców* nie ma charakteru absolutnego.

A w Kijowie, w dniu powołania nowego gabinetu Rządu Tymczasowego rozpoczął swe obrady Wszechukraiński Zjazd Wojskowy. Główne poracie miał on w żołnierzach Etapowej Stacji Zbiorowej, gromadzącej rekrutów i żołnierzy wracających na front, którzy ogłosili się I Ukraińskim Pułkiem im. Bohdana Chmielnickiego. Jednostka licząca 3400 ludzi została przez władze wojskowe określona jednoznacznie jako grupa dezertów i choć dowodzący Frontem Południowo-Zachodnim gen. Brusilow zgodził się ostatecznie na powołanie tej jednostki, jako kadrę zostawiono tylko 500 kozaków – reszta pojechała na front.

Jednak Zjazd Wojskowy zgłosił wiele postulatów, w tym m.in. natychmiastową reorganizację armii rosyjskiej wedle kryteriów narodowościowych, wprowadzenie ukraińskiej komendy i uzupełniania Floty Czarnomorskiej marynarzami i oficerami – Ukraińcami. Zjazd podporządkował się Centralnej Radzie, która wkrótce skierowała do Piotrogradu kiluosobową delegację z Wynnyczenką na czele, z zadaniem przekazania postulatów ukraińskich.

Kwestia narodowa i ukraińskie postulaty

Kwestia narodowa była w owym czasie szeroko dyskutowana w Rosji, a sojuszników zyskiwały nawet daleko posunięte postulaty Polaków, Litwinów czy Łotyszy, w praktyce jednak zamieszkujących terytoria okupowane przez Niemców. Nawet zjazd Partii Wolności Ludu (to ówczesna nazwa KD) przyjął postulaty autonomii, ale o charakterze lokalnym. Zaakceptowane przez tę partię opracowanie prof. Kokoszkina odrzucało kategorycznie tworzenie jednostek łączących kilka guberni. Generalnie rozwiązanie tych kwestii rosyjskie partie (np. III Zjazd Socjalistów-Rewolucjonistów) odsuwały do decyzji przyszłej Konstytuanty w nadziei, co oczywiste, na wzmocnienie sił centralistycznych.

W tej atmosferze delegacja ukraińska zaprezentowała w Piotrogradzie *Deklarację*, w której wyrażano nadzieje, że Rząd Tymczasowy w „jakimś oficjalnym akcie” wyrazi przychylność dla żądań autonomii, że padną zapowiedzi współuczestnictwa przedstawicie-

li Ukrainy w przyszłej konferencji pokojowej, a przy Rządzie ustanowiony zostanie „komisarz ds. Ukrainy” i podobny komisarz w Kijowie. Ukrainizacja miałyby objąć nie tylko szkolnictwo podstawowe, ale też średnie i wyższe, brano pod uwagę postulaty ukrainizacji jednostek wojskowych – na razie tyłowych.

Niestety rząd kwestie prowadzenia rozmów z Ukraińcami pozostawił Komisji Prawnej pod przewodnictwem wiceministra spraw wewnętrznych N.N. Szczepkina, co oznaczało przekazanie sprawy w ręce konserwatywnych profesorów, którzy realizację wszelkich konkretnych odczyli – do kompetencji Konstytuanty. Nawet socjalistyczna prasa, w tym redagowana przez Gorkiego „Nowa Żiźń”, odmówiła opublikowania ukraińskich postulatów a „Russkije Wiedomosti” straszyły, że oto „Niektóre grupy czynią nieustające wysiłki w celu natychmiastowego i całkowitego oddzielenia Ukrainy od Rosji”!

Wrzący kocioł

Tymczasem nie było niemal dnia, by w miastach imperium nie obywatyby się jakieś wiece, zjazdy czy demonstracje. W Kijowie na przełomie maja i czerwca obradował Wszechukraiński Zjazd Chłopski, w Petersburgu odbywały się zjazdy polskich organizacji wojskowych, zjazd lotnictwa wojskowego, odbywały się Zjazdy Frontowe wybierające delegatów na Wszechrosyjski Zjazd Rad, przygotowywano już II Ukraiński Zjazd Wojskowy. Tylko ten ostatni spotkał się z zakazem ministra wojny Kiereńskiego, co zostało potraktowane jako wyzwanie. Przemawiający w ostatnim dniu Zjazdu Chłopskiego Hruszewski stwierdził wręcz „Święto rewolucji skończyło się”!

W praktyce okazało się jednak, że maszyny nie sposób zatrzymać i wbrew zakazom 4 VI przybyło do Kijowa 2 tys. ukraińskich wojskowych. Nastroje były burzliwe. Pamiętnikarz pisał: „Wodzowie ruchu ukraińskiego musieli włożyć wiele wysiłku, aby spontaniczny protest i gniew ukraińskiego żołnierza nie przeszedł określonych granic... Na zjeździe rozlegały się nawet głosy za koniecznością pełnego i natychmiastowego oddzielenia się od Rosji”⁹, a nawet „przygotowania odpowiedzi ze strony wojska”¹⁰.

Zajazd delegował liczną grupę działaczy w skład Centralnej Rady i 8 lipca odbyło się posiedzenie tak uzupełnionej Rady. Wówczas padło hasło: Uniwersał.

Z czasem uniwersałów Ukraińska Centralna Rada wydała w ciągu nadchodzącego półrocza aż cztery i łatwo zauważyć, że kolejne nosiły coraz bardziej radykalny charakter, a każdy z nich był odpowiedzią na kolejne, niechętnie wobec postulatów ukraińskich, kroki rosyjskich władz centralnych.

I tak np. I Uniwersał przyjęty na zamykającym posiedzeniu II Zjazdu Wojskowego (11 VI), a powtórzony na wielkim wiecu przed Soborem Sofijskim był odpowiedzią na odrzucenie postulatów ukraińskich przez Rząd Tymczasowy: „Bez zrywania z rosyjską państwowością, niechaj lud ukraiński ma prawo kierować swym życiem na swojej ziemi. Niech ukraiński Sejm narodowy, wybrany przez powszechne, tajne, równe i bezpośrednie wybory ustanawia porządek i ład na Ukrainie” – pisali autorzy. Odwoływano się wprawdzie do Wszechrosyjskiej Konstytuanty, ale tylko w sprawach dotyczących „całego państwa rosyjskiego” i podkreślano odpowiedzialność Rządu Tymczasowego, „który nie

chciał stwierdzić, że uznaje prawa naszego narodu do autonomii i samostanowienia” – głosił dokument.

Reakcja Piotrogradu była niejednoznaczna. Prawicowa „Riecz” pisała, że „Centralna Rada ogłosiła odzielenie Ukrainy od Rosji”, a „panowie Ukraińcy próbują nieprzyjemnych żartów z Rosją!” Komisja Prawna Rządu Tymczasowego, która prowadziła rozmowy z ukraińską delegacją, zakwalifikowała Uniwersał jako „akt otwartego buntu”.

Innym tonem pisały jednak „Izwestia RDRiŻ”: „Rewolucyjna demokracja Rosji stoi po stronie niepodzielności państwa... ale założenie niepodzielności nie stanowi poparcia dla koszarowej centralizacji jaką lansują nacjonaliści” (cytat za Browder-Kiereński).

I faktem jest, że zdecydowane stanowisko Centralnej Rady zrobiło wrażenie na władzach centralnych i należało szukać jakiejś płaszczyzny porozumienia. Apel Rządu Tymczasowego do Ludu Ukrainy wydrukowany w oficjalnym „Więstniku Wriemiennowo Prawitielstwa” zapewniał że „Rosja stojąc na stanowisku pełnej suwerenności ludu zapewni prawa wszystkich narodowości”, a „Rząd Tymczasowy uważa za swój obowiązek dojść do porozumienia z organizacjami społecznodemokratycznymi na Ukrainie”. Mimo pojednawczego tonu brak tu jakiegokolwiek wzmianki o Ukraińskiej Centralnej Radzie, a próba rozmawiania z „ludem Ukrainy” ponad głowami jej przedstawicielstwa mogła tylko wzmocnić pozycję ukraińskich radykałów.

W Kijowie odpowiedzią było wyłonienie z grona Rady jej organu wykonawczego – Generalnego Sekretariatu, na którego szefa wybrano Wynnyczenkę i można uznać, że był to moment powołania pierwszego ukraińskiego rządu, choć był on pozbawiony jakiegokolwiek aparatu wykonawczego i spotkał się z wyrazistym sprzeciwem dominujących w Kijowie rosyjskich organizacji, które wyraźnie stwierdzały we wspólnym oświadczeniu, że „Centralna Rada nie ma prawa samodzielnie ogłosić się publicznoprawnym organem władzy, ma bowiem pełnomocnictwa tylko od jednej z zamieszkujących Ukrainę narodowości i została wybrana przez przypadkowy zestaw wyborców”.

Stanowisko to nie wykluczało jednak prób porozumienia i wkrótce odbyła się na statku „polityczna wycieczka po Dnieprze” szeroko relacjonowana przez prasę, na którą wybrali się reprezentanci obu stron. Ukraińcy podkreślali, że Generalny Sekretariat to tylko organ UCR do celów wewnętrznych, choć, owszem, znalazł się też głos, że zauważono „nurt germanofilów” widzących ratunek dla Ukrainy w klęsce Rosji, bo z Ukrainą okupowaną przez wroga Rosja zaczyna mówić tym językiem, jakim mówiła z Polską¹¹¹! Efektem tego i kolejnych podobnych spotkań była propozycja (częściowo potem zrealizowana) włączenia do Centralnej Rady organizacji „nieukraińskiej demokracji”.

Tymczasem w Piotrogradzie krokiem wychodzącym naprzeciw ukraińskim postulatami była życzliwa rezolucja uchwalona na Wszechrosyjskim Zjeździe Rad (3-24 VI) zalecająca rządowi „wejście w porozumienie z organami ukraińskiej narodowej demokracji” i uznanie istnienia Centralnej Rady. Osobną uchwałę aprobującą prawo do samookreślenia Ukrainy aż do odłączenia się, zaproponowała frakcja bolszewicka, co, jak przyznaje nawet niechętny bolszewikom Leon Wasilewski,¹² zmusiło „ministrów socjalistycznych” do postawienia sprawy

ukraińskiej na posiedzeniu gabinetu. Ostatecznie rząd Tymczasowy wysłał do Kijowa delegację ministerialną (Tereszczenko, Niekrasow, Cereteli i Kiereński) z zadaniem przeprowadzenia rozmów z Radą.

27 czerwca ministrowie prowadzili odrębne rozmowy z różnymi środowiskami – Ceretelemu np. trafiło do przekonania wyjaśnienie Wynnyczenki, który porównywał rolę Centralnej Rady do Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, a funkcje Sekretariatu do CKW Rad. Potem rozmowy toczyły się na forum Sekretariatu i dyskusja była gorąca – ministrowie żądali, by Rada energicznie potępiła „próby samodzielnego urzędowania autonomii ukraińskiej”, ale ostatecznie doszło do kompromisu. 30 czerwca przygotowano tekst Postanowienia Rządu Tymczasowego i tekst II Uniwersału Centralnej Rady które zostały przyjęte przez stronę ukraińską. Oba dokumenty zostały przetelegrafowane do Piotrogradu z uwagą, że w razie zatwierdzenia ich przez rząd, konflikt można by uznać za zażegnany.

Tymczasem już same rozmowy spowodowały poważne rozdźwięki w łonie rządu. Gabinet przeniósł nawet swoje obrady do pomieszczeń Głównego Telegrafu, by na bieżąco śledzić rozwój wydarzeń, a premier Lwow obawiał się nawet, że delegacja zawierając wiążące porozumienie, postawi rząd przed faktem dokonanym.

Kryzys lipcowy

Równoległe dochodziło w Piotrogradzie do demonstracji przeciw „ministrom-kapitalistom”, a i prawica dążyła do konfrontacji. 18 czerwca Miliukow na łamach „Rieczy” wypowiedział się o „bezelowości koalicji” i straszyl grożącym Rosji jakobinizmem. Tego samego dnia rozpoczęła się na froncie ostatnia rosyjska ofensywa, z którą wiązana ogromne nadzieje – także co do kierunków polityki wewnętrznej.

W tych warunkach problem porozumienia z Centralną Radą został 2 lipca poddany pod obrady rządu. Konserwatyści protestujący przeciw ugodzie przegrali głosowanie i problem ten stał się pretekstem do obalenia rządu. Porozumienie zostało zawarte, ale podstawy miało bardzo nietrwale.

Ważnym elementem zapalnym były trzydniowe wystąpienia w Piotrogradzie zapoczątkowane przez infiltrowany przez bolszewików pułk karabinów maszynowych. Tak zwane Dni lipcowe (rodzaj próby generalnej przed rewolucją październikową) znalazły swe odbicie także w Kijowie, gdzie wśród zrewoltowanych oddziałów poczesne miejsce zajął ukraiński pułk im. „nakanawo hetmana Połubotka”.

Walki w Piotrogradzie zachwiały pozycją rządu, i ostatecznie doprowadziły do kolejnego przesilenia. Na czele nowego gabinetu stanął Kiereński postrzegany jako socjalista, ale brutalna pacyfikacja wystąpień przez rząd i przełamanie 6 lipca Frontu pod Tarnopolem spowodowało, że po kilku tygodniach rząd znów podał się do dymisji. Inicjator porozumienia z Ukraińcami – Cereteli musiał ustąpić, a główne teki w rządzie, którego polityczną podstawą była ciągle Duma Państwowa znalazły się w rękach kadetów...

Tymczasem na Ukrainie sytuacja rozwijała się swoim nurtem. Chodziło głównie o zapewnienie reprezentatywności Centralnej Rady przez włączenie w jej skład przedstawicieli mniejszości narodowych (w tym, co dla wielu było szokiem – mniejszości rosyjskiej!). Ugru-

powaniom nieukraińskim przyznano 30 proc. miejsc i w ten sposób liczba jej członków sięgnęła 822 osoby.

16 lipca ogłoszony został przez Radę Statut Ukrainy oraz skład nowego, 12-osobowego Generalnego Sekretariatu (plus Kontroler Generalny i Pisarz generalny – sekretarz stanu).

Generalny Sekretariat miał być najwyższym organem administracji na Ukrainie, tworzonym przez Centralną Radę i przed nią odpowiedzialnym, ale zatwierdzanym przez Rząd Tymczasowy. Sekretariat rozciąga swą władzę na wszystkie organy administracji istniejące na Ukrainie, wszyscy funkcjonariusza powinni być mianowani przez Sekretariat i żaden akt Rządu Tymczasowego nie obowiązuje na Ukrainie, póki nie zostanie opublikowany przez Dziennik Urzędowy Ukrainy! To dość radykalne stanowisko.

Na czele Sekretariatu ponownie stanął Wynnyczenko. Strukturalnie były to „ministerstwa” (sekretariaty) spraw wewnętrznych, rolnictwa, sprawiedliwości, wojny (Petlura), komunikacji, wychowania etc. etc. Było też ministerstwo ds. narodowości z trzema wiceministrami – Polakiem, Rosjaninem i Żydem. Kijowscy Rosjanie mieli jednak wątpliwości i zarezerwowane dla nich funkcje ministra ds. handlu i przemysłu oraz wiceministra ds. narodowości pozostały nieobsadzone.

W stronę II Uniwersału

Zgodnie z porozumieniami ministrów z Radą, skład Generalnego Sekretariatu i Statut winny zostać przedstawione rządowi do akceptacji, jednak gdy delegacja UCR pojawiła się w Piotrogradzie sytuacja polityczna była już zgoła inna. Teraz sprawa ukraińska znalazła się w sytuacji analogicznej do tej z czasu rozmów czerwcowych.

Ukraińcom zaproponowano spotkanie z konsultantem prawnym – Halpernem i baronem Nolde, który już wcześniej, w „Rieczy” pisał otwarcie „Uгода zawarta przez trzech ministrów i ubrana w formę deklaracji Rządu Tymczasowego i Uniwersału Rady z 2 VII nie tylko narzuciła Radę Ukrainie, ale i Ukrainę Rosji, i tym samym odcięła Rosję od Morza Czarnego”. Jak wspomina Wynnyczenko, Kiereński „uciekał przed delegacją i ani razu jej nie przyjął”.

Po prawdzie sytuacja rządu nie była łatwa. W tym samym czasie Sejm fiński ogłosił się organem władzy najwyższej w Finlandii (której status był wówczas analogiczny jak Ukrainy), a na fali przygotowań do II Zjazdu Handlowo-Przemysłowego w Moskwie pojawił się program niedawno mianowanego głównodowodzącego gen. Kornilowa, który ukazywał go jako dawno oczekiwanego „silnego człowieka” – wręcz rosyjskiego Bonapartego!

Replika Rządu Tymczasowego na ukraińskie postulaty była więc zniechęcająca. Teraz Sekretariat Generalny miał być nie zatwierdzany, a mianowany przez rząd, jego pełnomocnictwa ograniczono do pięciu guberni – kijowskiej, wołyńskiej, podolskiej, połtawskiej i czernichowskiej obciętych w dodatku o kilka powiatów, zmniejszono liczbę sekretariatów o połowę, m.in. zlikwidowano sekretariat wojny, komunikacji oraz poczt i telegrafu, a wśród sześciu sekretarzy generalnych nie mniej niż czterech „nie powinno należeć do narodowości ukraińskiej”!

Kandydatów na funkcje administracyjne miał, owszem, przedstawiać Sekretariat Generalny, ale miano-

wanie należało do rządu, a stosunki sekretariatu z rządem miały się odbywać „za pośrednictwem” komisarza w Piotrogradzie mianowanego przez rząd. W dodatku „w przypadkach pilnych” instytucje państwowe przekazują swe zarządzenia prosto władzom lokalnym, co w praktyce okazało się regułą. Ograniczenie terytorialne kompetencji Rady, jak zauważył już Wynnyczenko, miało swoje uzasadnienie w stanowisku Noldego, bo właśnie gubernie chersońską, taurydzką, charkowską i jekaterynosławską można było określić jako „najbogatsze obszary rosyjskiego terytorium państwowego”.

Nic więc dziwnego, że w środowiskach ukraińskich stanowisko rządu znalazło się w ogniu ostrej krytyki. Wynnyczenko zgłosił dymisję z funkcji szefa Sekretariatu, nalegał jednak na przyjęcie rządowych warunków.

Tymczasem Rząd Tymczasowy próbował umocnić swoją pozycję. Duma Państwowa traciła już resztki autorytetu i w jej miejsce zapleczem politycznym miała stać się przygotowywana w Moskwie Narada Państwowa. Ukraińska Centralna Rada zdecydowała się zbojkotować tę imprezę, skoro Rząd przydzielił Ukraińcom zaledwie pięć miejsc.

Istotnie, narada moskiewska była próbą zahamowania nurtu historii – w przeddzień jej otwarcia Rząd Tymczasowy przyjął program sformułowany przez Kornilowa, a 13 sierpnia witany entuzjastycznie generał przybył na naradę. „Idea dyktatury Kornilowa była już całkowicie sformułowana i przygotowania do zamachu stanu, mające sympatie Konferencji były w pełnym toku” – przyznał po latach Kiereński¹².

25 VIII Kornilow rozpoczął marsz na Piotrogród, w trzy dni później poniósł pierwsze porażki. Z rządu znów ustąpili „kadeci”, a 30 VIII pucz został zgnieciony ostatecznie. Zdecydowane stanowisko robotników i żołnierzy garnizonu piotrogrodzkiego, które doprowadziły do upadku rebelii stanowiło dla Kiereńskiego szok „tym poważniejszy, że niespodziewany”.

Od Dyrektoriatu do rewolucji

Wobec rozkładu rządu władza w Piotrogradzie znalazła się w rękach 5-osobowego Dyrektoriatu z Kiereńskim na czele, a jednym z pierwszych jego aktów była zgoda na proponowany przez Ukraińców skład personalny Sekretariatu. Ten krok był jednak mocno spóźniony, bo w Piotrogradzie sytuacja zmierzała w stronę kolejnego przesilenia, choć nikt nie przypuszczał jakie ono będzie głębokie. Pomyślana jako podstawa dla kolejnego rządu koalicyjnego i mająca zatrzeć niechlubne echa moskiewskiej Narady Państwowej nowa Narada Demokratyczna także okazała się niewypałem. Spory wewnętrzne i jej bardzo różnicowany charakter nie pozwoliły zbudować autorytetu dla kolejnego, powołanego 25 IX, gabinetu pod kierownictwem Kiereńskiego. Także Ukraińcy nie oglądając się na władzę centralną zdecydowali się poszerzyć skład Sekretariatu Generalnego o kolejnych sekretarzy zaznaczając wyraźnie, że Sekretariat będzie odpowiedzialny. Zrozumieć motywację Kijowa, trzeba zauważyć, że organy Centralnej Rady działały w myśl zasad Statutu z 16 lipca, i w tym okresie nie otrzymały ani jednego pisma (oficjalnego czy nieoficjalnego) od Rządu Tymczasowego, który kompletnie ignorował Ukraińców.

Teraz kroki ukraińskie spowodowały, że rząd nakazał przedstawicielom Sekretariatu stawić się w Piotrogradzie, a prokuraturze kijowskiej polecił wszcząć

śledztwo z paragrafu o zdradę stanu! Jednak gdy w październiku 1917 r. przedstawiciel Polskiej Partii Socjalistycznej na jednym ze spotkań powitał „ruch ukraiński, jako ruch zmierzający do państwowej niezależności”, Hruszewski odpowiedział: „My Ukraińcy nie dążymy do niepodległości, drogę tę mamy już za sobą. Byliśmy niepodległym państwem i dobrowolnie zjednoczyliśmy się z państwem rosyjskim!”¹³.

Decydowały jednak realia. W tym samym czasie na IV Kongresie Ukraińskiej Socjaldemokracji Wynnyczenko mówił: „W Piotrogradzie jest wieczna anarchia, kompletna ruina, brak jakiegokolwiek aktualnego rządu, który mógłby zadowolić masę. Właśnie z tego powodu władza musi być przekazana jednostkom lokalnym w formie samorządu i samookreślenia narodowego”.

Wkrótce, 20 października zwołany został do Kijowa III Wszuchukraiński Zjazd Wojskowy, na który przybyło trzy tysiące delegatów. Coraz wyraźniej dała się odczuć wśród delegatów niechęć do władz centralnych i występujący na zjeździe Wynnyczenko oświadczył wręcz, że „Sekretariat Generalny w żaden sposób nie odpowiada za swoje poczynania przez Rządem Tymczasowym” i stwierdził: „Jeśli jest to niezawisłość – to witamy ją!”

I właśnie w trakcie obrad Zjazdu przyszła do Kijowa wiadomość o powstaniu w Piotrogradzie, przyjęta z prawdziwym entuzjazmem przez delegatów. Powołany został na fali entuzjazmu Krajowy Komitet Obrony Rewolucji z udziałem Petlury, jak i reprezentanta Budnu Rafesa czy bolszewika Zatońskiego. Jednak po kilku dniach powiały zgoła odmienne wiatry. Komitet rozpadł się, a inicjatywa przeszła w ręce Kijowskiej Dumy Miejskiej stanowiącej polityczne oparcie dla dowódcy Kijowskiego Okręgu Wojskowego, gen. Kwiecińskiego.

Ukraińska Centralna Rada próbowała przyjąć rolę pośrednika między oddziałami rządowymi a Czerwoną Gwardią i wspierającymi robotników niewielkimi jednostkami technicznymi wojska. Przeważającym argumentem ze strony ukraińskiej były trzy tysiące uzbrojonych delegatów Kongresu. Oddziały rządowe pokonały stronników powstania piotrogrodzkiego, ale w wyniku dwudniowych walk zostały wyparte z miasta. Na placu boju zostały oddziały Centralnej Rady.

Wymuszona niepodległość

Przemiany polityczne, jakie zaszły w ciągu „Dziesięciu dni” nadały wypadkom jeszcze żywsze tempo. Na Krymie umocniły się oddziały gen. Aleksieja M. Kaledina (Atamana Wojska Dońskiego) szykujące się do ofensywy na Piotrogród, w zagłębiach dońskim (Jekaterynosław) i krywożorskim, w ciągu listopada władza przeszła w ręce Rad.

16 grudnia rosyjska Rada Komisarzy Ludowych ogłosiła Deklarację Praw Narodów Rosji, a następnego dnia skierowała do Centralnej Rady pismo pozornie w tym samym duchu. Uznała pełne prawa Ukrainy, w tym nawet prawo do oderwania się od Rosji, ale równocześnie zażądała od Centralnej Rady podporządkowania się w praktyce władzom w Piotrogradzie, zwrotu broni skonfiskowanej oddziałom kijowskiej Czerwonej Gwardii i współdziałania przeciw Kaledinowi. Centralna Rada oraz zebrany tego dnia w Kijowie Zjazd Rad Delegatów Robotniczych, Chłopskich, Żołnierskich odrzuciły ultimatum, na co delegaci bolszewicy opu-

ścili zjazd, zebrali się w Charkowie i ogłosili powstanie Ukraińskiej Ludowej Republiki Rad.

Tak więc w Charkowie ukształtował się konkurencyjny w stosunku do Kijowa ośrodek władzy. Już pod koniec grudnia wojska „czerwone” ruszyły przeciw Kaledinowi, przy biernej postawie oddziałów podległych Centralnej Radzie i 18 stycznia weszły do Odessy.

W samym Kijowie, w momencie zbliżania się oddziałów „czerwonych” doszło do szybko stłumionego powstania, którego ośrodkiem był „Arsenał” fabryka brojeniowa o kluczowym znaczeniu.

Zmiana sytuacji spowodowała dymisję mocno lewicującego Wynnyczenki, szefem Generalnego Sekretariatu został Hołubowycz (ukraiński socjalista-rewolucjonista), a 25 stycznia 1918 r. w IV Uniwersale Ukraińska Centralna Rada proklamowała pełną niepodległość i utworzenie Ukraińskiej Republiki Ludowej. Rzecz się dokonała.

Kilka uwag końcowych

Trzeba podkreślić, że żadna ze stron pretendujących do władzy nie sprawowała jej skutecznie. Zarówno Ukraińska Centralna Rada, zastąpiona w wyniku wspieranego przez Niemcy zamachu „hetmanatem gen. Pawła Skoropadskim, jak jej charkowski konkurent panowały tylko nad większymi miastami. I tak np. gdy po układzie w Brześciu (3 marca 1918 r.) na Ukrainę wkroczyły wojska niemieckie, szeroki ruch partyzancki między Dnieprem a Morzem Azowskim zorganizował Nestor Machno, współpracujący wówczas z oddziałami „czerwonych”. Osobną sprawą są losy Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej scalonej w jakimś momencie z Ukraińską Republiką Ludową, czy działania „białych” – tu najszerszej znane są losy Armii Ochotniczej gen. Denikina.

Dalsze wydarzenia są, z grubsza rzecz biorąc, pochodną sytuacji na arenie międzynarodowej. 9 listopada 1918 r. wybuchła w Niemczech rewolucja, 13 listopada Rada Komisarzy Ludowych wypowiedziała warunki traktatu brzeskiego, a 20. został stworzony, formalnie emigracyjny, bo powołany na terenach kontrolowanych przez RFRR, Robotniczo-chłopski Rząd Ukraińskiej Republiki Rad. Oddziały „czerwone” ruszyły na Kijów, Charków i Donbas, Skoropadski uciekł w niemieckim mundurze z Kijowa, a władzę ponownie przejął Wynnyczenko – tym razem działający w składzie 5-osobowego Dyrektoriatu.

Nie była to tylko personalna zmiana. W drugiej połowie listopada w rumuńskich Jassach odbyła się konferencja Ententy, która 21 XI wydała oświadczenie o konieczności natychmiastowej interwencji w sprawy rosyjskie.

Inne elementy złożonej sytuacji to wojna polsko-ukraińska (z epizodyczną Zachodnioukraińską Republiką Ludową) zapoczątkowana 1 XI walkami o Lwów, wojna Rosji Radzieckiej z Denikinem wspieranym logistycznie przez państwa Ententy, wreszcie wojna polsko-radziecka w 1920 roku, w której po stronie polskiej działały wojska ukraińskie Semena Petlury.

Ostatecznie jednak oddziałom Armii Czerwonej udało się zniszczyć tak „białych”, jak „zielonych” Nestora Machny i ustanowić swoją władzę na Ukrainie, która stała się w miarę rozwoju sytuacji częścią ZSRR. Ta epoka z wszystkimi swymi zawirowaniami (zróżnicowanym stosunkiem do praw narodowych Ukraińców na poszczególnych etapach politycznych, Wielkim Gło-

dem, czy scaleniem terytorium narodowego Ukrainy przez przejście Kresów II Rzeczypospolitej Polskiej) nie może być wszelako w pełni zaliczana do dziejów niepodległej – samostijnej Ukrainy.

FILIP RATKOWSKI

¹ Ten cytat, jak i kolejne cytaty z „Rieczy”, a także dokumenty i stanowiska Rządu Tymczasowego przytaczane są za *Russian Provisional Government -1917* zbiór dokumentów pod red. R.P. Browdera i A.F. Kiereńskiego, Stanford University Press 1961.

² Boris Jurij, *The Russian Communist Party and the sovietisation of Ukraina*, Stockholm 1960.

³ Reschetar John S., *The Ukrainian Revolution 1917-20*, Princeton 1952.

⁴ Doroszenko Dmytro, *Moi spomyny pro nedawne-mynule 1914-1918*, Lwów 1932.

⁵ Wynnyczenko Wołodymyr, *Wydrożenija nacji*, Kyiw-Wiedeń 1920.

⁶ Cereteli I G, *Wospominanija o fiewrałskoi riewaluciji*, Paris 1963.

⁷ *Istoria Ukrainśkoho Wjjska*, Lwiv 1936, Rr. zbior. red B Hnatowycz.

⁸ Christiuk Pawło, *Zamitky i materialy do istorii ukraińskoi riewaluciji*, Ukraiński Socjologiczny Institut, Wiedeń 1921.

⁹ Czerikower I., *Antisemitizm i pogromy na Ukrainie 1917-19*, Berlin 1925.

¹⁰ Choulgine Aleksandre, *L Ukraine conter Moescou 1917*, Paris 1935.

¹¹ Cereteli, op.cit., s. 99 i dalsze.

¹² Wasilewski Leon, *Kwestia ukraińska jako zagadnienie międzynarodowe*, Warszawa 1934.

¹³ Kiereński A.F., *The Prelude of Bolshevism – The Kornilow Rebellion*, London 1919.

¹⁴ Czerikower, op.cit.

Dramatis personae:

Irakli Cereteli, ur. 1881, zm. 1959 w Nowym Jorku. Pochodził z arystokratycznej rodziny gruzińskiej. Studiował na Uniwersytecie Moskiewskim, ale wkrótce zesłano go na Sybir za działalność rewolucyjną. Po powrocie na Kaukaz został członkiem tyfliskiego komitetu SdPRR, a po rozłamie w 1903 r. opowiedział się po stronie mienszewików. Krótko studiował w Berlinie, ale w 1905 r. wrócił do Rosji i wziął udział w rewolucji. Wybrany posłem do Dumy reprezentował tam socjaldemokrację i został skazany na katorgę. Po rewolucji lutowej wrócił do Petersburga, gdzie wszedł w skład komitetu wykonawczego Piotrogrodzkiej Rady Delegatów RiŻ i z jej wsparciem, od maja 1917 r., pełnił urząd ministra poczty. Po rewolucji październikowej, wrócił do Gruzji, gdzie zaangażował się w tworzenie Demokratycznej Republiki Gruzji. Po wejściu Armii Czerwonej w lutym 1921 r. emigrował do Francji, a po 1940 r. do USA. Na wychodźstwie zaangażowany w działalność II Międzynarodówki.

Pawło Christiuk, 1880 -1941 . Studiował na Politechnice Kijowskiej i współpracował z pismem „Rada”, a w latach 1916-17 ze spółdzielczą gazetą „Komasznia”. Związany z ruchem eserowców pisywał do gazet „Borotba” i „Trudova Hromada”. W Ukraińskiej Centralnej Radzie pełnił funkcję sekretarza generalnego, potem był ministrem w epizodycznym rządzie ukraińskim Hofubowicza w 1918 roku. Po 1919 roku emigrował do Wiednia, ale wrócił na Ukrainę w 1924 r. i pracował przez lata w instytucjach związanych z naukami technicznymi. Aresztowany w 1931 r. w wymyślonej przez NKWD, aferze tzw. Na-

rodowego Centrum Ukraińskiego zginął w jednym z obozów w kraju Chabarowskim.

Mychajło Hruszewski, 1866-1934. Absolwent Uniwersytetu Kijowskiego, za rekomendacją Wołodymyra Antonowycza objął (1884 r.) katedrę wykładanej w języku ukraińskim historii powszechnej na Uniwersytecie Lwowskim, a owocem jego pracy było m.in. powstanie tzw. lwowskiej szkoły historyków Ukrainy oraz rozpoczęcie publikacji monumentalnej *Historii Ukrainy-Rusi* (1898–1937). Jest też autorem m.in. 5-tomowej *Historii literatury ukraińskiej, Zarysu historii narodu ukraińskiego i Ilustrowanej historii Ukrainy*. Znany także w Kijowie, po wybuchu wojny w 1914 r. przedostał się tam z Galicji, ale został aresztowany i zesłany. We wrześniu 1916 wyjechał do Moskwy i wznowił działalność filii Towarzystwa Ukraińskich Postępowców. Hruszewskiego, najwybitniejszego ukraińskiego intelektualistę, wybrano na przewodniczącego Ukraińskiej Centralnej Rady w Kijowie. Po proklamowaniu niepodległości Ukraińskiej Republiki Ludowej w IV Uniwersale UCR (22 stycznia 1918 r.), jako przewodniczący UCR stał się pierwszym prezydentem Ukrainy. Po wkroczeniu wojsk niemieckich w kwietniu 1918 r., i przewrocie gen. Pawła Skoropadskiego, Hruszewski usunął się z życia publicznego, a w lutym 1919 r. wyjechał do Austrii. Należał do przeciwników porozumienia Petlury z Piłsudskim i za specjalną zgodą politbiura Komunistycznej Partii Ukrainy wrócił w 1924 r. do Kijowa, gdzie kierował sekcją historii Ukrainy w Akademii Nauk. Stał się ofiarą stalinowskich czystek i choć ostatecznie nie postawiono mu zarzutów, zmarł podczas operacji w 1934 r.

Paweł N. Miliukow, ur. 1859 w Moskwie, zm. 1943 w Aix-les-Bains. Historyk, publicysta, ideolog rosyjskiego liberalizmu. Założyciel i pierwszy przewodniczący Partii Konstytucyjno-Demokratycznej (tzw. Kadetów, przejściowo Partii Wolności Ludu). W latach 1915-1916 stał na czele prawnicowego Bloku Postępowego w Dumie Państwowej, potem minister spraw zagranicznych Rządu Tymczasowego w gabinetach ks. Gieorgija Lwowa. Po rewolucji październikowej autor politycznych dokumentów armii ochotniczej gen. Kornilowa. W listopadzie 1918 r. wyjechał na Zachód, od 1920r. na emigracji we Francji, gdzie zmarł.

Wołodymyr Wynnyczenko, 1880-1951. Urodził się w rodzinie chłopskiej. W czasie studiów na Uniwersytecie Kijowskim wstąpił do Ukraińskiej Partii Rewolucyjnej (RUP). Aresztowany, dwukrotnie uciekał z więzienia i ostatecznie emigrował. W 1914 wrócił do Rosji i pod przybranym nazwiskiem mieszkał w Moskwie. Po rewolucji lutowej został wybrany zastępcą przewodniczącego Ukraińskiej Centralnej Rady, dwukrotnie był szefem Generalnego Sekretariatu – organu wykonawczego UCR. W opozycji do wspieranego przez Niemcy hetmana Pawła Skoropadskiego, po jego obaleniu, od 14 grudnia 1918 r. był przewodniczącym Dyrektoriatu URL. Zdobycie Kijowa przez Armię Czerwoną i konflikt z Semenem Petlurą doprowadziły do dymisji Wynnyczenki (13 II 1919). Wyemigrował do Austrii. W Wiedniu zorganizował emigracyjną grupę ukraińskich socjaldemokratów-komunistów. W maju 1920 udał się do Moskwy, gdzie zaproponowano mu stanowisko wiceprzewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Ukraińskiej Republiki Radzieckiej, jednak odmówił. Przeniósł się do Francji, a po jej kapitulacji trafił do obozu koncentracyjnego. Zmarł w 1951 roku w Prowansji, a *Wielka Encyklopedia Radziecka* pisze o nim „burżuazyjnyj nacjonalist i politiceskij awanturist”.

Jako pisarz debiutował w 1902 roku, a jego dorobek literacki to m.in. kilka dramatów i powieści, a także publicystyczne *Wydrożenije nacji* oraz *Słowo za toboju*, *Staline* – powieść rozrachunkowa wydana w 20 lat po śmierci autora. ■

JACEK WOJCIECHOWSKI

POSTIMPERIUM

Najbardziej ostentacyjną, ekstremalną formą dążeń do imperialnego panowania nad światem okazał się kolonializm, a w wersji zakamuflowanej: postkolonializm. Dążeń – motywowanych ekonomicznie, politycznie i psychosocjologicznie. Lecz żeby stworzyć imperium i podporządkować sobie innych (a potem utrzymać w ryzach), trzeba najprzód wziąć się za swoich, bo bez tego nie wypali żadna ekspansja. Ale delikatnie, bo z kolei swoi, jeśli zniewoleni za bardzo, niekoniecznie zechcą napastować i zniewalać obcych, nawet odpowiednio szczeni. Tak oto tworzył się, oraz nadal tu i ówdzie istnieje, specyficzny zamknięty krąg.

Dlatego ci, którym imperialne zapędy zaczęły przynosić sukcesy, na ogół poluzowali wewnętrzne cugle, pozdejmowali kagańce swoim i rozpoczęła się koncesjonowana demokracja, gwarantująca na własnym podwórku rozwój i dobre standardy, na zewnątrz: dominację w warunkach postimperialnych. Inni potraciwszy kolonie zdali sobie sprawę, że nie są już potęgami, natomiast odkryli inny sposób na odmienione funkcjonowanie. Też z użyciem demokracji. I nieźle im idzie.

Ale poza tym znalazły się kraje nadal marzące o imperialnej potędze, które w odpowiednim czasie nie załapały się na kolonializm k l a s y c z n y, pełny, cierpiąc z tego powodu kompleksy i zgłaszając pretensje do całego świata. Z czasem więc podjęły lub podejmowały kolejne próby, już w innych warunkach, więc z konieczności postępując nieco inaczej, lecz nadal zmuszając s w o i c h do postimperialnych nastawień i zmagania, w każdy możliwy oraz niemożliwy sposób. Z różnymi efektami.

Austro-Węgry rozpadły się wcześniej, zanim ktoś wpadł na pomysł, żeby asymilowane i ewentualnie nowe narody wziąć ostro za dziób. Totalitarne reżymy, niemiecki oraz japoński, poniosły klęski tak sromotne, że prosta odbudowa imperiów nie wchodziła w grę. Należało odrodzić się w demokracji i dopiero w tym trybie dojść do potęgi ekonomicznej.

Natomiast bez większych zmian w sferze dążeń uchwalała się Rosja. Nie odpuszczająca myśli o regionach satelickich (nowa wersja postkolonialnego postimperializmu), nadal urażona w mocarstwowości i żywiąca urazę do wszystkich z powodu rzekomej marginalizacji.

Argument był i nadal pozostał ten sam: ogólnorosyjska racja stanu. Mobilizujący swoich przeciwko obcym, bowiem od obcych można spodziewać się tylko zła. I okazuje się, że to działało i działa.

W myśl tej argumentacji skutecznie funkcjonował Iwan IV Groźny, potem Piotr I Wielki, a później Katarzyna II Wielka. Tę rację stanu przetworzył w swoje idee również Włodzimierz Ulianow Lenin, zbyt inteligentny, żeby

wierzyć w głoszone przez siebie komunały, lecz hasłem wysadzenia globu z posad, sygnalizując tę samą intencję rosyjskiej hegemonii nad światem, ale nazywając ją internacjonalizmem. Którą potem z kolei przejął – pomimo że Gruzin – niepospolicie sprytny i bezgranicznie okrutny Józef Dżugaszwili Stalin, też w imię rzekomej racji stanu, czyli tak naprawdę nieograniczonej władzy.

Symptomy kontynuacji są również do odszukania dzisiaj. Nadal z próbą podporządkowania umysłów i serc s w o i c h, chociaż innymi metodami. Ale wciąż skutecznie, oto bowiem znowu posłuszeństwo i postimperialny entuzjazm jest. Rozległy, jakkolwiek być może nie w stu procentach powszechny.

Bo zresztą całkiem powszechny to on nigdy nie był. Zawsze zdarzali się swoi: dumni oraz niezawisli. Zazwyczaj najlepsi z najlepszych. Ale płacili dramatyczną cenę.

NIEZAWISLI

Oto pierwsze półwiecze minionego stulecia. **ONA:** Olga **Frejdenberg** (w Polsce i na świecie przyjęto wersję nazwiska Freudenberg), profesor filologii klasycznej uniwersytetu leningradzkiego, międzynarodowy autorytet w zakresie wiedzy o kulturze antycznej, prekursorka semiotyki kultury, chociaż doceniona w pełni dopiero po śmierci. **ON:** Borys **Pasternak**, wspaniały poeta, świetny prozaik i tłumacz, przez całe życia mieszkający w Moskwie, laureat literackiej Nagrody Nobla w 1958 roku.

Powszechnie pisze się, że tej nagrody nie przyjął. W kręgach prasowo-medialnych najbardziej rozpowszechnione są bzdury. Sowieckie władze zgodziły się wprawdzie na jego wyjazd do Szwecji, ale... bez prawa powrotu. Miał wtedy prawie 70 lat, niedawno związał się z kolejną kobietą i oto miałby na obczyźnie zaczynać życie od nowa? Sam? Ale Szwedzi, tak jak na Zachodzie wszyscy, mieli o Rosji mgliste pojęcie. Rozpuszczono więc pogłoskę, że odmówił przyjęcia nagrody. W rzeczywistości: nie odebrał jej – a to nie to samo.

Frejdenberg i Pasternak byli spokrewnieni. Mając po dwadzieścia lat, więc jeszcze przed rewolucją, mieli się ku sobie. Ona niebrzydka, on wyglądał jak filmowy gwiazdor, stanowili więc parę wizualnie atrakcyjną, ale nic z tego nie wyszło. Natomiast wzajemna sympatia przetrwała, tak jak i relacje intelektualne, z kolei zaś odległość miejsc zamieszkania wygenerowała obfitą korespondencję, która zachowała się w komplecie.

Wydanie jej w 2000 roku w Rosji wywołało wielką sensację, lecz dopiero teraz ukazał się przekład polski: **Olga Frejdenberg, Borys Pasternak, Na całe życie. Listy 1910-1954.** Przeł. Wincenty Grajewski. Warszawa: Wydawnictwo Akademickie SEDNO i Centrum Polsko-

Olga Frejdenberg, Borys Pasternak

Na całe życie Listy 1910–1954



Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, 2014, 453 s., ISBN 978-83-63354-25-8]. Na książkę składają się chronologicznie i mądrze uporządkowane listy obojga do siebie, garść korespondencji do (i od) innych osób, oraz fragmenty pamiętnika Olgi. Tym cenniejsze, że są to zapisy otwarte, wyartykułowane wprost, bez owijania w bawełnę, co w korespondencji listownej było nie do pomyślenia. Wiedzieli wszak, w jakim kraju żyją i mieli oboje świadomość, że trzecie oczy są wszędzie.

Sygnal, że to jest edycja epistolograficzna, nie powinien płoszyć, bo to wydawnicza rewelacja! Czyta się tę książkę, jak najwspanialszą powieść. Pod warunkiem jednak, że ktoś zdoła natknąć się na nią, co nie jest łatwe. Nie ma jej prawie w żadnej bibliotece, nie ma też na ogół w księgarniach, więc trzeba kupować przez internet. Bo nasze księgarstwo, już prawie całkiem „uwolnione” od autonomicznych księgarń niezależnych, a opanowane przez kilka sieciówek, handluje wyłącznie tym, co zapewnia znaczny zysk. A w Polsce ruszczyzna tego nie gwarantuje. Z kolei zaś biblioteki bynajmniej nie są od rusofobii wolne.

Mimo to – gorąco zachęcam do przeczytania. Jakkolwiek tutaj, w dalszej argumentacji, skupię się jedynie na tym, co w tej książce dotyczy zniewolenia umysłów i dramatycznych starań o zachowanie godności.

ON

Borys Pasternak, starannie oraz wielokierunkowo wykształcony, także muzycznie i filozoficznie, intelektualista najwyższej klasy, człowiek z natury raczej łagodny, może trochę nawiedzony i nieco na własnym punkcie przewrażliwiony – nie przystawał do żadnych kanonów ani schematów. Zawsze był osobny. Niby formalista, początkowo futurysta, także symbolista, wypracował

własny, indywidualny styl wypowiedzi poetyckich oraz prozatorskich. I to w kraju, gdzie literaturą nazywano opisywactwo i prokolektywistyczne aplauzy, jednolicie w dodatku umundurowane, co zakrawało na szaleństwo i musiało generować kłopoty.

Mimo tytanicznej pracowitości i najwyższych ocen poza granicami, były okresy, kiedy w ZSRR nie wydawano mu nic lub mało co, nieustannie więc usiłował zarobić na przetrwanie ratując się przekładami, ale i te nieraz bywały odrzucane. Nawet translacji dla teatru czasami nie dopuszczano do wystawienia, a tłumaczył najlepszych – z francuskiego, z niemieckiego, z angielskiego (*Hamlet*) i nawet z polskiego (poezje Słowackiego). Bez niego Szekspir byłby w Rosji mało znany.

Narzekał więc stale na biedę, a w jednym z listów poskarżył się, że nie ma do pracy ani pokoju, ani nawet dogodnego miejsca. Czytając to, pewien współczesny licealista zadał mi interesujące pytanie: no to czemu nie kupił sobie mieszkania dużego? Rzeczywiście... Dzisiaj nie da się tego zrozumieć, bo i nazwa „komunalka” nic już nikomu nie mówi.

Był oskarżany o prawie wszystkie ciężkie wówczas grzechy, więc o kosmopolityzm, brak patriotyzmu i o antysowietyzm. Na walnym zebraniu pisarzy brutalnie napadł na niego Aleksander Fadiejew, a w gazetach i w czasopiśmie agresywne ataki były codziennością. Wściekłą wrzawę wywołała jego odmowa potępienia Zinowiewa i Kamieniewa, kiedy zaś publicznie wystąpił w obronie formalistów, związek pisarzy wysłał do niego kilkusobową delegację, która zadała pytanie „jak się czuje”. Co zbiegło się zresztą z poniechaniem wydania zbioru jego dzieł; z innej zaś, wybiórczej edycji, usunięto *List żelazny*.

Czuł się osaczony jak zwierzę na polowaniu. Nagonka bowiem, jakkolwiek ze zmienną intensywnością, trwała nieustannie. Miał przy tym świadomość, że każdej chwili mogło zdarzyć się coś jeszcze gorszego, bo lista pisarzy zamęczonych była bardzo długa. Z jakiegoś powodu jednak to nie nastąpiło.

Ale pomimo zaszczucia nie zmienił postawy; wykazał niezwykły hart ducha i nadal robił po swojemu – swoje. A już inna sprawa, że częściowe odstępstwo od koncepcji ideowych oraz formalnych, mianowicie realistyczne nachylenie powieściowe w *Doktorze Żywago*, prawem paradoksu, przyniosło mu akurat laury najwyższe.

Pierwsza przymiarka do nagrody Nobla w 1956 roku mocno go zdetonowała, bo zwiastowała kolejną intensyfikację nagonki – i tak też się stało. Ostatecznie nagrodę dostał wtedy Ernest Hemingway. Jemu zaś przyznano ją w dwa lata później i oczywiście znowu powylewały się kalumnie, jakkolwiek satysfakcję z tego wyróżnienia miał. Ale tylko satysfakcję.

Jak okrutnej potrzeba władzy, żeby własnemu rodakowi zohydzić najważniejszy na świecie laur artystyczny? Co nie pozostało bez śladu. Pasternak po dwóch latach zmarł. Ale nie poddał się do samego końca.

Nigdy nie wiadomo co w człowieku siedzi, ani ile może znieść. Był jednak osobnikiem nadwrażliwym, neurotycznym i chimerycznym – wydawało się, że jest miękki i słaby, a jednak wykazał niezłomność samuraja. To właśnie na takich jak on despotyczne władze wyłamują sobie zęby.

On sam za zębami starał się utrzymać język, rzadko wypowiadając się wprost; mówiły za niego teksty, z któ-

rych, a tym bardziej z listów, da się wywnioskować, jak postrzegał ówczesną rzeczywistość.

A sygnalizował, że żyje się z najwyższym trudem, nędznie, bo nie ma niczego co do życia potrzebne. Okresami brakowało nawet chleba, w następstwie „rozkułaczenia” wsi oraz ogólnego dziadostwa i bałaganu. Był natomiast wszechobecny terror i upodlenie. Zachowały się impresje Pasternaka z wyjazdów w głąb Rosji. Oto ziemia, której nikt nie uprawia, więc nie wydaje plonów, nie funkcjonuje, natomiast funkcjonują więzienia, gdzie maltretuje się i zamęcza ludzi. Na wiadomość zaś, co Hitler wyprawia w Niemczech, napisał do Olgi, że oto powstaje tam taki sam dom wariatów jak w ZSRR.

Pod koniec życia zetknął się z pozorowaną destalinizacją, ale nie widać, żeby miał jakieś złudzenia. Dla niego zresztą nie zmieniło się nic. Toteż nie poddał się rozmiękczej grze pozorów: pozostał osobny, tak jak przedtem był.

ONA

Olga Freidenberg (Freudenberg) jeszcze bardziej niż Pasternak znalazła się w niewłaściwym miejscu – zresztą nieodpowiednim zawsze, a już szczególnie wtedy. Córka znanego konstruktora i wynalazcy, od wczesnej młodości borykała się z kłopotami tak z racji swojego zdecydowania w opiniach oraz krytycyzmu, jak również ze względu na żydowskie pochodzenie. Rosyjski antysemityzm, cyniczny i w wielu przejawach wyjątkowo paskudny, zawsze był bowiem w tamtejszej mentalności głęboko zakorzeniony i równie niezmienny, jak imperialne ciągoty.

Wybrała studia z filologii klasycznej, ale potem naukowe zainteresowania miała znacznie szersze. Zajmowała się poetyką, semiologią i formami literatury, a w wymiarze międzynarodowym uchodzi za prekursorkę narratologii. Z tym, że naprawdę szeroko została doceniona dopiero po śmierci. W Polsce całkiem niedawno wydano jej znakomitą książkę [*Olga Freidenberg: Semiotyka kultury. Kraków, Universitas, 2005*], a więc w pół wieku od napisania. Ale fakt, że nawet z takim poślizgiem to nastąpiło, dowodzi, jak bardzo wyprzedziła swój czas.

Wkraczając w świat sowieckiej nauki, mimo woli musiała stanąć do nierównej walki z reżymem, systemem, środowiskiem i z całym aparatem zniewolenia, w końcu również jak Pasternak nie dając się pognać – z tym, że miała akurat usposobienie wojowniczkę. Prawdziwie literacką literaturę uważała za równoległą formę manifestacji świadomości, fabuły zaś traktowała jako warianty systemu światopoglądowego i z tych założeń brały się opinie kolejne, dramatycznie sprzeczne z kanonami materializmu dialektycznego, a przy tym bliskie stanowiskom uczonych zachodnich, więc skażone trucizną kosmopolityzmu.

W związku z tym szkalowano ją bez przerwy i na wszelkie możliwe sposoby obrzydano życie. Całymi latami uniemożliwiano jej publikacje, ale ze świata nauki jednak nie ekspulsowano – były tylko napaści uczonych „kolegów” i prasy – bo widocznie ktoś taki był uniwersytetowi i władzy niezbędny, w przeciwstawieniu do lizusowskiej pseudoprofesury. Ona zaś uparcie robiła swoje, mimo osobistych dramatów (gruźlica, ciężkie przypadki chirurgiczne) i rodzinnych nieszczęść: brata zamęczono w łagrze, a bratowa wróciła z zesłania kompletnie zafatmana i (szukając ratunku) związała się z czekistą.

W pamiętnikowych opiniach bywała szczerą do bólu, w listownych – nieco mniej. Pisywała o tym, że wszystkiego brakuje i że szaleje drożyzna, a kolejki tworzyły się po byle co, więc w gruncie rzeczy egzystencja była jednym wielkim koszmarem. Doszła też do wniosku, że rzeczywista nauka jest w ZSRR zakazana, ale nie przestała jej uprawiać, jakkolwiek nie było to bezpieczne, bo terror szalał. Aresztowania profesorów przestały zaskakiwać, donosicielstwo stało się popularną formą uniwersyteckiej samoobrony, a szczucie studentów na wykładowców oraz odwrotnie zamieniło uniwersytet na piekło.

Wyraziła opinię, że to jest dobijanie resztek inteligencji, ale nie pozostawała bierna – rzucała się w wir dyskusji nie bacząc na możliwe konsekwencje. Kiedy zaś wycofano z obiegu jej kolejną, wydrukowaną już książkę, napisała ostry list do Stalina. I chociaż wódz nie przeczytał go zapewne – jakimś cudem to pomogło. Książka wróciła do księgarń, a jej samej na pewien czas dano spokój.

Lecz żadnych złudzeń nie miała. Jej zdaniem życie w ZSRR nie różniło się zbytnio od egzystencji w łagrze. A raz napisała coś, czego nikt nie wyraził w ten sposób, mianowicie że społeczeństwo nienawidzi reżymu. I to jest uwaga niezwykła, bo łamie przeświadczenie, jakoby wszyscy Rosjanie dali się zniewolić nieodwracalnie.

Kiedy w 1924 roku Leningrad odwiedziła powódź, Olga zreferowała całkowitą nieudolność i niekompetencję władz: nie zrobiono nic. Ten sam zarzut – z określeniem „zbrodnicze” – powtórzyła w późniejszej sekwencji doniesień z oblężonego przez Niemców miasta. To niezwykle, bo na ten temat pisywano i nadal pisuje się tam w tonacji wyłącznie heroicznej. Nie tak dawno w rosyjskiej telewizji obrzucano błotem autorów opinii, że Leningradu nie należało bronić za wszelką cenę.

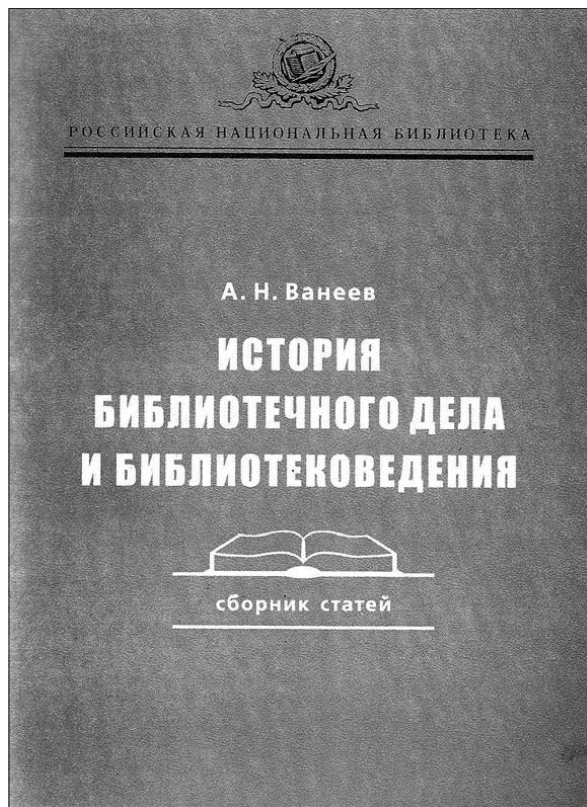
Freidenberg nie miała wątpliwości – miasto nie było przygotowane do obrony. Nie istniały schrony, okopy szykowano byle jak w ostatniej chwili, wody i prądu zabrakło prawie od razu i wszystko przestało funkcjonować. Zakazano handlu nawet aptekom, aprowizację miało zapewnić miasto, lecz całymi tygodniami nie było nic, ludzie puchli więc z głodu i umierali na ulicach. W sumie straciło tam wtedy życie 3,5 miliona osób, głównie przez głupotę oraz nieudolność władz, nadal mimo to marzących o panowaniu nad światem. Upadek Leningradu zadałby tym mitycznym marzeniom kłam. Wśród różnych relacji z oblężonego miasta ta jest najbardziej porażająca.

Podjęmowano przedsięwzięcia ewakuacyjne, ale równie nieporadne i w skutkach tragiczne. Dezorganizacja była niewyobrażalna, ludzie masowo umierali po drodze, a wywożone osobno dzieci przepadały w głębi Rosji i już potem były nie do odnalezienia. Jak napisała zdesperowana Olga: w tym tragicznym oceanie nieszczęść, bez szwanku przetrwali jedynie syci wodzowie.

Takie oto wygenerowały się refleksje rosyjskiej elity intelektualnej – a przynajmniej tej grupy, która nie dawała się zniewolić i nie godziła się z imperialnymi szaleństwami władzy – ponosząc z tego powodu konsekwencje dramatyczne albo wręcz tragiczne. Ale nieszczęścia były też udziałem społeczności pozaelitarnych.

INNI

Nie miałyby końca lista Rosjan gnębionych, a nieraz likwidowanych przez kolejne władze w imię ambicji imperialnych i egzekwowania bezwzględnej postu-



szeństwa swoich. Tylko więc tytułem ilustracji odwołam się do świeżych chociaż przeszłościowych doniesień z obszaru dobrze mi znanego, mianowicie bibliotekarstwa – czyli zwyczajnych instytucji ogólnodostępnych, oraz typowych wykonawców zawodu „inteligentkiego”. Ślady nieodległej, przeciętnej codzienności tamtejszej zostały zasygnalizowane w dwóch książkach, wydanych w Rosji dopiero co.

Autor jednej z nich [**Anatolij Waniejew**, *Istoria bibliotecznowo diela i bibliotekowiedienija. Sbornik statiej*. Sankt Peterburg: Rossijskaja Nacionalnaja Biblioteka, 2013] jest nestorem rosyjskiej bibliologii; liczący sobie już 90 lat profesor, typowy przedstawiciel dawnej kadry naukowej, który swoje poglądy zreformował tylko częściowo i pozostał umiarkowanym, liberalnym (?) leninistą. Trudno podejrzewać go o niechęć do minionej władzy, lecz o jej drakońskich wyczynach (ze smutkiem ale bez poirytowania) – nawet w tak zdawałoby się monotonnym obszarze – pisze w sposób uczciwy.

Zakresem tematyki, ale nie tonacją, koresponduje z nim autorka znacznie młodszej generacji [**Irina Bałkowa**, *Istoria bibliotecznowo diela*. Moskwa, Paszkow Dom, 2013] z Czuwaskiej Biblioteki Narodowej w mieście Czeboksary, która na różne drażliwe tematy wypowiada się rzeczowo i śmiało. Połączona (z obu książek) panorama zdarzeń potwierdza, że tyrania władzy nie omijała w Rosji nikogo ani niczego. Z kolei pisanie o tym jest przejawem – raz intencjonalnego, a innym razem mimowolnego – sprzeciwu, co w każdym wypadku zasługuje na wysokie uznanie.

Zrelacjonowane wyczyny policyjne i cenzorskie władz carskich nie są zaskoczeniem – o tym pisze się od lat. Zakładanie knebla autorom, zsyłki za nieprawomyślne wypowiedzi, a jednocześnie nieustanne trzebieenie bibliotek – oto codzienna ówczesna praktyka zmierzająca

do zniewolenia umysłów obywateli. Zaś pólimperialny obszar skłaniał ponadto do zabiegów dodatkowych wobec obcych, które miały ich uciszyć. Bywały drastyczne, a czasem wyjątkowo perfidne.

Bałkowa pisze otwarcie (tego tak nikt nie określał), że w 1795 roku rosyjskie wojska z r a b o w a ł y bibliotekę Załuskich, którą potem długo składowano w skandalicznych warunkach, zanim stała się osnową Imperatorskiej Biblioteki Publicznej w Petersburgu, czyli dzisiaj drugiej z trzech rosyjskich bibliotek narodowych. Ale perfidia wręcz niebywała wydarzyła się na Litwie – o czym oboje autorzy zapewne nie wiedzą, więc nie piszą – oto z rozkazu cara przez pół wieku nie wolno było publikować tekstów litewskich w... alfabecie łacińskim! Żeby wpaść na taki pomysł, trzeba było mieć kwadratową głowę.

Po październikowej rewolucji cenzura stała się tym bardziej wszechobecna, a jeszcze bezwzględniej tępiło wszystko, co miało jakikolwiek posmak zagraniczny. Społeczeństwo musiało uwierzyć, że centrum wszelkich wartości jest w Moskwie i to świat powinien je przejąć (stąd hasło internacjonalizmu), a nie odwrotnie.

W tym duchu rozpoczęło się przeprofilowanie i upartyjnianie bibliotek („front ideologiczny”) oraz kastracja wszystkiego co komukolwiek mogło wydać się nieprawomyślne i antyrosyjskie. Pierwsze likwidacje dotknęły obcojęzyczne biblioteki w samej Moskwie – m.in. łacińską i polską – a już na masową, ogólnopaństwową skalę rozrąbywanie bibliotecznych zasobów zainicjowała i brutalnie realizowała żona Lenina, Nadieżda Krupskaja. Wspierał ją główny wtedy ideolog kultury, dramaturg, eseista i teoretyk sztuki, Anatolij Łunaczarski. Bo nikt tak skutecznie, „do mięsa”, nie potrafi zniszczyć intelektualnego dorobku ludzkości, jak wprzęgnięci w ten barbarzyński proceder wybitni intelektualiści.

Przez Krupską w rosyjskim obiegu bibliotecznym i w ogóle piśmienniczym na długo przestali istnieć najwybitniejsi myśliciele zagraniczni – m.in. Platon, Kant, Taine – a przy dobieraniu się do skóry swoim, zdarzały się nawet selekcje książek Lwa Tołstoja, przeciw hrabiego. Z biegiem lat mógł o tym decydować każdy, kto miał bodaj okrucich władzy, lub umiał podnieść publicznie wrzask. W efekcie nieomal do zera zredukowały się szanse i n t e l e k t u a l n e j samoobrony przed imperialną i bolszewicką indoktrynacją.

Motywy przewożenia wszystkiemu i wszystkim ujawniały się w różnej postaci. Przejawem bezmyślnej, czysto formalnej zemsty nad postimperialnym rywalem było wywożenie całymi tonami niemieckojęzycznych książek z niemieckich bibliotek do ZSRR, pod koniec wojny oraz po wojnie. W Związku Radzieckim prawie nikt nie znał niemieckiego, więc to był wyjątkowo kosztowny transport makulatury, która nikomu do niczego nie posłużyła, ale imitowała świadectwo odzyskiwania potęgi. Bałkowa nie zawahała się nazwać tego barbarzyństwem.

Wcześniej i przez prawie całe minione stulecie sowiecka władza sekowała również co mądrzejszych i mniej pokornych bibliotekarzy – tak jak wszystkich współobywateli. Charakterystyczne bywały uzasadnienia przesładowań, o czym piszą oboje autorzy. Oto wybitną organizatorkę bibliotekarstwa, Marię Smuszkową, skazano na 20 lat łagru, za sprzyjanie burżuazyjnym koncepcjom. A chciała po prostu wykorzystać produktywnie doświadczenia zagranicznych bibliotek. Z kolei inna organiza-

torka Tatiana Kruger lansowała opinię, że biblioteki nie mogą niczego narzucać publiczności, ignorując użytkownicze życzenia. Ale takie zindywidualizowanie funkcjonowania nie mieściło się w idei społeczeństwa zespolonego („jednostka zerem, jednostka bzdurą”, jak to sformułował nieszczęsny Włodzimierz Majakowski) i podkomendnego, więc Kruger także skazano na zesłanie – jako wroga narodu.

Nie brakowało zdarzeń jeszcze drastyczniejszych. Dyrektor moskiewskiej biblioteki, Wiktor Newski, zatrudniał świetnych ale przedrewolucyjnych specjalistów, więc potencjalnych kontrewolucjonistów, co więcej – z zagranicznym często wykształceniem. Został z tego powodu rozstrzelany. Natomiast czołowy tamtejszy bibliolog Borys Bank pozostał wprawdzie przy życiu, ale z zakazem wykonywania zawodu i publikowania, postawiono mu zarzut... empiryzmu.

Najwybitniejsza rosyjska znawczyni tej problematyki, autorytet w wymiarze światowym Lubow Chawkina, która przez kilka lat dyrektorowała głównemu Instytutowi Bibliotekoznawstwa w Moskwie, za lansowanie wzorów zagranicznych więc obcych, została w 1928 roku zesłana do Charkowa, z całkowitym zakazem publikowania. Możliwe zresztą, że przyczyniła się do tego Krupska, która widziała w niej bezpośrednią rywalkę w dążeniu do sterowania bibliotekami. Wróciła Chawkina do Moskwy dopiero podczas wojny i pozwolono jej zostać w stolicy, a nawet publikować, ale była już wtedy wiekowa i nie otrząsnęła się z traumy. Charakterystyczne, że też – tak jak Frejdenberg – napisała list do Stalina i to potem właśnie przestano ją prześladować. Czasami odzywał mit dobrego władcy.

Ten ułamkowy rzut oka na dzieje jednej, w końcu nie czołowej ani awangardowej profesji, także daje do myślenia. Bo sygnalizuje, jak dalece zdeterminowana była polityka rosyjskich władz w dążeniu do mentalnego zniewolenia całego społeczeństwa i podporządkowania go niezmiennym od stuleci celom imperialnym. Nazwano zaś to zniewolenie narodową solidarnością i patriotyczną wspólnotą myśli. Wszystko wszak lub prawie wszystko da się nazwać ładnie.

MIT OSACZENIA

Trudno dać wiarę, że to wszystko urwało się nagle i nieodwracalnie; nie było koniecznych przesłanek ani stosownie długiego czasu. Oczywiście – zmieniły się formy postępowania, inne są teraz okoliczności, ale speyfikowana od stuleci mityczna *r a c j a s t a n u* nie wyparowała nagle ze społecznej podświadomości. Zadbano przecież, żeby tam ugrzęzła.

No więc niezmiennie tkwi w głowach, jakkolwiek być może nie wszystkich. A jest tak niezależnie od osobowości liderów, od składanych deklaracji, oraz od doraźnych przedsięwzięć krótkoterminowych. Bo przeświadczenia stereotypowe, automatyczne, pozaświadomościowe, kształtujące się z epoki na epokę, są jak granitowe skały – jeżeli nawet kruszeją, to z trudem i w trybie długotrwałej erozji.

W swoich postimperialnych resentymentach, które nie widać gołym okiem, Rosja wcale nie jest jedyna. Podobne ciągoty sygnalizują też inni, chociaż może mniej dostrzegalnie, tyle że z tymi innymi nie sąsiadujemy. Lecz może i dobrze, że ci inni są, bo razem wzajemnie wszyscy trzymają się w ryzach. Jednak warto

o tym wiedzieć i nie ufać słowom, które niekoniecznie są transmitterami prawdy.

Bo tymczasem nad Wołgą znowu pojawiają się opinie, że być może dobrze byłoby zbudować na świecie nowy ład, czemu towarzyszą przypowieści (Ilia Muromiec się kłania), jakoby Rosja wstawała właśnie z kolan, na których nigdy nie była, ale to chwytliwe hasło i robi na swoich wrażenie.

Ożywia bowiem wielkoruski nacjonalizm, który nieustannie czuje się zagrożony. Już to przez ujemny przyrost naturalny, stąd adorowanie milionów Rosjan poza granicami i coraz mniej chętne spojrzenia na Chińczyków i Kazachów napływających na Syberię. Albo przez inne, konkurencyjne nacjonalizmy, niezbyt odległe kalifaty oraz rozmaite uprzedzenia. Ale może również przez mało wydolną, niskokonkurencyjną gospodarkę, która bez surowców bliższa byłaby rzeczywistości Trzeciego Świata niż ambicjom postimperialnego mocarstwa. Zresztą źródła niepokoju, także wydumanych, może być mnóstwo.

Jednak Rosja to ogromny oraz ludny kraj i nigdy tam nie było tak, a tym bardziej nie jest teraz, żeby wszyscy podporządkowali się biernie ideom i poczynom władz – chociaż posłuszeństwo (a w porywach aplauz) ma zasięg rozległy. Jak widać z zasygnalizowanych tu i z mnóstwa innych przykładów na sprzeciw decyduje się pewna część elity (to nic, że niewielka), ale inne zdanie potrafią zachować również zwyczajni obywatele – w różnych okresach mniej lub bardziej licznie. Trzeba to dostrzegać, szanować, podziwiać i wspierać moralnie, na ile można. Bo rosyjskiej piramidy problemowej nie da się rozwikłać zewnątrz; muszą to zrobić sami Rosjanie, po swojemu, ponieważ to oni mają kłopot ze sobą. Jeżeli skutecznie, to z pożytkiem dla wszystkich i dla wspólnej egzystencji.

Do przełamania i do pokruszenia jest zaś podstawowa przyczyna tamtejszych postimperialnych tendencji, mianowicie głęboko zakorzeniony, obsesyjny mit powszechnego osaczenia. To tkwi w rosyjskiej podświadomości od dawna i zżera społeczną mentalność jak rak.

Zawsze była tam w obiegu legenda zachowana i dziś, o napastliwości i wrednych intencjach całego świata, o zagrożeniu ze wszystkich stron. Od Tatarów, Szwedów, Polaków, od Niemców oraz od Francuzów, a także od Japończyków, Chińczyków i Amerykanów. Od Żydów i od Arabów, od katolików i od islamistów. Każdy źle interpretowany krok obcych, sprowokowany lub nie, umotywowany albo bezzasadny, te przeświadczenia podtrzymywał i utwierdzał.

Tego nie można zmienić łatwo ani szybko. Natomiast przydałyby się okoliczności, sprzyjające przełamaniu barier izolacyjnych, a w sumie również – obsesji. Sankcje polityczne i ekonomiczne na krótką metę może niezbędne jako ostrzeżenie, w dłuższej perspektywie byłyby złe. Do wykruszenia niedobrych mitów oraz uprzedzeń potrzebne jest bowiem szerokie, jakkolwiek ostrożne, otwarcie, wyposażone w cierpliwość, a przede wszystkim wolne od rusofobii.

To może być trudne, czasami nawet irytujące. Ale nie ma innego sposobu, żeby ten potencjalnie potężny kraj zaistniał w międzynarodowej wspólnocie w pełni produktywnie. W interesie własnym oraz powszechnym.

JERZY HAUSNER

BŁĘDY JARUZELSKIEGO*

Świadomie piszę tekst stroniczy. Będąc aktywnym uczestnikiem zdarzeń – nawet gdybym chciał – nie mógłbym zachować bezstronności. Kiedyś spór o osobę gen. Jaruzelskiego toczyć będą historycy, mający niezbędny do tego dystans i odpowiednie dokumenty. Spór ten potrzebny jest jednak już dziś. Nie po to, by obiektywnie ocenić przeszłość, ale żeby lepiej zrozumieć, co się dzieje i dlaczego.

Piszę ten tekst z perspektywy czterdziestolatka, kogoś, kto uważał się i nadal uważa za człowieka lewicy, choć zasadniczo zmienił w toku swej politycznej aktywności przekonania i wyobrażenia o tym, jak wartości socjalizmu powinny być urzeczywistniane, kogoś, kto stopniowo wyzwolił się z myślenia cudzą głową i odrzucił wiele interpretacyjnych schematów, ale nie rzucił się na poszukiwanie nowej wiary. Kogoś, kto od początku swej politycznej działalności związany był z PZPR i pozostał w niej do końca jej działania, próbując w ten sposób służyć polskiej demokracji. Kogoś, kto nie wyrzeka się i nie zaciera swego politycznego życiorysu.

Z tej perspektywy Jaruzelski nie jest ani zdrajcą narodu, ani zdrajcą komunizmu, jak to głoszą jego nieprzejednani przeciwnicy z obu skrzydeł. Kim jest, tego się nie da – moim zdaniem – określić za pomocą etykietki. Spróbuję to uczynić poprzez przypomnienie pewnych osób i faktów z nimi związanych.

* * *

Wprowadzenie stanu wojennego oznaczało, że PZPR nie była w stanie środkami politycznymi bez użycia siły opanować sytuacji w kraju. Jeżeli więc celem było podjęcie reformy politycznej, nie mogło się to dokonać bez zasadniczej zmiany w sposobie funkcjonowania PZPR i jej pozycji w systemie politycznym. Rozwiązanie PZPR i tworzenie nowej partii byłoby niewątpliwie przedsięwzięciem ryzykownym. Tym bardziej konieczna była radykalna wymiana jej aparatu, a zwłaszcza kierowniczej kadry. Stan wojenny nie powinien być dawać ochrony ludziom, którzy rozumieli jego wprowadzenie jako przywrócenie starych porządków.

Sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR o stanie wojenny mówił: „wprowadziliśmy”. Jego cele definiował następująco – skończymy z reformą gospodarczą, przywrócimy zjednoczenia. Przez kolejnych 8 lat tępił

ludzi mających w jakiegokolwiek sprawie inne zdanie niż on. Jeszcze w połowie 1989 r. przypuszczał, że to się da odwrócić, że winni są ci zdrajcy Grobaczow i Jaruzelski, że jednak ktoś to wreszcie przetrnie i wkroczy.

* * *

Gospodarka wymagała radykalnej reformy. Niezbędna była zmiana reguł zarządzania i struktury gospodarki. Nakazy i rozdzielniki musiały zostać odrzucone, przewyciężona dominacja oraz uprzywilejowanie przemysłu paliwowo-energetycznego i ciężkiego.

We wstępnym okresie wdrażania reformy jedną z najmocniejszych postaci w rządzie, kierowanym przez Jaruzelskiego był gen. Piotrowski – minister górnictwa i energetyki. Metody zarządzania, które stosował w swoim potężnym resorcie były ściśle wojskowe, a wpływy tak silne, że udział nakładów na przemysł paliwowo-energetyczny był tak wysoki, jak nigdy dotąd. To jemu – między innymi – nasza gospodarka zawdzięcza zablokowanie szans na zmiany strukturalne, kontynuację drogi rabunkowego gospodarowania, a Śląsk i jego sąsiedztwo przyspieszoną degradację środowiska.

Gen. Piotrowski odszedł stosunkowo wcześnie. Ludzie, którzy kierowali gospodarką, w większości niewiele się od niego różnili. Ekonomię i reformę lekceważyli, nawet jeżeli mieli profesorskie tytuły.

* * *

Aby przeprowadzić reformy polityczne i gospodarcze potrzebne było poparcie społeczne. Model związku zawodowego jako pasa transmisyjnego partii do pracowników musiał być więc zastąpiony przez mechanizm oddolnej reprezentacji interesów i społecznej kontroli. Większość społeczeństwa popierając „Solidarność” chciała aktywnie włączyć się w reformę systemu. Idea pluralizmu związkowego uzyskała powszechne poparcie. Na początku władze stanu wojennego deklarowały, że po pewnym czasie w nowych warunkach politycznych i gospodarczych swobody związkowe zostaną przywrócone.

W praktyce podjęto kompleksową próbę wymazania „Solidarności” z polskiego życia i zepchnięto do podziemia organizację, która zrzeszała w 1981 r. 10 mln ludzi. Walka z „Solidarnością” angażowała olbrzymie zasoby, ale co ważniejsze umacniała siły konserwatywne w kierownictwie politycznym i pozycję aparatu przymusu. Stały się one w związku z tym z czasem tak wpły-

wowe, że nie tylko zagradzały drogę reformom, ale próbowały prowokować (np. zabójstwo ks. J. Popiełuszki) taki tok wydarzeń, który mógłby stworzyć możliwość przejścia przez nie władzy.

Substytutem porozumienia ze społeczeństwem stało się tworzenie nowego ruchu związkowego. Miodowicz był zaprogramowaną alternatywą dla Wałęsy.

Nowe związki w dużym stopniu tworzyła kadra kierownicza na polecenie partyjne. Później – by zyskać społeczną wiarygodność – OPZZ protestował najgłośniej jak mógł przeciwko polityce gospodarczej rządu, atakując zwłaszcza tych, którzy próbowali cokolwiek w gospodarce zmieniać. Polityczne lawirowanie i demagogia socjalna stała się główną linią OPZZ i jej przewodniczącego. Szczytowym osiągnięciem tej linii jest udział OPZZ w kampanii prezydenckiej.

* * *

Jeżeli reformy miały się powieść, na wszystkich szczeblach potrzebni byli nowi ludzie, zdecydowani i przygotowani na reformatorskie działania. Konieczne stało się też tworzenie nowych mechanizmów rekrutacji elit, promujących ludzi zdolnych, wykształconych i odważnych.

Jak to wyglądało w praktyce – najdobitniej świadczy kariera gen. Baryły. Było oczywistą kompromitacją Jaruzelskiego doprowadzenie osoby o tak żenująco niskich ogólnych kwalifikacjach do pozycji nr 2 w partii, a więc i w państwie, osoby, której jedyną zasługą była wieloletnia przyjaźń i bezgraniczne podporządkowanie osobie nr 1. Właśnie gen. Baryła swoimi pomysłami organizacyjnymi i kadrowymi najsukuteczniej konserwował, a więc w konsekwencji demontował partię.

W ogóle posunięcia kadrowe były jedną z najłagodniejszych stron polityki Jaruzelskiego. Otoczony bardzo wąskim sztabem osób, głównie wojskowych, wśród których niewielu było ludzi naprawdę wybijających się (jak np. gen. Kiszczak) decydował się na awansowanie ludzi całkowicie przypadkowych. Zwracali uwagę wiernym spoglądaniem w oczy Generała, cierpliwym wysłuchiwanym jego wielogodzinnych przemówień dla aktywu oraz reformatorską i optymistyczną retoryką. Najlepiej widziani byli ci, którzy uważali, że jest dobrze i wzywali do kontynuowania przyjętej drogi, nie bacząc na to, że było to krążenie w kółko. Dobrym przykładem takiego awansu był sekretarz Czarzasty, szef kampanii wyborczej PZPR w wyborach parlamentarnych z czerwca 1989 r. Natchniony optymizm nie opuszczał go do końca.

* * *

PZPR jako partia rządząca przyciągała ludzi ambitnych. Nie jest przypadkiem, że tak wielu polityków z obozu „Solidarności” kiedyś się z nią związało. Nie oznacza to, że byli bezkrytycznymi wyznawcami marksizmu-leninizmu, ale że chcieli coś zrobić i coś osiągnąć w polityce, i sądzili że taką szansą jest przynależność do tej jedynej partii. Znacząca część kolejnych roczników do końca lat 70. zasilala skład członkowski PZPR. Tym samym partia dysponowała nie tylko dużym potencjałem organizacyjnym, ale też wielkim potencjałem intelektualnym. Chcieć usunąć z życia społecznego

ludzi związanych z PZPR, to znaczy wyeliminować większość istniejącego w Polsce zasobu kadrowego. To skazywać naród na pogłębianie zapaści cywilizacyjnej, do której przyczyniły się represje faszystowskie i stalinowskie, tragedia Powstania Warszawskiego oraz stała w okresie powojennym emigracja.

Rodzi się pytanie, dlaczego ten polityczny i intelektualny potencjał, który był w PZPR, został tak roztrwoniony i rozproszony? Przecież z tego właśnie wynika także obecna marność lewicy w Polsce.

Po katastrofie wyborczej w czerwcu 1989 r. było oczywiste, że tylko szybkie i radykalne działania mogą dać szansę na wyłonienie z PZPR nowoczesnej, reformatorskiej formacji politycznej, która mogłaby z pozycji lewicowych uczestniczyć w tworzeniu w Polsce nowego systemu – gospodarki rynkowej i demokratycznego ładu.

W tym kluczowym momencie Jaruzelski, orientujący się na prezydenturę, nie mógł zrobić już nic gorszego, jak przekazać przywództwo PZPR Rakowskiemu. Jak mogło dojść do tego, że przegrany premier w takiej chwili staje na czele przegranej partii? W ten sposób rozbito ją doszczętnie, ponieważ Rakowski chcąc umocnić swą słabą pozycję przeciągał jak mógł zwłanie zjazdu i podjęcie jakichkolwiek kroków. Zjazd był w konsekwencji pogrzebem. Trupa nie dało się reanimować.

* * *

Spory o 13 grudnia nie wygasły i nie wygasną. Walka polityczna w Polsce w latach 80. toczyła się i toczy nadal wokół oceny stanu wojennego.

Dlaczego ma to takie znaczenie? Poza jednostkami nikt nie wychwala stanu wojennego. Dramatycznie różne są jednak skutki uznania przez społeczeństwo, że stan wojenny był złem koniecznym lub że zbrodnią wobec narodu. „Solidarnościowa” opozycja walczyła, aby społeczeństwo przyjęło tę drugą ocenę. To bowiem zwalnia ją z wszelkiej odpowiedzialności za przeszłość, a jednocześnie dyskwalifikuje na dłuższy okres lewicę w Polsce.

Gen. Jaruzelski jest personalnym symbolem stanu wojennego, stąd też jego losy mają istotny wpływ na przyjmowaną przez społeczeństwo ocenę. Kluczowym problemem stała się kwestia tego, kiedy i jak będzie Jaruzelski schodził z polskiej sceny politycznej. Czy odejdzie, czy zostanie obalony? Następuje to teraz. Generał schodzi ze sceny samotnie i w cieniu, bowiem reflektory skierowane są na rywalizację pretendentów do urzędu prezydenckiego. Dyskretnie przywdziewa szatę Wallenroda jako ten, który demontując strukturę komunizmu otworzył możliwość pokojowej zmiany systemu w Polsce. Nie wiemy jeszcze, co się będzie działo dalej. Czy Jaruzelski zostawiony zostanie w spokoju, czy też pastwienie się nad nim będzie potrzebne tym, którzy dziś rządzą w tak trudnej sytuacji, i nie mogą oczekiwać od społeczeństwa dalszych wyrzeczeń i ofiar, mogą zechcieć dać mu igrzyska i „kozły ofiarne”?

Moment ten skłania do postawienia jeszcze jednego problemu: czy Jaruzelski nie powinien odejść wcześniej, odejść jako pierwszy, a nie ostatni; czy w ten sposób droga do koniecznej przemiany nie zostałaby otwarta szybciej? Czy pozostawiając tak długo nie spowodował, że Polska straciła tyle lat, ile straciła?

Generał znika, ale wielkie polskie problemy pozostają: kryzys gospodarczy trwający od kilkunastu lat, polityczny chaos, niezadowolenie i rozgoryczenie społeczne, cywilizacyjna zapaść, zniszczenie środowiska, marginalizacja znaczenia Polski w stosunkach międzynarodowych, emigracja młodych. Trudno nie dostrzec jego błędów, które się do tego przyczyniły.

Złej woli trzeba jednak, by nie dostrzec zarazem, że pozostaje postacią dramatyczną i prawdziwie wielką, tą typową polską wielkością – wielkością przegranych.

JERZY HAUSNER
(1990)

ODSZEDŁ WOJCIECH JARUZELSKI

25 maja 2014 roku zmarł Wojciech Jaruzelski, pierwszy Prezydent III Rzeczypospolitej, wybitna postać dziejów Polski XX wieku, żołnierz i mąż stanu.

Jego działalność budziła przez długie lata w „Kuźnicy” gorące dyskusje.

Po śmierci Generała prezes „Kuźnicy” wystosował

do jego córki Moniki list następującej treści:

**Pani
Monika Jaruzelska
w Warszawie**

Wielce Szanowna Pani,
obywatele zgromadzeni w lewicowym, inteligenckim środowisku „Kuźnicy” proszą Panią o przyjęcie wyrazów prawdziwego współczucia z powodu odejścia Ojca Pani, Wojciecha Jaruzelskiego, Prezydenta Rzeczypospolitej, oddanego żołnierza i wielkiego obywatela naszej Ojczyzny, który, zawsze wierny polskiej racji stanu przeprowadził kraj bezpiecznie przez najtrudniejsze wyzwania epoki.

Grono ludzi wiedzy związanych z „Kuźnicą” wyraziło przed rokiem nasze opinie i uczucia w książce ofiarowanej Ojcu Pani w dziewięćdziesiątym roku Jego urodzin.

Pozwalamy sobie równocześnie przekazać Pani słowa wielkiej wdzięczności i podziwu za wszystko co uczyniła Pani dla swego Ojca i Jego dobrej pamięci.

Zasyłamy wyrazy głębokiego szacunku i przyjaźni Pani i całej Rodzinie.

„Kuźnica”

Kraków, 26 maja 2014 r.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

GARCIA

Pan Bóg musiał mu ustąpić

On nazywa się García. Márquez to drugie, po matce. Tak jak Lorca, który miał na pierwsze (nazwisko) tak samo, García. Picasso też nazywał się inaczej, Ruíz. A Llosa to Vargas. W księgarniach szukamy Márqueza i Llosy pod M i L, a nie, jak w Kolumbii czy Peru, pod G i V. Zresztą Garcíów jest jak Nowaków. W Andaluzji i Asturii „garcía” znaczy „lis”, choć „lis” w Kastylii, kwaterze głównej języka hiszpańskiego to „zorro”.

Uluda

Aracataca – pierwowzór Macondo – to 30-tysięczne miasteczko pełne nędzy, w którym temperatura nie spada poniżej plus 42 stopni. Jeśli dmuchnie wiatr, wielka, czarna spódnica idącej na bazar kobiety unosi się w powietrze jak latawiec i sprawia wrażenie, że właścicielka ubioru poprunęła. Jej córka pozostawiona na chwilę bez opieki zjada wtedy na śniadanie garść ziemi, żeby spróbować, czy dobra. W strumieniu za domem płynie wrzątek. Siwowłosy aptekarz zjada niebieską pastylkę i po pół godziny rozgląda się za młódkami. W zamrażarce działającej na generator spalinowy robi się zimny, przezroczysty kamień, który Cyganie pokazywali kiedyś w cyrku jako lód. Pochodzących stamtąd Kolumbijczyków nazywa się w stolicy *calentanos* – „gorączkarze”. Ziemia w okolicach Aracataki jest tak rozpalona, że upał powoduje wizje. Wiatr od morza nie przynosi ulgi, bo jest gęsty od wilgoci. Od czasu, kiedy Gabo (zgrubienie imienia to jego własny pomysł) dostał nagrodę Nobla, w Aracatace zmieniło się tylko to, że wstawiono tam centralę telefoniczną. Wywalczył ją jego brat, dziś trudno ustalić który, bo w rodzinie Garcíów było szesnaścioro rodzeństwa, w tym brat o takim samym imieniu: Gabriel. Centrala, podobnie jak poczta i telegraf, to podstawowe narzędzia pracy dziennikarza.

To co w prozie reportażowej Garcii jawi się jako Macondo, jest Imaginacją, Iluzją, Uludą. Obszar Karaibów odkryty przez Kolumba jako Indie, został tak nazwany nie tylko przez pomyłkę. Z przeczeniem w jego życiu będziemy mieli do czynienia nie raz, dlatego na wszelki wypadek zaznaczam je tam gdzie trzeba rozstrzelonym drukiem.

Swojej przyszłej żonie Mercedes oświadczył się na tańcach wieczorem, kiedy miała trzynaście lat, poczeł do chwili, kiedy osiągnęła pełnoletniość, poślubił i nigdy nie zdradził, co na Karaibach jest osiągnięciem nie do powtórzenia.

Przy pisaniu Gabo musiał mieć zawsze bardzo ciepło w pokoju. Czterdzieści dwa stopnie w Macondo wystarczą za wyjaśnienie. Przy pisaniu towarzyszyła mu nie kiedy muzyka zupełnie nieznanego na Karaibach Beli Bartóka. Koledzy z Aracataki powiedzieliby, że to fanaberia. Przy pisaniu słucha się czasem, ale dlaczego akurat muzyki węgierskiej, obrazowej, ludowej, na cygańskie smyczki i oddech nadrzecznej równiny?

Bez dźwięków nie będzie prozy realizmu magicznego.

W Aracatace Garcii grano muzykę afrykańsko-indiańsko-kreolską. Bębniącą, piszczącą, szarpaną. Bartók, emigrant z Węgier, mieszkaniec Ameryki Północnej, przypominał ją pisarzowi charakterem. Kiedy jednak zajrzy się do libretta *Zamku Sinobrodego*, ma się wrażenie, że powstało pod piórem Garcii Márqueza. Postuchajmy:

W mroku widać siedmioro drzwi. Na scenę wchodzi symbol kobiecości. Uluda. Pojawia się Sinobrody, właściciel mrocznej przestrzeni przed i za siedmioma drzwiami. Macho, mędrzec, półbóg. Opętał dziewczycy-

nę. Czy raczej opętała się sama. Porzuciła jasny, kwietny kraj. Na pytanie ciekawej dziewczyny dokąd prowadzi drzwi, Sinobrody zaczyna kręcić, że to symbole męskiej duszy, dlatego muszą pozostać zamknięte. Lecz cóż to za Uluda, dla której przeszkodą byłyby coś, co jest zamknięte, w co nie można wniknąć? Otwiera pierwsze, a tam krew w izbie tortur. Świat Latynosa. Rewolucje, przewroty, zamachy stanu (*Generał w swoim labiryncie*). Za następnymi jest zbrojownia (*Jesień Patriarchy*). Ale też i Vargasa *Święto kozła*). Trzecie kryją skarbiec (język Cervantesa). Czwarte – ogród pełen krwawych płam (Fidel Castro i jego tajemnicza Hawana). Za piątymi – państwo Sinorodego (Macondo czyli Karaiby realizmu magicznego). Dziewczyna domaga się wejścia za dwoje pozostałych drzwi. Jak Ewa, która chce wiadomości dobrego i złego. Gabo zresztą też całe życie postępował tak, żeby się do tej wiedzy dorwać. Reporter tej miary co on niczego innego nie robi. Pan Bóg musiał mu ustąpić. Za szóstymi drzwiami znaleźli wraz z dziewczyną zgaszone jezioro też (Kolumbia narkobaronów i pseudorewolucjonistów). Może nie warto było sięgać po to „jabłko”? Przynoszono mu je – jako prezydenturę kraju – na tacy. Wolat pisać o polityce niż ją uprawiać.

Sinobrody błaga dziewczynę, żeby zrezygnowała z wyważania siódmych drzwi. Ona jest jednak prawie pewna, że znajdzie tam duchy poprzednich kochanek Sinobrodego.

Pierwsza żona Sinobrodego przyszła z zaświatów o poranku, druga w południe, trzecia przed zmrokiem. Tak to Bartók układa kalendarz, podobny do wyciągniętych z muzyki, a nie z ruchu słońca wskazań zegarów, które w swoich opowiadaniach uprawia (naprawia) García Márquez.

Kiedy przyszła noc, pani tajemnic Sinobrodego wnika na zawsze we wszystkie jego następne noce (i moce). Cofa się. Przestaje być dziewczyną, staje się dręczącym wspomnieniem.

W środowisku Garcii trzeba uważać, co się mówi o Bartóku. „Mam przyjaciela, fanatycznego wielbiciela Beli Bartóka, który prawie gotów był zabić człowieka, bo ten stwierdził, że *I koncert skrzypcowy* – obecnie uznawany za *Koncert II* to w rzeczywistości koncert na koto i orkiestrę”¹.

Tak właśnie, słuchając muzyki i baśni kompanów z tawerny, konstruował realistyczne cuda. Co jeszcze miał napisać, otwierając kolejną przestrzeń, zabrał ze sobą w zaświaty jako porozrucane kartki.

Świat Gabo to zbiór reportaży o nocnych opowieściach przemytników i rybaków z tawerny Siedmiu Przeklętych Dusz. Oto przykład, źródło kilku powieści:

...zły charakter rozwiązłego męża. Matka opowiadała nam, że wrócił on pewnej nocy do domu oszołomiony alkoholem, chwilę po tym, jak jedna z kur zrobiła kupę na stole w jadalni. Nie mając czasu, żeby wyprać bielutki obrus, małżonka zdołała nakryć kupę talerzem tak, by mąż niczego nie zauważył, i zadała mu to samo co zawsze pytanie:

– Co chcesz jeść?

Mężczyzna warknął:

– Gównno!

Żona podniosła więc talerz i powiedziała ze swoją anielską łagodnością:

– Proszę bardzo.

Pięć centavos

Popatrzmy, jak to przerobił na prozę:

– *Co możemy zrobić, jeżeli nie uda się niczego sprzedać – powtórzyła kobieta.*

– *Tego samego wieczoru wypłacą dwadzieścia procent.*

– *Jeżeli kogut wygra.*

– *To kogut, który nie może przegrać.*

– *Ale wyobraź sobie że przegra. Co będziemy jedli przez ten czas?*

Odepchnął ją energicznie.

– *Powiedz mi co będziemy jedli?*

Trzeba było siedemdziesięciu pięciu lat – siedemdziesięciu pięciu lat życia, minuty za minutą, żeby pułkownik doczekał tej chwili. Poczut się czysty, kateryczny, niepokonany, gdy odpowiedział:

– *Gównno.*

Pomysł na *Nie ma kto pisać do pułkownika*, mikropowieść, z którą nosił się osiemnaście lat, przyszedł mu do głowy na bazarze, kiedy zwrócił uwagę na starszego mężczyznę, który przyglądał się rybie na straganie i odszedł, nie kupił. „Nie” w tytule używane jest niezmiernie rzadko. Jedna z zasad relacji nakazuje rezygnację z „nie” zawsze kiedy to możliwe, bo „nie” wprowadza w błąd. Jeśli coś się *n i e* zdarzyło, to o tym *n i e* piszemy. Czy napisalibyśmy powieść pod tytułem *Komu n i e bije dzwonek*?

Ryba na bazarze w portowym miasteczku kosztuje 5 centavos. Przekleństwo pięciu centavos prześladowało Garcie do dnia nagrody Nobla, kiedy wreszcie mógł sobie kupić to, na co miał ochotę. Wcześniej, kiedy wybrał się był dumny po gazetę z pierwszym opowiadaniem, jakie mu wydrukowano, odszedł od kiosku jak starzec od ryby. Kosztowała 50 centavos, a on miał tylko 45. Chciał bardzo napić się piwa w „Katedrze”. Kosztowało 50 centavos. Miał tylko 45. Kiedyś napisał ważny list do wydawcy. I chciał go wysłać jak najszybciej. Znaczek kosztował 50 centavos. On miał tylko 45.

Starzec *n i e* kupił, bo *n i e* ma kto do niego pisać. Pisać o tym, że wreszcie przyznano mu rentę i dostanie pieniądze, niewielkie, ale dla niego ogromne, wystarczające na rybę, która ocali mu przed garnkiem koguta, potrzebnego do walki w najbliższą niedzielę. Na opis starca, który odchodzi od straganu, dziennikarz potrzebuje pięciu minut. Ale nawet i to za dużo – po co pisać do gazety, kiedy ona przecież i tak tego nie weźmie. Opowiadania nie było po co robić, bo reportażu w Kolumbii wtedy jeszcze nie znano. A na powieść pisarz potrzebował osiemnastu lat.

Starzec to dziadek pisarza, a dziadek to pułkownik Márquez, czyli Buendía, również właściciel koguta, też pułkownik. Kolejne inkarnacje. Jeśli reportaż nie jest znany jako gatunek, to trzeba sięgnąć po techniki powieściowe. Niewielka różnica.

Bazar to temat na inne *n i e*. Jedni kupują, inni *n i e* kupują. Ale czasami kupują, bo idzie katastrofa. Przygotowania do katastrofy trwają wtedy, kiedy *n i e* kupują, ale wierzą, że w końcu kupią. Pewien młodzieniec wyszedł z domu do miasteczka i zdziwił się, że jest pusto. Wrócił i powiedział o tym matce. Tymczasem

¹ GGM Wariacje w: *Morze utraconych opowiadań i inne felietony* Muza, Warszawa 1992, s. 541.

było pusto, bo powiedziała rano sąsiadce, że śniło jej się, że wydarzy się coś strasznego. Poszła do rzeźnika kupić funt mięsa, na wszelki wypadek. Poszła a rzeźnik pyta – dlaczego? Nigdy pani nie przychodzi do mnie. – Bo coś strasznego się zdarzy, powiedziała. I poszła, ale wróciła po drugi funt. Za chwilę przyszła sąsiadka i kupiła cztery funty, bo coś strasznego się zdarzy. Rzeźnik sprzedał w mig całe mięso i zabił drugą krowę. Też sprzedał. Kiedy chłopiec wyszedł z domu, miasteczko opuszczał ostatni mieszkaniec, bo coś strasznego się zdarzy.

Opowiedzmy tę historię jeszcze raz, w wersji veg dla hindusów. Pewnego ranka matka powiedziała synowi: miałam sen. Śniło mi się, że dziś w miasteczku stanie się coś strasznego. Nie zrobiło to wrażenia na chłopcu, ale podczas rozmowy z kolegami wygadał się, że jego matka miała sen: że dziś w miasteczku zdarzy się coś strasznego. Opowieść chłopca nie zmała ich spokoju, ale kiedy wrócili, każdy do swojego domu, nęciła ich chęć opowiedzenia rodzicom i rodzeństwu, że dziś w miasteczku stanie się coś strasznego, bo tak przyśniło się matce ich kolegi. Rodzice i braciszkiwie oraz siostry rozszedłszy się po miasteczku zaczęli opowiadać, każde swojemu znajomemu, że matka jednego chłopca miała okropny sen. Śniło jej się, że dziś w miasteczku stanie się coś strasznego. Zebrali się na ryneczku i każdy każdemu potwierdził, że słyszał, że jedna matka miała sen, że dziś w miasteczku stanie się coś strasznego. Potem wszyscy rozeszli się do domów i zaczęli chyłkiem pakować swoje rzeczy, a potem pojedynczo wymykać się z miasteczka, w którym dziś zdarzy się coś strasznego. Kiedy matka chłopca wyszła z domu do miasteczka, na ulicach ani na ryneczku, ani w domach nie było żywego ducha...

Temat wędrujący pojawia się u Gabo nieraz. Napisał felieton, który czytałem w „Juventud rebelie” na Kubie, że do Czechosłowacji wrócił po kryjomu emigrant z walizką dolarów i zamieszkał incognito w pensjonacie własnej matki, która go nie rozpoznała. W nocy wraz z córką ucięły mu głowę, żeby zabrać walizkę skarbów. Czy matka nie może poznać syna? Nabrał się na ten temat wcześniej Albert Camus, a przed nim Karol Hubert Rostworowski (*Niespodzianka*). Historyjka jako ballada kramarska sprzedawana była na bazarach środkowej Europy, stąd u Gabo Czechosłowacja. W XVII wieku znana była w Pułtusku, co odkrył profesor Julian Krzyżanowski. Gabo pogubił się w felietonie na jej temat. Zamienił ją na dwie inne.

Pierwszy to opowieść znana mu od wielu „naocznych świadków”, którzy zapewniali, że zdarzyła się każdemu z nich z osobna. Jechali ciężarówką zbliżając się do zakrętu, na którym stała atrakcyjna kobieta w eleganckim kostiumiku. Byli pewni, że ją widzą, że macha ręką. Każdy się zatrzymał, każdy wziął ją do kabiny i każdemu po minięciu zakrętu nagle zniknęła z fotela. Tymczasem po sprawdzeniu, bo każdy pozostał pod wrażeniem, okazało się, że kobieta w atrakcyjnym kostiumiku, ubrana dokładnie tak, jak widzieli, zginęła w tym samym miejscu w Meksyku i w Hiszpanii, lecz miesiąc wcześniej. W tym samym felietonie zaniósł Garcíę aż do Afganistanu, gdzie przytrafiła mu się opowieść z tysiąca i jednej nocy, które się zdarzają, owszem, lecz w sąsiedniej Persji. Pewien młodzian zakochał się bez pamięci w najpiękniejszej kobiecie świa-

ta, lecz miejscowej. Dążył do małżeństwa. Gabo nie wiedział, że w Afganistanie posag płaci rodzina nie mężczyzny, lecz kobiety. Gdyby to wiedział, historia by mu się nie udała. Doszło do ślubu pod warunkiem, że mężczyzna zachowa całkowitą oziębłość. Jeśli Latoryn pisze o czymś takim, to jasne, że akcję musi wynieść daleko poza swój kontynent. Którejś nocy odkrył, że kobieta wychodzi po kryjomu i w sąsiednim domu spotyka się z kochankiem. Więc rzecz nie może dziać się w Afganistanie. Mężczyzna zaczął się ścierać głowę kochankowi. Kobieta zareagowała brakiem reakcji. Żyli długie lata. Powiła mu nawet potomków. Którejś nocy obudził się i ku swej trwodze zobaczył, że synowie leżą z obciętymi głowami, a najpiękniejszej żony świata nie ma... Na puentę Gabo pyta, czy nie wiemy, kto to napisał, bo jemu się zdaje, że może on, a może nie on.

Tłumaczy go wrażliwość na iluzje. Jehanara Wasi mówi o tym tak: „Wszystko w jego książkach ma swoje źródło, które potrafi zidentyfikować; wie, co mu się kojarzyło z każdym obrazem i w jaki sposób je łączył”².

Felieton jako korespondencja zagraniczna

García Márquez zaczynał od felietonów, które nosiły wspólny nadtytuł *Żyrafa*, trochę dlatego, że zwierzę ten ma najrozleglejsze pole obserwacji, a trochę z powodu graficznego kształtu tekstów. Drukował *Żyrafy* w piśmie „El Heraldo” wydawanym w Baranquilli. Pierwsza ukazała się w styczniu 1950 r. i była podpisana kryptonimem Septimus³. Felietony mówiły o wszystkim, o czym później była jego proza – o wyborach człowieka zeszłego wieku, o Evicie Perón, którą mąż, pułkownik (rzecz jasna) Juan Domingo chciał kanonizować, za co Watykan wyklął go tak samo, jak później Fidela Castro. O czterech „wesolych wujkach” to jest Eisenhowerze, Mołotowie, Edenie i panu Faure, etc.

W Polsce wyszły dwa tomy felietonów, będących jednocześnie korespondencjami zagranicznymi, komentarzami i pomysłami na powieści, których nigdy nie zaczął. Ucząc się na tych tekstach czeladnik dziennikarstwa powinien spróbować napisać felieton, który jest reportażem, który jest opowiadaniem, który jest esejem, który jest początkiem książki.

Na początku lat 50., kiedy był korespondentem w Europie, pisał przede wszystkim recenzje filmowe i kryminały z Watykanu.

Do felietonu powrócił w roku 1980. Zaczynał pisać o dziewiątej rano, a kończył o trzeciej po południu. Felieton musiał być gotowy na piątek. Na biurku, na którym pisze się felieton, leży mnóstwo luźnych notatek, kartek, czyli „felietonów”, ale Gabo musiał wiedzieć dzień wcześniej, zanim poszedł spać, o czym będzie felieton, inaczej by nie zasnął. Raz w Panamie, zajęty rozmową z generałem Torrijosem, dyktatorem o ludzkiej twarzy, chciał poddać się i odwołać felieton, ale wyrzuty sumienia zmusiły go do napisania. Dobrnął do puenty, po której nastąpiła prawdziwa puenta. Felieton w felietonie. Jak w utworze szkatułkowym. *Rękopis w Saragossie znaleziony w Saragossie* w rękopisie znalezionym w Saragossie. Może dlatego, że biblia języka hiszpańskiego, *Don Kichot z*

² Jehanara Wasi *Marquez: the myth maker* (tak w oryginale) w: „Link” October 12, 1986.

³ Dagmar Ploetz *Gabriel García Márquez*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1997 s.29.

Manczy też jest powieścią szkatułkową. Mniejszy, pierwotny felieton powstał na papierze, a większy – w rzeczywistości. Gotowy tekst dał Gabo Torrijosowi. Ten wystął samolot z bazy, gdzie biesiadowali, do stolicy, skąd z lotniska cywilnego helikopter zawiózł trzy kartki do pałacu prezydenckiego. Stamtąd wysłano łącznością szyfrową tekst do ambasady Panamy w Paryżu, z poleceniem, aby ambasador przekazał tekst bezzwłocznie do korespondenta kolumbijskiej gazety w Meksyku. Stamtąd wreszcie felieton trafił do Bogoty, gdzie czekało na niego miejsce na kolumnie. Panama, czyli miejsce narodzin tekstu leży przy granicy z Kolumbią, gdzie tekst znalazł swój grób. Wydrukowano go następnego dnia po podróży dokoła świata oraz szyfrowaniu i dekodowaniu słów, żeby potem ktoś nie czytając zawinął węń rybę na bazarze.

Felieton pisze się sześć godzin, czyli bardzo długo, a opowiadanie wymaga czasem dwudziestu lat i to n i e zawsze wystarczy. W zbiorze felietonów, który nosi tytuł *Morze utraconych opowiadań*, znajdujemy potwierdzenie odkrycia, że Gabo pisze nawet wtedy, kiedy nie pisze. To tak samo trudne jak picie wtedy, kiedy się nie pije.

Magia tysiąca i jednej mocy

Felieton Gabo może być i jest czasami baśnią. Żadna z nich nie zaczyna się za górami za lasami, bo cudowny świat znajduje się na Karaibach, nie trzeba go szukać daleko. Wystarczy opisać i już mamy realizm magiczny. Magia to przednaukowa nauka, realizm to szkoła opowiadania baśni, przekaz przed-papierowy, przed-książkowy, przed-gazetowy. To sztuka narracji.

W baśni musi być powiedziane-opowiedziane, jak to był sobie król. To „sobie” oznacza świat przestrzenny, jak pudło sceny teatralnej, będący wyłączną własnością narratora. Był s o b i e król oznacza, że był on nie tobie i nie jemu.

W baśni musi być powiedziane, jak w depeszy i w reportażu, co się stało. Był sobie nie jest odpowiedź. Kiedy to się stało, on już był. I za chwilę przejmie od narratora, Wszechboga, moce sprawcze. Księga *Z tysiąca i jednej nocy* jest rzecz jasna baśnią szkatułkową. „Gdy człowiek stał na bazarze, zatrzymała się przy nim kobieta”. „I zdarzyło się, że moja matka urodziła mnie...”. „Ojciec mój zmarł, a ja objąłem po nim władzę”. W żadnym przypadku narrator nie informuje, kto to widział. Widział tylko on, ale o nim nic nie wiemy.

„Był sobie raz człowiek...”, „Był sobie oświetlony transatlantyk...”, „Był sobie staruszek ksiądz...”. „Był sobie socjalistyczny premier”... Socjalistyczny premier, znaczy Felipe Gonzalez. Czy jest gdzieś baśń socjalistyczna?

„Był sobie raz taki świat, a nawet jeszcze więcej, żeby tylko dostojni goście nie zapomnieli, że znajdują się w zaczarowanym i olśniewającym raju Karaibów...”. To jest odpowiedź na konieczne pytanie, jakie trzeba zadać depeszy i reportażowi: gdzie to się stało? Kiedy już wiemy, co się stało i że nikt tego nie widział i że wiemy gdzie się stało, to zapytajmy jeszcze – o co nie pytamy w reportażu – jak to się skończyło jeśli się skończyło. Przecież puenta, jak to już wiemy z baśni o Torrijosie, nie oznacza, że opowieść jest skończona.

Większość baśni kończy się zupełnie inaczej niż reportaż. „I żyli długo i szczęśliwie”. W reportażu żyje

się krótko i nieszczęśliwie. *Bad news - front page story*. I nawet jeśli finał baśniowy brzmi pięknym akordem C-dur, to za chwilę rozlegnie się paskudny b-moll. „i żyli w nieustającym szczęściu, aż przyszła do nich ta, która przerywa rozkosze i rozdziela więzi”. W baśniach Wschodu nie ma happy endów. „Odwrocił się od osła i odszedł”. „Kiedy usłyszała wiadomość o śmierci mojej córki, też umarła”, „Pan zesłał pioruny, zabił starców”⁴.

U Gabo każda proza jest rozgrzebanymi notatkami z niewysiedzianych do końca wykładów i każda przekształca się w baśń, która opakowana jest w swoją własną formę. Nie musi się już potem nad tą formą myśleć.

Kino

Gabo zainteresował się reżyserem Littinem, który został bohaterem jego chilijskiej opowieści. Poszukiwany listem gończym Pinocheta spacerował przed nosem dyktatora w pałacu La Moneda, kręcąc bezczelnie film i nie zwracając uwagi generała na swoją hałaśliwą obecność za kamerą. Otóż Littin kręcił film, którego produkcja jest sama w sobie filmem (szkatułkowym?). Nikaragua dała jedyny helikopter, jaki miała i jaki się w trakcie zdjęć rozbił. I jedyną tankietkę. Kuba dała operatora Herrere znanego z *Lucii*. Aktorzy amerykańscy zagrali za darmo, a 13-letni chłopiec naturszczyk bez przerwy spadał z drzewa, bo uczył się latać. Oddziały wojsk nikaraguańskich szły z planu do prawdziwego boju, a potem wracały w innym składzie i z inną bronią, więc trzeba było kręcić od nowa. Ale nie udawało się, bo operator miał wylew krwi do mózgu. Aktor grający sierżanta Somozy był tak doskonały, że wieśniacy go zabili, bo myśleli, że jest to sierżant Somozy.

U Gabo też mamy czasem koniec bez happy endu. Dwaj ministrowie spraw zagranicznych, ksiądz d'Escoto i jego kolega z Hondurasu przyjęli na tej samej mszy świętej komunię, a ich armie szykowały się tymczasem do ataku jedna na drugą.

Uczył pisanie scenariuszy w szkole filmowej, którą był założył w Hawanie. Jedzie się do niej z centrum ponad pół godziny. Leży dalej niż na peryferiach. Gabo zawsze chciał mieć taką szkołę, zwłaszcza że w przeszłości był recenzentem, ale także scenarzystą, aktorem, a nawet producentem. Po nagrodzie Nobla rozmawiał z Fidelem o potęgze kina większej od literatury. Mówili jak gdyby językiem Lenina, ale i Mussoliniego. Fidel chciał mieć taką szkołę, lecz latynoamerykańską.

Gabo nigdy nie był komunistą i wierzył, że Fidel też nim nie jest. Rozmowy o szkole filmowej prowadzili, wiedząc, że w budynkach, jak studia berlińskie, Cinecitta i Mosfilm kręcono filmy służebne, faszystowskie, hitlerowskie i stalinowskie. Włoska szkoła neorealizmu na gruzach faszyzmu to jedna rzecz, Leni Riefenstahl z kolei i jej apologia rasy – mistrzostwo dokumentu to rzecz druga, a Sergiusz Einsenstein, mag-arcy-mistrz, który kłamstwo o szturmie na Pałac Zimowy przekształcił (*Pancernik Potiomkin*) w fascynujący mit o rewolucji to rzecz trzecia i najświetniejsza.

Gabo i Fidel chcieli mieć szkołę, która robiłaby wszystkie trzy piękne rodzaje filmów. I mają. Ale nie mają odpowiedników Felliniego i Bertolucciego, ani Leni ani Eisensteina. Gabo jako klasyk musiał na miejscu wystarczyć. Od władz kubańskich dostał ziemię

⁴ Wszystkie cytaty i odniesienia za *Księga tysiąca i jednej nocy*, PIW, Warszawa 1987.

i wsparcie w postaci mikrobrigad, które wybudowały kampus. Zatrudnił tam siebie i gości. Szkoła ruszyła 15 grudnia 1986 roku. Pokoje hotelowe dla studentów, pojedyncze, szpitalik, kafeteria, stołówka, hotel dla wykładowców, sale wykładowe, sale montażowe, sprzęt do wszystkiego od kamer na celuloid po przegrywarki cyfrowe. Biblioteka i filmoteka, wszystko co nakręcono na świecie. Na studia trzyletnie można dostać się po zaliczeniu dwóch lat uniwersyteckich. Płaci się 1500 euro za trzy lata nauki, które dają dyplom.

Kiedy Gabo był już znanym i sławnym, a znanym i sławnym był zawsze, korzystał ze sławy, żądając za wywiady ogromnych sum, które przeznaczał na funkcjonowanie placówki. Szkoła wydała jego podręczniki, a w gruncie rzeczy zapisy z warsztatów scenariuszowych *Jak opowiada się opowiadanie*. Uczestnicy seminarium przedstawiali anegdotę, zazwyczaj rozbudowaną do rozmiaru półgodzinnego filmu. Chodziło mu o pomysł. A potem, jak na konwersatorium, wszyscy mieli tyle samo do powiedzenia – zarówno studenci, jak i Gabo. Wypowiedzi notowane są i autoryzowane, i układają się w listy dialogowe osób uczestniczących w procesie pastwienia się nad pomysłami. Przy czym nie ma złośliwości, a jest dociekliwość. Dociekliwy był zwłaszcza Gabo.

Pierwsze opowiadanie to *Sobotni złodziej*. Bohaterem jest facet, który włamuje się i kradnie tylko pod koniec tygodnia. Ale właściwym bohaterem tej opowieści jest zadatek na miłość. Właścicielka domu, piękna kobieta z trzyletnią córeczką spędza czas sama, bo mąż jest ciągle w podróży za interesami. Złodziej wtargnął z rewolwerem w ręce. Córeczka widzi go, on uwodzi dziecko za pomocą różnych sztuczek prestidigitatora. Ubiera spodnie męża. Cięcie. Bohaterka przygotowuje kolację, nalewa wino i wysypuje proszek nasenny do jednego z kieliszków. Sama wypija przez pomyłkę to, co miał wypić złodziej, i zasypia. Rano budzi się ubrana, a złodziej z córeczką zabawiają się w ogrodzie, gdy tymczasem zbliża się godzina powrotu męża. Umawiają się na następny weekend, złodziej oddaje zrabowaną biżuterię i popada w zachwyty, bo okazuje się, że kobieta prowadzi znaną audycję muzyczną w radiu, której namiętnym słuchaczem jest on sam. Tu słyhać echa kariery radiowej Evity Peron, bohaterki radiowych seriali w czasach, kiedy nie było jeszcze telewizji. Przepelniony radością opuszcza napadniętą i tańczy na ulicach do zmroku.

Gabo jest precyzyjny w krytyce: To historia napisana przez mężczyznę, ale z punktu widzenia kobiety. Mówi: „Dobrego autora poznaje się n i e po tym, co zostało mu na papierze, a po tym, co wyrzucił do kosza. Żeby pisać dobrze, trzeba być przekonanym, że pisze się lepiej od Cervantesa. Inaczej rzecz napisana będzie gorsza, niż w rzeczywistości jest”. *Złodziej* mu się podoba, bo nie przypomina niczego, co wcześniej czytał albo oglądał.

Ale zapomniał, że sam napisał kiedyś opowiadanie *W tym mieście nie ma złodziei*. Studentka z Brazylii opowiada historię półgodzinną, która trwa półtorej godziny, a dyskusja z Gabo – pięć godzin. Wszystko zapisane w formie dialogów, które układają się w dramat sceniczny rozgrywany przez dyskutantów. Można by to wystawić w teatrze, tym bardziej że rzecz dzieje się między innymi w teatrze. *Pomyłone miłości*. Rzecz

rozgrywa się w Rio de Janeiro. Sławny aktor Enrique i potajemnie zakochana w nim śliczna aktorka Teresa próbują odważną scenę. Po próbie Enrique zaprasza Tere do swojego apartamentu. Słuchają muzyki, piją *caipirinho*. Coś wisi w powietrzu, ale nie iskrzy. Czas płynie bez pocałunku, bez pieszczoty, bez najdelikatniejszego dotknięcia. Tere zastanawia się, kiedy on wreszcie zacznie i czy to, że tego nie robi, to przypadkiem nie jej wina. A tu aktor wyznaje, że jest gejem. Aby nie stracić szansy, aktorka przemienia się w chłopca. Obcina włosy, uczy się chłopięcych zachowań.

Gabo przerywa i mówi: „Oto jest historia. Film powinien się zacząć od wielkiej, namiętnej sceny miłości między Enrique i Tere. Ale natychmiast mamy wrażenie, że to scena teatralna. Że oni g r a j ą scenę miłości. W twojej historii nie zbliżenie jest ważne, a oddalenie, wręcz separacja. Niemożność skonsurowania tego uczucia. To cud, wymyślamy życie”. Zgadzą się wszyscy, że to dramat frustracji, choć Gabo nie ma niczego przeciwko szczęśliwemu zakończeniu. Enrique: „Nie próbowałem jeszcze z kobietą, ale z tobą chcę”. Gabo przerywa: „To jest opowieść z punktu widzenia kobiety. To ona dyryguje wszystkim. Chce być chłopcem, żeby mu się oddać. To wszystko. Nie możemy prowadzić narracji jednocześnie z dwu punktów widzenia – jego i jej”. Teraz pytanie: Jeśli ona pojawi się jako transwestytka (dziwne – dziewczyna w chłopca się n i e przemieni), a on jej nie rozpozna, to co? Gabo mówi: „Ona idzie do baru, będąc chłopcem doskonałym. Pięknym. Enrique przechodzi obok, n i e zwracając na nią uwagi. Bo ten »chłopiec« mu się n i e podoba”. Tu studentka z Kolumbii o wdzięcznym nazwisku Socorro, czyli „Ratunku”, wkracza z tezą, że „Niebo zamyka się w miejscu, w którym się otworzyło”. Studentom nie podoba się to rozwiązanie. Wolą, żeby Enrique albo ją zdobył, albo stracił. Negocjuje Gabo: „Zdobyc? To łatwiejsze. Ale bohater jest powierzchowny, jeśli obcięcie włosów na chłopca wystarczy dziewczynie, by go posiąść. Pamiętajcie, że Tere nie przekształca się w chłopca”.

W warsztatach Gabo, jak w jego prozie (bo w dziennikarstwie już nie) nie ma żadnej polityki. Trzy tomy transkrypcji warsztatów – ani jeden o władzy. Wszystkie o miłości. Reżim autorytarny nie zna miłości. Ale Szkoła Gabo w Hawanie bardzo lubi miłość, bo Latynosi ją uwielbiają mimo wszelkich totalitarnych gorsetów.

Natury Karaibów nie pokonasz.

Na wojnie bez zmian

Gabo nigdy nie był na wojnie. Ale pisał korespondencje wojenne. W jednej z tych opowieści brali udział żołnierze Wschodu, Gurkowie. Walczyli jak zwierzęta o angielskie Falklandy czyli argentyńskie Malwiny. Korespondencja wojenna z drugiej ręki, rzecz praktykowana od lat, bo na wojnach miejsc do obsługi mało (wojsko nie lubi mediów), a chętnych do pisania bardzo dużo, zyskała dzięki Gabo szlachectwo jako metoda. Oto felieton Gabo: Żołnierz wrócił z frontu. Zatelefonował do matki, że chce przyjść z przyjacielem, który stracił nogę, rękę i wzrok. Nie, przyjdź sam, powiedziała matka, tłumacząc że nie zniesie takiej makabry. Żołnierz zastrzelił się, bo to on sam właśnie stracił nogę, rękę i wzrok.

Rekruci argentyńscy wysłani zostali w tenisówkach na wyspy, gdzie temperatura spada poniżej minus 30 stopni Celsjusza. Niektórym amputowano stopy przymarznione do butów. Dziewięćdziesięciu wykastrowano z powodu odmrożeń. Pięciuset straciło wzrok, bo nie dano im okularów ochronnych. Pięćdziesięciu jeńców przeszło operację odbytu z powodu gwałtów popełnionych przez Anglików.

Gurkhowie szli do ataku, wrzeszcząc i obcinając głowy, a głowom uszy. A kiedy zabrakło żołnierzy z Argentyny, wzięli się do dekapitowania swoich kompanów i dowódców, Anglików. Może wystarczy? Kiedy wyjęty nóż kukri nie utoczył krwi przeciwnika, Gurkha zanim włoży go do pochwy, obcina sobie palec. Tu nie ma narracji. Wiadomo tylko, gdzie to się stało i kiedy. A co się „stawało”, czytamy po kolei, jak w menu. Gdyby Gurkhowie poszli przeciwko talibom w Afganistanie, wojna dawno by się już skończyła. Nie ma takiego żołnierza, który chce stanąć w polu naprzeciwko Gurkhom.

Pierwsze swoje korespondencje wojenne pisał Gabo z Hiroszimy i z Korei. Naocznego świadka ataku atomowego znalazł w osobie jezuitę Pedro Arrupe, Baska, który znajdował się wtedy w Japonii.

W Hiroszynie wojny nie było. Jedyna bomba została zrzucona na miasto i jego mieszkańcy mieli powody przypuszczać, że chodzi o przypadkowe i pozbawione konsekwencji bombardowanie.

Wszyscy mieszkańcy byli wyznawcami Buddy (żyć i daj żyć innym – KM).

„Uderzył mnie błysk podobny do tego, jaki daje flesz fotografa”. Nastąpił straszny wstrząs. Olbrzymie płomienie stumetrowej wysokości broniły wejścia do miasta.

Ani ojciec Arrupe ani Garcia nie potrafili tego opisać. Hiroszima dowiodła, że nawet największe dziennikarstwo jest zbyt „małe”, żeby dźwignąć temat tej miary i wagi. W antologii tekstów na temat wojny bardziej „czytały się” reportaże Williama T. Laurence z „New York Times” (9 września 1945). Reporter leciał bombowcem nad Nagasaki. Od bomby atomowej zginęło tam 35 tysięcy ludzi. Dziś powiedzielibyśmy, że niewiele.

Lepiej chyba opisuje się nie to, co się stało, lecz to, co się może stać. W tekście o tym, co się stało, nie ma miejsca na fantazję, jest tylko zbiór suchych faktów, czyli „nauka”. Czytelnik potrzebuje miejsca na własną wyobraźnię, czyli literaturę. Einstein rozmawiał tylko z takimi studentami, którzy pytali „jak to się stało (stawało raczej)?”. Pytanie „dlaczego?” nie obchodziło go zupełnie. Czytelnika natomiast bardziej zajmuje motywacja niż rozbieranie i składanie mechanizmu, które jest zajęciem dla majsterkowiczów. Film Jamesa Marsha ze zdjęciami Igora Martinovicia z BBC o francuskim wariacie Philippe Petit, który rozciągnął po kryjomu linę łączącą obydwie wieże World Trade Center, a potem po niej chodził bez żadnego zabezpieczenia, bardziej działa na widza, podsuwając myśl o tym co się może stać, niż lektura początku *Biblii*. Reportaż anglosaski bliższy jest początkowi *Genesis* i pytaniu Einsteina, natomiast reportażowi latynoamerykańskiemu (do którego zaliczam też Fallaci, Pereza-Reverte i Kapuścińskiego oraz film o linoskoczku z Paryża) bliżej jest do milczenia będącego dziurą na wyobraźnię oraz do pytania „dlaczego?”, od którego zaczyna się reportaż zeseizowany. Zwróćmy uwagę na fakt, że w podręczniku Reutera podane są pytania „kto (zrobił?)”, „co?”,

„kiedy”, „jak?”, „kto to widział?”. Ale nie ma pytania „dlaczego (to zrobił?)”. Pojawia się ono natomiast dopiero w kwestionariuszu socjologicznym Laswella o powody i skuteczność przestania.

Nie ma powodu, aby znęcać się nad kolumbijskim dziennikarzem, który pochodzi z kraju, gdzie wojna trwa wiecznie, skoro on sam na wojnie nie był nawet w domu. Gdyby patrzył na tworzenie świata – co by napisał, jeśli nie najstawniejsze zdanie w literaturze „Na początku stworzył Pan Bóg niebo i ziemię”. No i cóż się takiego stało? Czy to takie wielkie dziennikarstwo?

Lepiej mu poszło z wojną w Korei. Biedni chłopcy pojechali bronić kraju, którego nazwy nigdy nie słyszeli. Przywitał ich prezydent Li Syng Man, który nazwę Kolumbii wymienił po raz pierwszy i ostatni w życiu. Wrócili z zawrotną kwotą trzydziestu dolarów, które każdy z nich otrzymywał miesięcznie. Tysiąc osób razy półtora roku. Była to góra pieniędzy. Wojnę zapamiętali jako czystą bieliznę, dobre jedzenie i dużo gumy do żucia. A także pięć dni wolnego w Jokohamie z japońską przyjaciółką, której mogli płacić nie bojąc się, że wydadzą pieniądze potrzebne jutro rano na mleko dla dziecka.

Wojna na prawdziwym froncie była w Korei koszmarem i apokalipsą. Bitwa o łysy pagór, który zdobyli Kolumbijczycy, wykoleiła się reporterowi w groteskę. Podobnie było z zamachem Edena Pastory na Palacio Nacional w Managui, gdzie sandiniści położyli plackiem na podłodze w sali obrad parlament Somozy *in corpore*, nie zamierzając deputowanym robić nic złego.

Opis drugiej strony lustra zależy nie od lustra. W Hiroszynie zbito się. W Korei było malutkim szkiełkiem. Nie lustrem, a oknem, okienkiem raczej. Nie ma takiego lustra, nawet stłuczonego, które by czegoś nie odbijało. I nie ma takiego okna, za którym by czegoś nie było.

W barcelońskim wydaniu dzieł wszystkich Garcii *Obra periodística*⁵ znajdują się nie tylko arcydzieła.

Korespondencję z wojny domowej najlepiej pisze się w Kolumbii: „Było nas pięciu zabitych”.

Dystans

Kiedy Gabo pisze o dawnym domu, mamy wrażenie, że opisuje kraj, którego już nie zna. Na przykład opowiada o festiwalu pieśni *vallenato* w Aracataca, gdzie spędził dzieciństwo. Są to wrażenia szkatułkowe – własne, ale obdarzył nimi Holendra z telewizji. „Ekipa telewizji holenderskiej, która rejestrowała bez przerwy każdą minutę tej imprezy, wyjeżdżała pod tak wielkim wrażeniem, że chyba na długo zapadnie im to w pamięć. Nie mogli pojąć, że w tym potwornym świecie istnieje takie miejsce, gdzie domu nigdy się nie zamyka i każdy, kto ma ochotę, może wejść i najeść się o każdej porze dnia i nocy; kto poczuje się głodny – zawsze znajdzie nakryty stół, a kto jest senny – prześpi się o każdej porze, gdzie zechce, bo zawsze gdzieś znajdzie zawieszony hamak. I wszystko to bez minuty, bez ułamka sekundy ciszy w przestrzeni wibrującej bez wytchnienia muzyką”⁶.

Amerykę Łacińską opisuje z dotyku (z autopsji, czyli sekcji zwłok). Ale poznał ją z dystansu, to znaczy z Paryża.

⁵ Gabriel García Márquez *Obra Periodística* Recopilación y prólogo de Jacques Gilard Narradores de Hoy, Barcelona 1982.

⁶ GGM *Morze utraconych opowiadań i inne felietony*, Muza, Warszawa 2000 s. 455-6.

Z takim samym dystansem patrzył z Aracataki na Bogotę, w której czuł się cudzoziemcem, bo to miasto kultury hiszpańskiej, proste, szare i czyste. Tak ją widział! Jego świat to duch starych religii po części z Afryki, po trochu z Andów i z pirackich Karaibów. Świat bliższy Kuby, Portoryko i Brazylii, który opisywał jego wielki rodak Germán Arciniegas⁷.

Gospodynie domowe z La Sierpe wychodzą po zakupy wtedy, kiedy ktoś umrze. Czuwanie nocne jest w okolicy aktem centralnym z punktu widzenia działalności handlowej, społecznej, ponieważ mieszkańcy nie mają innej okazji, aby spotykać się, zbierać i gromadzić się dla rozrywki niż taki, której ewentualnie dostarczy śmierć znanej osoby. Człowiek jest w związku z tym malowniczym i pełnym zgiełku spektaklem jarmarczonym, gdzie nieboszczyk staje się przypadkowym, dygresyjnym i najmniej ważnym elementem.

Kiedy człowiek umrze w La Sierpe, dwaj inni ludzie wyruszają w dwóch przeciwnych kierunkach: jeden do La Guaripa, żeby kupić trumnę, drugi w stronę mokradeł, żeby rozpowszechnić wiadomość. Przygotowania zaczynają się w domu od porządków na podwórku i rozważań, jakie powody mają przeszkodzić tej nocy i w ciągu ośmiu następnych wolnemu ruchowi gości. W najbardziej odległym rogu, na dwu deskach umieszczonych wprost na ziemi kładzie się nieboszczyka, aby zawadzał jak najmniej. Ludzie zaczynają schodzić się pod wieczór. Idą wprost na podwórko i rozkładają pod parkanem stragany z rupieciami i tandetą, smażeniną, naftą, tanimi kosmetykami i zapalkami. Podczas nocy podwórko zmienia się w olbrzymi targ, którego środek tworzy olbrzymia kadź napelniona pędzoną w okolicy wódką. Pływa w niej wiele małych, robionych z zielonej tytkwy, czarek. Śmierć i wódka – to wszystko, czego dostarcza rodzina⁸.

Europa czyli Wschód

W korespondencjach zagranicznych fascynowała Garcíę Márqueza na początku Europa Wschodnia. W Moskwie widział przede wszystkim dziewczęce ręce Stalina, które obejrzymy w *Jesieni patriarchy*. Zresztą *Patriarcha* to tytuł przywieziony z Moskwy.

W Polsce dostrzegł nędzę, książki i księży.

Księża i zakonnice mieszają się z tłumem w porcjach równie znacznych jak w Rzymie. Duchownych spotyka się wszędzie, na politycznych odczytach, na spotkaniach kulturalnych, w księgarniach, gdzie kartkują czasopisma z groźnymi wąsami Stalina na okładce. Na ulicy Marszałkowskiej zdziwił mnie Chrystus w koronie z elektrycznych lampek i ze stopami w płomieniach olejnych kaganków. Niektórzy przechodnie przystawali przed nim na moment, żeby się przeżegnać. Z czasem miałem się przyzwyczaić do tych wizerunków w socjalistycznej stolicy. Obrazy Dziewicy świeżej są roboty. Jednym z pierwszych zrestaurowanych budynków była katedra...

Sprawą główną jest wielka bieda. (...)

Nie sądzę, aby można było tak po prostu opowiedzieć o tej intensywnej działalności studenckiej,

o liczbie księgarń i cenie książek i łapczywości, z jaką czytają Polacy. Na Węgrzech Gabo słyszał: Polska nie jest demokracją ludową. Jest kolonią kulturalną Francji i wszystko co Polacy zrobili, polegało na otrząśnięciu się z wpływów radzieckich.⁹

Do Rosji rozczarował się tak samo jak wcześniej Che Guevara (*yo no qu ero esta mierda para mi pueblo*)¹⁰. Jego lewicowość jest zaledwie nominalną i mimo przyjaźni z Fidelem nie stała się formalną.

Fidel

Ambasador Jerzy Koźmiński – zdaniem Zbigniewa Brzezińskiego najlepszy ambasador Polski w USA od 1918 roku – opowiada o rozmowie z Fidelem, po jego z kolei rozmowie z Gorbaczowem. Mówiąc sam do siebie, choć jak zawsze potrzebował słuchaczy, Fidel w rosnącym przerażeniu nie mógł się nadziwić, że T O mogła być pomyłka? Tylu ludzi zginęło niepotrzebnie? Więc ponad pół wieku to czas stracony? Fidel do dziś nie zna odpowiedzi na te pytania, a są one bardziej złożone niż „co się stało i kto to widział”. Gabo też ich nie znał. Ale odpowiedziałby na nie w książce o Fidelu, którą napisałby, gdyby Fidel (oby żył wiecznie) umarł pierwszy. Co się, jak wiemy, nie stało.

Zapytany, czy n i e chciał zostać doradcą Fidela, skoro tak go po swojemu broni, powiedział, że w Europie politycy przyjaźnią się z intelektualistami, żeby ich eksploatować. Trudno wytłumaczyć Europejczykom, że Kuba to n i e pionek Rosjan. Fidel nie musi eksploatować cudzych intelektów, własnego ma w nadmiarze (tylko nie umie robić z niego użytku). Natomiast Gabo gotów był taką współpracę negocjować. „Chociaż zachowuję dystans do rewolucji kubańskiej, uważam za korzystniejszą pracę wewnątrz niż rolę ciągle aktywnego krytyka z zewnątrz”.

Generał w swoim labiryncie to historyczny dokument napisany ku przestrodze przyjaciela. Apologia tego człowieka pomija na wszelki wypadek przypadki zbrodni na masową skalę popełnione z rozkazu Bolívara. Nie wypada, bo Fidel, *todas las proporciones guardando*, wszelkie proporcje zachowawszy, ludobójcą nie jest.

Kolumbijski dziennik „El Tiempo”, przepętężna – zdaniem Gabo – gazeta, zarzuciła mu fikcję. Gabriela Garcíi Márqueza nie wolno krytykować nawet dziś. Do stałby furii nawet w grobie. Wtedy rozniósł „El Tiempo” w puch odpowiadając, odwrzaskując właściwie w drukującym go zawsze i bez zastrzeżeń meksykańskim odpowiedniku „Time”, „Proceso”, piśmie, które publikowało dwa jego wielkie reportaże z drugiej ręki *Carlota w Angoli* i *Kronikę zamachu na chlew*. Już sam zwrot „z drugiej ręki” uznałby za obelgę, bo to jego reportaże, czy – *puta madre!* – nie jego? „Większość fraz – pisał Gabo – wypowiedzianych przez Bolívara w dialogach mojej powieści pochodzi z jego listów, dlatego nie pojawiają się w cudzysłowach. Ani jedna nie została wzięta od innego autora. Kilka moich własnych

⁷ Germán Arciniegas. *Burzliwe dzieje Morza Karaibskiego*, PIW, Warszawa 1968.

⁸ Gabriel García Márquez, *La extraña idolatrías de La Sierpe*: *Crónicas y reportajes* Subdirección de Comunicaciones Culturales División de Publicaciones, Biblioteca Colombiana de Cultura, Collection Popular, (przypuszczalnie Bogota) 1974, s. 27. Tłum. K.M.

⁹ GGM, *Con los ojos abiertos sobre Polonia en ebullición* w: *De viaje por los países socialistas* Ediciones Macondo, Cali 1978 s. 87 i nast. Tłum. K.M.

¹⁰ Słowa wypowiedziane przez Che Guevarę na lotnisku w Hawanie po powrocie z obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej w Moskwie. „Nie chcę tego gówna dla mojego narodu”. Zaważyły na przyjaźni Che i Fidela a także Kuby i ZSRR.

pełni rolę ornamentów i w żaden sposób nie zniekształca myśli Bolívara¹¹.

Członkowie Akademii Historii w Bogocie zarzucili mu, że wkłada w usta Bolívara słowa *soeces* (nieprzydatne), jak *pinga* (ch...) i *carajo*. W każdym kraju to ostatnie znaczy co innego, od *k...* do *p...* W słownikach w ogóle nie występuje, choć *carajito* może znaczyć również *dziecinka*. Tu zresztą bez słownika *del carajo* (wulgaryzmów) nie da się wyjaśnić, co Gabo sądzi na temat słowników, a zwłaszcza *Słownika języka hiszpańskiego Akademii Królewskiej*. Członkowie Kolumbijskiej Akademii Historii uznali, że książka służy wyłącznie zohydzeniu generała Francisco de Paula Santander, Kolumbijczyk – prawda – bez charyzmy, ale największego sojusznika na polu bitwy, choć także największego przeciwnika Simona Bolívara w polityce (cień relacji Che – Fidel?). Prezes Akademii, Germán Arciniegas, autor 43 książek, w tym dwu na temat Bolívara, powiedział wprost: „To jest prowokacja. Książka próbuje wrócić do mitu Bolívara. Świetnie napisana z techniką i magią bazarza. W tym sensie jest dziełem mistrzowskim. Ale nie jest powieścią, jak on sam mówi. Jest książką historyczną z fałszywą tezą, która wyłożona została z pasją... García Márquez chciał napisać książkę, która posłuży Fidelowi Castro, przyjacielowi rządów totalitarnych”.¹²

Bolívar – przypomnijmy – Wenezuelczyk i erotoman to jedna z najbarwniejszych postaci w historii. Jest bohaterem pięciu narodów: Wenezueli, Ekwadoru, Kolumbii, Peru i Boliwii. Dwa z nich (Wenezuela, która jest oficjalnie Republiką Boliwariańską) i Boliwia odwołują się do niego nawet w swoich nazwach. Tylko tego jeszcze brakuje w Ameryce Fidelowi. Raúl nie zdąży zmienić nazwy Kuby na Fidelia.

Powieść odebrano w Kolumbii jako przyczynek do odwiecznej dyskusji między boliwarystami, mieszkańcami wybrzeża karaibskiego i santanderystami, wyznawcami innego generała, która w Bogocie ma taki sam sens jak u nas debata o powstaniu styczniowym i margrabim Wielkopolskim. Roznieciła odwieczny spór między Kolumbijczykami i Wenezuelczykami.

„El Tiempo” zarzuciło pisarzowi faworyzowanie Wenezueli kosztem Nowej Granady (Kolumbii). Kraje te żyją jak pies z kotem, od zawsze na krawędzi wojny. W planie wewnętrznym boliwarianie to – jak Gabo – ludzie z wybrzeża karaibskiego i nawet, choć mniej, znad Pacyfiku. Santanderyści natomiast to potomkowie ludzi wyżyn i gór. I tu w dyskusji zaczyna się pełna swoboda. Santander był republikaninem, to znaczy liberałem. Bolívar jako zwolennik dyktatury przemysłowej o koronie cesarskiej. Liberałowie i konserwatyści, mieszczenie i latyfundyści, ludzie z tropikalnego piekła i stołeczna elita, różnica między nimi taka jak między mokrą koszulą a marynarką tweedową. Też mokrą, bo w Bogocie ciągle pada. Wojna domowa trwająca sto lat (samotności)...

Pisarz zainicjował dyskusję nie o tym. Lecz na Kubie odbyć się nie mogła, chyba w cztery oczy przy *mojitos* i spaghetti, a w Kolumbii scedowana została na obszar rozważań o błędach historycznych i korektorskich. Gabo wyraził z przekąsem wdzięczność czytelnikom, że poprawiają mu anachronizmy i sugeruje,

żeby każde następne wydanie wprowadzało kolejne korekty czytelnicze, aż „osiągniemy” niedoścignięty wzór poprawności. Jest to aluzja do przeszło 300 listów od członków Akademii, którzy wskazali błędy Gabo. Dodał na marginesie, że korekty autorskie to widać za mało. Praca nad książką zajęła mu trzy lata studiów, miała trzy wersje wstępne i sześć finalnych. I to wszystko w czasach, kiedy nie było laptopów z ich edytorami tekstów. Wszystko na maszynie, jako rękodzieło. „Jak tak dalej pójdzie, za 500 lat poświęcimy prawdę o tym, że odkrył nas Kolumb”.

Generał w swym labiryncie ukazał się 16 lat po ogłoszeniu dwuletniego milczenia, które Gabo nazwał strajkiem literackim. Ogłosił ten protest w związku z zamachem Pinocheta w 1973 roku. Zapowiedział, że zacznie pisać na nowo dopiero wtedy, kiedy generał upadnie. Ale Pinochet rządził i rządził. Gabo nie mógł się doczekać. Za czasów urzędowania dyktatora wyszły ważne dzieła Garcii: *Jesień patriarchy* (1975), *Kronika zapowiedzianej śmierci* (1981), *Miłość w czasach cholery* (1985) i *Generał w swym labiryncie* (1989).

Sława i władza

Jedyną jego powieścią, której wcześniej nie przeżył w rzeczywistości, była *Jesień patriarchy*, rozprawa z władzą. Na jej marginesie przypomniał porzekadło „władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie”. W rozmowie z Apuleyo Mendozą¹³ przypomniał autora tych słów. Jest nim lord John Dalborg-Acton, katolicki historyk, który w liście do biskupa Mandela Creightona z 5 kwietnia 1887 napisał: „Władza prowadzi do zepsucia, a władza absolutna psuje absolutnie. Wielcy ludzie to prawie zawsze źli ludzie”.

Jego własny aforyzm jest kto wie, czy nie bardziej nośny: „Samotność władzy to coś takiego, jak samotność sławy”.

Poświęcił jednej i drugiej – władzy cudzej i swojej własnej stawie – szereg błyskotliwych, jak całe dziennikarstwo Gabo, felietonów. O de Gaulle’u pisał, że ostatni plebiscyt generał ogłosił, wiedząc, że przegra. Chciał zgodnie z konstytucją spełnić marzenie Francuzów. O generalissimie Francisco Franco napomknął, że przez czterdzieści lat płacił dziennikarzom, aby ci, którzy chcą pisać źle, milczeli, a pozostałym, żeby pisali dobrze.

O juncie urugwajskiej, że cichy opór narodu zawsze obali w końcu tyranie. „Urugwaj jest jedynym państwem, gdzie więźniowie muszą płacić za jedzenie, które dostają, za odzież, którą noszą, a nawet za wynajem celi”.¹⁴ W Montevideo na pierwszych kolumnach dzienników pisano wielkimi literami „Viva la muerte”, niech żyje śmierć. Nawiasem mówiąc w ukojonej republice Garcii, Kubie, w rocznicę urodzin Lenina wznosi się zawsze okrzyki „Niech żyje Włodzimierz Iljicz”, choć on nie żyje nawet w ideologii, którą sparał domagając się, aby po rewolucji nastąpiła dyktatura proletariatu i aby wymieniono stary aparat władzy, co zresztą zawsze czynią wszelcy lustratorzy.

¹¹ *El País* 5 de abril de 1989.

¹² *El País* 4 de abril de 1989.

¹³ Plinio Apuleyo Mendoza, *Zapach owocu guavy*, Muza, Warszawa 2003 s. 101.

¹⁴ „Bajka o generałach, co uwierzyli we własną bajkę” z 9.XII.80. w: GGM op.cit. s. 36.

*Che Guevara w jakiejś rozmowie ze swymi ludźmi przy ognisku, w noc wolną od działań wojennych, powiedział, że nostalgia zaczyna się od jedzenia*¹⁵.

Autorzy książki *Gabo i Fidel. Pejzaż przyjaźni* Ángel Esteban i Stéphanie Panichelli piszą, że pasjonuje go władza od kuchni. Dosłowność tej metafory zemściła się raz na pisarzu boleśnie. Miał okazję do rozmowy w cztery oczy, do której koledzy wydelegowali go sadząc, że z nich wszystkich dowie się najwięcej. Taka solidarność latynoska jest nawiasem mówiąc w świecie Anglosasów nie do pomyślenia. I Fidel zaczął opowiadać Garcii o rodzajach spaghetti, gotując je w różnych garnkach. Gabo nie odezwał się, a wspominał o tym w jakimś miejscu, którego nie sposób sobie przypomnieć.

O szachu Iranu, Rezie Pahlavim pisze:

*Dwudziestego trzeciego marca – wbrew decyzji prezydenta Cartera, ale chyba za zgodą Rockefellerów – (szach) uciekł do Egiptu prywatnym samolotem. Zarządcy nie opłacili czynszu za wynajem domu ani rachunków za usługi lekarzy, ani kosztów za ochronę osobistą*¹⁶.

O obalonym i zamordowanym premierze Grenady, Maurice Bishopie, którego słuchałem na Szczycie Niezaangażowanych w Delhi, nie śmiejąc nawet marzyć o tym, że przyszłości sam wezmę udział w takim szczycie jako przedstawiciel Polski, Gabo pisze, co potwierdzam: „Trudno znaleźć drugiego człowieka bardziej eleganckiego na trybunie, nie tylko ze względu na jego prawie dwumetrowy wzrost i karaibski wdzięk, ale też nienaganną angielszczyznę, dojrzałą w sosie angielskich uniwersytetów, oraz płynność i magię jego słów”.

Grenadę następców Bishopa, którzy zaprosili Kubańczyków na budowę lotniska pod samoloty transportowe dalekiego zasięgu (to znaczy – oficjalnie – pod pasażerskie boeingi 747 z turystami), kazał najechać Reagan, zlecając dowództwo generałowi Schwarzkopfowi, który wypędzał później Saddama Husajna z Kuwejtu. Reaganowi zdawało się, że Kubańczycy używają kilofów ziemia-powietrze. Zapomniał przy tym poinformować o inwazji suwerena Grenady, królową Elżbietę II, o co Margaret Thatcher zrobiła swemu sojusznikowi piekielną awanturę.

Duchy

Jeśli idzie o duchy – pozostawił niczego sobie opowiadania gotyckie. Raz przyjechał we Włoszech do rezydencji wenezuelskiego prozaika, Miguela Otero Silvy. Zaproponowano mu nocleg ostrzegając, że tam w nocy straszy. „Nic nie szkodzi” powiedział García i poszedł spać do gościnnego na parterze. Rano gospodarze zapytali go, jak się spało. Świetnie, powiedział pisarz, widząc że obudził się w zupełnie innym pokoju, na piętrze.

Wydobyc z niego jakąkolwiek wypowiedź, nie mówiąc już o wywiadzie, graniczyło z cudem. Nienawidził pytań dziennikarzy, choć uwielbiał dziennikarstwo, a zwłaszcza reportaż. Sam jednak z pasją robił wywiady, używając ich jako formy pomocniczej. Co mówię – znęcał się po kilkadziesiąt godzin podzielonych na osiem, dziewięć sesji, żeby z rozmówcy wycisnąć

wszystko, co mogło mu się przydać, a przydać się mogło wszystko. Na pytanie, które zadał mu Jean-François Fogel¹⁷ o różnice między literaturą a dziennikarstwem, słyszymy odpowiedź, która zapowiada rosnącą różnicę między reportażem (1:1) anglosaskim a lustrowaną później, jak w przypadku Kapuścińskiego, literaturą przywłaszczoną w Ameryce i Europie Łacińskiej, co dotyczy i Gabo i Malapartego z jego kosztem pełnym oczu, Oriany Falaci, Perez-Reverte, Vargasa Llosy, Cendrarsa (o lewitacji), Babla (o Odessie). García mówi z niesmakiem: „Pisarz korzysta w twórczości literackiej z pewnej swobody nieznannej w dziennikarstwie, które jest dość konserwatywnym rodzajem działalności, obostrzonej przepisami o oszczerstwach i szkalowaniu... Ja sam uprawiając dziennikarstwo nigdy nie pozwalam sobie na odchodzenie od faktów”.

Autoironia

Nie pozwalał podnosić na siebie pióra, ale nie każdy gotów był, jak Vargas Llosa, pisać o nim prace habilitacyjne. Ale żarty lubił, z siebie też, zwłaszcza wtedy, kiedy wymyślał je sam. O nagrodzie Nobla powiedział, że jedną z jej zalet jest to, że nigdy więcej i nigdzie nie trzeba będzie stać w kolejkach. Na pewno przypadłaby mu do gustu uwaga Miłosza, że dzięki nagrodzie dostał od rektora Uniwersytetu Berkeley stałe miejsce na parkingu.

Spośród lektur młodości uratowały mu się w drugim czytaniu Melville i Dumas. Faulkner już nie. Z muzyków przetrwał Bartók. „Przez wiele lat latynoamerykańskie machismo odrzucało Chopina, uzasadniając niezbicie, że to muzyka dobra dla homoseksualistów. Pomijając fakt, że nie ma żadnego dowodu na to, że homoseksualiści odznaczają się gorszym gustem niż ci, którzy nimi nie są, nieliczni dzisiaj odważą się zaprzeczyć, że Chopin należy do największych kompozytorów wszechczasów”. Usprawiedliwszy swój pogląd (Bartók był przecież większy) – bije z najgrubszej rury, co pisarzowi takiego kalibru (*nomen omen*) nie przystoi: „Uznaje się jego wielkość nawet pomimo opłakanej – mówiąc najogólniej – partii orkiestrowej w obu jego koncertach fortepianowych”. Tu zszedł na poziom Kałużyńskiego, ale zaraz się broni: „Beethoven ze swoją niewyczerpaną kreatywnością, żyjąc w naszych czasach, uchodziłby bez wątpienia za najbardziej wziętego autora muzyki filmowej w Hollywood”¹⁸.

Aż strach pomyśleć, co by zostało z jego recenzji filmowych, gdyby wziął się do nich wykształcony krytyk sztuki! Co by się stało? Gabo napisałby, że krytyk krytyki nie może być krytykiem.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

dziennikarz „Polityki”

¹⁵ GGM op.cit. s. 39.

¹⁶ GGM op.cit. s. 63.

¹⁷ „Le Point”, 16-22 listopada 1981.

¹⁸ GGM, op.cit. s. 541.

ADAM KOMOROWSKI

PRZYSZŁEGO ROKU W MACONDO

„Każdego dnia ukazuje się na świecie od 30 do 40 artykułów o Garcii Marquezie” – zauważył Gerald Martin, autor wydanej także w Polsce biografii kolumbijskiego pisarza. Dopisanie kolejnego tekstu jest więc przedsięwzięciem ryzykownym, być może naznaczonym daremnością. Tym bardziej że to, co o Gabo napisali Mario Vargas Llosa, Harold Bloom, Michael Wood czy cytowany Martin zadziwia przenikliwością. Warto już w tym momencie zwrócić uwagę, że wśród wymienionej czwórki najciekawszych moim zdaniem interpretatorów twórczości Kolumbijczyka, trzej to Anglosasi. Garcii Marquezi udało się przełamać przyrodzone Anglosasom koncentrowanie się na literaturze w języku angielskim. Sytuacja jest taka, że po *Stu latach samotności* nie można pisać o żadnej z literatur, a więc także tej powstającej w koine współczesności, czyli po angielsku, nie mając pojęcia o tej powieści napisanej po hiszpańsku. Wśród dzieł napisanych po hiszpańsku podobny status zapewnił sobie w literaturze światowej jedynie Cervantes swoim *Don Kichotem*. Na ile status *Stu lat samotności* jest trwały nie wiemy, ale – czy się nam to podoba czy nie – musimy to uwzględnić. Możemy być przekonani, że *Miłość w czasach zarazy* to dzieło doskonalsze, ale to *Sto lat samotności* jest jednym w emblematów literatury XX wieku.

Jorge Luis Borges nieustannie podkreślał, że *Don Kichot* jest jednym z najbardziej niedbale napisanych dzieł Cervantesa, ale to *Don Kichot*, a nie skończenie doskonałe opowiadania czy dramaty tego pisarza zdobyły status arcydzieła.

Trzecie zdanie

Trzecie zdanie *Stu lat samotności* brzmi: „Świat był jeszcze tak młody, że wiele rzeczy nie miało nazwy i mówiąc o nich trzeba było wskazać palcem”. Doświadczeniem źródłowym dla Gabo jest świat nieopisany. Tym nieopisanym światem jest niewielka kraina na karaibskim wybrzeżu Kolumbii wokół miasteczka Atacarata, które w powieści nazwane zostało Macondo. Garcia Marquez opuścił je w młodości, ale im bardziej zanurzał się w świecie przez literaturę oswojonym, tym bardziej musiała mu doskwierać niemożność zapośredniczenia swoich wspomnień w świecie przez literaturę przedstawionym. Gdy się jest na miejscu i wspomina, można wskazać palcem: tak, to tutaj się urodziłem, na tym patio się bawiłem. Gdyby to była Kolumbijska Amazonia mógłby odwołać się do powieści *Wir* (*La Voragine*) Rivery, gdyby Cali – do *Marii* Jorge Isaacsa. Wbrew pozorom w literaturze latynoamerykańskiej i kolumbijskiej spore obszary kontynentu zostały opi-

sane przed Marquezem. Buenos Aires miało swojego Roberto Arlt'a i Leopoldo Marechala, pampa swojego Miguela Hernandeza, Urugwaj swojego Onetti'ego, Gwatemala Asturiasa, Ciudad Mexico Fuentesę, Bahia Jorge Amado. Agresywny regionalizm, literatura indygenistyczna, powieść Rewolucji Meksykańskiej zdawały się wyczerpywać zadanie opisania Nowego Świata w jego latynoamerykańskiej mutacji. I nagle stało się coś niezwykłego. W czasie, gdy wydawało się, że ta formuła opisywania uległa całkowitemu wyczerpaniu, gdy czytelnicy wydawali się znużeni egzotyką, gdy Borges i Julio Cortazar zdawali się przełamywać ostentację peryferii i kokietowanie egzotyką, powstało dzieło z pozoru anachroniczne w swojej upartej lokalności.

Dzieło to całkowicie przesłoniło literackie ewokacje latynoamerykańskiej egzotyki, do tego stopnia, że to nie Meksyk, Urugwaj, Gwatemala, pampa, Bahia czy Altiplano, ale Macondo stało się literackim emblematem Ameryki Łacińskiej. Tak jak Hiszpanię widzimy z wiatrakami La Manchy, tak widzimy Amerykę Łacińską w karaibskim skwarze i tropikalnym deszczu wśród bananowców Macondo.

Sto lat samotności uporządkowało wyobraźnię czytelników o Ameryce Łacińskiej na całym świecie na granicy stereotypu, w jeszcze większym stopniu aniżeli powieści Williama Faulknera nasz obraz Południa USA. Nie dość tego, sami Latynosi uznali *Sto lat samotności* za dzieło, w którym dopełniła się krystalizacja latynoamerykańskiej tożsamości. Buendia są dla Latynosów tym, kim dla starożytnych Greków byli Atrydzi – zwierciadłem tożsamości. Splot losów kilku pokoleń rodziny Buendia, galeria stworzonych przez Garcie Marqueza portretów pozwalała Latynosom katapultować się z oficjalnie sformatowanych historii narodowych ku dziejom kontynentalnej wspólnoty kulturowej, której chronotopem jest Macondo. To już nie była polityczna boliwariańska utopia, ale rzeczywista wspólnota samotności.

Gerald Martin podsumował to tak: „Książka została osadzona w Aracataca, w Macondo, lecz Macondo stało się już metaforą całej Ameryki Łacińskiej... Tak więc Macondo, żywy obraz małego miasteczka gdzieś w Kolumbii czy Ameryce Łacińskiej (lub naprawdę, jak później przyznają czytelnicy, w Afryce i Azji, gdziekolwiek w Trzecim Świecie) stało się symbolem jakiejś małej społeczności na łasce historycznych mocy pozostających nie tylko poza ich kontrolą, lecz także niepojętych”.

Rzecz w tym, że doświadczenie peryferyjności, owego szczególnego doświadczenia daremności dającego się streścić w hasło „na nic wpływu”, które nasz

Stanisław Brzozowski uważał za możliwe do przecięcia przez „wybicie się do dziejowej dojrzałości”, w naszym globalizującym się świecie poszerzyło się. Dziś doświadczenie pozostawiania „na łasce historycznych mocy nie tylko poza naszą kontrolą, lecz także niepojętych” jest wspólne dla mieszkańca Aracataca, Moskwy, Nowego Jorku, Paryża, Warszawy i Drohobycza. „Niewidzialna ręka rynku” to magiczny realizm, wobec którego irracjonalizm, zabobony i zaklęcia mieszkańców Macondo błędą. Brzozowski nie mógł przewidzieć, że „wybicie się do dziejowej dojrzałości”, zdobycie historycznej podmiotowości będzie oznaczało przejście na stronę niewidzialnego. A jedyną relacją z niewidzialnym będzie złożenie ofiary w postaci „zaciskania pasa”, co w dawnych czasach relacji z niewidzialnym nazywało się postem, samobiczowaniem lub umartwianiem.

Transakcja z niewidzialnym może odbyć się jedynie za pośrednictwem ofiary. Jeśli niewidzialne nie odpowiada, to znaczy, że ofiara była za mała. „Niewidzialna ręka rynku”, jak sakralne bóstwo, ma swoich szamanów, czarowników i kapłanów, którymi dziś są wysłannicy Międzynarodowego Funduszu Walutowego czy Banku Światowego. W naszym deklaratywnie zdesakralizowanym świecie dowartościowaliśmy magię bynajmniej tego nie zauważając. Macondo stało się globalną wioską. Garcia Marquez, przywracając obecność fantasmagorii w kreacji świata przedstawionego (bo tym jest ostatecznie realizm magiczny), opowiedział nam o świecie, w którym żyjemy lepiej i bardziej przenikliwie niż którykolwiek z pisarzy naszych czasów. Być może przekonanie, że jest naszym Cervantesem nie jest pozbawione racji.

Faulkner i wpływy

Sam Garcia Marquez, nie tylko krytyka, zwykł wskazywać na Faulknera jako swojego literackiego poprzednika. Zamiast „ucieczki przed wpływem” ostentacyjnie wskazywał na nie (innymi wskazywanymi byli Juan Rulfo i „Pedro Paramo” oraz Franz Kafka i *Przemiana*). Sam autor koncepcji „ucieczki przed wpływem”, Harold Bloom, był wobec tej ostentacji sceptyczny. Sarkastycznie zauważył, pod adresem krytyków biorących deklaracje Gabo zbyt poważnie, że owszem wpływ Faulknera na niego był tak wielki, że wpłynęli na Gabo także ci, którzy wpłynęli na Faulknera, a więc Joseph Conrad, James Joyce i *Biblia*.

Pośród rozlicznych wpływo logicznych rozważań części krytyki (dziś często enigmatycznie określanych jako badania porównawcze) Bloom najbardziej poważnie traktuje wpływ *Biblii*, zwłaszcza księgi *Genesis*. Jak wiadomo Bloom broni tezy, że autorem (Yahvistą) *Genesis* była kobieta. Narracje o początku są domeną opowieści kobiet, domeną narracji męskich jest apokalipsa. Feministki jakoś tego nie zauważają. Garcia Marquez zdaje być tego świadomy, nieustannie podkreśla, że głównym źródłem jego opowieści były opowiadania jego babci. Babcia zawsze opowiadała mu o tym, jak się coś zaczęło, gdzie jest czegoś początek. W rodzinnych opowieściach babci najistotniejszy był początek, od czego coś się zaczęło. Rzecz w tym, że ten babciny ton zostaje u niego przełamany. Wszak opowieść babci/kobiety teraz opowiada nam wnuk/mężczyzna.

Pierwsze zdanie *Stu lat...* brzmi: „Wiele lat później, stojąc na przeciw plutonu egzekucyjnego, pułkownik

Aureliano Buendia miał przypomnieć sobie to dalekie popołudnie, kiedy ojciec zabrał go do obozu Cyganów, żeby mu pokazać łód”. Pozostawiając na boku fakt, że pułkownik Buendia nie został rozstrzelany, ale zmarł ze starości we własnym łóżku – wprowadzanie kontrfaktycznych poziomów opowieści znamy już z *Don Kichota* – istotne jest nieustanne rytmizowanie opowieści poprzez oscylacje perspektyw. Narracje żeńskie są „od początku”, narracje męskie są „od końca”. Wnuk zna koniec. Yahwistka pisze *Genesis*, św. Jan pisze *Apokalipsę*. Garcia Marquez w *Stu latach...* nieustannie oscyluje pomiędzy tymi dwoma rodzajami narracji.

Nie dotyczy to wyłącznie oscylacji pomiędzy narracją o początku i narracją o końcu, ale także pomiędzy oralnością i pismem. Kobiety to domena oralności, pismo jest domeną mężczyzn. „Aureliano Buendia zorganizował trzydzieści dwa zbrojne powstania i wszystkie przegrał” – czytamy, ale czytelnik niewiele o tych powstaniach się dowie. Historia polityczna to komunikaty, historia rodzinna to opowieść, której materia jest pamięć nie czynów, ale przetrwania, a strażniczkami owej pamięci są kobiety. Do momentu, kiedy pamięć rodziny, plemienna jest przekazywana oralnie, trwanie rodziny/plemienia jest zapewnione. Z chwilą gdy pamięć zostaje przefiltrowana przez pismo, nasz intymny związek z opowieścią zaciera się. Kiedy dzieje plemienia/rodziny zostają spisane, jest to zapowiedź końca. Ostatnie zdanie *Stu lat...* nie pozostawia wątpliwości: „Ale nim doszedł do ostatniego wiersza, zrozumiał już, że nie wyjdzie nigdy z tego pokoju, gdyż powiedziane było, że miasto zwierciadeł (lub zwierciadlanych mirażów) zmiecione będzie przez wiatr i wygnane z pamięci ludzi, kiedy Aureliano Babilonia skończy odcyfrowywać pergaminy, i że wszystko, co w nich napisano, niepowtarzalne jest od wieków i na wieki, bo plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi”. Opowieść spisana to epitafium lub klepsydra. Spisywanie opowieści jest formą pożegnania, świadectwem utraty.

Plemiona które zawierzyły swoją pamięć jedynie pismu, choć niekoniecznie zdają sobie z tego sprawę, są już skazane. Paradoks i wielkie odkrycie pisarstwa Garcii Marqueza to właśnie wskazanie na bliskie związki każdego zapisu z nekrologiem. W starożytnych koncepcjach narodziny języka powiązane są z pracą lub miłością. Język, żywa mowa, jest zawsze otwarty ku przyszłości (także wtedy gdy opowiadamy o przeszłości), pismo rodzi się jako epitafium, testament, nekrolog i nie może tego źródłowego uwikłania przewyciężyć. „W przeciwieństwie do tradycji prorocत्व, które są przekazami ustnymi, tradycja apokaliptyczna jest pisana i staje się w końcu literaturą” – pisze Michael Palencia-Roth w *Świecie rodziny Buendia*.

W *Stu latach...* oscylacja pomiędzy prorocत्वem i apokalipsą nakłada się na napięcie pomiędzy pismem i oralnością. W Marquezowej nieufności wobec pisma pobrzmiewa stary problem, na który zwrócił uwagę już Platon. Niepokój Platona budziło to, że pismo prowadzi do powstania „pamięci zewnętrznej”. Obdarzeni przez Hermesa darem pisma pozwalamy, by nasza własna pamięć karłała. Skoro zostało zapisane możemy coraz mniej pamiętać, a pamięć naszych bliskich, rodziców czy dziadków zdaje się nam być do niczego niepotrzebna. Problem ten powraca w dzisiejszych dyskusjach

o zdigitalizowanych zasobach sieci, które niestety nie poszerzyły możliwości korzystania z „pamięci zewnętrznej” i zdają się nas zwalniać od zapamiętywania. W coraz większym stopniu stajemy się konsumentami pamięci, a nie jej podmiotem. Technologia tworzy złudzenie, że pamiętanie jest zbędne.

Jak widać Garcia Marquez jest w swojej krytyce pisma bardziej radykalny od Jacques'a Derridy. Daleki jest też od wyprowadzania dekonstrukcyjnych konsekwencji. Dzieło literackie jest skażone nekrofiliją, ale czytanie nie jest nekrofiliją. Pod jednym warunkiem: jeśli rozbudza naszą wrażliwość słuchania. Idealny czytelnik Garcii Marqueza to ten, kto po odłożeniu jego książki będzie umiał z empatią wysłuchać opowieści babci, dziadka, żony, dziecka, przyjaciela czy nieznanego.

Sam Garcia Marquez, często w tej kwestii indagowany, przyznawał, że jest marnym czytelnikiem, czyta mało. Nie dopatruję się w tym kokieterii. Prawdą jest, że był przede wszystkim, genialnym słuchaczem, a nie czytelnikiem. Wystarczy sięgnąć po *Opowieść rozbitka czy Historię jednego porwania*, by się o tym przekonać.

W jednym z wywiadów powiedział, że czyta głównie książki swoich przyjaciół „po to, by wiedzieć, co robią”. Jego pisarstwo kształtowało się początkowo w kręgu lektur dość przypadkowych, biblioteki na Karaibach były i są bardzo skromne nie tylko z powodów finansowych, ale klimatycznych: zżera je pleśń i robaki. Konserwacja zasobów bibliotecznych wymaga klimatyzacji, o której w Aracataca w czasach wczesnej młodości pisarza nikt nie miał pojęcia. Sam mam w swoich zbiorach przywiezione z Karaibów książki porządnie nadjedzone przez insekty. Garcia Marquez umiał jednak słuchać i ta umiejętność pozostała mu do końca życia.

Natomiast w dojrzałym okresie życia ciekawość względem tego co piszą bliscy mu pisarze z kręgu bo-omu: Carlos Fuentes, Mario Vargas Llosa, Julio Cortazar, Jose Donoso czy najbliższy mu Alvaro Mutis (w Polsce, pomimo swojego polonofilizmu, niedoceniany) pozwoliła mu dookreślić własną drogę osobną.

W dużym skrócie można określić to jako pozostawanie pisarzem anachronicznym. Gabo pisze sagę rodzinną, gdy pozostali uważają ją za formę całkowicie wyeksploatowaną. Upiera się pisać o życiu na prowincji, gdy wszyscy uważają ostentacyjny regionalizm za etap przezwyciężony, zwłaszcza indygenizm (tak krytykowany przez Vargasę Llosę). Wszak to wielkie metropolie (Havana Jorge Cabrera Infante, miasto Meksyk Fuentes, Lima Vargas Llosy, Paryż Julio Cortazara) są emblematami XX wieku. Pisz powieść o fabule domkniętej, w której jest początek (założenie przez Buendia Macondo) i koniec (śmierć ostatniego Buendia). W pewnym stopniu zachowuje się jak Jan Sebastian Bach, którego geniuszowi nowatorstwo i eksperyment nie były do niczego potrzebne.

Ta anachroniczność, albo brak zainteresowania eksperymentowaniem czy nowatorstwem sprawiły, że powieść *Sto lat samotności* przełamała podział na kulturę wysoką i masową. Natychmiast zaczęła być czytana przez odbiorców jednej i drugiej. Przełamała też preferencje pokoleniowe. Cortazar uwodził głównie młodych czytelników, a Maga stała się ikoną

panienek z dobrych domów. *Sto lat samotności* czytały panie domów i młode pokojówki z hotelu w Tucuman czy Bucamarangi. Książkę z kabalistyczną okładką (projektu Vicente Rojo) można było zobaczyć w rękach sprzedawcy w składzie trumien i profesora UNAM.

Adolfo Castañon (jeden z najwybitniejszych krytyków meksykańskich) opowiadał mi, że kiedy ukazała się *Miłość w czasach zarazy* postanowił, że przez rok do niej nie zagłędnie. Postanowienie było skutkiem doświadczenia po ukazaniu się *Stu lat...*, kiedy to nieustanne rozmowy o tej książce zakłóciły mu, jego zdaniem, możliwość suwerennego odbioru i przeżycia estetycznego. Teza, że lektura powieści jest zawsze lekturą prywatną, w tym wypadku jest wątpliwa. W Ameryce Łacińskiej była lekturą wspólnotową i kontynentalną. Być może to było powodem, że najlepsze teksty o *Stu latach...* napisali Anglosasi. Oni mogli czytać ją w nieco spokojniejszej atmosferze, bez nadmiernej egzaltacji, którą doskonale widać u Vargasę Llosy: „Wyraziście zorganizowana proza, nieomylna czarnoksiężska technika i diaboliczna wyobraźnia to oręż, który uczynił możliwym ten narracyjny wycyzyn i który stanowi sekret tej wyjątkowej książki” (rec. z 1967) i potem w jego monografii *Garcia Marquez: historia de un deicidio*, wydanej w 1971 roku i nigdy nie wznawianej.

W wypadku *Stu lat samotności* przydarzyło się coś niezwykłego. Chwałę tego dzieła entuzjastycznie głosili zgodnie najwięksi konkurenci Garcii Marqueza w Ameryce Łacińskiej: Vargas Llosa, Cortazar i Fuentes. Ten ostatni ogłosił, że jest to latynoamerykańska biblia. Warto przypomnieć, że wsparciu tego ostatniego (także finansowemu) zawdzięczał Gabo, że mógł w ogóle pracować nad swoim dziełem. Z wymienionej trójki z początkowego entuzjazmu wycofał się jedynie Vargas Llosa. Gabo był w lepszej sytuacji niż Cervantes, którego jego wielcy współcześni (zwłaszcza Lope de Vega, który był w Madrycie jego sąsiadem) uważali za grafomana.

Przyjaźnie

Jak wiadomo Vargas Llosa i Garcia Marquez zerwali przyjazne stosunki. Powodem (oficjalnym, bo raczej rzeczywistą przyczyną była kobieta) były zastrzeżenia tego pierwszego wobec zażyłości Garcii Marqueza z Fidelem Castro. Określił go nawet jako „lokaja Castro”. On sam widać zapomniał, że jego stosunki z Kubańczykami były przyjazne, kiedy to Garcia Marquez stał się dla Kubańczyków co najmniej podejrzany i stracił pracę w kubańskiej agencji Prensa Latina. Fidel był po prostu jednym z wielu, którzy zachwycili się *Stu latami...* i postanowił autora poznać, i o dawnych konfliktach zapomnieć. Wszystko wskazuje, że panowie zaprzyjaźnili się. Ale przecież nie jeden Fidel Castro zachwycił się tą powieścią. Podziw dla twórczości Garcii Marqueza dzielili z nim także prezydent USA Bill Clinton i premier Hiszpanii Felipe Gonzalez. Pisarz do końca życia pozostawał z nimi w dużej zażyłości. Zdumiewająca jest nie tyle przyjaźń Garcii Marqueza z Castro, ale fakt, że znaleźli się w naszym świecie politycy, których stać na bezinteresowne przeżycie estetyczne. Co może stwarza szansę, że nie jesteśmy plemionami „które nie mają drugiej szansy na ziemi”.

ADAM KOMOROWSKI

STANISŁAW GĘBALA

NIEZAPISANE ROZMOWY

O Tadeuszu Różewiczu

Za wyjaśnienie, jak ważne to były dla mnie rozmowy, niech wystarczy nazwisko rozmówcy – był nim TADEUSZ RÓŻEWICZ. Odwiedził mnie po raz pierwszy w Buczkowicach koło Szczyrku, gdzie wówczas mieszkałem, w lipcu 1987 roku.

„Odwiedził mnie”? Ten utarty zwrot jest tu nie na miejscu i wręcz zatrąca megalomanią. Odwiedzić mnie mógłby kolega szkolny czy nawet ktoś (gdzieś kiedyś) przypadkowo poznany; natomiast Tadeusz Różewicz ten swój planowany od dwóch lat (bo „odwiedziny” miały nastąpić już dwa lata wcześniej) wyjazd w zupełnie sobie nieznane strony musiał jakoś tak określić, żeby dał się wpisać w któryś ze znanych stereotypów literackich, jakie dawno zostały skatalogowane pod bardziej lub mniej skonkretyzowanymi hasłami (od, powiedzmy: „podróże pisarzy”, po: „wyjazdy pisarzy w teren”) – i taka formuła („wyrwać się na kilka dni na wieś”) znalazła się już w pierwszym zdaniu na karcie pocztowej z datą 22.8.1985 r.:

„Drogi Panie, myślałem, że uda mi się wyrwać na kilka dni na wieś, ale widzę, że to „jakoś” się nie składa...”

Dalej następuje wyliczenie owych przeciwności, które wówczas uniemożliwiły wyjazd. Zaciekawienie „wsią” było chyba jednak autentyczne, bo w końcu Tadeusz Różewicz przyjechał do Buczko-

wic. Przyjeżdżał zresztą kilka razy w latach 1987-1991. Oczywiście ten pierwszy przyjazd zapisał mi się w pamięci najtrwalej, a w dodatku został uwieczniony przez samego poetę w jego korespondencji z Jerzym Nowosielskim.

Zanim jednak sięgnę do obszernego tomu, wydanego w r. 2009, zaczerpnę garść z własnych wspomnień. Z Różewiczem umówiłem się na dworcu w Katowicach, żeby oszczędzić mu błędzenia po peronach w poszukiwaniu pociągu do Bielska-Białej. Poza tym chciałem przynajmniej na końcowym etapie podróży zapewnić mojemu znakomitemu gościowi maksimum wygód, wioząc go siedmioletnim „maluchem”. Pan Tadeusz wysiadł z wrocławskiego pociągu jako jeden z ostatnich pasażerów i skierował się od razu w moją stronę z tym swoim ujmującym uśmiechem, znanym z dziesiątków zdjęć. Przyjrzał mi się przez sekundę (dwie?) i powiedział: „Ja pana już gdzieś widziałem”. W tych słowach był jakby cień rozczarowania, że nie zobaczył zupełnie nowej twarzy – ale i coś w rodzaju uczucia ulgi.

Ponieważ samochód zaparkowałem daleko od dworca, chyba gdzieś w pobliżu budynku rektoratu Uniwersytetu Śląskiego, zaprosiłem mojego gościa do bufetu uniwersyteckiego, gdzie mniej więcej przez dwa kwadransy sączyliśmy herbatę (pamiętam, że była wrząca). W tym czasie przewinęło się przez bufet z kilkadziesiąt osób – przeważnie studentów – z których żadna nie zatrzymała nawet przez sekun-

dę wzroku na twarzy Tadeusza Różewicza. Pamiętam moje zdumienie z tego powodu, bo wchodząc tam byłem pewien, że wszystkie oczy zwrócą się ku niemu. (W tym również była megalomania, gdyż najwidoczniej liczyłem, że przy okazji te oczy zauważą i mnie.)

Nie pamiętam natomiast, w którym momencie, czy jeszcze w bufecie, czy już w samochodzie Różewicz powiedział, że za Tychami jest kościół z polichromią Jerzego Nowosielskiego i że warto by ją zobaczyć przy okazji. Pytając parę razy o drogę, dotarliśmy wreszcie do tego kościoła (w Żwakowie) – niestety, zamkniętego. Udało się jednak znaleźć kogoś, kto nam otworzył. O tym zresztą pisał sam Różewicz do Nowosielskiego (cytat będzie nieco dalej).

Gdy dojeżdżaliśmy do Buczkowic, znów rozpie-rała mnie duma i chciałem krzyknąć do ludzi, którzy akurat tłumnie wysiadali z autobusu PKS: „Wiecie, jakiego Gościa wiozę?!” – ale nikt nie zwracał uwagi na pomarańczowego „malucha”, mimo że tego dnia lśnił czystością (co mu się zdarzało raczej rzadko).

To było dokładnie 14. lipca, a następnego dnia Różewicz napisał kartkę do Zofii i Jerzego Nowosielskich, którą przeczytałem dopiero po upływie 22. lat we wspomnianym tomie *Korespondencji*:

„Moi Drodzy, przez Bielsko i Tychy przyjechałem do wsi Buczkowice (koło Bielska), w Tychach zatrzymałem się przy kościele Św. Ducha (razem ze znajomym) – wpuścić nas jakiś facet do świątyni. Wrażenie wielkie, było pusto. Czy będziesz, Jurku, jeszcze pokrywał puste miejsca, czy to już tak zostanie? Są tam też dwa małe witraże – niezbyt gustowne. Byłoby lepiej, gdybyś Ty (również) projektował witraże. Potem wysypały się siostrzyczki, cała gromada, jak jaskółki. Warto by, aby proboszcz trochę spopularyzował Twoją wspaniałą pracę... trudno trafić do świątyni, jest na uboczu. Będę tu kilka dni, nie wiem, jak długo. Pogoda jest piękna.

Pozdrawiam serdecznie.

Tadeusz

PS Powołałem się na Ciebie, Jurku, więc mnie ten kościelny (?) wpuścił.”

Dopowiadam: Tadeusz Różewicz spędził w Buczkowicach wtedy niespełna (zabrakło paru godzin) sześć dni. 20. lipca zawiozłem go do Ustronia, gdzie zamierzał zostać jeszcze parę dni w domu prof. Mieczysława Porębskiego. Gdy przeczytałem powyższy tekst, uświadomiłem sobie (z zawstydzeniem), że zupełnie nie pamiętam siostrzyczek-jaskółek. No cóż, nie jestem poetą. Ale ta lektura po 22. latach uświadomiła mi coś znacznie bardziej zawstydzającego – własną próżność; szukałem przecież w tej korespondencji przede wszystkim jakiejś wzmianki o sobie. I znalazłem! Ten „znajomy”, wspomniany w nawiasie, to ja! to ja! Moja próżność została mile polechtana.

A przy okazji następnego pobytu w Buczkowicach (nie, to były już trzecie odwiedziny, bo w roku 1988 Różewicz był tam dwukrotnie – w maju i lipcu) napisał do Jerzego Nowosielskiego kolejną kartkę, znów wspo-

minając „Znajomego”, który wyraźnie w ciągu minionego roku awansował – wyszedł z nawiasu i pisany jest z wielkiej litery:

„Kochany Jurku, wyjechałem 14 lipca z Wrocławia – i przez Katowice – Bielsko – dojechałem do wsi Buczkowice – gdzie zatrzymałem się u Znajomego w chacie nr 595 – taka to wielka wieś... w niedzielę zamierzam wyjechać do Ustronia – (na kilka dni do Porębskich). A koło 23 lipca wracam do domu. To właśnie są moje plany wakacyjne. Dzwoniłem do Ciebie, ale rozwiązywałeś z p. Podgórcem problemy kosmiczne, uniwersalne, ontologiczne... i nie znalazłeś dla mnie minuty... żeby powiedzieć „dzień dobry”. Ściskam Was i pozdrawiam –

Tadeusz”²

Nie będę prostował sugestii dotyczącej „wielkości” wsi, ani błędnie podanego numeru „chaty” (w której zresztą już dawno nie mieszkam); przelknę gorycz tym łatwiej, że i Różewicz tyknął gorzką pigułkę. Ta „minuta”, o której wspomina, była najwyraźniej bolesna. Parę słów muszę poświęcić jednak „chacie”, którą sam nazywałem raczej „chałupą” – obie nazwy mają zresztą piękną tradycję literacką.

„Chata” w owym czasie nie grzeszyła urodą; powiedziałbym, że raczej wyróżniała się jeśli nie brzydota, to pospolitością. Ale otacza ją spory ogród (też nienadzwyczajnej piękności), gdzie można usiąść w cieniu jednego z niewielu ocalałych drzew owocowych. Niestety, w pobliżu nie ma żadnej lipy, która mogłaby powiedzieć... wiadomo, co; cytat należy do ogólnie znanych – jest natomiast (a przynajmniej była) stara jabłoń, dość mocno okaleczona (próchniejące konary systematycznie obcinano), więc dająca mało cienia. Poeta współczesny nie ma jednak przesadnych wymagań wobec drzew (por. wiersz Tadeusza Różewicza *Drzewo*) i mój gość chętnie korzystał ze skąpego cienia jabłoni-inwalidki. Odwdziaczył się jej najhojniej jak mógł – dając jej nieśmiertelność, jak Jan Kochanowski czarnoleskiej lipie. Cytuję końcową strofę wiersza *Czytanie ksiązek* ze znakomitego tomu *Płaskorzeźba*, który przywiózł mi Pan Tadeusz w roku 1991, kiedy po raz ostatni odwiedził mnie czy może raczej ją (jabłoń):

„19 maja 1988 roku
byłem w Buczkowicach
u Stanisława Gębali
właśnie zegar na kościelnej wieży
wybił godzinę dwunastą
Głos Rembrandta (z książki którą zamknąłem):
Zostań w domu
- mówił do młodego artysty,
który chciał jechać w świat –
zostań w domu. Życia nie starczy
na poznanie cudów, jakie
się tam znajdują...
siedzę pod jabłonką
na otwartym zeszycie drżą

¹ Tadeusz Różewicz, Zofia i Jerzy Nowosielscy, *Korespondencja*. Kraków 2009, s. 337.

² Tamże, s. 342.

cienie gałęzi
jabłonka przekwita
płatki opadają na stolik
na trawę na książkę”³

Muszę się do czegoś przyznać... Kiedyś, „kręcąc się po domu”, spojrziałem przez okno na mojego gościa, który zajmował swoje zwykłe miejsce na leżaku pod jabłonią. Patrzył na uniesioną dłoń, którą trzymał przed oczyma, poruszając palcami, jakby przesiewał między nimi promienie słońca. Oczywiście, natychmiast przypomniała mi się pierwsza scena *Kartoteki* i poczułem, jak rozpiera mnie duma; bo to, co widziałem za oknem, potwierdzało trafność mojej interpretacji zachowania Bohatera, którą uparcie powtarzałem od czasu napisania książki *Teatr Różewicza*.

Jestem niewdzięcznikiem... (Wyznamę to jabłoni.) Nie ucałowałem jej splekanej kory na pożegnanie ani w 2001 roku, kiedy po paru dziesiątkach lat, przeżytych w Buczkowicach, przeprowadzałem się do Bielska, ani w 2010, kiedy uciekałem aż na drugi koniec Polski. (Przed kim? Ano przed tymi, którzy znali mnie zbyt długo i teraz z satysfakcją patrzyliby, jak się starzeję i niedołęznieję, opowiadając sobie: „Ty wiesz, jak ten G. się posunął? Z niego już taki stary dziadyga się zrobił!”) Wybacz mi, jabłonko. Nie posłuchałem mądrych ludzi, którzy ostrzegali mnie, że starych drzew się nie przesadza.

Popadam w jakieś sentymentalne wynurzenia, a miałem pisać o niezapisanych (niestety) rozmowach, toczonych przed laty z Tadeuszem Różewiczem w Buczkowicach i okolicy (bo odbywaliśmy codzienne, czasem parokilometrowe, wędrówki). Tematów literackich z początku starałem się unikać, miałem bowiem w pamięci kategorię odmowę sprzed dwóch lat, kiedy to listownie przedstawiłem Panu Tadeuszowi prośbę redakcji krakowskiego „Zdania”, aby zgodził się udzielić wywiadu w oryginalnej formule, wymyślonej w tym piśmie, „Trzech na jednego”. (Miałem być jednym z trzech.) Poeta, który zapewne nieraz w dzieciństwie słyszał, że niehonorowo jest rzucać się we „dwóch na jednego”, formułę „Zdania” musiał uznać za zgoła barbarzyńską. W każdym razie nasze rozmowy w pierwszych dniach jego pobytu w Buczkowicach były ostrożnie zdawkowe, chociaż niekiedy odsłaniały jakąś wzruszającą słabość mojego gościa. Pamiętam, że kiedyś pod wieczór (chyba wyjątkowo piękny) staliśmy na podeście paru schodów przed drzwiami domu. Pan Tadeusz patrzył na zielone zbocze pobliskiej góry, po czym spojrzął na wierzch mojej głowy i zapytał: „Jak pan sobie radzi z łysiną?” (Wcześniej zwróciłem uwagę, że dość często i starannie przyczesuje sobie włosy.) Swojej odpowiedzi nie pamiętam – była pewnie zupełnie banalna.

Po latach przypomniałem sobie to pytanie, kiedy oglądałem dwie karykatury poety w trzecim wydaniu tomu *Uśmiechy* z 2000 r. Karykatury, wykonane przez Pawła Różewicza, bardzo realistycznie przedstawiają twarz, eksponując zgoła misternie uczesane włosy.

Zdecydowanie lepiej „radzi sobie” poeta ze swoim niskim wzrostem (i autor karykatur również go nie ukrywa). Mnie sięgał wówczas (od tamtego czasu straciłem parę centymetrów) czubkiem głowy do ramienia. (Te informacje są konieczne do zrozumienia następującej teraz opowieści.) W czasie jednego z naszych spacerów nadrzecznym deptakiem do Szczyrku mijaliśmy dwie młode dziewczyny (dodaję ten przymiotnik, bo nieraz słyszałem, jak nawet bardzo wiekowe panie mówiły do siebie: „Dziewczyny, to spotkajmy się...” itd.). Jedna z nich zwróciła się do mnie (nieco kokietyrnie, jak mi się wydawało) z pytaniem: „Która godzina?”. Kiedy się oddaliły, Pan Tadeusz powiedział, jakby z pewnym wyrzutem, ale uśmiechając się: „Widzi pan? Mnie nie zapyta...”.

Pora jednak przejść do poważniejszych tematów naszych rozmów. Najpoważniejszym w czasie tych pierwszych odwiedzin w Buczkowicach w roku 1987 były trwające już od paru lat ataki na Różewicza części krytyki i środowiska literackiego, związanego z opozycją polityczną. Oczywiście, nie obyło się bez najcięższego w owych czasach zarzutu: kolaboracji z władzą. Naraził się opozycji przede wszystkim wierszem *Przyszli żeby zobaczyć poetę*, zaopatrzonym w pierwodruku datą, która kojarzyła się z pierwszą rocznicą wprowadzenia stanu wojennego. Rozpętała się wściekła burza, która została już dawno opisana, nie będę więc się tutaj nią zajmował. Ciekawszy wydaje mi się oksymoron, którego Różewicz parę razy użył w naszych rozmowach na określenie swoich oskarżycieli: „banda szlachetnych”. Byłem zachwycony celnością tego określenia, które najlapidarniej puentowało także i moje ówczesne obserwacje. Aż zbyt wiele przykładów wskazywało na to, że ludzie nierzadko szlachetni – jeśli ich oceniać z osobna – razem zdawali się wyznawać zasadę: cel uświęca środki i gotowi byli „uświęcić” naprawdę każdy środek, jeśli tylko wiódł do celu.

Na pewno nie sięgnąłem w tych rozmowach z Różewiczem po cytaty z *Miesiące* Kazimierza Brandysa, którym później wielokrotnie się posługiwałem (choćby na zajęciach ze studentami), głównie z tego powodu, że miał z Brandysem jakieś zastarzałe porachunki, skoro tak jadowicie skarykaturał go w *Kartotece* (Pan Z Przedziałkiem). Teraz też przytoczę ów cytaty, gdyż wszyscy niegdysiejsi opozycjoniści, a dziś ludzie władzy, zgodnym chórem (w tym jednym tylko zgodnym) wmawiają nam, że jedyną bronią, jaką dzierżyli w rękach, była gałązka oliwna. Otóż w notatkach z lipca 1982 roku Brandys streszcza słowa młodego człowieka z Warszawy, który odwiedził go w paryskim mieszkaniu:

„Zarysowują się dwie postawy: za negocjacjami z władzą lub za wybuchem strajku powszechnego. To znaczy: albo wytargowany kompromis, albo przelew krwi. Mój gość jest za przelewem krwi. Mówi twardo: – Inne wyjście grozi powolną kastracją. – Twierdzi, że alternatywa jest pozorna. Nie ma innego wyjścia, ponieważ władza nie chce kompromisu. Mój gość przytacza także zdanie swojej matki, która mieszka we Wrocławiu: »Zginie trzydzieści milionów? Ale sześć zostanie, plus siedem za granicą!«”⁴

³ Tadeusz Różewicz, *Plaskorzeźba*. Wrocław 1991, ss. 27, 29.

⁴ Kazimierz Brandys, *Miesiące 1982-1987*. Warszawa 1998, s. 28.

Koniec dygresji. Wracam do niezapisanych rozmów. Oczywiście temat literatury musiał się pojawić. Także i w postaci anegdotycznej. Tematem poniższej anegdoty jest znów *Kartoteka*. W mieszkaniu państwa Różewiczów dzwoni telefon. Pan Tadeusz jest sam, więc musi go odebrać. Podnosi słuchawkę i wysłuchuje monologu jakiejś elokwentnej paniusi, której córka właśnie ma zdawać maturę, a nie może zrozumieć *Kartoteki*. Czy pan Różewicz nie mógłby jej wytłumaczyć, o co tam chodzi? Parsknąłem śmiechem i powiedziałem coś, w czym mógł się dosłuchać nuty niedowierzania, bo obruszył się i burknął: „A co pan myśli, że ja tu dla pana wymyślam anegdoty?!” Trochę speszony, zanotowałem sobie w pamięci tę anegdotę pod tytułem, w którym mieści się ciekawy problem socjologiczny: telefon jako narzędzie egalitaryzacji społecznej (nazwisko paniusi i nazwisko wielkiego poety figurują w tej samej książce telefonicznej, co ich skutecznie zrównuje, umożliwiając natychmiastowy kontakt).

Opowiadając wtedy to zdarzenie, Różewicz był daleki od rozbawienia, nie chciał go nawet zaliczyć do kategorii anegdotycznych. Pisząc prawie dwanaście lat później – w lutym 1999 roku – poemat *Sława* chyba już nabrał do niego ironicznego dystansu, bo telefoniczne pytania zaczęły się mnożyć:

„dzwoni student »po piwie«
w sprawie *Kartoteki*
że rozrzuciona...
dzwoni uczeń
z podstawowej szkoły
»czy to pan Różewicz
ten sam co parę wierszów napisał?«
tak to ja
»bo ja chcę pana Różewicza spytać
co jest podmiotem
we wierszu *plemnik w spodniach?*«⁵

Teraz już nie pozwoliłbym sobie w komentarzu na żadną nutę niedowierzania. Osiągnęliśmy pełnię egalitaryzmu. Zbiorowość ludzka przypomina idealnie równo przystrzyżony trawnik. Czy ktoś jeszcze pamięta polemikę Witolda Gombrowicza z Barbarą Szubską, którą lokował na ósmym pięterku, a siebie (wraz z Picassem) na sto sześćdziesiątym ósmym? Taka wizja ludzkości zdecydowanie – na nasze wspólne nieszczęście – przegrała. Nie mamy już autorytetów, czyli wielkości, które wyrosły same z siebie; mamy wyłącznie idoli, których kreujemy wszyscy razem, wynosimy na szczyty, a potem wyśmiewamy i strącamy w niebyt, jeśli naprawdę wierzą w swoją wyższość nad nami. Gombrowicz konsekwentnie budował wizję (nazwijmy ją) wertykalną. A Różewicz? Horyzontalną? Sprawa nie jest tak jednoznaczna. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że w znacznym stopniu przejął romantyczne przekonanie o najwyższym powołaniu poety.

Żeby jednak nie zacząć snuć kolejnej dygresji, wracam do naszych niezapisanych rozmów. W jed-

nej z nich padło zdanie, które zapamiętałem tylko w połowie: „Kiedy ja po wojnie robiłem na nowo polską poezję, to...”. Akurat tę połowę nawet wtedy zapisałem – widocznie bardzo mnie zaintrygowała. Chyba przede wszystkim słowo „robiłem”, zamiast „tworzyłem”. Wszyscy pamiętamy cytat z wiersza *Widziałem cudowne monstrum*: „w domu czeka na mnie / zadanie: / Stworzyć poezję po Oświęcimiu”. – ale słowa, które padają w wierszu, rzadko traktujemy dosłownie; przecież już w szkole podstawowej uczyliśmy się, że poezja jest domeną metafory. Dlatego Różewicz słowo „tworzyłem”, nierozdzielnie związane z twórczością, a więc poezją, zamienił na „robiłem”, kojarzące się raczej z pracą rąk.

Wtedy, w czasie tej rozmowy przemknęło mi przez głowę nawet, że owo „ja robiłem” było przejawem pewnej megalomanii, ale dziś nie mam już cienia wątpliwości, że Tadeusz Różewicz jest jedynym poetą, który ma prawo powiedzieć.

Ostatni raz, jak wspominałem, przyjechał do Buczkowic 4. lipca 1991 r. i przywiózł mi ten wspaniały prezent – tom *Płaskorzeźba*. „Chata nr 539” (jednak skoryguję błędnie podany przez poetę numer) była już prawie od roku pusta. Ja w niej jeszcze mieszkalem, a raczej sypiałem, ale nie byłem w stanie wypełnić sobą tej pustki. Nie byłem też w stanie przeżyć prawdziwej radości z otrzymanego prezentu, która przyszła dopiero później, kiedy po upływie pewnego czasu znów nauczyłem się cieszyć. Życie toczyło się dalej.

Pana Tadeusza widywałem co parę lat na oficjalnych uroczystościach we Wrocławiu czy Katowicach. Czasem miałem nawet okazję z nim porozmawiać, co nie było łatwe, gdyż występował przeważnie w tozde doktora *honoris causa* takiego czy innego uniwersytetu, albo w roli laureata takiej czy innej prestiżowej nagrody. Wreszcie zbierał zasłużone owoce swojej trwającej wiele dziesięcioleci „roboty”. Już umiałem się cieszyć, cieszyłem się więc całym sercem.

A lata dziewięćdziesiąte i dwutysięczne przyniosły prawdziwą erupcję twórczości Tadeusza Różewicza. Wprawdzie każdy nowy tom kończył się pożegnaniem z przyjaciółmi, czytelnikami, poezją, ale czytałem je z przekonaniem, że Różewicz jest niezniszczalny; że za rok – najdalej dwa – ukaże się kolejny tom z następnym wierszem-pożegnaniem.

To najbardziej przejmujące pożegnanie przeżyłem przecież już w roku 1990, kiedy otrzymałem spóźniony (jak zwykle) numer „Dialogu” z wierszem bez tytułu dedykowanym *Pamięci Konstantego Puzyry*, a zaczynającym się od słów: „Czas na mnie / czas nagli” (też znalazł się w tomie *Płaskorzeźba*). Czytałem go skamieniały, czując lodowaty powiew na plecach.

Później jednak przyszły jeszcze, na szczęście, cieplejsze i ożywcze powiewy.

STANISŁAW GĘBALA

Tekst był drukowany w książce *Zaczytani*, dedykowanej z okazji jubileuszu Prof. Annie Węgrzyniak (wyd. Akademia Techniczno-Humanistyczna w Białymostku, 2012).

BOLESŁAW FARON

O JULIANIE KAWALCU NIE TYLKO OSOBIŚCIE

1.

2 października 2014 r., popołudnie. Ślęczę nad jakimś tekstem przy biurku w moim mieszkaniu w Krakowie, gdy nagle odzywa się sygnał telefonu komórkowego. Na ekranie wyświetla się informacja: „Zbigniew Regucki”. Odbieram chętnie, gdyż Zbyszek dzwoni rzadko, najczęściej z ważnymi wiadomościami, a to, że przeczytał jakiś mój artykuł lub recenzję o książce, a to, że w najbliższym czasie odbędzie się ważne spotkanie w Stowarzyszeniu „Kuźnica”, a to, że odwiedził w Domu Pomocy Społecznej Juliana Kawalca. Uruchamiam telefon i słyszę w słuchawce głos Reguckiego, radykalnie odmieniony. Zwykle radosny, pełen temperamentu, tym razem spokojny, wyciszony:

– Mam dla ciebie smutną wiadomość... Julek nie żyje. Dwa dni temu zmarł Julian Kawalec.

Mimo że zdawałem sobie sprawę z podeszłego wieku pisarza, wiadomość ta mnie zaskoczyła. Od pewnego czasu przebywał w Domu przy ul. Helców 2, odwiedzałem go kilka razy w roku. Byłem u niego przed wakacjami, bodajże w czerwcu, wybierałem się ponownie 11 października na kolejną rocznicę Jego urodzin. Podczas ostatniej wizyty spotkałem Go na korytarzu, przed Jego pokojem – nr 6 na trzecim piętrze. Schludnie ubrany, siedział na krześle przy stoliku w towarzystwie pensjonariuszki młodszej co najmniej o dwadzieścia lat.

– Jeszcze się mną kobiety interesują – zażartował, patrząc na mnie.

Jak zwykle zapytał, czym się aktualnie zajmuję, o mojego brata Stanisława, sadownika, którego od-

wiedział w latach siedemdziesiątych w Czarnym Potoku na Sądecczyźnie, o ordynującego tam dra Andrzeja Stępniewskiego, z którym jako dziennikarz przeprowadzał wówczas wywiad. Kiedy z kolei ja poruszyłem parę kwestii, odpowiedział z nietajonym smutkiem.

– Wiesz, nic mi się już nie chce, nie czytam, nie piszę, nie oglądam telewizji... Czas spędzam na rozmowach z mieszkańcami domu i personelem. Próbo- wałem nawet napisać o pielęgniarkach opowiadanie pt. *Żołnierki*, wskazujące na ich dowódczą rolę w tej instytucji.

Był w miarę sprawny, poruszał się za pomocą tzw. balkonika. Odwiedzała go rodzina – córka, wnuk. Te ostatnie wizyty bardzo sobie cenił, często o nich wspominał. Odwiedzali go nie tylko koledzy ze Związku Literatów Polskich, ale i ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, głównie Józef Baran, który w swoim dzienniku *Spadając, patrzeć w gwiazdy* (2008) tak zapamiętał to spotkanie:

„Dziś po południu odwiedziłem w domu Pogodnej Jesieni przy ulicy Helców wybitnego pisarza, 92-letniego Juliana K.

– Masz tam coś? – pyta Julian.

– No pewnie – mówię i wyciągam manierkę z drogocennym płynem.

– Po dziewięćdziesiątce stałem się alkoholikiem, ale umiarkowanym – śmieje się i konspiracyjnym gestem przywołuje najbliższego sąsiada, Marka, starszaka na wózku inwalidzkim, któremu też każe nalać do kubka żołądkówkę.

Oczywiście musieliśmy uważać na kręcące się w pobliżu pielęgniarki...

Twarz Juliana jest gębusią siedemdziesięciolatka, bez zmarszczek. [...]

– Chodzi mi po głowie taka myśl [powiada Kawalec], którą chciałbym kiedyś spożytkować literacko, choć nie wiem, czy jeszcze coś potrafię..., że ten, kto pomaga drugiemu w jego nieszczęściu i przez jakiś czas współdzwiga z nim krzyż, może być dzięki temu szczęśliwy... [...] Julian stosunkowo nieźle się czuje wśród pensjonariuszy, umie z nimi rozmawiać, jest lubiany, znany, czytane są przez głośnik fragmenty Jego powieści, a na stoliku leży dyplom i piękna statuetka dla „wybitnego obywatela Rabki”, którą otrzymał od burmistrza tego miasta”.

Dodam, że Julian Kawalec posiadał tam dom, w którym często przebywał, w ostatnim okresie życia sporo pisał o tym regionie Polski, m.in. wzruszającą opowieść *Harfa Gorców* (1999) czy wybór utworów *Czerwonym Szlakiem na Turbacz* (2009).

Jako historyk literatury i czytelnik interesowałem się twórczością autora *Ziemi przypisanego* od jej narodzin. Pierwsze teksty krytyczne o niej począłem pisać dość późno, bo dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Od tej pory też pogłębiła się nasza znajomość, by nie rzec – przyjaźń. Przyjaźń, która utrwałała się podczas kolejnych wyjazdów ze Stanisławem Kaszyńskim w latach dziewięćdziesiątych ub. r. na spotkania autorskie na Kujawy, na zebraniach krakowskiej „Kuźnicy”, na wieczorach Związku Literatów Polskich, wreszcie na prywatnych pogawędkach w kawiarni przy Krupniczej 22 czy w Klubie Dziennikarzy pod Gruszką. Pisałem o jego wierszach, o opowiadaniach z początku XXI wieku, wreszcie artykuł w księdze zbiorowej pt. *Juliana Kawalca pieśń o starości*, o jego senioralnej liryce i prozie. Wygłosiłem esej o tym dorobku na promocji *Czerwonym Szlakiem na Turbacz*, która odbyła się 14 listopada 2009 roku w Domu Pomocy Społecznej przy ul. Helców 2 i laudację z okazji Honorowej Nagrody „Kowadła”, jaką Stowarzyszenie „Kuźnica” przyznało mu 27 czerwca 2012 roku „za zasługi, a zwłaszcza niezależność myśli” (zob. „Zdanie” 2012, nr 155). Toteż nie uniknę w tym pożegnalnym tekście o wybitnym polskim pisarzu, ongiś niezwykle popularnym, czytany, tłumaczonym na wiele języków, dzisiaj raczej zapomnianym, pewnych odwołań do sądów wcześniejszych.

Na dziewięćdziesiąte piąte urodziny, przed trzema laty Leszek Konarski przeprowadził z pisarzem rozmowę, którą drukował tygodnik „Przegląd” (2011, nr 41). Ponieważ była to bodajże ostatnia publikowana wypowiedź Juliana Kawalca, warto przypomnieć tutaj jej fragmenty. Kiedy dziennikarz wspominał o nurcie chłopskim, do którego przed laty Henryk Bereza zaliczył Kawalca obok Wiesława Myślińskiego czy Tadeusza Nowaka, a później dodano jeszcze nazwiska Mariana Pilota i Edwarda Redlińskiego, i o ówczesnej nagrodzie literackiej „Nike” dla Mariana Pilota za powieść *Pióropusz* autor *Tańczącego jastrzębia* odpowiedział:

„– Wszyscy już jesteśmy matuzalemami, literackimi dinozaurami. Myśliwski ma 79 lat. Pilot – 75, Redliński – 71. Wkrótce odejdziemy.

– I co będzie? – [pyta Konarski].

– Koniec pisarzy nurtu chłopskiego. Zabraknie świadków tamtych czasów, nie będzie też wsi. Wy-

schnie źródło, z którego czerpaliśmy tematy. Jesteśmy chyba jednym z ostatnich krajów w Europie, w którym są pisarze zajmujący się problemami wiejskimi. To właśnie dzięki tej egzotyce polskiej wsi moje książki zostały przetłumaczone na 25 języków, na wszystkich kontynentach”.

W dalszej części rozmowy ujawnia, jakie zasady wyniósł z rodzinnego chłopskiego domu:

„Tymczasem ja od dziecka wychowywany byłem w kulcie pracy na roli, która dawała chleb. Ten chleb był dla mnie zawsze symbolem chłopskiego trudu i mojej miłości do matki Ziemi. [...] Pokazywanie tego chłopskiego trudu dzisiejszej młodzieży jest konieczne ze względów wychowawczych. Praca na roli była nabożeństwem. Wtedy mówiło się, że ziemia rodzi, teraz natomiast produkuje. Chłop stał się producentem. [...] Mój ojciec tak samo często spoglądał na wschodzące zboże i patrzył w niebo. Dla rolnika pogoda ma kolosalne znaczenie i od niej zależy urodzaj, czy zboże będzie rosło, czy dojrzeje. Ważne są zarówno ziemia, jak i niebo”.

Lektura tych słów wskazuje, że sędziwy pisarz był jednym z ostatnich strażników tradycji, piewą wsi, która odchodzi w zapomnienie, apologetą tradycyjnych wartości, stanowiących fundament chłopskiej postawy. Okazuje się jednak, że nie był on ślepy na otaczającą go rzeczywistość, na przemiany, jakie dotknęły tę sferę gospodarki i tę warstwę społeczną. Zwierza się dalej:

„– Trudno, cywilizacji nie powstrzymamy i do wszystkiego musimy się przyzwyczaić. Będzie *Ranczo* z Wilkowyjami zamiast Siedlikowa i Wrzawy. Tematyka wiejska nie zaniknie. Każdy średnio zdolny pisarz potrafi napisać powieść z akcją rozgrywającą się na wsi. Tej literaturze zabraknie tylko autentyczności”.

2.

Julian Kawalec urodził się we wsi Wrzawy pod Tarnobrzegiem 11 października 1916 roku w rodzinie chłopskiej. Jego rodzice: Józef Kawalec i Stanisława z Bobków uprawiali rolę na niezbyt obszernym gospodarstwie. Dzieciństwo spędził w rodzinnym domu wraz z liczną rodziną. Podobnie jak to było w przypadku Władysława Orkana, na uzdolnieniach młodzieńca wyznała się jego matka i to ona właśnie troszczyła się jego edukację. Po ukończeniu szkoły parafialnej przyszłego pisarza skierowano do gimnazjum humanistycznego w Sandomierzu, w którym przebywał w latach 1927–1935. Po maturze podjął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim (1935–1939). Na uniwersytecie wstąpił do Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej. Podczas okupacji niemieckiej przebywał w rodzinnej wsi, brał udział w tajnym nauczaniu i w działalności konspiracyjnej BCh. W lipcu 1944 roku po wkroczeniu na tereny wschodnie Armii Czerwonej został korespondentem wojennym Polskiej Agencji Prasowej w Lublinie. Później przebywał krótko w Łodzi, Bydgoszczy, Gdańsku. W maju 1945 roku powrócił do Krakowa. Podjął przerwaną przez wojnę studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jeszcze w tym samym roku uzyskał absolutorium i rozpoczął pracę jako dziennikarz oraz reporter.

Związał się z dwoma krakowskimi gazetami: najpierw z „Echem Krakowa” (od 1946), później z „Gazetą Krakowską” (od 1948).

Debiutował w 1948 roku opowiadaniem pt. *Śmierć Baški* w dodatku literackim „Echa Krakowa” – „Echo Tygodnia” (nr 353). W latach 1950–1956 pracował w rozgłośni Krakowskiej Polskiego Radia, a w czasie budowy Nowej Huty w tamtejszym radiowęźle. Pracę dziennikarską kontynuuje w latach 1956–1966 w redakcji tygodnika społeczno-politycznego „Wieści”, tu w okresie dziesięciu lat, od 1957 roku opublikował liczne fragmenty powieści, opowiadania i teksty publicystyczne, zamieszczał je też w „Życiu Literackim” z przerwami od 1955 do 1989 roku. W 1962 roku wstąpił do Związku Literatów Polskich i – mimo różnych zawirowań w środowisku pisarzy – pozostał wierny tej organizacji do końca życia.

Również w następnych latach wykazuje dużą aktywność zawodową i pisarską. Od 1967 do 1976 wiąże się z dziennikiem „Chłopska Droga”, z pismem tym będzie zresztą współpracował aż do 1995 roku. Zaś jego utwory literackie znajdują się w ważnych pismach społeczno-kulturalnych, jak „Tygodnik Kulturalny”, „Kultura”, „Miesięcznik Literacki” czy „Nowa Wieś”. Nie ogranicza się do pracy dziennikarskiej i twórczości literackiej. Od 1978 roku działa np. w Społecznym Komitecie Odnowy Zabytków Krakowa, wcześniej został członkiem polskiego PEN Clubu i Stowarzyszenia Kultury Europejskiej, w latach 1987–1989 był prezesem krakowskiego oddziału ZLP, członkiem Narodowej Rady Kultury (1986–1989).

Julian Kawalec odbył wiele podróży zagranicznych, m.in. do Skandynawii, spotykał się z czytelnikami w tych krajach szczególnie zainteresowanych literaturą o problematyce wiejskiej. Podczas mojej pracy w Wiedniu na stanowisku dyrektora Instytutu Polskiego, przyjechał nad Dunaj, rozmawiał tam z austriackimi tłumaczami jego twórczości z Instytutu Tłumaczeń i Tłumaczy Uniwersytetu Wiedeńskiego oraz tamtejszą Polonią. W Tulln odwiedził dr Dorotę Müller-Ott, tłumaczkę jego prozy i organizatorkę zespołu tłumaczy literatury polskiej.

Bibliografia jego utworów jest liczna: ponad czterdzieści książek, głównie prozatorskich, wiele publikacji w edycjach zbiorowych. Wspólnie z żoną, Ireną Wierzbanowską-Kawalec, zrealizował dziesięć sluchowisk radiowych, m.in.: *Ziemi przypisany* – I pr. PR 1967; *Tańczący jastrząb* – I pr. PR 1969; *Szara aureola* – II pr. PR 1974; *Przepłyniesz rzekę* – II pr. PR 1982. Siedem Jego utworów było adaptowanych na scenę – np. *Stary, głupi, i Anioł* czy w Teatrze Telewizji – *Szarość niepokorna*. Trzy teksty zostały sfilmowane: *Głos ma prokurator* (wg *Ziemi przypisany*), *Wezwanie*, *Tańczący jastrząb*.

Za swoją pracę zawodową, twórczość literacką i działania społeczne otrzymał liczne nagrody, wyróżnienia i odznaczenia. Nie sposób wszystkie wymieniać w tym okolicznościowym tekście. Przypomnę zatem jedynie niektóre, jak np.: Nagrodę Ministra Kultury I stopnia za całokształt twórczości, wielokrotne nagrody czytelników Złoty Kłos, Nagrodę Państwową II stopnia, Nagrodę Państwową I stopnia, Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki I stopnia za całokształt twórczości oraz tytuł honorowy „Zasłużony dla Kultury Narodowej”,

a w 2005 roku nagrodę im. Jarosława Iwaszkiewicza za całokształt twórczości literackiej. Otrzymał wiele odznaczeń państwowych, m.in. Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (1986), Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2000).

3.

Julian Kawalec debiutował w roku 1957 roku jako prozaik tomem opowiadań pt. *Ścieżki wśród ulic* (nie licząc debiutu prasowego), trzy lata później wydał kolejny zbiór małych form narracyjnych *Blizny*, zaś w 1962 roku pierwszą powieść pt. *Ziemi przypisany*. Do roku 1992 był autorem ośmiu tomów opowiadań (nie licząc *Opowiadań zebranych*), jedenastu powieści, reportaży i paru sztuk scenicznych (napisanych we współpracy z Ryszardem Smożewskim). O ówczesnej pozycji i randze pisarza decydowała proza z najgłośniejszymi powieściami, jak *Ziemi przypisany* (1962), *Tańczący jastrząb* (1964, przez wiele lat lektura szkolna), *Przepłyniesz rzekę* czy opowiadania: *Zwalony więz* (1962), *Czarne światło* (1965), *Wielki festyn* (1974), *Gitara z rajskiej czereśni* (1990). Od pierwszych tomów Kawalec został życzliwie przyjęty przez krytykę literacką. Wśród wybitnych polskich epików wsi, jak Tadeusz Nowak czy Wiesław Myśliwski znalazł swoje miejsce. Wy różniły go m.in. sentymentalny stosunek do wsi dzisiaj już odchodzącej, ubogiej, ze wszystkimi atrybutami wiosek sprzed drugiej wojny światowej, kult chleba, żdźbła, dylematy jej mieszkańców przemierzających się masowo po wojnie do miasta i język. Można w nim było znaleźć ślady chłopskiej mowy (może jego matki?), echa chłopskich modlitw, pieśni kościelnych. Ta proza miała niejednokrotnie rytm i tonację poetycką.

Podczas spotkania w Tarnowie z nauczycielami 22 stycznia 1976 roku autor *Ziemi przypisanego* powiedział:

„– Istotne jest to, gdzie się człowiek urodził, choć nie wszyscy tak twierdzą. Już kołyska się liczy i to, jaką ziemię ujrzał wokół siebie: czy zielony liść, czy ziemię ukamienioną miastem. Dziecko wiejskie najpierw poznaje matkę, potem ziemię z perspektywy rozścianej płachty. A matka okopuje, bo ziemniaki i inne rośliny są okrutne i wymagające. Wtedy ja poznawałem sobie świat. Mogę powiedzieć, że ja wieś wzięłem w siebie, ona mocno się we mnie ostała. W ten sposób temat jest częścią składową duszy pisarza”.

Wyznanie bardzo istotne, wyznanie bardzo ważne. W sposób obrazowy mówi o roli świata zewnętrznego wobec pisarza, który potem buduje jego wnętrze. Ta zapamiętana z dzieciństwa wieś, rzeczywistość wiejska tkwiła w świadomości czy podświadomości autora do końca jego życia, ona modelowała jego świat literacki, wyznaczała akcenty, wartości i proporcje. Wyobraźnia pisarska Kawalca zderzyła się z przemianami społecznymi w Polsce po drugiej wojnie światowej. Postanowił więc zarejestrować zjawisko dramatycznego przebiegu procesu emancypowania chłopów, określić przyczyny i zagrożenia zeń wynikające. Teraźniejszość jest u Kawalca zdeterminowana przez historię, przez przeszłość. W pierwszym tomie opowiadań pisarz jawi się jako naiwny optymistą eksodusu chłopów ze wsi do miasta, by w późniejszej twórczości rozważać

komplikacje tego procesu, dramaty wewnętrzne jednostek, trudności w adaptacji w warunkach miejskich. Krytycy literatury twierdzili, że pierwsze tomy opowiadań Kawalca są swego rodzaju próbą przechodzenia od publicystyki do literatury, „obrabianiem” tematu wiejskiego, poszukiwaniem własnej nuty. Jest w tych sądach ziarenko prawdy, gdyż Kawalec podejmuje różne tematy, m.in. domu jako ostoju wartości rodzinnych, której podstawowe filary tworzą ojciec i matka, ukazuje sylwetki chłopskich bohaterów, a w konsekwencji zbiorową chłopską mentalność. W miarę upływu lat jego opowiadania stają się obszerniejsze, zmienia się technika narracyjna, perspektywa kreacji bohaterów z czysto socjologicznej, uwarunkowanej okolicznościami zewnętrznymi na psychologiczną, odzwierciedlającą chłopskie wnętrza. Naturę – by rzecz górnolotnie – jego duszy. „Kawalec tworzy jak gdyby hipotezy literackie – zauważył Henryk Bereza – na temat świata wewnętrznego, na temat treści uczuć i świadomości prostych ludzi, którym obca jest umiejętność analizowania swojego świata wewnętrznego” (*Związki naturalne. Szkice literackie*. Warszawa 1978).

Anna Marzec zauważyła w książeczce *Proza Juliana Kawalca* (Warszawa 1983), że pisarz „tropi wielkość lub małość człowieka w jego dramacie. Dokonuje tego w opowiadaniach, których pierwsze tomy są jakby formą jego prozy, a ostatnie – świadectwem dużych możliwości dysponowania wypróbowaną strukturą, uprawianą na przemian z powieścią”.

Wspomniana już pierwsza powieść Kawalca, *Ziemi przypisany*, spotkała się z życzliwym przyjęciem czytelników, uznaniem krytyki, okazała się dojrzalą narracją, chyba obok *Tańczącego jastrzębia* najlepszą książką pisarza. Z ciekawym chwytem narracyjnym, kiedy prowadzący dochodzenie prokurator Andrzej Tabor wobec zbrodni Wojciecha Trepy, konfrontuje własne życie z postępowaniem oskarżonego.

„Kawalec odrzuca literackie wzorce wsi i chłopca – zauważył Stanisław Burkot – jakie przyniosła literatura z przełomu XIX i XX wieku, dociekliwie draży psychikę wiejskich bohaterów. Nie określa jej ani metafizyczne wręcz przywiązanie do ziemi, ani nadzwyczajna siła i prawość duchowna. U podstaw odrębności leżała dawna bieda, która rodziła z jednej strony pazerność i chytrość, a z drugiej – oszczędność i pracowitość. [...] Interesują go nie tyle «wychodzący ze wsi», ile starzy ludzie przeżywający przemianę jako własną klęskę, rozpoznający we współczesności zaprzeczenie naturalnego ładu – szacunku dla pracy, dla ziemi, dla chleba”.

To niezwykle trafne określenie odrębności pisarskiej autora. U Kawalca rzeczywiście aspekty socjologiczne stanowią drogę do „rozpoznań psychologicznych i egzystencjalnych.”

W *Tańczącym jastrzębiu* ukazał pisarz bohatera przewyciężającego przypisanie do ziemi, wskazał dialektykę zmagania teraźniejszości z przeszłością, miejskiej i wiejskiej przestrzeni obyczajowej, dwóch kultur, dwóch modeli życia. Był to proces skomplikowany, pełen dramatycznych sytuacji. Kawalec postanowił sprawdzić zyski i straty wynikające z awansu społecznego, zajął się konsekwencjami moralnymi wynikającymi z tego procesu. Bilans nie jest jednoznaczny.

Krytyka literacka niejednokrotnie zawężała interpretację prozy autora *Tańczącego jastrzębia*, widząc w nim piewicę dziejowej sprawiedliwości, gdy tymczasem jego twórczość jest częściej świadectwem kosztów awansu społecznego niż jego wyłączną apoteozą. Takim świadectwem owej względności jest *Wezwanie* czy *Szukam domu*. Również kolejne powieści, jak *Szara aureola*, *Przepłyniesz rzekę*, *Oset* podejmują tematy toposu wsi, losu chłopca, dziejów prowadzących do pełnej emancypacji. W *Szarej aureoli* ukazuje np. paradoksalną sytuację, kiedy po 1945 roku ludzie pragnący ziemi, popełniający przez nią zbrodnie, zostali zaskoczeni, gdy „nagle podsunęto im pod nosy całe obszary, a oni się bali brać.”

Zasygnalizowałem tutaj w maksymalnym skrócie niektóre zagadnienia prozy Juliana Kawalca z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Trudno kusić się w okolicznościowym tekście o jakąś pełniejszą syntezę. Jedno jest pewne, był autor *Tańczącego jastrzębia* wrażliwym obserwatorem wsi polskiej na przestrzeni kilkunastu lat, ukazywał bohaterów chłopskich w różnych uwarunkowaniach społecznych, obyczajowych, moralnych.

4.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku prozaik Julian Kawalec przeobraził się w poetę. Doświadczony autor opowiadań i powieści postanowił zmierzyć się z nową dlań formą pisarstwa, z poezją. W 1992 roku ukazuje się *Kochany smutek*, o którym Józef Baran napisał w *Słowie na powitanie poety*.

„Poezja Juliana z tomiku *Kochany smutek* zachowuje pewne cechy prozy Kawalca. Jest treściwa, brzemnienna w treści czysto fabularne. Nade wszystko zaś – nie zdradza szarego koloru życia, sytuuje się blisko powszedniości, zwyczajności, zgrzebności, tuż nad ziemią. [...] są to raczej wiersze «obciążone» powinnością, wiersze samarytańskie, pochylone nad człowiekiem starym, pokrzywdzonym przez los i historię”.

Drugi tomik poezji *Te dni moje* kontynuuje doświadczenia poetyckie debiutanckiego tomu. Podobnie jak tam naczelnymi toposami jest starość, problemy egzystencjalne i przyroda. Nie jest to jednak powielanie tych samych tematów i tej samej formy. Ewokując swój świat, chłopskie doświadczenia, czerpiąc z ukształtowanych przed laty wyobrażeń prozaika, stara się Kawalec nadać im większy stopień liryzmu, głębiej rzeźbić w słowie. Nieodłącznym elementem Kawalcowej problematyki egzystencjalnej jest cierpienie, którego odebrać człowiekowi nie sposób, ono uszlachetnia, „hartuje”. „Nie okradaj nas z męki”, napisał w wierszu *Do zwiedzającego wystawę rzeźb Igora Mitoraja*.

W roku 1996 ukazuje się tom prozy poetyckiej *Dom*, zawierający teksty wcześniej opublikowane. Rozpoczyna je i kończy utwór bez tytułu:

„Wziąłem pod rękę dom / Zgrzybiałego starca / w słomianym kapeluszu na bakier / Poszedłem z nim na spacer / Żeby mu pokazać mury / i nagie place bez drzew... // Wszędzie go biorę z sobą / Wielu się dziwi / Niektórzy się śmieją... / Niektórzy mówią z przyganą / Po co tego staruszka dźwigam...”

Przytoczyłem tutaj dwie próbki tekstów Kawalca, które tworzą jakby ramę tomiku *Dom*, by potwierdzić, iż niczym nie odbiegają one od sygnalizowanych dwóch poprzednich. Ten sam typ nieco fabularyzowanej poezji, opowiadanie wierszem. Inaczej ma się rzecz z pozostałymi fragmentami tego zbioru. Składają się bowiem na nie wyimki z już publikowanych utworów prozatorskich, które w sumie dają liryczną opowieść o domu w imię stwierdzenia: „dom to nie są tylko ściany”. Teksty te utwierdzać muszą w przekonaniu, że Kawalec – prozaik był w pewnym sensie także poetą, ale również i w tym, iż Kawalec – poeta nie przestał być prozaikiem. To przeświadczenie utrwała *Harfa Gorców* (1999), którą teoretyk literatury będzie pewnie kwalifikował jako opowieść. W tym lirycznym opowiadaniu narratorskiego – starego pisarza z Czerwonego Szlaku, wiodącego z Rabki na Turbacz jest tak dużo liryzmu, że całe jego fragmenty mogłyby się znaleźć w następnych poetyckich tomikach: „A więc na Czerwonym Szlaku rośnie i potężnieje bukowa harfa Gorców. Wygrywa na niej sławetny muzykant idący od Tatr, halny wiatr”.

Ostatni tom Juliana Kawalca *Powrót z nieba i inne utwory* (2008) posiada wszelkie cechy twórczości senioralnej. Stanowi kontynuację prozatorskich i poetyckich doświadczeń z lat dziewięćdziesiątych, a więc w nowy, XXI wiek wszedł sędziwy pisarz z bagażem doświadczeń z końca wieku. Oto wybrane przykłady: *Kocham was dzieci* – adresatem są tutaj najmłodsi, na których „czyha życie”. Przed nimi wszystko jest otwarte, a przede wszystkim czas i starość, co „skrada się na czworakach”. Powtarzają się też motywy pacyfistyczne, znane z wcześniejszych wierszy (*Wy z duszą*). W pełnym retoryki opowiadaniu, z gorzką apostrofą „wy z duszą” padają słowa: „syn jednej matki zabija syna drugiej matki”. Mamy też tutaj *par excellence* teksty senioralne, jak *Przeprowadzka do dzieciństwa*, w których autor nie chce zaakceptować swojego statusu starego człowieka. Antropomorfizacja wierzby i rozmowa z nią ułatwia te powroty w przeszłość. A co z niej wyczarowuje pamięć: ciepło, matczyną chustę, chleb, zdźbła, rolniczy trud. Jest też opowiadanie, gdzie adresatem była matka, która jakby z tamtego świata pyta narratorskiego o jego drogę po jej śmierci. Wśród wyznań notuje pisarz i takie: „Wciąż grzebię się w tej starzyźnie, grzebanie w starzyźnie to jest moje pisanie, staram się ocalić rzeczy, które nie powinny się zestarzeć, które potrzebne są do poprawienia – a może powiedzieć – oczyszczenia z brudów dziś i teraz”. Wśród nawrotów do dzieciństwa są oczywiście dwie babcie, reprezentujące różne sposoby myślenia (*Dwie babcie, dwa światy*). I tu pojawia się słowo – klucz widoczne w zwrotkach „starość przyszła”, „teraz w starości – to dziwne – widzę je wyraźniej”. A więc starość i pamięć, wspomnienie tworzą niejako jej nieodłączny atrybut.

Oczywiście, nie wszystkie wiersze i opowiadania w tym tomie utrzymane są w tej konwencji. Mamy tu prozę – by tak rzec – interwencyjną i moralną czy moralizatorską. Pisarz jest bowiem wrażliwy na wszelkie zło, drażni go współczesna cywilizacja, która gubi wartości, dla której człowiek pojedynczy niewiele znaczy, drażni go współczesne słownictwo, korupcja. Stara się zrozumieć dzisiejszy świat, ale go nie akceptuje. Dla

Kawalca sprawdzone wartości tkwiły przede wszystkim w tym, co tradycyjne, co posiada głęboko wrośnięte korzenie. Współczesność, nowoczesność, cuda najnowszej techniki go po prostu przerażały, aczkolwiek z telefonu komórkowego od czasu do czasu korzystał. Są też opowiadania bardzo osobiste, jak te o zbawiennym wpływie alkoholu na samopoczucie człowieka. Pisze o tym nieśmiało, jakby z zawstydzeniem, nie tak jak Jerzy Pilch, który w alkoholizmie widzi sposób na życie. W opowiadaniu *Tak się trochę pozwierzam* pisze: „nieco dłużej pomyślałem o wódce i doszedłem do wniosku, że dobrze, gdy ona jest, ale ode mnie zależy, czy stanie się przyjacielem czy wrogiem”. Ten sam motyw powraca w *Rozmowie z łóżkiem*, w którym na bezsensowność dobrego okazuje się kielich.

Także w innych tekstach prozatorskich, do jakich powrócił Kawalec pod koniec lat dziewięćdziesiątych i później, takich jak *W żółtym kolorze* (1998), *Czerwonym Szlakiem na Turbacz* (2009) pozostaje w tym samym kręgu tematycznym późnej starości, w niektórych opowiadaniach ta tematyka się nawet zagęszcza, kwestie z nią związane artykułuje pisarz jeszcze dobitniej. We wspomnianej *Harfie Gorców* narratorski poszukuje w swej wędrówce na Turbacz miejsca na umieranie:

„Dość już ćwiczylem umierania na ciepłym zbożu w pobliżu harfy Gorców. Ufny w dobroć nagiej ziemi i jej trawiastej pościeli, szydziłem, o jak namiętnie szydziłem z wszelkich łóżek znajdujących się w domu”.

Pieśń Kawalca o starości, jego anatomia starości zawarta w utworach z końca XX i początku XXI wieku jest wszechstronna, wpisana w biografię pisarza. Znajdziemy tutaj i problem zaniku sił fizycznych, obumieranie organizmu, relacje między pełnią sił fizycznych, młodością a człowiekiem starym i charakterystyczne dlań nawroty we wspomnieniach do dzieciństwa i młodości, kwestie niedostosowania do nowoczesności, w końcu kategorię śmierci. Wobec tej ostatniej pisarz zachowuje raczej postawę stoicką, traktuje ją jako naturalną i nieuchronną, która dotyka tak przyrodę, jak i człowieka. Buntuje się jednak przeciw bezsensownemu zadawaniu śmierci w czasie wojen, rewolucji czy aktów terrorystycznych. Kawalec nie bronił się przed starością, jak to czynił Miłosz, ani nie zohydzał jej jak Aleksander Wat. Autora *Harfy Gorców* przed pesymizmem i zgorzknieniem wieku starczego ratował swoisty antropomorfizm przyrody, zespolenie człowieka z naturą. Jej prawami zdawał się tłumaczyć los człowieka.

5.

10 października 2014 roku, w wigilię kolejnej rocznicy urodzin Juliana Kawalca, przed dniem, w którym ukończyłby 98 lat, w Sali Pożegnań na krakowskim Cmentarzu Rakowickim zebrała się rodzina, córka, wnuk, znajomi i przyjaciele, pisarze, by pożegnać wybitnego, zasłużonego dla polskiej literatury Twórcę. Jego prochy spoczęły w rodzinnym grobowcu.

Z B Y S Z E K

Zbigniew Bauer, bo to jego wspominamy i żegnamy, dołączył do zespołu redakcyjnego „Zdania” w drugiej połowie 1982 roku (Jego nazwisko pojawiło się w stopce redakcyjnej w numerze 6/82) po powrocie z Białegostoku, gdzie redagował do ogłoszenia stanu wojennego miesięcznik „Kontrasty”, wokół którego skupiła się czołówka polskich reporterów. Upatrzili oni sobie Zbyszka na redaktora naczelnego i jego kandydaturę przeforsowali, a okazało się to możliwe w atmosferze tych kilkunastu miesięcy nazywanych »karnawalem „Solidarności”«. Został zatem redaktorem naczelnym z wyboru, a nie z nominacji, jak to się podówczas powszechnie praktykowało i niestety praktykuje nadal. O wyborze zadecydowała pozycja, jaką już wtedy, w wieku niespełna 30 lat osiągnął jako znawca literatury faktu, autor wielu publikacji na ten temat i niewątpliwie autorytet w tej dziedzinie.

W latach 70. Zbyszek ukończył polonistykę na UJ, został asystentem w Katedrze Teorii Literatury, otworzył przewód doktorski, ale nade wszystko intensywnie uprawiał krytykę literacką i publicystykę, współpracował z renomowanymi tytułami prasy kulturalno-literackiej oraz podjął pracę etatową w ukazującym się w Krakowie „Życiu Literackim”. Dorobek z tego okresu zawiera książka *Dekada. Szkice o literaturze lat 70.*

W „Zdaniu” Zbyszek włączył się aktywnie w prace koncepcyjne i redakcyjne, często wypowiadał się jako publicysta i krytyk literacki, uczestniczył w kampaniach publicystycznych bądź dyskusjach (np. w cyklu *O wartościach Sierpnia*) oraz w wielu rozmowach „Trzech na jednego” (m.in. z Wiesławem Górnickim i Wiesławem Myśliwskim), jako Lektor prowadził autorską rubrykę *Przegląd prasy*. Przez pewien czas pełnił obowiązki sekretarza redakcji. Pod koniec lat 80. podjął pracę w Ośrodku Badań Prasoznawczych, gdzie opracował i opublikował raport na temat wywiadu. Tym samym dał się poznać jako medioznawca, który potrafi łączyć wiedzę i kompetencje naukowe z praktyką dziennikarską. Wrócił do niej niebawem, podejmując w okresie transformacji ustrojowej współpracę z „Polityką”, „Słowem” i „Gazetą Krakowską”, gdzie przez pewien czas pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego, którym był podówczas Andrzej Urbańczyk. Kiedy obydwaj zo-

stali bez pracy, założyli Wydawnictwo BUS, próbując zapewnić sobie i rodzinom środki do życia.

W 1991 roku, za moją namową, podjął pracę etatową nauczyciela akademickiego w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, która wkrótce zmieniła nazwę na Akademia Pedagogiczna, a w XXI wieku na Uniwersytet Pedagogiczny. W tej uczelni się doktoryzował na podstawie rozprawy *Antymedialny raport Ryszarda Kapuścińskiego*, wydanej drukiem przez PAP oraz uzyskał stopień doktora habilitowanego za książkę *Dziennikarstwo wobec nowych mediów*, opublikowaną przez Studium Dziennikarskie UP i TAIWPN Universitas. Od 1982 roku prowadził zajęcia na tymże Studium z gatunków dziennikarskich, a w ostatnich latach z nowych mediów. Po uzyskaniu habilitacji został kierownikiem Katedry Teorii Literatury i Poetyki w Instytucie Filologii Polskiej UP.

Kiedy w 1994 roku, po trzech latach przerwy „Zdanie” znowu zaczęło się ukazywać, tym razem jako nominalnie kwartalnik, Zbyszek nie odmówił pomocy i współpracy. Nie udało się, ze względu na nieregularne ukazywanie się pisma, reanimować przeglądu prasy sygnowanego przez Lektora. Natomiast regularnie czytelnicy mogli czytać Jego artykuły (m.in. o ekologii, „Solidarności”, Kongresie Kultury Polskiej), recenzje (m.in. podręczników literatury współczesnej, powieści Guentera Grassa *Turbot* i *Chodem raka, Lapidariów Kapuścińskiego*) oraz wnikliwe analizy stanu mediów w Polsce i na świecie, jak choćby w kilkuczęściowym studium *Journamorfoza*. Uczestniczył w głośnej rozmowie *Trzech na jednego* z ks. Stanisławem Musiałem. Pożegnał na tych łamach Wiesława Górnickiego, Jana Adamczewskiego i swego przyjaciela – Andrzeja Urbańczyka.

Nam przypadło w udziale pożegnać Jego – przyjaciela, kolegę redakcyjnego, stałego współpracownika, autora tekstów, które były ozdobą niejednego numeru, a także wybitnego krytyka, publicystę i felietonistę obecnego na łamach prasy polskiej od ponad 40 lat. Przed Profesorem Bauerem – medioznawcą i literaturoznawcą kariera naukowa stała otworem. Niestety – odszedł przedwcześnie, w wieku 62 lat.

EDWARD CHUDZIŃSKI

MARIAN STĘPIEŃ

O »»KUŹNICY««

Fragmenty dziennika (cz. II)

13 VI 1982

Wieczorem w „Kuźnicy” kilkusobowe spotkanie z przedstawicielami wydawnictwa Borba z Belgradu. Rozmowa przyjazna, duże wzajemne zrozumienie.

15 VI 1982

Prawie dwugodzinna rozmowa z przedstawicielem redakcji „Litieraturnej Gaziety”. Szczegółowe wypytywanie o „Kuźnicę” i „Zdanie”.

30 VII 1982

W Krakowie – jak słyszę – powstał oddział stowarzyszenia „Rzeczywistość”. Z nazwisk, które usłyszałem, jest tam Czubała, Czesław Domagała. Podobno na pierwszym posiedzeniu najwięcej miejsca poświęcono krytykowaniu „Kuźnicy”.

29 IX 1982

Kilka odebranych opinii o moim artykule o książce Tischnera. Między innymi dwie dosyć zabawne. W „Kuźnicy” zostałem żartobliwie (ale i złośliwie) powitany słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. A na Uniwersytecie Łużny mi opowiadał, że ktoś, kto oczywiście artykułu nie czytał, ale z góry wiedział, co w nim może być, przyniósł mu „Politykę” z informacją: „Proszę zobaczyć, jak Stępień niszczy Tischnera”.

30 X 1982

Dostałem kserokopię artykułu, który ukazał się w „Litieraturnej Gazecie” z 20 bm. pod tytułem *Wiec na rozdrożu*. Napisał go Wiktor Zoppi, z którym kiedyś rozmawiałem. Tekst jest oparty na rozmowach z kilkoma osobami w Warszawie, Gdańsku i w Krakowie ze mną. Bardzo krytyczny wobec „Kuźnicy” i „Zdania”.

3 XII 1982

Tadeusz Hołuj i Zbigniew Regucki zostali na wczoraj wezwani do Warszawy w celu rozmowy o „Kuźnicy” i „Zdaniu”.

8 XII 1982

Po południu odbyło się posiedzenie Prezydium „Kuźnicy” z udziałem Hieronima Kubiaka, który na tyle obszernie i dokładnie, na ile uznał to za możliwe, przedstawił przesłanki, które doprowadziły Biuro Polityczne do rozwiązania „Kuźnicy”. Łączył to z koniecznością likwidowania wszystkich pozapartyjnych, pozastatutowych jednostek (zwłaszcza klubów „Rzeczywistości”) prowadzących działalność frakcyjną lub stwarzających

niebezpieczeństwo takiej działalności. Co do sposobu zrealizowania uchwały Biura Politycznego mamy „prawo wyboru”. Albo będzie to decyzja Biura Politycznego rozwiązująca „Kuźnicę”, albo – co Kubiak szczególnie sugerował – rozwiążemy się sami z myślą o innej formie działania w przyszłości.

Dyskusja była bardzo ożywiona i długa. Wszyscy podnosili niesłusność tej decyzji. Duża przewaga wygłaszanych opinii była przeciwko „samorozwiązaniu się”. Do sprawy mamy jeszcze powrócić. W piątek na forum Prezydium „Kuźnicy”, a w poniedziałek – na zebraniu Rady.

9 XII 1982

Jak się dowiaduję, sprawą „Kuźnicy” zajmowała się Egzekutywa Komitetu Krakowskiego PZPR i przyjęła takie stanowisko:

1. Przyjęcie decyzji Biura Politycznego o rozwiązaniu „Kuźnicy” do wiadomości i podporządkowanie się jej.
2. Podniesienie wartości dorobku „Kuźnicy”.

11. XII 1982

Wczoraj ponowne zebranie Prezydium „Kuźnicy”. Po upływie dwóch dni udzielonych sobie do namysłu poglądy nasze nie uległy zmianie. W rozmowie zaczynała się zarysowywać taka perspektywa postępowania:

1. Rada „Kuźnicy” zawiesza działalność do czasu odbycia Walnego Zebrania Stowarzyszenia.
2. Na Walnym Zebraniu przeprowadzi się dyskusję i ewentualnie podejmie decyzję o samorozwiązaniu.
3. Na pierwszym zebraniu założycielskim w miejsce stowarzyszenia „Kuźnica” powoła się Klub Inteligencji Lewicowej „Kuźnica”, podległy administracyjnie władzom miejskim i pozostającym pod kontrolą polityczną Komitetu Krakowskiego PZPR.

Wiemy, że „Kuźnica” nie będzie już – przy każdym rozwiązaniu – tym, czym była. Wiadomość o jej likwidacji rozeszła się po kraju i straty polityczne już zostały poniesione. Ale wiemy też, że „Kuźnica” to nie tylko formuła prawna, nie lokal, lecz zespół osobowości, któremu udało się stworzyć pewną wartość. Jeżeli zdobędzie się on na dalsze trwanie i działanie, może – w jakiegokolwiek formie – tę wartość uchronić wbrew niefortunnej decyzji Biura Politycznego.

14 XII 1982

Wczoraj odbyło się długie i burzliwe posiedzenie Rady „Kuźnicy” z udziałem członków Biura Polityczne-

go: Hieronima Kubiaka i Stanisława Opałki. Fragmenty dyskusji za protokołem z archiwum „Kuźnicy”:

Wyjaśnienia Kubiaka:

»Biuro Polityczne rozważało nie tyle działalność „Kuźnicy”, co działalność wszystkich tego typu struktur, które mniej czy bardziej udolnie mogą być nazwane strukturami parapartyjnymi. Czyli inaczej mówiąc strukturami złożonymi z członków partii albo wyłącznie, albo w przeważającej większości, a działającymi poza strukturą partii. Innymi słowy Biuro Polityczne zajmowało się analizą stopnia wykonania decyzji XII plenum. [...] Chodziło o zapewnienie jednoci partii przy założeniu, że o partyjności rozstrzyga stopień realizacji programu partii, nie tylko jego deklaratywne uznanie [...]. Biuro rzeczywiście oceniło bardzo wysoko działalność „Kuźnicy” w okresie do 1980 roku. Także w okresie przygotowań do IX Zjazdu. Krytycznie natomiast odniosło się i nie mogło się nie odnieść krytycznie (choć było w pełni świadome faktu, że ta działalność nie obciąża całej „Kuźnicy” jako instytucji, a dotyczy postaw poszczególnych osób) do faktów, jakie m.in. miały miejsce w „Kuźnicy” po 13 grudnia [...]. Chodziło tutaj m. in. o list, który został podpisany także przez obecnych na tej sali (niektórych na szczęście), a który jest po prostu indywidualnym stanowiskiem dotyczącym stosunku do politycznej oceny KOR-u. Ponadto dwie wypowiedzi, które inaczej także można by uznać za sprawę prywatną wypowiadających się, ale zostały powiązane przez dawne zaszczości z „Kuźnicą” i poszły na konto „Kuźnicy”, nie tej realnej, tylko tej mitycznej, która powstaje z takich faktów, ponieważ nie sądzę jednak, aby obecni na tej sali podzielali tego typu poglądy [...].

Po 13 grudnia dla niektórych, z racji zdarzeń politycznych, jakie przecież miały miejsce w Polsce i w partii przed IX Zjazdem, „Kuźnica” zaczęła działać jakby w dwóch płaszczyznach: płaszczyźnie faktu realnego istniejącego tu w Krakowie, o którym my najlepiej wiemy, jaki był, i faktu ze sfery świadomości. Dla krakowskich władz partyjnych „Kuźnica” była przede wszystkim tym faktem; dla szeregu towarzyszy z powodu tego listu, upowszechnionego przez Wolną Europę, wypowiedź dla „Le Figaro” przedstawiała się jako alibi dla niektórych członków partii. Była symbolem grożącego partii niebezpieczeństwa oportunistycznego. Tamte instancje, i chciałbym żebyście towarzysze przez chwilę postawili się w ich sytuację, dążą do zlikwidowania każdego działania szkodliwego dla jednoci partii [...]. Dlatego też Biuro zdecydowało się na rozwiązanie wszystkich takich klubów. Jest to decyzja jak do tej pory obowiązująca i nie sądzę, aby się ona zmieniła [...]. Nie było w tej sprawie, towarzysze, innego wyjścia [...]. Decydując w skali kraju o tym, aby wszyscy towarzysze partyjni wrócili do partyjnej działalności w ramach organizacji partyjnych, i aby o partyjności rozstrzygał stosunek do programu, nie autodeklaracja składana poza partią – kierownictwo polityczne miało prawo i obowiązek podjąć taką decyzję [...]. Biorąc pod rozwagę odpowiedzialność towarzyszy i ich właśnie partyjność, w nadziei, że towarzysze zrozumieją złożoność sytuacji makro kraju, zdecydowałem się zaproponować towarzyszom realizację tej politycznej decyzji przez samorozwiązanie i przez poszukiwanie innych formuł, które dałyby możliwość zwielokrotnienia naszego oddziaływania na bezpartyjnych [...]. Nie było w tej sprawie, towarzysze, innego wyjścia«.

Z wypowiedzi Tadeusza Hołujki:

»Był zupełnie fałszywy donos, że „Kuźnica” organizuje w całej Polsce sieć klubów, które się nazywają „Kuźnice” [...] i panujemy nad siecią. Parokrotnie zostało powiedziane, że my mamy swoich ludzi w Warszawie. Wytłumaczyłem, że nasi ludzie w Warszawie biorą się stąd, że nam Warszawa ukradła z Krakowa kupę ludzi. Jakoś wytłumaczyłem, że jest to nieprawda, i to zaprotokołowano, ale również i na takich zarzutach opierały się opinie o „Kuźnicy” [...]. Jaka jest podstawowa sprawa wśród inteligencji? Podstawowa sprawą jest, żeby przełamać przede wszystkim front odmowy. Czy likwidacja „Kuźnicy” ten front przełamie, czy też go wzmocni? [...] Co to znaczy przenieść aktywność na POP? One nie istnieją, ich nie ma. Ta aktywność to jest 10 razy do roku po 2 godziny. Zebranie się rozwiązuje i nie ma żadnej aktywności, ponieważ nasze POP nie mają dostępu do bezpartyjnych [...]. Nasza aktywność polega na tym, że ludzie tu przychodzą, spotykają się, żalą się, proszą o pomoc, tak jak kiedyś ktoś powiedział, sobie kręgosłup prostują. Takiej atmosfery nigdy nie będzie w POP [...]. Uważam w dalszym ciągu, że decyzja Biura Politycznego jest fałszywa politycznie [...]. Jest to sprawa moim zdaniem groźna nie dla „Kuźnicy” [...]. Tu była połowa członków ówczesnego Biura Politycznego; że się Biuro Polityczne zmieniło, nie moja wina. Nikt tu nie ma zastrzeżeń co do charakteru naszych dyskusji. Powtarzam, ja nie widzę godnego wyjścia z sytuacji, nie dla „Kuźnicy”, tylko dla partii, do której należę. Mnie to osobiście rąbnęło, ponieważ tak się złożyło, że myśmy miesiącami, czy nawet latami walczyli o tę „Kuźnicę” i mnie się wydaje, że ma ona obecnie ważną rolę do spełnienia«.

Z wypowiedzi Stanisława Opałki:

»Mnie się wydaje, że to jest rzecz naturalna, iż Biuro Polityczne ma jedną optykę, ale w partii muszą być instytucje, które mają trochę inną optykę, które nie są pod tą presją bieżących wymogów i racji politycznych, i wtedy ta partia ma jakiś trójwymiarowy obraz tego, na co chce mieć wpływ; i bardzo się boję, że partia się takiej szansy pozbawia. I stąd jest ta nasza dyskusja. Nie stąd, że my się z Biurem Politycznym nie zgadzamy, ale po prostu uważamy, że zderzyły się tu dwa różne punkty widzenia i one sobie w niczym nie przeszkadzają«.

I głos z sali:

»„Kuźnica» pada ofiarą walki wewnętrzzpartyjnej i chyba nikt nie ma co do tego wątpliwości. »Kuźnica« , jak tylko powstała, nie była hołubiona, zawsze była pewną kością niezgody i zawsze bulwersowała, bo była groźnym ludzi, którzy myśleli nonkonformistycznie. Ten typ myślenia i linia reformatorska, która była bliska ludziom, z którymi się tu spotykam, to była główna wykładnia myślenia »Kuźnicy«. Nikt tutaj nie mógł liczyć na tani poklask, na bezkrytyczną akceptację [...]. Podkreślam to jeszcze raz, że »Kuźnica« jest ofiarą walki wewnętrznej, chociaż dla niejednego ucha zabrzmiało to nieprzyjemnie. Zarówno »Kuźnica«, jak i »Zdanie«».

Z wystąpienia Andrzeja Urbańczyka:

»Dzisiejsza dyskusja i cały ten smutny fakt nasunął mi wspomnienia komunistów z okresu międzywojennego i rok 1938. Nie wiem, czy to nie jest z książki Hołujki, kiedy w celach więziennych przyjmując wiadomość o rozwiązaniu KPP w tzw. trójkach towarzysze podejmowali uchwały akceptujące tego typu decyzje. Podejmowali je w niesłychanym rozdarciu i to skojarzenie nasunęło mi się właśnie dzisiaj, kiedy w tak emocjonujący i

dramatyczny sposób mamy z siebie samych uczynić ludzi, którzy akceptują coś, co w wewnętrznym przekonaniu nie uważają za słuszne [...]. Boję się, że podobne wspomnienia z lektury o przeżyciach sprzed wojny przejmują podobnymi uczuciami towarzyszy z klubu »Rzeczywistość«. Brak normy partyjnej, która by wyraźnie mówiła, że członkowie partii nie mają prawa zrzeszania się w pewne struktury, by służyć tej samej idei jest podstawowym źródłem naszego rozdarcia. Dlatego decyzji o rozwiązaniu »Kuznicy« jako członek partii będę zmuszony się podporządkować i się podporządkowuję. Jestem za zachowaniem w naszej uchwale tego członka, który uważa decyzję Biura Politycznego z naszego punktu widzenia, jako »Kuznica«, za niesprawiedliwą, a z naszego punktu widzenia jako członków partii za konieczną, której się podporządkowujemy rozumiejąc sytuację w kraju».

Dругi głos z sali:

„Jeżeli przyjmiemy, że tylko my jesteśmy prawi, a wszyscy inni nie, to znajdziemy się wobec dylematu, który jest nie do rozwiązania [...]. Co jest dla partii w tej chwili najważniejsze? Jedność na podstawie norm statutu i programu. Wszystko, co może być intencjonalnie lub wbrew intencjom przeciwko tej jedności wykorzystane, musi być z partii usunięte bez względu na to, jaka to jest krzywda. Przecież nie chodzi o Kraków [...]. Sprawa jedności w tej sytuacji i w tej chwili jest najważniejsza [...]. Dlatego, towarzysze, wnoszę, abyście w swoich decyzjach ponad tym wszystkim, co boli, wszystko rozważyli bardzo uważnie”.

Z mojego wystąpienia:

„Projekty naszych uchwał nie odbijają wiernie oceny, z jaką przyjęliśmy decyzję Biura Politycznego o likwidacji »Kuznicy«. Ocena ta na dwóch kolejnych zebraniach była jednoznacznie negatywna [...]. Spierałbym się o pełniejszą ocenę »Kuznicy« także w okresie ostatnim. Rozpatrywanie jej roli na równi z innymi parapartyjnymi klubami, które powstały w okresie ostatnich kilku czy kilkunastu miesięcy, jest nieporozumieniem. Nie jest postępowaniem politycznym lecz mechanicznym. Nie ma nic wspólnego z mądrą polityką. »Kuznica« w innym czasie – i znacznie dawniej – powstała, zupełnie inne wniosła wartości i ktoś, kto tego nie uwzględni, albo zupełnie nie wie, z czym ma do czynienia, albo kieruje się intencjami, których ja pojąć nie mogę. Nie można dzisiaj, gdy partia nie ma zbyt wiele wartości – w końcu wiemy, co przeżywamy – tak beztrąsko niszczyć sobie samemu autentyczny dorobek niemałej grupy ludzi, którzy w końcu kimś są i dla społeczeństwa i dla partii [...]. Decyzja Biura Politycznego w sprawie »Kuznicy« – nie możemy towarzyszy oszczędzać, musimy mówić prawdę – jest decyzją błędną, opartą na fałszywych przesłankach, decyzją politycznie szkodliwą. My się jej musimy podporządkować, bo to jest decyzja naszych władz, ale żadne zabiegi, żadne wyjaśnienia, żadna ekwilibrystyka umysłowa tej prawdy nie zmieni”.

A oto najważniejsze fragmenty z *Oświadczenia* przyjętego przez Radę Stowarzyszenia „Kuznica” 13 grudnia 1982 roku:

„Rada uważa, że decyzja Biura Politycznego o konieczności rozwiązania »Kuznicy« i wiązanie tej decyzji ze stanowiskiem kierownictwa partii wobec »parapartyjnych struktur« jest merytorycznie nieuzasadnione i nie trafnie ocenia genezę, działalność, istotę i cele »Kuznicy«.

Jednocześnie Rada pragnie zaznaczyć, iż rozumie niesłychanie złożoną sytuację partii i kraju, podziela troskę kierownictwa o jedność partii, uznaje nadrzędność motywów, którymi się kierowało Biuro Polityczne. W tej sytuacji Rada mając na względzie dobro partii podejmuje trudną dla niej decyzję o zawieszeniu działalności programowej z dniem dzisiejszym, a jednocześnie o zwołaniu w styczniu 1983 roku nadzwyczajnego Walnego Zebrania Członków, na którym przedstawi formalną propozycję dotyczącą rozwiązania się Stowarzyszenia »Kuznica«.

Rada pragnie zarazem przestrzec kierownictwo PZPR przed możliwymi negatywnymi skutkami likwidacji »Kuznicy« dla działalności partyjnej w środowiskach twórczych i naukowych Krakowa. Mając na względzie ograniczenie owych negatywnych skutków, chcąc zminimalizować straty, które w przekonaniu Rady przyniesie likwidacja »Kuznicy«, Rada deklaruje gotowość i wolę takiego przekształcenia charakteru »Kuznicy«, by wykluczyć wszelkie możliwości przypisywania jej cech struktury partyjnej lub parapartyjnej, z zachowaniem klimatu wspólnoty ludzi wokół socjalistycznych idei i wartości wypracowanych w ciągu siedmiu lat działalności.

Rada Klubu przyjmując do wiadomości fakt odwołania redaktora naczelnego »Zdania« pragnie wyrazić swą dezaprobatę wobec samej decyzji i sposobu jej przeprowadzenia. »Zdanie« powstało jako pismo »Kuznicy« wydawane przez RSW Prasa i ten fakt uwzględnia porozumienie między obiema instytucjami odnosząc się m. in. do trybu powoływania i odwoływania naczelnego redaktora. Rada jest przekonana, że podstawowe cele stawiane przed »Zdaniem« w niezmiernie trudnym skomplikowanym okresie, w jakim przyszło mu się ukazywać, były przez redakcję spełniane właściwie, służąc przełamywaniu podziałów w środowisku inteligencji i pozyskiwaniu jej dla programu IX Zjazdu partii”.

16 XII 1982

Rozmawiałem z Tadeuszem. Wysłał list do Jaruzelskiego. Ten zlecił jego powielenie i doręczenie członkom Biura (wraz z listem Grabskiego). List Grabskiego był wzięty, jednozdaniowy prawie, w stylu: „nie uznaję decyzji, nie rozwiązujemy się, mamy rację”. List Tadeusza był wyrazem z troską wizją ujemnych skutków decyzji o rozwiązaniu „Kuznicy”. Jaruzelski miał powiedzieć, że nigdy w jego intencjach nie było stawianie „Kuznicy” na tej samej płaszczyźnie co kluby „Rzeczywistości”. Nowe propozycje rozwiązań zostały przyjęte przychylnie. Szczegółami mają się zająć władze krakowskie i Barcikowski.

23 XII 1982

Z zasłyszanych komentarzy i analiz, a także z własnych obserwacji (również z okresu Października’56 i po nim) rysuje mi się obraz mechanizmu, który zaczyna się uruchamiać. Działacze polityczni, którzy potracili głowy, przestraszyli się i pochowali podczas niedawnego „trzęsienia ziemi”, teraz, w bezpiecznych już gabinetach, ufni w siłę armii, gdy już trochę się uspokaja, zaczynają wychodzić z ukrycia i mierzyć do tych, którzy byli czynni w obronie partii i szukali porozumienia z jej przeciwnikami, czemu towarzyszyła głębsza refleksja, perswazja, dążenie do kompromisu. Teraz takich bierze się „na muszkę” i „odstrzeliwuje”. Egzemplum: „Kuznica” „Zdanie” itp.

1 I 1983

Po nocy sylwestrowej w „Kuźnicy” – nieco melancholijnej, bo ze świeżą pamięcią o decyzjach, które uderzyły w „Kuźnicę” i „Zdanie”. Tadek Hołuj przeczytał nam wiersz, w którym zawarł wzbierającą w nim gorycz:

Kiedy się rodziłem, był środek wojny.
Kiedy poszedłem do szkoły,
szedłem wśród robotników i żołnierzy
obryzganym krwią powstania.
Kiedy kończyłem gimnazjum,
Robotnicy padali od kul policji
i na pogrzebie ofiar – żywi śpiewali zemstę.
Kiedy stałem się mężczyzną,
wojna wygarnęła mnie z młodości i poezji,
a lata męskie zaczął smród palonych ciał.
Kiedy doszedłem do lat Chrystusowych,
wgnano mnie do pustelni,
pomiędzy rozpacz i samotność.
Kiedy dobiegałem czterdziestki,
Wezwali mnie znów towarzysze
i zostałem z niepokornymi wobec świata.

Co Wam powiedzieć, kiedy jestem stary?
Że jest we mnie ktoś, kto rozmawia ze mną
językiem tamtych lat i nie pozwala zasnąć?
Że, oprócz wszystkiego, jestem kropelką kosmosu?
Że jak stwórca stwarzam ludzi chociaż z papieru?
Że daję się uwodzić śpiewowi ptaka i kształtem
drzew?
Że karmię się nadzieją jak Wy wszyscy?

Chciałbym Wam powiedzieć tylko jedno słowo:
– t o w a r z y s z e .

8 I 1983

Sprawy „Kuźnicy” bardzo powoli się wloką. Nie słychać, by miały się rozwiązywać kluby „Rzeczywistości”, o co podobno głównie chodziło, kiedy i „Kuźnicę” (na zasadzie obcinania „skrzydeł”) postanowiono rozwiązać.

25 I 1983

Wczoraj zebranie Rady „Kuźnicy”, ostatnie. Poświęcone zatwierdzeniu materiałów sprawozdawczych na niedzielne, nadzwyczajne Walne Zebranie, na którym mamy rozwiązać „Kuźnicę” po ośmiu latach działalności. Smętny więc był nastrój, tym bardziej że jakieś ewentualne głosy protestu zostały już wyciszone, wyładowały się na paru poprzednich spotkaniach jeszcze w grudniu ub. roku. Teraz górę wzięła rezygnacja u jednych, a dość postulacyjny ton u drugich.

Prosił mi się Andrzej Kurza o przewodniczenie zebraniu. Zrazu się zgodził, ale wczoraj przyszedł, by odmówić. Motywował to swymi przemyśleniami, które doprowadziły go do wniosku, że on nie byłby dobrym przewodniczącym, bo jest z Warszawy, a nie z Krakowa(!?).

Dzisiaj dopiero miałem możliwość zapoznania się (z powielanego maszynopisu) z wystąpieniem sekretarza KC PZPR Mariana Orzechowskiego na wojewódzkiej konferencji ideologicznej w Łodzi w dniu 26 XI 1982 roku, które posłużyło Biuru Politycznemu jako uzasadnienie decyzji o rozwiązaniu „Kuźnicy”. Przypisuje jej „frontalną krytykę” programu partii, przeciwstawianie mu innych programów.

29 I 1983

Napisałem sobie przemówienie, które przyjdzie mi jutro wygłosić przy otwieraniu Nadzwyczajnego Walnego Zebrania „Kuźnicy”. Trudno wyrazić wszystkie myśli, jakie z tym się łączą. Na pierwszy plan, w ostatnich już dniach przed jutrzejszą niedzielą, wysuwają się obserwacje zachowania się niektórych osób, stroniących teraz od „Kuźnicy”, unikających dalszych kontaktów z „trędownymi”. Duży niesmak wzbudził wczorajszy artykuł Zbigniewa Siatkowskiego w „Gazecie Krakowskiej”. Był jednym z członków-założycieli „Kuźnicy”, długi czas był w jej władzach. Na walnym zebraniu w styczniu 1981 roku został wybrany do Rady, ale już nie do Prezydium (a poprzednio był przez kilka lat wiceprezesem) i od tego czasu przestał przychodzić do „Kuźnicy”. Pojawił się dopiero po 13 grudnia 1981 roku, by gromić tych, którzy wystąpili z partii. Zorientowawszy się, że mimo stanu wojennego nie jest tak, jak myślał, znowu się odsunął i był nieobecny na wszystkich późniejszych zebraniach Rady aż do ostatnich „likwidacyjnych” włącznie. Nie umiał pohamować swojej *Schadenfreude* i zawarł ją we wczorajszej wypowiedzi prasowej *Tak myślę*:

„Oczywiście o ile swoje miejsce miałeś dotąd, nadal mieć je chcesz na lewicy – konsekwentnej, przyznającej się do leninizmu, nie którejś z tych »lewic« łagodnych i świeżomodnych, jakimi Wiślna ulica w Krakowie teraz wybrukowana od Rynku aż po naroże Franciszkańskiej [...]».

Pamiętam bowiem, co mówił wtedy redaktor Bratowski »kuźniczynom«. Z jego słów, pełnych uroku i lekkości, wynikało, że jeśli »Kuźnica« chciałyby dorównać sukcesom tak zwanego DiP, to powinna wyzwoić się od przywary, jaką stanowi jej partyjny charakter (co też niektórym zresztą trafiło do przekonania i dziś zbierają owoc tamtej lekcji)».

Te słowa ukazały się akurat w wigilię zebrania, na którym „Kuźnica” będzie musiała się rozwiązywać. Wyjątkowo odpychające postępowanie. I przy tym pobudzające różne domysły co do roli, jaką Siatkowski odgrywał w „Kuźnicy” dawniej i w ostatniej fazie.

31 I 1983

Otwarcie wczorajszego Walnego Zebrania „Kuźnicy” i wygłoszenie zagajenia przypadło mi w udziale:

Szanowni Zebrani, Towarzyski i Towarzysze, Koleżanki i Koledzy!

W imieniu Rady Stowarzyszenia „Klub Twórców i Działaczy Kultury – Kuźnica” otwieram Nadzwyczajne, a trzecie z kolei Walne Zebranie jego członków. Zostało ono zwołane zgodnie ze statutem „Kuźnicy”. Wszyscy jej członkowie otrzymali zawiadomienie o terminie, a także o powodach i o celu dzisiejszego zebrania. Umożliwiono też wszystkim zapoznanie się z „Oświadczeniem Rady”, które przedstawia genezę i przebieg dyskusji prowadzącej do Nadzwyczajnego Walnego Zebrania i do wniosku o rozwiązanie „Kuźnicy”, który zostanie dzisiaj formalnie tu przedstawiony i poddany głosowaniu.

Członkowie Rady i jej Prezydium starali się uczynić wszystko, co było w ich mocy, aby znaleźć optymalne i godne rozwiązanie problemu, który wynikł ze znanego stanowiska Biura Politycznego KC PZPR. Propozycje wypracowane przez Prezydium i Radę zostały przyjęte przez Biuro Polityczne, a władze Krakowa odniosły się do nich z najlepszą wolą i zrozumieniem.

Dwa lata temu powierzyliście nam kierownictwo „Kuznicy”. Do Was należy ocena, czy sprostaliśmy przyjętym zobowiązaniom. Za chwilę usłyszycie sprawozdanie z naszej pracy. Może powinno ono objąć cały ośmioletni okres działania „Kuznicy”, skoro dzisiaj dobiega kresu jej istnienie? Postępujemy jednak zgodnie z naszym wewnętrznym prawem i w sprawozdaniu obejmujemy okres od ostatniego Walnego Zebrania. Był to okres szczególnie trudny, najtrudniejszy w dziejach Polski Ludowej. Dobrze byłoby pamiętać o tym oceniając naszą pracę.

W ciągu ośmiu lat działalności „Kuznica” odegrała ważną rolę w życiu umysłowym, ideowym, politycznym i kulturalnym Krakowa. Była też dostrzeżona przez środowiska intelektualne innych części kraju. Dzisiaj, w dniu dla nas bardzo trudnym i pełnym uzasadnionego rozgoryczenia warto pomyśleć właśnie o tym, że osiem lat temu udało się nam stworzyć coś bardzo ważnego i wyjątkowego – „Kuznicę”, która była miejscem jedynym w swoim rodzaju i takim pozostanie w pamięci jej członków i sympatyków.

O obliczu „Kuznicy” i o wartościach, które w niej się wykuwały decydował nie jej formalny statut, ani nie lokal (skądinąd miły naszemu sercu i usytuowany w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie) lecz szczególnie fortunna kompozycja ludzi, o czym trzeba pamiętać, gdy myśli się o przyszłości.

Nie wszyscy członkowie „Kuznicy” wnieśli jednokowy wkład w to, co jest jej dorobkiem, ale dzisiaj nie pora na rozwijanie tej kwestii. Niech każdy we własnym sumieniu odpowie sobie na pytanie, jaki był jego wkład w osiągnięcia „Kuznicy”. A także w jakim stopniu powodował i pomnażał te komplikacje, które doprowadziły do dzisiejszego zebrania.

Dzisiejsze obrady niechaj się toczą w atmosferze rzeczowej i poważnej. W klimacie troski o zachowanie wszystkiego, co było dobre w działaniach „Kuznicy”. I z myślą o tym, by odnaleźć optymalną formułę przyszłej pożytecznej pracy. I w zrozumieniu intencji przyświecającym projektowi uchwały, o której przyjęcie Rada apeluje. Oby towarzyszyła nam świadomość wzajemnej zależności wszystkich składników umowy między Radą „Kuznicy” a władzami Krakowa, która rozwijała się, precyzowała i dojrzewała w licznych rozmowach w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Umowy, której wyrazem jest z jednej strony zgłoszony przez Radę projekt uchwały, a z drugiej – propozycja, jaka w imieniu Prezydenta Miasta przedstawiona zostanie w punkcie siódmym zebrania.

Tradycja sugeruje, by Walnemu Zebraniu Stowarzyszenia przewodniczył ktoś spoza jego władz. Ale nasze zabranie ma szczególny charakter. Dlatego proszę pozwolić, że w imieniu Rady o objęcie przewodnictwa i poprowadzenie naszego ostatniego zebrania zwrócę się do osoby, bez której „Kuznicy” by nie było – do Tadeusza Hołuj.

Propozycję tę przyjęto jednomyślnie. Sprawozdanie wygłosił Janek Güntner. Było kilka głosów w dyskusji.

Podjęliśmy uchwałę o rozwiązaniu naszego Stowarzyszenia. W jego miejsce ma powstać Ośrodek Kultury Krakowska Kuźnica. Czy i jak odnajdziemy się w tej nowej formie? Nie będzie to już to samo, czym była „Kuznica” założona w 1975 roku.

Zebranie miało przebieg spokojny, godny. Wolny zarówno od deklaracji posłuszeństwa, jak i od łatwych,

efektywnych gestów kontestatorskich. Frekwencja była lepsza niż się spodziewałem. Było chyba nieco więcej niż sto osób. Nie przyszła Terakowska i nie przyszedł Siatkowski. *Les extrêmes se touchent.*

Uchwała zawierająca wszystkie aspekty zaistniałej sytuacji po decyzji Biura Politycznego o rozwiązaniu „Kuznicy” i stworzenie Ośrodka Kultury „Krakowska Kuźnica” przeszła bardzo znaczną większością głosów (98 – za, 3 – przeciw, 10 – wstrzymujących się).

9 II 1983

Nie bez oporów doszło, po kilku spotkaniach i „konsultacjach” do powołania w miejsce „Kuznicy” Ośrodka Kultury o nazwie „Krakowska Kuźnica”. Z nazwą też były komplikacje. Przedstawiciele władz robili niechętnie miny na dźwięk wyrazu „Kuźnica”. Chcieli zupełnie innej nazwy, która nie kojarzyłaby się z „tą” „Kuźnicą”. W końcu, po różnych targach i sporach uzgodniliśmy tę nazwę, która się różni i nie różni od poprzedniej.

W rozmowach, ze strony władz administracyjnych i politycznych uczestniczyli: prezydent Krakowa Tadeusz Salwa, I sekretarz KK PZPR Józef Gajewicz, sekretarz KK PZPR Franciszek Dąbrowski, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Jan Czepiel, przewodniczący Komisji Nauki, Kultury i Oświaty Rady Narodowej m. Krakowa Antoni Hajdecki i radny m. Krakowa Wojciech Ziętarski.

Wymieniam dokładnie wszystkich przedstawicieli władz by wskazać, ilu ich było, podczas gdy z drugiej strony, ze strony społeczności „kuźnicowej” było nas tylko dwóch: Tadeusz Hołuj i ja. Sprawiedliwość wymaga dodać, że rzeźbiarza Antoniego Hajdeckiego też właściwie można zaliczyć do tej „drugiej strony”.

Pod względem formalnym i prestiżu zmieniło się dużo. „Kuźnica” była stowarzyszeniem wyższej użyteczności publicznej z własnym statutem, wybieranymi władzami. „Ośrodek Kultury »Krakowska Kuźnica«” będzie podlegać Wydziałowi Kultury m. Krakowa, a nadzór ideowy ma sprawować Komisja Kultury KK PZPR i Komisja Kultury, Nauki i Oświaty Rady Narodowej m. Krakowa. Zdegradowano nas.

Ale w rzeczywistości tak wiele się nie zmieniło. Na czele Ośrodka stają te same osoby, które były we władzach „Kuznicy”. Prawdziwi działacze pozostają ci sami, osobowości (poza pewnym wyjątkami) te same, a więc i treść spotkań, dyskusji dużej zmianie nie ulegnie. Dlatego w warunkach, w jakich się znaleźliśmy, i w jakich w ogóle w Polsce się znajdujemy, nie należało się obrażać, rzucać wszystko i rezygnować z dalszej pracy. Uzasadnione było przyjęcie tych rozwiązań dla ratowania i kontynuowania dorobku „Kuznicy”. Taka była główna treść naszej rozmowy z Tadeuszem po wyjściu ze spotkania z władzami.

17 II 1983

„Polityka” nr 7 z 1983 roku przyniosła satyryczny rysunek Szymona Kobylińskiego; z charakterystyczną dla niego postacią i podpisem: „Licząc z Kołłątajem i Pawłem Hoffmanem, »Kuźnica« znika po raz trzeci”.

22 III 1983

Już w ostatniej chwili trzeba było usunąć ze „Zdania” krótką informację, że w następnym numerze ukaże się artykuł Hołuj o „Kuźnicy”. Artykuł ten zatrzymał Franek

Dąbrowski, sekretarz KK, niby dla dobra Hołuja i „Kuźnicy” (?). Dzisiaj Franka nie ma, musiał odejść w ramach porządkowania spraw personalnych przez Gajewicza. Artykułu też nie ma. Ani nie ma z kim gadać. „Krakowska Kuźnica” jeszcze się nie rozkręciła. Po początkowym szybkim działaniu krakowskich władz w tej sprawie, nastąpiło wyraźne zwolnienie tempa. Do tej pory prezydent miasta nie powołał Rady Programowej. Ma to związek z płynącymi do Biura Politycznego donosami, że „Kuźnica”, która się rozwiązała, odradza się teraz bez zmian w nowej formie, pod nieco zmienioną nazwą; ci sami ludzie, te same poglądy.

Tydzień temu nagrywałem wywiad dla „Dziennika Polskiego”. Czym będzie się różniła „Krakowska Kuźnica” od poprzedniej „Kuźnicy”, parę słów o „Zdaniu”, problem swobodnej wymiany myśli w partii, jak wyjść z kryzysu. Cenzura całość wstrzymała „Do konsultacji”.

10 IV 1983

Przedwczoraj, w piątkowy wieczór było w „Kuźnicy” spotkanie z Bogdanem Suchodolskim, przewodniczącym Narodowej Rady Kultury. Interesujące było, nawet bardzo, jego wystąpienie, ale mało przystające do naszej karłowatej rzeczywistości. Była to pierwsza poważna impreza nowej „Kuźnicy”.

24 IV 1983

Dosyć długo wypadło nam czekać na dalsze decyzje władz dotyczące „Krakowskiej Kuźnicy”. Dopiero 20 kwietnia prezydent Miasta Krakowa podjął decyzję o powołaniu jej Społecznej Rady Programowej, której przewodniczącym został Tadeusz Hołuj. Wiceprzewodniczącymi: Jan Güntner, Tadeusz Kwiatkowski, Marian Stępień, Ignacy Trybowski.

1 V 1983

We wtorek odbyło się w „Kuźnicy” spotkanie z Januszem Reykowskim. Jego wystąpienie było może mało efektowne pod względem sztuki oratorskiej, ale przemysłane, dobrze skonstruowane i ciekawe. Dyskusja nie obfitowała w wystąpienia, ale tych kilka głosów było interesujących. Prowadziłem spotkanie pod nieobecność Tadeusza.

23 VIII 1983

Ciągle czeka na druk (w „Zdaniu”) zatrzymany od wielu miesięcy artykuł Tadeusza Hołuja o „Kuźnicy”. Wstrzymany kiedyś jako „przedwczesny”, dziś znowu musi czekać na dokonanie przez władze polityczne oceny działania „Kuźnicy”, czego domaga się uchwała konferencji wojewódzkiej. Sam na niej taki wniosek zgłosiłem, ale chyba jego realizacja nie zmierza w kierunku zgodnym z moimi intencjami.

25 II 1984

Z listu Tadeusza Hołuja do mnie, do Stanów Zjednoczonych, gdzie wówczas przebywałem jako *visiting profesor*.

„Nasz ośrodek »Krakowska Kuźnica« prosperuje całkiem nieźle. Gościliśmy u siebie Górnickiego, Urbana, Bobrowskiego, Łopatkę, Świrgonia, Kubiaka i innych kompetentnych ludzi, z różną frekwencją; zgłaszają się ciągle nowi „uczestnicy”, ale w gruncie rzeczy aktyw jest nadal wąski i zapracowany. Dotyczy to także

mnie, zwłaszcza że musiałem się podjąć prezesury ZLP w Krakowie. [...]

Pomysłów, jak widzisz, nie brak nam nigdy, w „Kuźnicy” też one powstają. Chcemy np. zaproponować „Pegaz”, który pokazałby na krakowskim przykładzie, że „mimo wszystko” to coś się robi w kulturze. Chodzi o wyzwanie pod adresem pasywistów, organizujemy drugi konkurs recytacyjny dla licealistów, sesje o Łunaczarskim itp. Moja prywatna teoria „kropli wody” drażnącej oporną materię rzeczywistości chyba się sprawdzi, byle tych kropli było więcej, byle rychło połączyły się w strumień. Czuję się stary, naprawdę, i chciałbym jeszcze dożyć widoku takiego strumienia. Brzmi to bardzo poetycznie, ale to szczerą prawdą. Pocięszam się, że my „kuźniczanie” zrobiliśmy co nieco w tym kierunku, choć nie zawsze byliśmy doceniani.

25 VI 1984

Pierwsze rozmowy w „Kuźnicy” po powrocie ze Stanów. Zainteresowanie, życzliwość – nie wiem, czy u wszystkich szczerą. Dużo odporności trzeba, by nie tracić postawy, z jaką się przyjechało. Szczególnie – odporności wobec objawów małości ludzkiej, która teraz dochodzi do mnie z różnych informacji, z oczekujących na mnie listów. Jak potraktować krótki, na małej kartce anonim informujący o właściwym autorze (z kręgu „Kuźnicy”) napaści w „Szpilkach” na naszą *Historię literatury polskiej w zarysie*?

8 X 1984

Duże zdegustowanie po dzisiejszym zebraniu członków „Krakowskiej Kuźnicy”. Niewiele pozostało z klimatu tamtej „Kuźnicy”. Ciężka atmosfera, dyskusja niby jakaś była, nawet dosyć żywa. Brak wielu członków, którzy zwykle coś ciekawego wnosili. Dyskusja bardziej przypomina rejestr żalów i pretensji, także wzajemnych między członkami. Wystąpiłem – jestem niezadowolony – chyba zbyt „lirycznie”, zostałem chyba źle zrozumiany.

14 XII 1984

Bardzo niemądra jest ta część naszej partii, która ma prawo decyzji. Podcięła „Kuźnicę”, a właściwie ją ścięto. Cudem prawie i wbrew życzeniom władz do KC włącznie udało nam się cokolwiek wybronić w formie „Krakowskiej Kuźnicy”, co już nie jest to samo. A tymczasem autentyczne rozmowy, przy szerokim audytorium odbywają się w KIK-u.

Przerażająca jest ta niezdolność przewidywania skutków politycznych decyzji nawet na dwa, trzy lata naprzód. Podobnie jest z ustawą o szkołach wyższych.

9 II 1985

Wczoraj spotkanie z Mikołajem Kozakiewiczem. Najpierw w redakcji „Zdania”, gdzie omawialiśmy z nim przeprowadzenie kolejnej rozmowy w cyklu „Trzech na jednego”. Po godzinie – spotkanie z nim w „Krakowskiej Kuźnicy” na wieczorze, którego on był gospodarzem. Mówił o problemach szkoły, wychowania, państwa.

Jego propozycje dotyczące tych kwestii (a była to „prapremiera” referatu przygotowanego na konferencje w Warszawie) spotkały się na ogół z dużą krytyką. Kilka głosów, krótkich, mniej pogłębionych, ogólnych popierało go. Ciekawsze wystąpienia były w opozycji do tego jego referatu.

To co zaproponował Kozakiewicz, było w znacznym stopniu schlebaniem popularnym nastrojom mało mającym wspólnego z poczuciem odpowiedzialności wobec różnych powikłań naszego czasu. Niby on nie oceniał naszej współczesności, ale w jego propozycjach programowych *implicite* tkwiła pewna jej ocena – moim zdaniem – nietrafna, błędna.

17 III 1985

Przedwczoraj spotkanie w „Kuźnicy” z Kazimierzem Barcikowskim. Atmosfera rzeczowości, powagi. Żadnych ułatwień w myśleniu i mówieniu. Przeżywamy okres załamania się społecznego dialogu po zabójstwie ks. Popiełuszki. Diagnoza Barcikowskiego potwierdza obserwacje i odczucia zauważalne w naszym życiu na Uniwersytecie, w Krakowie w ostatnich paru tygodniach. Prosiłem Barcikowskiego o wystąpienie na łamach „Zdania” w cyklu „Trzech na jednego”. Zgodził się.

10 V 1985

Dzisiaj, gdy wszedłem do „Kuźnicy”, przestraszyłem się wyglądem Tadeusza Kwiatkowskiego. Poraniona nasada nosa, podbite oczy. Napadli go i okradli. Stał na przystanku tramwajowym. Czekał na tramwaj. Zatrzymał się przed nim samochód osobowy. Zaproponowali, że go podwiozą. Gdy już byli na ulicy Rydla, kiedy sięgał do kieszeni by zapłacić, został uderzony w twarz, w tył głowy, stracił przytomność.

25 V 1985

Wczoraj w „Kuźnicy” spotkanie z Janem Dobraczyńskim. Przyszło dużo ludzi. Wiele nowych twarzy. Dobraczyński w słowie wprowadzającym do rozmowy nie zaprezentował się błyskotliwie jako mówca, jako gawędziarz, ale w sumie, gdy weźmie się pod uwagę także późniejsze jego odpowiedzi na pytania – wypadł po prostu uczciwie i w sposób budzący zaufanie do jego postawy.

Parę słów o dyskusji. Miała ona bardziej PRON-owski niż „kuźnicowy” charakter. Dwie wypowiedzi zwróciły moją uwagę. Jedna z nich należała do osoby, która przedstawiła się jako założyciel „Solidarności” w Okręgu Małopolska. Był internowany. Powiedział swoje nazwisko, ale nie dosłyszałem, nie zapamiętałem. Słuchałem go z ciekawością, bo jego działalność przypadła na czas mego pobytu w Meksyku i ludzi podobnych do niego nie miałem okazji obserwować bezpośrednio.

To co i jak mówił, sprawiło ujemne wrażenie. Chaos myśli, zatracenie hierarchii spraw, eliptyczność stylu do granic niezrozumienia tego co mówi; a był to człowiek inteligentny, nie zwykły robotnik.

Druga wypowiedź należała do mężczyzny przedstawiającego się jako „uczony”. Jest doktorem (na AWF). Upominał się o krzyże w salach przedszkola. Mówił o stu kilkudziesięciu podpisach, które zebrał pod żądaniem ich zawieszenia. Wielokrotnie wstawał i powtarzał swoje *ceterum censeo*.

4 VI 1985

W piątek, ostatni dzień maja odbyło się wręczenie prof. Suchodolskiemu Nagrody Kowadła. Miły, udany, interesujący wieczór. Przygotował poważny, nie zdawkowy wykład. Frekwencja pod względem liczby osób dopisała. Ale my, organizatorzy, wiemy, że wielu zaproszonych nie przyszło. Wystaliśmy zaproszenie do rektorów krakow-

skich uczelni, do wielu profesorów o podobnych czy zbliżonych zainteresowaniach. Nie przyszli. Nie wiem, czy nasz Laureat o tym myślał. Ale myśmy myśleli.

15 VI 1985

Wczoraj w „Kuźnicy” wieczór z Rakowskim. Trwał ze trzy godziny, a gdyby pozwolić jeszcze na dalsze stawianie pytań, trwałby i dłużej. Mówił o dwóch kompleksach, jakimi obecnie obciążona jest władza: braku wiarygodności i braku szerokiego poparcia.

Słuchając go odnosiłem wrażenie, że te kompleksy przeżywane są nadmiernie i paraliżują energię działania i potrzebne inicjatywy. A może gorzej: usprawiedliwiają wstrzymanie się od nich. Raczej oczekiwałoby się od władzy nie przeżywania kompleksów, lecz więcej śmiałej myśli i skutecznego działania. Obawiam się, że świadomość owych kompleksów, myślenie i mówienie o nich może być niekiedy parawanem, za którym kryje się kunktatorstwo, asekurantstwo, konformizm, u wielu karierowiczostwo.

29 VIII 1985

Wczoraj długa się rozmowa z Lodą Hołujową. Jeszcze w oczekiwaniu na badania, analizy. Tadeusz ożywia się „na siłę”, gdy ktoś przychodzi i wtedy nawet nie można się zorientować w jego prawdziwym stanie.

Jest bardzo słaby, ciągle śpi, nie chce (nie może?) czytać, nie mówiąc już o pisaniu. Tu i słabość ręki daje znać o sobie. Nie może ustać na nogach.

Musimy być przygotowani w najlepszym razie, a mam nadzieję, że tak będzie, na jego kilkumiesięczną, może półroczną nieobecność. Bardzo będziemy odczuwać jego brak.

6 IX 1985

Telefon od Lody Hołujowej upewnił mnie – niestety – że Tadek ma nowotwór – ponad wszelką wątpliwość. Zostało to stwierdzone. W lewym płucu, w pobliżu serca i aorty, z przerzutami do mózgu, które są właśnie powodem tych paraliżopodobnych objawów. Hołujowa myśli o wywiezieniu go na leczenie do Szwecji.

26 X 1985

W samolocie z Sofii do Warszawy, z gazety podanej przez stewardessę dotarła do mnie informacja, której się obawiałem, a równocześnie podświadomie oczekiwałem od pewnego czasu: zmarł Tadeusz Hołuj.

Pogrzeb w poniedziałek 28 bm. Oczekują, że przemówię nad trumną w imieniu „Kuźnicy”. „Życie Warszawy” prosi o tekst o Hołuju.

Układam, układam w myśli to, co powiem nad trumną. Głównie o tym, kim był dla nas, „kuźnicowego” środowiska jako człowiek, jako osobowość. Jako człowiek lewicy o szerokich humanistycznych horyzontach i tym stylu myślenia, który doprowadził do powstania „Kuźnicy”, do jej klimatu, stosunków w niej panujących. Właśnie mija dziesięć lat od jej powstania. „Kuźnica” była Jego dziełem. On nadał jej cechy, które płynęły z Jego osobowości. Chciał stworzyć miejsce przyjaznych spotkań i szczerych rozmów ludzi lewicy. Dzięki Niemu głównie udało się to zrobić. Do „Kuźnicy”, która była Jego drugim domem, wnosił właściwą temu miejscu atmosferę. „Kuźnica” – to styl myślenia, to sposób bycia pewnego typu ludzi polskiej lewicy współczesnej.

29 X 1985

I tak pożegnaliśmy wczoraj Tadeusza Hołuja. Był jesienny, pochmurny, lekko zamglony, wilgotny dzień. Zimno, przenikliwy ciąg chłodnego, wilgotnego wiatru.

Ceremonia w domu przedpogrzebowym. Były drobne (czy takie drobne?) zacięcia z wartą przy trumnie, którą wystawiali przedstawiciele ZG ZLP z Warszawy. Spóźnili się, bo jeszcze po drodze na cmentarz – jak wyjaśniali – musieli coś załatwić(!).

Byli: Rakowski, Żygulski; przemawiali kolejno: Gajewicz, Nawrocki, Meysztowicz, Kłodziński, ja (odpowiednio: reprezentant władz miasta, władz centralnych, ZLP, Oświęcimaków, „Kuźnicy”).

Moje słowo nad trumną Tadeusza Hołuja:

Zostawił nam Tadeusz piękny, udany dar: „Kuźnicę”. Był do niej bardzo przywiązany. Nadawał jej nie mniejszą rangę niż własnej twórczości literackiej. Była również jego utworem, jego dziełem.

To dzięki wkładowi Jego osobowości miała „Kuźnica” – w swych najlepszych przejawach – własny, rozpoznawalny styl. Był on odbiciem stylu Tadeusza: rzetelna wierność socjalistycznym ideałom i humanistyczna wrażliwość na wszystkie ludzkie wartości; tolerancja dla różnych sposobów myślenia i stanowcza obrona wartości socjalistycznych, gdy były one zagrożone; mówienie pełnym, niezafałszowanym, czystym głosem o sprawach najtrudniejszych, najbardziej skomplikowanych sprawach naszego życia i troska o klimat życzliwej przyjaźni wśród towarzyszy; konsekwencja między myślą, słowem i czynem; charakter, odwaga cywilna, przestrzeganie zasad „fair play”.

Niełatwo będzie prowadzić „Kuźnicę” w wytyczonym przez Niego kierunku. Nikt nie wypełni pustki spowodowanej Jego odejściem. Nikt nie potrafi wprowadzić tego, co on wnosił do „Kuźnicy”, którą traktował jak swój drugi dom.

My, których zaszczytnym i szczęśliwym udziałem była bliska z Nim współpraca, możemy tutaj tylko przyrzec, że zrobimy wszystko co będzie w naszej mocy, by nie zmarnować tak pięknie i niepowtarzalnie rozpoczętego przez Niego dziesięć lat temu dzieła. Nakaz ten traktujemy jako obowiązek spełnienia ważnej części Jego testamentu.

Rakowski przyjechał nieoczekiwanie. Pierwotnie i Gajewicza miało nie być. Coś tam od dnia śmierci zmieniało się, przesuwano, wymuszało w kierunku nadania właściwej rangi pogrzebowi i pełniejszego mówienia o „Kuźnicy” (początkowo zupełnie przemilczanej). Te wszystkie drobne manipulacje, postępowanie prasy krakowskiej, a także – z drugiej strony – dołączanie się do żałobnego chóru pewnych osób, rozmieszczanie akcentów – to wszystko budziło niesmak. Tak pewno jest zawsze, tylko ja zetknąłem się z tym po raz pierwszy tak bezpośrednio.

Po pogrzebie spotkaliśmy się w „Kuźnicy”. Dłuższe milczenie przerwał Rakowski. Wspominał Tadeusza, swój wieczór w „Kuźnicy” i szybko przeszedł do siebie, mówił o sobie, o swoim niepokoju na myśl o śmierci itd...

Wieczorem spotkanie pogrzebowo-imieninowe (bo akurat wczoraj było Tadeusza) u Lody Hołujowej. Ofiarowała mi egzemplarz ostatniego tomiku jego wierszy – *Powrót*. Z dedykacją: „Kraków 28 X 85. Drogiemu Przyjacielowi mego najdroższego męża Loda Hołujowa. Kraków, w dniu jego imienin najsmutniejszych!”

Obecny był również Stanisław Bębenek. Opowiadał o swym niedawnym pobycie w Moskwie. Powiedział, że ostatnio wstrzymano przekład książki Hołuja za to, że współpracuje ze „Zdaniem”.

30 X 1985

Wczoraj pierwsze zebranie Rady „Kuźnicy” bez Tadeusza. Zwołane jeszcze za Jego życia. Prowadził je Janek Güntner – dość niezręcznie. Wywoływał niepotrzebne proceduralne spory, zaciętrzewiał się. Od razu odczułem brak Tadeusza i pomyślałem, że nawet w takich prostych sprawach jakoś to nam bez niego źle idzie.

Pojawiła się też komplikacja stworzona przez „Gazetę Krakowską”, która z miejsca wystąpiła z pomysłem nadania „Kuźnicy” imienia Tadeusza Hołuja. Wysunięto liczne i uzasadnione wątpliwości. Aż do uwagi, że przecież nie wiadomo jak długo będzie „Kuźnica” istniała. Co innego nazwanie ulicy Jego imieniem, może biblioteki (ale niech to wyjdzie od jej pracowników), wmurowanie tablicy upamiętniającej Jego obecność w Krakowie. Wątpliwości nie budził pomysł nadania Mu pośmiertnie „Nagrody Kowadła” i zorganizowanie poświęconego Mu wieczoru w przeddzień Jego urodzin, 22 listopada.

Dzisiejsze kolegium redakcyjne „Zdania” w całości było poświęcone omówieniu listopadowego numeru, w którym znajdują się materiały dotyczące Tadeusza: Jego inedita, wypowiedzi grupy osób o Nim, mój szkic o Jego twórczości, recenzja tomiku poezji pióra Próchnickiego.

19 XI 1985

Na zbliżający się wieczór w „Kuźnicy” poświęcony Tadeuszowi wysłaliśmy zaproszenia do Jego kolegów-pisarzy, m. in. do Jerzego Turowicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Stefana Kisielewskiego. Ciekaw jestem, jak zareagują. Józef Szajna nadesłał słowo o Tadeuszu dla „Zdania” w formie „Spóźnionego listu” załączając fotos z przedstawienia *Pustego pola* w Nowej Hucie.

22 XI 1985

Odbył się dzisiaj wieczór poświęcony Tadeuszowi Hołujowi, zgodnie z opracowanym wcześniej programem. W pokoju biurowym „Kuźnicy” i naszym redakcyjnym wystawione były – staraniem Biblioteki Miejskiej – gabloty z książkami Hołuja. W „czerwonej sali” – fotografie ukazujące Go w różnych okresach życia. Wspomnienia o Nim wygłaszane przez obecnych przeplatane były taśmą magnetowidową i głosem z taśmy magnetofonowej. Na zakończenie odbyło się pośmiertne wręczenie „Kowadła” na ręce Lody Hołujowej.

Niektórzy – jak to często bywa w takich okolicznościach – mówili raczej i zbyt dużo o sobie (Machejek, Fejkiel). Nie obyło się bez gąfy. Przedstawiciel władz miasta przekazywał portret Hołuja pędzla Stanisława Wiśniewskiego Muzeum Historycznemu Miasta Krakowa. Powiedział przy tym, że Muzeum gromadzi portrety wszystkich prezesów „Kuźnicy”, że jest tam już portret pierwszego jej prezesa, Władysława Machejka.

A jednak nie przyszli, ani nie odpowiedzieli w inny sposób na nasze zaproszenie. Dłoń „Kuźnicy” po człowieczemu wyciągnięta, została zawieszona, nie podjęta. Stefan Kisielewski, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turowicz – nikt z nich nie odpowiedział w żaden sposób, nawet w takim momencie, w momencie naszej żałoby po odejściu także ich Kolegi-Pisarza.

Mogłem oczekiwać, że żaden z nich nie przyjdzie. Ale tak: nawet słowa nie przesłać, choćby oświadczenia, dlaczego nie mogą przyjść, co im nie pozwala wejść do „Kuźnicy” – jeśli o to chodziło. Umarł polski pisarz, ich osobisty znajomy, nie bez znaczenia dla polskiej kultury, mocno związany z krakowskim środowiskiem literackim.

Pewno świadczy to o mojej wielkiej naiwności, ale wypatrywałem, czy któregoś z nich nie ma. Staratem się być wcześniej, by powitać i zająć się przybyłym. Jeszcze potem, gdy wieczór się już zaczął i wchodzili nieliczni spóźnialscy, odwracałem głowę, czy to nie któryś z nich.

7 I 1986

Jak można było przewidzieć, po śmierci Tadeusza, po odczekaniu pewnego czasu pojawiły się pierwsze oznaki aktywności niektórych naszych „przyjaciół”. Wydział Kultury KK zwrócił się o dane potrzebne do analizy działalności „Kuźnicy”.

28 II 1986

17 lutego spotkanie w „Kuźnicy” z Wiesławem Górnickim. Zatrzymał się głównie na kontaktach międzynarodowych i wyjazdach gen. Jaruzelskiego do północnej Afryki, Indii, Francji, Kuby, ONZ, do ZSRR.

5 III 1986

Telefon do „Polityki”. By się upewnić, czy przyjeżdżają do „Kuźnicy”. Będą trzynastego w składzie: Bijak, Passent, Szeliga, Pietrasik.

14 III 1986

Wczoraj w „Kuźnicy” spotkanie z zespołem „Polityki”. Niezwykle udane. Tak pod względem frekwencji (kilkadziesiąt osób, „czerwona sala” wypełniona po brzegi, wraz ze „schodami do nikąd”, nie tylko członkowie „Kuźnicy”). Redakcję „Polityki” reprezentowali: Jan Bijak, Daniel Passent, Zygmunt Szeliga, Adam Krzemiński. Dzisiejsza prasa krakowska przynosi obszerny sprawozdania z tego wieczoru. Było wiele ważnych pytań, nie zdawkowych na nie odpowiedzi. O klimacie i znaczeniu spotkania niech świadczą słowa z obszernego omówienia w „Dzienniku Polskim”: „Aż tylu chętnych do dyskusji?! Chyba z klubu nie wyjdziemy... Tylko jak w »Dzienniku« zrelacjonować spotkanie, jak oddać choćby jego ducha – słowa: »niezwykle ożywiona rozmowa« trącać przecież wyświechtanym sloganem. Spisać wszystko jednak nie sposób! A przecież warto i trzeba zwrócić uwagę na zadziorność i wielką kulturę tej czterogodzinnej rozmowy” (Teresa Bętkowska). I zakończenie omówienia tego spotkania na łamach „Gazety Krakowskiej”: „Mija trzecia godzina dyskusji o najważniejszych sprawach Polaków. Dyskusji pouczającej i ciekawiej. Szkoda tylko, że gospodarz spotkania prof. Marian Stępień pośpiesznie dąży do finału twierdząc, że warszawskich gości czeka powrót do stolicy i stąd konieczność ograniczenia czasu wystąpień” (Janusz Hańderek).

16 III 1986

Konsul radziecki ma pretensję, że nie był powiadomiony o spotkaniu z „Polityką” w „Kuźnicy”. Ciekawią go nasze spotkania i dyskusje. Był na wieczorze z Górnickim. Adam Walkowski pyta mnie, co ma mu powiedzieć, gdy wstąpi w poniedziałek do „Kuźnicy”, bo umówił się

w niej z nim Regucki. Odpowiedziałem, że jeżeli będzie się przymawiał o zapraszanie na nasze spotkania, to trzeba go zaprosić. Jeśli konsul radziecki zechce zorientować się, o czym i jak w „Kuźnicy” się mówi – informatorów na pewno znajdzie. Lepiej niech sami to zobaczą i usłyszą, niżby mieli korzystać ze zniekształconych przekazów usłużnych informatorów.

9 IV 1986

Wczoraj dyskutowaliśmy w „Kuźnicy” nad raportem o stanie kultury. Bardzo pesymistyczny ten raport. Dobrze, że powstał, chociaż ma niewątpliwie luki.

My mamy raporty, my umiemy sporządzać raporty o stanie... Jaki wspaniały był kiedyś raport o stanie oświaty. I co dalej? Ciągłe to utożsamianie analizy problemu z jego rozwiązywaniem. Ciągłe niemoc w wyciągnięciu wniosków z analiz i w doprowadzaniu ich do realizacji. Zalewają nas dokumenty kolejnych posiedzeń plenarnych KC, debat parlamentarnych, różnych spotkań i narad, a wyniki jakże niewspółmierne. Drepczemy w kółko, kręcimy się w zaczarowanym kręgu słów. Dlaczego? Czy ludzie nieodpowiedni? Pewno i to. Ale to chyba nie jedyna przyczyna. Gdzieś wprowadzone są, wmontowane, hamulce, które blokują, zniechęcają, odkładają na później...

14 IV 1986

W południe poszedłem do „Kuźnicy”. Bardzo smutny, przygnębiający widok. W nocy z soboty na niedzielę było tu włamanie. Paru milicjantów w cywilu wykonuje swoje czynności. Do redakcji jeszcze nie można wejść. Zdemolowana szafa, powyrywane drzwi, zabrane kasetki z pieniędzmi, z bufetu zabrana wódka. Na koniec wypili szampana. Było to trzech ludzi, najprawdopodobniej młodych, napad miał charakter rabunkowy. Dopiero jutro zobaczę, w jakim stanie jest lokal redakcyjny.

13 V 1986

W Warszawie zastałem wiadomość, że dzwonił Andrzej Urbańczyk i prosi o kontakt. Dzwonił ponownie przekazując skrótową informację, że egzekutywa KK poświęciła nieco czasu „Kuźnicy”, a na marginesie jej analizy – również „Zdaniu”.

Bliższe szczegóły opowiedział mi Adam Walkowski, który był u mnie wczoraj wieczorem, zaraz po moim przyjeździe. O tym, że będzie ocena „Kuźnicy” na posiedzeniu egzekutywy w czwartek 8 maja, poinformowano „Kuźnicę” dzień wcześniej, w południe. Ja byłem wtedy w KC, w Warszawie, by rozmawiać o fragmencie programu partii na X Zjazd.

Z relacji Adama wynika, że przebieg dyskusji o „Kuźnicy” był względnie korzystny dla nas do momentu, w którym się włączył gen. Gruba, komendant wojewódzki MO. Poddał w wątpliwość sens istnienia „Kuźnicy” wobec działania różnych klubów twórczych. Sugerował, że w „Kuźnicy” wypowiedzane są opozycyjne opinie. Przy okazji zatrzymano się też nad „Zdaniem”. Wyrażono kilka wątpliwości pod jego adresem i jego związków z „Kuźnicą”.

Niby nie było wniosków, decyzji (poza zapowiedzią powrotu do sprawy i oczekiwaniem na program „Kuźnicy”), ale pozostała nieprzychylna, podejrzliwa atmosfera wobec „Kuźnicy”, przyjęta przez zupełnie nie zorientowane w sprawie grono.

16 X 1986

W „Kuźnicy” odbyły się dwie bardzo różne, ale równie udane imprezy. Pierwsza z nich – to spotkanie z rektorem UJ, Józefem Gierowskim. Trwała trzy godziny, była żywa dyskusja, na dobrym poziomie, chociaż nie wolna od nieporozumień (wystąpienie Ewy Żarneckiej-Białej w obronie adiunktów).

Druga – to jubileuszowe, przyjacielskie spotkanie z Julianem Kawalcem, które upłynęło w sympatycznej, nieskrępowanej atmosferze.

Niemniej, przy takich właśnie okazjach widać utrzymujący się podział literatury, pisarzy. Wiadomo, kogo się spotka, a kogo nie spotka się na pewno. Kiedy tak patrzy się na salę podczas podobnych spotkań, doznaje się uczucia zasmucenia. Tym bardziej że z upływem czasu rośnie nie tyle zatwardziałość, ile zależność od pewnych powiązań i źródeł, z którymi rozstać się trudno; zarówno ze względu na zaszczyty, jak i na wymierne bieżące korzyści. Zdarzają się w tym podziale niewielkie wyłomy, ale są one naprawdę niewielkie, a poza tym nie tak nieoczekiwane.

Tracimy na tym wszyscy; kultura polska, literatura współczesna, ludzie ją tworzący, ale impas trwa i nie ma – jak dotychczas – na to rady.

Organizujemy w pierwszej połowie listopada sympozjum literackie. Będzie ono wkomponowane w Krakowskie Dni Literatury, w obchody pamięci Tadeusza Hołuj. Zaprosimy referentów i uczestników różnych orientacji politycznych i ideowych. Zobaczymy, kto przyjdzie. Wiele się po tym nie spodziewam, ale próbować trzeba.

12 XI 1986

Przedwczorajsze sympozjum krytycznoliterackie w „Kuźnicy” mało udane. Dyskusja najpierw rozpoczynana z dużym trudem, potem tocząca się na marginesie. „I po cóż się tak trudzisz...”

W przerwie sympozjum – odsłonięcie tablicy ku czci Tadeusza Hołuj. Marian Konieczny wykonał ją – szybko, bezinteresownie, z ujmującą gotowością i pięknie. Już mniej pięknie zachowało się przedsięwzięcie, które odlewało i instalowało tablicę na ścianie kamienicy w Rynku Głównym 25, gdzie mieści się „Kuźnica”: wysokie koszty, gigantyczne narzuty – bez ograniczeń i z pełną dowolnością. A najmniej pięknie – tak zwane czynniki oficjalne. Ileż różnych starań, telefonów, wyjazd do Warszawy, by spowodować przyjazd kogoś ważnego na tę uroczystość. Ile niepewności kto będzie z Krakowa, ile wahań u ludzi, których powinnością jest wspieranie takich inicjatyw i sprzyjanie im. Nie było np. mimo starań pocztu sztandarowego partii. Dzwoniliśmy gdzie trzeba; odpowiedź: nie ma decyzji... Były sztandary ZBoWiD-u, Oświęcimaków, drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki. Partyjnego sztandaru nie było... Tablicę odsłonił wiceminister Kultury i Sztuki Tadeusz Zachariasiewicz.

Najważniejsze, że wisi ta tablica, odsłonięta w pierwszą rocznicę śmierci, siedemdziesiątą urodzin Tadeusza. Nikt nie zna wszystkich okoliczności. Może uda się i nam o nich zapomnieć.

Potem wieczór w domu Tadeusza.

5 VII 1987

Spotkanie z delegacją pisarzy chińskich. Bardzo byli zainteresowani tematyką „kuźnicowych” wieczorów. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele gazet codzien-

nych oraz pism społeczno-kulturalnych. Był to miły, pełen wspomnień o Chinach wieczór. Ale kiedy zacząłem mówić o poznanej w Szanghaju Li Jing, przewodniczącej i tłumaczącej naszej kiedyśmy byli w Chinach, tłumaczka Irena Sławińska z Warszawy tego naszym gościom nie przetłumaczyła mówiąc, że lepiej o niej w tak korzystnym świetle nie mówić, bo to może jej zaszkodzić.

5 VIII 1987

1 sierpnia, w sobotę w „Kuźnicy” odbyło się spotkanie z zastępcą redaktora naczelnego „Litieraturnej Gaziety”, J. Porojkowem. Pikanterii temu spotkaniu dodawał fakt, że przed laty (chyba w 1982 roku) byłem „bohaterem” tej gazety, kiedy to niejaki Zoppi przeprowadziwszy ze mną rozmowę poddał ją potem – w nielojalnym przekazy – krytyce, podobnie jak moją działalność w „Kuźnicy” i w „Zdaniu”. A teraz oto proszą o spotkanie. Powiedziałem o tym wszystkim, zresztą żartobliwie, ze śmiechem i raczej z braku innych tematów do rozmowy, która wyraźnie się nie kleiła. Odpowiedziano, że to wszystko już jest „prehistorią”. Teraz jest „pieriestrojka”.

5 X 1987

W „Kuźnicy” pokaz owego, słynnego już radzieckiego filmu *Pokuta*. Dobry, poruszający; ma też słabe strony. Pomieszenie groteski, realizmu i nadrealizmu (fantazji sennej) nie zawsze jest szczęśliwe. Niepotrzebnie uniwersalizuje problem, co – w tym przypadku – oznacza jego złagodzenie (mimo że mogłoby się wydawać inaczej), bo wychodzi poza Związek Radziecki. Główny bohater jest ustylizowany bardziej na włoskiego faszystę (ale z hitlerowskim wąsikiem) niż na tępego oprawcę czasów stalinowskich. Może to wszystko tak musiało być, bo inaczej film by się nie ukazał? Mniej podobały mi się sekwencje końcowe filmu. Przeciągnięte, przegadane, przekrzywane.

Poruszająca jest scena poszukiwania przez kobiety imion swych mężów na pniach drzewnych ścinanych przez nich na zesłaniu. Dobry jest pomysł z owym powracającym trupem, aczkolwiek ma on w sobie coś z azjatyckiej mentalności i kojarzy się z przenoszeniem zwłok Stalina.

9 XI 1987

W piątek, 6 listopada przed południem odbyło się w „Kuźnicy” sympozjum nt. *Dalekie drogi literatury polskiej (o twórczości literackiej na emigracji)*. Wygłosiłem słowo wprowadzające i prowadziłem to sympozjum, na które miały się złożyć trzy referaty i dyskusja. Miały się złożyć, bo Włodzimierz Pawluczuk, który miał przedstawić referat *Świat Stanisława Vincenza* nie zjawił się. Poszukiwania telefoniczne w domu i w jego instytucie nie dały rezultatu. Potem, już dość późno, przyszła wiadomość, że zabrało go pogotowie.

Referaty wygłosili: doc. Eugeniusz Czapplewicz (*Literatura emigracyjna jako fenomen polskiej kultury*) i Andrzej Kurz (*Doświadczenia Wydawnictwa Literackiego w wydawaniu dzieł pisarzy emigracyjnych*).

Pierwszy z nich przedstawił główne tezy swego niedawnego artykułu zamieszczonego w „Poezji”. Tezy ciekawe, inspirujące, ale i dyskusyjne tam, gdzie zbyt łatwo przechodzą ponad różnicami między dziewiętnastowieczną literaturą emigracyjną a współczesną. Wywołały ożywioną dyskusję.

Również interesujący (w inny sposób) był referat Andrzeja Kurza, który informował o różnych szczegółach „od kuchni” towarzyszących wydawaniu utworów pisarzy emigracyjnych.

Następnego dnia rano (w sobotę) byłem umówiony z Andrzejem Wasilewskim w Warszawie. Spędziłem u niego ze dwie godziny na ważnej rozmowie o problemach kulturalnych Krakowa i – co było dla mnie najważniejsze – o przywróceniu „Kuźnicy” rangi Stowarzyszenia.

12 XII 1987

Dwa dni temu, od popołudnia do późnego wieczora trwała w „Kuźnicy” dyskusja panelowa z cyklu Spór o pojęcia podstawowe, nt. *Socjalizm i reformy*. Organizowana wspólnie z redakcją „Zdania”. Piątka panelowa: Kubiak, Kurz, Łagowski, Rydzewski i ja. Mieli być jeszcze Stefan Opara i Mariusz Gulczyński. Zaproszenie przyjęli, hotel się załatwiło. W przeddzień spotkania telefonicznie odwołali swój przyjazd.

Były duże słabości tej dyskusji. Retoryka nie wolna od powtórzeń. Mało odkrywczosci w diagnozie i ocenie przeszłości – nic nowego. Bezradność intelektualna co do nowych rozwiązań na przyszłość. Duża gadulstwa. Oczywiście, ta ocena dotyczy także i mojego udziału w spotkaniu.

21 XII 1987

Spotkaliśmy się w gronie aktywniejszych członków „Kuźnicy”, by zastanowić się nad krokami zmierzającymi do podniesienia jej rangi. Od dawna pojawiły się pomysły, by powrócić do statusu stowarzyszenia, jak to było przed fatalną i bardzo niemądrą decyzją Biura Politycznego z grudnia 1983 roku, która nas – ku sztychom opozycji politycznej – rozwiązywała.

We wprowadzeniu zarysowałem trzy teoretyczne możliwości:

1. Pozostawić tak, jak jest.
2. Rozwiązać klub „Krakowska Kuźnica” z równoczesnym zarejestrowaniem Stowarzyszenia „Kuźnica”.
3. Poszukiwać drogi pośredniej, z zachowaniem klubu dotowanego przez miasto, a wewnątrz klubu zwiększyć samodzielność jej członków poprzez np. wybieralność władz etc.

W dyskusji najwięcej osób opowiadało się na rzecz ostatniego rozwiązania, z uściśleniem wprowadzonym przez Włodka Rydzewskiego, który proponował pozostawienie klubu i oddanie go do dyspozycji utworzonemu stowarzyszeniu. Szczegóły do późniejszego omówienia.

Ku dużemu zdziwieniu Hieronim Kubiak – gorąco i emocjonalnie – zalecał zachowanie obecnego stanu. Jego opinia została odebrana jako pośrednia obrona samego siebie i własnego stanowiska zajętego w dramatycznym dla nas momencie w grudniu 1983 roku. Ale wtedy jako członek Biura Politycznego musiał być lojalny wobec jego uchwał.

17 I 1988

12 bm. rozmowa z Gajewiczem w sprawie „Kuźnicy”. Konkluzja: Powstanie Stowarzyszenie Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”. Jego siedzibą będzie Ośrodek Kultury „Krakowska Kuźnica”. W ten sposób Stowarzyszenie będzie zwolnione z wszystkich materialno-finansowych kłopotów.

Żał tylko, że Tadeusz tego momentu nie doczekał. Pośrednio bowiem w ten sposób wydaje się oficjalnie negatywną opinię o niefortunnej decyzji Biura Politycznego rozwiązującej „Kuźnicę”.

Wieczorem w ośrodku Krakowskiej Telewizji oglądałem program zmontowany z nagrania naszego panelu *Socjalizm i reformy*. Z trzygodzinnej dyskusji powstał półgodzinny program. To co zobaczyłem, wydało mi się wartościowe. Żywe, z pasją, z energią, z pewnym ładunkiem myśli. Słabością tej audycji jest to, co było słabością naszej dyskusji: jesteśmy silniejsi w diagnozowaniu, słabsi w propozycjach pozytywnych rozwiązań.

„Gazeta Krakowska” opublikowała komunikat o przyznaniu nagrody imienia Tadeusza Hołuj. Przyznano ją Bohdanowi Czeszce, Stanisławowi Hadynie i – mnie.

4 III 1988

Nasza dyskusja *Reformy i socjalizm*, w skrócie ukazana w programie telewizyjnym zrobiła, zdaje się, nie najgorsze wrażenie, skoro dziś do „Zdania” przyszedł list z Konina o takiej treści:

„Przed chwilą zakończył się w Programie 2. TVP o 20:30 program *Reformy i socjalizm* nadany z »Kuźnicy«. Pomysł znakomity i niezmiernie w takiej formie potrzebny ze względu na istotne postawione pytania i dużą kulturę sposobu prowadzenia dyskusji i zarysowującej się różnicy poglądów, inspirujący niepokój intelektualny u widza. Serdecznie proszę, kontynuujcie dalej ten program, jest on potrzebny, a mój skromny głos w tym liście na pewno nie jest odosobniony. Jestem stałą czytelniczką »Zdania« i bardzo wasz miesięcznik cenię.

Teresa Świąder”

16 IV 1988

Wczoraj odbył się w „Kuźnicy” kolejny, bardzo ważny i równie udany wieczór z prof. Zdzisławem Sadowskim. Sala była wypełniona po brzegi. Jeszcze za otwartymi drzwiami siedzieli i stali goście. Wieczór trwał ponad trzy godziny, a pewno trwałby jeszcze dłużej, gdyby nie to, że gość trochę się spieszył do Warszawy, bo właśnie tego dnia jego żona miała operację, chciał być o 21 w Warszawie (rządowym samolotem). Ale i tak to mu się nie udało, gdyż „Kuźnicę” opuścił o po wpół do dziewiątej.

Miał bardzo dużo do powiedzenia o przygotowywanych reformach gospodarczych. Pamiętam, że na niedawnym Kongresie ZSL gen. Jaruzelski zapowiadał udzielenie specjalnych pełnomocnictw prof. Sadowskiemu w celu przyspieszenia realizacji reformy.

Pamiętam również jego świetne, rzeczowe i wywołujące autentyczne zainteresowanie wypowiedzi w dyskusji o Polsce i jej przyszłości w amerykańskim Aspen Institut, w Berlinie Zachodnim, w której niedawno uczestniczyłem.

Z zadowoleniem przyjąłem obecność rektora UJ Aleksandra Koja. Dla mnie najważniejsze, że „Kuźnica” żyje, że od czasu do czasu skupia zainteresowanych tym, co się w niej dzieje.

23 IV 1988

Wracając wczoraj pociągiem z Warszawy miałem sposobność porozmawiania z Czepielem o „Kuźnicy” i „Zdaniu”. Z niedomówień zorientowałem się, że coś tam już sobie ułożono dzieląc skórę na kilku niedźwiedziach, które są jeszcze daleko w lesie. Będą dążyli do zrealizowania takiego planu: Kubiak będzie rektorem UJ, mnie przydzie-

lono rolę przewodniczącego Stowarzyszenia „Kuznica”, a Lipcowi – stanowisko redaktora naczelnego „Zdania”.

Zdają się nie przejmować tym, jak te propozycje przyjmą zainteresowane środowiska i osoby, także ja. Spodziewają się pewnych trudności, czynią aluzje, sondują, robią podchody. Czeka mnie, widać, trudna rozmowa. Widzę, że chodzi tu o rozegranie czegoś, co ma mało wspólnego z troską o dobro „Kuznicy” i „Zdania”.

Na razie wyjeżdżam: jutro na parę dni do Brna, potem – też na krótko – do Lipska. Do rozmowy więc, pierwszej, poważniejszej, na temat składu członków-założycieli „Kuznicy” dojdzie dopiero po moim powrocie.

21 V 1988

Przedwczoraj na posiedzeniu Rady Naukowej IBL-u. Zaraz po powrocie rozmowa z Czepielem o składzie członków-założycieli Stowarzyszenia „Kuznica”.

Po południu długa i burzliwa dyskusja z częścią Komisji Ideologicznej KC PZPR, która odbywała w Krakowie swe dwudniowe posiedzenie. Waliłem bez ogródek. Wystawiałem ocenę niedostateczną decyzjom politycznym z ostatnich miesięcy. Gorzka to satysfakcja, ale jest w niej coś z moralnego wyrównywania rachunku, gdy mam świadomość, że oto jest chwila, w której bez ogródek mogę powiedzieć władzom partyjnym (a one muszą tego wysłuchać) i to, co myślę o rozwiązaniu „Kuznicy”, i o niefortunnych decyzjach ostatniego czasu, o aparacie partyjnym, o Komisji Kontroli i tropieniu słów przez nią, o cenzurze.

W ramach tego wyjazdowego posiedzenia jedno ze spotkań dyskusyjnych odbyło się w „Kuznicy”, prowadzone przez prof. Jana Baszkiewicza; ze środowiskiem inteligencji. Rozmowa była bardzo burzliwa; dotyczyła roli inteligencji i konieczności jej udziału w rozwoju kraju.

6 XI 1988

3 listopada odbyło się zebranie członków-założycieli Stowarzyszenia Twórców i Działaczy Kultury „Kuznica”.

Dążyłem do tego, by „Krakowskiej Kuznicy” przywrócić rangę stowarzyszenia po niefortunnym rozwiązaniu „Kuznicy” przez Biuro Polityczne KC PZPR w grudniu 1982 roku. Torowałem drogę temu spotkaniu, ustalałem (wspólnie z innymi wiceprezesami) skład osób zaproszonych na nie, myślałem o tym wszystkim jako o finale mojej pracy w „Kuznicy”. Czemu mam jakiś niesmak po spotkaniu 3 listopada? Zapewne to skutek niespodziewanych reakcji niektórych spośród zaproszonych osób.

Jednym projekt statutu i skład proponowanych osób wydały się „za czerwone”, innym – „za mało czerwone”. Jedni byli zdziwieni, że zostali zaproszeni, inni – że nie zostali, jeszcze inni szukali różnych pretekstów, by uzasadnić swą nieobecność.

Najładniej zareagowały osoby z pewnym nazwiskiem – i to mi przyniosło satysfakcję (Barcikowski, Krawczuk, Markiewicz). Najwięcej pretensji, wątpliwości i gotowości do „wybrzydzenia się” przejawili ci, którzy po prostu sami sobą nie tak wiele znaczą.

W niektórych w ciągu ostatnich lat, gdy w „Kuznicy” byli nieobecni, odżyły nagle bardzo lewicowe nastroje i mieli pretensje o „zbyt PRON-owski” projekt statutu i krąg zaproszonych osób. Inni nie przybyli, bo wszystko, co się robi pod firmą „Kuznicy”, jest w ogóle złe, bo nie opozycyjne.

Zaskakujące, niezrozumiałe i właściwie niewytłumaczalne było postąpienie Ignacego Trybowskiego. Od

1983 roku do ostatnich dni był jednym z wiceprzewodniczących Rady Programowej „Krakowskiej Kuznicy”. Po śmierci Tadeusz Hofuja nieśpieszno nam było do obejmowania opuszczonego przez niego miejsca. Postanowiliśmy jako czwórka wiceprzewodniczących wykonywać nadal co do nas należy pod jego nieobecność. Wszyscy byliśmy równi. Okoliczności i wymogi życia spowodowały, że stałem się *primus inter pares*. I właśnie Ignacy Trybowski był jednym z naszej czwórki (obok Janka Güntnera, Tadeusza Kwiatkowskiego i mnie) kierującej „Kuznicą”. Brał udział we wszystkich spotkaniach, w wąskim kręgu, na których ustalało się zasady tworzenia stowarzyszenia, uczestniczył – bardzo aktywnie – w formułowaniu projektu statutu i składu zaproszonych osób na założycielskie zebranie. Podpisywał razem z nami wysyłane do nich zaproszenia. Spotykaliśmy się z nim regularnie i bardzo często. I oto na parę godzin przed zebraniem założycielskim Stowarzyszenia otrzymuję od niego list przekazany przez sekretarkę, datowany 1 XI 1988, w którym pisze, że ze względu na poglądy nie chce być członkiem Stowarzyszenia.

30 XI 1988

Krakowska prasa („Dziennik Polski”, „Gazeta Krakowska” i „Echo Krakowa”), a także „Trybuna Ludu” zamieszcza dziś wiadomość o zarejestrowaniu Stowarzyszenia „Kuznica” i w sposób dosyć rozwinięty informuje o celach jego działalności oraz o składzie osobowym grupy założycielskiej.

21 I 1989

Dzisiaj odbyło się Walne Zebranie Stowarzyszenia „Kuznica”. Pierwsze po jego zarejestrowaniu. Przewodniczyłem mu. Nie kandydowałem na stanowisko prezesa choćby dlatego, że jako od niedawna sekretarz KC PZPR nie powinienem tego robić. Na stanowisko prezesa kandydowali: Hieronim Kubiak i Andrzej Kurz. Większą liczbę głosów otrzymał pierwszy z nich. Kurz został jego zastępcą.

Oto doszło do utworzenia „Kuznicy” w jej pierwotnym kształcie formalnym i randze. Cel, jaki sobie stawialiśmy, został osiągnięty. Po sześciu latach. Były chwile trudne w przetrwaniu czasu, w którym działaliśmy. Wiedzieliśmy, że nie możemy się rozproszyć, że forma działalności, ważna, nie jest jednak najważniejsza. Najważniejsza jest kompozycja naszych osobowości, niezależna od administracyjnych decyzji i treść naszego działania.

Przypominam sobie dzień rozwiązywania nas, naku, byśmy się rozwiązali; nasz bunt przeciw tej decyzji, bunt nieskuteczny, ale będący wyrazem trwałej i stale podkreślanej niezgody na nią.

Teraz oto jako sekretarz Komitetu Centralnego PZPR prowadzę Walne Zebranie Stowarzyszenia „Kuznica”. Poczucie satysfakcji? Może też. Ale jeszcze silniejsze uczucie goryczy. Na myśl o niefortunnych decyzjach władz partii, do której należę; o zmarnowaniu kilku lat; o nieodwracalnych stratach moralnych i politycznych. O zepsuciu czegoś, czego w pełnym zakresie, być może, nie da się już naprawić.

MARIAN STĘPIEŃ

PS.: większe luki w zapiskach są spowodowane dłuższymi wyjazdami zagranicznymi.

PS. 2: Cz. I *Dziennika* w nr. 1-2/2014 „Zdania”

PRZEMYSŁAW TRZECIAK

KOD HANSA MEMLINGA

(cz. II)

***Każda epoka tworzy nowe możliwości spojrzenia,
nowe możliwości recepcji i oddziaływania starych dzieł***

Jacob Burckhardt

Wszelkie obrazy, a szczególnie obrazy niderlandzkie XV wieku, są systemem kodów, znaków umownych, zadanych przez malarza widzowi do rozszyfrowania poprzez interpretację. Oczywiście każda interpretacja jest ryzykowna i zawiera niebezpieczeństwo mylnego rozumienia dzieła. Jednak nie mamy innej drogi do prawdy dzieła, każda bowiem tradycja żyje z łaski interpretacji – jak zauważył Paul Ricoeur.

Sąd gdański jest wyjątkowo bogaty w zakodowane informacje. Starłem się je rozszyfrować w pracy z 1960 roku, ale kilka spraw wówczas pominąłem, skrupowany rygorami pracy naukowej.

Pod prawym skrzydłem Michała Archanioła znajduje się płyta nagrobna, na której malarz napisał: „Anno Domini (MC)CCCLXVII (H)IC IAC(ET)”. Już napis, częściowo zakryty, jest zakodowany, ale uzupełnienie go raczej nie budzi wątpliwości: „Roku Pańskiego 1467. Tu spoczywa...”. No właśnie, kto spoczywa?

Wielu próbowało tę zagadkę wyjaśnić, tym bardziej że to jedyny w obrazie kod literowy, w dodatku umieszczony w eksponowanym miejscu. Kámerer i Weale proponują uznać zrozpaczoną kobietę, siedzącą na płycie, za uosobienie Flandrii, bądź Brugii, optakującej śmierć księcia Filipa III Dobrego, zmarłego w 1467 roku. Po cóż jednak w prywatnym obrazie, wykonywanym na eksport do Florencji, ta żałoba po władcy Niderlandów? Już wówczas, ponad pół wieku temu, sądziłem, że trzeba szukać bliżej, w życiu osobistym fundatorów. Zamknijmy więc skrzydła i skupmy uwagę na parze małżonków Tanich.

Rok wcześniej, w 1466 roku, wzięli we Florencji ślub. Angelo ma już 50 lat, Katarzyna zaledwie 18, ale takie różnice wieku były wówczas na porządku dzien-

nym. Na obrazie tej różnicy nie widać, Katarzyna ma twarz dojrzałej kobiety. Po kilku miesiącach Angelo musi wracać na północ, do swoich obowiązków w Brugii i Londynie. Nie wiemy, czy zabrał młodą żonę, ale czy mógł ją zostawić, i to na długo, bo wróci dopiero za dwa lata, gdy umiera Piero Medici? Płyną zapewne statkiem z Pizy, opływając kontynent. To długa podróż i pełna niebezpieczeństw. Czyhają piraci, na Biskajach szaleją często sztormy.

Co zdarzyło się naszej parze, nie wiemy, ale możemy się domyślać, że cudem uszli z życiem. Mamy na to dwie przesłanki, jedną pisaną, drugą malowaną. Testament Taniego nosi datę: 1467. Kiedy człowiek pisze testament? – Gdy namacalnie zetknie się ze śmiercią, gdy mu coś przypomni, jak kruche jest życie. A dokument malowany? Gdy prześwietlono obraz promieniami rentgena, odkryto, że zostały zamienione miejsca herbów. Pierwotnie herb mężczyzny wisiał na cokole posągu Michała Archanioła, patrona imienia Angelo, zaś herb kobiety pod posągiem Madonny. Czemu to zmieniono? Co łączy Katarzynę z Michałem Archaniołem? Jest to wszak dowódca zastępów niebieskich, anioł karzący i surowy, groźny i wojowniczy. W *Sądzie* gdańskim jest to szczególnie silnie podkreślone. Michał występuje we wspaniałej zbroi, zbierającej refleksy otaczających wydarzeń. Na zewnętrznym skrzydle walczy mieczem z szatanem. Ale oprócz rycerskich spełnia też inne funkcje. W 12 rozdziale *Objawienia* znajdujemy opowieść o walce Archanioła Michała z siedmiogłowym smokiem, pragnącym pochłonąć płód niewiasty, „która miała porodzić”. Ten temat znalazł rozwinięcie w *Kodeksie z Saint Germaine*, gdzie Michał sprawuje opiekę nad kobietami brzemiennymi.

W centrum obrazu Archanioł dotyka końcem swego pawiego skrzydła naszej tajemniczej płyty. Paw uchodził wówczas za ptaka raj, pijącego ze studni żywota wiecznego, u św. Augustyna jest symbolem nieśmiertelności. Wyraźnie widać kolistą pawią wzór, który uważano za odbicie Nieba. Malarz mówi więc nam wyraźnie, że ktokolwiek leży pod tą datowaną płytą, jest już w Niebie. Warto zauważyć, że identyczne rozwiązanie mamy u Rogiera van der Weydena w Beaune. Tam także Michał, tym razem w białej, liturgicznej szacie, ma pawie skrzydła i końcem prawego dotyka sprawiedliwego na szali wagi, podkreślając tym sens zbawienia.

Jeśli teraz połączymy wszystkie elementy kodu, informacja staje się jasna. Podczas podróży Katarzyna Tani, będąca w ciąży, została powierzona opiece Archanioła Michała. Płynęli wzdłuż brzegów, przepływali więc, już pod koniec podróży, opodal skalnej wysepki, na szczycie której wzniesiono w XI wieku sanktuarium poświęcone Michałowi – Mont St. Michel, słynący cudami cel wielu pielgrzymek. (W 1450 roku – Roku Świętym – przyszła tu wielotysięczna pielgrzymka chłopców z Niemiec, tam bowiem od wieków Michał był otoczony szczególną czcią).

Nie mamy żadnych dokumentów pisanych na potwierdzenie ciąży Katarzyny. Ale czy mogło być inaczej? Wtedy nie odkładano posiadania dziecka na później, tym bardziej że Tani nie miał już wiele czasu, by doczekać się spadkobiercy, ludzie w XV wieku nie żyli długo, według ówczesnych kryteriów był człowiekiem starym.

Niestety dziecko zmarło. To Katarzyna, a nie Flandria, rozpacza pod opiekuńczym skrzydłem Archanioła. Gdyby dziecko przeżyło, byłoby namalowane obok niej na skrzydle zewnętrznym, bardzo wtedy przestrzegano tego zwyczaju. Na wielu obrazach widzimy wrzuszające szeregi coraz to mniejszych figurek, towarzyszące fundatorom. Następne dziecko urodzi się Tanim dopiero w 1471 roku, będzie to córka Małgorzata Maria Romola. Nie zostanie domalowana na obrazie, bo obraz chyba nie jest już własnością Tanich. Są oni zresztą od dwóch lat we Florencji, obraz zaś jeszcze przez dwa lata pozostaje w Brugii.

Ten czas, pomiędzy latami 1467 i 1469, jest zapewne okresem, w którym zapadają ostatnie decyzje w sprawie obrazu. Skrzydła zewnętrzne z portretami fundatorów są bez wątpienia dziełem Memlinga. Aranżację przestrzeni, w której klęczą, namaluje w bardzo podobny sposób jeszcze raz na zewnętrznych skrzydłach *Ukrzyżowania* w Lubece z 1491 roku.

Wątpliwość, czy w 1473 roku obraz był jeszcze własnością Taniego, zbliża nas do następnej zagadki. W najbardziej eksponowanym miejscu materia obrazu została brutalnie uszkodzona. Głowa sprawiedliwego na opadającej szali wagi została zeskrobana i namalowana na nowo. Kiedy, przez kogo, w jakim celu?! Przyznam od razu, że nie potrafię odpowiedzieć na te pytania, ale istniejące propozycje odpowiedzi mnie nie zadawają.

Sięgnijmy do dokumentów. Niewiele ich, ale zawsze stwarzają jakąś nadzieję.

W 1931 roku w Brukseli ukazał się I tom publikacji A. Grünzweiga, zawierający wydobytą przez niego z archiwów korespondencję brugijskiej filii banku Me-

dyceuszy. Znalazł się tu list Tomasso Portinariego do brata we Florencji datowany 24 kwietnia 1464 roku. Pisze on, że nie goni za srebrem, ale pragnie chwały i woli żyć skromnie, niż opływać w dostatki pod rozkazami Taniego. Żali się, że Medyceusze nie mają do niego zaufania i rozstrzygają wszystko na korzyść pryncypała. To świadczy, że próbował już informować Florencję o szkodliwych, jego zdaniem, rządach Taniego.

Grünzweig, niestety, kończy publikację tej korespondencji bankierów na 1465 roku, wprowadzie zapowiedzi ciągu dalszy, ale tom II nigdy się nie ukazał. Nie wiemy czemu, czy autor zmarł, czy uciekł przed Hitlerem na emigrację? Nikt potem nie poszedł jego śladem. Najważniejsze dla nas lata 1466-73 pozostają ukryte w archiwach belgijskich, jeśli nie zostały zniszczone podczas wojny. Cztery lata później, w czerwcu 1468 roku wybucha tzw. afera Canigianiego, o której pisze Warburg. Otóż Gherardo Canigiani, reprezentujący bank Medyceuszy w Londynie, udzielił wysokiej pożyczki Edwardowi IV, w związku ze ślubem siostry króla Małgorzaty z Yorku z Karolem Śmiałym, władcą Burgundii i Niderlandów. Jednocześnie w Brugii, podobno wbrew woli Taniego, Tomasso Portinari udzielił ogromnej pożyczki Karolowi – tak, że Medyceusze w całości sfinansowali to wesele, bez większych nadziei na odzyskanie tych sum. Formalnie, jako szef filii banku, za wszystko odpowiadał Tani. Na dokumentach pożyczki londyńskiej figurują obok siebie podpisy Taniego, Canigianiego i Portinariego. Nie wiemy, kto podpisał pożyczkę niderlandzką.

Prawdopodobnie Portinari zrobił wszystko, by odpowiedzialność Taniego pogłębić. Miał tym łatwiejsze zadanie, że rok później, w grudniu 1469 roku umarł Piero Medici, popierający Taniego. Jego następcą, Wawrzyniec Wspaniały wolał zajmować się polityką i sztuką niż interesami. Nadszedł czas Portinariego, w 1470 roku żeni się z Marią Baroncelli, od 1473 roku kieruje północną filią banku. Niedługo, bo w 1480 roku rozstaje się z Medyceuszami, by wraz z bratankiem Benedetto, założyć własny bank.

Skoro dokumenty niewiele nam dały, spróbujmy wnioskować z ich braku. Uważam, że najmocniejszym dowodem jest brak nazwiska Taniego w oficjalnych dokumentach starań o odzyskanie dóbr zagarniętych przez Gdańszczan wraz ze statkiem „San Matteo”. *Sąd Ostateczny* nie był wcale najcenniejszym łupem, może nawet trochę kłopotliwym. „Peter von Danzig”, prowadząc zdobyczy „San Matteo” zawiązał do portu w Hamburgu, gdzie nastąpił podział łupów pomiędzy kapitana Paula Beneke, trzech patrycjuszów gdańskich, właścicieli statku i 350 osób załogi, marynarzy i żołnierzy. Towary luksusowe miały konkretną, wymierną wartość rynkową, ale obraz? Uradzono w końcu przekazać go do kościoła NMP, świątyni gdańskich mieszczan, gdzie zawisł na filarze przed kaplicą św. Jerzego.

Grabież wynajętego przez Tomasso Portinariego statku „San Matteo” płynącego pod neutralną banderą Burgundii, wywołała szereg ciągnących się przez wiele lat interwencji. Władca Burgundii Karol Śmiały, uznał oczywiście czyn Benekego za obrazę i zagroził Hanzie represjami w stosunkach handlowych. W imieniu poszkodowanych wystąpił też legat papie-

ski. I tu właśnie, obok Wawrzyńca i Juliana Medyceuszów oraz Portinariego, pojawiają się jeszcze cztery florenckie rody, brak jednak Taniego. Podobnie brak go w papieskim *breve* Sykstusa IV z 1477 roku, gdzie papież nazywa Benekego na przemian: „najukochańszym synem” i „piratem”. Gdańszczan nie poruszały jednak te interwencje, tak, że w końcu, w 1499 roku, rada miejska Brugii, skąd ładunek wypłynął i gdzie był ubezpieczony, nie chcąc zakłócać swych stosunków z obu stronami konfliktu, zobowiązana też wyrokiem Międzynarodowego Trybunału w Malines z 1496 roku, zaproponowała Florentczykom odszkodowanie w wysokości 12 tysięcy florenów płatne w sześciu ratach rocznych.

W tym czasie Angelo Tani już nie żyje, zmarł podczas epidemii we Florencji w 1492 roku, wraz z żoną i córką. Ale czemu przez niemal dwadzieścia lat milczy, nie dochodząc zadośćuczynienia? Odpowiedź może być jedna, na „San Matteo” nie było niczego, co by stanowiło jego własność. Stracił w Niderlandach stanowisko i majątek dużo wcześniej, zapewne w 1469 roku, na korzyść Tomasso Portinariego.

Tomasso Portinariego znamy wyjątkowo dobrze. Z portretu w Metropolitan Gallery patrzy gdzieś obok nas niewidzącym wzrokiem, zatopiony w myślach, z modlitewnie złożonymi dłońmi. Z ciemnego, gładkiego tła wyłania się twarz z silnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi, długim, szczupłym nosem, głębokimi oczodołami, z grzywką na czole. Obok wisi portret żony Marii z Baroncellich – twarz, którą chętnie byśmy widzieli w roli lady Macbeth. Tę samą parę spotykamy w narożnikach *Pasji* zamówionej do kościoła San Egidio przy szpitalu S. Maria Nuova we Florencji (obecnie w Galerii Sabaudzkiej w Turynie). Dla tej samej rodowej fundacji Portinari, miłośnik malarstwa niderlandzkiego, zamówił około 1480 roku u Hugo van der Goesa *Pokłon pasterzy*; wspaniały obraz wisi dziś w Uffizi, małżonkom towarzyszy tu urodzona w 1471 roku córka Maria i jej dwaj młodszy bracia.

Opierając się na fakcie konfliktu Tani-Portinari, historycy sztuki popuścili wodze fantazji. Uznali, że pierwotnie głowa sprawiedliwego na szali wagi była portretem Taniego, którą Portinari polecił usunąć i w to miejsce namalować swój portret. To Warburg pierwszy zobaczył w złuszczonej farbie głowy podobiznę Portinariego, porównując ją z trzema zachowanymi na innych obrazach, a przede wszystkim z portretem w Nowym Jorku. To niewątpliwie frapująca hipoteza, opowieść psychologicznie uzasadniona, ale niestety nie do utrzymania, choć wszyscy powtarzają ją za Warburgiem od ponad stu lat.

Nigdy, w żadnym obrazie niderlandzkim, w scenie ważenia dusz nie malowano portretu fundatora. Dla niego było określone długą tradycją miejsce w lewym narożniku lub na zewnętrznym skrzydle. Gdyby Portinari, nowy właściciel obrazu, rzeczywiście chciał usunąć zniechęconego Taniego, kazałby Memlingowi przemalować skrzydła zewnętrzne widoczne na co dzień, tryptyk bowiem otwierano od święta. Był przecież czas, prawie cztery lata, by spokojnie to zrobić.

Wreszcie trzeba zdecydowanie zaprzeczyć, aby zdrapywanie i powtórne malowanie tej głowy było wykonane w pracowni Memlinga lub innego mistrza niderlandzkiego. Ktokolwiek to zrobił, był partaczem nie

znającym technologii malarskiej. Malarze Niderlandów do perfekcji doprowadzili technikę malarstwa olejnego, za co byli tak cenieni we Włoszech. Gdyby zabieg został wykonany na północy, nie znaleźlibyśmy ani śladu przeróbki.

Na koniec argument decydujący. *Sąd* gdański był trzykrotnie restaurowany – w latach 1718, 1815 i 1851. Szczególnie ciekawa jest ta ostatnia, przeprowadzona przez berlińskich fachowców i opisana przez jednego z nich, Christiana Xellera. Otóż pisze on: „Najgorzej miała się sprawa z głową sprawiedliwego na szali wagi, która musiała zostać uzupełniona w całości(!), gdyż dawna, przemalowana późniejszą ręką, podczas czyszczenia lekko zeszała”. Chociaż Xeller jest przekonany, że szczęśliwie udało mu się odtworzyć stan poprzedni „tak w kolorze, jak w wyrazie”, to przecież to, co oglądamy obecnie, jest dziełem Xellera.

Sugestia Warburga, że jest to Portinari, pojawi się dopiero za pół wieku, więc Xeller nie mógł starać się namalować Portinariego. Zastanówmy się przez chwilę, na co patrzemy dziś w tym miejscu? Otóż patrzymy na kolejną, już trzecią twarz. Pierwszą namalował prawdopodobnie Memling. Ale tę pierwotną ktoś, kiedyś, nie wiadomo czemu usunął i w jej miejsce, nie zachowując zasad warsztatowych, namalował drugą, którą zobaczył w bardzo złym stanie Xeller w 1851 roku. Ponieważ ona „podczas czyszczenia lekko zeszała”, więc namalował w tym miejscu trzecią, którą dziś oglądamy.

Niedawno przeczytałem bardzo poważne dzieło polskiej uczoney, która z całym przekonaniem twierdzi, że pierwotnie został tu sportretowany Tomasso Portinari i wciąż go tutaj oglądamy. Żadnych wątpliwości! Sądzę, że jedynym źródłem tej wiedzy i tej pewności może być tylko seans spirytystyczny.

Reasumując, widzimy Portinariego, ponieważ chcemy go tu zobaczyć, ponieważ bardzo nam tu pasuje. Oczy jednak są bardzo zawodnym sędzią rzeczywistości. Psychologia zna wiele takich sytuacji, gdy „widzimy” coś, czego w istocie nie ma.

Tak więc wracają pytania: kto, kiedy, po co?

W zapiskach Leonarda da Vinci jest notatka: „Zapytał Portinariego, jak w Niderlandach ślizgają się na zamarzniętej wodzie”. Szczęśliwy Leonardo! My nie mamy takich możliwości. Warto jednak zastanowić się, jakie możliwości mamy. Sądzę, że należy spróbować iść śladem Grünzweiga i nadal badać archiwa Brukseli (Rogier van der Weyden) i Brugii (kantor bankowy Medyceuszy, Hans Memling), Florencji (rodziny Tani i Portinari, bank Medyceuszy), choć prawdopodobnie Warburg odnalazł tu już wszystko, co było do odnalezienia. Drugi trop prowadzi do Beaune w Burgundii. Warto by tam zajrzeć pod warstwę malarską strefy niebios, by porównać jej rysunek z tym samym fragmentem obrazu gdańskiego. Bez tych badań nigdy nie rozszyfrujemy kodu. Chyba że uznamy, iż żadnych wątpliwości i zagadek tu nie ma i wszystko zostanie po staremu.

PRZEMYSŁAW TRZECIAK

(Część pierwszą, zatytułowaną *Kto to namalował?*, opublikowaliśmy w 1–2/2014 numerze „Zdania”.)

PIELGRZYMKA, czyli CUDOWNE ROZMNOŻENIE WĘDZONEJ MAKRELI

Do naszej pielgrzymki do Composteli po odpust zupełny, której pomysł narodził się przed laty w Wójtowicach, doszło wreszcie tej jesieni. Wreszcie – bowiem było to trzecie podejście. W 2010 Lufthansa zgubiła nasze bagaże w czasie niespodziewanego międzylądowania w Barcelonie, a mieliśmy w nich urocze plecaczki marki Alpina, leciutkie jak piórko przeciwdeszczowe z trzech warstw skomponowane opończe, wełniane, bardzo drogie skarpety z napisem „R” i „L” czyli modelowane na każdą nogę z osobna, po dwie pary butów z alpinistycznych butików – ciżmy (moje były czerwone *Ć la Benedetto XVI*) do kostek i potężne ale jakże lekkie glany powyżej kostki oraz całą masę niezbędników, jak szczyrówki Swiss Army, specjalne flaszki na wodę, kapturki na szampana (głównie Cava Brut) by bąble przez co najmniej dobę utrzymywać, suspensoria i męskie pampersy dla tych, którzy cierpią na nadmiar uchyłków w dupie (*diverticula*, łac.), etc. Wracaliśmy jak niepyszni. Lufthansa zafundowała nam swetry i przybory toaletowe. Po dwóch tygodniach bagaże wróciły do Wójtowic. Sakwojaż Doroty jak psu z gardła, moja samsonitka z przetrąconym kręgosłupem. Po trzech miesiącach tarמושenia się i wymiany pism kupili nową.

Drugie podejście nie zakończyło się już tak łagodnie. 12 osób miało ruszyć 9 października 2013 z granicy portugalsko-hiszpańskiej i przejść 106 km. Bilety wykupione, hoteliki wzdłuż wybrzeża zarezerwowane, gdy nagle na 5 dni przed odlotem Dorota udając się na elegancką kolację na ul. Wiedeńską przewróciła się na moich oczach na krakowskim bruku i...doznała otwartego złamania ręki prawej w trzech miejscach. Kości przebiły Jej nowy sweter, który miał być noszony pod

ową trójwarstwową opończą. To wszystko pewnie za karę, bo szliśmy na kolację do takiego jednego, który w wyborach 1989 r. wydmuchł był jednego z najbardziej znanych krakowskich liberałów z PZPR. Pielgrzymkę anulowano, ale nikt z naszych braci w wierze nie wieśzał na nas psów. Natomiast pieniądze za bilety odzyskały jedynie paryskie Lewiny.

By nie zapeszyć kolejnej próby, wraz z polskim Stowarzyszeniem Dróg Św. Jakuba w maju 2014 otworzyliśmy najpierw odcinek polsko-czeski trasy jakubowej. Jedni przeszli 8, drudzy 16 kilometrów, zaś grupa wiarusów, która miała już w nogach zarówno trasę portugalską, jak i francuską, wykonała z Międzygórze do Broumova ponad 50 km. Stowarzyszenia wójtowickie wzięły na siebie przygotowanie postoju dla pielgrzymów w parku pałacu w Gorzanowie. Ktoś z nas musiał być chyba w stanie łaski, gdyż udało się cudownie rozmnożyć wędzoną makrelę (ilość wyjściowa: 8 sztuk) oraz mace (ilość wyjściowa: 2 pudła po pizzy). Nikt natomiast nie odważył się przejść po wodzie w parkowym stawie. Wszyscy otrzymali muszlę Św. Jakuba z przewierconą dziurką, by ją przymocować do plecaka oraz kopię niezwyklego dokumentu znajdującego się w Muzeum Kłodzkim (patrz: zdjęcie). Nie wdając się w szczegóły powiem tylko, że słynny Aleksander VI Borgia na swym firmowym papierze udziela w 1500 r. podpisem 14 kardynałów i biskupów odpustu pielgrzymom, którzy dotrą do kaplicy św. Jakuba w Kłodzku.

Po tych wszystkich cudach, z nie byle jakim papieskim certyfikatem wkroczyliśmy w jesień 2014. Niemal wiernie skopiowaliśmy naszą poprzednią marszrutę, łącznie z dwiema nocami w XIII-wiecznym klasztorze

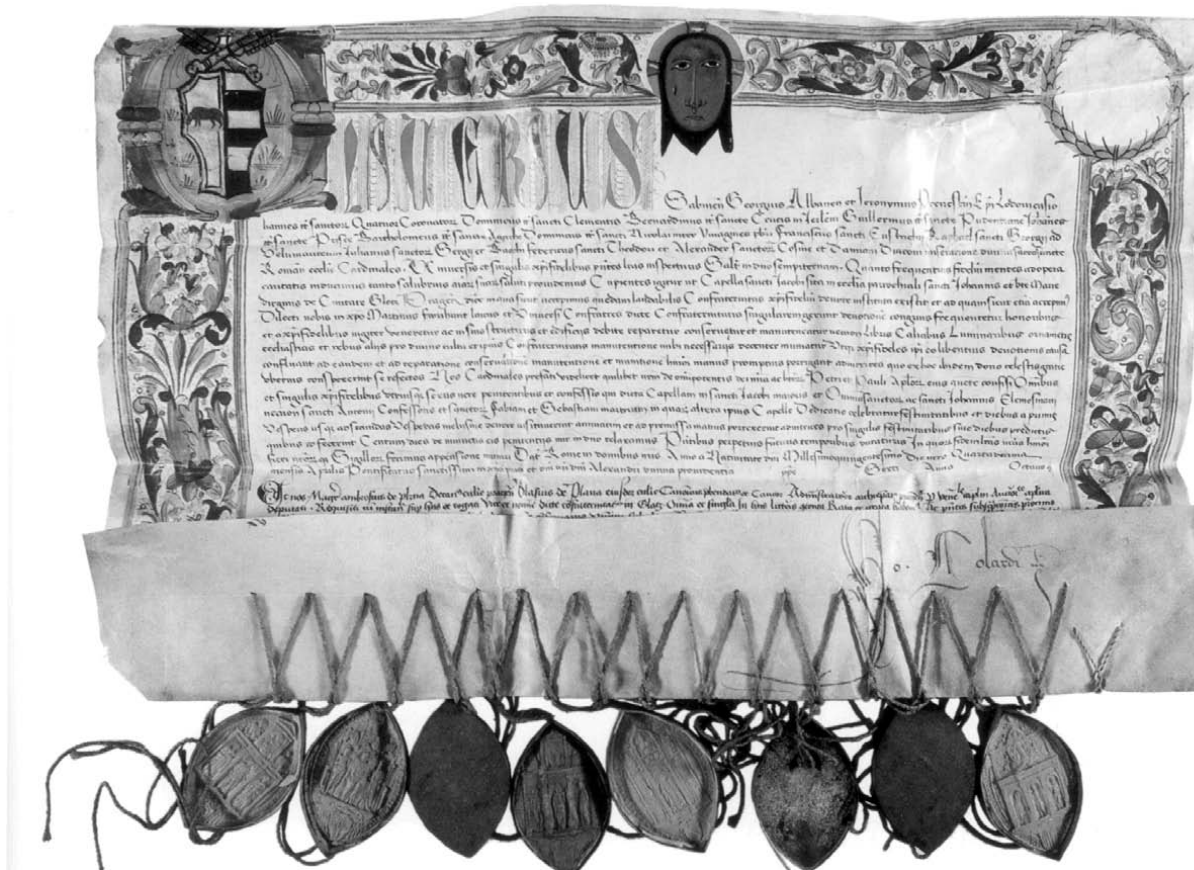
przerobionym na Parador de Campados. Wisi na skale nad Atlantykiem, słynie z „pulpy galega” i grilowanych ryb. Po pierwszej flaszce *Vinho Verde* (po naszymu *Vetlinske Zelene* lub *Gruner Vetliner*) doznałem stanu łaski na grubo przed dojściem do katedry w Santiago de Compostela.

Ruszyliśmy, tworząc orszak iście średniowieczny. Fatima chciała iść na końcu z gwiazdą Dawida. Jako *converso* (przechrzta?) nie mogłem się na to zgodzić i założyłem odznakę *leproso*, by Fatima nie szła ostatnia. Czworo szło po zdrowie, w tym dwóch z uchyłkami, jeden jako kandydat na radnego do Sejmiku – wiadomo po co, jedna pątniczka szła o kulach po wymianie biodra (poza NFZ-em, sądząc po cenie porcelanowa kulka była chyba z epoki Ming!), a wszyscy z życzeniem, by mogli do końca dni swoich czytać papierowe książki i gazety, a nie kiwać się nad *Kindlem* czy przed ekranem swych komputerów. A propos, właśnie skończyłem w 100 procentach papierowe dziełko Henry Kameny o inkwizycji lansujące tezę, że głównym celem Torquemady & Co byli właśnie *conversos* i ich majątki. Przechrzta był łatwym łupem, bo jak biedaczysko miał udowodnić, że naprawdę się wyrzekł swego Boga? I to w czasie wlewania mu smoly do gardła!

Tu muszę wyjaśnić, że starsi państwo – a było nas dwunastu w marszu do grobu Jakuba Apostoła – nie odważyli się na niemal darmowe noclegi w pielgrzymich

dormitoriach, gdzie sypia się w grupach, gdzie trudno o ciepłą wodę i gdzie w siennikach po latach używania jest coraz mniej słomy. Tak w każdym razie pisze o sprawie Francis Tapon na swym bardzo popularnym portalu podróżniczym *Wanderlearn with FT* twierdząc, że ma ona swe *ugly underbelly*. Twierdzi też, że szukał ciszy, natury i sposobności do kontemplacji. Nie chciał utonąć w międzynarodowej pielgrzymiej wspólnotce, o której towarzyskich i społecznych walorach piszą wszystkie przewodniki. „Jakbym tego chciał, to bym się przejechał w tę i w tamtą nowojorskim metrem” – pisze FT. Co gorsza, odkrywa on nam w swym tekście „brudny sekret” tej pielgrzymki. Otóż chrześcijaństwo nie wymyśliło ani tej trasy, ani tej tradycji, by uczcić swego Apostoła. Kościół zajął ją prawem kaduka i przepakował dawny pogański obyczaj. Na długo przed narodzeniem Chrystusa poganie maszerowali przez północną Hiszpanię w rytuale ponownych narodzin, docierali do Cabo Fisterra (galic.), czyli do końca ziemi, palili tam swe szaty i oddawali się adoracji zachodzącego w nieskończonym morzu słońca. Ten rytuał symbolizował śmierć i zmartwychwstanie pielgrzyma. Dodam, że my też dotarliśmy aż do Costa da Morte z intencją narodzenia się tam na nowo. Najbliższe miesiące odpowiadzą na pytanie czy nam wyszło.

KRZYSZTOF KOMORNICKI



TOMASZ GOBAN-KLAS

CHICHOT UBEKA

Mogę sobie wyobrazić byłego funkcjonariusza Służb Niebezpieczeństwa PRL-u, gdy czyta w prasie informacje ujawnione przez Snowdena. Jakkolwiek dla analityków systemów informacyjnych i garstki politologów i socjologów, nie ujawniły one niczego – poza skalą – zaskakującego, to przecież rosnąca penetracja nowych technologii informacyjnych, w tym zwłaszcza aplikacji smartfonowych, w życie miliardów (dosłownie!) ludzi na całym globie, nadaje inwigilacji informatycznej globalny wymiar. Big Brather – metafora Orwellovska, która miała wedle wschodnioeuropejskich dysydentów opisywać system komunistyczny – realizuje się ale na Zachodzie, począwszy od kolebki demokracji – Stanów Zjednoczonych.

Michel Foucault w wydanej w 1975 roku książce *Surveiller et punir. La naissance de la prison (Nadzorować i karać. Narodziny więzienia)* porównuje współczesne społeczeństwo do słynnego projektu więzienia w układzie Panoptikonu autorstwa Jeremiego Benthamy. Ten temat został szerzej przedstawiony w rozmowie Davida Lyona i Zygmunta Baumana *Płynna inwigilacja* z 2013 roku.

Nie powinno to nikogo zaskoczyć. Zaraz po ataku terrorystycznym 11 września 2001 roku na Stany Zjednoczone, uchwaleniu przez Kongres USA *Patriot Act* umożliwiającego tak zagraniczne, jak i krajowe monitorowanie w zakresie *homeland security*, było jasne, że NSA, największa, ale i najtajniejsza z amerykańskich agencji wywiadowczych, używa wszelkich sposobów technicznych dla podsłuchiwanie rozmów telefonicznych, sporządzania bilingów, podglądania użytkowników i przeglądania poczty elektronicznej. W tym celu współpracuje z wielkimi operatorami telekomunikacyjnymi, jak Verison, zarządzającymi znaczną częścią sieci szkieletowej internetu, operatorami sieci komórkowych, operatorami dostępu do internetu, producentami oprogramowania (także, o ironio, szyfrującego), itd. Magazyn komputerowy *Chip* wprost ostrzega: „Szpiegowski arsenał Amerykanów umożliwia im inwigilację całego internetu na globalną skalę. Jeszcze potężniejsze są instrumenty do precyzyjnej kontroli pojedynczych osób. Praktycznie nie ma przed nimi obrony – chyba że wyłączy się komputer”.

Konkretny przykład komputerowej analizy bilingów w tzw. aferze taśmowej w 2014 roku tak opisuje tygodnik *Polityka*: „Do gry wchodzi analitycy kryminalni, najpierw z ABW, potem z CBS. Zapewne to oni wskazują na możliwy związek Falenty z tą sprawą. Ustaliśmy, że korzystają z komputerowych programów analizujących powiązania kapitałowo-osobowe. Narzędzie jest nowoczesne, działa szybko, ale wyciągnięcie z takiej analizy wniosków wymaga sporej rozważ-

ności i doświadczenia. Program pokazuje mapę powiązań. Kto, z kim, gdzie i kiedy? Nie odpowiada natomiast na pytanie, być może najistotniejsze: po co? To trzeba samemu wydedukować. Przy Marku Falencie – dziś głównym podejrzanym – program podpowiada różne tropy. Kontaktował się z dziennikarzem Piotrem Nisz-torem”.

Ten trop wystarczył, aby bilingi dziennikarza stały się przedmiotem analizy. A potem dalej jego kontakty. Zatem ta wąska tematycznie sprawa pozwala inwigilować szerokie kręgi osób niekoniecznie z nią związanych, ale mających jakiegokolwiek kontakty telefoniczne czy mailowe w łańcuchu podejrzeń. Jak to się powiada, „od nitki do kłębka”.

Przykłady programów takiej analizy podaje ciekawe polskie czasopismo *Magazyn Informatyki Śledczej i Bezpieczeństwa IT*. Ciarki przechodzą po plecach, ale emeryt-ubek zapewne zachichocze.

Zatem oczywiste jest leninowskie pytanie: Co robić?

Jak się zachować w świecie powszechnej inwigilacji? Przecież nie robią tego tylko Amerykanie, ale wszystkie kraje i globalne korporacje.

Jednak ochrona własnej prywatności i danych osobistych wobec mocy globalnego i krajowego systemu inwigilacji tak państwowej, jak i korporacyjno-komercyjnej, pozostanie złudą. Samo szyfrowanie własnej poczty elektronicznej jest już wskazówką dla służb specjalnych do wciągnięcia amatorskiego „szyfranta” na listę podejrzanych. Amerykańska NSA dokładnie monitoruje użytkowników narzędzi Tor, poszukując „ekstremistów”, które to słowo staje się równie groźne dla użytkownika jak „terrorysta”.

Czy zatem nie ma ucieczki od rejestracji w bazach danych typu Big Data, osobistej inwigilacji, publicznego monitoringu? Czy McLuhanowska wizja „globalnej wioski” z realizowanej utopii nie staje się dystopią? Przecież tradycyjna wioska była społecznie monitorowana przez częsty typ wścibskich kobiet i mężczyzn, plotkarek i plotkarzy, w której zza firanek śledziły dniem i nocą czujne oczy. A pamięć wykroczeń trwała nawet po śmierci. Dopiero wyrwanie się „z idiotyzmu życia wiejskiego”, jak pisał niegdyś Karol Marks, do wielkiego miasta, z jego różnorodnością, mobilnością, ale i anonimowością przybyszów, tworzyło przestrzeń wolności. Jak głosiła niemiecka, ale znana i w Polsce zasada: *Stadluft macht frei*, powietrze miejskie czyni wolnym. Sądziłszy, iż *Internet macht frei*, ale jego rozwój podąża w kierunku panoptikonu i synoptikonu. W takim systemie wolność może być tylko duchowa – a więc oparta na nieuczestnej myśli Stanisława Leca: „Mów mądrze, wróg podsłuchuje”.

więcej
wątpię
jestem

CO JEST W TEJ CZARNEJ DZIURZE?

Od wielu lat „Kuźnica” organizuje konferencje na tematy, które raczej rzadko (albo wcale) są podejmowane przez inne środowiska, gremia bądź instytucje, co nie znaczy, że są to tematy peryferyjne lub mało ważne. Z różnych powodów tak się dzieje, aliści najczęściej są one natury politycznej, zwłaszcza jeśli przedmiotem rozważań ma być PRL. Od 1989 roku obowiązuje bowiem jednoznaczna wykładnia tego okresu, czyli przedstawiania go w czarnych barwach.

Przedstawianie pokonanego przeciwnika w niekorzystnym świetle, tagodnie rzecz ujmując, to oczywiście praktyka stara jak świat i nie inaczej zachowała się władza ludowa po 1945 roku. W krytyce sanacji nie była odosobniona, bo już po klęsce wrześnieowej na polskiej scenie politycznej nie było nikogo, kto by bronił Rydza Śmigłego i jego komilitonów. Jednakże w każdym obozie zwycięzców nie brakuje nadgorliwców, toteż rychło się okazało, że nie tylko ustrój II RP i jej polityczne elity, ale także niemal wszystko, co się wówczas wydarzyło lub dokonało, sfery kultury nie wyłączając, zasługuje na surową ocenę, a nawet na potępienie.

PRL miała jednakowoż tę właściwość, że z wielu absurdów i oskarżeń potrafiła się wycofać. Niestety, nie ze wszystkich, ale w kulturze po '56 roku z wolności twórczej mogli korzystać w pełnym zakresie przedstawiciele sztuk asemantycznych, co miało ten skutek, że polska muzyka współczesna i plastyka znalazły uznanie w świecie. A film i teatr pod czułym okiem cenzury też odnosił światowe sukcesy. Zupełnym zaś fenomenem, nieznanym nigdzie poza Polską, okazała się kultura studencka, z której wyszło wielu wybitnych twórców współczesnej kultury polskiej.

Zasygnalizowane tutaj zjawiska były przedmiotem wystąpień i debaty podczas tegorocznej konferencji, choć oczywiście nie zdążono opisać i objaśnić całości oraz złożoności kultury w okresie PRL-u.

* * *

Po '89 roku elity solidarnościowe zachowały się wobec abdykującej władzy tak samo, jak ona po roku '45. Najpierw zaczęto kwestionować potrzebę polityki kulturalnej, a nawet samo pojęcie, uznając je za wymysł bolszewicki (z litości nie wymienię nazwiska ministra kultury, co takie poglądy publicznie głosił). Przy ochoczym wsparciu mediów zarządzono generalną przecenę w kulturze, która miała na celu zdyskredytowanie twórców cieszących się uznaniem i zaufaniem *ancien regime'u*. Polowanie z nagonką, najpierw w drugim obiegu, a potem oficjalnie urządzono na Jarosława Iwaszkiewicza, nieżyjącego od 1980 roku, ale pamiętano mu Nagrodę Leninowską, trzykrotną Nagrodę Państwową I stopnia i długoletnią prezesurę w ZLP. Dopiero ankieta w paryskiej „Kulturze” (*Pisarze niedocenieni – pisarze przecenieni*), przytomnie rozpisana przez Giedroycza w połowie lat '90., zahamowała proces dewastacji

współczesnej kultury polskiej przez oszołomów i ilustratorów, wśród których nie ma byłych towarzyszy lub bezpartyjnych „pieszczochów reżimu”. Przy okazji wyszło na jaw, że ani w PRL-u, ani w III RP nie nauczyliśmy się oddzielać życia twórcy – tego prywatnego i społecznego – od jego twórczości. Toteż zwłaszcza teraz, w dobie gender, pojawi się zapewne pokusa, aby znowu prześwietlać biografie twórców, oceniać ich moralnie za wybory ideowe i orientację seksualną, a dzieła traktować jako dodatek.

* * *

W latach 80. karierę zrobiło określenie „czarna dziura”. Zrazu odnosiło się ono do tego, co powstawało w kulturze „na powierzchni” – w przeciwieństwie do „podziemia” – za pieniądze władzy i pod kontrolą cenzury. Jak łatwo się domyśleć, w oficjalnym życiu kulturalnym nic wartościowego powstać nie mogło. Ale kiedy przyszło wymienić przykłady pozytywne, zgodnie wskazano *Weisera Dawidka* Pawła Huellego, powieść wydaną – jak na ironię – nie w drugim obiegu, a w reżimowym Wydawnictwie Morskim. O *Kamieniu na kamieniu* nie wypadało wspomnieć, bo nie pasował do obrazu: najpierw drukowała go „Twórczość”, a w całości ukazał się w PIW-ie. Tymczasem zasiadzieli w drugim obiegu Tadeusz Konwicki w tym samym mniej więcej czasie wraca ze swoją sylwą *Nowy Świat i okolice* niczym syn marnotrawny do Czytelnika, a na swoje usprawiedliwienie pisze list do cenzora zamiast wstępu. Po 30. latach się okazało, że powieść Myśliwskiego, niezauważona w „czarnej dziurze”, otrzymała prestiżową nagrodę w Ameryce, a po dziesiątkach drugoobiegowych dzieł słuch zaginał. To dowód, jak się sprawdza w kulturze schemat czarno-biały.

Z czasem mianem „czarnej dziury” próbowano objąć cały okres PRL-u, nie licząc się z konsekwencjami. Co by bowiem pozostało w kulturze polskiej XX wieku, gdyby wyjąć z niej z powodu nieprawego pochodzenia polską szkołę filmową i kino moralnego niepokoju, przedstawienia Dejmka, Swinarskiego, Grotowskiego, Kantora i Szajny, kompozycje Lutosławskiego, malarstwo Hasióra i Grupy Krakowskiej, polską szkołę plakatu, prace warszawskiej szkoły historyków idei, poezję Różewicza i Szymborskiej, *Pana Cogito* Herberta oraz zjawisko tzw. kultury studenckiej. To nie brak wyobraźni, to ideologiczne zaślepienie i zacietrzewienie, świadczące o niezrozumieniu procesów zachodzących w kulturze i ich wielorakich uwarunkowań. Albo po prostu dowód głupoty.

Miejmy nadzieję, że nadejdzie taki czas, a konferencja „Kuźnicy” zdaje się być jego zapowiedzią, że o kulturze w PRL-u będzie można dyskutować – jak mawiali starożytni – *sine ira et studio*.

SCEPTYK



Przypominamy, że od 2009 roku **„Zdanie” jest dostępne w sieci empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w internecie: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2014) oraz w internetowym Katalogu Czasopism Kulturalnych (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres).

REDAKCJA

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Marian Szulc, 30-441 Kraków, ul. Fałęcka 60

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Renata Bonczar, *Ze szkicownika*.